

Peter Robinson



TRUCICIELKA

Czasem, by rozwiązać zagadkę,
trzeba obudzić dawno uspięne demony...



Peter Robinson

Trucicielka

Dla Sheili

*U źródeł Dove, gdzie kroki milkną
W bezdrożu, dolę całą
Przeżyła. Któż ją sławił? Tylko
Niewielu ją kochało.
Fijołek skryty w wielkim borze - Otula go gęstwina.
Gwiazda na niebie - o wieczorze
Zapala się jedyna.
Jej zgon też w cieniu pozostanie.
Nie była w świecie znana.
Lecz ona leży w grobie. Dla mnie
O, jakąż to przemiana!*

William Wordsworth

*Iluż klejnotów czystość, stracona dla oczu,
Kryje się w oceanu bezdennej głębinie!
Ileż kwiatów marnuje swój czar na uboczu,*

Lub woń ich niosą wichry w dalekie pustynie.

Thomas Gray, Elegia napisana na wiejskim cmentarzu

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Dwudziestego trzeciego kwietnia 1953 roku Grace Elizabeth Fox wstała o szóstej trzydzięci rano. Ubrała się, korzystając z pomocy strażniczki Mary Swann, po czym, zjadłszy lekkie śniadanie, na które podano jej tost z marmoladą i herbatę, zabrała się do pisania listów do rodziny oraz przyjaciół. Tuż po ósmej dla ukojenia nerwów wypła szklaneczkę brandy, a następną godzinę spędziła sam na sam z kapelanem.

Pół minuty przed dziewiątą do jej celi wszedł Albert Pierrepont ze swoim pomocnikiem. Z właściwą sobie grzecznością oraz zachowując należyty szacunek, miękkim skórzanym paskiem sprawnie związał skazanej ręce za plecami i zaprowadził ją do sąsiedniego budynku, w którym przeprowadzano egzekucje. W ten szary, dżdżysty poranek pogrążone w ciemności stopnie kamiennych schodków były śliskie od deszczu. Punktualnie o dziewiątej niewielka grupka weszła do środka. Czekali na nią gubernator, lekarz i dwoje świadków. Według późniejszych relacji Grace przez cały czas zachowywała się z godnością, nie zwolniła kroku ani nie wydała z siebie żadnego dźwięku, i tylko zobaczywszy sznur, drgnęła lekko i nieco głośniej wciągnęła powietrze.

Gdy dotarła na szubienicę, ustawiono ją na wymalowanej kredą na zapadni literze „T”, a pomocnik Pierreponta skórzanym pasem związał jej kostki. Jego pryncypał wyjął z kieszeni biały płócienny worek, który narzucił Grace na głowę, po czym starannie i delikatnie nałożył jej na szyję wyściełaną skórą pętlę. Upewniwszy się, że wszystko jest jak należy, cofnął się o krok, usunął bolec zabezpieczający mechanizm i jednym szybkim ruchem pchnął dźwignię. Zapadnia otworzyła się i Grace zawisała w powietrzu. Droga z celi ku wieczności zajęła jej nie więcej niż piętnaście sekund.

Ciało Grace, zbadane tylko pobieżnie przez więziennego lekarza, musiało wisieć na szubienicy przez regulaminową godzinę, zanim usunięto je i wymyto w celu przeprowadzenia autopsji. Badanie wykazało, że zmarła natychmiast w wyniku „złamania z przemieszczeniem kręgosłupa w punkcie C2, które spowodowało dwucalową szczelinę oraz poprzeczne przecięcie rdzenia kręgowego na tym samym poziomie”. Lekarz sądowy stwierdził też „złamanie obydwu łuków chrząstki gnykowej oraz prawego łuku chrząstki tarczowatej”.

Złamaniu uległa również krtań Grace.

Następnego dnia, gdy siostra Grace, Felicita, oficjalnie zidentyfikowała zwłoki, w raporcie koronera stwierdzono zgon skazanej: „Więzenie Jej Wysokości w Leeds, 23 kwietnia 1953 roku. Imię i nazwisko: Grace Elizabeth Fox; płeć: żeńska; wiek: 40 lat; zawód wykonywany: gospodyni domowa w Kilnsgate House w Kilnsgarthdale, w okręgu Richmond w hrabstwie Yorkshire (Północny Okręg); przyczyna zgonu: uraz centralnego układu nerwowego w wyniku wykonania kary śmierci przez powieszenie”. Gubernator zapisał to w swoim rejestrze jeszcze prościej: „Wyrok śmierci na Grace Elizabeth Fox został wykonany”.

Ciało skazanej pochowano na terenie więzienia.

Październik 2010

Obiecałem sobie, że kiedy stuknie mi sześćdziesiątka, pojadę do domu. Laura uważała, że to wyśmienity pomysł, ale gdy nadszedł wreszcie ten dzień, okazało się, że stoję w ulewie nad jej grobem w Nowej Anglii i wypłakuję oczy. Jeszcze jeden powód, żeby jechać - pomyślałem.

- Za dwieście jardów skręć w prawo.

Pojechałem prosto.

- Za czterysta jardów skręć w prawo.

Jechałem dalej pod baldachimem drzew. Wokół mnie wirowały opadające liście.

Obraz na wyświetlaczu zamarł, zamigotał i zniknął, po czym ułożył się w kształty w niczym nieprzypominające krajobrazu, który mijalem.

- Zawróć, a potem za trzysta jardów skręć w lewo.

Pomyślałem, że to nie najlepszy pomysł. Byłem pewien, że do zakrętu w lewo mam jeszcze jakieś pół mili. Ostrzegano mnie, że łatwo go przeoczyć, zwłaszcza jeśli jedzie się tą trasą po raz pierwszy. Nawigacja satelitarna najwyraźniej trochę wariuje w Yorkshire.

Postanowiłem jednak nie wyłączać urządzenia i przekonać się, co też za chwilę mi podpowie.

Zwolniłem prawie do zera i rozglądałem się uważnie, aż wreszcie wypatrzyłem w murku po mojej lewej stronie przerwę, od której prowadziła polna dróżka wyglądająca na zapomnianą, choć widoczne na niej ślady opon świadczyły, że ktoś jednak niedawno jej używał. Nie było drogowskazu i kierunek jazdy wskazywała tylko otwarta stara drewniana brama na rogu, wyłamująca się z przeżartego rdzą zawiasu, szeroka na tyle, że mogła się w niej zmieścić co najwyżej niewielka dostawcza furgonetka.

Nagle zrobił się naprawdę cudowny dzień, pomyślałem, przeciskając volvo przez wąską wyrwę w murze. Zza wiszących nade mną gałęzi drzew, niczym magiczna kraina niesplamiona obecnością człowieka, wyłoniła się ukryta kotlina. Samochód podskoczył na kracie odgradzającej dostęp bydłu i wpadł w kałużę. Trudno uwierzyć, że przed chwilą gwałtowna ulewa niemal zmyła mnie z drogi między Ripon a Masham, ale tak to właśnie jest z pogodą w Yorkshire. Jeżeli ci się nie podoba, mawiał mój ojciec, zaczekaj dziesięć minut albo odjedź dziesięć mil.

- Zawróć! - panikowała nawigacja satelitarna. Wyłączyłem ją i jechałem dalej przed siebie.

Ulewne letnie deszcze sprawiły, że trawa była soczyście zielona. Na błękitnym niebie gdzieniegdzie kłębiły się puszyste białe chmury, a drzewa połyskiwały jesiennymi kolorami - złotem, żółcią i rdzawym. Wprawdzie daleko im było do dramatyzmu, jaki towarzyszy opadaniu liści w Vermoncie, ale i tak miały swój urok. Przez otwarte na kilka cali okno słyszałem ćwierkanie ptaków i czułem zapach mokrej trawy.

Jechałem na zachód, dróżką biegnącą po prawej stronie Kilnsgarthdale Beck, którego wody niemal przelewały się przez krawędzie koryta. Cała kotlina mogła mieć co najwyżej pół mili szerokości i dwie długości, a jej dno tworzyło pas szeroki na jakieś dwieście jardów, w którym mieścił się potok i droga. Trawiaste zbocza po obu stronach wznosiły się łagodnie mniej więcej na pięćdziesiąt stóp, przerywane od czasu do czasu

srebrzystymi strużkami jeszcze węższych strumyków i porośnięte na szczytach usadzonymi w równe rzędy drzewami.

Po prawej stronie pało się kilka krów, które, jak przypuszczałem, były własnością rolników, właścicieli niewidocznego z tego miejsca gospodarstwa za wzgórzem. Kilnsgarthdale to mała kotlina na kompletnym odludziu, otoczona lasem i kamiennym murem. Można ją znaleźć tylko na najdokładniejszych mapach.

Minąłem kamienną stodołę oraz resztki muru, który kiedyś wyznaczał granicę sąsiedniego pola, ciągnącego się po drugiej stronie wzgórza, ale aż do samego Kilnsgate House nie trafiłem na nic, co pozwalałoby przypuszczać, że okolica jest zamieszkana.

Dom stał po prawej stronie drogi, jakieś dwadzieścia jardów dalej, za niskim, kamiennym ogrodowym murem z zieloną bramą pilnie domagającą się pędzla. Zatrzymałem się i wyjrzałem przez okno w samochodzie. Z drogi trudno było dostrzec cokolwiek poza kominami, dachem oraz szczytami okien na piętrze, ponieważ resztę przesłaniały drzewa, a ogród na zboczu był dosyć zarośnięty. Odniosłem dziwne wrażenie, że ten cichy, tajemniczy dom czeka na mnie, że czekał na mnie przez cały czas. Wzruszyłem ramionami, wyłączyłem silnik i siedziałem przez chwilę w samochodzie, wciągając w płuca słodkie powietrze i rozkoszując się ciszą. Tak więc w końcu dotarłem na miejsce, pomyślałem, do kresu podróży.

Albo jej początku.

Wiem, że może to zabrzmieć dziwnie, ale aż do tego momentu oglądałem Kilnsgate House tylko na zdjęciach. Kiedy kupowałem dom, przez cały czas pracowałem w Los Angeles nad bardzo ważnym projektem i po prostu nie miałem czasu, żeby wskoczyć do samolotu, polecieć na miejsce i rzucić na niego okiem. Heather Barlow, agentka nieruchomości, oraz mój radca prawny całą transakcję przeprowadzili mailowo i telefonicznie, korzystając z pomocy kurierów i finalizując ją przelewem bankowym.

Kilnsgate House spodobał mi się najbardziej ze wszystkich domów, które oglądałem w Internecie, a cena nie była wygórowana. Właściwie trafiła mi się okazja. Od jakiegoś czasu głównie go wynajmowano, ale obecnie nikt w nim nie mieszkał. Właściciel dawno temu wyjechał za granicę i nie interesował się nieruchomością, która pozostawała pod opieką jego - lub jej - radcy prawnego z North allerton. Nie było też mowy o

transakcji związanej, możliwości wycofania oferty czy innych dziwnych praktykach, z jakimi musi się liczyć potencjalny nabywca lub sprzedawca domu w Anglii. Pani Barlow zapewniła mnie, że mogę się wprowadzać choćby dzisiaj.

Wspomniała coś o odludziu i dopiero teraz zorientowałem się, co dokładnie miała na myśli. Mogło to stanowić pewien problem - obok rozmiarów - przy wynajmowaniu domu turystom. Będzie pan tam odcięty od świata, powiedziała. Najbliżsi sąsiedzi - właściciele gospodarstwa za drzewami po drugiej stronie wzgórza - mieszkają ponad milę dalej, a do Richmond, najbliższego miasta, są dwie mile. Uspokoilem ją, zapewniając, że w zupełności mi to odpowiada.

Wysiadłem z samochodu, minąłem skrzypiącą bramę i odwróciwszy się, stanąłem obok muru, pragnąc przez chwilę sycić wzrok widokiem na zbocze kotliny po drugiej stronie.

W połowie drogi na szczyt między drzewami majaczyły kamienne ruiny, na wpół zapadnięte pod ziemię. Pomyślałem, że to pewnie jakaś altana.

Tak naprawdę panią Barlow martwiło tylko jedno: zastanawiała się, jak zareaguję na wiadomość o fortepianie. Da się go usunąć, zapewniała w jednej z naszych licznych rozmów telefonicznych, choć nie będzie to łatwe. Oczywiście, jeśli postanowię go zatrzymać, nie będzie się to wiązało z dodatkową opłatą, choć zrozumie, jeżeli będę wolał go wyrzucić.

Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Byłem już o krok od tego, żeby zamówić nowe pianino czy choćby niewielki cyfrowy model. Tymczasem miałem fortepian. Musiałem tylko, jak oznajmiła pani Barlow, zdziwiona i ukontentowana moją aprobatą oraz podekscytowaniem, wezwać stroiciela.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze tylko, że z Kilnsgate House wiąże się pewna historia - historia, którą wkrótce miałem się zainteresować czy nawet, jak twierdzili niektórzy, dać się jej opętać. Najwyraźniej dobrzy agenci nieruchomości - a Heather Barlow z pewnością była dobra - są prawdziwymi mistrzami w sztuce przemilczania niewygodnych faktów.

Miałem za sobą długą podróż i byłem wykończony. Po przylocie z Los Angeles spędziłem trzy męczące dni w Londynie, w czasie których walkę ze skutkami zmiany czasu urozmaicały mi spotkania ze starymi znajomymi oraz współpracownikami. W poleconym mi przez kolegę salonie w

Camberwell kupiłem nowe volvo v50 estate - idealny samochód na północny klimat - i pojechałem do Bournemouth, gdzie spędziłem dwa dni z matką. Miała osiemdziesiąt siedem lat, ale ciągle nieźle się trzymała. Była dumna z syna i nie mogła się doczekać, żeby popisać się mną przed sąsiadami, z których jednak żaden nigdy by o mnie nie usłyszał, gdyby sama o mnie bez przerwy nie opowiadała. Nie mogła zrozumieć, dlaczego po tak długim czasie wracam do Anglii - według niej wszystko tu zeszło na psy, zwłaszcza w Yorkshire. Przed laty z utęsknieniem czekała na dzień, kiedy będzie mogła się wynieść i jak tylko mój ojciec, świeć Panie nad jego duszą, w 1988 roku przeszedł na emeryturę, od razu kupili niewielki domek na obrzeżach Bourne mouth. Niestety, staruszek nie zdążył się nim szczególnie nacieszyć, bo trzy lata później, w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, zmarł na raka. Matka jednak nie miała zamiaru się przeprowadzać; ciągle co rano dla zdrowia odbywała spacer po deptaku i co wieczór, również w celach zdrowotnych, wypijała butelkę guinnessa.

Zdałem sobie sprawę, że nawet gdyby matka albo ktokolwiek inny usilniej drążył temat, właściwie nie umiałbym wyjaśnić, dlaczego wracam. Pewnie rzuciłbym coś na odczepnego o zaczynaniu wszystkiego od nowa, choć przecież miałem nadzieję na o wiele więcej. Być może doszedłem do wniosku, że tym razem zdołam osiągnąć to, czego nie udało mi się przez tamte dwadzieścia pięć lat, zanim wyjechałem do Ameryki szukać szczęścia. Ale prawdę mówiąc, choć wiem, że to trochę bez sensu, miałem po prostu nadzieję, że gdy wrócę, w jakiś cudowny sposób zrozumiem, dlaczego coś tak usilnie i niezmordowanie popychało mnie do powrotu.

Kiedy stałem teraz przed ogromnym domem, który niedawno kupiłem, z walizką i torbą na laptopa w rękach, ogarnął mnie nagle znajomy strach, że posunąłem się o krok za daleko, obezwładniające uczucie, że jestem oszustem i wszystko wkrótce się wyda. Ten dom mnie onieśmiał. Był o wiele większy, niż sobie wyobrażałem, przypominał niektóre z rezydencji w staroangielskim stylu w Beverly Hills. W południowej Kalifornii taki zbytek wydawał się czymś zupełnie naturalnym, ale w starej dobrej Anglii był aktem wtargnięcia na teren, na który z racji urodzenia nie miałem wstępu. Ludzie tacy jak ja nie mają takich domów jak ten.

Wychowałem się w najgorszej dzielnicy Leeds, teoretycznie zaledwie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mil stąd, ale mentalnie równie dobrze mogłyby to być na innej planecie. W latach młodości czyjeś przywileje i

zamożność zawsze były dla mnie bardziej policzkiem niż obiektem podziwu, jakim wydają się większości Amerykanów, w których oczach wszystkie te zamki, stare dzieje i rodziny królewskie są czymś niezwykle intrygującym. Moją rodzinę raczej trudno byłoby nazwać królewską. Nigdy nie zapominałem, że moi przodkowie musieli kłaniać się nisko, gdy drogą przejeżdżał z zadartym nosem pan takiego dworku jak ten w Kilnsgate, ochlapując błotem poddanych.

Jako nastolatek wprawdzie nie nosiłem w kieszeni legitymacji partyjnej, ale byłem typowym młodym gniewnym, choć teraz właściwie mam to wszystko gdzieś. Lata spędzone w Ameryce zmieniły mnie, zmiękczyły - centralne ogrzewanie, klimatyzacja, wspaniały wielopoziomowy apartament w Santa Monica z parkietem i balkonem wychodzącym na Pacyfik, nie wspominając już o wieloletnim nasiąkaniu bzdurami w rodzaju „wszyscy są równi i każdy może zostać prezydentem”.

Zmiana ta była jednak tylko powierzchowna. Niektóre zaszłości tkwią w człowieku głębiej niż przyzwyczajenie do zewnętrznych wygód. Muszę przyznać, że gdy tak stałem i przyglądałem się mojemu wspaniałemu nowemu domowi, czułem, jak budzą się we mnie znowu stare socjalistyczne, typowe dla przedstawiciela klasy robotniczej wartości; czułem narastający gniew. Co gorsza, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, tkwiącemu we mnie gdzieś głęboko niepokojącemu przekonaniu, że tak naprawdę nie zasługuję na to, że tego rodzaju domy nigdy nie były dla takich jak ja, że obudzę się rano i czar pryśnie, że wrócę tam, gdzie moje miejsce, do komunalnego mieszkania w domku w dzielnicy robotniczej, do kopania rowów czy raczej, co w dzisiejszych czasach jest bardziej prawdopodobne, życia na garnuszku państwa.

Raz jeden, w wieczór, kiedy otrzymałem swojego pierwszego i zarazem ostatniego w życiu Oscara, próbowałem to wszystko wyjaśnić Laurze. Byłem mocno zalany i powiedziałem jej, że na to nie zasługuję, że w każdej chwili bańka może pęknąć i wszyscy zdadzą sobie sprawę z tego, jakim jestem blagierem, że wrócę tam, gdzie przez cały czas było moje miejsce. Ale Laura nie zrozumiała. Dla jej amerykańskiej mentalności było oczywiste, że zasługuję na Oscara. W przeciwnym razie Akademia nigdy by mi go nie przyznała.

Dlaczego więc po prostu się z tym nie pogodzę i nie zacznę świętować jak wszyscy? A potem się roześmiała, przytuliła mnie i nazwała swoim

kochanym głuptasem.

Kilnsgate House górował nade mną. Zbliżając się do celu ścieżką prowadzącą między drzewami przez zarośnięty trawnik, mogłem dostrzec dosyć typową dla Dales szeroką i symetryczną wapienną elewację, urozmaiconą gdzieś odrobiną ciemniejszego piaskowca, z dwoma oknami po obu stronach drzwi frontowych i taką samą ich liczbą na piętrze pod dachem z łupku. Od przodu do budynku przylegała łukowato sklepiona weranda z dwiema drewnianymi ławkami po bokach, co przywodziło na myśl wejście do starego wiejskiego kościoła. Przypuszczałem, że było to idealne miejsce, żeby zdjąć ubłocone buty po całodniowym uganianiu się za głuszcami czy inną zwierzyną. Zauważyłem nawet stojak na laseczki i parasole w kształcie słoniowej nogi.

Powyżej nadproża w kamieniu wyrzeźbiono datę: „JM 1748”. Inicjały pochodziły pewnie od nazwiska pierwszego właściciela. Pod ławką z prawej strony znalazłem przylepione taśmą klucze, dokładnie tam, gdzie miały być według pani Barlow. Kiedy rozmawialiśmy, pani Barlow przeprosiła, że nie może mnie przywitać, ale ma ważne spotkanie w Greta Bridge. Obiecała, że koło szóstej wpadnie sprawdzić, jak się urządziłem.

Miałem więc mnóstwo czasu, żeby się zaaklimatyzować i rozejrzeć, choć zaczynałem powoli żałować, że nie zatrzymałem się na zakupy w supermarkecie, który minąłem w Richmond.

Nie chciało mi się tam wracać jeszcze tego samego wieczoru, skoro już dotarłem na miejsce, a nic nie jadłem od lunchu i burczało mi w brzuchu.

Nie od razu udało mi się przekręcić w zamku ogromny klucz, ale w końcu uporałem się z nim, pozbierałem walizki i wszedłem do środka. Znalazłem się w obszernym przedsionku czy westybulu, zajmującym całą środkową część domu od tej strony. Witraż w kwadratowym okienku nad drzwiami rozszczepiał światło słoneczne na niebieskie, czerwone, żółte i fioletowe promienie, które wydawały się tańczyć niczym w kalejdoskopie w rytm ruchów drzew, falujących na zewnątrz na wietrze i rzucających cienie gałęziami i liśćmi.

Oczywiście oglądałem wcześniej wewnątrz domu na zdjęciach, ale nic nie było w stanie przygotować mnie na szok, jaki przeżyłem, gdy zobaczyłem je na własne oczy. Na przykład, rozmiar. Podobnie jak wtedy, gdy patrzyłem na dom z zewnątrz, początkowo poczułem się onieśmielony, bo okazał się o wiele większy, niż sobie wyobrażałem. W moich

wspomnieniach angielskie domy były małe i ciasne. Tymczasem stałem w wysokim pomieszczeniu rozmiarów sali balowej, z szerokimi drewnianymi schodami dokładnie po przeciwnej stronie, prowadzącymi na piętro i zwieńczonymi galeryjkami zaopatrzonymi w poręcze, za którymi majaczyły drzwi do poszczególnych pokojów. Wyobraziłem sobie tłum dżentelmenów w wiktoriańskich strojach, którzy opierają się o wypolerowane poręcze i w otoczeniu ślicznych dzieciątek oraz wystrojonych młodych dam, demonstrujących swoje towarzyskie wyrobienie, oglądają, na przykład, jasełka, rozgrywające się na dole w miejscu, w którym stałem.

Przy drzwiach obok antycznego kredensu dostrzegłem parę wytartych foteli, a na lewo od schodów zegar stojący, z kiwającym się mosiężnym wahadłem. Zerknąłem na zegarek na ręce i stwierdziłem, że godzina się zgadza. Ściany od podłogi na wysokość mniej więcej trzech stóp były wyłożone boazerią, a powyżej tapetą z wypukłym wzorem. Z sufitu, niczym zamrażnięta fontanna, zwisał żyrandol. Wszystkie drewniane powierzchnie były wypolerowane do połysku, a w powietrzu unosił się zapach cytryny i lawendy. Na ścianach wisiało kilka obrazów w pozłacanych ramach: zamek Richmond o zachodzie słońca, dwa konie na pastwisku w pobliżu Middleham, mężczyzna, kobieta i dziecko pozujący przed domem. Żaden z nich nie był szczególnie drogi, ale nie były to też tanie podróbki, kupowane na pchlim targu. Same ramy mogły być coś warte. Kogo było stać na to, żeby to wszystko porzucić? I dlaczego?

Podniósłszy walizkę z przyborami toaletowymi i paroma sztukami garderoby, które zabrałem ze sobą, ruszyłem nieco nierównymi i skrzypiącymi drewnianymi schodami na górę, żeby poszukać odpowiedniej sypialni.

W przedniej części domu znajdowały się dwie, i to ogromne, bliźniaczo umieszczone naprzeciw galeryjki sypialnie, po jednej z każdej strony schodów. Zajrzałem do obu i wybrałem drugą. Była jasna i przytulna, miała ściany wyłożone kremową tapetą w różany wzorek i w sumie cztery okna, naprzeciw drzwi i z boku. W nogach łóżka stała drewniana skrzynia, na której leżały starannie poskładane prześcieradła i gruba kołdra. Były tam również sosnowa szafa, stolik i krzesło, ale miejsca i tak wystarczało, żeby urządzić w środku wieczorek taneczny. Na ścianach nie wisiały obrazy, co zresztą w zupełności mi odpowiadało - już cieszyłem się na myśl o

myszkowaniu po miejscowych bazarkach i sklepach z antykami w poszukiwaniu właściwych płócien. Drugie drzwi prowadziły do toalety z umywalką i przeszklonym prysznicem.

Parapet jednego z frontowych okien miał wyściełane siedzenie, ponad drzewami rozciągał się widok na drugą stronę kotliny, strumyk, altankę i las w dali. Wyglądało to na przyjemny kącik, w którym można się zwinąć w kłębek i poczytać. Okna z boku wychodziły na kotlinę od tej strony, z której przed chwilą przyjechałem. Spostrzegłem nagle, że choć jest dopiero czwarta, cienie zaczynają się już wydłużać. Nie zwracając sobie głowy ścieleniem łóżka, wyciągnąłem się na materacu, czując, jak ugina się pod mną i przystosowuje do kształtu ciała. Położyłem głowę na poduszce - z tych grubszych po jednej stronie, trochę przypominających katowski pieniek - i zamknąłem oczy. Mógłbym przysiąc, że przez chwilę słyszałem gdzieś w dali pianino. Trzecie Impromptu Schuberta. Piękna, nieziemska melodia ukołysała mnie do snu. Kiedy - wydawałoby się - sekundę później obudziło mnie pukanie do drzwi frontowych, w pokoju było już ciemno. Wstałem, znalazłem włącznik, zapaliłem światło i zerknąłem za zegarek. Była szósta.

- Pan Lowndes, jak przypuszczam? - zapytała stojąca w drzwiach kobieta. - Pan Christopher Lowndes?

- Proszę mi mówić Chris - powiedziałem, przeczesując dłonią włosy. - Musi mi pani wybaczyć. Obawiam się, że zasnąłem i straciłem poczucie czasu.

Na jej twarzy pojawił się stonowany uśmiech.

- To całkowicie zrozumiałe - rzekła i wyciągnęła rękę. - Heather Barlow.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym odsunąłem się i wpuściłem ją do środka. Miała ze sobą torbę z zakupami, którą odłożyła na kredens. Powiesiłem jej płaszcz w niewielkiej szafie przy drzwiach i przez chwilę staliśmy, wsłuchując się w głośnie tykanie zegara odbijające się echem w ogromnym westybulu, nie bardzo wiedząc, co robić dalej.

- I co pan teraz sądzi o domu? - zapytała w końcu Barlow.

- Jestem pod wrażeniem. Miała pani całkowitą rację. Zaprosiłbym panią do gabinetu albo salonu na filiżankę herbaty, ale obawiam się, że nie zdążyłem jeszcze zwiedzić parteru.

No i nie mam herbaty. Mogę za to zaproponować szklaneczkę whisky ze sklepu wolnoćowego.

- Nic nie szkodzi. Pewnie na razie orientuję się w tym domu lepiej od pana. Muszę.

Bywałam tu dosyć często przez ostatnie kilka tygodni. Może pójdziemy do kuchni? - Podniosła torbę z zakupami i przytrzymała ją w powietrzu. - Pozwoliłam sobie zajrzeć do Tesco i kupić parę rzeczy, na wypadek gdyby pan zapomniał albo nie miał okazji zrobić sprawunków. Chleb, masło, herbata, kawa, biszkopty, jajka, bekon, mleko, ser, płatki, pasta do zębów, mydło, paracetamol. Wzięłam wszystkiego po trochu. Niestety nie wiedziałam, w czym pan gustuje, czy nie jest pan przypadkiem wegetarianinem albo weganinem.

- Uratowała mi pani życie, pani Barlow - ucieszyłem się. - Zupełnie zapomniałem o zakupach. W tej chwili zjadłbym cokolwiek. Może być sushi albo carpaccio z guźca. Ważne, żeby się nie ruszało, w każdym razie nie za szybko.

Roześmiała się.

- Mów mi Heather. Przez tę panią Barlow czuję się jak stetryczka staruszka. I nie sądzę, żebyś znalazł w Richmond sushi albo guźca.

Wskazała mi drzwi po lewej stronie, podeszła do nich ze mną i włączyła światło.

Kuchnia, wraz z przylegającymi do niej spiżarnią i komórkami, zajmowała całą zachodnią część domu i okazała się najnowocześniejszym pomieszczeniem, jakie dotąd w nim widziałem. Z pewnością była dobrze wyposażona: zabudowany piekarnik ze stali nierdzewnej, podobnie zmywarka, lodówka i zamrażarka, poza tym wyspa z granitowym blatem, sosnowe szafki i dopasowany do reszty kącik śniadaniowy przy jednym z okien. Na zewnątrz było już ciemno, ale jeśli dobrze zapamiętałem rozkład domu, rozciągał się stamtąd widok na kotlinę w miejscu, w którym przechodziła w trójkątny zagajnik za kamiennym murem. Zauważyłem, że kuchenka jest na gaz, co znowu trafiło w moje upodobania: moim zdaniem daje to większą kontrolę nad ogniem niż palniki elektryczne. Był tam też przepiękny stary piec grafitowy - choć nie sądziłem, by w dzisiejszych czasach wyłożono go prawdziwym grafitem - z hakami, schowkami i innymi zakamarkami na czajniczki, garnki, patelnie i kociołki, jak przypuszczałem.

Heather zaczęła wyładowywać zakupy na wyspę, wsadzając od razu do lodówki artykuły, które wymagały przechowywania w chłodzie.

- Wiem, że to impertynencja z mojej strony, ale kupiłam też to - powiedziała, wyciągając butelkę veuve clicquot. - Nie wiem nawet, czy pijesz alkohol.

- Byle z umiarem - odparłem. - A szampana uwielbiam. Rzadko jednak wypijam sam całą butelkę. Otworzyć?

- Nie, przykro mi, ale nie mogę. Przyjechałam samochodem. Poza tym trzeba go schłodzić. Picie ciepłego szampana powinno być karane. Ale dziękuję. - Włożyła butelkę do lodówki i spojrzała na mnie uważnie. - Nie byłam pewna, czy przyjedziesz sam, czy może z kimś. Ani w mailach, ani przez telefon nic nie mówiłeś o swoim życiu osobistym, o tym, czy masz dzieci, żonę, a może... No wiesz, partnera. A to taki duży dom.

- Nie jestem gejem - uspokoiłem ją - a teraz nie mam nikogo. Moja żona zmarła prawie rok temu. Mam też dwoje dorosłych dzieci.

- Bardzo mi przykro. To znaczy, z powodu twojej żony.

- Spodobałoby jej się tutaj. - Klasnąłem w dłonie. - A zatem herbata?

- Z przyjemnością. Usiądź, ja zajmę się wszystkim.

Usiadłem, a ona napełniła i włączyła czajnik elektryczny. W niczym nie przypominała stetryczalej staruszki i aż miło było na nią patrzeć: atrakcyjna kobieta tuż po czterdziestce, jak się domyślałem, wysoka i szczupła, z krągłościami w odpowiednich miejscach, bardzo elegancka w podkreślającej jej figurę oliwkowej sukience i brązowych skórzanych butach do połowy łydek. Była prawie mojego wzrostu, a przecież jestem dość wysoki. Zwróciłem też uwagę na jej bardzo przyjemny uśmiech, seksowne dołeczki w policzkach, zielone oczy i zmarszczki wokół nich, wskazujące, że lubi się śmiać, wysokie kości policzkowe, trochę piegów na nosie oraz czole i piękne, jedwabiste rude włosy z przedziałkiem na środku, opadające na ramiona. Poruszała się z wdziękiem, a jej ruchy były oszczędne.

- Ile jestem ci winien za zakupy? - zapytałem.

- Wrzucę je sobie w koszty - odparła. - Uznajmy to za powitalny prezent na cześć twojego powrotu do domu. - Wyjęła z pudełka dwie torebki herbaty Yorkshire Gold, wrzuciła je do białoniebieskiego czajniczka z porcelany z Delft i zalała wrzącą wodą, a potem odwróciła się do mnie. -

Urodziłeś się w Anglii, prawda? Właściwie nigdy nie powiedziałeś wprost, że jesteś stąd.

- Jestem, jestem - potwierdziłem, choć czasem już sam nie byłem tego pewien. - Właściwie można mnie nazwać tutejszym. Mieszkałem w Leeds.

- Niesamowite. Moja matka pochodzi z Bradford. Świat jest mały.

Wymówiła nazwę miasta jako „Bradford”. W Leeds wszyscy mówili „Bratford”.

- Prawda?

- Ale przez dłuższy czas mieszkałeś w Ameryce, tak? W Los Angeles?

- O trzydzieści pięć lat za dużo.

- Czy będę bardzo wścibska, jeżeli zapytam, czym się tam zajmowałeś?

- Skądże znowu. Komponowałem muzykę do filmów. Ciągłe komponuję. Po prostu w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że w zasadzie mogę pracować tutaj. Ale najpierw postanowiłem zrobić sobie małą przerwę.

Nie powiedziałem jej, jakie miałem plany co do tej przerwy. Paplanie na temat projektów artystycznych może je uśmiercić, zanim jeszcze na dobre się rozpoczną.

- Muzykę filmową? Do musicali takich jak Chicago albo Grease?

- Nie. Niezupełnie. Ja piszę muzykę do filmów. Ścieżkę dźwiękową.

Zmarszczyła brwi.

- Muzykę, której nikt nie słucha?

Roześmiałem się.

- Właściwie całkiem trafnie to ujęłaś.

Podniosła palce do ust.

- Przepraszam najmocniej. To było bardzo niemiłe z mojej strony. To znaczy, chciałam tylko...

- Wcale nie. Nie musisz przeproszać. Wszyscy tak uważają. Ale gdyby jej nie było, zapewniam cię, że zauważyłabyś to natychmiast.

- Z pewnością. Może słyszałam jakieś twoje utwory?

- Raczej nie, skoro ich nie słuchasz.

- To znaczy... No wiesz... - Zarumieniła się. - Przestań. I tak jest mi już wstyd.

- Przepraszam.

Wymieniłem tytuły kilku bardziej znanych filmów, do których ostatnio skomponowałem muzykę, w tym jednego międzynarodowego przeboju.

- Wielkie nieba! - zawołała. - Ty to napisałeś? Naprawdę?

Skinałem głowę.

- Pracowałeś z nim? Jaki jest?

- Właściwie nie spędzam zbyt wiele czasu z reżyserami, ale pan Spielberg to człowiek, który zawsze wie, czego chce i jak to osiągnąć.

- Niesamowite - powiedziała. - Uszczypnij mnie. Rozmawiam z kimś naprawdę sławnym i nawet o tym nie wiedziałam.

- Nie jestem sławny. To jedna z korzyści związanych z moim zawodem. Oczywiście ludzie z Hollywood, ci z branży, znają moje nazwisko, pojawia się też ono w czołówkach filmów. Ale nikt mnie nie rozpoznaje na ulicy. To trochę jak być pisarzem. Znasz ten stary dowcip o aktorce, która była tak głupia, że przespała się z pisarzem?

Heather się uśmiechnęła. W jej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Nie znałam - rzekła. - Ale teraz już znam.

- Przepraszam. To było trochę prymitywne. Jestem po prostu... no wiesz, właściwie nieznany.

- Ale zarobić na tym chyba można, co? Nie chciałabym być jeszcze bardziej nieuprzejma i wścibska, ale ten dom raczej nie był tani.

- Jakoś wiąże koniec z końcem - przyznałem. - Zarabiam wystarczająco, żeby nie przejmować się za bardzo pieniędzmi, choć muszę jeszcze kilka lat popracować, zanim zacznę myśleć o emeryturze.

- To ciekawe, wiesz? Sądząc po akcencie, nigdy bym nie przypuszczała, że mieszkałeś tak długo w Ameryce.

- Pewnie masz rację. Właściwie w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Chyba spędzałem za dużo czasu w jednej z tamtejszych knajp, pijąc piwo i grając w rzutki.

- To w Kalifornii też gra się w rzutki? W osiedlowym pubie?

- Oczywiście. „Pod Królewską Głową”.

- Ale czy to taki prawdziwy angielski pub? Widziałam kilka tego typu miejsc w Hiszpanii i Grecji. Paskudne podróbki.

- Amerykanie uważają, że angielski pub powinien właśnie tak wyglądać. Walające się śmieci, wyściełane ławy, stare fotografie i plakaty na ścianach, Winston Churchill, brytyjscy żandarmi, Union Jack i tak dalej.

- Niesamowite. - Heather nalała herbatę, podała mi filiżankę, pamiętając, żeby uprzednio położyć na sosnowym stoliku podstawkę i spodeczek, po czym usiadła naprzeciw mnie. Nie powiedziałbym, że wpatrywała się we mnie jak w obrazek, ale z pewnością znacznie urosłem w jej oczach. - Pamiętałam też o ciasteczkach - rzuciła figlarnym tonem, podając mi paczuszkę czekoladowych herbatników McVitie's. - Założę się, że w całej Kalifornii nie można takich kupić.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedziałem. - „Pod Królewską Głową” jest też mały „składzik”. Można tam kupić sos HP, pastę Marmite, pikle Branston i produkty Bisto.

Myślę, że herbatniki McVitie's też by się znalazły.

- Niesamowite. - Heather odchrząknęła, najwyraźniej zapragnąwszy wrócić do interesów. - W każdym razie wszystko powinno tutaj działać. Jak wspominałam w mailu, w domu jest centralne ogrzewanie. Nastawiłam termostat na średnią temperaturę. Jest w korytarzu, więc podkreśl go sobie w razie potrzeby. Doradzałabym jednak ostrożność, bo możesz się zdziwić, jak przyjdzie rachunek. Na twoim miejscu w miarę możliwości używałabym kominka. Pod schodami są drzwi do piwniczki na węgiel, znajdziesz tam zapas drewna. Telefon i łącze internetowe działają, tak przynajmniej zapewniał facet z British Telecom, a po drugiej stronie holu masz też telewizję satelitarną i odtwarzacz DVD, który zamówiłeś. To chyba wszystko. No tak, byłabym zapomniała: masz tutaj formularz abonamentu telewizyjnego i instrukcję, jak go wypełnić. Nie wiem, jak to jest w Ameryce, ale tutaj trzeba go opłacić, w przeciwnym razie grozi ci grzywna.

- Pamiętam - uspokoiłem ją. - Mój ojciec zawsze na to narzekał. Telewizja wysyłała takie małe furgonetki z obracającymi się antenami na dachu, za ich pomocą namierzała tych, którzy próbowali się wykręcić od płacenia.

- I ciągle to robi. Tyle że o wiele skuteczniej niż kiedyś. Tak czy inaczej, możesz to zrobić przez Internet, jeżeli...

Wyjaśniłem, że od kilku lat opłacam rachunki i załatwiam formalności przez Internet, więc nie powinienem mieć z tym problemu.

- Na pewno wszystko jest jak należy - zapewniłem. - Zdaje się, że właściciele zostawili sporo rzeczy. Nie spodziewałem się, że aż tak dużo.

- Owszem. No cóż, ostrzegałam cię. Jeżeli chcesz, mogę załatwić ekipę, która zabierze część z nich. Po prostu zależało nam na szybkim sfinalizowaniu transakcji. Tobie też, z tego, co pamiętam.

- Żaden problem. Ale jeżeli będę chciał się czegoś pozbyć, mogę do ciebie zadzwonić z prośbą o pomoc, tak?

- Zrobię, co w mojej mocy. Jeżeli masz ochotę, to jak wypijemy herbatę, mogę cię oprowadzić po domu. A może wolisz poczekać, aż wyjdę, i zwiedzić go spokojnie sam?

Choć trudno mi było wyobrazić sobie przewodnika miłszego od Heather Barlow, faktycznie nie mogłem się doczekać, aż zostanę w moim nowym domu sam i zacznę zgłębiać jego niespodzianki, znajdować ukryte zakamarki, na własną rękę odkrywać jego dźwięki i zapachy, uczyć się go tak, jak miałem zamiar w nim żyć: w samotności.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko, wolałbym obejrzeć go sam. Chyba że twoim zdaniem powinienem wiedzieć o nim coś jeszcze.

Heather się zawahała.

- Nie... To znaczy... No wiesz... Nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy. Nic. W razie czego zawsze możesz do mnie zadzwonić, do domu albo do biura. Wydaje mi się, że przekazałam ci już wszystko, co trzeba, ale na wszelki wypadek zostawię ci wizytówkę.

Sięgnęła do swojej skórzanej torebki.

- Czy coś jest nie tak? - zapytałem.

- Nie, skądże. Dlaczego pytasz?

- Nic takiego, wydawało mi się tylko, że moje pytanie trochę cię spieszyło.

- Naprawdę? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Czyżby w tym domu straszyciło? - zapytałem z uśmiechem. - Jest tak stary, że wiele mogło się w nim wydarzyć. No wiesz, pokojówki potajemnie wychowujące nieślubne dzieci pana domu i tym podobne tajemnice. Upiorne guwernantki. Zaginione dziewczynki. Potwory w szopie. Może jakieś ponure morderstwo albo dwa?

- Nie bądź niemądry. Skąd w ogóle ten pomysł? - Heather Barlow zaczęła się bawić kosmykiem włosów, owijając go sobie wokół palca wskazującego. - Masz naprawdę bujną wyobraźnię. Czegoś takiego pręcej spodziewałabym się po Amerykaninie.

Uśmiechnąłem się.

- Trafiony, zatopiony.

Wypiła łyk herbaty i również się uśmiechnęła. Na krawędzi filiżanki został ślad po jej jasnoróżowej szmince.

- Wierzysz w duchy?

- Nie wiem - odparłem. - Nigdy żadnego nie widziałem.

- Przecież dopiero przyjechałeś. Nie spędziłeś tu jeszcze nocy.

- Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy widywać duchy wyłącznie w nocy. Tak czy inaczej, nie przejmuj się, tak tylko się zastanawiałem. Żaden problem. Nie boję się tutaj spać.

Po prostu w Ameryce ciągle się słyszy, że w Anglii dzieją się różne dziwne rzeczy. W tym domu nocowała Maria Stuart, bezgłowe ciała, nawiedzone zamczyska i tak dalej. To chyba kwestia stereotypów. Ludzie uważają, że tutaj jest dziwnie. Jak „Pod Królewską Głową”.

- Faktycznie, zawsze uważałam, że Amerykanie są dosyć łatwowierni, jeśli chodzi o bardziej osobliwe zawiłości historii Wielkiej Brytanii - powiedziała Heather Barlow, niezbyt przekonującym śmiechem usiłując nieco złagodzić krytycyzm. - Ale na twoim miejscu nie przejmowałabym się duchami. W tej okolicy nie pojawiają się nawet w stereotypach. W każdym razie nikt nigdy nie widział ich w tym domu ani za dnia, ani w nocy. Oczywiście ściany każdego starego zamczyska widziały niejedno i wiele mogłyby opowiedzieć, ale wszystkie te upiorne wspomnienia raczej nie manifestują się w postaci duchów. Poza tym, skąd wiesz, może to jeden z nielicznych domów w okolicy, w którym Maria Stuart nie nocowała? A teraz naprawdę muszę lecieć. Mąż pewnie już się zastanawia, co z jego kolacją.

Dopiła herbatę i wstała. Czyżbym w jej słowach wyczuł irytację? Czyżby to z mojego powodu wspomniała o mężu? Uważała, że z nią flirtuję?

Odprowadziłem ją do drzwi, wyjąłem z szafy płaszcz i pomogłem jej go włożyć. Przez chwilę szukała w kieszeni kluczyków do samochodu. Gdy je

znalazła i odwróciła się do mnie, na jej twarzy z powrotem gościł uśmiech. Podała mi okrągły kartonik.

- Przyda ci się, jeżeli pojedziesz do miasta. To karta parkingowa. Ustaw ją na przewidywany czas postoju i włóż za szybę. Wykupiłam ci dwie godziny.

Wziąłem od niej kartę.

- Dziękuję - powiedziałem. - Za to, że przyjechałaś i za wszystko, co mi przywiozłaś.

Zwłaszcza za szampana.

- Nie ma za co - odparła - chociaż jeżeli wypijesz go sam, to jak się znowu zobaczymy, będziesz mi bardziej wdzięczny za kawę i paracetamol. Dobranoc.

Odeszła szybkim krokiem, a ja stałem przez dłuższą chwilę i wpatrywałem się w zamknięte drzwi, aż wreszcie z letargu wyrwał mnie odgłos ruszającego samochodu.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem do kuchni. Musiałem przyznać, że Heather Barlow zrobiła na mnie wrażenie. Nikt nie powitałby mnie lepiej w Kilnsgate.

- No cóż, Lauro, kochanie - powiedziałem, unosząc filiżankę i przytrzymując ją w powietrzu, tak jakbym wznosił toast. - Dotarliśmy na miejsce. Nareszcie w domu.

2

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

W 1946 roku George Orwell w eseju Zmierzch angielskiego morderstwa wymienił kilka wyróżników tego szczególnego rodzaju morderstwa, które dostarcza najwięcej rozrywki i satysfakcji angielskiej opinii publicznej. Zaliczył do nich mir domowy, pożądanie seksualne, śmiesznie niskie sumy pieniędzy oraz obawę przed wybuchem skandalu. Choć w wypadku morderstwa Ernesta Foxa mieliśmy do czynienia, przynajmniej po trochu, z każdym z tych elementów, współgrały one ze sobą jednak w niezwykle subtelny sposób, dzięki czemu cała sprawa okazała się o wiele bardziej złożona i znacząca, niż można by przypuszczać.

Nic tu nie było takie, jakie wydawało się z początku. Pozornie powściągliwa, wykształcona, niezwykle taktowna żona i matka, Grace Fox, w rzeczywistości pozostawała w szponach namiętnego cudzołożnego związku z mężczyzną - a raczej chłopcem - który równie dobrze mógłby być jej synem. Ta na pierwszy rzut oka oddana małżonka, jeśli wierzyć materiałowi dowodowemu zaprezentowanemu w czasie jej procesu, otruła własnego męża, i to dwukrotnie. Jaka kobieta mogła dopuścić się takiego czynu? Dobre pytanie.

Musimy jednakże postawić się na miejscu sędziów przysięgłych i zapoznawszy się z zeznaniami świadków i przedstawionymi dowodami, zapytać samych siebie, czy Grace Fox rzeczywiście była takim potworem, jak opisał ją oskarżyciel, czy też raczej przyzwoitą kobietą doprowadzoną do ostateczności przez zimnego, okrutnego i nietroszczącego się o nią męża oraz przez nieoczekiwaną namiętność oraz nadzieję na lepsze jutro, zasiane w jej sercu przez młodego kochanka, niejakiego Samuela Portera. Wszak zbrodnia fascynuje nas nie ze względu na to, co w danej sprawie uznajemy

za anomalię, ale raczej przez wszystko to, co może nas łączyć ze zbrodniarzem. Czy ktokolwiek spośród nas, zwłaszcza przedstawicielki płci pięknej, mógłby stwierdzić z całą stanowczością, że Grace Fox była zupełnie różna od reszty społeczeństwa, że na złą drogę sprowadziło ją cokolwiek innego aniżeli desperacja, szargające nią impulsy i mylny osąd rzeczywistości?

Morderstwa to w większości przyziemne, pospolite zbrodnie, ale od czasu do czasu któreś z nich przyciąga uwagę opinii publicznej bardziej niż pozostałe, przeważnie z powodu osób, których dotyczy, czy też niezwyklego splotu życiowych okoliczności, jaki przydarzył się w miejscu, które zamieszkiwały. Tak właśnie było w wypadku tego morderstwa. Choć jego szczegóły były równie pospolite czy makabryczne jak zawsze, wyłaniała się zza nich zwykła ludzka tragedia, która silnie przykuła uwagę obserwatorów.

Nie chodzi o to, że Grace Fox uciekła się do jakiejś nieznanej do tej pory, egzotycznej metody egzekucji; w żadnym wypadku, użyła trucizny. Jej plan nie był też szczególnie sprytny czy wyrafinowany; przeciwnie, zatrzymano ją dosyć szybko i bez większych problemów. Nie chodziło nawet o jakiś wyjątkowo skomplikowany motyw. U sedna całej sprawy leżał stary jak świat miłosny trójkąt.

Kiedy jednak Grace Fox zasiadała tak dzień w dzień w sądzie, milcząca i nieporuszona; kiedy paradowali przed nią kolejni świadkowie oskarżenia, a ona nigdy nawet nie drgnęła, choć w zimnym świetle sali sądowej obnażane były najokrutniejsze i najbardziej intymne szczegóły jej myśli i emocji, czuliśmy wszyscy, że stanęliśmy oto w obliczu wielkiej zagadki. Patrzyliśmy na tę piękną kobietę w prostej sukience, na pukle ciemnych włosów związanych z tyłu głowy, odsłaniających bladą, pozbawioną wyrazu twarz. I wszyscy, jak jeden mąż, zastanawialiśmy się, czy to możliwe, by twarz ta należała do najbezwzględniejszej w świecie morderczyni.

Październik 2010 Mój ból jest jak tępy nóż. Wbija się we mnie, kiedy się tego najmniej spodziewam, wnika głęboko w ciało, dźga je, wwierca się w nie mocniej i mocniej, niczym kot pastwiący się nad schwytanym ptakiem. Może mnie dopaść na zakupach w supermarkecie albo w czasie obiadu w restauracji - nagle czuję w oczach piekące łzy, a w klatce

piersiowej ucisk. Raz czy dwa zdarzyło mi się, że sprzedawca chciał wezwać ambulans, bojąc się, że mam atak serca.

W pewnym sensie tak właśnie było.

Pierwszej nocy, którą spędziłem w Kilnsgate House, obudził mnie sen o Laurze.

Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie był to powtarzający się, natrętny sen; nie miewam takich. Nie był to też koszmar, tyle że emocje, które wywołały we mnie te proste obrazy, wstrząsnęły mną dokładnie tak, jak senna mara.

Laura zaśmiewała się ze swoim bratem Claytonem, grając w jakąś grę planszową - chyba monopol - a ja w sąsiednim pokoju przy otwartych drzwiach porządkowałem rzeczy.

Tego dnia miałem wyjechać i już nigdy nie zobaczyć Laury, choć nie miałem pojęcia dlaczego czy choćby nawet czyj to był pomysł; nie wiedziałem też, co ze sobą zabrać, a co zostawić. Ich bezduszny śmiech przenikał mnie do tego stopnia, że czułem go niemalże w kościach. Wpatrywałem się w starą czarno-białą fotografię, moją i mojego szkolnego kolegi, którego imienia nie potrafiłem sobie przypomnieć. Na zdjęciu siedziałem dumnie na swoich nowiutkich sankach, a on stał obok mnie. Obaj mieliśmy na rękach rękawice z jednym palcem, a na głowach wełniane czapy z pomponami. Pamiętam, że te sanki zmajstrował mi ojciec; pamiętam, jak przeciągnął mnie po okolicznych składnicach złomu w poszukiwaniu płóz. Śmigały niczym parowóz do momentu, gdy pewnego dnia wjechałem nimi w drzewo.

Wyszedłem z tego tylko ze złamaną ręką, ale sanki miały mniej szczęścia. Zdaję sobie sprawę, że przypomina to trochę Obywatela Kane'a, ale to przecież nie moja wina, że we śnie wpatrywałem się zapłakany w tamtą starą fotografię i czułem, że z niezrozumiałego powodu moje życie wali się w gruzy, podczas gdy moja żona i jej brat śmieją się w sąsiednim pokoju, bo któreś z nich kupiło sobie Madison Avenue. Obudziłem się z poczuciem winy, ogarnięty paniką, która wkrótce zamieniła się w głęboki smutek i mglisty niepokój. Zegar cyfrowy na stoliku wskazywał czwartą dwadzieścia cztery.

Od śmierci Laury bezsenność nie była dla mnie niczym nowym, trudno się też dziwić, że dopadła mnie w nowym otoczeniu, gdy na zewnątrz wył wiatr, deszcz bębnił o szyby, a woda spływała z dziurawej rynny, odbijając

się głośno od wklęsłej powierzchni. Sam dom także był pełen przeróżnych odgłosów, niczym wyspa Kalibana. Skrzypienie starych desek.

Upiorne gwizdy. Szyba dzwoniąca w ramie okna. Jęki. Westchnienia. Jakieś niespokojne człapanie na korytarzu tuż za drzwiami sypialni. Kiedy tak leżałem, nie mogąc zasnąć, zaczęło mnie ogarniać przerażenie, które zresztą nie było niczym zaskakującym o czwartej dwadzieścia cztery w upiornym starym domostwie, gdzie wyobraźnia podsuwa człowiekowi obrazy najróżniejszych stworów czających się na niego w ciemnościach. Niemalże słyszałem w głowie ścieżkę dźwiękową niskobudżetowego horroru, którą skomponowałem na początku kariery, wszystkie te nerwowe pociągnięcia smyków, piskliwe zawrota blach, szybkie uderzenia kotłów. Przypomniała mi się Heather Barlow i nasza pogawędka o duchach.

Niepokój nie miał zamiaru ustąpić, aż w końcu, gdy już prawie słyszałem odgłos płaczu małego dziecka, doszedłszy do wniosku, że nie ma co czekać na sen, wstałem, ubrałem się i ruszyłem w stronę schodów. Zdaje się, że najpierw jednak zajrzałem pod łóżko.

Oczywiście nic tam nie było, podobnie jak na korytarzu, a stare deski skrzypiały dopiero wtedy, gdy na nie nastąpiłem. Żadnych płaczących dzieci. Żadnych trupów guwernantek zwisających z krokwi. Nic. Za dużo M. R. Jamesa. A może Henry'ego Jamesa?

Kiedy wstawałem, miałem zamiar zejść do kuchni, zrobić sobie herbatę, a potem może usiąść na chwilę i poczytać, czekając, aż ogarnie mnie znowu zmęczenie, ale gdy znalazłem się na dole, byłem już tak zdenerwowany, że zmieniłem zdanie. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale zamiast nastawiać czajnik, nalałem sobie solidną szklaneczkę bezcłowej highland park. Co jak co, ale whisky powinna ukoić moje skołatane nerwy.

Poprzedniego wieczoru, po wizycie Heather, zrobiłem pobieżny rekonesans na dole i wiedziałem już, że pokój telewizyjny znajduje się we wschodniej części domu, po przeciwnej stronie westybulu niż kuchnia. Być może narażałem się na gniew specjalistów od ściągania abonamentu telewizyjnego, którego nie zdążyłem jeszcze opłacić - być może właśnie w tej chwili namierzała mnie ich furgonetka - ale miałem to gdzieś.

Przejrzałem płyty DVD, które kupiłem w Londynie, głównie ze starymi brytyjskimi klasykami, których część widziałem w młodości albo trochę później, a inne zawsze chciałem zobaczyć. Kupiłem porządny zestaw kina domowego - wybrałem markę, na której mogłem zawsze polegać - i

pięćdziesięciocalowa plazma idealnie wpasowywała się w ścianę po przeciwnej stronie. Obraz był pierwszorzędnej jakości, a odtwarzacz blueray i system surround zapewniały doskonałą jakość dźwięku. Ze szklaneczką whisky w ręku zapadłem się w głęboki fotel, perfekcyjnie ustawiony w takiej odległości od ekranu, że czułem się jak w kinie, tyle że nie musiałem znosić irytujących typków gadających za plecami, wysyłających SMSy i szeleszczących celofanem czy chrzęstu popcornu pod stopami i podłogi klejącej się od rozlanej cocacoli.

Ostatecznie zdecydowałem się na Spotkanie, od wielu lat jeden z moich ulubionych filmów. Jak tylko się zaczął, pociągnąłem łyk whisky, wymościłem się w fotelu, nogi owinąłem kocem w białoniebieskie paski, który znalazłem w kredensie, a stopy położyłem na podnóżku. Na zewnątrz szalał wiatr, w środku nadal coś stukało i skrzypiało, a ja próbowałem wyprzeć z duszy niepokój, śledząc coraz mniej uważnie, jak Trevor Howard i Celia Johnson rozgrywają na starej stacji kolejowej w Carnforth swoją tragedię, swój jakże angielski dramat, i słuchając rozbrzmiewających w tle romantycznych akordów koncertu fortepianowego Rachmaninowa.

Około dziewiątej rano obudziłem się w fotelu ze sztywnym karkiem. Nawet jeśli za oknem było już jasno, ciężkie zasłony skutecznie odcinały dostęp światła. Kiedy dowlokłem się do nich i je rozsunąłem, zobaczyłem, że poprzedniego wieczoru wichur i ulewa wykonały kawał dobrej roboty. Niebo było znowu błękitne, trawa zielona, wapienne skały połyskiwały srebrzyście, a wszystkie płaszczyzny, krzywizny i kąty przypominały abstrakcyjny krajobraz, przyozdobiony dryfującymi przezeń jesiennymi liśćmi. Coś jak Doliny Yorkshire Davida Hockneya. Było jeszcze piękniej, niż sobie wymarzyłem.

Ekran telewizora ciągle wypełniało menu Spotkania, a z głośników sączył się zapętlony fragment z Rachmaninowa. Chyba nie doczekałem końca filmu. Na podłokietniku fotela nadal stała do połowy napełniona szklaneczka whisky. Podszedłem do przedsionka, spodziewając się znaleźć gazetę wepchniętą do skrzynki i listy rozrzucone po podłodze, ale nie znalazłem tam nic i tylko światło załamywało się na barwionym szkle, tańcząc na ścianach oraz dywanie.

Wszedłem do kuchni, zajrzałem do kredensu i nagle stwierdziłem z przerażeniem, że nigdzie nie widzę ekspresu do kawy. Wprawdzie Heather Barlow kupiła mi próżniowe opakowanie douwe egberts, a poprzedni

właściciel zostawił antyczny zegar, wielki fortepian i sporo innych urządzeń, ale nikt niestety nie pomyślał o ekspresie czy nawet filtrach do kawy lub zaparzaczu.

Zacząłem trochę panikować - nie potrafię funkcjonować bez porannej kawy - i desperacko próbowałem wymyślić jakieś wyjście z tej rozpaczliwej sytuacji. Znalazłszy rolkę papieru kuchennego, wyglądającego na tak mocny, żeby posłużyć jako filtr, nastawiłem czajnik i złożyłem kawałek na pół. Kiedy woda się zagotowała, nasypałem na górę trochę kawy i przytrzymując jedną dłonią krawędzie papieru, drugą uniosłem czajnik i powoli, ostrożnie zacząłem zalewać. Nie była to najskuteczniejsza metoda: papier namókł i opadł szybko na dno filiżanki, choć na szczęście się nie rozerwał. Zostawiłem go tak na kilka minut, a potem złożyłem za pomocą łyżeczki, podniosłem i wyrzuciłem do śmieci. W rezultacie kawa smakowała jak zaprawiona czymś metalicznym lura, ale było to lepsze niż nic.

Sącząc ów paskudny napar, zdałem sobie sprawę, że jestem głodny. Choć Heather Barlow zrobiła mi zakupy, właściwie od lunchu poprzedniego dnia nie miałem nic w ustach poza dietetyczną czekoladą. Na szczęście jestem całkiem niezłym kucharzem - ani Laura, ani ja nigdy nie mieliśmy regularnej pracy i często zmienialiśmy się w tej roli - więc nie stanowiło dla mnie problemu upichcenie sobie naprędce omletu z bekonem, serem i grzybami oraz tostów. Po wszystkim poczułem się o wiele lepiej i stwierdziłem, że jeśli chcę się pozbyć smaku podłej kawy, muszę wypić filiżankę herbaty. Promienie porannego słońca sączyły się przez wychodzące na wschód okno, zalewając kuchnię złocistą poświatą. Podobało mi się to i postanowiłem nic tam nie zmieniać. Co do reszty domu, nie byłem już tego tak pewien.

Nadszedł czas na obchód.

Wziąłem ze sobą filiżankę i przez drzwi obok schodów przeszedłem do tylnej części domu, pełniacej funkcję salonu oraz jadalni. Było tam wystarczająco dużo miejsca, by urządzić wystawne bale. Lakierowaną powierzchnię stojącego w środku fortepianu, starego Steinwaya, w paru miejscach znaczyły nieładne odpryski, a jego klawisze z kości słoniowej mocno się już zużyły i pożółkły niczym niemyte zęby. Nogi miał poobgryzane, być może przez psa. Zagrawszy zaledwie kilka nut,

natychmiast stwierdziłem, że Heather Barlow miała rację - musiałem poszukać stroiciela.

We wschodniej części salonu, na prawo od fortepianu, patrząc od strony okien z tyłu domu, znajdował się trzyczęściowy komplet jasnobrązowych foteli, ustawionych przed ogromnym kamiennym kominkiem w szerokie półkole wokół krytego szkłem stołu. W myślach zarezerwowałem sobie ten na prawo, z którego roztaczał się wspaniały widok i którego podłokietnik był na tyle szeroki, by bezpiecznie postawić na nim kieliszek.

W zachodniej części znajdował się jeszcze jeden kominek oraz prosty, masywny stół z ośmioma krzesłami - choć miejsca wystarczyłoby na więcej - obok dużego lustra na ścianie i wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni po lewej stronie. Pomyślałem, że kiedy poznam już w okolicy parę osób, będę mógł urządzać dla nich przyjęcia. Uwielbiałem gotować dla gości. Ściany miały jasnoziemisty, terakotowy i pustynny odcień, trochę jak Santa Fe, i nie widziałem powodu, żeby je przemaalowywać. Zawsze lubiłem Santa Fe. Przypuszczałem, że salon był kiedyś podzielony na dwie części, może nawet na trzy, ale podobało mi się to, że jest otwarty, jasny i przestronny. Być może ciągle męczył mnie kac po latach spędzonych w południowej Kalifornii.

W tylnej części domu, wychodzącej na północne zbocze kotliny, nie było bocznych okien. Zastępowały je jednak z nawiązką dwa ogromne panoramiczne, jedno w jadalnej części, a drugie przy fotelach. W środku, między nimi, przeszklone drzwi prowadziły do ogrodu, gdzie na kamiennym patio w cieniu buka czerwonego stał bogato zdobiony okrągły stolik z kutego żelaza oraz sześć podobnych krzeseł. Do swojej listy mogłem więc dodać idealne miejsce na barbecue.

Wyszedłem z domu. Choć w powietrzu poczułem zdecydowanie jesienny chłód, było na tyle przyjemnie, że bez problemu mogłem tam przez chwilę posiedzieć w samym swetrze, sącząc herbatę i patrząc na opadające liście. Jeśli nie liczyć ich przyciszonego szelestu, było zupełnie cicho. W ogrodzie stała niewielka szopa, w której znalazłem zestaw podstawowych narzędzi, środek chwastobójczy, jakieś krzyżaki oraz doniczki. Kto wie, może odkryję w sobie zamiłowanie do ogrodnictwa? Z tyłu nie było muru. Ogród po prostu wznosił się od patio przez łąkę aż po linię drzew. Wyobraziłem sobie, że siedzę tam wiosną lub latem i raczę się poranną kawą oraz tostem z marmoladą, czytając gazetę, obserwując

muchołapki, rudziki, drozdy, gajówki i zięby skaczące z gałęzi na gałąź, wsłuchując się w śpiew kosów. Mój ojciec by to uwielbiał. Laura też.

Nagle przez ogród śmignęły dwie ogromne sroki, wyrwijając mnie z zamyślenia. Czar przysł.

Przyjechałem do Anglii z zamiarem pracy nad rzeczą niefilmową, sonatą fortepianową, o której myślałem od śmierci Laury. Miał to być poważny, długoterminowy projekt; muzyka, której ludzie, przynajmniej żywiłem taką nadzieję, będą słuchać i dzięki której może mnie zapamiętają. Chociaż fortepian był pod ręką, potrzebowałem jeszcze gabinetu, gdzie mógłbym postawić laptopa, wysyłać maile, szperać w Internecie i kontemplować owoce mych wysiłków. Przypuszczałem, że któraś z zapasowych sypialni na górze nada się wyśmienicie.

Oczywistym wyborem była druga sypialnia w przedniej części domu, ale doszedłem do wniosku, że to idealny pokój dla gości: tych samych rozmiarów co ta, którą wybrałem dla siebie, i również wyposażona w małą łazienkę. Stało tam podwójne łóżko, stoliki nocne i lampki oraz duża dębowa szafa - starego typu, ciężka, z lustrem na całej wysokości drzwi. Z jakiegoś powodu, gdy spojrzałem na nią, poczułem na plecach ciarki. Może kiedyś, w dzieciństwie, bałem się potworów czających się w takich właśnie szafach i wylazących z nich po zmroku? Ominąłem ją szerokim łukiem. Gzymsy na suficie, tak jak w mojej sypialni, układały się w wyrafinowane bachiczne pnącza winorośli i wawrzynu.

Coś mnie ciągnęło do jednego z mniejszych pokoi z tyłu domu - były ich tam cztery i wychodziły na korytarz, który w połowie budynku dzielił górę na dwie części, prowadząc do okna z ołowiowego szkła, osadzonego na zawiasach i wychodzącego na ogród.

Ostatecznie wybrałem zwykły, niezbyt duży pokój po prawej, który mógł kiedyś służyć za salonik, gabinet albo pokój do szycia - nie było w nim nic szczególnego poza tym, że miał okna i w tylnej, i w bocznej ścianie. Coś jednak wisiało w nim w powietrzu; coś, przez co poczułem mrowienie w kręgosłupie i czego nie umiałem określić, co jednak przyciągało mnie i właściwie podjęło decyzję za mnie.

Było to nieco irytujące, bo zwykle nie przejmuję się tego typu „przeczeciami”.

Uważam się za człowieka całkiem racjonalnego - ostatecznie jestem muzykiem - ateistą, niewierzącego właściwie w nic poza tym, że koniec

końców czeka nas grób; w żaden świat duchowy. Z drugiej strony nie należę też do osób, które patrzą z pogardą na wszystko, co nie ma solidnych, fizycznych, konkretnych podstaw. W Los Angeles na tyle często spotykałem różnego rodzaju guru i ludzi nawiedzonych, by zdawać sobie sprawę, że na tym świecie zdarzają się rzeczy niewytłumaczalne, że nauka i logika nie wyjaśniają wszystkiego. Nie miałem, na przykład, pojęcia, skąd się biorą moje inspiracje w muzyce, ale nigdy nie powstrzymywało mnie to przed czerpaniem z nich pełnymi garściami i wykorzystywaniem ich w pracy. Niezależnie od przyczyn niewielki pokój z tyłu domu odpowiadał mi i byłem zadowolony z podjętej decyzji.

Ściany pomalowano w przyjemny, dosyć nieokreślony, jasny odcień błękitu, a nad maleńkim kominkiem wisiał niewielki pejzaż z zameczkiem po drugiej stronie kotliny, bardzo romantycznym i cokolwiek złowrogim w świetle księżyca. Wytarty fotel wstawił tam pewnie jeszcze pierwszy właściciel domu, a obok, na poziomie podłokietników, stał niewielki okrągły stolik inkrustowany masą perłową, idealnie nadający się, by umieścić na nim filiżankę herbaty, książkę i szlafmycę, obok świecy lub lampki.

Dla mnie jednak najważniejsze było to, że znajdowały się w nim również krzesło i chybotający się orzechowy sekretarzyk z częścią zamykaną roletą, wystarczająco duży, by pomieścić na nim laptopa. W środku znalazłem kilka przegródek na listy i małą szufladę.

Wszystko puste. Zastanawiałem się, czy jest w nim, tak jak na filmach, jakiś schowek, ale przeszukałem cały mebel i niczego nie znalazłem. Żeby się nie chybotał, musiałem tylko podłożyć pod uszkodzoną nogę kartkę papieru złożoną kilka razy. Postanowiłem naprawić go do końca później, kiedy już zaopatrzę się w kilka narzędzi. Na półeczce sekretarzyka mogłem ustawić rządę przydatnych przy pracy książek.

W pokoju był też stary, oszklony regał, z półkami zastawionymi broszurowymi wydaniem poezji Keatsa, Shelleya, Byrona i Wordswortha, esejów Lamba oraz powieściami Dickensa, Thackeraya i Jane Austen, a także bliżej nieokreśloną liczbą oprawionych w twarde okładki starych, tanich, zatechłych tomików nieznanymi nikomu autorów, z rodzaju tych, które bez obwolotu, poplamione i z oślimi uszami zalegają całymi skrzyniami półki składów starzyzny typu Oxfam czy Sue Ryder.

Kiedy otworzyłem drzwi i poczułem zapach starych książek, natychmiast przeniosłem się duchem do ogromnej księgarni, którą wiele lat temu odkryłem w Milwaukee, rozległej składnicy, której kolejne piętra i pomieszczenia były zastawione całymi stosami zakurzonych książek o poplamionych i wygniecionych okładkach, pachnących pleśnią i wilgotnymi trocinami. Spędziliśmy tam z Laurą całą godzinę i wyszliśmy z dwiema pękającymi w szwach reklamówkami - wypełnionymi wszystkim, co tylko się dało, od tanich wydań Updike'a, Rotha i Nabokova z lat sześćdziesiątych w jaskrawych okładkach, po wymięty podręcznik naprawy rowerów i kieszonkowy słownik japońskiego. Zaśmiewaliśmy się przez całą drogę do restauracji, głównie dlatego, że jeśli się nad tym zastanowić, ta godzina spędzona w starej księgarni była właściwie naszą pierwszą randką. Poprzedniego wieczoru zaprosiłem ją na kolację i po drodze trafiliśmy na antykwariat.

Zauważyliście, jak łatwo moje myśli dryfują w stronę wspomnień o Laurze? To jakby ślepe uliczki, po których niespodziewanie zaczynam wędrować, zaułki straconej na zawsze miłości, gdzie ból czai się niczym ostrze noża, atakując mnie zniemacka niczym rabuś nocą i sprawiając, że zaczynają mnie piec oczy. Jakby opustoszałe place mojego serca, moje bulwary straconych marzeń. Weź się w garść, żalony kabotynie, weź się w garść.

- Jakież kłopoty, panie Lowndes?

Kilka godzin później stałem przed bankiem i plątałem się pod nogami klientom oczekującym w kolejce do bankomatu, gdy nagle zobaczyłem Heather Barlow.

Uśmiechnąłem się.

- Chris. Przecież mówiłem.

- A zatem: Chris. Wyglądasz na trochę skołowanego.

- Bo jestem. - Wskazałem na bank. - Nie chcą mi otworzyć konta bez rachunku za media. Powiedziałem im, że dopiero się wprowadziłem i żadnego jeszcze nie dostałem, a konta potrzebuję właśnie po to, żeby opłacać rachunki. Zdaje się, że nie dostrzegli w tym ironii. Mają to gdzieś. Powiedzieli, że w Bank of England są takie procedury, a ich celem jest ochrona przed praniem brudnych pieniędzy i terrorystami. Czy ja wyglądam na terrorystę albo kogoś, kto chce prac pieniądze?

Heather zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół.

- No wiesz, za tego drugiego od biedy byś uszedł, ale za terrorystę raczej nie, nie sądzę.

- A kiedy obsługującej mnie kobiecie powiedziałem, że czuję się jak bohater skeczu Monty Pythona, zrobiła głupią minę i zapytała: „Kogo?”.

Heather się roześmiała.

- Cieszę się, że przynajmniej jedna osoba tutaj uważa to za zabawne - powiedziałem. - Posłuchaj, mam ochotę na drinka. Może nawet na dwa. I lunch. Dasz się zaprosić?

Spojrzała na zegarek.

- Może pójdziemy do Czarnego Lwa? To niedaleko, przy Finkle Street. Jak na pub, podają tam całkiem przyzwoite lunche.

- Prowadź.

Weszliśmy w wąską uliczkę nieopodal banku, zamkniętą dla ruchu kołowego z wyjątkiem miejscowych samochodów dostawczych, i ruszyliśmy wzdłuż rzędu sklepów - mięsnego, ze starociami i poczty.

- I jak masz zamiar załatwić sprawę z bankiem? - zapytała Heather.

- Najlepiej wstrzymam się na jakiś czas. Każę przepisać media na kartę kredytową i zapłacę je z amerykańskiego konta, żeby dostać za nie rachunek. - Pokręciłem głową. - Zagroziłem nawet, że pójde do innego banku. Zgadnij, co mi odpowiedziała ta dziewczyna?

- No co?

- „To panu nic nie da. Są jeszcze gorsi niż my”.

- Nie jesteś już w Los Angeles.

- Mnie to mówisz?

- Tutaj tak już jest.

Minęliśmy drzwi i zeszliśmy po kilku stopniach do pubu. Po prawej stronie znajdowała się wyłożona kamienną posadzką sala restauracyjna, w której wypatrzyliśmy przy oknie wolny stolik. Nie był to jeszcze poziom piwnicy, ale i tak miałem wrażenie, że oglądam przechodzących obok ludzi od dołu.

Heather zdjęła płaszcz, potrząsnęła głową, żeby odgarnąć włosy i usiadła.

- Co ty na to, żebym zamówił nam po lampce szampana? - zaproponowałem. - Moglibyśmy wznieść toast.

Roześmiała się.

- Możesz spróbować - odparła. - Ale znając życie, skończy się na kieliszku białego wina. Weź wytrawne, gdyby pytali.

Kiedy sympatyczna młoda barmanka zapytała, czego sobie życzę, nie miałem nawet odwagi poprosić o szampana i zamówiłem pintę black sheep oraz kieliszek wytrawnego białego wina. Przypuszczam, że w czasie mojej długiej nieobecności puby w York shire bardzo się zmieniły, ale raczej nie aż tak bardzo, by serwować na lunch schłodzonego veuve clicquot. Menu było wypisane kredą na tablicy nad kominkiem w tylnej części sali restauracyjnej. Heather zdecydowała się na duszonego na wolnym ogniu kurczaka, a ja zamówiłem „porcję gigant” ryby z frytkami. Mój kardiolog pewnie kręciłby nosem na smażeninę, ale przynajmniej była to ryba, a nie wszechobecna tutaj pieczona wołowina. Nie zważając na protesty mojej towarzyszki, zapłaciłem przy barze za wszystkie drinki i dania.

- Właściwie i tak możemy wznieść toast za twój nowy dom - powiedziała Heather, unosząc kieliszek. - Nawet jeśli nie mamy szampana.

Stuknęliśmy się szkłem.

Przez chwilę, czekając na jedzenie, gawędziliśmy swobodnie. Heather opowiedziała mi co nieco o niuansach tutejszego życia, gdzie dostać to, dlaczego unikać tamtego, jak zrobić to, gdzie znaleźć centrum fitness, a gdzie basen. W końcu na stole wylądowały dania. Moja panierowana ryba zwisała po obu końcach z talerza. Heather roześmiała się, widząc moją minę.

- Dostanie się coś takiego w LA?

- Mamy właściwie bar z rybą i frytkami, ale głównie serwują w nim lucjana en papillote i smażone mahimahi z roladką guacamole.

Zapiłem rybę piwem i wszystko smakowało wyśmienicie. Kiedy człowiek żyje z dala od Anglii i ktoś go zapyta, za czym tęskni najbardziej, zwykle zupełnie spontanicznie odpowiada, że za pubami i rybą z frytkami. Z zainteresowaniem odnotowałem fakt, że jest w tym ciut więcej niż tylko ziarenko prawdy.

- Jak ci się podoba dom? - zapytała Heather. - Chciałbyś się czegoś pozbyć?

- Chyba nie. W każdym razie na tym etapie. Może kilku starych książek, które jednak sam mogę zawieźć do sklepu ze starociami. Nie, wszystko w porządku. Dom jest wspaniały.

Pewnie szybko się w nim urządzę. Ale mam do ciebie pytanie.

- Tak?

- Kim właściwie był właściciel? Szczerze powiedziawszy, nie zagłębiałem się szczególnie w dokumenty. Wszystko załatwił mój prawnik. Ale kiedy ostatnio je przerzucałem, zauważyłem, że w rubryce właściciela widnieje nazwa spółki radców prawnych.

- Zgadza się. Simak i Fletcher.

- Co się za tym kryje?

- Właściwie nic. Kilnsgate House aż do teraz przez wiele lat był majątkiem powierniczym w gestii spółki Simak i Fletcher. Nieruchomość przynosiła wystarczający dochód, by pokryć koszty utrzymania. Na potrzeby transakcji firma występowała jako przedstawiciel właściciela.

- Więc dlatego to ich nazwa widnieje na wszystkich dokumentach i umowach?

- Owszem.

- A nie znasz może nazwiska rodziny, do której dom należał przedtem?

- Przez całe lata nie mieszkał tam nikt poza okazjonalnymi najemcami. W każdym razie za mojego życia.

- To trochę dziwne, nieprawdaż? Anonimowość. Wszystko takie tajemnicze i niedostępne.

- Chyba jednak szukasz dziury w całym. To się zdarza częściej, niż sądzisz. - Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. - Nie będziesz się czuł trochę samotny w Kilnsgate? - zapytała w końcu Heather.

- Cóż, nie znam jeszcze nikogo, ale nie. Mam za dużo do roboty, żeby myśleć o samotności. Ale może wpadniesz do mnie kiedyś z mężem na kolację? Zabierzcie też dzieci, jeśli macie. Im większe towarzystwo, tym weselej. Jestem całkiem niezłym kucharzem, chociaż ostatnio trochę wyszedłem z wprawy, no i muszę się dopiero przyzwyczaić do tutejszych produktów.

- Bardzo chętnie - powiedziała. - Świetny pomysł. Może zrobisz tam podsmażane mahimahi z roladką z guacamole?

- Nabijasz się.
 - Nie mogłam się powstrzymać.
 - Obiecuję coś bardzo angielskiego. Co ty na to?
 - A dlaczego sądzisz, że nie lubię mahimahi? Uważasz nas tu wszystkich za nudnych wieśniaków?
 - W żadnym razie, a już na pewno nie ciebie. Co powiesz na sobotę?
 - Zapytam męża i zadzwonię do ciebie. Tak przy okazji, nie mamy dzieci. Za to ty masz dwójkę, jeśli dobrze pamiętam?
 - Tak. Syna i córkę, Martina i Jane. Mają po dwadzieścia kilka lat. Oboje kilka lat temu poszli na studia - jedno do Stanfordu, drugie do Johnsa Hopkinsa. Teraz się powoli urządzają. Jane próbuje sił jako początkująca lekarka w Baltimore i ciągle jest sama, a Martin pracuje w komputerach, ożenił się i ma już nawet dziecko.
 - Więc jesteś dziadkiem?
 - Tak, ale młodo wyglądam.
- Uśmiechnęła się.
- No jasne. Ale wracając do dzieci: żadne z nich nie ma zamiaru zamieszkać tu z tobą?
 - Boże uchroni! - zawołałam, po czym zamilkłam na chwilę. - Może to trochę głupio zabrzmiało i mogłaś pomyśleć, że nie kocham swoich dzieci. Na pewno mam nadzieję, że będą mnie odwiedzały. Ale potrzebuję teraz trochę ciszy i spokoju. Muszę coś... Pracuję nad czymś i chciałbym, jak by to powiedzieć, być przez chwilę sam, żeby wszystko sobie poukładać. Odnoszę wrażenie, że przez dwadzieścia ostatnich lat nie zwolniliśmy ani na chwilę choćby po to, żeby zobaczyć, co się wokół dzieje, a śmierć Laury była dla mnie ogromnym ciosem. Ciągle chyba się z nią nie pogodziłem.
 - Jasne - rzekła Heather. - Nie chciałam być wścibska.
 - W porządku, nic się nie stało. - I znowu przez chwilę jedliśmy w milczeniu. - Wspominałaś wczoraj o tym - odezwałam się w końcu - że domy często mają swoje tajemnice, swoje mroczne wspomnienia. Co miałaś na myśli?
 - Nie jestem pewna, czy w ogóle chodziło mi o coś konkretnego. Tak tylko rzuciłam.

- Nie sędę. Odniosłem wrażenie, że chodzi ci o coś więcej. Zabrzmiało to trochę złowieszczo, tak jakbyś wiedziała coś, o czym ja nie mam pojęcia.

- Dlaczego pytasz? Coś się stało? Ktoś ci o czymś powiedział?

- Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu odniosłem takie wrażenie. - Wypiłem łyk piwa. - Wiesz coś o tym domu, prawda? Czy chodzi o powód, dla którego właściciel chce pozostać anonimowy?

Heather się roześmiała, ale był to śmiech bardziej nerwowy, mniej bez troski niż poprzednio.

- Naprawdę, sama właściwie niewiele wiem na ten temat.

- Ale coś wiesz?

- No cóż, owszem, można tak powiedzieć. Chodzi o dawną historię, trochę mało przyjemną.

- A konkretnie?

- To było dawno temu. Nie znam szczegółów.

- Ale chodzi o coś, o czym agentka nieruchomości raczej nie wspominałaby potencjalnym nabywcą?

Wydawało się, że nagle poczuła ulgę. Odchyliła się na krześle i westchnęła.

- Faktycznie, raczej nie - przyznała. - Zresztą na moim miejscu nikt by o tym nie mówił. Bo właściwie masz rację. Raczej nie reklamowałabym tym nieruchomości. W tej branży dyskrecja wchodzi człowiekowi w krew.

- Ale teraz możesz mi powiedzieć. Obiecuję, że nie zażądam zwrotu pieniędzy.

- Jasne, że nie. W końcu kupiłeś już dom, prawda? A zwrotów nie przyjmujemy. Więc dobrze. Kilnsgate House należał kiedyś do miejscowego lekarza, chyba internisty. Dawno temu, w czasie wojny i na początku lat pięćdziesiątych. Zanim się urodziłam.

- Jasne. I co się stało?

- Żona go otruła.

- A co się stało z nią?

- Została powieszona. Sprawa była swego czasu głośna, ale nie trwało to długo i dzisiaj nikt już o niej nie pamięta. Właściwie sama nic więcej nie

wiem. Przysięgam. - Wzięła ze stojącego obok krzesła płaszcz i torebkę. - A teraz naprawdę muszę wracać do biura.

Dziękuję za lunch. Mam nadzieję, że zobaczymy się w sobotę. Zadzwoń jutro.

O wpół do czwartej nad ranem siedziałem w ogromnym, pogrążonym w mroku pokoju i grałem trzecie Impromptu Schuberta, to w Gesdur, na rozstrojonym fortepianie, na którego klawiaturze z jednego końca balansowała niepewnie szklaneczka whisky. Nuty znalazłem w stosie materiałów schowanych w krzeselku. Ktoś starannym, eleganckim pismem zrobił na marginesach notatki. Znowu obudziły mnie koszmary i dziwne odgłosy - wiatr w kominkach oraz zwykłe trzaski czy jęki drewna i gałęzi drzew za oknem. Musi minąć trochę czasu, zanim się do nich przyzwyczaję. W mieszkaniu w Santa Monica zawsze było cicho.

Jak zwykle, gdy budzę się w środku nocy, gwałtownie zatęskniłem za Laurą. Czasem odczuwam samotność tak dotkliwie, że nie potrafię znaleźć powodu, by rano wstać; powodu, by grać albo pisać muzykę, by robić cokolwiek. Piję, być może trochę za dużo, ale raczej nie jestem alkoholikiem. Nie zrozumcie mnie źle. Nie mam myśli samobójczych. Nie chcę skończyć ze sobą, nawet w czasie najgorszych kryzysów; chcę tylko sunąć przez życie gładko i obojętnie, bez żadnego wysiłku ani nakładów z mojej strony. Być może Kilnsgate House jest po prostu trochę zbyt doskonałym miejscem, by pozwolić sobie na taką ospałość. Musiałem ciągle się upominać, że przyjechałem tutaj, żeby pracować... i żeby dojść do równowagi. To moja szansa, żeby ludzie zapamiętali mnie dzięki muzyce innej niż ta, której nikt nie słucha.

Andante Schuberta brzmiało na rozstrojonym fortepianie tak okropnie, że przestałem grać. Na szczęście znalazłem w książce telefonicznej stroiciela, który zgodził się wpaść do mnie następnego dnia. Oznaczało to, że nie mogę się ruszać z domu, bo nie potrafił podać określonej godziny, o której się u mnie pojawi, ale perspektywa radości z działającego steinwaya w pełni rekompensowała tę niedogodność.

Zabrałem whisky i podszedłem do przeszklonych drzwi. Za swoim odbiciem w szybie widziałem tylko mglistą sylwetkę linii drzew na tle nocnego nieba; przez szczeliny w chmurach przebijało się jasne migotanie nielicznych gwiazd. Ciemność była niemal tak nieprzenikniona i wszechogarniająca jak cisza.

Stałem i myślałem o tym, co Heather Barlow opowiedziała mi w czasie lunchu i co subtelnie zmieniło moje postrzeganie Kilnsgate House. Zdawałem sobie sprawę, że wszystko to wydarzyło się wiele lat temu i od tego czasu w domu mieszkało mnóstwo osób. Otaczające mnie ściany bez wątpienia były świadkami również szczęśliwych chwil, a korytarze rozbrzmiewały kiedyś nawoływaniem i śmiechem dzieci, a nie tylko płaczem i krzykiem. Ale to mgliste coś, co wyczułem w pokoju, w którym postanowiłem urządzić gabinet, oraz w innych zakamarkach i szczelinach, poczucie, że ten dom czekał na mnie, że chciał mi opowiedzieć o swoich tajemnicach, teraz, kiedy wiedziałem, że rozegrała się tutaj tragedia, w jakiś dziwny sposób zmieniło mój punkt widzenia. Być może wyobrażałem sobie to wszystko z bezpiecznej perspektywy czasu. Nie byłem przyzwyczajony do mieszkania w starych domostwach pełnych wspomnień innych ludzi. Wszystkie moje mieszkania w Los Angeles były nowe.

Nabyta tego dnia wiedza właściwie niewiele we mnie zmieniła. Nie byłem przerażony czy zde gustowany. Pomyślałem, że jeżeli są tutaj duchy, to raczej nieszkodliwe. Wiedziałem, dlaczego Heather o niczym mi nie wspomniała. Była doświadczoną sprzedawczynią, a przecież jeśli ktoś chce sprzedać towar, to nie mówi o sprawach, które mogłyby rzucić na niego jakiś cień. Bez wątpienia mnóstwo osób miałooby opory przed wprowadzeniem się do domu morderczyni i jej ofiary, niezależnie od tego, jak dawno temu rozegrała się tragedia.

Ale nie ja.

Wprawdzie raczej nie odczuwałem żadnego perwersyjnego dreszczyku na myśl o wejściu w świat sensacji i makabrycznych wydarzeń, ale z pewnością byłem zainteresowany.

Z natury jestem ciekawski i zaintrygowało mnie, że dom, w którym teraz mieszkam, którego jestem właścicielem, należał kiedyś do morderczyni. Nie wiedziałem nic o tych ludziach, o ich życiu czy śmierci; Heather nie chciała wdawać się w szczegóły. Ale pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej. Złożmy to na karb zbyt dużej ilości wolnego czasu, którą dysponowałem. Powiedzmy sobie szczerze: miałem wprawdzie pracować nad sonatą fortepianową, ale mogło mi to zajmować tylko część dnia. Nie miałem za bardzo do kogo otworzyć ust i nic do roboty poza czytaniem, oglądaniem telewizji i drobnymi pracami przy domu - tu coś pomalować,

tam wymienić klamkę - czasu zostawało mi więc aż nadto, by zagłębić się w zapomniane rozdziały miejscowej historii.

Zabrałem drinka do pokoju telewizyjnego i przejrzałem swoją kolekcję DVD.

Ostatecznie zdecydowałem się na Billy'ego kłamcę. W końcu to właściwie opowieść o mnie, tyle że ja w finale pomknąlbym jak strzała z Julie Christie do Londynu.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Targowe miasto Richmond, spokojne i malownicze, rozłożyło się majestatycznie nad rzeką Swale w jednym z najbardziej uroczych zakątków Północnego Okręgu Yorkshire, w miejscu, z którego roztacza się szeroki widok na ciągnące się poniżej łąki i wzgórze. Ów urok i spokój wprost promieniują z jego licznych sennych alejek, urzekającego nabrzeża, Wieży Zakonnej, brukowanego ryneczku, kościoła św. Trójcy w samym centrum, przede wszystkim zaś z ruin zamku, wybudowanego jeszcze w roku Pańskim 1071. Zamek góruje nad miasteczkiem ze stromego wzgórza ponad rzeką, zapewniając jeszcze wspanialszy widok we wszystkich kierunkach.

To właśnie do Richmond 21 marca 1919 roku przybył autobusem Ernest Arthur Fox, młody lekarz ze Stockton-on-Tees, z zamiarem przejęcia praktyki od wielce szanownego doktora MacWhirtera, który w wieku lat siedemdziesięciu siedmiu postanowił wreszcie przejść na emeryturę.

Po latach studiów w akademii medycznej, w której wróżono mu błyskotliwą karierę i w której zdążył wyróżnić się zarówno w dziedzinie neurologii, jak i mikrobiologii, dr Fox zakończył właśnie służbę w szpitalu polowym we Flandrii, gdzie pomagał leczyć ofiary ataków gazem musztardowym oraz innych rannych. Bez wątplenia wspomnienia naszych dzielnych, pokiereszowanych chłopców, które przywiózł stamtąd, należały do takich, z jakich rodzą się najgorsze koszmary, i być może dlatego właśnie jego wyrażone jasno życzenie, by objąć zwykłą praktykę lekarską w niewielkim miasteczku, rzecz jasna, nie rezygnując z zainteresowań naukowych i rezerwując sobie możliwość pracy ze studentami w miejscowych szpitalach w New castle i Northallerton, nie było niespodzianką tak dla jego rodziny, jak przyjaciół.

Doktor Fox był mężczyzną krzepkim i energicznym, a z każdego jego ruchu i gestu emanował ten rodzaj godności, który najlepiej dowodzi dobrego wychowania. Często widywano go, jak spaceruje po lesie czy ścieżkami wzdłuż rzeki z laseczką w rękę i peleryną wydymającą się na wietrze. Choć nikt raczej nie określiłby dr. Foxa mianem człowieka przystojnego czy serdecznego, z pewnością miał w sobie ów niemal arystokratyczny wdzięk, zapewniający szacunek, a może i uwielbienie wszystkich, z którymi styka się obdarzony nim szczęśliwiec.

Świetnie prosperujący gabinet lekarski dr. MacWhirtera mieścił się przy Newbiggin, szerokiej, brukowanej trzypasmowej ulicy w pobliżu rynku. Doktor Fox swoją pierwszą stancję wynajął dokładnie piętro wyżej. Doktor MacWhirter pozostał jeszcze w Richmond przez miesiąc, w czasie którego zapoznał swego następcę ze zwyczajami tutejszych mieszczan i wieśniaków oraz udzielił mu licznych rad, dzieląc się doświadczeniem nabytym przez dziesiątki lat prowadzenia praktyki. Uporawszy się z tym, zniknął z miasteczka i z kart niniejszej opowieści, by nigdy się już nie pojawić - ani tam, ani tu.

Jeśli zawierzyć powszechnej opinii, dr Fox okazał się człowiekiem równie rzutkim i pracowitym, jak krzepkim. Jako że mieszkańcy Yorkshire słyną z niechęci do zmian oraz rozstawania się z gotówką, bez wątpienia początki dla młodego lekarza musiały być trudne, ale jak twierdzono, szybko udało mu się odnaleźć drogę do serc sąsiadów - oraz, co być może nawet ważniejsze, ich portfeli - i wkrótce jego praktyka tak rozkwitła, że w 1923 roku zatrudnił wspólnika, niejakiego dr. Clifforda Nelsona, z pobliskiego targowego miasteczka Bedale. Bezcenną zdobyczą okazała się Mary, młoda żona dr. Nelsona, która dowiodła swej biegłości w prowadzeniu ksiąg oraz rachunków i skutecznie zadbała o finansową stronę całego przedsięwzięcia.

Po pewnym czasie dr Fox mógł już wyprowadzić się z ciasnego mieszkania do niewielkiego domku z widokiem na richmondzkie pole do krykieta, a jego praktyka rozwijała się coraz prężniej. Oprócz wypełniania obowiązków lekarza rodzinnego, konsultował również pewne przypadki chirurgiczne i schorzenia w Szpitalu Królowej Wiktorii w Newcastle, brał udział w projektach badawczych w całym kraju, asystował przy licznych drobniejszych operacjach oraz dawał wykłady na różnorakie naukowe tematy.

Był także jednym z pierwszych dżentelmenów w Swaledale, którzy zakupili automobile - ściśle mówiąc nabył rovera 8 - i zwykł był urządzać takie widowisko, gdy porykując motorem mknął co mniej uczęszczanymi drogami kotliny w czapce pilota i goglach oraz z czarną torbą przytroczoną do fotela pasażera obok, że gdy tylko ludzie słyszeli, iż się zbliża, natychmiast wybiegali na progi domostw, by podziwiać swego doktora i machać do niego wesoło.

Mijały lata i praktyka ciągle się rozrastała, jednakowoż dr Fox ciągle nie zdecydował się na zawarcie świętego związku małżeńskiego. Nie znalazł jeszcze kobiety, która nadawałaby się na jego żonę, zapewniał ze śmiechem wszystkich dociekliwych. Sęk w tym, iż w tak małych społecznościach jak Richmond trzeba się liczyć z pewnymi tradycjami i oczekiwaniami, a to, że miejscowy lekarz powinien mieć żonę, która co rano, zaopatrując w suto śniadanie, wysyłałaby go do pracy, cerowała mu skarpety schodzone w czasie wizyt domowych i w zimowe wieczory ogrzewałaby jego kapcie przy kominku, z pewnością zaliczało się do nich. Do uszu dr. Foxa musiały docierać utyskiwania na ten temat.

Nic zatem dziwnego, iż w Richmond wybuchła wielka radość, gdy 12 czerwca 1936 roku, siedemnaście lat po przybyciu do miasteczka, dr Fox przedstawił swojemu wspólnikowi dr. Nelsonowi i jego żonie Mary piękną, młodą, dwudziestotrzyletnią Grace Elizabeth Hartnell, której uroda, naturalny wdzięk, biegłość w spełnianiu obowiązków gospodyni, wesołe usposobienie oraz subtelna kobiecość szybko podbiły serca wszystkich, z którymi się tylko zetknęła. Jeśli Ernest dzięki swemu zmysłowi praktycznemu i niezawodności był skałą, na jakiej miała oprzeć się ich rodzina, to pełna ciepła i życzliwości Grace zasłużyła sobie na miano jej serca. Pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu Królowej Wiktorii w Newcastle i to tam zaczęła się regularnie spotykać z Ernestem na herbacie. Znali się już wcześniej, ponieważ dr Fox był przyjacielem Hartnellów, pochodzących z SaltburnonSea. W mgnieniu oka Grace stała się powszechnie znaną i podziwianą osobą w Richmond oraz w całej okolicy i wszyscy zgadzali się co do tego, iż idealnie nadaje się na żonę lekarza. Klamka ostatecznie zapadła pewnego słonecznego, ciepłego dnia, dokładnie 26 września 1936 roku.

Październik 2010

Przez cały tydzień poza kilkoma wypadami po jedzenie, wino i materiały biurowe prawie nie wychodziłem z domu, postanowiłem więc w końcu odwiedzić jeden z miejscowych pubów, który wyszukałem w Internecie i który znajdował się w wiosce Kirby Hill, kilka mil od mojego domu, tuż przy wylocie prowadzącej tam drogi.

Heather Barlow zadzwoniła i potwierdziła, że z przyjemnością wpadnie do mnie w sobotę z mężem Derekiem na kolację. Po króciutkiej pauzie zapytała, czy będę miał coś przeciwko, jeśli przyprowadzi przyjaciółkę, „żeby zaokrąglić liczbę gości”. Wyczułem w powietrzu niecne zamiary, ale jak niby miałem zareagować? Heather powiedziała, że przyjaciółka ma na imię Charlotte i jest bardzo miła. Prawniczka. Na pewno ją polubię.

Przekonamy się, pomyślałem.

Stroiciel faktycznie przyszedł i wykonał kawał dobrej roboty. Urządziłem sobie biuro wokół orzechowego sekretarzyka i próbowałem trochę popracować przy fortepianie nad kilkoma pomysłami, tematami i sekwencjami akordów, ale nie czułem się jeszcze na tyle zadomowiony, żeby zagrzebać się w sonacie, którą miałem nadzieję skomponować. Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach sonaty fortepianowe nie są zbyt popularne wśród kompozytorów - skłaniających się raczej ku krótszym, bardziej impresjonistycznym formom - ale mnie podoba się ich czteroczęściowa struktura, osnuta wokół skomplikowanych tematów w różnych wariacjach, być może zresztą dlatego, że przypomina sposób, w jaki podchodzę do komponowania muzyki filmowej. Staram się iść w ślady Schuberta i Beethovena, choć oczywiście nie ignoruję tego, co działo się w muzyce przez ostatnie dwieście lat, i niezwykle cenię Brittena czy Szostakowicza.

Na szczęście sypiałem teraz znacznie lepiej. Choć ciągle od czasu do czasu budziły mnie dziwne nocne odgłosy, coraz łatwiej je ignorowałem i zasypiałem ponownie, filmowe bachanalia zostawiając sobie na długie jesienne wieczory. Kiedy w czwartek zaczęło się robić ciemno, poczułem się jednak tak samotny, że nie uspokoił mnie nawet Podglądacz, jeden z moich ulubionych filmów, a przerażająca myśl o bezsennym wieczorze wygoniła mnie wreszcie z domu.

Za każdym razem, gdy ruszałem przed siebie wyboistym, wąskim traktem prowadzącym do głównej drogi, nie mogłem się otrząsnąć z wrażenia, jakie wywierało na mnie odizolowanie Kilnsgarthdale od reszty

świata. Dróżka miała zaledwie półtorej mili długości, ale w zupełności wystarczało to, żebym, minąwszy ją, znalazł się jakby na innej planecie. Być może na australijskim pustkowiu albo gdzieś na zachodzie Ameryki byłby to pryszcz, ale żeby w małej Anglii taka odległość wyrzucała człowieka poza nawias cywilizacji? Domu moich sąsiadów, choć znajdował się zaledwie milę od mojego, nie mogłem nawet dostrzec zza wzgórza. Zresztą również tak zwana główna droga była tak naprawdę krętą, falującą, schowaną całkowicie pod baldachimem drzew krajówką trzeciej kategorii, prowadzącą w jedną stronę jakieś dwie mile na południe do Richmond oraz mniej więcej na tę samą odległość do Kirby Hill, gdzie udało mi się znaleźć Barani Łeb. Pub ulokował się na zakręcie, po drugiej stronie kościoła, w miejscu, gdzie droga skręcała w lewo w stronę wioski. Z jego parkingu roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na łąki nieopodal Holmedale oraz wrzosowisko za A66, w ostatnich promieniach zachodzącego po moim lewym ramieniu słońca przypominające obraz pustkowia w technicolorze.

Pub nie był jeszcze zbyt zatłoczony, a w sali na lewo od niewielkiego baru kilkoro gości siedziało nad kolacją. Podszedłem do baru i u młodej dziewczyny, która obdarzyła mnie nieśmiałym uśmiechem, zamówiłem pintę daleside'a oraz zestaw serowych i cebulowych chipsów. Widok obcego należał tu pewnie do rzadkości, a może wieści o tym, że się wprowadziłem, zdążyły się już rozejść po okolicy, bo kilkoro stałych klientów przerwało rozmowę i dyskretnie obrzuciło mnie wzrokiem. Trochę mi brakowało do bohatera Amerykańskiego wilkołaka w Londynie, ale zdaje się, że niewiele. Nie byłem pewien, czy ktoś mnie zaraz nie zaczepi i nie utnie sobie ze mną pogawędki; do końca nie byłem zresztą przekonany, czy mam na to ochotę. Mieszkańcy Yorkshire są pod tym względem dosyć kapryśni. Czasem bywają niezwykle przyjaźni, przyklejają się do człowieka tak, że trudno wręcz się od nich potem uwolnić, z kolei innym razem ignorują jego obecność. W dodatku nie da się przewidzieć, jaki obrót przyjmą sprawy. Doszedłem zatem do wniosku, że należy się przygotować na obie ewentualności i zabrałem ze sobą książkę.

Wziąłem piwo oraz chipsy i zaniósłem je do wolnego stolika w rogu naprzeciw baru, na tyle blisko kominka, że można było się przy nim ogrzać. Mosiężne wykończenie oraz wypolerowane drewno połyskiwały wesoło. W pubie nie było ani automatów, ani stołów bilardowych, nie zauważyłem też żadnych plakatów reklamujących wieczorki quizowe czy karaoke. Rzecz

jasna obowiązywał zakaz palenia. Próbowałem odczytać nazwy słodowych whisky z butelek na stojakach rozstawionych tu i tam na sali. Po barze, to wychodząc na zewnątrz, to wracając do środka, zatrzymując się, by pogawędzić i pożartować ze stałymi klientami, krążyła niewysoka, ale tryskająca energią kobieta, którą uznałem za właścicielkę.

Przechodząc obok mojego stolika, uśmiechnęła się do mnie przelotnie i pozdrowiła krótkim: „Cześć!”.

Nie mogłem się skupić na książce, powieści szpiegowskiej Alana Fursta, mimo że właściwie mi się podobała. Docierały do mnie strzępy konwersacji, puenty dowcipów, a jedna z kobiet przy stoliku obok, wprost obleganym przez gości, miała bardzo głośny śmiech. Pub powoli się wypełniał; schodzili się kolejni klienci i wkrótce wszystkie stoły były już zajęte.

Pewna para mniej więcej w moim wieku spojrzała na mnie spod baru i w końcu podeszła.

Mężczyzna zapytał, czy krzesła są zajęte. Powiedziałem, że nie. Zauważyłem wcześniej, że kiedy weszli do środka, gawędzili przez chwilę z właścicielką, doszedłem więc do wniosku, że to stali klienci, ale nie miałem pojęcia, czy wiedzą, kim jestem, w każdym razie do momentu, gdy siedzący naprzeciw mnie mężczyzna zapytał: - Jesteś nowym właścicielem Kilnsgate House, zgadza się?

- Owszem - odparłem, odkładając książkę.

- Nie chcę przeszkadzać - zastrzegł. - Widzę, że czytasz.

- Nie szkodzi. Wziąłem ze sobą książkę tylko na wszelki wypadek, gdyby nie było z kim rozmawiać.

- Albo gdyby nikt z gości nie chciał rozmawiać z obcym?

- No cóż, owszem... Chyba tak.

Mężczyzna nachylił się do mnie.

- Właściwie to - szepnął - ja też nie pochodzę stąd. Sam jestem obcym, cholernym południowcem. Z Brighton.

Roześmiałem się.

- Chris Lowndes - przedstawiłem się, wyciągając rękę.

Mój nowy znajomy uścisnął ją energicznie.

- Wiem, jak się nazywasz. Jestem Ted Welland, a to moja żona, Caroline.

Caroline miała na sobie zielony kardigan, pod którym na jej kościstym nadgarstku zauważyłem wybrzuszenie od chustki do nosa. Była dosyć nieśmiała, a z zaczerwienionego koniuszka jej nosa wywnioskowałem, że nie bez przyczyny trzymała na podorędziu chusteczkę. Kiedy podałem jej rękę, spiekła raka i odwróciła wzrok.

- W każdym razie książka wygląda na ciekawą - kontynuował pogawędkę Ted, rzuciwszy okiem na okładkę.

- Namiętnie czytuję powieści szpiegowskie. Rozplakałem się, kiedy upadł mur berliński.

Ted zaśmiał się głośno.

- Obawiam się, że ja preferuję raczej literaturę faktu. Książki historyczne, biografie, te rzeczy.

Zauważyłem, że Caroline przewróciła oczami, najwyraźniej uznając to za wstęp do nudnego wykładu.

- Jesteś historykiem? Powinieneś...

- Uchowaj Boże! - zaprotestował Ted. - Po prostu się tym interesuję. I uwielbiam czytać. Zwłaszcza na temat drugiej wojny światowej. Jestem już na emeryturze i mam mnóstwo czasu, a dzięki książkom nie rozrabiam za dużo. Prawda, kochanie?

Poklepał żonę po kolanie, a ona się uśmiechnęła.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziała i wydmuchała nos.

- Może skorzystam z twojej pomocy? - zapytałem.

Ted Welland uniósł brwi.

- W sprawie?

- Jak dobrze znasz okolice Kilnsgate House?

- Nie za dobrze, chociaż kilka razy zdarzyło mi się obok przejeżdżać..

- Po przeciwnej stronie wzgórza zauważyłem ruiny jakiegoś dziwnego, kamiennego, trochę garbatego budynku. Coś w rodzaju zameczku albo kurhanu. Wiesz może, co to takiego?

- Chodzi ci o wapiennik?

- Więc to jest wapiennik?

- A jak sądzisz, skąd się wzięła nazwa Kilnsgate House?

- Właściwie nie mam pojęcia.

- „Kilnsgate” to po prostu „droga do wapiennika”. Te ruiny to piec wapienny. Robiło się w nim wapno palone z wapienia. Widzisz, jego zewnętrzne ściany mają cztery do pięciu stóp grubości, a w środku jest coś w rodzaju otwartej u dołu misy z cegieł albo piaskowca, odpornej na wysokie temperatury.

- Zauważyłem jakiś łuk, otwór w kształcie półksiężyca.

- Chodzi ci pewnie o „oko”. Tam się wkładało węgiel. Po drugiej stronie jest najprawdopodobniej identyczne, choć pewnie teraz znajduje się poniżej poziomu gruntu. W każdym razie tworzyły rodzaj powietrznego tunelu, mającego podtrzymać ogień. Powyżej, w środku, powinna być żelazna krata. Sypało się na nią pokruszone wapienie i węgiel, przykrywało warstwą darni oraz jeszcze jedną węglą, a następnie podpalało. Wszystko to paliło się przez wiele dni. Wapnem palonym rolnicy posypywali kiedyś pola, używali go też jako zaprawy murarskiej. Albo kiedy trzeba się było pozbyć ciała lub dwóch. - Ted puścił do mnie oko. - Chociaż słyszałem, że właściwie przynosiło to zupełnie odwrotny efekt i w ten sposób tylko konserwowało się truposza. Tak czy inaczej, jakieś dwieście jardów dalej, po tej samej stronie kotliny co twój dom, stoi jeszcze kilka takich wapienników.

- A kiedy przestano ich używać?

- Gdzieś w połowie dziewiętnastego wieku. Ponieważ popyt był zbyt duży, produkcję uprzemysłowiono i mniejsze piece przestały być potrzebne. Szkoda. Wyobraź sobie ten widok w Dales, zwłaszcza wieczorem: pióropusze dymu i rozjarzone oka pieców.

- Jak na południowca, sporo wiesz o tych terenach - zauważyłem. - Mieszkacie tutaj, w wiosce?

- Tak - potwierdził Ted. - Przy drodze, nieopodal łąki, niedaleko stąd. Będzie już z sześć lat. Pracowałem w banku. Wstawałem wcześniej rano, zanim cały świat zaczynał nas nienawidzić. - Odchylił się w krześle i zmrużył oczy. - A ty, zdaje się, jesteś z branży filmowej, robisz coś w Hollywood, tak? Sława, co?

- Wieści szybko się rozchodzą - powiedziałem. - Ale raczej nie nazwałbym siebie sławnym.

- Słyszałam o tobie - wtrąciła Caroline. Wydawało się, że wymagało to od niej mnóstwo czasu i odwagi, żeby w ogóle się odezwać. - Napisałeś muzykę do ostatniego filmu z Sandrą Bullock, prawda? Podobał mi się. To znaczy film, ale muzyka też. Była taka romantyczna.

- Bardzo mi miło - podziękowałam. Nie było to moje ulubione dzieło, ale udało mi się skomponować całkiem niezły temat, który w dodatku w jednej ze scen wykorzystano jako ironiczny komentarz do fontanny łez wywołanej wybuchem rozpaczy bohaterki.

- Inaczej sobie ciebie wyobrażałam - oznajmiła Caroline.

- No cóż, wprawdzie moje zdjęcie ze strony internetowej studia ma już kilka lat, ale poza tym, że przybyło mi parę siwych włosów, chyba aż tak bardzo się nie zmieniłem.

- Nie, nie chodziło mi o to - wyjaśniła skwapliwie. - Nigdy nie widziałam twojego zdjęcia. Myślałam tylko, że... Jako kompozytor... Ktoś, kto... Przepraszam, jakoś nie potrafię się wyśłowić.

- Nie szkodzi, chyba wiem, co masz na myśli. Nie wyglądam jak Beethoven. Na przykład mam trochę mniej włosów.

Zapadła krępująca cisza, z której wybawił nas Ted, proponując następną kolejkę.

Chciałem się już wykręcić i powiedzieć, że muszę wracać, ale doszedłem do wniosku, że Ted Welland może być interesującym źródłem informacji na temat lokalnych osobliwości.

Nadal chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o domu, w którym mieszkałem, oraz jego dawnych właścicielach.

- Pintę daleside'a, proszę - powiedziałem.

Nie sądziłem, że po drugiej pincie przekroczę dozwolony limit alkoholu we krwi, poza tym należało wątpić, że po drodze spotkam patrol policji. Zauważyłem, że parking przed pubem jest prawie pełen, a w środku jakoś nikt nie siedział nad colą albo sokiem pomidorowym.

- Możesz mi przynieść rum z sokiem porzeczkowym? - poprosiła męża Caroline. - Na przeziębienie.

Ted poklepał ją po ramieniu.

- Jasne, najdroższa.

Ruszył w stronę baru.

- Podobało ci się w Ameryce? - zapytała po krótkiej chwili Caroline. Miała intrygujący zwyczaj patrzenia z ukosa, gdy zadawała pytanie, składała przy tym ręce na podołku i pociągała od czasu do czasu nosem.

- Właściwie tak - odparłem.

- Nigdy tam nie byłem. Pracujesz teraz nad jakimś nowym filmem?

- W tej chwili nie. Postanowiłem zrobić sobie przerwę.

- Dobrze mieć taką możliwość. To po to tutaj przyjechałeś? Szukasz inspiracji?

Rozmowa z Caroline była bardzo dziwnym doświadczeniem. Wydawało się, że naprawdę chce zadawać pytania, choć w ogóle nie interesują jej odpowiedzi.

- Częściowo - powiedziałem wymijająco.

- Kilnsgate to bardzo duży dom jak na jedną osobę, nieprawdaż? To znaczy, nigdy nie byłem w środku, ale nawet z zewnątrz... Nie ma co.

- Owszem, jest duży - potwierdziłem. - Może nawet za duży. Ale w Ameryce przyzwyczałem się do przestrzeni. Pasuje mi. Przypuszczam, że w takich domach trzymano kiedyś całe zastępy służby?

- Pewnie tak - zgodziła się Caroline. - Ale przez długi czas stał pusty. W pobliżu nie ma porządnej drogi, poza tym nikogo dzisiaj nie stać na utrzymanie takiego domu. W każdym razie nikogo stąd. Kryzys, sam rozumiesz.

Na szczęście Ted wrócił z drinkami. Dłonie zaciskał wokół oszronionych szklanek, a i tak jakimś cudem udało mu się czubkami palców trzymać rum z sokiem Caroline. Nachylił się, żeby ostrożnie postawić wszystko na stole, po czym usiadł.

- Twoja żona mówiła mi właśnie, że Kilnsgate House przez dłuższy czas stał pusty - powiedziałem, wprowadzając go z powrotem w temat rozmowy.

Ted spojrział na Caroline, a potem na mnie.

- Tak, zgadza się. Ale co ciekawe, w czasie wojny urzędowała w nim przez chwilę jakaś supertajna jednostka wojskowa. Moim zdaniem najprawdopodobniej Kierownictwo Operacji Specjalnych. Szpiedzy z krainy deszczowców. Ich działalność sprowadzała się głównie do misji zagranicznych, wspierania ruchów oporu, sabotażu i tym podobnych,

przypuszczam więc, że wykorzystywali dom jako miejsce zebrania albo szkolili tam agentów.

Wiele bym dał, żeby wiedzieć to na własne oczy.

- A później?

- Obawiam się, że nic ciekawego. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych posiadłość głównie niszczała. Zdaje się, że na początku lat siedemdziesiątych zagnieździła się tam nawet jakaś komuna hippisów. Później właściciel albo jego pełnomocnik przekazał całą nieruchomość firmie specjalizującej się w wynajmach, ale ciągle był z nią problem. Więcej mieli z tego kłopotów niż zarobku. Musiałeś być dla nich prawdziwą manną z nieba.

- Ale dlaczego nikt nie chciał wynajmować domu ani w nim mieszkać?

- No cóż, powiedzmy sobie szczerze: nie jest to raczej domek letniskowy, prawda?

Poza tym stoi na kompletnym odludziu. Jak w Wichrowych wzgórzach czy Samotni. Nie nadaje się też na gospodarstwo. Poza tym... Słyszałeś już chyba o tym, co?

- Wiem, że popełniono tam morderstwo, jeżeli to masz na myśli.

- Właśnie. Być może ludzi odstraszało to, co tam się wydarzyło. Sam rozumiesz, nie każdy chciałby mieszkać w domu, w którym kogoś zabito, prawda? Przepraszam, nie miałem zamiaru... Sam wiesz.

- Nie musisz przeproszać - uspokoiłem go. - Kiedy go kupowałem, nic nie wiedziałem o całej tej historii. Negocjacje prowadziłem na odległość, a agencja nieruchomości jakoś nie poczuła się w obowiązku wspomnieć mi o niej.

- Trudno ich winić, co? - powiedział Ted. - Mogłoby cię to odstraszyć.

- W ogóle mi to nie przeszkadza, choć przyznam, że cała sprawa dosyć mnie interesuje. Wiesz o niej coś więcej?

- Nie za dużo. Obawiam się, że morderstwa nie są, że tak powiem, moją specjalnością.

W każdym razie wszystko rozegrało się na początku lat pięćdziesiątych. Z tego, co wiem, mieszkali tam od połowy lat trzydziestych aż do pięćdziesiątego trzeciego. Wtedy właśnie go otruła. Kobięca metoda, jeżeli można to tak określić.

Caroline przysłuchiwała się rozmowie, swoim zwyczajem patrząc na mnie z ukosa i od czasu do czasu pociągając nosem oraz wycierając go. Kiedy jednak usłyszała ostatnie słowa męża, wypła łyk rumu z sokiem, spojrzała na niego i się skrzywiła.

- Ted - upomniała go. - Nie bądź szowinistą.

- Kiedy to prawda! Wymień chociaż jednego słynnego truciciela.

- Doktor Crippen - spełniła jego prośbę Caroline.

- On tego nie zrobił! - zaprotestował Ted. - Udowodniono, że znalezione pod podłogą piwnicy zwłoki nie należały do jego żony. Zrobiono test DNA.

- To tylko teoria - nie dała się zbyć jego małżonka. - Poza tym do kogoś te zwłoki należały. Same tam nie przyszły.

Ted musiał przyznać, że ma rację.

- Mogę mówić dalej, kobieto? - obruszył się. - Jak już wspomniałem, ponieważ w ciele gospodarza znaleziono ślady trucizny, aresztowano jego żonę. I to właściwie tyle. W kwietniu pięćdziesiątego trzeciego została powieszona w Armley Gaol. Sprawa była swego czasu dość głośna, ale w sumie nie utrwałała się w zbiorowej pamięci aż tak jak inne morderstwa.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - przyznał Ted. - Właściwie nic jej nie brakowało i wszystko wskazywało na to, że powinna. Seks, intryga, tajemnicza, piękna kobieta, pikantne morderstwo. Szubienica. Może zostało przyćmione przez późniejszą o parę lat sprawę Ruth Ellis? No i nie zapominajmy, że wszystko to wydarzyło się między dwoma innymi historiami, Bentleya i Christiego. Obie były bardzo głośne i kontrowersyjne. Sam rozumiesz, niecały tydzień po jej procesie odnaleziono pierwsze ciała przy Rillington Place 10. Gazety pisały już tylko o tym. Niezależnie od przyczyny potomność zapomniała o trucicielce z Kilnsgate.

Obawiam się, że jej sława morderczyni okazała się dosyć ulotna.

Roześmiał się nerwowo.

- Można gdzieś znaleźć jakąś relację z tej sprawy?

- Jeżeli się nie mylę, weszła w skład książki Słynne morderstwa. Powinieneś znaleźć egzemplarz w jakimś antykwariacie. To tania edycja Penguina, która pewnie rozsypie się w proch, jak tylko ją otworzysz.

Popytaj na rynku, w księgarni Richmond Books. Nakład wyczerpał się pewnie dawno temu. Przypuszczam też, że da się dotrzeć do artykułów prasowych na ten temat.

- Przed chwilą wspomniałeś coś o Armley Gaol. Mieszkałem niedaleko. Pamiętasz może nazwisko tej kobiety?

- Tak. Nazywała się Fox. Grace Fox.

Słyszałem o Grace Fox. Oczywiście, że o niej słyszałem. Wyparłem po prostu prawie całkowicie jej nazwisko z pamięci, podobnie zresztą jak większość wspomnień ze starego kraju. Miałem co prawda wymówkę. Trzydzieści pięć lat hollywoodzkich morderstw robi swoje. Jednakże jak tylko Ted Welland powiedział mi, gdzie została powieszona, wszystko sobie przypomniałem i poczułem osobliwe ukłucie ciekawości. Sprawa nagle stała mi się bliska.

Chodzi o to, że w pewnym sensie byłem tego wszystkiego świadkiem. Byłem tam, stanowiłem część tego. Oczywiście nie wtedy, gdy się wydarzyło. Miałem w tym czasie zaledwie trzy latka. Ale zanim jeszcze kupiłem Kilnsgate House, zanim wróciłem do Anglii, a nawet zanim jeszcze wyjechałem do Hollywood, Grace Fox była już częścią mojej osobistej mitologii.

Moja szkoła podstawowa, Castleton, do której uczęszczałem między 1958 a 1961 rokiem, przylegała do Armley Gaol, które górowało nad nami niczym średniowieczna forteca.

Jeden z jej surowych kamiennych murów był jednocześnie ścianą naszego podwórka.

Graliśmy przy niej w krykieta, rysowaliśmy na niej kredą bramki, odbijaliśmy od niej piłki bejsbolowe, waliliśmy w nią piłkami do gry w nogę. Pewnego razu rozbiłem o nią nawet głowę szkolnego zabijaki i zakrwawiony pobiegł, becząc rozpaczliwie, do nauczyciela.

Wyobrażaliśmy sobie uciekających więźniów, schodzących na podwórko po linie ze związanych prześcieradeł, wpadających w szal i toczących pianę z ust. Ściana była jednak dla nas także ostrzeżeniem: jeżeli nie będziemy zachowywali się właściwie, wbijał nam do głów dyrektor na początku każdego semestru, wylądujemy za nią; mogliśmy sobie tylko wyobrazić, jakiego rodzaju świat tam na nas czeka.

W Armley Gaol wieszano zbrodniarzy, a jedną z powieszonych była Grace Fox.

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do dziesiątej wieczorem. W Angouleme, gdzie mieszkał mój brat Graham, godzina później, ale na pewno jeszcze nie spał. Graham zawsze był nocnym markiem. I faktycznie, odebrał już po pierwszym dzwonku.

- Allo?

- Graham? To ja, Chris.

- Chris! Co słychać, braciszku? Kopę lat!

Rzeczywiście, nie kontaktowaliśmy się przez te wszystkie lata z Grahamem tak często, jak powinniśmy, ale zawsze łączyła nas więź, której czas i oddalenie nie były w stanie naruszyć. Spędziliśmy z Laurą w jego wiejskim domu kilka przeuroczych wakacji, delektując się z nim i jego żoną Siobhan miejscowym jedzeniem oraz winem, a oni odwiedzali nas w Los Angeles. Ostatni raz widzieliśmy się na pogrzebie Laury jedenaście miesięcy temu i stwierdziłem wtedy ze zdumieniem, że Graham wygląda na człowieka starego i znużonego.

Ucieszył się jednak na wieść, że przenoszę się z powrotem do Anglii.

- U mnie wszystko dobrze - zapewniłem go. - Urządzam się. A co u Siobhan?

- Nie mogłoby być lepiej. Miałaś ostatnio jakieś wieści od mamy?

- Byłem u niej kilka tygodni temu. Świetnie się trzyma.

- To wspaniale. Ale przypuszczam, że dzwonisz w jakiejś konkretnej sprawie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Wyteńczyć mózg, a właściwie pamięć.

- Zrobię, co się da, ale ostatnio z tym u mnie nie najlepiej. Czasem w porze lunchu nie pamiętam, co jadłem na śniadanie.

- Chciałbym, żebyś sięgnął pamięcią znacznie dalej.

- W takim razie nie powinno być problemu. Strzelaj.

- Grace Fox.

- Grace Fox. Rzeczywiście, parę latek minęło. Dlaczego nagle zacząłeś się nią interesować?

Wyjaśniłem, że postanowiłem poszperać w historii Kilns gate House i dowiedziałem się, że popełniono w nim morderstwo. A potem niespodziewanie trafiłem na Grace Fox.

Graham słuchał cierpliwie, a kiedy skończyłem, przez chwilę milczał. Słyszałem w słuchawce jego oddech i czyjeś słowa po francusku w tle. Zdaje się, że były to wiadomości. W telewizji albo w radiu.

- No cóż - odezwał się w końcu. - Chyba faktycznie masz prawo się tym interesować.

- Chodziłeś wtedy do szkoły, prawda?

- Owszem. Miałem dziesięć lat.

- Pamiętasz tę aferę?

- Jakby przydarzyła się wczoraj. Co więcej, opowiadałem ci już kiedyś o niej. Prawie że posikałeś się w portki ze strachu. Pamiętasz?

- A skąd! Jeżeli ty miałeś wtedy dziesięć lat, to ja miałem trzy. W takim razie dawaj.

Opowiedz mi o wszystkim jeszcze raz.

Graham westchnął.

- Oczywiście, wieści szybko się rozchodzą. Takie przypadki jak egzekucja kobiety zdarzały się wtedy bardzo rzadko i nic dziwnego, że sprawę Grace Fox okrzyknięto, jakby to określiły dzisiaj tabloidy, hitem sezonu. Była niezwykle piękną kobietą. Długie, ciemne włosy, pełne usta, jasna karnacja, apetyczna figura. Rzecz jasna jako dziesięciolatek nie bardzo zwracałem na to uwagę. Byłem zbyt zaabsorbowany krykietem i piłką nożną, żeby przejmować się kobiecymi wdziękami. Ale chłopcy zawsze będą chłopcami. Nawet wtedy wyczuwaliśmy, że jest coś tajemniczego w kobiecych ciałach, których mieliśmy pożądać, nawet jeśli na razie woleliśmy zbierać żabi skrzek albo zamykać ropuchy w słoikach.

Wszystko to było dla nas nieco mgliste i mocno obleśne. Pamiętam nawet wierszyk, który powtarzaliśmy na podwórku. Zwykła rymowanka.

Graham odchrząknął i wyrecytował:

Biedna, biedna Gracie Fox

spotkał ją parszywy los.

Pętlę jej nałożył kat

W trumnie już nie liczy lat.

Taki jej parszywy los:

Żrą robaki Gracie Fox.

- Uroczy - skomentowałem.

- Dzieci bywają bardzo okrutne i nieczułe. Pamiętam, że coś wtedy jakby wisiało w powietrzu. Był kwiecień, tuż po świętach, cudowny poranek. Czuć było nadchodzącą wiosnę.

Do szkoły szedłem jak zwykle z Kevem i Barrym. Byliśmy bardzo podnieceni, może trochę przestraszeni. Wiedzieliśmy, że tego ranka ma się stać coś strasznego. Pisano o tym we wszystkich gazetach, a nasi rodzice nie rozmawiali o niczym innym.

- Kiedy się dowiedzieliście?

- Na porannej zbiórce. Staliśmy w całkowitej ciszy. Dyrektor Masterson po prostu wszedł na podium. Tuż po dziewiątej usłyszeliśmy uderzenie dzwonu. Tak się dowiedzieliśmy, że już po wszystkim, że ona nie żyje. Pierrepoint był diabelnie szybki. - Graham zamilkł na chwilę, po czym kontynuował: - Pamiętam jak dzisiaj ciszę, jaka nastąpiła po uderzeniu dzwonu, tak jakby z całej sali nagle wyssano powietrze. Słysząc było jego echo, choć całkiem możliwe, że tylko je sobie wyobrażałem. Poczułem ucisk w piersiach. Nawet stary Masterson wydawał się nieco przygaszony. Potem wszyscy odśpiewaliśmy To Be a Pilgrim. Nigdy tego nie zapomnę.

Gdy słuchałem jego opowieści, sam czułem na plecach dreszcz. Pogawędziliśmy następnie na inne tematy, obiecałem też, że wpadnę do niego i Siobhan jeszcze przed Bożym Narodzeniem. W końcu rozłączyłem się i zrobiłem sobie filiżankę herbaty. Kiedy już zebrałem się w sobie, poszedłem do salonu, gdzie dorzuciłem do kominka kilka polan, podłączyłem swojego iPoda do głośników, puściłem Koncerty pożegnalne Alfreda Brendela i usiadłem w fotelu, myśląc o tym wszystkim, czego się dowiedziałem tego wieczoru.

W niezwykle dziwny sposób, okrężną drogą, za pośrednictwem swojego starszego brata, udało mi się zbliżyć do Grace Fox, nie wiedząc nawet, jak wyglądała. Stałem teraz w przedsionku przed obrazem i zdałem sobie sprawę, że patrzę na Grace i jej rodzinę. Miała na sobie bolerko z wywatowanymi ramionami, narzucone na jedwabną bluzkę i długą

sukienkę, a faliste włosy upięła we fryzurę w stylu Veroniki Lake, z głębokim przedziałkiem z boku. Na usta przywołała uśmiech, ale jej oczy spoglądały gdzieś daleko, a ona sama miała nieobecny wyraz twarzy. Ze zdziwieniem doszedłem do wniosku, że w jakiś dziwny sposób przypomina mi Laurę, choć przecież moja żona była naturalną blondynką. Chodziło o coś w jej ustach i w oczach. Mężczyzna, jej mąż Ernest, jak się domyślałem, stał prosto, z rękami złożonymi z przodu i wyprężoną klatką piersiową, i w garniturze oraz ciasnej kamizelce z ledwo dopinającymi się guzikami niezaprzeczalnie zajmował centralną pozycję w całej kompozycji.

Był dosyć korpulentny, rumiany i miał szczeciniasty wąsik. Dziecku między nimi najwyraźniej było bardzo niewygodnie w marynarskim mundurku.

Przeszedłem do salonu i usiadłem w fotelu. Zdałem sobie sprawę, że w najdalszych zakamarkach mej pamięci musiało gdzieś ocaleć wspomnienie o Grace, bo gdy dorosłem i dziecięce igraszki, czyli gra w piłkę nożną lub krykieta oraz zbieranie żabiego skrzeku, zamieniłem na fascynację wdziękami i sztuczkami przedstawicielek płci przeciwnej oraz torturami przez nie zadawanymi, tajemnica, o której mówił Graham, ciągle gdzieś tam tkwiła, ciągle okupowała sekretne miejsce w mej podświadomości i ciążyła nad nią w sposób, który może zrozumieć wyłącznie inny usychający z miłości nastolatek, ogłupiony romansami, poczuciem rycerskości i nie do końca jasnymi urywkami z Keatsa. Sama myśl o tym, że można bez skrępowań zniszczyć takie piękno, każde piękno, mocując je do końca liny, wydawała mi się niepojęta, niezależnie od tego, jaką zbrodnię popełniłaby obdarzona nim niewiasta.

Później, na uniwersytecie, kiedy zobaczyłem film Z dala od zgiełku Johna Schlesingera i zainteresowałem się twórczością Thomasa Hardy'ego jako zdeklarowany przeciwnik kary śmierci, byłem początkowo zszokowany, dowiedziawszy się, iż z lubością uczestniczył on w publicznych egzekucjach. Kiedy jednak przeczytałem jego ociekającą erotyką relację z wieszania niejakej Marthy Browne, przed oczami stanęła mi właśnie Grace Fox - przesłonięty mgłą, ale ciągle piękny czarnowłosy kobiecy kształt, unoszący się na tle zwiędłego wrzosowiska, szubienica trzeszcząca pod naporem ciężaru, ciało leniwie kołyszące się na wietrze. Jej rysy twarzy były, rzecz jasna, zamazane - w końcu brat opowiadał mi o wszystkim wiele lat wcześniej - ale moja wyobraźnia bez problemu

wypełniła kontur żeńskiej postaci pod ciasną, przemoczoną sukienką. Być może obraz ten pochodził z któregoś z czasopism, które chowałem wówczas w materacu. Nie powiedziałbym, że mnie podniecał - nigdy nie ciągnęło mnie do nekrofilii czy sadomasochizmu - ale musiałem przyznać, że emanowała z niego jakaś ponura, zmysłowa i erotyczna aura, którą Hardy'emu, niech spoczywa w pokoju, udało się doskonale uchwycić.

A teraz, czterdzieści lat później, mieszkałem w domu Grace Fox. I co z tego? - pytałem sam siebie. Z pewnością był to zbieg okoliczności, choć właściwie nie do końca; chodziło raczej o to, że „świat jest mały”. Po tym jednak, co opowiedział mi Ted Welland, oraz po rozmowie z Grahamem, gdy wieczorem w Kilnsgate House zaczął zapadać zmrok, poczułem na plecach dreszcz. A kiedy jęki i trzaski znowu wyrwały mnie ze snu i kazały zejść na dół szukać whisky i zapomnienia, nie mogłem się powstrzymać, by nie przystanąć na chwilę na półpiętrze i nie wbić oczu w pogrążony w ciemności korytarz, na wpół spodziewając się, że wypatrzę gdzieś tam Grace.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Grace Elizabeth Hartnell była córką znanego bankiera z Saltburn, tamtejszego wójta.

Zapamiętano ją jako bystrą dziewczynkę, która w miejscowym gimnazjum celowała zarówno w przedmiotach z dziedziny sztuk pięknych, jak i nauk ścisłych, i ogólnie rzecz biorąc, uważano ją za dziecko ciche oraz posłuszne. Była wszakże obdarzona dociekliwym umysłem oraz miłym usposobieniem, natura wyposażyła ją także w łagodny charakter oraz współczucie dla wszystkich żywych stworzeń.

Być może jedyną skazą na kartach jej młodości były zerwane zaręczyny z najbardziej odpowiednią dla niej partią, Edwardem Cunliffem, młodzieńcem z pobliskiego miasteczka Redcar, ambitnym prawnikiem, którego jej ojciec podziwiał i faworyzował, a którego Grace porzuciła na rzecz o wiele mniej właściwego kandydata do ręki. Owo zanegowanie dokonane przez ojca wyboru życiowego partnera, niechęć do naginania się do woli rodziciela oraz tendencja do uchylania się, za podszeptem nieodpowiedzialnego impulsu romantycznej miłości, od obowiązków nałożonych przez społeczeństwo na córkę małomiasteczkowego dygnitarza, już wtedy obnażyły buntownicze, krnąbrne cechy charakteru młodej Grace.

Sprawę tę w znacznym stopniu spowija mgła tajemnicy, jako że ani Grace, ani jej rodzice w późniejszych czasach nigdy nie byli skłonni o niej rozmawiać. Młodym człowiekiem, którego wybrała wbrew życzeniom rodziców, był początkujący poeta, niejaki Thomas Murray, który okazał się łajdakiem najgorszego autoramentu. Wkrótce porzucił Grace dla innej kobiety, zostawiając ją w tak katastrofalnym stanie, iż za najlepsze rozwiązanie uznano wysłanie jej do domu ciotki Ethel w Torquay, gdzie miała kurować się z choroby nerwowej. Wróciła stamtąd jako kobieta

skruszona i szybko odzyskała uczucia ojca, choć niestety nie można było powiedzieć tego samego o młodym prawniku Edwardzie Cunliffie, któremu złamała serce i który wyjechał szukać szczęścia do Argentyny. Thomas Murray zginął później, walcząc w Brygadach Międzynarodowych w hiszpańskiej wojnie domowej.

Wszystkie te wydarzenia rozegrały się pod koniec 1930 roku, kiedy Grace miała zaledwie osiemnaście lat, a jej przyszły mąż był już statecznym lekarzem rodzinnym w Richmond. Wkrótce dziewczyna zaczęła kształcić się na pielęgniarkę i w tym zawodzie, wbrew złym przeczuciom ojca, szybko doszła do zadziwiającej biegłości.

Grace uczyła się w Szpitalu Królowej Wiktorii w Newcastle, poddając się niemal klasztornemu reżimowi domu pielęgniarek, w którym drzwi zamykano na noc zawsze o tej samej porze i w którym obowiązywał zakaz męskich wizyt, i gdzie nad wszystkim sprawowała pieczę obdarzona sokolim wzrokiem matka przełożona. Dziewczyna wkrótce dowiodła, że natura wyposażyła ją w trzy cechy niezbędne do tego, by móc szczerzyć się mianem dobrej pielęgniarki - zdolność do poświęcenia się pacjentom, biegłość w kwestiach technicznych oraz ową specyficzną kobiecą delikatność, łagodność, która w żaden sposób jednak nie przeszkadzała w sumiennym wypełnianiu niełatwych przecież obowiązków. W 1935 roku Grace zdała na medal państwowy egzamin pielęgniarski, a rok później poznała i poślubiła dr. Ernesta Foa. Małżonkowie wkrótce przeprowadzili się do Kilnsgate House, gdzie przez następne trzy lata ich egzystencja pod każdym względem przypominała życie każdej innej młodej pary.

Gdy wybuchła wojna, dr Fox ograniczył swoje obowiązki w Szpitalu Królowej Wiktorii na rzecz pracy w Friarage w Northallerton, który otwarto właśnie jako pomocniczą placówkę medyczną, mającą przyjmować przede wszystkim cywilne ofiary bombardowania rejonu Teesside.

W ostatnich miesiącach 1939 roku Grace i Ernest nadal mieszkali w Kilnsgate House, razem ze swoją wierną gosposią Hetty Larkin. Przyjęli również na kilka tygodni pod swój dach uchodźca z Newcastle, którego czule nazywali „Billym”, goszcząc go do czasu, aż stało się jasne, iż groźba nalotów nigdy się nie zmaterializuje i rodzice mogli go zabrać z powrotem do domu.

Mniej więcej w tym okresie Grace dołączyła do Korpusu Pielęgniarskiego Królowej Aleksandry i wyjechała na dalsze szkolenie do

Netley w Hampshire. Nauczyła się tam rozlicznych obowiązków wojskowej pielęgniarki, w tym prowadzenia ambulatorium, której to umiejętności przypisano później ogromne znaczenie w czasie jej procesu sądowego. Po odbyciu krótkiej służby w kilku szpitalach w pobliżu Dover, gdzie pomagała pielęgnować ewakuowanych z Dunkierki żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, Grace w lipcu 1940 roku pożegnała męża i resztę wojny spędziła za granicą. Ernest kontynuował pracę we Friarage, zarówno ucząc, jak i praktykując, nawet po tym, jak placówkę przemianowano w 1943 roku na Szpital Królewskich Sił Lotniczych, często przy tym porzucał go, by podróżować po całym kraju i nadzorować programy szkoleniowe i prezentować artykuły naukowe w najrozmaitszych instytucjach edukacyjnych. Hetty Larkin znalazła wielce pożyteczne zatrudnienie w fabryce amunicji nieopodal Darlington.

Przez te wojenne lata Kilnsgate House służył niejednokrotnie za tymczasową kwaterę przenoszonym oficerom, przeważnie jednak stał pusty, zamieszkały jedynie przez dr. Foxa i odwiedzany raz czy dwa razy w tygodniu przez Hetty Larkin. Z tego właśnie powodu nie był zbyt atrakcyjny dla sił zbrojnych, choć w pewnym momencie owa wada nieoczekiwanie zamieniła się w przymiot, gdy między sierpniem 1940 roku a lipcem 1942 wykorzystywały go do swych potrzeb tajne służby.

Doktor Fox w miarę możliwości starał się kontynuować praktykę w miasteczku.

Większość obowiązków administracyjnych wypełniała, jak zwykle, Mary, żona dr. Nelsona.

Zasadniczo w Yorkshire niewiele w tym czasie się działo i można by się zastanawiać, jakież to myśli kłębiły się w głowie Ernesta Foxa, gdy siedział sobie, pykając fajeczkę, przed trzaskającym kominkiem w czasie mrocznych, samotnych wojennych dni i nocy.

Czwartego listopada 1945 roku Grace wreszcie wróciła do męża i rodzinnego domu.

Porzuciła wówczas na zawsze służbę pielęgniarską, skupiając się odtąd na obowiązkach żony.

Ernest kontynuował karierę lekarza rodzinnego, choć nadal prowadził swoje projekty badawcze, a niecały rok później przyszło na świat ich jedyne dziecko, syn, któremu nadali imię Randolph, po ojcu Grace, zmarłemu w czasie wojny na zapalenie płuc. Wydawało się, że Grace

całkowicie oddała się macierzyństwu i prowadzeniu domu, w czym zresztą pomagała jej nadal wierna Hetty.

Jako gospodyni Kilnsgate House, Grace pozornie była nadal uczynną i uprzejmą żoną, chętnie spieszącą z pomocą wszystkim, którzy tylko znaleźli się w potrzebie, ale bliscy znajomi po powrocie z wojny odnotowali w niej również pewną zmianę: ataki depresji, trudne do przewidzenia wybuchy, okresy ponurego milczenia, w trakcie których wydawała się zagrzebywać w jakimś tajemnym miejscu w sobie samej. Cóż ją tak bolało, nigdy się nie dowiemy, jako że nigdy z nikim o tym nie rozmawiała.

Czy to w tej mrocznej, sekretnej studni narodził się zamiar zamordowania męża?

Wszakże w opinii sądu nie była to zbrodnia w afekcie, popełniona pod wpływem nagłego impulsu, ale na zimno przemyślany, niemalże doskonały plan, którego celem było pozbycie się niekochanego już małżonka. Grace jedynie wykorzystała szansę, jaka nadarzyła się w wyniku śnieżycy i obecności w Kilnsgate House świadków, by wprowadzić w życie to, co od dawna obmyślała. To, czy Samuel Porter był uczestnikiem tego spisku, również pozostaje kwestią spekulacji, ponieważ ani nigdy go o nic nie oskarżono, ani nie zaprezentowano żadnych dowodów przeciw niemu, nigdy też formalnie nie postawiono mu zarzutów.

Przenieśmy się zatem teraz do zimowego wieczoru 1 stycznia 1953 roku, tak mroźnego i paskudnego, jak tylko może się to zdarzyć w Swaledale.

Październik 2010

Następnego ranka wybrałem się po raz pierwszy na spacer po Kilnsgarthdale. Za bramą skręciłem w prawo i ruszyłem wzdłuż strumyka, po kilkuset jardach docierając do miejsca, w którym jakby urywał się przy murku. Z bliska okazało się, że tak naprawdę to dwa mury i ścieżka między nimi, z przełazem od strony mojego domu. Dróżka prowadziła przez wzgórze na południe w kierunku Richmond, a po drugiej stronie niknęła gdzieś chyba przy dwóch dużych piecach wapiennych, widocznych na zboczu. Za nimi przesłaniały ją zarośla i wyrosnięta trawa, a mur zamieniał się w stertę kamieni. Dalej był już las.

Zawróciłem i minąłem mostek dla koni juczych przy Kilnsgate House, po czym ruszyłem w kierunku wapiennika po przeciwnej stronie kotliny, tego samego, który mogłem dostrzec z okien sypialni. Nie udało mi się dotąd uważniej mu przyjrzeć, a teraz, kiedy już wiedziałem, co to takiego, postanowiłem zatrzymać się przy nim na chwilę. Z bliska był o wiele mniej malowniczy niż z daleka; przypominał zasypaną do połowy kamienną kopułę czy jajo, a jego oko było zarośnięte chwastami. Nachyliłem się i zajrzałem do środka, ale nie zauważyłem ani kraty, na którą sypano wapienie i węgiel, ani popiołów w palenisku poniżej.

Obszedłem go, wspinając się nieco wyżej, i zobaczyłem, że czubek pieca jest pokryty darnią.

I pomyśleć, że stoi tak sobie nieużywany, bezużyteczny przez ponad sto pięćdziesiąt lat.

Czego też świadkiem było to na wpół ślepe oko przez te wszystkie lata?

Ruszyłem dalej przez pola oraz ciągnącą się dalej niewielką plantację, docierając w końcu do rozległych łąk Low Moor, powstałych na miejscu dawnego toru wyścigów konnych w Richmond. Usłyszawszy co nieco o wapiennikach, kupiłem w księgarni Castle Hill książkę, w której poczytałem trochę na temat lokalnej historii. W Richmond organizowano wyścigi konne od końca XVIII do końca XIX wieku, kiedy konie okazały się zbyt silne i szybkie, by móc pokonać ostre zakręty tutejszego toru. Obecnie ciągnął się tam szeroki, otwarty, górujący nad miasteczkiem pas wrzosowiska, na którego ścieżce konnej od czasu do czasu trenowano galop.

Minąłem walącą się kamienną trybunę, wyobrażając sobie, jak wspaniale musiała się prezentować w czasach świetności, i zatrzymałem się, by chłonąć przez chwilę roztaczający się we wszystkich kierunkach widok. Powietrze było przejrzyste i na południowym wschodzie dostrzegłem nawet wrzosowiska North Yorkshire oraz wzgórze Sutton Bank, wyrastające z kotliny York, a bardziej na wschód Darlington, Middlesbrough w konurbacji Teesside oraz Stockton na horyzoncie. Według mojej książki powinienem zobaczyć nawet linię wybrzeża, ale niestety nie mogłem dostrzec morza.

Przez całą drogę nie spotkałem żywego ducha, teraz jednak co chwila mijałem mieszkańców wyprowadzających psy. Większość pozdrawiała mnie krótkim „dzień dobry!” i wymieniała ze mną kilka uwag na temat

pogody. Kiedy nadmieniałem jednemu z mężczyzn, że mamy cudowny dzień, zgodził się, choć z typowym dla Yorkshire pesymizmem dodał zaraz, że przed chwilą słońce schowało się na parę minut za chmury i pewnie wkrótce zrobi to ponownie.

Od czasu, gdy pogawędka z Tedem Wellandem niespodziewanie wywołała we mnie wspomnienia z czasów szkolnych, dużo myślałem o Grace Fox i kiedy podkasawszy rękawy i obwiązawszy sobie kurtkę wokół pasa, spacerowałem teraz w wietrzny, słoneczny poranek tymi trawiastymi polami, moje myśli znowu zaczęły krążyć wokół niej. A może kiedyś, dawno temu, przemierzała te same ścieżyny? Może także lubiła samotne wędrówki, podziwiała wspaniały widok ruin trybuny głównej? O czym wtedy myślała? Jak do tego doszło, że dalsze życie w małżeńskim stadle z Ernestem Foxem stało się dla niej nie do zniesienia i że morderstwo wydało jej się jedyną drogą ucieczki? Gdzie znajdowała się ta granica i co kazało jej ją przekroczyć? Być może, jak tłumaczył mi to Ted, czasy były wtedy takie, że kobieta szukająca ucieczki z duszącego ją małżeństwa i pragnąca rozpocząć nowe życie z kochankiem nie miała innego wyboru, jak posunąć się do morderstwa? Wydało mi się to jednak mało prawdopodobne. Nie mogłem się pozbyć myśli, że musiało chodzić o coś więcej. Rzecz jasna, w latach pięćdziesiątych panowała o wiele mniejsza swoboda seksualna niż dzisiaj, ale nie była to już przecież epoka wiktoriańska. Wojna musiała choć odrobinę wstrząsnąć ówczesnym poczuciem moralności.

Kiedy tak szedłem i zastanawiałem się nad tym wszystkim, nagle w mojej głowie uformowało się pytanie, którego nie potrafiłem wyprzeć z umysłu: „A może ona tego nie zrobiła?”. Ciągle wieszka się niewinnych ludzi. Przypomnijmy sobie chociażby Timothy’ego Evansa, którego stracono za morderstwa przy Rillingstone Place 10, popełnione tak naprawdę przez Johna Christiego, albo Dereka Bentleya, który nikogo nie zamordował, lecz po prostu wykrzyczał słynne dwuznaczne słowa: „Przywal mu, Chris!”. Jak słusznie zauważył Ted, ostatnio pojawiły się nawet wątpliwości, czy dr Crippen - potwór, który doczekał się własnej figury u Madame Tussaud - faktycznie był winien śmierci żony. Z pewnością mieściło się to więc w granicach prawdopodobieństwa.

Co zatem, jeśli Grace Fox tego nie zrobiła? Dlaczego nawet nie rozważano takiej możliwości? A może rozważano? Zdałem sobie sprawę, jak niewiele wiem. Dziwnym trafem sama myśl, że Grace mogła być

niewinna, wprawiła mnie w podniecenie. Czując na plecach silniejszy podmuch wiatru, przyspieszyłem kroku i zacząłem schodzić ze wzgórza, nawet się nie zatrzymując, żeby podziwiać widok na rozciągające się u moich stóp miasteczko, i szybko mijając osiedle Garden Village, zbudowane na miejscu starych wojskowych baraków, otoczonych wysokim kamiennym murem z wąskim tylko wejściem. Nagle zauważyłem, że wzgórze nazywa się Gallowgate. Brama Szubieniczna. Co za ironia! Musiałem się jeszcze wiele dowiedzieć, a na samym szczycie listy plasowało się pytanie, gdzie powinienem zacząć szukać.

W południowej ścianie dawnego kościoła Świętej Trójcy przy rynku mieścił się obecnie antykwariat Richmond Books, o którym wspominał mi Ted Welland, i to właśnie tam rozpocząłem swoje poszukiwania. Niestety, właściciel nie miał egzemplarza Słynnych procesów, w których opisano sprawę Grace, zapewnił mnie jednak, że popyta wśród kolegów i spróbuje znaleźć dla mnie tę książkę. Zostawiłem mu adres oraz numer telefonu.

Pomyślałem też o relacjach prasowych, wśród których poszperać radził mi Ted Welland. W miasteczku powinno dać się je przejrzeć na mikrofilmach. Postanowiłem jednak poczekać na książkę i dopiero potem zdecydować, czy potrzebuję więcej szczegółów.

Księgarz wspomniał mi jednakże o jakimś Wilfie Pelhamie, miejscowym emerytowanym nauczycielu, który w roku egzekucji Grace Fox miał osiemnaście lat i według jego zapewnień ciągle cieszył się doskonałą pamięcią. O tej porze, powiedział antykwariusz, zerknąwszy na zegarek, najprawdopodobniej znajdę Willa przy barze w Tawernie Zamkowej.

Jeżeli postawię mu pintę piwa, z pewnością rozwiąże mu język oraz dodatkowo wzmocni jego pamięć, dodał.

Zważywszy na godzinę, nie zdziwiło mnie, że w Tawernie Zamkowej jest niewielu klientów. Tylko jeden z nich opierał się o bar. Stanąłem obok niego, a kiedy barman nalewał mi piwo, zapytałem, czy mam przyjemność z Wilfem Pelhamem.

- A kto pyta? - usłyszałem w odpowiedzi.

Przedstawiłem się i zobaczyłem, że marszczy brwi. Miał tłuste włosy, sporą nadwagę i trzydniowy zarost, ale jego niebieskie oczy były żywe i tryskały inteligencją, której, jak się domyślałem, nie ubyło mu z wiekiem.

- Aaa, nowy właściciel Kilnsgate House? - rzekł, odwracając się do mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Zwłaszcza jeżeli ktoś nie ma za wiele do roboty poza słuchaniem plotek.

- Mogę ci postawić drinka i zadać kilka pytań? - zaproponowałem.

- Czemu nie? Terry, chłopie, nalej nam jeszcze pintę, w porządku?

Kiedy barman napełniał szkło, zasugerowałem Wilfowi, żebyśmy usiedli. Nie sprzeciwił się, znaleźliśmy więc dyskretny stolik oddalony od baru. Obliznął usta i wypił łyk piwa.

- Zdaje się, że jesteś gościem z Hollywood, co? - zapytał.

Wyjaśniłem mu, jak zarabiam na życie, a on wydawał się autentycznie zainteresowany. Zachichotał, kiedy powiedziałem, że komponuję muzykę, której nikt nie słucha.

- To musi czasem działać człowiekowi na nerwy - skomentował. - Niezależnie od tego, jak dużo ci płacą.

- Można się przyzwyczaić. Ale owszem... Czasem chciałbym napisać coś bardziej godnego zapamiętania.

- Czemu nie spróbujesz?

- Właśnie to robię.

- To wyśmienicie. Tylko nie pisz, chłopie, jakichś atonalnych bzdur ani kakofonii, którą nie wiedzieć czemu uznaje się dzisiaj za muzykę. Jestem jak najbardziej za eksperymentami i postępem, ale musi być jakaś granica.

- A gdzie, twoim zdaniem, powinna przebiegać?

Wilf zastanawiał się przez chwilę.

- Schönberg.

- No cóż, to całkiem liberalne podejście - stwierdziłem. - Znam parę osób, które widziałyby ją w o wiele bardziej zamierzonych czasach. Obawiam się, że nie załapałyby się u nich ani Mahler, ani Bruckner, ani nawet Wagner.

- Jak już mówiłem, nie mam nic przeciwko eksperymentom, chodzi tylko o umiar, zresztą sam chętnie od czasu do czasu słucham Mahlera. Jak właściwie pisze się muzykę filmową?

- Co masz na myśli?

- Oglądasz najpierw cały film?

- Żartujesz? Trzeba zacząć o wiele wcześniej, zanim jeszcze zostanie nakręcony, zwykle pod koniec etapu zdjęć. Ale tak naprawdę wszystko zależy od relacji, jaką się ma z reżyserem.

- To znaczy?

- No wiesz, jeżeli pracujesz często z jednym, konkretnym reżyserem, to uczestniczysz w pracy nad filmem właściwie od samego początku.

- Jak Alfred Hitchcock i Bernard Herrmann?

- Właśnie.

Moje brwi musiały wystrzelić w górę jak rakietą. Wilf wyszczerzył zęby w uśmiechu, a w jego oczach coś błysnęło.

- Nie jestem taki tępy, na jakiego wyglądam. Kiedyś, wieki temu, byłem nauczycielem muzyki.

- Nie wiedziałem - przyznałem. Zaczynałem myśleć nieco cieplej o Wilfie Pelhamie. - Wierz mi, po tym, jak wymieniłeś nazwisko Schönberga, nigdy nie nazwałbym cię tępym.

- A czy ty sam pracujesz z kimś konkretnym? Wybacz głupie pytanie, ale nie chodzę już tak często do kina jak kiedyś.

- Owszem. No i raczej nie mogę mieć do ciebie pretensji. Pracowałem kilka razy z tym samym reżyserem. Nazywa się David Packer.

David był również moim najlepszym przyjacielem i to w głównej mierze dzięki niemu udało mi się wydobyć z czarnej rozpacz po śmierci Laury.

- Coś mi się obilo o uszy - powiedział Wilf. - Ale w takim razie skąd w ogóle wiesz, o czym jest film? Pracujesz ze scenariuszem?

- Nie. Nigdy ich nawet nie czytam. Scenariusz można sfilmować na milion różnych sposobów. Potrzebuję obrazu, zwykle więc zaczynam od niezmontowanych zdjęć i modłę się o inspirację.

- Wygląda mi to na kupę roboty. Tak czy inaczej, zdaje się, że nie przyszedłeś tutaj udzielać wywiadów. Co chciałbyś wiedzieć? Przypuszczam, że chodzi o Foxów, którzy mieszkali kiedyś w Kilnsgate, tak?

- Owszem. Właściciel antykwariatu powiedział mi, że mieszkałeś tutaj tamtego roku, kiedy odbywał się proces, i że możesz wiedzieć, co się tak naprawdę wydarzyło.

- Zgadza się, byłem w tym czasie w mieście. A Ernest Fox był naszym lekarzem rodzinnym. Muszę przyznać, że nie lubiłem sukinsyna.

- Dlaczego?

- Tacy byli wtedy lekarze: jak panowie na włościach, i tak też się zachowywali. Ernest Fox, nadęty dupek. Traktował pacjentów jak ochłapy mięsa. Nie lubił tej całej publicznej służby zdrowia. Nigdy dobrego słowa nie powiedział o Nye'u Bevanie. No wiesz, przez niego wylądowali u pana doktora pacjenci z niższych klas. - Wilf nachylił się ku mnie i buchnął mi w twarz odorem piwa. - Opowiem ci coś. Kiedyś poszedłem do niego z wrastającym paznokciem palca u nogi, w który wdała mi się infekcja - sukinsyn nauczyciel gimnastyki kazał mi w szkole grać w rugby w za ciasnych butach i na całe życie zepsuł mi stopę. Tak czy inaczej, zgadnij, co robi doktor Fox? Wyciąga, chłopie, nożyczki i wcina mi się z całej siły z boku w paluch. Wszędzie krew i ropa. A ten nawet nie mrugnie okiem. Żadnego znieczulenia, ostrzeżenia, nic. Potem posypuje mi tylko ranę proszkiem z kwasem bornym, wypisuje receptę na kolejne opakowania i wysyła do domu. Nawet mi nie spogląda w oczy. Nieczuły drań. Na szczęście w przychodni czekała na mnie matka. Bolało mnie tak, że nie mógłbym wrócić do domu o własnych siłach. Przez parę tygodni kulałem. Ale lekarze byli wtedy bogami. Nawet morderstwo uszłoby im na sucho. Chociaż tym razem chodziło o żonę lekarza, no i raczej nie uszło jej na sucho, no nie?

- Znałeś ją?

- Grace? Jasne, znałem, jeszcze jak. Byłem niemowlakiem, kiedy przyjechała do miasta, ale kiedy dorastałem, ciągle kręciła się gdzieś w pobliżu. Pierwszy raz rozmawiałem z nią, gdy miałem z piętnaście lat. Możesz nie wierzyć, ale już wtedy, pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, uwielbiałem muzykę klasyczną, a Grace była członkinią wszystkich miejscowych towarzystw muzycznych. Widywałem ją na wieczorach abonamentowych w sali koncertowej w King's Arms. Wiesz, że grał tam kiedyś Liszt? To znaczy, na długo przedtem, zanim się urodziłem, oczywiście. Za moich czasów prędzej załapałbyś się na Phyllis Sellick. Tak czy inaczej, słyszałem też, jak Grace śpiewa w spektaklach

Towarzystwa Operowego i kilka razy jak gra na pianinie w czasie wieczorków organizowanych przez Towarzystwo Muzyków Amatorów. Pracowałem z nią nawet, kiedy była kierownikiem muzycznym szkolnego przedstawienia, Dydony i Eneasza Purcella, które pokazywaliśmy w liceum w Richmond. To było w czterdziestym dziewiątym, kilka lat przedtem, zanim... Sam wiesz co. Wiedziałaś, że Purcell napisał tę operę dla szkoły dla dziewcząt? Pomagałem wtedy przy dekoracjach, przy stolarce, ale pewnego razu usłyszałem, jak Grace śpiewa When I am laid in earth, żeby pokazać Wendy Flintoff, która grała Dydonę i była w tym czasie moją dziewczyną, jak to powinno brzmieć. Nigdy tego nie zapomnę.

Pewnie znasz tę arię?

- Owszem, znam.

- Pamiętam to, jakby się działo wczoraj. Ten zapach trocin i farby i Grace stojącą przy pianinie z zamkniętymi oczami, głos wydobywający się z jej piersi. Wstrzymałem oddech chyba na całą arię. Ciarki chodziły mi po plecach, zwłaszcza jak śpiewała ten kawałek: „Remember me, remember me”. Za każdym razem, kiedy słyszałem go później, myślami wracałem do niej. Była bardzo dobra. W dodatku wydawało się, że naprawdę wie, o czym śpiewa. Czuje to. No nie wiem. - Wilf wypił łyk piwa. - Była niesamowitą kobietą. Zawsze bardzo szykowną. Jeżeli dobrze pamiętam, fryzurę robiono jej w Georgian House, a ciuchy kupowała w Harrogate. Miała też chód taki jak trzeba, biła z niej pewność siebie, elegancja.

Przypominała mi trochę Audrey Hepburn albo Elizabeth Taylor. W każdym razie gwiazdę filmową. Większość modnych kobiecych kreacji opierała się wtedy na wąskiej talii, a Grace Fox miała właśnie taką i wszystko na niej doskonale leżało. Ale nie zadzierała nosa. Nie była nadęta ani okrutna jak jej mąż. A my wszyscy, to znaczy chłopcy - miałem wtedy osiemnaście lat - potajemnie się w niej kochaliśmy i każdy z nas zachodził w głowę, dlaczego za niego wyszła. Przecież był od niej o dwadzieścia lat starszy!

- Wiele kobiet wychodzi za starszych mężczyzn.

- Jasne, wiem o tym doskonale. Moja Valerie też była ode mnie młodsza o dziesięć lat.

Nie krytykuję tego, to znaczy nie samej zasady. Chodzi tylko o to, że jak się ma osiemnaście lat, to wydaje się to, jakby to powiedzieć...

Marnotrawstwem. Zwłaszcza jeżeli mowa o takim aroganckim palancie jak Ernest Fox.

Roześmiałem się.

- Widzę, że byliście zazdrośni. Ale ile lat mogła mieć wtedy Grace?

- Coś koło czterdziestki, przynajmniej tak mi się wydaje. Ale, jak mówiłem, była niesamowitą kobietą i wszyscy nastoletni chłopcy moczyli się, śniąc o niej po nocach.

- Wiadomo było, jak im się układa w małżeństwie?

- Nie. Wszystko wyszło na jaw dopiero w czasie procesu. Doktor Fox jako właściciel Kilnsgate House zachowywał się jak pan na włościach. Wydawało mu się, że może patrzeć na wszystkich z góry. I może sobie wyprawiać, co mu się żywnie podoba, a nam, maluczkim, nic do tego.

- Na przykład co?

- Nic takiego, tak tylko mi się powiedziało.

- Krążyły jakieś plotki?

- Plotki są zawsze. Zaczekaj, o tobie też się kilka wkrótce pojawi.

- Niby jakie?

- Orgie, tańce na golasa w lesie, czarne msze, poświęcanie w ofierze dziewic...

Roześmiał się, prezentując pozóółkłe, krzywe uzębienie.

- Tak plotkowano o Foxach?

- Nie znasz się na żartach, chłopie? Nie, nie plotkowano. W każdym razie ja o niczym nie słyszałem.

- Zdziwiłeś się, kiedy oskarżono Grace o morderstwo?

- Jeszcze jak! Zresztą całe miasteczko było w szoku. Widzisz, minął ponad tydzień, odkąd zmarł, w dodatku w czasie śnieżycy. Początkowo nie można się było nawet dostać do Kilnsgate House, żeby sprowadzić ciało, tyle nawiało śniegu, a potem pierwsza sekcja zwłok nie wykazała niczego szczególnego. Wszystko wskazywało na to, że po prostu zmarł na atak serca. Tamtego wieczoru było u nich na kolacji kilkoro przyjaciół, w domu przebywała też Hetty Larkin, gosposia i kucharka, i wszyscy mówili, że doktor Fox poczuł się przy stole niedobrze. Dostał potwornej niestrawności. Wziął więc proszek i wcześniej położył się spać.

Wszystko wydarzyło się w nocy. Byli tam unieruchomieni, wysiadły też telefony. Uwięzieni w wielkim, starym domu ze zwłokami. Jak u Agaty Christie. Musiało być dosyć makabrycznie.

- Czy Hetty Larkin była ich stałą gosposią?

- Tak. Mieszkała przy drodze do Ravensworth. Do pracy przyjeżdżała i wracała rowerem. Zabawna dziewczyna, z tego co pamiętam. Trochę walnięta. Ale pracowała w Kilnsgate House już dosyć długo. Chyba od samego początku, odkąd się tam wprowadzili, jeszcze przed wojną. Biedactwo, straciła brata w czasie lądowania w Normandii. Czasem u nich nocowała, kiedy wydawali przyjęcie albo coś w tym rodzaju. Miała u Foxów własny pokój. Głównie jednak przyjeżdżała rano i zajmowała się praniem, sprzątaniami lub gotowaniem. Ale tamtej nocy nie miała wyboru. Musiała zostać.

- Co się z nią stało?

- Zginęła wiele lat temu. Wypadek samochodowy, mgła na A-66, biedna dziewczyna.

Ledwo skończyła czterdziestkę. Była niewiele starsza od Grace w dniu jej śmierci.

- Dlaczego policja zaczęła nagle podejrzewać Grace?

- Na początku wcale jej nie podejrzewała. Dopiero z powodu jej chłopaka zwróciła na nią uwagę. Sama Portera. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, szczęściarz był prawie w tym samym wieku co ja.

- Rozumiem, że Grace widywała się z nim już od dłuższego czasu?

- Najwyraźniej co najmniej od roku umawiali się na potajemne schadzki. I ktoś się wygadał.

- Kto?

- Właścicielka pensjonatu w Leyburn. Powiedziała, że jakiś czas wcześniej wynajęła im pokój. Według Sama Portera skontaktowała się z nim i zażądała pieniędzy w zamian za milczenie. No wiesz, Sam nie miał forsy, a był zbyt dumny, żeby zwrócić się do Grace Fox, trzeba mu to przyznać, kazał więc babsku spadać. I zrobiła to. Tyle że poszła prosto na policję. Co ciekawe, częściowo właśnie dlatego nikt nie podejrzewał Sama - to znaczy, o nic go nie oskarżano, ale sam wiesz, jak to jest. Bo przecież gdyby miał powody do obaw, to chyba poprosiłby Grace o forszę, nie? Wydawałoby się to rozsądne. Stać ją było. W każdym razie przez to, że

zbył tamto babsko, policja nabrała podejrzeń. To znaczy, jak się dowiedzieli, że Grace ma o wiele młodszego kochanka, zaczęli kopać głębiej.

- Domyślam się, że znałeś Sama Portera.

- Jasne, znałem. Jak mówiłem, byliśmy prawie w tym samym wieku. Czasem na siebie wpadaliśmy. Chodziliśmy na piwo do tych samych pubów. Wiesz, jacy są chłopcy. Ale on zawsze trzymał się na uboczu. Był bardzo milczący. Buntownik. Wydawał się niewinny, naprawdę. I zawsze musiał różnić się od pozostałych.

- Czym się zajmował? Słyszałem, że był artystą czy muzykiem i obibokiem.

Wilf uniósł brwi.

- Obibokiem? Nie nazwałbym tak Sama Portera. Może i nie był bogaty, utytułowany czy coś w tym rodzaju, ale ciężko pracował i miał talent. Był artystą. Dlatego nie miał pieniędzy. Ale na pewno nie nazwałbym go leniem. Zarabiał na życie, pracował w miasteczku w różnych dziwnych miejscach, trochę przy murarce, trochę przy ciesielce, tego typu rzeczy.

Zajmował maleńkie mieszkanie niedaleko rynku. Znał się też całkiem nieźle na samochodach i mechanice. Zdaje się, że właśnie dzięki temu poznał Grace, kiedy zepsuł się jej motocykl.

Dorabiał też trochę, malując i wykonując prace dekoratorskie. Prawdziwa złota rączka.

- Grace jeździła motocyklem?

- Najwyraźniej nauczyła się w czasie wojny. Czasem, gdy człowiek patrzył, jak pędzi na złamanie karku tymi wiejskimi drogami, można było pomyśleć, że ma myśli samobójcze.

- Czy Porter był dobrym artystą?

- Dobrym. Na tyle, żeby się utrzymać, wprowadzając dorabiając na boku. Wychodził na swoje, malując dla turystów landszafty akwarelami, ale później zmienił styl na bardziej abstrakcyjny.

- A co ogólnie ludzie mniemali o Grace?

Wilf zadzwonił szklanką na stole. Zauważyłem, że jest pusta. Podobnie zresztą jak moja, ale byłem tak pochłonięty rozmową, że nie zwróciłem na to uwagi. Podszedłem do baru i zamówiłem dwie kolejne pinty.

- Mniemali? - powtórzył Wilf, gdy wróciłem.

- Tak. Co myśleli o niej ludzie?

- Jasne, wiem, co to znaczy. Zbierałem tylko myśli. Była lubiana, nawet bardzo. Być może niektóre kobiety trochę jej zazdrościły. Urody i pozycji w miasteczku. A niektóre snobki mogły patrzeć na nią z góry. Ale w sumie wszyscy ją szanowali - w końcu w czasie wojny była pielęgniarką - a przy tym zawsze uważali za trochę tajemniczą. Skrytą. Może nawet smutną. I naprawdę wszyscy byli mocno zszokowani. W dniu ogłoszenia wyroku przez rynek przebiegł dziwny szmer. Jasne, jak policja oskarżyła ją o zbrodnię, niektórzy kręcili głowami, że niby zawsze podejrzewali, że coś takiego może się wydarzyć, ale większość była mocno zdziwiona.

- Czy ktoś uważał, że tego nie zrobiła?

- Pewnie tak. Ale w czasie procesu wychodziło na jaw coraz więcej dowodów i nikt się raczej z nikim nie dzielił wątpliwościami. A pod koniec prawie wszyscy byli przekonani, że to zrobiła, być może w przypływie szaleństwa albo czegoś w tym rodzaju, choć to, czy zasługiwała na stryczek, to już zupełnie inna kwestia.

- A ty?

Spojrzał na mnie swoimi jasnymi oczami.

- Określmy to w ten sposób: nigdy nie byłem zwolennikiem usankcjonowanego przez państwo morderstwa.

Skinąłem głową. Ja również, choć do niedawna mieszkałem w kraju, gdzie kara śmierci ma się wyśmienicie i skazańcy gniją w celach śmierci przez całe lata.

Wilf przyjrzał mi się.

- Mogę ci zadać pytanie?

- Śmiało.

- Po co do tego wracasz? Czemu interesujesz się Grace Fox?

Mogłem tylko pokręcić głową.

- Właściwie nie bardzo wiem, Wilf. Chodzi o to, że... Mieszkając w tym domu i dowiadując się... Poczułem, że mnie to jakoś dotyczy. W korytarzu wisi jej obraz, z mężem i dzieckiem. Wygląda na smutną, zagubioną. W dodatku... - Miałem już powiedzieć Wilfowi, że Grace przypomina mi moją zmarłą żonę Laureę, ale się powstrzymałem. Nie

chciałem zagłębiać się w te rejony. - Naprawdę nie wiem, co mnie w tym wszystkim tak fascynuje - kontynuowałem - z wyjątkiem tego, że nie co dzień kupuje się dom, który należał kiedyś do morderczyni. A dlaczego pytasz?

- Po prostu od dłuższego czasu nikt nie pytał o Foxów.

- Przypominasz sobie coś jeszcze?

- W tej chwili nie.

- A co z jej synem? Na obrazie jest chłopiec. Co się z nim stało?

- Z małym Randolphem? Z tego, co pamiętam, po egzekucji wyjechał i zamieszkał z ciotką na południu. Felicity, młodsza siostra Grace, była mężatką, ale nie mieli własnych dzieci. Ostatnia wiadomość, jaka dotarła do mnie na jego temat, to ta, że przyjął jej nazwisko i wszyscy wyjechali do Australii.

- Pamiętasz, kiedy dokładnie?

- Pod koniec lat pięćdziesiątych. Na fali brytyjskiej emigracji.

- Więc Randolph jeszcze żyje?

- Pewnie tak. Prawdopodobnie jest teraz po sześćdziesiątce. Mówi się, że sześćdziesiątka dzisiaj to dawna czterdziestka. Nie wiem. Sam mam siedemdziesiąt siedem lat. Był wtedy małym chłopcem, a prawie cały proces przebywał z ciotką Felicity i jej mężem.

- A pamiętasz nazwisko Felicity po mężu?

- Przykro mi. Nigdy jej nie spotkałem.

- Czy tamtej feralnej nocy Randolph był w domu?

- Tak. Prawdopodobnie w łóżku. Policja pewnie nie przesłuchiwała go zbyt intensywnie, bo wyglądało na to, że spał i nic nie słyszał. - Wypił łyk piwa. - Ale mogę ci podać nazwisko kogoś, kto może coś wiedzieć.

- To znaczy?

- Sam Porter.

- Kochanek Grace? Jeszcze żyje?

- Żyje i mieszka w Paryżu.

- Używa tego samego nazwiska?

- Tak.

- Skąd wiesz?

Wilf podrapał się po nosie.

- Ciągle jestem na bieżąco z gazetami, a jemu od czasu do czasu udaje się sprzedać obraz albo dwa. I ciągle uznają to za news w dziale kulturalnym „Sunday Timesa”.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Kilnsgate House, dumny w swym odosobnieniu, wzniesiony został nieopodal wylotu wyboistej, nieogrodzonej dróżki, jakieś półtorej mili od najbliższej ważniejszej drogi. Dom, od strony alejki niemal całkowicie przesłonięty przez drzewa oraz wysokie trawy, z pewnością wydawał się odpowiedni dla miejscowego szanowanego lekarza, gdy Ernest Fox w 1936 roku postanowił wprowadzić się do niego ze swoją świeżo poślubioną żoną. W styczniu 1953 roku mieszkali tam od siedemnastu lat z okładem, tam też przyszedł na świat ich jedyny syn, Randolph. Również tam miała się rozegrać tragedia - tam Ernest Fox miał umrzeć.

Kotlina Yorkshire słynie z naturalnego, nieco surowego piękna. Oprócz większych kotlin, dolin wiele tysięcy lat temu wyrzeźbionych w krajobrazie przez ustępujące lodowce, składają się na nią liczne mniejsze, rzadziej zaludnione. Jedną z nich była właśnie Kilnsgarthdale, w której w 1748 roku sir John Metcalfe zbudował Kilnsgate House i gdzie jego rodzina mieszkała aż do połowy lat 50. następnego wieku, kiedy to jej fortuna skurczyła się niemal do zera.

Później majątek przechodził z rąk do rąk, często zmieniając właścicieli. Być może odstręczała ich odległość od najbliższych innych zabudowań, choć łatwo można się było stamtąd dostać do Richmond, czy to drogą, czy też polnymi dróżkami. Doktorowi Ernestowi Foxowi izolacja z pewnością nie przeszkadzała w prowadzeniu bujnego życia towarzyskiego.

Uczestniczył w organizowanych poza miasteczkiem polowaniach, był aktywnym członkiem klubu golfowego, regularnie odwiedzał wszystkie domy otwarte w okolicy, codziennie jeździł samochodem do swojego gabinetu w Richmond, gdzie często jadał obiad z burmistrzem i innymi miejscowymi dygnitarzami, z domu wyruszał też na liczne wizyty domowe

w wioskach położonych w Swaledale. Doktor Fox był bardzo zapracowanym człowiekiem, a jego działalność zawodowa obejmowała całą kotlinę i jej okolice.

Choć Grace Fox była aktywną członkinią Towarzystwa Operowego w Richmond i słynęła ze swego słodkiego mezzosopranu, po zrezygnowaniu z pracy w charakterze pielęgniarki wiodła nieco samotny żywot, zwłaszcza gdy Randolph w wieku pięciu lat został wysłany do szkoły z internatem, i związane z tym znudzenie mogło do pewnego stopnia wpłynąć na jej późniejsze zachowanie, zwłaszcza że po tym, co przeżyła w poprzedzających latach, mogła już mieć cokolwiek zszargane nerwy.

Niezależnie od przyczyny, w lipcu 1952 roku Grace Fox wzięła sobie kochanka, niejakiego Samuela Portera, miejscową złotą rączkę i początkującego artystę, wówczas w wieku dziewiętnastu lat, a zatem osobę całkowicie nieodpowiednią dla niej zarówno pod względem pozycji społecznej, jak i wieku. Wywołało to ciąg zdarzeń, w którym wszelkiego rodzaju kręactwa, popełniane grzechy, spiski i związane z nimi poczucie winy musiały wprost, jak to zawsze bywa w tego rodzaju wypadkach, doprowadzić do tragicznego finału.

Grace Fox miała wtedy trzydzieści dziewięć lat, ale bez wątpienia ciągle uchodziła za młodą i piękną. Ze swoimi długimi, ciemnymi włosami, figurą przywodzącą na myśl klepsydre oraz urzekającymi oczami była niezwykle atrakcyjną kobietą i za jedyną skazę w jej wyglądzie można było co najwyżej uznać nieco pospolity odcień cery, najpewniej rezultat narażenia skóry na działanie słońca w latach jej służby pielęgniarskiej za granicą. To jednakże łatwo dało się ukryć pod niezbyt zresztą grubą warstwą kosmetycznego pudru.

Nie możemy też zapominać o tym, jaką rolę w całej tragedii odegrało odizolowanie Kilnsgarthdale oraz paskudna styczniowa pogoda. Owego fatalnego wieczoru z północy nadciągnęła śnieżycy tak gwałtowna, że wkrótce pokryła ziemię pierzyną wysoką na pięć stóp, a może i więcej. Drogi stały się nieprzejezdne, a wyprawa piesza była równoznaczna z wykupieniem biletu na tamten świat - groziła zamarznięciem.

Gdy czworo biesiadników zasiadało do wieczerzy, by w ciepłej i przytulnej jadalni Kilnsgate House świętować Nowy Rok, do wtóru trzaskającego w kominku ognia i w błogim przekonaniu, że nie straszne im wycie wiatru czy śnieżycy za oknem, któż mógł przypuszczać, że jedno z

nich zechce wykorzystać nadarzącą się sposobność, by wprowadzić w życie nikczemny plan, który od dłuższego już czasu formował się w jego - w jej - umyśle.

Październik 2010

Jeśli chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o Grace Fox, zawsze mogłem pojechać do Paryża i pogadać z Samem Porterem. Czy jednak byłem skłonny brnąć aż tak daleko, poświęcić tyle czasu i pieniędzy na chwilowy kaprys w rodzaju nagłego zainteresowania nieżyjącą od dawna morderczynią? Niektórzy pewnie doszliby do wniosku, że zbzikowałem, ale niewiele sobie robiłem z opinii innych. Pieniądze też nie stanowiły problemu, ale co z moją sonatą fortepianową oraz nowym życiem, jakie miałem zacząć w Kilnsgate? No cóż, pomyślałem, jeśli chodzi o to drugie, to krótka wyprawa oraz coś, czym będę mógł zająć umysł, z pewnością mi nie zaszkodzą, natomiast o tej pierwszej i tak myślałem jako o długoterminowym projekcie. Przecież to tylko szybki wypad. W końcu i tak obiecałem Grahamowi, że przed świętami odwiedzę go oraz Siobhan w Angouleme i bez problemu po drodze do nich mógłbym zatrzymać się na chwilę w Paryżu. Właściwie wyglądało to na całkiem miłą wycieczkę. Nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym wpaść do Sama Portera, będąc już na miejscu.

Pomyślałem o Bernieem Wilkinsie, marszandzie z Londynu, który kilka lat temu współpracował jako konsultant przy produkcji filmu na temat siatki fałszerzy obrazów z moją muzyką. Ponieważ nigdy nie był w Kalifornii, studio zafundowało mu przelot, a ja oprowadziłem go po Hollywood, przedstawiając nawet jakimś pomniejszszym gwiazdkom, z którymi zjedliśmy lunch w Ivy w Beverly Hills. Sądząc z uśmiechu na jego twarzy następnego ranka, był przeszczęśliwy. Znaliśmy się na tyle dobrze, że mogłem do niego zadzwonić z prośbą o przysługę. Na pewno będzie wiedział, jak znaleźć Sama Portera. Ale najpierw czekała mnie moja proszona kolacja.

W sobotę rano pojechałem do miasta i ponieważ prawie cały plac był zajęty przez bazarek, zaparkowałem przed Coop. Jak w każdą третią sobotę miesiąca, swoje produkty sprzedawali tam także miejscowi rolnicy, dzięki czemu udało mi się zaopatrzyć w świeże mięso, lokalne sery i warzywa, z których chciałem przyrządzić kolację. Żadnego mahimahi,

postanowiłem - i tak nigdzie go nie widziałem w Richmond - zaserwuję za to porządną porcję dziczyzny w cieście i pieczone warzywa.

Wyładowawszy już siatki świeżymi produktami, zajrzałem do miejscowej piekarni, gdzie poprosiłem o kilka chrupiących bagietek, a następnie u Millsa kupiłem gazety, w Coop pozostałe niezbędne artykuły - herbatę, śmietanę, czekoladę, wino, chleb oraz kawę - i wróciłem do domu. Popołudnie spędziłem w ogrodzie za domem, sącząc schłodzone pinot grigio, słuchając ćwierkania ptaków na drzewach i przeglądając dział kulturalny i wiadomości w gazetach, aż wreszcie nadszedł czas wziąć się do szykowania kolacji.

Kiedy o wpół do ósmej przyjechali goście, udało mi się już ze wszystkim uwinąć.

Ubrałem się swobodnie, tak jak lubię, w jasnobrązowe lniane spodnie i luźną koszulę, ale Heather wyglądała olśniewająco w długiej, obcisłej ciemnozielonej sukience z jakiegoś jedwabistego, powiewającego na wietrze materiału, na tyle głęboko wyciętej, by odsłonić dokładnie tyle jej bladego, piegowatego dekoltu, ile trzeba. Włosy opadały jej kaskadami na ramiona i do połowy pleców. Derek wyglądał sztywnawo w prążkowanym krawacie, za to Charlotte okazała się atrakcyjną, krótko obciętą blondynką, wysportowaną i tryskającą zdrowiem, o smukłej figurze, którą podkreślały prosta bluzka i spódnica, i wdzięcznych, wyważonych niczym u tancerki ruchach. Była też na tyle uprzejma, że poczytała co nieco o mnie i o mojej pracy. Najwyraźniej w ciągu ostatnich dni obejrzała też parę filmów na DVD, dzięki czemu potrafiła swobodnie i niegłupio skomentować kilka moich tematów oraz zapytać, dlaczego zdecydowałem się na takie, a nie inne rozwiązanie w swojej muzyce.

Heather wybrała doskonale; Charlotte okazała się świetnym kompanem.

O tej porze było już za zimno, żeby siedzieć na zewnątrz, ale z drugiej strony nie tak chłodno, by rozpalać w obu kominkach. Postanowiłem ograniczyć się do jednego w jadalni, bardziej dla nastroju niż ciepła. Najpierw jednak zaprosiłem gości do salonu i poczęstowałem ich szampanem, puściwszy cicho w tle Angelę Hewitt grającą Bacha. Trochę to było świętokradztwo, ale muzyka może służyć do najróżniejszych celów, z czego kto jak kto, ale ja zdawałem sobie doskonale sprawę. Wprawdzie uwielbiam też The Who i Boba Dylana, ale nie sądzę, by Live at Leeds czy Blonde on Blonde nadawały się na przyjęcia.

Rozmowa zeszła oczywiście na temat fortepianu, chcąc więc pokazać, jak dobrze brzmi teraz, kiedy został profesjonalnie nastrojony, dałem się przekonać, by zagrać jeden czy dwa tematy z mojego repertuaru. Wykonałem też jedną z gymnopedii Satiego, by udowodnić, że potrafię też grać muzykę, której ludzie chcą słuchać, i zabrzmiało to o wiele lepiej niż poprzednia próba. Moja trzyosobowa publiczność bardzo uprzejmie nagrodziła mnie brawami, ale zauważyłem, że Heather jest autentycznie pod wrażeniem.

- To było cudowne - powiedziała. - Powinieneś być zostać pianistą.

- Nie byłem tak dobry - wyjaśniłem. - Moi nauczyciele twierdzili wprawdzie, że mam zadatki, ale brakowało mi pewności siebie, za to lenistwa miałem w nadmiarze. Nie byłem też ani tak oddany muzyce, ani wytrwały, żeby osiągnąć coś w tej dziedzinie. Poza tym interesowało mnie przede wszystkim komponowanie.

- Może więc powinieneś być zostać kompozytorem?

- Przecież nim jestem.

Spiekła raka.

- Wiesz, co mam na myśli.

Derek roześmiał się.

- Jak zwykle, zaliczyłaś wtopę, kochanie - skomentował wyniosłym tonem. Nie była to łagodna uszczypliwość, ale zamierzony docinek. Heather zacisnęła usta. Wyczułem między nimi napięcie.

Podniosłem swoją lampkę szampana, podszedłem do fotela i uśmiechnąłem się do niej, pokazując, że wcale mnie nie uraziła.

- Wiem doskonale, co masz na myśli - powiedziałem. - „Obiecujący młody kompozytor skuszony syrenim śpiewem Hollywood”. Tak napisano o mnie w jednej z gazet, kiedy wyjechałem.

- A pisali prawdę? - zapytała Charlotte. - Czy to pieniądze i sława tak cię zwabiły, że zboczyłeś z właściwej ścieżki?

- Nie, tak naprawdę był to stek bzdur - wyjaśniłem, oparłszy się o podłokietnik fotela.

- Wcale nie byłem tak obiecującym artystą, jak mogłoby się wydawać. Kilka moich utworów wykonano publicznie, ale na tym koniec. Tak czy inaczej, co właściwie miałem zrobić?

Głodować gdzieś na poddaszu? Uczyć? Kochałem filmy, uwielbiałem muzykę. Wiedziałem, że mogę się w tym sprawdzić. To było wyzwanie.

- No cóż, w takim razie brawo - skomentowała bez cienia ironii Heather. - Jesteśmy szczęściarzami, że możemy słuchać, jak grasz, goszcząc nas we własnym salonie.

Kiedy nadszedł czas na kolację, przenieśliśmy się do części jadalnej przy trzaskającym kominku po drugiej stronie salonu, gdzie bez problemu w razie potrzeby mogłem się wymykać do kuchni. Usiadłem obok Charlotte, naprzeciw Heather.

Przyciemniłem światło i zapaliłem postawione na stole świece. Płomienie ognia w kominku rzucały tańczące cienie na ściany i sufit, wskutek czego zrobiło się nieco niesamowicie.

Co było do przewidzenia, gdzieś między głównym daniem a sałatką zaczęliśmy rozmawiać o Grace Fox. Heather wiedziała, że interesuję się tą sprawą, i postanowiła mi trochę podokuczać; zauważyłem to w figlarnym błysku w jej oczach. Zdaje się, że krążyłem właśnie między kuchnią a jadalnią, podając pieczone warzywa, podczas gdy moi goście raczyli się dziczyzną w cieście, gdy powiedziała: - Za czasów Grace Fox przy takiej kolacji obsługiwałyby nas pewnie kucharka i służąca. Nie musiałbyś robić wszystkiego sam.

- Hetty Larkin - rzekłem.

Udało mi się zaskoczyć Heather.

- Kto?

- Służąca. Kucharka i pomywaczka. Wszystko w jednym. Nazywała się Hetty Larkin.

Prowadziła dom Grace i Ernestowi Foxom.

- No proszę, szybki jesteś. Skąd o tym wiesz?

- Wilf Pelham mi powiedział.

- Wilf Pelham! - zawołał Derek. - Ten stary alkoholik! Chłopie, dwa razy bym się zastanowił, zanim uwierzyłbym w to, co mówi. To zwykły moczymorda.

- Być może - odparłem dosyć chłodnym tonem. - Ale polubiłem go i nie sądzę, żeby był pijany, kiedy rozmawialiśmy. Poza tym raczej by mnie nie okłamał, prawda? Bo niby po co? Hetty Larkin pracowała w Kilnsgate

House jako gosposia, a czasem zostawała na noc, kiedy doktorostwo zapraszali na kolację gości lub były do wykonania jakiejś dodatkowej pracy i tak dalej. Była tutaj także tej nocy, kiedy wydarzyło się najgorsze.

- Wyobraźcie to sobie - powiedziała Charlotte. W jej uroczych, brązowych oczach połyskiwało światło świec. - Siedzieli tu sobie przy kolacji, zupełnie jak my teraz.

- Prawdopodobnie w tym samym miejscu - dodałem.

- Weź, przestań - zachnął się Derek. - Skąd niby możesz to wiedzieć?

- To tylko domysły, ale niepozbawione podstaw. Nie sądzę, żeby ta część domu czy kuchnia zostały mocno przebudowane. Przypuszczam, że jadalnia zawsze była tutaj, choć pewnie od salonu oddzielała ją kiedyś ściana. Za czasów Grace w tylnej części domu mogły być nawet dwa albo trzy duże pokoje, które później połączono w jedno pomieszczenie. W każdym razie miałyby to sens, bo przecież jadalnia powinna znajdować się tuż przy drzwiach do kuchni. Po co mieliby obchodzić pół domu z jedzeniem?

- A fortepian? - zapytała Heather.

- Sądzę, że należał do Grace - powiedziałem. - Zajmował kiedyś pewnie osobne pomieszczenie. Pokój muzyczny. Między miejscem, w którym siedzimy, a salonem. W każdym razie moim zdaniem to prawdopodobne. Stroiciel powiedział, że jest stary, najpewniej pochodzi z lat trzydziestych. Wszystko się zgadza. Słyszałem, że Gracie była muzykiem amatorem, podobno znakomitym. W taborecie przy fortepianie znalazłem nuty z jej notatkami na marginesie. W każdym razie na pierwszy rzut oka zapisano je kobiecą ręką.

Heather przewróciła oczami.

- Wszyscy jak gdyby nigdy nic jedzą kolację i rozmawiają - kontynuowała Charlotte, spojrzawszy szeroko otwartymi oczami po kolei na każde z nas - zupełnie jak my tutaj, tyle że za oknem pada śnieg i nagle ni stąd, ni zowąd jedno z nich łapie się za serce i pada martwe na podłogę.

Złapała się teatralnie za pierś i zaczęła rzucać na boki.

Nawet ja musiałem się roześmiać.

- Nie sądzę, żeby tak to wyglądało - powiedziałem - ale całkiem ciekawie to zaprezentowałaś.

- A wyobrażacie sobie muzykę?

- Dysonans... Crescendo... Kotły! - zawołałem. - Ale mówiąc poważnie, masz rację.

Najprawdopodobniej siedzieli i jedli kolację dokładnie w tym miejscu co my. Rzecz jasna, wystrój był pewnie trochę inny: tapety, stół, krzesła. Ale bez wątpienia paliło się w kominku.

Był zimowy, mroźny wieczór.

Charlotte wzdrygnęła się. W przeciągu płomienie świec zafalowały nagle, rzucając tańczące cienie na ściany.

- Więc Grace grała na pianinie, tak? - zapytała Heather.

Nalałem gościom wina. Wszyscy nałożyli już sobie po dokładce dziczyzny i półmisek był prawie pusty. Danie udało mi się wyśmienicie, przynajmniej tak mi się wydawało.

- Owszem, myślę, że tak.

- Ale żeby zaraz „znakomitość”? - zaprotestował Derek. - Czy w tamtych czasach kobiety mogły być „znakomitościami”?

Sądząc z jego głosu, wypił już troszeczkę za dużo.

- Trudno powiedzieć - rzekłem. - W czasach wiktoriańskich z pewnością byłoby to problematyczne. Ale sądzę, że mogła być naprawdę dobra. Miała o wiele więcej czasu, żeby ćwiczyć, niż na przykład jej mąż. Był bardzo zapracowany.

Derek nie słuchał jednak tego, co mówię. Skoncentrował się nagle na suficie.

- Ale skąd ty to wszystko wiesz? - zapytała Heather, rzuciwszy mężowi miażdżące spojrzenie.

- Wilf mi powiedział. Grace aktywnie udzielała się w miejscowych towarzystwach muzycznych. Słyszał, jak śpiewa i gra.

Heather zmarszczyła nos.

- Stary oszust.

Też była nieco zawiana; wyraźnie słyszałem to w jej głosie. Zastanawiałem się, kto będzie prowadził. Pewnie Charlotte. Wyczuwałem narastający dystans i chłód między Heather a Derekiem; zauważyłem, że traktują się z uszczypliwością charakterystyczną dla małżeństw, w których

nie dzieje się najlepiej. Byłem pewien, że Charlotte również to spostrzegła, jeżeli nie wiedziała o tym już wcześniej.

- Tak czy inaczej - dodałem - może was to zdziwi, ale Sam Porter, ówczesny młody kochanek Grace, żyje jeszcze i mieszka w Paryżu.

- Nie wierzę - skwitował Derek. - Mówiłem ci, Wilf Pelham prawie zawsze jest tak nawalony, że nie pamięta, który mamy dzień tygodnia.

- To da się sprawdzić - odparłem. - Wybieram się tam w przyszłym tygodniu, więc spróbuję z nim porozmawiać, jeżeli go znajdę, a sądzę, że mi się to uda.

Heather nagle zamilkła i spojrzała na mnie w szczególny sposób, zmrużywszy oczy.

- Do Paryża? Widzę, że nieźle się w to zaangażowałaś. O co ci właściwie chodzi?

Zakochałaś się w duchu?

Zapadła krępująca cisza.

- Niezły temat na bardzo zły film - przerwałem ją po chwili.

- Z bardzo złą muzyką - dodała Charlotte, dzięki czemu wróciliśmy wszyscy na bezpieczne wody i zaczęliśmy się śmiać oraz imitować potwornie kiczowatą ścieżkę dźwiękową wyimaginowanego filmu. - Czyżbyś sprzedała Chrisowi nawiedzony dom? - zapytała Charlotte. - Jak mogłaś!

Od początku zdawałem sobie sprawę, że Heather chce mnie zeswatać z Charlotte, ale osobliwie w trakcie wieczoru coraz wyraźniej było widać, że chemia zaczyna się pojawiać między mną a Heather. Nawet Charlotte to zauważyła. Co do Dereka, nie jestem pewien.

Mężowie czasem bywają niewyobraźalnie tępi, a odniosłem wrażenie, że facet i tak był nieco przyciężkawy na umyśle. W każdym razie wydawało się, że interesuje się wyłącznie sobą samym.

Chwilę później musiałem przejść do kuchni, żeby nałożyć wszystkim deser, i nie minęły nawet dwie minuty, gdy nagle usłyszałem, że za moimi plecami otwierają się i zamykają drzwi do jadalni.

- Pomyślałam, że dotrzymam ci towarzystwa - powiedziała Heather. - Rozmawiają o giełdzie. - Zrobiła minę i oparła się plecami o lodówkę. Na

jej sukienkę opadł z przodu pojedynczy kosmyk włosów. Przyniosła ze sobą lampkę i napiła się wina. - Spodobała ci się Charlotte?

- Jest bardzo miła - odparłem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Jest bardzo miła.

- Ale z ciebie... - Pokręciła głową. - Naprawdę cię nie rozumiem. Ta cała Grace Fox.

Dobrze wiesz, że ona nie jest prawdziwa. Nie jest prawdziwą, ciepłą, żyjącą istotą ludzką.

Niczego od ciebie nie potrzebuje. A ty niczego nie potrzebujesz od niej.

Musiałem wyciągnąć z lodówki lód, ale kiedy Heather zobaczyła, że podchodzę, nie cofnęła się i spojrzała mi prosto w oczy. Z jej mowy ciała, sposobu, w jaki się poruszała, jak się na mnie otwarła, czytałem wyraźnie, że mogę ją w tej chwili wziąć w ramiona i pocałować. Nasze usta były blisko siebie i jestem przekonany, że tego chciała. Sądzę, że oboje tego chcieliśmy. Czuję zapach wina i dziczyzny w jej oddechu oraz bijące od jej ciała ciepło, przeskoczyły między nami iskierki, krew zaczęła krążyć szybciej w żyłach. Niewiele brakowało.

Możecie sobie pomyśleć, że stchórzyłem, ale w jadalni siedział jej mąż, a ja ciągle byłem pogrążonym w żalobie wdowcem. Nie jestem świętoszkiem, ale takim sukinsynem też nie. Heather najwyraźniej nie była zachwycona. Kiedy zobaczyła, że nic się nie wydarzy, odwróciła się bokiem i wyszła z obrażoną miną z kuchni, zmierzając, jak się domyślałem, do toalety, bez słowa, nie obróciwszy się nawet, trzasnąwszy za to za sobą drzwiami.

Kiedy wróciłem do jadalni z serami i deserem, zauważyłem, że atmosfera się zmieniła i że Heather jest wściekła oraz zmieszana. Pozwoliła sobie nalać obfitą porcję koniaku, podobnie jak Derek, choć Charlotte podziękowała, prosząc w zamian o kawę. Wszyscy byli najedzeni i nikt prawie nie tknął serów. Nie zmartwiło mnie to; pomyślałem, że nazajutrz będą wyśmienicie pasowały do resztek dziczyzny. Usłyszeliśmy, że o szyby zaczyna bębnić deszcz.

Heather spojrzała na zegarek.

- Już tak późno? - Dopiła koniak i spojrzała na męża. - Naprawdę musimy już iść. I tak siedzieliśmy za długo.

- W żadnym wypadku - zaprotestowałem.
- Może ma randkę ze swoim duchem? - zadrwił Derek.

Nikt tego nawet nie skomentował.

Zdjęli z wieszaka w korytarzu płaszcze. Derek chwiał się nieco, wkładając swój.

Zaproponowałem parasolki, ale wszyscy podziękowali, tłumacząc, że ich samochód stoi tuż za bramą, a ścieżka w ogrodzie biegnie pod baldachimem drzew. Poza tym padało tylko trochę. Heather również nieco się zataczała, idąc przed siebie nierówną alejką, usłyszałem też, że kłóci się z Derekiem o to, kto ma prowadzić. Na szczęście Charlotte wkroczyła między nich i zabrała kluczyki. Gdy odjeżdżali, machałem im przez chwilę, a potem westchnąłem z ulgą. Przez dłuższy czas nie miałem ochoty widzieć tej menażerii u siebie. Zamknąłem za sobą drzwi i oparłem się o boazerię.

Może nie powinienem był odmawiać Heather? Bóg wie, kiedy ostatnio czułem na sobie ciepło i miękkość kobiecego ciała, w dodatku nie mogłem przecież zaprzeczyć, że mi się podobała. Ale do czego miałby prowadzić ten pocałunek? Do pokoju hotelowego? Do zaproszenia jej na wspólny wypad do Londynu i Paryża? Do popołudniowych igraszek w Kilnsgate House? Wszystko to oznaczało oszukiwanie, grzech, poczucie winy. To, co zazwyczaj wiąże się ze zdradą. Nie, powiedziałem sobie stanowczo. Postąpiłem właściwie.

Jeżeli mam sobie znaleźć inną kobietę, inicjatywa powinna wyjść ode mnie i nie może to być niczyja żona. Magnetyczne przyciąganie zdarza się przez cały czas - to kwestia natury, hormonów czy czego tam jeszcze - ale można mu się oprzeć i tak właśnie zrobię. Nie potrzebuję wtrącać się w problemy małżeńskie.

Pomyślałem o docinku Heather. Czyżbym faktycznie zakochał się w duchu? Być może, ale nie chodziło o Grace Fox, lecz raczej o to, że w zakamarkach swojej podświadomości połączyłem ją niejako z Laurą. W końcu moje życie straciło nagle sens - i wiedziałem, że trudno mi go będzie odzyskać przynajmniej do czasu, gdy przebiję się przez chmurę ponurej żałoby z powrotem ku światłu - i sonata fortepianowa oraz moje „śledztwo” w sprawie Grace Fox nagle stały się jedyną podstawą, na jakiej mogłem je oprzeć. Heather po prostu jest zazdrosna, pomyślałem. To takie proste. Zazdrosna o ducha.

Może sprawił to alkohol, ale tej nocy miałem najgorszy koszmar, jaki nawiedził mnie do tej pory w Kilnsgate. Kiedy zerwałem się o wpół do trzeciej nad ranem, serce waliło mi w piersiach jak młot i pot lał się ze mnie strumieniami, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, co tak przerażającego mi się przyśniło. Leżałem przez chwilę, dysząc ciężko i próbując zebrać się w sobie, zanim wstanę. Wiedziałem, że już nie zasnę. Musiałem coś zrobić, nastawić herbatę, obejrzeć film - cokolwiek.

Kiedy wreszcie dowlokłem się do schodów, zauważyłem, że drzwi do sypialni naprzeciw, gościnnej, są lekko uchylone. Mógłbym przysiąc, że po wieczornym obchodzie domu zamknąłem je i że później już tam nie wracałem. Zdziwiony, podszedłem i pchnąłem je lekko.

Nie byłem pewien, czy rzeczywiście to zobaczyłem, ale przez chwilę wydawało mi się, że w lustrze szafy zamigotało odbicie jakiejś postaci. Nie mogłem to być ja - kąt był nieprawidłowy. Postać nie była też groźna; właściwie odniosłem wrażenie, że to piękna kobieta w długiej atlasowej koszuli nocnej. Stała nieruchomo, jakby zatopiona w myślach albo pogrążona w szoku i w coś się wpatrywała, a potem nagle uciekła, zwyczajnie zniknęła.

Trwało to zaledwie ułamek sekundy i kiedy próbowałem później odtworzyć w pamięci ten obraz, doszedłem do wniosku, że musiała to być pozostałość po moim koszmarze. W starych domach wszędzie czają się cienie. Zastony pewnie nie zostały zaciągnięte, może więc widziałem odbicie gałęzi, podświetlonej blaskiem księżyca? Nie miałem pojęcia. Cokolwiek to było, zdenerwowałem się na tyle, że zanim drżącym krokiem ruszyłem na dół, musiałem zapalić światło na schodach.

Z całą pewnością nie miałem ochoty na alkohol, postanowiłem więc zrobić sobie kubek kakao, które uwielbiam, odkąd zaczęliśmy z Laurą wyjeżdżać zimą na narty do naszego domku w Mammoth. Choć za oknem nie było śniegu i wył wiatr, to kakao pachniało oraz smakowało wyśmienicie. Usiadłem w fotelu, próbując wyprzeć z umysłu myśli o zjawie, i zacząłem oglądać Dianę Dors i młodego George'a Bakera w *Stąpaj ostrożnie*, nieznanomy.

Muzyka była straszna, melodramatyczna i natrętna, ale demoniczne, industrialne krajobrazy wynagradzały to z nawiązką.

W niedzielę przed lunchem pojechałem do miasta, gdzie kupiłem trzy opasłe gazety, a potem poszedłem do Baraniego Łba i w przytulnej sali

restauracyjnej zasiadłem nad pieczenią wołową i puddingiem Yorkshire. Półki i wnęki w ścianach były zastawione różnego rodzaju bibelotami: stary czarny telefon, lornetka, pamiętające zamierzchłe czasy okulary obok wytartego skózanego etui, tarka do prania - zupełnie taka, jakiej kiedyś używała moja babka - puste butelki po NuitsSaintGeorges, Beaujolais Nouveau 1999 i innych winach, obrazek ze sklepem Vins de Bourgogne i plakat Château d'Yquem. Kamienne ściany były obwieszane oprawionymi w ramki rycinami i miejscowymi landszaftami na sprzedaż. Jakaś większa grupka gości, na oko trzy pokolenia, zsunęła kilka stolików i celebrowała przy nich urodziny dziadka. Dzieci były bardzo ułożone, ale niektórzy starsi po paru pintach zrobili się nieco hałaśliwi.

Rozwiązywałem krzyżówkę w „Sunday Timesie” i próbowałem nie myśleć zbyt wiele o towarzyskiej katastrofie z poprzedniego wieczoru ani o dręczącym mnie później koszmarze.

Być może Heather, wytrzeźwiawszy rano, o wszystkim zapomniała. Coś mi się jednak wydawało, że raczej nie. Przypuszczałem, że będzie mnie teraz unikać, co zresztą mogło być trudne w tak małym miasteczku. Zastanawiałem się, co o całym wieczorze pomyślała Charlotte, czy napomknie coś o nim w rozmowie z Heather albo ze mną. Z pewnością zauważyła napięcie. Wkrótce się o tym przekonam.

Ledwo zdążyłem uciec do domu przed nawałnicą, która nadciągnęła znad Morza Północnego. Popołudnie spędziłem na kanapie w salonie, czytając gazety i słuchając Ósmej Mahlera. Brzmiała dosyć marnie na iPodzie i przyszło mi do głowy, że powinienem zainwestować w przyzwoite stereo. Mahler to samo mięcho na kościach i wręcz domaga się porządnego wzmacniacza oraz kolumn.

Około czwartej zadzwoniła matka i zapytała, czy już się jako tako urządziłem.

Powiedziałem jej, że owszem, i zapytałem z kolei, kiedy ma zamiar mnie odwiedzić. Odparła kategorycznym tonem, że jedyne miejsce, do którego się wybiera, zanim polepszy się pogoda, to dom Grahama i Siobhan, gdzie chce spędzić święta. Staruszka taka jak ona, wyjaśniła, musi być ostrożna. Wystarczy jeden poważniejszy upadek, żeby unieruchomić ją na dobre.

Zapewniłem ją, że nie znam bardziej dziarskiej staruszki niż ona, ale nawet tego nie skomentowała.

Poczytałem przez chwilę recenzje muzyczne, filmowe i książkowe, a potem zdrzemnąłem się nad niedokończoną krzyżówką. Kiedy się obudziłem, nagle, ku własnemu zdumieniu, znalazłem się w głębokiej depresji. To mi się czasem zdarza. Jestem apatyczny, pusty w środku, smutny i zaczynam użalać się nad sobą. Zmiana miejsca nic nie dała; nieważne, do którego pokoju zaglądałem, ciągle czułem się tak samo podle. Wiedziałem z doświadczenia, że po prostu muszę przeczekać chandrę, co zajęło mi prawie całe następne dwa dni.

Przez ten czas miałem gdzieś sonatę fortepianową i Grace Fox, miałem gdzieś wszystko poza jedzeniem i piciem, a już z pewnością miałem gdzieś Heather, Charlotte i Dereka. Obchodziło mnie wyłącznie moje wszechogarniające, przemożne poczucie straty i winy, moje cierpienie, lata, z których okradziono mnie przez śmierć Laury.

Nawet kiedy byłem w dobrej formie, nie mogłem przejść do porządku dziennego nad utratą Laury, nad trzema latami jej choroby, cyklami nadziei, remisji i nawrotów, rozpaczą i bólem, a na koniec - jej śmiercią, która nadeszła tak, jakby była nieunikniona od samego początku. Nie potrafiłem sobie tego, wzorem innych ludzi, zracjonalizować. Zazdrościłem im ich wiary, bo sam nie miałem niczego, czego mógłbym się ucześcić, by poczuć się lepiej. Nie wierzyłem, że pewnego dnia znowu się spotkamy, że Laura czeka na mnie w niebie. Nie potrafiłem dostrzec żadnego wyższego celu czy planu w tym, co się wydarzyło, żadnego sensu, nie wspominając już o tym, że niby tak miałyby być najlepiej albo że wszystko to stało się z jakiegoś powodu. Nie potrafiłem sobie nawet wmówić, jak sugerowali mi przyjaciele, że powinienem być wdzięczny za to, że znałem ją tak długo, za te wszystkie lata, które spędziliśmy ze sobą, za szczęśliwe chwile. Wdzięczny komu? Bogu? I dlaczego?

Wielokrotnie próbowałem zwalczyć w sobie ból i gniew, ale nie umiałem. Chwytałem się wspomnień niczym tonący, który trzyma się kurczowo kłody obwiązanej drutem kolczastym tylko po to, by utrzymać się na powierzchni, by żyć, a kolce wgryzały mi się w ciało i podsycaly mój ból i wściekłość.

Teraz jednak nie czułem nawet wściekłości i bólu, lecz tylko tępą, wszechogarniającą pustkę.

Po wszystkim trudno mi nawet było zrekonstruować, co właściwie przez ten czas robiłem. Prawdopodobnie nic. Pewnie pławiłem się tylko w

żalu nad sobą samym. Przyszłość jawiła mi się, jeżeli w ogóle, jako gigantyczna, kosmiczna pustka, jako dni, które musiałem bardziej odbębnić niż przeżyć, przetrwać, a nie cieszyć się nimi. Nie miało znaczenia, gdzie bym się udał - do Santa Monica, Bournemouth, Leeds, Londynu, Paryża. Miejsce było obojętne. Ulgę przynosił mi tylko sen, w dodatku niespokojny i przychodzący o dziwnych porach. Nie nawiedzały mnie żadne sny, nie pocieszały mnie ani nie przyciągały mojej uwagi.

Jeżeli nocą dom nadal rozbrzmiewał dziwnymi odgłosami, to nawet ich nie słyszałem.

I nagle, we wtorek rano, podły nastrój zniknął niemal tak nagle i nieoczekiwanie, jak się pojawił. Być może trochę mu w tym pomogłem. W przypiływie rozpaczy puściłem sobie Doktora Żywago, z wielu powodów jeden z moich ulubionych filmów. Pomyślałem, zdaje się, że być może chociaż na chwilę, na trzy godziny, pozwoli mi zapomnieć o bólu.

Scena, w której Komarowski zabiera Larę do modnej restauracji, podczas gdy na zaśnieżonych ulicach szaleje rewolucja, zawsze mnie rusza, głównie dlatego, że przypomina mi dzień, w którym po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Laurę, i nawet w najgłębszej depresji mój otępiały umysł daje się wciągnąć w te obrazy, muzykę i ciszę, kolory, kontrasty.

I wspomnienia.

Byłem w Milwaukee, gdzie miałem przemawiać na konwencji. Zatrzymałem się w uroczym starym hotelu Pfister i siedziałem tam właśnie w barze - drewno i wypolerowany mosiądz - rozkoszując się przed obiadem szklaneczką whisky i papierosem - wtedy w barach jeszcze można było palić, z czego nie omieszkałem korzystać - i patrząc na tańczące za szybą ciężkie płatki śniegu, gdy nagle obraz ten zawirował w obrotowych drzwiach i popłynął w moją stronę.

Miała na sobie futro po kostki i dopasowany do niego kapelusz, a kiedy zdjęła go z głowy i potrząsnęła włosami, kilka płatków śniegu opadło jej na twarz i zaczęło się topić.

Nabrałem ochoty, by podejść i je zlizać. Jej gładkie policzki były zaróżowione z zimna, a oczy połyskiwały błękitem. Kiedy jasne pukle opadły jej na ramiona, nagle, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, powiedziałem półgłosem: „Lara”. Było to ledwo słyszalne, ale ona natychmiast spojrzała w moją stronę, uśmiechnęła się i poprawiła mnie:

„Nie, właściwie mam na imię Laura”. A potem zniknęła za rogiem, przy windach. Nie ten film.

Zobaczyłem ją znowu wieczorem, na zakrapianej kolacji, na którą zostałem zaproszony razem z innymi prelegentami. Przyjęcie trwało już wystarczająco długo, żeby alkohol dodał mi kurażu, pozwolił zebrać się na odwagę i do niej podejść. Zazwyczaj panuję nad sobą, nawet kiedy wypiję dosyć sporo, nie sądzę więc, żebym zrobił z siebie kretyna - w każdym razie zgodziła się umówić ze mną następnego dnia na lunch - ale musiało minąć wiele miesięcy, zanim w końcu przyznała, że wiedziała dokładnie, co miałem na myśli, gdy powiedziałem: „Lara”. Okazało się, że Doktor Żywago jest również jednym z jej ulubionych filmów i że pamięta doskonale tę scenę, w której stopiły się w jedno blichtr dawnego świata, taniec, błyszczące dębiny, kryształ, mosiądz i padający śnieg, a potem krew, konie, połyskujące klingi, futra.

W ten czy inny sposób wspomnienie tamtego zimowego wieczoru w Milwaukee przegoniło depresję. Nie powiedziałbym, że nagle zacząłem skakać z radości, ale krok za krokiem, zupełnie jak wtedy, gdy zdrętwieje nam ręka albo złapie nas kurcz w stopie, powoli wracałem do życia.

Poczułem przede wszystkim głód, zjadłem więc trochę chleba i sera, a potem zdałem sobie sprawę, że muszę się ogolić i wziąć prysznic, a kiedy się z tym uporałem, ogarnęła mnie przemożna chęć wyjścia z domu - musiałem się udać na spacer. Dotarłem aż na tor wyścigowy, gdy zaś wróciłem, byłem gotów stanąć znów do walki ze światem. Świat wprawdzie miał to w głębokim poważaniu, ale i tak spędziłem trzy godziny przy fortepianie, szkicując fragment adagio, który chodził mi po głowie od ponad tygodnia - długi, smutny, powoli rozwijający się temat w Bdur, i po raz pierwszy nie odrzuciło mnie, kiedy zagrałem go ostatecznie w całości.

Byłem wykończony i doszedłem do wniosku, że na dzisiaj wystarczy. Otworzyłem butelkę wina i przyjrzałem się zawartości lodówki pod kątem kolacji. Niewiele znalazłem.

Zostało tylko trochę dziczyzny. Powoli, upomniałem sam siebie. Nie wszystko naraz.

Postanowiłem zadzwonić do Londynu, do Berniego Wilkinsa. Przez niego najszybciej mogłem dotrzeć do Sama Portera.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Gospodarze wydali kolację z okazji nadejścia nowego, 1953 roku, ale planowali także uczcić inną radosną nowinę: dr Fox otrzymał nową posiadłość w szpitalu pod Salisbury, co oznaczało, że razem z małżonką miał przeprowadzić się z Kilnsgate House na samo południe kraju, do Wiltshire. Na czwartek, 1 stycznia, Grace i Ernest Foxowie, jak to mieli w zwyczaju, zaprosili swoich najbliższych przyjaciół: inspektora szkolnictwa hrabstwa, Jeremy’ego Lamberta, oraz jego żonę Alice. W ten sposób wszyscy czworo spędzali zresztą każdy noworoczny wieczór od zakończenia wojny. Zdarzało się, że dołączała do nich jeszcze jedna para małżonków, Lynleyowie, którzy jednak tej zimy udali się na wypoczynek do Włoch. Hetty Larkin, gosposia Grace, jak zwykle zgodziła się zająć gotowaniem i sprzątaniem. Choć ciągle jeszcze obowiązywało racjonowanie żywności, mieszkańcy terenów wiejskich mieli pod tym względem wyraźną przewagę nad mieszczuchami, w dodatku dzięki przedwojennym i późniejszym kontaktom Ernesta z zamieszkującymi kotlinę rolnikami jego spiżarnia zawsze była pełna i obfitowała w świeże mięso, owoce, masło i jarzyny.

Hetty Larkin, prosta dziewczyna z prostej rodziny w Yorkshire, wprawdzie raczej rzadko pozwalała sobie na eksperymenty, ale była dobrą, solidną kucharką i tego wieczoru przygotowała gospodarzom i gościom mało wykwintną, lecz smaczną wieczerzę, na którą - menu ułożyła osobiście Grace Fox - złożyły się pieczeń wołowa, tłuczone ziemniaki, pieczony pasternak i brukselki oraz ciasto rabarbarowe i budyń na deser. Piwniczka dr. Foxa słynęła na całe hrabstwo ze znakomitych trunków i obaj dżentelmeni mogli się delektować w szczególności doskonałym bordo.

Jak było przyjęte przy takich okazjach, młody Randolph zjadł wcześniej lekką kolację i został odesłany do pokoju. Już w wieku siedmiu lat był

zapalonym mołem książkowym, spędził więc jeszcze godzinę czy dwie nad najnowszym tomem serii Wacek: wesołe przygody małego urwisa, na który poprzedniego dnia w Leeds, dokąd zabrał go ojciec, wymienił otrzymany w prezencie gwiazdkowym od ciotki Felicity kupon świąteczny, po czym wreszcie zasnął.

Na dole, w pokoju muzycznym, Grace zagrała gościom trzecie Impromptu Schuberta, a następnie podano kolację i wszyscy przeszli do jadalni, ogrzanej ogniem trzaskającym wesoło w kominku. Alice pierwsza zauważyła, że za oknem pada śnieg, ale nikt się nad tym szczególnie nie rozwodził i całe towarzystwo zasiadło do stołu - śnieg w kotlinie Yorkshire nie należał o tej porze roku do rzadkości. Rozmowa krążyła wokół wydarzeń poprzedniego roku, takich jak śmierć króla i oczekiwana wkrótce koronacja nowej królowej czy też niedawne testy bomby atomowej w Australii oraz zdobycie Mount Everestu przez sir Edmunda Hillary'ego.

Według Alice, Grace z ożywieniem rozmawiała o filmach, które w tym roku najbardziej jej się spodobały, Afrykańskiej królowej oraz Deszczowej piosence, z entuzjazmem perorowała też na temat najnowszej powieści Barbary Pym Wspaniałe kobiety, podczas gdy Ernest wyjaśniał Jeremy'emu znaczenie wynalezienia mechanicznego serca.

Innymi słowy, był to najzupełniej zwyczajny wieczór w najzupełniej zwyczajnym angielskim domu. Nikt nie zauważył żadnych sprzeczek między Grace i Ernestem Foxami, choć Alice Lambert wspominała później, że wyczuła chyba większe niż zazwyczaj napięcie między małżonkami. Tak czy inaczej, wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. O nowej posiadzie Ernesta wspomniano tylko mimochodem, a Grace Fox, według Alice Lambert, w żaden sposób nie zareagowała na wzmiankę o niej.

W czasie procesu prokuratorowi udało się jednak nakłonić Hetty Larkin do tego, by przyznała, że w tygodniu poprzedzającym kolację dwukrotnie podsłuchiwała kłótnię między doktorem a panią Fox. Za pierwszym razem, we wtorek wieczorem, Hetty, jak się zdaje, usłyszała, jak pani Fox mówi mężowi, że „nie może pozwolić mu tego zrobić”, co oskarżenie zinterpretowało natychmiast jako protest przeciw wyjazdowi małżonków z Yorkshire do Wiltshire. Później, w czwartek po południu, dr Fox dał się wyprowadzić z równowagi z powodu listu, który, jak podkreślał, był

przeznaczony wyłącznie dla jego oczu, podczas gdy żona jakimś sposobem zdołała do niego dotrzeć.

Tymczasem wieczorem 1 stycznia za zaciągniętymi zasłonami i ponad buchającymi ogniem kominkami Kilnsgate House rozszalała się nawałnica. Zapowiadano wprowadzić załamanie pogody, nikt jednak nie przewidywał takiej zawieruchy, jaka nawiedziła nieszczęsną północną Anglię. Szerokie jej połacie przykryła kilkucalowa warstwa śniegu.

Zaspy zablokowały drogi z Alston i Cumberland do Penrith, Barnard Castle i Stanhope. W Lancashire i w centralnej części kraju na jezdniach pojawiła się gołoledź. Gruba warstwa lodu pokryła też drogi w pobliżu Glossop i Derbyshire, czyniąc przejazd nimi wysoce niebezpiecznym. Wkrótce zaspy głębokie czasem na sześć stóp oraz lodowaty wiatr odcięły Kilnsgarthdale od świata.

Biesiadnicy smakowali kolejne dania, rozmawiając z ożywieniem, i nie mieli pojęcia, że warunki za oknem są aż tak złe. Słyszeli tylko od czasu do czasu wiatr gwizdzący w kominach lub też dzwonienie poluzowanej ramy okna. Hetty Larkin i tak planowała zostać na noc, ją więc pogoda na zewnątrz nieszczególnie martwiła, zwłaszcza że miała pilniejsze rzeczy do roboty niż wyglądanie przez okno, by sprawdzić, jak gruba jest warstwa śniegu.

Wszyscy wiedzieli, że tegoroczna zima będzie co najmniej tak surowa, jak te w 1940 i 1947 roku, kiedy Kilnsgate zostało odcięte od reszty kraju po raz ostatni.

Lambertowie zaparkowali samochód przy bramie ogrodu i kiedy w końcu zdali sobie sprawę, że w tych warunkach nie zdołają dotrzeć alejką do głównej drogi i że ta ostatnia i tak prawdopodobnie jest nieprzejezdna, przyjęli zaproszenie Grace i Ernesta, by przenocować w sypialni dla gości Kilnsgate House, przygotowanej już dla nich przez Hetty, nie ryzykując niebezpiecznej wyprawy powrotnej do swego domu w Gilling West, w czasie której pewnie utknęliby gdzieś w zaspie. Przedtem jednak w Kilnsgate House wydarzyło się coś bardzo dziwnego i niepokojącego, przez co wypadki owego wieczoru przybrały jeszcze bardziej zaskakujący przebieg.

Październik 2010

Postanowiłem zostawić volvo w domu i pojechać taksówką na stację w Darlington, a potem pociągiem do Londynu. Poprzedniego dnia rozmawiałem przez telefon z Bernieem Wilkinsem, moim kolegą marszandem. Podał mi adres Samuela Portera, ale moja ciekawość bardzo go zaintrygowała i zaproponował, żebyśmy się spotkali na późnym obiedzie.

Pomyślałem, że miło będzie znowu się zobaczyć i że może powie mi coś więcej o Samie.

Ponieważ zarezerwowałem pokój w Hazlitt's przy Frith Street, gdzie zazwyczaj zatrzymywałem się w czasie swoich służbowych wyjazdów do Londynu, umówiliśmy się w Arbutus po przeciwnej stronie ulicy.

Zawsze uważałem podróże pociągiem za odprężające, pomimo częstych opóźnień i ogólnego braku zrozumienia dla pasażerów ze strony kolejarzy, którzy z zasady zachowują się tak, jakby wyświadczali człowiekowi ogromną przysługę, w ogóle wpuszczając go do wagonu, co więcej, wydają się oczekiwać za to od niego wdzięczności. Tego typu rzeczy dostrzega się jednak dopiero wtedy, gdy spędzi się dłuższy czas za granicą. Przypuszczam, że jeżeli mieszka się w kraju, wydaje się to normą i nie oczekuje się niczego innego. Mimo to uwielbiam podróże koleją. Wielokrotnie stojąc w kolejce do kontroli bezpieczeństwa na lotnisku w LA, marzyłem o tym, by móc dotrzeć do San Francisco pociągiem, któremu pokonanie trzystu osiemdziesięciu trzech mil zajęłoby mniej niż dwanaście godzin!

Ciągle dręczony wspomnieniem z dzieciństwa kanapek British Rail zaokrąglonych na krawędziach, kupiłem na stacji bagietkę z szynką i serem oraz dużą latte Costa. Pociąg przyjechał o czasie. Ponieważ nikt nie zajął miejsca obok mnie, mogłem rozsiąść się wygodnie, zjeść lunch i sącząc latte, obserwować śmigający za oknem krajobraz. Dzień był dosyć przyjemny, tylko od czasu do czasu chmury zasłaniały słońce, a z nieba siąpił deszczyk, błękitu wystarczało jednak, jak mawiała moja matka, by uszyć dzieciątku czapczkę. Nad doliną York i dalekimi wzgórzami Wensley dale przesuwiał się cień, ale wkrótce bez przeszkód mineliśmy York i Doncaster, zmierzając ku granicy Yorkshire. Czas mijał mi przyjemnie na słuchaniu kwartetów smyczkowych Czajkowskiego na iPodzie oraz na lekturze Alana Furst.

Pociąg wtoczył się na King's Cross zgodnie z rozkładem, punktualnie o drugiej czterdzieści cztery po południu. Oznaczenia doprowadziły mnie do postoju taksówek naprzeciw St Pancras. Po kilku tygodniach spędzonych w spokojnym Kilnsgate House, niemal w całkowitej samotności, widok tłumów przewalających się przez Londyn wywołał u mnie szok. Po zachodzie słońca ulice były zatłoczone i taksówka bardzo powoli przebijała się przez Euston Road, a jeszcze wolniej przez labirynt wąskich jednokierunkowych uliczek Soho. Mijaliśmy je jedną za drugą, przyglądając się ludziom stojącym lub siedzącym przy stolikach przed pubami i kawiarniami, popijającym i palącym papierosy - Café Italiano, Caffè Nero, Nellie Dean's, Dog and Duck. Wszędzie widziałem roboty drogowe, budowlańców remontujących stare wiktoriańskie kanały ściekowe. Odcinek z Oxford Street do hotelu kosztował mnie więcej niż z King's Cross na Oxford Street.

Przez te wszystkie lata, kiedy zwykłem się tam zatrzymywać, w hotelu Hazlitt's wprowadzono kilka unowocześnień, między innymi zainstalowano klimatyzację i urządzono klubowy bar. Ostatnio poszerzono też recepcję i dodano nowe skrzydło z nowoczesnymi pokojami z prysznicami. Kiedy jednak kilka tygodni temu zawitałem do Londynu, z radością stwierdziłem, że mój hotel nie stracił swego staroświeckiego uroku.

Tym razem dostałem pokój urządony nieco ekscentrycznie, choć równie gustownie jak zawsze: nierówna, skrzypiąca podłoga, wytarte chodniki, ciężkie, jedwabne zasłony, antyki, obrazy w złożonych ramach przedstawiające osiemnasto - i dziewiętnastowiecznych nienagannie wystrojonych dżentelmenów i damy, marmurowe popiersie jakiegoś greckiego lub rzymskiego mówcy, wysokie, rzeźbione dębowe łóżko. Było gorąco, uchyliłem więc na kilka cali przesuwne okno. Wychodziło na maleńkie podwórko, na którym stała replika greckiej rzeźby. W łazience zobaczyłem starą wannę na zwierzęcych łapach, z rączką prysznicą w kształcie słuchawki telefonicznej. Łańcuch spłuczki zwisał z umieszczonego wysoko nad głową zbiornika z wodą, dokładnie tak, jak zapamiętałem z dzieciństwa.

Ponieważ miałem mnóstwo czasu, postanowiłem zrobić drobne zakupy na Oxford Street i Charing Cross Road, a potem wysuszyć szybką pintę timothy taylora w Dog and Duck. W żadnym z antykwariatów przy Charing Cross nie znalazłem Słynnych procesów, w których opisany był przypadek

Grace Fox, ale kupiłem za to najnowszą książkę poświęconą muzyce w filmach Hitchcocka, którą przekartkowałem nad piwem.

Restauracja znajdowała się zaledwie kilka jardów dalej przy Frith Street i kiedy tam dotarłem, Bernie czekał już na mnie przy stoliku obok okna, obserwując przetaczające się obok fale bywalców Soho. Zrobiło się już ciemno i na ulicach pojawili się pierwsi imprezowicze, choć najbardziej interesujące miejscowe typy miały na nie wylec o wiele później. Bernie nalał mi lampkę wina i stuknęliśmy się kieliszkami.

- Nareszcie udało nam się spotkać, Chris - powiedział. - Minęło sporo czasu.

- Zdecydowanie za dużo.

Opuścił wzrok.

- Słyszałem o Laurze. Bardzo mi przykro.

Napiłem się wina.

- Dzięki.

- Tak czy inaczej, zajrzyjmy może do menu.

Zdecydowałem się na stek z łaty wołowej, a Bernie zamówił jagnięcinę Elwy Valley.

Postanowiliśmy pozostać przy tym samym winie, które Bernie zamówił przed moim przyjściem. Za oknem pojawiła się grupka roześmianych, skapo ubranych dziewczyn, które zajęły prawie całą szerokość wąskiej uliczki, najwyraźniej zmierzały w stronę klubu albo na wieczór panieński. Jedna z nich miała na głowie uszy Myszki Mickey, inna usiłowała nie przewrócić się na absurdalnie wysokich obcasach. Jakiś taksówkarz zatrąbił na nie, żeby zeszły mu z drogi, i rozproszyły się natychmiast, piszcząc i chichocząc.

- Niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniają - zauważył Bernie. - Całe lata nie byłem na West Endzie.

Przez chwilę popijaliśmy wino i czekając na jedzenie, wspominaliśmy dawne czasy.

- Po dziś dzień jestem ci wdzięczny za to, jak zaopiekowałeś się mną w LA - powiedział Bernie.

- Człowiek może się poczuć w tym mieście bardzo samotny.

Doskonale pamiętałem, jak to było ze mną, kiedy w wieku dwudziestu pięciu lat przyjechałem tam po raz pierwszy, żeby pracować nad ścieżką dźwiękową niskobudżetowego horroru. Byłem chorobliwie nieśmiały i większość wolnego czasu spędzałem zamknięty albo w studio, albo w moim ciasnym mieszkanku w Sherwood Oaks, niezmordowanie brzdąkając w klawisze pianina. Uratowało mnie to, że grywałem również w barach i klubach na mieście w kapeli specjalizującej się w coverach. Był rok 1975, ciągle niezłe czasy dla rocka, gdzieś tak pomiędzy tym, co pozostało z lat sześćdziesiątych, a nową erą punka. Na listach mogły królować Bay City Rollers czy Abba, ale Bowie właśnie zamieniał się w Thin White Duke'a, a Dylan, Pink Floyd i Stonesi ciągle jeszcze wypuszczali całkiem przyzwoite albumy. Dzięki temu, że grałem w kapeli, udało mi się umówić z śliczną blondwłosą aktoreczką, która grała pierwszą ofiarę jakiejś wysysającej z ludzi krew bestii. Nazywała się Fey DeWitt i często, leżąc na mnie w łóżku, uczyła się na pamięć swoich kwestii. Nigdy nie miała dosyć seksu oralnego i chińskiego żarcia na wynos, choć na szczęście nie raczyła się nimi jednocześnie, a poza tym niewiele więcej ją obchodziło.

Przed witryną restauracji przemknęło jeszcze kilka młodych dziewczyn i nagle poczułem ukłucie w sercu - za Laurą, za Fey, za innymi, które ledwo pamiętałem, przede wszystkim jednak za utraconą młodością.

- Zdradzisz mi, dlaczego chcesz rozmawiać z Samuelem Porterem? - zapytał Bernie między jednym a drugim kęsem soczystej jagnięciny.

- To trochę skomplikowane - odparłem, po czym opowiedziałem mu o wszystkim, czego się dowiedziałem na temat Grace Fox.

Bernie wysłuchał mnie, a potem zadał to samo pytanie, co Wilf Pelham: dlaczego się tym interesuję?

- Właściwie nie wiem - przyznałem, zresztą zgodnie z prawdą. - Po prostu mnie to zaciekało. W pewien sposób cała sprawa mnie dotyczy. Więzienie, w którym Grace została powieszona, znajduje się obok mojej dawnej podstawówki, a teraz mieszkam w jej domu. To tak, jakbym szukał przodków mej posiadłości, drzewa genealogicznego, chociaż oczywiście chodziło o moją własną rodzinę. Poza tym z tego, co się dowiedziałem, Grace była fascynującą osobą. Wszyscy zapamiętali ją jako piękną i interesującą kobietę. Tajemniczą.

Zagadkową. Jeździła motocyklem. Starannym pismem robiła notatki na marginesach Impromptu Schuberta. A przecież ja uwielbiam Schuberta.

Nie powiedziałem jednak swojemu przyjacielowi o dziwnych nocnych odgłosach oraz zjawach, które dręczyły mnie we śnie, o jej podobieństwie do Laury ani też o postaci w lustrze szafy. Nie chciałem, żeby mnie wziął za wariata.

- Ale po co ci to? Ona nie żyje.

Napełniłem sobie kieliszek. Trochę zaczęło to przypominać przesłuchanie, którego właśnie chciałem uniknąć, głównie dlatego, że nie znałem prawidłowych odpowiedzi. Nie znałem żadnych odpowiedzi. Z drugiej jednak strony, pomyślałem, Bernie wykazuje irytujący brak wyobraźni.

- A dlaczego mielibyśmy o niej tak po prostu zapomnieć? - zapytałem. - Przecież całkiem możliwe, że tego nie zrobiła. Być może jej rodzina ciągle żyje. Na przykład jej syn, nie wspominając już o Samuelu Porterze. Nie sądzisz, że jeśli prawda różni się od wersji oficjalnej, to ktoś powinien być zainteresowany tym, żeby do niej dotrzeć?

Bernie spojrzał na mnie ze smutkiem i długo nie odwracał wzroku.

- Może tak, a może nie - odezwał się w końcu. - Może się okazać, że ludzie nie chcą grzebać w przeszłości, że zdążyli się już pogodzić z tym, co nazywasz „oficjalną wersją”.

Większość z nas przyjmuje wyjaśnienia, które wydają nam się prawdopodobne, a potem po prostu próbuje żyć dalej. Poza tym, dlaczego sądzisz, że tego nie zrobiła i że po tylu latach zdołasz dotrzeć do prawdy?

- Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego powodu, by tak sądzić. Nie wiem, co się naprawdę stało. Po prostu mnie to interesuje, nic więcej. Chciałbym przyjrzeć się bliżej całej sprawie.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny, Chris.

Roześmiałem się nerwowo.

- Ostrożny? Dlaczego? Przecież wszystkich tych, którym mógłbym nastąpić na odcisk, gdybym znalazł inne wytłumaczenie tego, co się wtedy wydarzyło, już dawno nie ma wśród żywych.

- Nie chodziło mi o to, chociaż moim zdaniem w tym punkcie też możesz być w błędzie. Nie, miałem na myśli to, że powinieneś uważać na siebie samego, pomyśleć o własnym spokoju, nie pozwolić, żeby to... żeby ta sprawa stała się dla ciebie obsesją, opętała cię, zrujnowała ci psychikę. Przypuszczam, że po śmierci Laury, po szoku, jaki pewnie wiązał się z

przeprowadzką, możesz nie być w najlepszej kondycji. Poza tym w tej swojej głuszy odciąłeś się od świata. Izolacja raczej ci nie służy.

Odłożyłem nóż i widelec.

- Dziękuję za troskę, Bernie. Uważasz, że mi odbiło?

Bernie zaśmiał się nerwowo. Pewnie dostrzegł wściekły błysk w moich oczach.

- Spokojnie, przyjacielu. Niczego takiego nie powiedziałem. To tylko przyjacielska rada, nic więcej. Poza tym być może ciągle jeszcze żyją ludzie, którzy nie chcieliby, żeby prawda wyszła na jaw. Sam rozumiesz, jeżeli Grace Fox tego nie zrobiła, to należy się liczyć z tym, że mógł to zrobić ktoś inny, prawda? Może nawet sam Samuel Porter? Co wtedy?

Zastanawiałeś się nad tym?

Musiałem przyznać, że nie. Zgromadziłem do tej pory tak niewiele informacji, że nawet nie zacząłem spekulować, jak mogły potoczyć się wypadki, jeżeli Grace faktycznie była niewinna.

- Sam Porter pewnie ma teraz koło osiemdziesiątki - powiedziałem. - Nie sądzę, żebym musiał się czegokolwiek obawiać z jego strony. Doceniam, że mówisz mi to wszystko, Bernie, naprawdę. Ale nie oszalałem i nie grozi mi obsesja. Wprowadziłem się do wielkiego domu na wsi, gdzie prawie sześćdziesiąt lat temu popełniono morderstwo. Zrobiłem sobie urlop, nie muszę się martwić pracą, terminami. Mam mnóstwo czasu i tyle pieniędzy, by żyć, jak mi się podoba, i robić to, na co mi przyjdzie ochota. Wciągnęła mnie ta sprawa, i tyle.

Kiedy przyjrzeć się różnym rzeczom, zawsze okazują się bardziej skomplikowane, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Zwłaszcza z perspektywy czasu. W porządku?

- Jasne, jasne. Po prostu cię to interesuje. I tyle. Rozumiem w zupełności. Na twoim miejscu pewnie zachowałbym się tak samo. Zamówię deskę serów, dobrze?

- W takim razie powiesz mi, gdzie znajdę Samuela Portera?

- Jasne. Ale nie możesz się boczyć na moją ciekawość, skoro sam jesteś ciekawski, prawda?

- Oczywiście, masz rację.

Kiedy podano nam sery, nalaliśmy sobie jeszcze wina i opowiedziałem mu o mojej rozmowie z Wilfem Pelhamem, z której dowiedziałem się kilku szczegółów na temat śmierci Ernesta Foxa i procesu Grace. Bernie słuchał uważnie, ściągnąwszy w skupieniu brwi.

- Właściwie niewiele wiesz - skomentował, kiedy skończyłem.

- Na tym właśnie polega problem. Ale nie sądzisz, że to fascynujące? Mieszkam w domu, w którym popełniono morderstwo, być może nawet śpiam w pokoju, gdzie to wszystko się wydarzyło.

- Faktycznie to bardzo intrygujące, jak reportaż w „Daily Mail”. Nie zostały po niej jakieś rzeczy? Pamiętnik? Listy?

- Nic mi o tym nie wiadomo. A wierz mi, zdążyłem rozejrzeć się po domu. W westybulu wisi portret rodzinny. Znalazłem też nuty, prawdopodobnie z jej notatkami.

Oczywiście od tamtej pory mieszkało tam lub zatrzymywało się sporo gości.

- Mimo wszystko... Ludzie często gubią różne rzeczy. A policja często ich nie znajduje.

- W każdym razie nie trafiłem na nic wartego uwagi. Jak dobrze znasz Samuela Portera?

- Widziałem się z nim kilka razy, głównie na wernisażach i wystawach. Muszę przyznać, że jak na swój wiek trzyma się naprawdę nieźle. Spotkaliśmy się kilka miesięcy temu. Ciągle jest wyśmienitym dekoratorem. Ostrzegam jednak, że bywa czasem kłótlivy.

Trochę pije. No i skrupulatnie liczy pieniądze. Dwa, trzy razy w roku przyjeżdża do Londynu Eurostarem. Trzy albo cztery lata temu odbyła się tutaj wielka retrospektywa jego prac.

Nieźle się na niej obłowił. W sumie Samuel jest naprawdę czarującym człowiekiem, zwłaszcza po kilku kieliszkach wina. I ciągle z niego pies na kobiety.

- Ożenił się?

- Z tego, co wiem, nie. W każdym razie nigdy nie wspominał w mojej obecności o żonie, żyjącej albo nie.

- Gdzie mieszka?

- Na Montparnasse. Zdaje się, że od wielu lat w tym samym mieszkaniu. Może nawet wprowadził się tam zaraz po przyjeździe do Paryża.

- Czyli właściwie kiedy?

- Nie za moich czasów. Gdzieś tak w połowie lat pięćdziesiątych. Kiedy chciałbyś się z nim zobaczyć?

- Jutro.

- Cóż, życzę szczęścia. Z tego, co wiem, pamięć ma w porządku, wszystko więc zależy od tego, w jakim go zastaniesz nastroju. Samuel jest bardzo uparty. Jeżeli nie chce o czymś rozmawiać, nie będzie.

- Użyję swojego osobistego wdzięku.

Bernie się uśmiechnął.

- W takim razie nie ma się czego obawiać. Kawy?

Po obiedzie z Berniem byłem trochę wstrząśnięty. Dopytywał się o motywy jeszcze bardziej natarczywie niż Wilf Pelham czy Heather, a nawet ostrzegł mnie przed spustoszeniami, jakich moja misja może dokonać we mnie samym i w innych. Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej. Nie wiem, czy sprawiło to podwójne espresso, czy może ser, wino albo sama rozmowa, w każdym razie byłem bardzo rozdrażniony i zdawałem sobie sprawę, że w tym stanie nie mam nawet po co wracać do hotelu. Ruszyłem więc w Soho, niemal zupełnie obojętny na otaczającą mnie rzeczywistość, półświadomie rejestrując tylko jaskrawe światła neonów, grupki klientów przed pubami albo przy stolikach kawiarni, o tej porze już pijanych lub też pogrążonych w rozmowie, zapach kawy, papierosów i marihuany, pary zakochanych trzymających się za ręce.

Przynajmniej miałem w kieszeni adres Samuela Portera, a nazajutrz wybierałem się do Paryża, żeby z nim porozmawiać. Sama myśl o tym wywoływała we mnie dreszcz podniecenia, który mnie zaskoczył. Miałem się przybliżyć o krok do Grace, której tajemnicę, z czego nagle zdałem sobie sprawę, po prostu musiałem odsłonić, choćby z tego powodu, że nikt dotąd tego nie próbował. Na razie ciągle pozostawała postacią odległą i zagadkową, ale miałem nadzieję, że dzięki rozmowie z byłym kochankiem jej niewyraźny zarys uzupełnię istotnymi szczegółami.

Jak się okazało, zrobiłem kółko i nagle stałem znowu na Frith Street, ciągle jednak zbyt podminowany, by wrócić do pokoju. W Dog and Duck

zabawa nadal trwała w najlepsze, podobnie jak w klubie gejowskim obok. Z okolicznych restauracji wylewały się prawdziwe tłumy, zmierzając wprost do klubów i pubów. Taksówki wypływały modnie ubranych mężczyzn i kobiety przed anonimowymi drzwiami, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwierały się przed nimi.

Nabrałem ochoty, by posłuchać ostatniego wieczornego występu w klubie Ronnie Scott's. Nazwisko wokalistki na afiszu nic mi nie mówiło, ale postanowiłem dać jej szansę.

Pamiętałem gwiazdy, na których koncertach bywałem tam wiele lat wcześniej: Stan Getz, Ella Fitzgerald, Bill Evans, Nina Simone, Sarah Vaughan. Można by wymieniać w nieskończoność. I wszystkie już nie żyły. Zapłaciłem, wszedłem do środka i znalazłem miejsce przy barze w tylnej części, zaraz za stolikami ustawionymi wokół scenki. Zamówiłem kieliszek wina. Właśnie trwała przerwa i wszędzie wokół słyszałem ożywione rozmowy, ale ponieważ nikt nie mówił do mnie, mogłem pozwolić myślom płynąć swobodnie.

W głowie zaświtał mi obraz Kilnsgate House, w tej chwili pustego, podobnie jak przez te wszystkie lata. Chociaż niezupełnie. Były tam teraz przynajmniej ślady czyjejś bytności, nowego życia. Ekspres do kawy w kuchni, pogryzmołony papier nutowy przy fortepianie - muzyka, której jeszcze nie tak dawno w ogóle nie było - moje ubrania w szafie sypialni i zastawiony kredens przy drzwiach, kilka butelek dobrego wina na stojaku w pokoju telewizyjnym, gdzie moje płyty DVD niemal szczelnie wypełniły wieżyczkę. To był mój nowy dom i nagle poczułem dziwne ukłucie w piersiach na myśl, że go zostawiłem. Ciekawe, ale nie pamiętałem, by coś takiego spotkało mnie, kiedy wyjeżdżałem z Los Angeles.

Dzięki Tedowi Wellandowi i Wilfowi Pelhamowi poznałem podstawowe fakty, ale czekało mnie jeszcze mnóstwo pracy, jeżeli chciałem dotrzeć do prawdy o Grace Fox - i wiedziałem tylko jedno: że nie odnajdę jej w relacjach z procesu, w artykułach prasowych czy dzięki krążącym po miasteczku plotkom. Musiałem sięgnąć głębiej, poznać szczegóły, charakter Grace, dowiedzieć się, o czym się nie mówiło lub o czym wspomiano tylko mimochodem. Podobnie jak domy, niewielkie miasteczka i wioski mają swoje małe sekrety, do których często trudno się dokopać. Postanowiłem więc wbić łopatę w ziemię. I wbijać ją tak długo, aż trafię na opór.

Widownia zaczęła bić brawo, zagrzewając do walki trio: kontrabas, saksofon i pianino. Po chwili do mikrofonu podeszła młoda kobieta w długiej czarnej sukni, wzbudzając jeszcze większy aplauz. Miała około trzydziestki, ciemną, aksamitną skórę i błyszczące, czarne kręcone włosy oraz niski, lekko chrapliwy głos, który wydawał się mnie pieścić każdą ciepłą, pulsującą nutą. Zaczęła od I'll Look Around Billie Holiday. Nie mogła trafić lepiej: przez resztę wieczoru należałem już wyłącznie do niej.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Hetty Larkin sprzątnęła ze stołu resztki ciasta rabarbarowego i budyniu, po czym podała porto i stiltona. Ernest Fox i Jeremy Lambert zapalili cygara, podczas gdy ich żony podeszły do kominka w salonie, a Hetty Larkin zajęła się naczyniami. Według relacji Jeremy’ego Lamberta jakieś dziesięć minut później Ernest Fox poskarżył się na zgagę, uciążliwą dolegliwość, która najwyraźniej nie była mu jednak obca, i obaj panowie zgasiwszy cygara dołączyli do żon. Doktor Fox przez chwilę znosił dzielnie ból, po czym przeprosił gości i oznajmił, że udaje się już na spoczynek. Grace obiecała mu przynieść zaraz szklaneczkę whisky i mleka oraz przygotować proszek na żołądek, który zażywał zwykle przy tego typu problemach. Zajęła się tym, po czym szybko wróciła do salonu, gdzie zapewniła gości, że jej mąż już odpoczywa, i została z nimi przy kominku, rozmawiając przez jakiś czas na tematy lokalne, aż wreszcie i oni zdecydowali, że pora już udać się na spoczynek.

Zbliżała się północ. Mały Randolph spał w najlepsze. Hetty Larkin, posprzątawszy, zdążyła już pójść do swojego pokoju w tylnej części domu i również spała, śniąc bez wątpienia o jakimś silnie zbudowanym wiejskim chłopcu. Lambertowie byli u siebie, szykując się do łóżka. Ernest Fox, tak przynajmniej domyślali się wszyscy, zażywszy przygotowany przez żonę proszek, także spał już głęboko.

Dopiero jakieś pół godziny później Alice Lambert, która nie mogąc zasnąć, leżała w łóżku i czytała, nagle usłyszała, że Grace idzie po schodach do sypialni. Co pani domu robiła w ciągu tych trzydziestu minut, nigdy się nie dowiemy, wiemy za to, że w trakcie pierwszego przesłuchania zeznała policji, iż po prostu siedziała przed kominkiem pogrążona w

zadumie, tylko od czasu do czasu podchodząc do okna, by popatrzeć na padający w ogrodzie śnieg.

Któż mógłby to kwestionować?

Zgodnie z własnymi zeznaniami, Grace jakąś godzinę po tym, gdy położyła się do łóżka, usłyszała z sypialni męża dziwne odgłosy. Jak wspominała, czytała, nie mogąc zasnąć, i trochę się martwiła jego objawami. Poza nią nikt nic nie słyszał; o tej porze wszyscy byli pogrążeni we śnie. Grace zeznała, że przeszła przez galerię do pokoju Ernesta i zastała go siedzącego na łóżku, z grymasem bólu na twarzy ściskającego się za lewą rękę. Był zlany potem i narzekał na ucisk w piersi palący niczym rozżarzone żelazo oraz na kłopoty z oddychaniem. Jak wiemy, Grace służyła w czasie wojny w korpusie pielęgniarek Królowej Aleksandry i podobnie jak mąż natychmiast rozpoznała objawy ataku serca.

Poluzowawszy mu ubranie, zostawiła go, pobiegła w te pędy do gabinetu na dole, gdzie trzymał swą torbę lekarską, tę samą, którą zabierał na wizyty domowe, i szybko wróciła z nią na górę. Wprawdzie Ernest Fox nigdy nie chorował na serce, ale jak wielu lekarzy wykazywał skłonność do zaniedbywania regularnych badań, które tak rygorystycznie zalecał swoim pacjentom, a kilkoro jego znajomych zauważyło u niego powtarzające się coraz częściej napady niestrawności i zgagi oraz skrócenie oddechu - potencjalne symptomy choroby serca.

Grace Fox, jak relacjonowała koronerowi, zgodnie z tym, czego uczono ją na szkoleniach, wyszukała w torbie męża nitroglicerynę, często skutecznie zmniejszającą początkowe objawy niedokrwienia serca - i umieściła doktorowi tabletkę pod językiem.

Stwierdziła jednak z przerażeniem, że może być już za późno, bo jej mąż wydawał się ospały i ledwo potrafiła wyczuć u niego słaby i nierówny puls.

Choć nie chciała go tak zostawiać, wspominała dalej, nie miała wyboru i musiała pobiec na dół do telefonu, który stał na stoliku w przedsionku. Kiedy jednak zaczęła wykręcać 999, usłyszała w słuchawce jedynie ciszę i zdała sobie sprawę, że łączność telefoniczna została przerwana. Opowiadała policji, że wróciła następnie do męża i widząc, że nitrogliceryna niewiele pomogła, przygotowała zastrzyk z naparstnicy. Zaaplikowawszy go, siedziała z palcem na pulsie małżonka i czekała, aż lek zacznie działać, jak się okazało - nadaremnie. Biedne jego serce szamotało

się niczym umierający ptaszek w klatce, aż wreszcie dr Fox wyzionął ducha.

Alice Lambert, która zawsze sypiała bardzo płytko, usłyszawszy pospieszne kroki w dół i w górę po schodach, wyjrzała z sypialni, żeby sprawdzić, co się dzieje. Drzwi do pokoju Grace były szeroko otwarte, prześcieradła na łóżku zmierzwiłone, a wkrótce z sypialni męża naprzeciwko wyszła na korytarz sama gospodyni. Wydawało się, że widok Alice ją zaskoczył, ale pokręciła tylko powoli głową i powiedziała: „Odszedł, Alice. Odszedł”.

Alice uklękła przy łóżku Ernesta Foxa i spróbowała znaleźć puls. Nie wyczuła go; podobnie na lusterku, które Grace przyniosła ze swojego pokoju i przysunęła mężowi do ust, nie pojawiła się mgiełka. Alice wyraźnie zapamiętała, że na stoliku obok leżała butelka z tabletkami nitrogliceryny, zauważyła też papier, w który owinięty był proszek na żołądek, oraz strzykawkę, za pomocą której Grace zaaplikowała małżonkowi naparstnicę.

Przedmiotów tych nie zdołano jednak zabezpieczyć w czasie oględzin pokoju ani policjantom, ani personelowi karetki przysłanej przez kostnicę, kiedy dwa dni później udało im się wreszcie przedrzeć przez zaspy. Właściwie nigdy już ich nie widziano; nikt zresztą o nich nawet nie myślał aż do dnia aresztowania oraz procesu. Jednakże ogień w kominku palił się prawie nieprzerwanie przez całe dwie doby - za oknem ciągle wszak szalała zima - a po wszystkim w palenisku została całkiem spora kupka popiołu.

Październik 2010

Przebiełem się przez tłum na Gare du Nord, nagabywany przez całą drogę przez żebraków, i wskoczyłem do taksówki. Podróż pociągiem przebiegła spokojnie. Siedziałem po prostu w wagonie, patrzyłem, jak za oknem przemyka francuski krajobraz, i robiąc notatki oraz zapisując pojawiające się w głowie pomysły, słuchałem początku mojej sonaty, którą przerzuciłem wcześniej z komputera do iPoda. Komponuję zazwyczaj w staroświecki sposób, przy pianinie i nad arkuszem papieru nutowego, ale uwielbiam też gadżety i nie mam nic przeciwko temu, by od czasu do czasu z nich korzystać. Przewijający się za oknem zielony krajobraz i stukot kół pociągu zresztą sprzyjały tego typu pracy.

I znowu przeżyłem szok na widok tłumów, jeszcze większych niż w Londynie.

Taksówkarz jechał tak, że zgubiłem się po kilku minutach: kluczył po wąskich bocznych uliczkach, przecinał szerokie, obsadzone drzewami bulwary, mijał kawiarnie i brasserie z rzędami stolików na zewnątrz, obleżonych przez plotkujących i palących jak smoki klientów, a ja tylko patrzyłem na śmigającą obok rzeczywistość.

Recepcjonistka w moim hotelu przy Boulevard Raspail mówiła po angielsku lepiej niż ja po francusku, co zresztą najwyraźniej lubiła robić. Mój pokój znajdował się na szóstym, ostatnim piętrze, a winda była bardzo ciasna. Zmieściłyby się w niej w najlepszym razie dwie osoby i walizka. Na szczęście miałem ją tylko dla siebie.

Okazało się, że dostałem apartament, tyle że bardzo nieduży. Gdyby połączyć gabinet i sypialnię, może dorównałby wielkością temu, w którym nocowałem w Hazlitt's. Mimo to mogłem się w nim wygodnie rozłożyć, unikając częstego w hotelach poczucia klaustrofobii.

Komfort zwiększało także to, że znajdowałem się na ostatnim piętrze. W gabinecie były przeszklone drzwi, prowadzące na niewielki balkon wychodzący na stację metra przy skrzyżowaniu bulwaru Raspail z Edgar Quinet. Gdy z kolei wyjrzałem przez okno w sypialni, okazało się, że rozpościera się stamtąd piękny widok na Cimitiere du Montparnasse, jeden z rozległych paryskich cmentarzy, w którego bogato zdobionych grobach spoczywają ciała wielu słynnych osób. Pomyśleć tylko, że tuż pod moim oknem leżą między innymi JeanPaul Sartre, Samuel Beckett, Simone de Beauvoir, Man Ray i Camille SaintSaëns. Może w nocy uda mi się podsłuchać rozmowy ich duchów? Postanowiłem następnego ranka zostawić sobie trochę czasu na to, żeby tam pospacerować.

Na razie moim głównym zadaniem było jednak znalezienie Samuela Portera, który, według adresu przekazanego mi przez Berniego, mieszkał całkiem niedaleko od mojego hotelu. Zastanawiałem się, czy on też ma widok na cmentarz i czy wywołuje u niego wspomnienie Grace Fox. Pomyślałem o Laurze. Wprawdzie nie posunąlbym się do twierdzenia, że Paryż był naszym miastem, ale odwiedzaliśmy go razem przy różnych okazjach. Laura mówiła świetnie po francusku i uwielbiała myszkować wśród straganów na lewym brzegu czy celebrować długie posiłki w dobrych restauracjach. Spacerowaliśmy godzinami, siadając od czasu do

czasu w kafejkach przy bulwarach i obserwując przechodniów. Pamiętam, jak kiedyś dotarliśmy pieszo do Pere Lachaise, gdzie zobaczyliśmy grób Oscara Wilde'a pokryty szczelnie odciskami wyszminkowanych ust oraz tłum dzieciaków palących trawkę przy grobie Jima Morrisona. Byli tak młodzi, że kiedy Lizard King wspinał się na szczyty sławy, ich nie było jeszcze na świecie.

Nie chciało mi się jeść, ale w końcu byłem w Paryżu i miałem ochotę się napić, zabrałem więc mapę i przewodnik do bistra obok, gdzie usiadłem na zewnątrz i zamówiłem u kelnera pichet czerwonego wina. Było z Langwedocji i okazało się wyborne. Czasem wydaje mi się, że francuskie wina smakują we Francji tak dobrze po prostu dlatego, że właśnie tam się je pije. Wokół młodzi ludzie rozmawiali z ożywieniem, dziewczyny nerwowo odgarniały znad oczu włosy, chłopcy gestykulowali, a wszyscy - palili. Czekałem, aż do moich nozdrzy dotrze znajomy zapach gauloise'ów, ale z tego, co czułem i widziałem, większość palaczy przerzuciło się w Paryżu na marlboro lighty.

Znalazłem na mapie adres Sama Portera. Mieszkał bardzo blisko, gdzieś w labiryncie uliczek po drugiej stronie cmentarza. Nie chciałem do niego dzwonić; bałem się, że może mu nie przypaść do gustu pomysł rozmowy na temat przeszłości i odmówi mi spotkania. Byłem jednak pewien, że kiedy już stanę w jego drzwiach, zdołam go przekonać, że nie gonię za sensacją, że nie jestem ani dziennikarzem, ani autorem powieści kryminalnych, i nakłonię do rozmowy.

Kiedy dopiłem wino, było wpół do piątej, pora moim zdaniem równie dobra jak każda inna, żeby odwiedzić starzejącego się artystę. Przeciąłem cmentarz oznakowaną alejką prowadzącą między rodzinnymi grobowcami, których część była całkiem bogato zdobiona, głównie rzeźbami aniołów, cherubinów i serafinów. Po drugiej stronie minąłem Rue Froidevaux i znalazłem się na wąskiej uliczce zabudowanej pięciopiętrowymi kamienicami.

Ta z mieszkaniem Sama wznosiła się obok niewielkiej cukierni, przed którą do latarni na chodniku przypięto kilka rowerów. Mieszkał na czwartym piętrze, a w budynku nie było windy. Westchnąwszy ciężko, zacząłem się wspinać po schodach. Na pierwszy rzut oka kamienica była dość duża i dobrze utrzymana, ale w końcu nie była to jakaś upadła dzielnica.

Stara, owszem, ale bogata.

Udało mi się dotrzeć na czwarte piętro, nie dostając zadyszki. Zatrzymałem się na chwilę, żeby zebrać myśli, po czym zapukałem do drzwi Samuela Portera.

Myślałem już, że go nie zastałem. Pukałem trzykrotnie i nikt nie odpowiadał, a kiedy przyłożyłem ucho do drzwi, nie usłyszałem w środku żadnych odgłosów. To jeszcze nie koniec świata. Mogłem wrócić później. Kiedy jednak odwróciłem się w stronę klatki schodowej, nagle usłyszałem kroki, a potem szczęknięcie przekręcanego zamka. Drzwi się otworzyły i stanął w nich gospodarz.

- Bonjour, monsieur. Qu'est-ce que vous voulez?

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie chciałem przeszkadzać.

- Jest pan Anglikiem - stwierdził, po czym przeciągnął się i przetarł oczy. - Bardzo mi miło. Miałem właśnie krótką sjęstę. W moim wieku człowiek nie może się bez niej obyć. Ale i tak już miałem wstać. Proszę wejść.

Samuel Porter wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażałem. Spodziewałem się kogoś w rodzaju zapuszczonego, lubieżnego, zasuszonego, wąsatego, odstręczającego starca, on jednak ani odrobinę go nie przypominał. Mimo że przerwałem mu drzemkę, trzymał się prosto i nie wyglądał na swoje lata: był szczupły, ale nie chudy, gładko ogolony, jego twarz wprawdzie pokrywały zmarszczki, ale za to mógł się poszczycić gęstą czupryną starannie zresztą przystrzyżonych włosów i miał nieco wilgotne, ale żywe oczy, schowane za okularami w srebrnych oprawkach. Ubrany był swobodnie, w dżinsy i fioletowobiałą koszulę w paski, której jednak na pewno nie kupił w pobliskim sklepie z rzeczami używanymi.

Żadnych plam po farbie, żadnej woni alkoholu.

Mieszkanie również było miłą niespodzianką. Wiedziałem już, że nie mam co się spodziewać zapuszczonego poddasza, ale nie przypuszczałem, że będzie tak duże - musiało zajmować prawie całe piętro od tej strony budynku - i tak czyste, niemal sterylne, zadbane i pachnące. Wszystko w nim aż błyszczało. Każda książka znajdowała się na swoim miejscu.

Na ścianach wisiały obrazy, w większości duże, barwne abstrakcje. Nie znałem nazwisk ich autorów, ale przypuszczałem, że to oryginały. Muszę się pilnować, by nie ulegać stereotypom na temat artystów. W końcu sam

jestem muzykiem, a przecież raczej nie mam skołtunionych włosów i nie ćпам. Może jestem odrobinę zapuszczony, ale czysty.

Zaprowadził mnie do przestronnego salonu, podobnie jak mój pokój w hotelu wyposażonego w przeszklone drzwi balkonowe wychodzące na szczyty budynków po drugiej stronie ulicy. W oddali, tuż za płaskimi dachami, dostrzegłem masywną bryłę tour Montparnasse, wbijającą się w czyste, błękitne niebo.

- To cały ja - powiedział. - Zapraszam do domu obcego, nie wiedząc nawet, kto to taki. Nieczęsto miewam gości z Anglii. Może pan być włamywaczem albo mordercą. Albo gorzej. Krytykiem.

- Boże uchroni! - zapewniłem go. - Właściwie jestem muzykiem. Kompozytorem.

- Mogłem o panu słyszeć?

- Trudno powiedzieć. Możliwe. Piszę muzykę filmową. Nazywam się Christopher Lowndes.

- Widziałem gdzieś to nazwisko. Muszę przyznać, że uważałem zawsze muzykę za jeden z najważniejszych elementów filmu i przeważnie zapamiętuję jej autorów. Oczywiście - kontynuował, siadając i gestem zapraszając mnie, żebym poszedł w jego ślady - nie chodzę już do kina tak często jak kiedyś, ale od czasu do czasu oglądam DVD.

Mówił staranną, elegancką angielszczyzną, właściwie nawet dosyć wytworną i nikt nie domyśliłby się, że jest synem chłopca z północnego Yorkshire.

Kiedy siadał, zauważyłem na jego twarzy lekki grymas i zacząłem się zastanawiać, czy cierpi na artretyzm albo reumatyzm. Być może właśnie dlatego tak długo podchodził do drzwi. Trudno było w to uwierzyć, ale musiałem pamiętać, że dobiega osiemdziesiątki.

- Przepraszam najmocniej - powiedział. - Gdzie moje maniery? Mogę panu coś zaproponować? Może drinka?

Właściwie nie miałem ochoty, ale pomyślałem, że w ten sposób łatwiej nam będzie przełamać lody.

- Zwykle o tej porze dnia wypijam kieliszeczek armaniaku. Oczywiście, wyłącznie w celach leczniczych. Francuscy lekarze wykazują w sprawie alkoholu o wiele większe zrozumienie niż ich angielscy koledzy. Mógłby pan? Nie jestem już tak rączy jak kiedyś.

Wskazał na barek przy drzwiach, za którego szybą dostrzegłem kieliszki i kilka butelek.

- Oczywiście.

Podszedłem, nalałem nam po małym armaniaku i podałem gospodarzowi kieliszek.

Wypił łyk i oblizał wargi.

- Mm... Niegdyś byłem amatorem koniaku, ale kiedy już raz spróbuje się tego...

Nektar bogów. - Uśmiechnąłem się i stuknęliśmy się kieliszkami. - Ale, ale... - powiedział, a w jego oczach pojawił się zaciekawiony, choć nieco podejrzliwy błysk. - Co kompozytora muzyki filmowej sprowadza do podstarzałego landszafciarza?

Wprowadziłem armaniak w kieliszku w kolisty ruch, wdychając jego zapach.

- Obawiam się, że to raczej delikatna sprawa - powiedziałem. - I zupełnie zrozumieć, jeżeli nie zechce pan ze mną rozmawiać.

Malarz uniósł brwi.

- Teraz dopiero mnie pan zaintrygował. Ale jeśli mamy się przekonać, czy zechcę o tym rozmawiać, musi mi pan powiedzieć, o co chodzi.

Siedziałem przez chwilę bez słowa, zmieszany i zawstydzony. Byłem całkowicie pewien, że moje zainteresowanie Grace Fox to nie żadna chora ciekawość, ale nie miałem pojęcia, jak wyjaśnić mu to tak, żeby nie zabrzmiało to w ten właśnie sposób. Pomyślałem, że nie ma co owijać w bawełnę.

- Chodzi o Grace - oznajmiłem. - Grace Fox.

Jego twarz pozostała całkowicie nieruchoma. Właściwie to wręcz zamarł nagle z kieliszkiem w pół drogi do ust i wbił wzrok w punkt gdzieś za moimi plecami. Nie potrafiłem go rozszyfrować. Nie miałem pojęcia, czy wspomina przeszłość, czy też moja zuchwałość wprowadziła go w osłupienie. Przesunąłem się nerwowo w fotelu i wypłem łyček armaniaku.

Zbyt szybko, jak się okazało, bo aż się zakrztusiłem.

Po chwili, która ciągnęła się niczym godzina, spojrział na mnie znowu i powiedział: - Minęło wiele lat, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałbym rozmawiać o Grace, w każdym razie jeżeli rzeczywiście jest pan

tym, za kogo się podaje. - Przerwał na moment. - Wie pan, w dniu, kiedy umarła, umarła również częśćka mnie. Ciągle niełatwo mi o tym mówić.

- Ale maluje pan, żyje, odniósł pan sukces.

- Szczęśliwy traf. Jak to napisał Beckett? „Nie mogę iść dalej. Pójdę dalej”. To historia mojego życia.

- Prawdę mówiąc, nie tylko pana - powiedziałem, myśląc o Laurze. Beckett napisał coś jeszcze, co utkwiło mi w głowie jeszcze za czasów studenckich i czego nigdy nie zapomniałem: „One rodzą okraciem na grobie, światło świeci przez chwilę, a potem znów noc, znów noc[1]”. Ale właśnie ta chwila, pomyślałem, to wszystko, co robimy, żeby ją czymś wypełnić; to, w jaki sposób próbujemy zrozumieć, kim jesteśmy, po co tu jesteśmy, miłość, którą dajemy innym, i ból, który im zadajemy. Ta chwila nazywa się życiem. Nagle, nie wiedzieć czemu, przypomniałem sobie młodą wokalistkę jazzową, której słuchałem poprzedniego wieczoru u Ronniego Scotta; to, jak ożywiła stary numer Someone to Watch Over Me; jak sprawiła, że zabrzmiał, jakby napisano go wczoraj. Gdyby śpiewała tam bez końca, słuchałbym jej całą wieczność i do tego sprowadzałyby się ta chwila między ciemnością a ciemnością. Życie składa się z momentów takich jak te.

Sam odchrząknął, wyrywając mnie z filozoficznych rozmyślań.

- Pokonał pan kawał drogi, żeby porozmawiać o dawno zapomnianym incydencie.

- To nie do końca tak - wyjaśniłem. - Jadę odwiedzić brata w Angouleme, pomyślałem więc, że skorzystam z okazji i po drodze wpadnę do pana.

- No cóż, może przynajmniej zaspokoi pan moją starczą ciekawość i powie, dlaczego chce pan o tym rozmawiać.

Spróbowałem wyjaśnić mu w miarę przystępnie, jak wprowadziwszy się do Kilnsgate House, dałem się wciągnąć w całą tę sprawę, jak informacje o morderstwie i egzekucji przez powieszenie wywołały moją ciekawość, podsyconą następnie przez odkrycie portretu rodzinnego, wspomnienia mojego brata z dnia stracenia Grace Fox oraz rozmowę z Wilfem Pelhamem.

- Wilf Pelham? Teraz pan mówi do rzeczy. To on ciągle żyje?

- Pamięta go pan?

- Oczywiście, że pamiętam. Mam swoje lata, ale do końca jeszcze nie stetryczałem.

Poza tym człowiekowi zazwyczaj w pierwszej kolejności wysiada pamięć krótkotrwała.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. W czasie wojny, jeszcze jako chłopcy, bawiliśmy się razem. Potem na kilka lat, jak to zwykle bywa, straciliśmy ze sobą kontakt. Mieszkałem wtedy w gospodarstwie rodziców i nie przypominam sobie, żeby w całym domu znajdowała się książka, która nie dotyczyłaby cielenia się krów. Ale rodzice Wilfa byli nauczycielami, wykształconymi, kulturalnymi ludźmi i mieszkali we Frenchgate. Należeli do klasy średniej.

Później, kiedy mieliśmy piętnaście czy szesnaście lat, Wilf był jednym z niewielu chłopców w mieście, z którymi mogłem porozmawiać. Znał się na sztuce, muzyce i literaturze. Nie ma pan pojęcia, jakie to było wtedy rzadkie. Lubiłem go, a nawet, muszę przyznać, całkiem sporo się od niego nauczyłem, chociaż był młodszy ode mnie. Byłem wtedy trochę nieokrzesany, nieuformowany. Wcześniej rysowałem głównie krowy na polu albo próbowałem uchwycić jakiś szczególnie ciekawy krajobraz. Wilf nie był taki głupi i ograniczony w poglądach jak reszta. Oni wszyscy... Sam pan rozumie, interesował ich tylko sport, owce i seks, niekoniecznie w tej kolejności. Wilf miał dobre oko, ale jego pasją była przede wszystkim muzyka. Od czasu do czasu wypijaliśmy razem pintę lub dwie. Wpadał nawet przy okazji jagnienia i postrzyżyn, żeby nam pomóc.

- Nie poszedł pan do szkoły plastycznej?

- Nie. Nigdy. Nauczyłem się wszystkiego od innych artystów.

- Gdzie leżało gospodarstwo pana rodziców?

- Przy drodze do Dalton. Wychowałem się tam, ale do szkoły chodziłem w Richmond.

Życie na wsi nie było dla mnie. Jak tylko skończyłem siedemnaście lat, wyprowadziłem się i zamieszkałem w mieście w ciasnej klitce nad sklepem z kapeluszami przy rynku, ale od czasu do czasu wracałem do rodziców, żeby im pomóc. - Parsknął śmiechem. - Właśnie to najczęściej zarzucali mi dziennikarze, przez to w ich oczach byłem kimś gorszym. Sam pan rozumie: zwykły chłopak ze wsi. Ktoś w rodzaju Mellorsa w Kochanku Lady Chatterley, tylko żyjący w tamtych latach. Zabawne, ale nie

zastanowiło pana kiedyś, że przyzwoity film z Lady Chatterley potrafili zrobić wyłącznie Francuzi? A to przecież taka angielska opowieść.

- A co z Kenem Russellem?

- Nigdy nie byłem jego fanem. No, może jeśli nie liczyć Zakochanych kobiet. Tak czy inaczej, zbaczam z tematu. Więc to Wilf powiedział panu o mnie?

- Owszem.

- Ale skąd wie, gdzie mieszkam? Nie widzieliśmy się od jakichś sześćdziesięciu lat.

- Nie wie. Jak już się dowiedziałem, że pan żyje, pomógł mi pana znaleźć znajomy marszand. Jest pan dosyć znanym malarzem. I cenionym.

- Rzeczywiście, tak sędzę.

- Może pan więc coś mi opowiedzieć o tamtej sprawie?

- Nawet całkiem sporo. Pytanie tylko, od czego zacząć. Powinienem chyba od tego, że Ernest Fox raczej nie był miłym człowiekiem.

- Wilf Pelham też tak twierdzi.

Sam skinął głową.

- Fox był aroganckim, zimnym, okrutnym sukinsynem.

- W takim razie dlaczego Grace za niego wyszła?

- Nie od razu można poznać prawdziwe oblicze człowieka. Poza tym był przyjacielem rodziny, człowiekiem mającym, narzuconym Grace przez ojca.

- Więc to było aranżowane małżeństwo?

- Korzystne. W Anglii nie zawieramy aranżowanych małżeństw. Powinien pan o tym wiedzieć.

- Czy znęcał się nad Grace?

- Zależy, co pan przez to rozumie. Nigdy jej nie uderzył, jestem tego pewien. Nie pozwoliłaby na to. Ale traktował ją jak swoją własność i był w stosunku do niej bardzo zimny. Dla kogoś takiego jak Grace to była najgorsza obelga. Potrzebowała... Potrzebowała...

Przepraszam. - Wypił łyk armaniaku i odchrząknął. Nie dostrzegłem w jego oczach łez, ale widać było, że emocje opadły na niego z większą siłą, niż się tego spodziewał. Poczuję wyrzuty sumienia, że go do tego

zmusiłem. Co zrobię, jeśli dostanie ataku serca albo udaru? - Chciałem powiedzieć - kontynuował - że łaknęła opieki, czułości, życzliwości i namiętności.

Potrzebowała romansu. Miała pogruchotaną psychikę. A Ernest był nieczuły i bezduszny. Nie powinno się go było dopuszczać do żadnej istoty ludzkiej pogrążonej w bólu.

- Grace miała pogruchotaną psychikę? Jak to?

- Sądzę, że to się stało na wojnie. Nigdy o tym nie mówiła, ale można to było wyczytać z jej milczenia, z ataków chandry. Wychodziło to na jaw zwłaszcza wtedy, gdy stawała oko w oko z czymś bardzo pięknym. Zawsze płakała, gdy oglądała piękny obraz albo gdy słuchała szczególnie dobrego wykonania jakiegoś utworu. Proszę pamiętać, że była w korpusie pielęgniarek Królowej Aleksandry i spędziła wiele lat za granicą. Rzadko się mówi o heroizmie tych kobiet, a przecież przeszły przez podobny koszmar jak żołnierze.

- Rozumiem, że nigdy nie opowiadała o wojennych przeżyciach?

- Nie. Ale ludzie zwykle o tym nie mówią, prawda? Chcą po prostu zapomnieć, nie rozwodzić się nad tym. Chyba że było się wtedy dzieckiem, wówczas wygląda to zupełnie inaczej.

- Czy pana wojna też jakoś doświadczyła?

- Mnie? - Sam się roześmiał. - W moim przypadku naprawdę nie ma o czym mówić.

To były oczywiście bardzo ciekawe czasy, ale na wsi właściwie byliśmy odseparowani od wszystkiego. Nikt nas nie bombardował ani nie atakował. Ogólnie rzecz biorąc, nie działo się nic nadzwyczajnego. Czasem zaginęła owca, czasem wybuchała panika przed pryszczycą czy kiepskimi żniwami, musieliśmy co najwyżej radzić sobie z urzędnikami z ministerstwa i przestrzegać rządowych dyrektyw dotyczących tego, co i jakiej ilości należy w danym roku uprawiać.

- Więc jak pan spędził wojnę?

- Żyłem w świecie własnej wyobraźni. Udawałem żołnierza albo szpiega. Miałem własny myśliwiec i karty identyfikacji bombowców, maskę gazową w kształcie głowy Myszki Mickey i stalowy hełm. Ojciec wybudował nam nawet w ogródku schron.

Uprawialiśmy na nim warzywa. Pewnego razu usłyszeliśmy gdzieś daleko wybuch pocisku V-1, czasem też przelatywały nad nami niemieckie bombowce. Raz na polu w pobliżu Willance Leap rozbił się messerschmitt. To dopiero było wydarzenie. Oczywiście docierało też do nas mnóstwo plotek z miasta.

- Na przykład?

- Łamanie przepisów o zaciemnieniu, zadzierający nosa ochotnicy z obrony terytorialnej, jeden z członków obrony przeciwlotniczej smalący cholewki do cudzej żony.

Ale była afera. Całe miasteczko o tym mówiło. Od czasu do czasu wybuchał gdzieś pożar, zdarzały się przerwy w dostawach, awantury o to, że obóz jeniecki ulokowano za blisko, ktoś zaginął.

- Kto dokładnie?

- Nat Bunting, młody chłopak. Nasz wiejski głupek.

- Co się stało?

- Właściwie nie wiadomo. Po prostu nagle zniknął z powierzchni ziemi. Nikt go już nigdy nie widział. Nie był do końca normalny, ale ciągle mówił wszystkim, że się zaciągnie, że chce służyć ojczyźnie. Być może to zrobił i poszedł na wojnę, poległ. Mógł też zgubić się w jaskini albo wpaść do jakiegoś dołu. Trudno powiedzieć. A może po prostu się wyniósł?

Zdaje się, że nie miał żadnej rodziny. Zapamiętałem go tylko dlatego, że przychodził czasami do nas do wsi i ojciec dawał mu trochę jedzenia. Kilka razy z nim rozmawiałem. Pod względem umysłowym był wtedy w moim wieku, chociaż miałem tylko sześć czy siedem lat.

- Ale Grace wszystko to ominęło?

- Z tego, co wiem, to owszem. Nie znałem jej wtedy. - Zamilkł na chwilę. - Mówili o niej, że wzięła sobie dzieciaka, ale przecież nie związała się z ośmioletkiem - czy dziewięciolatkiem. - Uśmiechnął się do siebie, po czym spojrzał znowu na mnie i westchnął. - Nie, Grace nigdy nie mówiła o wojnie. Ale właściwie jestem trochę zmęczony. Jak już mówiłem, nie mam nic przeciwko kontynuowaniu tej rozmowy, ale może zjemy dzisiaj po prostu razem kolację?

- Z przyjemnością - zgodziłem się skwapliwie.

- Gdzie pan się zatrzymał?

Wyjaśniłem mu.

- W takim razie spotkajmy się w Le Dome. To zaraz za rogiem Boulevard Montparnasse i Rue Delambre, przy tej samej ulicy co pana hotel. Na pewno pan trafi. Marcel znajdzie nam cichy kącik. Niech pan poda moje nazwisko. I proszę się nie martwić, na pewno przyjdę. Powiedzmy o ósmej.

Dopiłem resztę armaniaku i wstałem.

- A zatem o ósmej - rzekłem. - Proszę nie wstawać. Trafię do drzwi.

Skinął głową. Minąłem korytarz, wyszedłem z mieszkania, a potem zszedłem po schodach i znalazłem się na ulicy.

Przyznam się, że po powrocie do hotelu też uciałem sobie krótką drzemkę. Nie mam wprawdzie siedemdziesięciu ośmiu lat, ale i mnie wiek ostatnio daje się we znaki. Może też była to kwestia wina i armaniaku. Dawno minęły dni, kiedy do lunchu mogłem wypić dwa martini i butelkę czerwonego, a potem przesiadywać do nocy w zadymionych barach nad piątą szklaneczką szkockiej. Dziś bary nie są nawet zadymione.

Tuż przed ósmą, już nieco odświeżony, ruszyłem bulwarem Raspail w stronę świateł Montparnasse'u, mijając kilka kafejek i fitness club, którego członkowiezapaleńcy, wyciskając z siebie siódme poty, biegali na bieżni albo jeździli na rowerach treningowych.

Poczułem wyrzuty sumienia. Od lat nie dałem sobie porządnego wycisku. Ale mniejsza z tym. Gdy dotarłem do szerokiego, ruchliwego skrzyżowania, natychmiast tuż za rogiem po lewej stronie wypatrzyłem Le Dome.

Gdy wszedłem do środka, kelner zmierzył mnie wzrokiem z obrażoną, pogardliwą miną, zastanawiając się najwyraźniej, przy którym z pojedynczych stolików mnie usadzić.

Pamiętając o radzie Sama Portera, podałem mu nazwisko i nagle rozpromienił się i zawołał: Oui, oui, monsieur. Suivezmoi.

Restauracja była duża, dwupoziomowa i można było odnieść wrażenie, że składa się z kilku osobnych sal. Bez wątplenia kelner doskonale znał obowiązującą hierarchię ważności.

Idąc za nim po schodach, a potem skręcając za barem, patrzyłem z podziwem na wystrój w stylu art deco z lat trzydziestych: lekkie meble przykryte różnymi materiałami, obrazy na ścianach, błyszczące mosiężne

poręcze, lustra, pluszowe czerwonopurpurowe ławy, polerowane drewno. Pewnie w takich właśnie miejscach zwykli jadać u szczytu sławy Hemingway, Scott czy Zelda. Obsługiwani przez takich właśnie kelnerów.

Ku memu zdziwieniu Sam czekał już na mnie w małej alce, w znacznym stopniu odseparowanej od pozostałej części restauracji, czytając kryminał z cyklu „Special Suspense”. Gdyby nieco ścieśnić gości, przy naszym stoliku można by ich pomieścić pewnie z sześciu, ale tego wieczoru mieliśmy go tylko dla siebie i mogliśmy się cieszyć sporą przestrzenią. Na ścianach wisiały w pozłacanych ramach krajobrazy impresjonistów.

Sam odłożył książkę i uniósł się nieco, by uścisnąć mi rękę, zanim usiadłem. Miał na sobie białą lnianą marynarkę, fioletową koszulę i krawat, który wyglądał tak, jakby pomalował go Jackson Pollock. Na stoliku stała szklanka z napojem o mlecznej barwie.

Pernod, ricard albo jakiś inny aperitif, domyśliłem się. Podziękowałem za taki sam.

Pomógł mi rozszyfrować menu, dzięki czemu szybko zdecydowałem się na langustę na początek oraz na solę meuniere jako główne danie. Sam poprosił o ostrygi i morlesza.

- Podają tu świetne bouillabaisse - stwierdził - ale obawiam się, że przerasta to w tej chwili moje możliwości. Jest bardzo sycące. - Studiował przez chwilę kartę win i w końcu wybrał na początek butelkę sancerre. Kiedy już złożył zamówienie - doskonałą, przynajmniej na mój gust, francuszczyznę - podniósł kieliszek i powiedział: - Salut. Dał mi pan sporo do myślenia, mój panie kompozytorze. Sprawdziłem pana w Internecie. Zrobił pan niezłą karierę.

Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Widziałem nawet kilka pana filmów.

- Więc to dlatego chciał pan umówić się później? Żeby mnie przeświecić?

Nachylił nieco głowę w moją stronę.

- Po części - przyznał. - Gdy człowiek żyje na tym świecie tak długo jak ja i doświadczył tyle co ja, niełatwo mu zaufać obcemu. Ale pojawiając się tak niespodziewanie, dramatycznie w drzwiach mojego mieszkania, wziął mnie pan przez zaskoczenie i dał mi gigantycznego kopniaka w odległą

przeszłość. Potrzebowałem czasu, żeby pozbierać myśli i się skupić. Na pewno nie życzy pan sobie aperitif?

- Nie - odparłem. - Dziękuję. Szczerze mówiąc, od dziecka nie cierpię zapachu i smaku anyżu. Chyba kiedyś zakrztusiłem się kulką anyżową.

Sam zachichotał.

- Mój Boże, kulki anyżowe. Zupełnie o nich zapomniałem. O landrynkach też.

Pamięta pan? Zmieniały kolor, kiedy się je ssało, a pałeczki lukrecji do zucia przypominały drewnienka.

- Dziś pewnie nie da się już ich nawet kupić. Czy te obrazy to oryginały? - zapytałem, wskazując na ściany.

- Większość. To nie podróbki, jeżeli to ma pan na myśli, choć niektóre są malowane „w stylu”. Dzieła uczniów. Coś w tym rodzaju. - Wzruszył ramionami. - Jeden albo dwa mogą być dosyć cenne. Ale reszta nie bardzo.

- Piękna restauracja - pochwaliłem.

- Rzeczywiście. W starym paryskim stylu. Zobaczymy, co pan powie, kiedy skosztuje pan soli. C'est magnifique. Tak czy inaczej, przypuszczam, że chce mi pan zadać mnóstwo pytań, więc może zacznijmy. Co chce pan wiedzieć?

Właściwie nie przygotowałem sobie żadnego planu rozmowy - nie byłem pewien, co Sam może pamiętać oraz czy w ogóle będzie chciał mówić. Wyobrażałem sobie zwyczajną rozmowę, tak swobodną, jak to tylko możliwe. A już z pewnością nie chciałem, żeby odniósł wrażenie, że go przesłuchuję.

- Był pan kiedyś w Kilnsgate?

- Tylko kilka razy - powiedział, uśmiechając się figlarnie. - Rzecz jasna, musieliśmy być bardzo ostrożni, bardzo dyskretni. Na przykład prawie nigdy nie przekazywaliśmy sobie wiadomości czy listów, a jeżeli już, to zawsze starannie je niszczyliśmy. „Zjedz wiadomość”.

Tak sobie żartowaliśmy. Pod koniec każdego spotkania umawialiśmy się na kolejne w innym miejscu i o innej porze, zawsze mając na podorędziu również plan awaryjny, na wypadek gdyby któreś z nas nie zdołało dotrzeć. Tylko raz dałem jej prezent - srebrną papierośnicę, która kiedyś należała do mojej babki. Przyjęła ją, powiedziała, że jakoś zdoła ją

zatrzymać, ale zabroniła w przyszłości cokolwiek sobie kupować. Pewnie załatuje to trochę historią rodem z powieści płaszcz i szpady, ale uważaliśmy wtedy, że to konieczne. Ernest często wyjeżdżał z miasta, czasem na całą noc, a czasem nawet na dłużej. Oczywiście, jeżeli Randolph był w szkole, a Hetty miała wolne, wykorzystywaliśmy okazję. Chowałem rower w szopie w ogrodzie za domem. Nie muszę panu tłumaczyć, jak daleko zewsząd jest do Kilnsgate House, więc pewnie się pan domyśla, że nie było tak znowu trudno zatroszczyć się tam o dyskrecję. Najczęściej jednak musiały nam wystarczać stodoły, stogi siana, pola i tak dalej. Latem nie było to zbyt uciążliwe, ale zimą... Może pan sobie wyobrazić. Najbardziej lubiliśmy wschodnie wybrzeże późnym latem i wczesną jesienią: Staithes, Whitby, Zatoka Robin Hooda, choć nie mogliśmy tam jeździć tak często, jak mieliśmy ochotę. Spędziliśmy jednak nad nią sporo cudownych dni, spacerując po prostu po drózkach prowadzących przez szczyty klifów, jedząc rybę z frytkami prosto z gazety. Tyle wspomnień. No wie pan, nie przez cały czas uprawialiśmy dziki seks. Wiele godzin przegadaliśmy o sztuce i muzyce, często też po prostu szliśmy w milczeniu przed siebie, trzymając się za ręce, szczęśliwi, że jesteśmy razem. Bywało, że malowałem, a Grace siedziała na trawie i patrzyła na mnie, czasem trochę drzemiąc, czasem marząc. Tamtego dnia, w listopadzie, kiedy złapała nas ulewa i schroniliśmy się przed nią w pensjonacie w Leyburn, byliśmy przekonani, iż oddaliliśmy się na tyle, że jesteśmy bezpieczni, ale to wredne stare babsko z Biblią na plugawych ustach jakimś cudem nas zapamiętało.

- A zatem to prawda? Od tego zaczęło się śledztwo?

- Tak. Gdyby nie ta jej... Kto wie? - Pokręcił powoli głową. - Jeden głupi błąd. Ernest wyjechał do Salisbury do jakiegoś instytutu medycznego czy czegoś w tym rodzaju, a Randolph był w szkole z internatem. Poszliśmy na spacer. Mieliśmy zamiar przenocować w Kilnsgate House, wrócić tam po zmroku, ale dopadło nas oberwanie chmury, uciekł nam ostatni autobus i utknęliśmy w Leyburn. Zastanawialiśmy się, co robić, i ostatecznie doszliśmy do wniosku, że w Kilnsgate i tak nikt nie czeka na Grace, więc możemy zatrzymać się na noc. Postanowiliśmy, że po prostu wybierzemy na chybił trafił jakiś pensjonat, byle nie za blisko drogi. No i trafiliśmy do choleralnej pani Compton. Wydawało mi się, że ją poznaję, że kiedyś spotkałem ją w Richmond, gdy naprawiałem jakieś ściany czy coś w tym rodzaju, ale Grace powiedziała, że wymyślam. Pensjonat był naprawdę

parszywy. Zimny, ponury, brzydki, niewygodny. Wytarte dywany. Koce jak ze śmietnika. Cały obwieszony ulotkami kościelnymi i cytatami z Biblii. Na ścianach również wisały jej haftowane fragmenty.

Metodyści. Módl się i pracuj, żadnych rozrywek. Ciarki mi przeszły po plecach. Najpierw w ogóle nie chciała nas przenocować. Nie wierzyła, że jesteśmy małżeństwem. Dopiero kiedy zapłaciłem jej ekstra, uznała, że wszystko w porządku. Byliśmy karygodnie lekkomyślni, jeżeli spojrzeć na to z perspektywy czasu. Leyburn leży nie tak znowu daleko od Kilnsgate House. Ale właściwie nie mieliśmy wyboru, poza tym skąd mieliśmy wiedzieć, że Ernest Fox miesiąc później umrze? Wiem też, że powinienem był po prostu pójść do Grace, poprosić ją o pieniądze i spłacić tę starą wiedźmę. Nie żądała dużo. Grace zapłaciłaby, gdyby to oznaczało dla nas spokój.

- Wróciłaby po więcej - spróbowałem go pocieszyć. - Tak to już jest z szantażystami.

Sam pomasował sobie czoło.

- Pewnie tak. Po prostu tupet tej staruchy wyprowadził mnie z równowagi. I jej hipokryzja. Obawiam się, że dałem się sprowokować, co jeszcze bardziej nastawiło ją przeciw nam. Miała nawet czelność sfabrykować jakieś bzdury, które rzekomo podsłuchała. Zwyczajne kłamstwa.

- To znaczy?

- Kłamstwa, które powtórzyła przed sądem. Zeznała, że podsłuchała, jak Grace szeptem mówi mi o swoim zamiarze pozbycia się Ernesta i zgarnięcia jego pieniędzy, otrucia go, żebyśmy mogli razem uciec.

- Rozumiem, że nigdy o czymś takim nie rozmawialiście, nawet w cztery oczy?

- Nigdy. Być może fantazjowaliśmy, jakie to życie nas czeka, kiedy będziemy wolni, jak to cudownie byłoby móc być zawsze razem. Grace może nawet marzyła na głos, że Ernest kiedyś umrze i razem wyjedziemy. Do Paryża. Do Rzymu. Może nawet mówiła, że byłaby szczęśliwa, gdyby zniknął. Ale żadne z nas nigdy nawet nie napomknęło o tym, by go otruć czy w inny sposób zabić. Grace i ja byliśmy oboje trochę cyganami i Bóg mi świadkiem, że nie przejmowaliśmy się konwencjonalną moralnością, ale mieliśmy poukładane w głowach i nie byliśmy mordercami. Żadne z nas nie było też tak głupie, żeby wykoncytować sobie, że możemy zabić Ernesta i

ujdzie nam to na sucho. Przez myśl nam to nie przeszło. Mogliśmy mieć co najwyżej nadzieję, że znudzi się Grace i wyrzuci ją z domu, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że znęcanie się nad nią i kontrolowanie jej sprawia mu zbyt dużą przyjemność.

- Sądzi pan, że właśnie dlatego go zabiła?

Spojrzał na mnie surowym, pytającym wzrokiem.

- A dlaczego pan myśli, że to zrobiła? - zapytał.

Na sekundę zaniemówiłem i musiałem mieć bardzo głupią minę. Dotychczas celowo unikałem pytania o to, czy Grace była winna. Na szczęście w tym właśnie momencie kelner podał przystawki i sancerre. Otworzywszy wino, nalał trochę Samowi, żeby spróbował, po czym napełnił nam kieliszki. Następnie odstawił butelkę do wiaderka z lodem na stojaku obok stolika, nakrył ją białą lnianą serwetką i odszedł.

- Staram się być otwarty na różne możliwości - odpowiedziałem na pytanie Sama, kiedy już skosztowaliśmy wyśmienitych przystawek. Tak często oskarżano mnie o to, że chcę dowieść niewinności Grace, iż starałem się teraz w miarę możliwości zachować neutralność.

Powinienem był się jednak domyślić, że kto jak kto, ale Sam Porter z pewnością nie wierzy w jej winę.

Malarz wycelował we mnie widelec.

- I bardzo dobrze. Zanim wrócimy do głównego wątku, pozwoli pan jednak, że powtórzę to jeszcze raz. Ani ja, ani Grace nigdy nie mówiliśmy ani nie marzyliśmy o zamordowaniu Ernesta Foga. Po prostu nie byliśmy mordercami. Nie zastanawialiśmy się nad tym, nie rozważaliśmy tego. I wiem, że w powszechnej opinii to właśnie moja reakcja na oskarżenia tej staruchy oczyściła mnie z zarzutów, dowiodła mojej niewinności, bo gdybym miał cokolwiek do ukrycia, to przecież nie wysłałbym jej do czorta, powiedziawszy wcześniej, co o niej sądzę - spłaciłbym ją albo również zamordował.

- Powiedział pan policji, że przysłała do pana i pana szantażowała?

- Oczywiście.

- I co oni na to?

- Roześmiali mi się w twarz.

- A jaką według nich odegrał pan w tym wszystkim rolę?

- Rzecz jasna byli przekonani, że jestem jej współnikiem. Zwłaszcza kiedy ta druga kobieta zaczęła mówić. Niektórzy z nich znali mnie i już wcześniej patrzyli spode łba na chłopaka ze wsi, który porzucił gospodarkę, żeby zostać artystą, i zarabia na życie, łatając ściany czy płoty albo reperując samochody i motocykle. Przesłuchiwali mnie godzinami. A nawet spuścili mi lekkie manto. Cholerny Dettering i jego bandyci. Ale nie mieli dowodów.

- Jaka druga kobieta?

- Właścicielka pubu w Barnard Castle powiedziała, że podsłuchiwała, jak rozmawiamy o tym, że „chcemy się kogoś pozbyć”.

- Mówiła prawdę?

- Skądże znowu! Tego dnia nie byliśmy nawet w pobliżu Barnard Castle. Faktycznie, byliśmy w Leyburn, ale do Barnard Castle nie dotarliśmy! Zresztą zanim jeszcze rozpoczęła się rozprawa, kobieta została zdyskredytowana jako plotkarka szukająca rozgłosu - okazało się, że to nie jest jej pierwszy raz - ale szkód, jakich narobiła, nie dało się naprawić, bo policja po prostu wiedziała już swoje. Poza tym zaczęli się ujawniać kolejni „świadkowie”.

- To znaczy?

- Kolejni plotkarze, miłośnicy tanich sensacji. Twierdzili, że widzieli nas razem albo słyszeli, jak coś knujemy. Niektórzy utrzymywali, że na własne oczy widzieli wychodzących z Kilnsgate House jeszcze innych mężczyzn, kiedy doktora Foxa tam nie było. Zaczęło się od tej całej Compton, a potem trucizna rozlała się po całym mieście. Wszędzie sączył się jad: w kaplicy, w szkółce niedzielnej, wszędzie tam, gdzie wznoszono wysoko latarnię moralności.

Wzięli pod lupę dosłownie wszystko, co Grace powiedziała i zrobiła przez ostatnie pół roku albo i więcej. Kto by się temu oparł? Przekręcili i zinterpretowali wszystko, co mówiła i robiła. Jeżeli na przykład Kilnsgate odwiedził stroiciel fortepianów, to nagle okazało się, że ktoś widział mężczyznę wychodzącego z domu Grace w czasie, kiedy powinna być sama.

Oczywiście wszystko to były bzdury, łatwe w sumie do podważenia, ale jak już mówiłem, bardzo jej to zaszkodziło. Ktoś widział ją na Castle Walk, jak kilka dni przed domniemanym morderstwem rozmawiała z jakimś

umundurowanym młodym mężczyzną, co natychmiast stało się tematem plotek, potem ktoś inny dodał, że takiego czy innego dnia jakoś tak za długo rozmawiała z młodziutkim sprzedawcą. To było żałosne. Z wszystkiego próbowali zrobić sensację, przedstawić ją jako ladacznicę, udowodnić, że byłem tylko jednym z wielu jej kochanków.

- Kto tak twierdził?

- Ludzie w mieście. Policja.

- A kim był ten młody mężczyzna w mundurze? O czym rozmawiali? Wie pan?

- Nie mam pojęcia. Ostatni raz widziałem się z Grace w połowie grudnia. Randolph wrócił ze szkoły, a ona była zajęta przygotowaniami do świąt. Z kolei ja kilka dni przed gwiazdką spędziłem z wujem w Leeds, gdzie próbowałem naprawić jak najwięcej gruchotów, żeby zarobić na prezenty. Potem pojechałem do rodziców na święta. W Richmond nigdy nie było wystarczająco dużo roboty, żebym mógł tylko malować.

- Czy mąż Grace wiedział o waszym romansie?

- Jeżeli tak, to nigdy jej o tym nie wspomniał albo ona nigdy mi o tym nie powiedziała.

- Rozumiem. - Zamilkłem na chwilę, próbując uporządkować w myślach wszystko, czego się dowiedziałem. - Ale ostatecznie policja nie postawiła panu żadnych zarzutów?

- Nie. Niczego mi nie mogli udowodnić. Zresztą nic dziwnego. O co mnie mieli oskarżyć, o romans? Wprawdzie w ich oczach miałem równie mocny motyw jak Grace, ale nie bardzo mogłem jej pomóc w morderstwie. Kiedy do niego doszło, byłem w domu rodziców na wsi, zagrzebanym po komin w śniegu. Mogli mnie próbować co najwyżej oskarżyć o planowanie zabójstwa, a i to była śliska sprawa.

- Próbowali to udowodnić w sądzie? Zeznawał pan?

- Nie udało im się mnie do tego zmusić. To znaczy, nie powiedziałem tego, co chcieli.

Byłem świadkiem oskarżenia. Jak by to powiedział bohater Perry Masona? Niechętny świadek? Wrogo nastawiony? Nie pamiętam. Ale jeżeli im się wydawało, że pomogę im zaprowadzić Grace na szubienicę, to się grubo mylili.

- Co pan dokładnie zeznał?

- Prawdę, przynajmniej próbowałem, jeśli tylko mnie dopuszczali do słowa. Ale prokuratora interesował wyłącznie mój romans z Grace, mój młody wiek, jak mogliśmy, gdzie to robiliśmy i tym podobne. Chodziło o to, żeby ustalić jej motyw, bo mnie nie udało się oskarżyć. Zrobili sobie teatrzyk, cholerni obrońcy moralności. Nieważne, co mówiłem, przysięgli i tak byli przeciwko mnie. Jeżeli próbowałem bronić Grace, zakładali, że kłamię, żeby ją wybielić, bo przecież ją kocham. Godne podziwu, ale mało przekonujące. Ale nieważne, co ten sukinsyn insynuował, nieważne, jak mnie atakował, nie powiedziałem nic, co mogłoby zaszkodzić Grace, i w końcu dali sobie ze mną spokój. Może mi pan wierzyć albo nie, ale prokurator zasugerował nawet, że bardzo sprytnie urządziłem to wszystko tak, że Grace wzięła całą winę na siebie. Według niego dobrze wiedziałem, że jeśli odmówię spełnienia żądań tamtej staruchy, dojdzie do śledztwa, a w efekcie do aresztowania Grace.

Skwitował wszystko stwierdzeniem, że mam szczęście, bo sam powinienem stanąć przed sądem z zarzutem o morderstwo.

- Ale dlaczego miałby pan zrobić coś takiego kobiecie, którą pan kochał?

- Zapytałem dokładnie o to samo. Sędziowie nie postrzegali jednak miłości w tak romantyczny sposób. Uważali, że Grace zrobiła to dla pieniędzy. A przecież one jej w ogóle nie obchodziły.

- A czy przesłuchiwał pana obrońca Grace?

- Oczywiście, ale co niby miał zrobić? Szkód nie dało się już wtedy naprawić. Poza tym, co właściwie miałem mu powiedzieć? Że ją kochałem? Tak, kochałem. Że mieliśmy romans? Tak, mieliśmy. Że jej mąż był mizoginicznym palantem? To by było coś, gdyby takie słowa padły z ust chłopca ze wsi. Myślę, że sędzia należał nawet do tego samego klubu golfowego czy łowieckiego. Fox miał koneksje, był jednym z nich. Mogłem tylko powiedzieć, że Grace i ja byliśmy dwiema zagubionymi, zakochanymi duszami i że żadne z nas nigdy nikogo by nie skrzywdziło. Ale kto by w to uwierzył? Same moje słowa nikomu by nie wystarczyły.

Gdy Sam mówił, w jego oczach wezbrały łzy i musiał przerwać na chwilę, żeby opanować emocje.

- Przepraszam - powiedział. - Nie miałem pojęcia, że po tylu latach rozmowa o tym ciągle może mnie tak zdenerwować i zasmucić. Cóż za strata. Grace była delikatną, czułą kobietą. Naprawdę nie wierzę, że mogłaby kogoś zamordować.

- Uważa pan zatem, że została powieszona w wyniku pomyłki?

- Nie pierwsza. I nie ostatnia.

- Odwiedził ją pan w więzieniu?

Sam wbił wzrok w talerz i pokręcił głową.

- Nie byłem w stanie spojrzeć jej w oczy, a ona poprosiła mnie, żebym nie przychodził, powiedziała, że pogodziła się z losem i że gdyby mnie zobaczyła, trudniej byłoby jej to wszystko znieść. Pękłoby jej serce. Widzieliśmy się po ostatni w połowie grudnia, potem dopiero w sądzie. Pisaliśmy do siebie raz czy dwa. Nawet to było trudne.

Zeznając, powiedziała, że nie miałem nic wspólnego z tym, co się stało, i że nic nie wiem o śmierci jej męża. To również pomogło mi oczyścić się z zarzutów.

- Ale sama nie przyznała się do morderstwa?

- Nie. Nigdy. Zawsze twierdziła, że zmarł na atak serca; że próbowała mu pomóc, ale było za późno. A ja jej wierzę.

- Wydaje się to dosyć prawdopodobne. Ale w takim razie co się stało? Dlaczego w ogóle ktoś pomyślał, że go otruła?

- Potas. Okazuje się, że objawy zatrucia potasem przypominają te, które towarzyszą atakowi serca.

- Co Grace napisała panu w liście?

- Prosiła, żebym o niej zapomniał, żebym żył dalej.

Przełknąłem ślinę. Prawie dokładnie to samo powiedziała mi Laura, kiedy nabrała już pewności, że umrze.

- A czy Grace zapewniała pana jakoś, że jest niewinna? - zapytałem. - Powiedziała, że tego nie zrobiła?

Sam spojrzał na mnie niechętnie znad widelca.

- Nie musiała.

- A co z dowodami?

Parsknął śmiechem.

- Jakimi dowodami? W procesie Grace chodziło wyłącznie o obrazę moralności, o status społeczny jej męża. O to, że miała romans z o wiele młodszym mężczyzną, w dodatku zwykłym chłopskim synem, przez co jej mąż tym bardziej wydawał się ofiarą i zasłużył sobie na jeszcze większe współczucie ze strony przysięgłych.

- Uważał pan, że świat sprzysiągł się przeciw panu?

- A co niby, do jasnej cholery, miałem myśleć? - Sam zamilkł na chwilę, próbując się nieco uspokoić, po czym wbił we mnie przenikliwy wzrok i znowu wycelował w moją stronę widelec. - Co więcej, nie zmieniłem zdania. Powinien pan to zrozumieć, zważywszy na pana pochodzenie. Jak często zdarzało się panu, że ktoś pana osądza, a pan może co najwyżej czekać na moment, w którym mógłby pan otworzyć usta? Przecież dlatego uciekł pan do Ameryki.

- No cóż - rzekłem wymijająco. - Tamtejsze dziewczęta z pewnością przepadają za angielskim akcentem. W ogóle za wszystkim, co angielskie. Nie wiedziałem, że tyle można się o mnie dowiedzieć z Internetu.

Sam nalał nam jeszcze trochę wina i spojrzał na mnie krzywo.

- Zdziwiłby się pan.

- Czy nikt inny nie wiedział, jakim człowiekiem jest Ernest Fox?

Malarz znowu parsknął śmiechem.

- Wszyscy wiedzieli. Sęk w tym, że nie różnił się zbyt od reszty przedstawicieli swojej klasy. Piękna żona to tylko piórko w kapeluszu, coś, co można sobie powiesić na ramieniu, jeżeli wybaczy mi pan to niezręczne w tej sytuacji wyrażenie. Więc nikt nie protestował. A mnie nawet nie dano takiej możliwości. Prokurator kilka razy próbował mnie do tego sprowokować, sukinsyn chciał, żebym zaczął obwiniać Foxa, ale adwokat Grace był na tyle bystry, żeby wiedzieć, że jeżeli obrzucę w sądzie błotem szanownego pana doktora, to tylko jej zaszkodzę. Nikt nie chciał zapuszczać się na te tereny. To przecież wszystko jedynie gra, stan delikatnej równowagi. Chodziło wyłącznie o to, by udowodnić, że Grace była kobietą zimną, że to z jej powodu sypiali w osobnych pokojach, bo nie mogła znieść dotyku męża i odmawiała mu przysługujących małżonkowi praw.

- A jak było naprawdę?

- Zupełnie odwrotnie. Kiedy Grace była w szóstym miesiącu ciąży z Randolphem, przeniosła się do innej sypialni, a gdy chłopiec się urodził, Ernest doszedł do wniosku, że mu to odpowiada. Dała mu już dziedzica. Nigdy więcej jej nawet nie dotknął.

[1] Samuel Beckett, Czekając na Godota, przeł. Antoni Libera.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Śnieg wreszcie przestał padać i rankiem w niedzielę, 4 stycznia 1953 roku, dwa dni po tragicznych wydarzeniach, jakie rozegrały się w Kilnsgate House, miejscowym służbom udało się pługiem odśnieżyć drogę dojazdową. Telefon nadal nie działał i ciągle nie było możliwości nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym. Szybko jednak sytuacja została wyjaśniona i przyjechał ambulans, choć wtedy pielęgniarze mogli już jedynie zabrać ciało Ernesta Foxa do kostnicy. Grace zostawiła je w łóżku, przykrywając tylko czystym białym prześcieradłem. Pozwoliła wygasnąć ogniovi w kominku w jego sypialni i nie rozpałała go na nowo, dzięki czemu zimowy chłód podziałał jak środek konserwujący, zapobiegając nieprzyjemnym objawom rozkładu ciała.

Trudno wyobrazić sobie komuś, kto nie był świadkiem tych wydarzeń, napięcie, rozpacz i przerażenie, jakie ogarnęło tę czwórkę osób uwięzionych przez dwa dni w Kilnsgate House, gdy za oknami szalała wichura, a śniegu wciąż przybywało. Kiedy w końcu dotarła pomoc, w szczególności Lambertowie i Hetty Larkin byli bez wątpienia wdzięczni, iż po dwóch dniach spędzonych z trupem i pogrążoną w żałobie wdową mogą wrócić do domu. Co czuła pogrążona w żałobie wdowa, nigdy się nie dowiemy.

W tych dniach nie było powodu, żeby podejrzewać maskaradę i policja początkowo nawet nie przeszukała domu. Jednakże, ponieważ od śmierci dr. Foxa do „znalezienia” ciała upłynęło sporo czasu, a poza tym należało stwierdzić oficjalną przyczynę zgonu, koroner wszczął postępowanie. Grace Fox opisała czynności, które podjęła, stwierdziwszy, że jej mąż dostał ataku serca. Zebrano dowody medyczne, a lekarz sądowy, który przeprowadził pobieżną sekcję zwłok, ustalił, że dr Fox faktycznie zmarł z

przyczyn naturalnych - na zawał mięśnia sercowego - i na podstawie tego orzeczenia wydał akt zgonu. Śledztwo zostało zawieszono, śmierć doktora pogrzebiona w żalu całą społeczność, a pogrzeb zaplanowano na piątek, 9 stycznia. Felicity, siostra Grace, oraz jej mąż Alfred, jak tylko dowiedzieli się o śmierci Ernesta Foxa, natychmiast przyjechali do Kilnsgate.

I na tym etapie sprawa powinna być zamknięta.

Jednakże 8 stycznia Kenneth Dettering, miejscowy inspektor wydziału dochodzeniowego, otrzymał niepokojącą wiadomość od niejakiej Patricii Compton, prowadzącej pensjonat w Leyburn i utrzymującej, że Grace Fox „romansowała” tam z lokalnym artystą i złotą rączką, niejakim Samuelem Porterem, „zwykłym gówniarzem”, jak to określiła pani Compton, i że podsłuchiwała rozmowę, jaką przeprowadzili w holu jej pensjonatu, w której omawiali plan pozbycia się męża pani Fox poprzez otrucie i wspólnej ucieczki.

Rzecz jasna, Samuel Porter był w pożałowania godnej sytuacji finansowej i bez pieniędzy Ernesta Foxa oboje kochankowie wkrótce znaleźliby się w prawdziwych tarapatach. Grace Fox była z kolei znana z ekstrawaganckiego stylu życia oraz zamiłowania do drogiej rzeczy.

Inspektor Dettering doszedł do wniosku, że jeśli chciała uciec z młodym mężczyzną, rzeczywiście mogła zapragnąć zrobić to, korzystając z pieniędzy męża.

Rozpytawszy dyskretnie w okolicy, inspektor potwierdził u kilku miejscowych sklepikarzy i właścicieli gospód, że Grace Fox z całą pewnością była tego dnia widziana z młodym Porterem w Leyburn, a także że widziano ich razem również w innych miejscach.

Dowiedział się też o posadzie, o objęciu której dr Fox wspomniał w czasie noworocznej kolacji i z którą wiązał się wyjazd nie tylko szanownego pana doktora, ale też i jego żony z Richmond i - co istotniejsze - rozstanie z jej kochankiem Samuelem Porterem.

Przypuszczając, że groźba zerwania mogła być tym, co ostatecznie pchnęło Grace Fox do czynu, inspektor Dettering natychmiast poinformował o swych podejrzeniach koronera i po krótkiej sprzeczce na temat procedur prawnych pogrzeb został przełożony, polecano przeprowadzić ponownie sekcję zwłok, wznowiono dochodzenie oraz natychmiast wszczęto policyjne śledztwo w sprawie - jak to od tego momentu określano - „podejrzanego” zgonu.

Październik 2010

Po kawie i sycącym deserze czekoladowym Sam zachnął się tylko na moją propozycję zapłacenia za nas obu i zapytał, czy dam się jeszcze zaprosić na wieczornego drinka u niego w mieszkaniu. Było ciągle dosyć wcześnie, dopiero po dziesiątej, a wieczorna przechadzka po paryskich bulwarach wydała mi się przyjemną perspektywą, odparłem więc, że z przyjemnością.

Ruszyliśmy wąską Rue Delambre, mijając zamkniętą poissonerie, gdzie na wilgotnym chodniku ciągle można było jeszcze wyczuć zapach dzisiejszej dostawy. Sam miał na głowie słomkowy kapelusz, a w rękę dzierżył laseczkę z główką w kształcie lwa, służącą mu zresztą raczej za rekwizyt niż ułatwiającą chodzenie. Szedł powoli, ale trzymał się prosto i nawet odrobinę się nie zasapał. Czekaając na zmianę świateł, zatrzymaliśmy się przy Boulevard Edgar Quintet, obok pogrążonego w mroku cmentarza.

- Może się to panu wydać trochę dziwnym pytaniem - odezwałem się - ale czy kiedy widział pan Grace po raz ostatni, nie wydawała się czymś zmartwiona? Nie była przypadkiem zaniepokojona, zatroskana, przygnębiona bardziej niż zwykle, czy coś jej może nie gryzło?

- Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, z pewnością nie - odparł Sam. - Ale musi pan pamiętać, że to było trzy tygodnie przed śmiercią jej męża, a w naszym związku chodziło o coś zupełnie innego. Żyliśmy we własnym świecie, świecie fantazji, jeżeli woli pan to określenie. Nawet jeśli Grace miała w domu jakieś kłopoty, to nie mówiła mi o nich.

Właściwie nie bardzo wiedziałem, o czym myśli. Uwielbiała sztukę, muzykę, książki i o tym właśnie rozmawialiśmy, jeżeli akurat się nie kochaliśmy. Nie przejmowaliśmy się pieniędzmi i światem materialnym. Sądzę, że dla Grace nasz związek był ucieczką, czasem poza czasem.

Jestem pewien, że w końcu by się mną zmęczyła. Niepokój, zniecierpliwienie leżały w jej naturze. Nie rozumiałem jej, nie wiedziałem, czego szuka.

- Była religijna?

- Tak bym tego nie określił. Z pewnością nie na tradycyjną modłę. Mówiła, że straciła wiarę, choć nigdy nie wyjaśniła mi dlaczego, ale sądzę, że ciągle z tym walczyła.

Podejrzewam, że była głęboko uduchowioną osobą. Z niektórymi ludźmi tak to już jest, wydaje się, że mogą pójść tylko w jedną albo drugą stronę, zostać albo stuprocentowymi ateistami, albo nawróconymi katolikami. Grace lubiła Grahama Greene'a. Należał do jej ulubionych powieściopisarzy. To chyba o czymś świadczy.

- Greene był nawróconym katolikiem.

- Właśnie, ale wydawało się, że zawsze z tym walczy. Grace chodziła do kościoła, żeby zachować pozory. Wtedy wszyscy ludzie o jej pozycji społecznej chodzili. Ale pewnie myślała o Bogu częściej niż wielu uważających się za wierzących. W kościele potrafiła wytrzymać tylko z jednego powodu - muzyki. Śpiewała w chórze i od czasu do czasu grywała na organach. Uwielbiała Bacha i Händla. Rozumie pan, sam jestem ateistą, ale nie oznacza to, że nie cenię Michała Anioła i Giotto.

- Wspominała panu kiedyś o swoich problemach albo o tym, co czuje do męża?

- Powiedziała mi o oddzielnych sypialniach, ale tylko dlatego, że to ja byłem zazdrosny i ciągle jej powtarzałem, że nie potrafię znieść myśli o kimś, kto jej dotyka, kocha się z nią, zwłaszcza myśli, że robi to on. Natychmiast mnie zapewniła, że z nikim innym nie sypia, nawet z mężem. Od czasu do czasu wspominała też co nieco o swoich codziennych zmartwieniach, ale nigdy mnie tym nie obarczała. Nie o to chodziło w naszym związku. Nie spotykała się ze mną po to, żeby opowiadać o obtartym kolanie Randolpha, o jego kłopotach w szkole czy czymś w tym rodzaju. Czasem bywała milczącą, nieobecna, nawet humorzasta, ale jak już mówiłem, najczęściej przenosiliśmy się razem do naszego wspólnego idealnego, romantycznego świata. Inni ludzie dla nas nie istnieli - w każdym razie do momentu, kiedy nie wkroczyli z buciorami w nasze życie. Nasz romans był czymś bardzo kruchym, nieuchwytnym. Nie, nie mówiła mi o tym, jak traktuje ją mąż. Domyśliłem się tylko, że jest człowiekiem zimnym i okrutnym, ponieważ czasem wpadała w ponury nastrój, wyczytałem to też z kilku jej aluzji.

- Skoro tak się kochaliście i nie przejmowaliście się pieniędzmi, to dlaczego Grace po prostu nie rozwiodła się z Ernestem i nie uciekliście razem? Ludzie często tak robią i robili tak również w latach pięćdziesiątych.

- Oczywiście, że robili. Czasem. Ale byli o wiele bardziej napiętnowani niż dziś. I przede wszystkim Ernest Fox nigdy by na to nie pozwolił. Nie wyobrażam sobie, że mógłby oskarżyć żonę o zdradę i przyznać publicznie, że jest rogaczem. Ludzie tacy jak on zamiatają tego typu sprawy pod dywan, dochodzą do swego rodzaju porozumienia, w sprawach osobistych ranią się dalej nawzajem, pokazując światu maskę człowieka cywilizowanego.

Mężczyzna jego pokroju zmusiłby ją do powrotu do domu, gdyby odważyła się go zostawić, już chociażby po to, by udowodnić, że ma nad nią władzę.

- Ale z tego, co rozumiem, Grace zawsze była trochę buntownicza, zawzięta, nie ulegała konwenansom, prawda? Na przykład jeździła na motocyklu. W tamtych czasach było to chyba dość niezwykle.

Sam uśmiechnął się do mnie smutno.

- Vincent. Tak. Ale to była trochę poza. Nauczyła się jeździć w czasie wojny i okazało się, że naprawdę to lubi. Co jednak nie oznaczało, że potrafiłaby porzucić męża i dziecko, nie wspominając już o statusie społecznym i wygodnym życiu. Aż taką buntowniczką nie była.

Może kiedyś zrobilibyśmy to, ucieklibyśmy, gdyby nasz związek trwał dalej, ale nie zdecydowaliśmy się na to, a potem było już za późno. Jeżeli rzeczywiście ktoś mógł podsłuchać, jak o czymś mówimy, mogły to być właśnie nasze fantazje na temat wspólnej ucieczki. Ale niezależnie od tego, co czuliśmy, gdy byliśmy ze sobą, kiedy się rozstawaliśmy, oboje zdawaliśmy sobie raczej sprawę, że to się nie wydarzy. Że nie mamy tyle śmiałości.

Czasem marzyciele pozostają tylko marzycielami. No i niech pan nie zapomina, że było jeszcze dziecko. Nie zostawiłaby Randolpha Ernestowi, a raczej nie moglibyśmy go zabrać ze sobą. W świecie naszych fantazji nie było miejsca dla dziecka. Poza tym, choć Ernest nie przepadał jakoś szczególnie za chłopcem, gdybyśmy mu zabrali Randolpha, dopadłby nas choćby na końcu świata, żeby odzyskać swojego dziedzica.

Zmieniły się światła i przeszliśmy przez ulicę, kierując się ku Rue de la Gaîte, a następnie Rue Froidevaux, od której odchodziła wąska uliczka Sama. W kawiarenkach i bistrach siedziało mnóstwo ludzi, a kiedy mijiałem jeden z lokali, nagle poczułem zapach gauloise'ów, który wywołał u mnie wspomnienia z czasów szkolnych. W sklepiku z artykułami tytoniowymi

przy Boar Lane w centrum Leeds kupowaliśmy różne egzotyczne gatunki papierosów - różnokolorowe, pastelowe Sobranie Coctails ze złotymi filtrami, Sobranie Black Russians z długimi czarnymi rurkami, owalne Passing Cloud, Pall Malle i Petery Stuyvesanty z Ameryki oraz Camele, o których byliśmy przekonani, że naprawdę są robione z wielbłądziego łajna, wreszcie z Francji Disque Bleu, żółte Gitanesy i Gauloise'y.

Większość smakowała okropnie i paląc, strasznie kasłaliśmy, ale uparcie kopciliśmy dalej, przekonani, że jesteśmy bardzo światowi.

- Jak się spotkaliście? - zapytałem, gdy dochodziliśmy już do właściwej kamienicy.

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Latem, na wystawie malarstwa zorganizowanej w miejscowej hali targowej. To było dziewiętnastego lipca, pamiętam, w dniu rozpoczęcia olimpiady w Helsinkach. Zrobiła się afera, że niby Rosjanie wracają.

- A Grace?

- Po prostu się rozglądała. Pomyślałem, że wygląda olśniewająco. Gdyby ją pan wtedy widział! - Pokręcił głową. - „Wiek jej nie zgniata, życie nie zużywa jej nieskończonych powabów”[2]. Wiek po prostu nie miał znaczenia. Dzień był ciepły i miała na sobie lekką, żółtą sukienkę oraz kapelusz z szerokim rondem, z dopasowaną wstążką i piórkiem. Może się to panu wydać dziwne, ale najpierw zwróciłem uwagę na jej stopy. Przyszła we włoskich sandałach na wysokim obcasie, których nie widywało się zbyt często w Richmond. Miała bardzo eleganckie kostki i szlachetne podbicie.

- Oko artysty? - zauważyłem.

Uśmiechnął się do mnie szelmowsko.

- Właśnie. - Mimo wieku, w oczach ciągle igrała mu iskierka. - Miała też wachlarz w orientalny wzór, którym od czasu do czasu rozganiała wilgotne powietrze. Wydała mi się trochę afektowana, ale z pewnością atrakcyjna. Tak czy inaczej, zaczęliśmy rozmawiać o jednym z obrazów, który chciała kupić do swojego pokoju do szycia, dosyć anemicznej akwareli Easby Abbey, jeżeli dobrze pamiętam, a ja próbowałem przekonać ją, żeby wybrała raczej mój obraz. Potrzebowałem pieniędzy. W końcu zorientowała się, o co mi chodzi, i się roześmiała.

- Kupiła pana obraz?

- Tak. Poszliśmy na rynek na filiżankę herbaty. Zupełnie niewinne spotkanie, żeby było jasne. Jak już mówiłem, grzebałem wtedy trochę przy samochodach, byłem mechanikiem i częściowo z tego się utrzymywałem. Powiedziała, że z jej Vincentem coś jest nie tak, a ja obiecałem rzucić na niego okiem. Zapytałem, czy w zamian mogę namalować jej portret. Wiedziała sporo o sztuce, muzyce i poezji. Była miłośniczką prerafaelitów, którzy według mnie reprezentowali nurt pretensjonalnego erotyzmu. Nie zgadzaliśmy się w tej kwestii, trochę się sprzeczałyśmy, ale nie miało to znaczenia. Tak właśnie wszystko się zaczęło. Od początku byłem nią oczarowany.

- A Grace?

- Przypuszczam, że ją raczej bawiłem. Niech pan nie zapomina, że oboje byliśmy bardzo nieśmiali. Zarówno dla niej, jak i dla mnie było to coś zupełnie nowego.

- Powiedziała to panu?

- Że od ślubu nie miała innych kochanków? Tak. Byłem bardzo zazdrosny. Ciągle ją rozpytywałem. Powiedziała mi, że kiedyś, w czasie wojny, pocałował ją pewien oficer, ale do niczego więcej nie doszło.

- Dlaczego więc wtedy doszło? I dlaczego z panem?

Sam zamilkł i wpatrzył się gdzieś w dal.

- Bóg wie dlaczego. Była znudzona, nieszczęśliwa. Zbyt długo żyła w kłamstwie.

Wzruszył ramionami.

- A ten obraz, który kupiła - powiedziałem. - Pamięta go pan?

- Czy pamiętam? Jak mógłbym zapomnieć? To był olejny obraz wapiennika nieopodal Kilnsgate House. Powiesiła go nad kominkiem w jednym z pokoiów na górze, w tylnej części domu. To był jej pokój. Szyła w nim, czytała, szukała schronienia przed mężem, spokoju i ciszy. Miała tam prześliczny stary orzechowy sekretarzyk z roletą, przy którym siadywała i pisała listy. Oczywiście natychmiast rozpoznała widok i oboje doszliśmy do wniosku, że to dziwne, że musiałem tam być kilka razy, szkicując zarys obrazu, i nigdy mnie nie widziała. A przecież przy drodze do Kilnsgarthdale każdy obcy rzuca się w oczy.

- Ciągle tam wisi - rzekłem. - Obraz. Podoba mi się.

Słowa Sama podekscytowały mnie w zupełnie niewytłumaczalny sposób. Dawny pokój do szycia Grace był teraz moim gabinetem. Można powiedzieć, że mnie wybrał.

Namalowany przez Sama pejzaż z wapiennikiem ciągle tam wisiał, obok wciąż stał fotel, na którym spędzała całe godziny, czytając i szyjąc, a sekretarzyk z roletą, przy którym pisała listy i załatwiała sprawy związane z prowadzeniem domu, służył mi teraz za biurko.

- Dziękuję - powiedział Sam.

- Widział pan kiedyś w Kilnsgate portret rodzinny wiszący w przedsiionku?

Skrzywił się.

- Niestety, widziałem. Vivian Mountjoy, stary kumpel Ernesta Foxa z klubu golfowego. Niewyobrażalnie sztywny, nieprawdaż?

- Moim zdaniem artyście całkiem nieźle udało się uchwycić wewnętrzne wrzenie dręczące Grace.

Sam spiorunował mnie wzrokiem.

- A co z chłopcem, Randolphem? - zapytałem, czując, że lepiej będzie, jeśli zmienię temat. - Nie przeszkadzał wam?

- Tamtego lata był u krewnych w Devon, nad morzem. A potem, jesienią, wrócił do szkoły z internatem.

Dotarliśmy do mieszkania i muszę przyznać, że wspięcie się po schodach sprawiło mi większy kłopot niż Samowi, choć wydawało się, że z każdym krokiem coraz bardziej bołą go kolana. Uśmiechnął się do mnie mimo to i powiedział: - Od lat myślę o przeprowadzce, ale pewnie się już na nią nie zdecyduję. Za dużo z tym kłopotu. Zgromadziłem zbyt wiele rzeczy. Poza tym gdzie indziej nie byłoby mnie stać na tak duże lokum. Wyniosą mnie stąd pewnie w trumnie.

Zaprowadził mnie do salonu, nalał nam po pełnym kieliszku armaniaku, po czym opadł na sfatygowany fotel. Na jego czole zauważyłem kilka kropel potu. Zapalił małe cygaro, zaskakując mnie, bo nie widziałem wcześniej, żeby palił.

- Kolejna z drobnych przyjemności, na które sobie pozwalam - wyjaśnił. - Ale tylko po kolacji i tylko jedno.

- Jedzenie było wyśmienite - pochwaliłem, unosząc kieliszek. -
Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak już mówiłem, ostatnio
nieczęsto odwiedzają mnie Anglicy. Co tam słyhać w starej dobrej
Brytanii?

- Po staremu. Drakońskie podatki, oplakany standard życia. Wszędzie
cięcia. Ale z tego, co zrozumiałem, dosyć często odwiedza pan wyspy?

- Owszem, czasem jeżdżę na aukcje i wystawy. I zawsze pozwalam
sobie wtedy na odrobinę luksusu. Dobre hotele, kluby dżentelmenów,
kosztowne panie, najlepsze restauracje.

To nie to samo co żyć tam na co dzień jak kiedyś, płacić podatki,
martwić się o rachunki i tak dalej. Człowiek jest trochę oderwany od
rzeczywistości.

- No cóż, w Richmond ciągle jest kłopot z luksusami - stwierdziłem. -
Niech mi pan wierzy, nadal trzeba ich szukać aż w Northallerton albo w
Harrogate.

- Niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniają. Grace uwielbiała jeździć na
zakupy do Harrogate.

- Co pan robił po procesie?

Sam przez chwilę milczał.

- Nic - powiedział w końcu. - Przynajmniej przez jakiś czas.
Początkowo mieszkalem tam gdzie wcześniej, ale ponieważ ludzie ciskali
mi w okna kamieniami i wypisywali różne obsceniczne rzeczy na drzwiach,
właściciel mnie wyrzucił. Nie mogłem znaleźć pracy. Na jakiś czas
wróciłem na wieś do rodziców. Oczywiście nie pogodzili się z tym, co
zrobiłem, ale traktowali mnie dobrze. To chyba racja, że dom to miejsce, do
którego człowiek może zawsze wrócić. Ciągle miałem nadzieję na
ułaskawienie albo coś w tym rodzaju, że wszystko to nie okaże się tak
potwornym koszmarem.

- Czy wszyscy mieszkańcy miasteczka byli do pana wrogo nastawieni?

- Nie. W żadnym razie. Niektórzy okazywali mi współczucie, inni mnie
żałowali, jeszcze inni udawali, że nic się nie stało. Muszę też przyznać, że
Wilf wytrwał wiernie przy mnie.

- Odwiedził pan Armley?

- Raz. Tylko żeby zobaczyć. Oczywiście wiedziałem, gdzie to jest. Mój wuj mieszkał w Wortley. Stałem obok, niedaleko szkoły, i patrzyłem w górę. Budynek był bardzo posępny, jak jakieś wilgotne, średniowieczne zamczysko.

- Ciągłe taki jest - powiedziałem - chociaż dodano parę unowocześnień.

- Nie chciałem być w pobliżu, kiedy... Rozumie pan? Może mnie pan nazwać tchórzem, ale po prostu nie byłem w stanie stawić temu czoła. Wyjechałem do Londynu, potem przez kilka lat podróżowałem trochę po Europie, aż wreszcie, latem pięćdziesiątego szóstego, trafiłem tutaj. Tuż przed śmiercią Grace napisała mi bardzo ładny list. Trochę sztywny, trochę formalny, ale zważywszy na okoliczności, trudno było oczekiwać, że wleje weń całe swe serce. Mimo to do samego końca pozostała nieco afektowana i czuła.

- Co napisała?

Uniósł brwi.

- Tego akurat panu nie powiem!

- Oczywiście.

Patrzył na mnie przez chwilę, tak jakby coś rozważał, po czym powoli wstał.

- Niech pan idzie za mną - polecił.

Ruszyłem za Samem korytarzem, skręciłem za nim po chwili w lewo w kolejny.

Zastanawiałem się, jak duże jest to mieszkanie. Po kolejnym zakręcie dotarliśmy do drzwi, które otworzył, po czym włączył światło i stanął nieco z boku, żeby wpuścić mnie do środka.

- Przepraszam za bałagan - powiedział.

Właściwie chodziło nie tyle o bałagan, ile o to, że pomieszczenie było zagracone i trudno się było w nim poruszać. Znaleźliśmy się w niewielkim pokoju czy raczej magazynku.

Stało tam kilka regałów z półkami zarzuconymi różnego rodzaju szkicownikami, a o ściany opierało się mnóstwo obrazów. Sam pogrzebał w jednym ze stosów na półkach i po chwili znalazł duży, starannie oprawiony blok rysunkowy. Otworzyłem go, kiedy mi go wręczył. W środku znalazłem dziesiątki rysunków tej samej pięknej kobiety, którą widziałem

na ścianie w Kilnsgate. Wstrzymałem oddech. Przez króciutką chwilę w absurdalny sposób w mojej głowie zamigotał obraz odbicia w lustrze szafy. Głupi jesteś, upomniałem sam siebie. Tamtej postaci nie zdążyłem przyjrzeć się na tyle dokładnie, żebym mógł ją teraz rozpoznać.

Wyobraźnia płatała mi znowu figla.

- Grace - powiedziałem.

Sam skinął głową.

Wśród rysunków były między innymi akty. Patrzyłem na jej twarde piersi, małe pieprzyk tuż powyżej serca i kolejny obok pępka, na trójkącik włosów między nogami, przypominający na rysunku tajemniczą, ciemną mgiełkę. Jej brzusek był nieco zaokrąglony, szczupłe uda zwięzały się ku dołowi w kształtne łydki, kostki były eleganckie, stopy małe i delikatne. Choć miała jasną skórę, zauważyłem kilka skaz, odbarwionych płatów oraz więcej pieprzyków, niż można by się spodziewać.

Niektóre z rysunków były zbliżeniami różnych części jej anatomii, dłoni, ręki, torsu, inne portretami - głowa i ramiona. W jej wzroku, pełnych wargach, lekko rozchylnych ustach, w wielkich, ciemnych oczach, zmrużonych nieco, tak jakby wpatrywała się w punkt za plecami artysty, w kaskadach czarnych włosów opadających na jej wyprostowane ramiona dostrzegłem pewne wyzwanie, prowokację. Na niektórych rysunkach leżała na plecach z dłońmi za głową i zamkniętymi oczami, z pogodnym wyrazem twarzy, drzemiąc na porośniętych trawą i dzikimi kwiatami polach, na kilku pokazana z bliska, na innych ze skalistymi urwiskami i morzem w tle.

Oglądając je, musiałem wstrzymać oddech, bo nagle poczułem, że brakuje mi powietrza. Odwróciłem się do drzwi.

- Mam ich więcej - powiedział Sam.

Sięgnął do stosu obrazów i wręczył mi pierwszy z nich. Był to olej, na którym Grace - podobnie jak na jednym ze szkiców - spoczywała na szezlongu niczym Maja naga Goi.

Całkiem niezły obraz, pomyślałem, usiłując zachować obiektywizm, kreska płynie prawidłowo, oddając krzywizny i owale jej ciała, uwypuklając krągłości bioder, udrapowany materiał, światło i cień bardzo sugestywne, tajemnicze, czai się w nich aluzja do rozkoszy przeżytych bądź spodziewanych.

Na innym obrazie była tylko jej głowa i ramiona, namalowane od tyłu na neutralnym tle, dzięki czemu udało się podkreślić kontrast pomiędzy czernią warkoczy a bielą skóry długiej szyi i symetrycznych ramion. Przypominał mi dzieło Dalego, które widziałem kiedyś w St. Petersburgu na Florydzie.

Na jeszcze innym zobaczyłem tylko jej pełną twarz i nieco pochyloną głowę. Portret namalowano z profilu, a Grace była na nim niemalże nadąsana, smutna albo nieobecna, i wydawała się czymś zaabsorbowana. Być może Sam uchwycił w ten sposób jeden z jej napadów melancholii, o których opowiadał.

Obrazów było zresztą więcej: Grace na łące, przyklękająca, żeby zerwać kwiatek, Grace naga na łóżku spoglądająca radośnie i figlarnie, Grace zanurzająca dłoń w morskiej wodzie, której powierzchnia została oddana jak u impresjonistów jako błyszczące diamenty widoczne z oddali. Grace na tle ciemnego okna, z połową twarzy rozjaśnioną upiorną poświatą księżyca.

Wszystkie obrazy miały jedną wspólną cechę: niezależnie od tego, jak spoglądało się na Grace, nigdy nie można było domyślić się jej wieku. Później obliczyłem, że kiedy Sam ją portretował, musiała mieć prawie czterdzieści lat, ale nie było tego po niej widać. Bez wątplenia malarz wyidealizował jej obraz, który był projekcją jego własnych pragnień, ale dzięki tym wizerunkom nagle mogłem zacząć myśleć o Grace jako o określonej, konkretnej osobie, co nie udawało mi się wcześniej, kiedy ściagałem tylko szept, szukałem motywu, tematu, detalu, który przywróciłby ją do życia. Teraz oto patrzyłem na nią - tam, w magazynku Sama Portera. Całe mnóstwo obrazów Grace, które nie ukrywały niczego poza jej duszą, choć wydawało mi się, że i ją potrafię uchwycić w pewnych grymasach, pozach, w charakterystycznym odwróceniu głowy, w kącie załamania linii szyi. Poczułem się nią odurzony, upojony, urzeczony; oczarowany.

Sam przyglądał mi się.

- Nadal woli pan Viviana Mountjoja? - zapytał.

Mogłem tylko w zdumieniu pokręcić głową.

- Czy policjanci je widzieli? - zapytałem, czując suchość w ustach.

- Uchowaj Boże, nie! Wyobraża pan sobie ich reakcję? Filistyni. To byłoby jak dolewanie oliwy do ognia.

- Ale pewnie przeszukali pana mieszkanie?

- Moje mieszkanie było wielkości przeciętnej łazienki. Malowałem głównie w Staithes, w studiu należącym do miejscowej grupy artystów, którzy pozwalali mi z niego korzystać. Byli starsi ode mnie, ale jakby wzięli mnie pod swoje skrzydła. Tworzyli razem Staithes Group, dosyć wówczas cenioną, i podłapałem od nich nieco wpływów impresjonistycznych. Słyszał pan o Laurze Knight?

- Obawiam się, że nie. Niestety, nie jestem na bieżąco z sztuką współczesną.

- Była wtedy jedną z ostatnich żyjących przedstawicielek nurtu. Imponująca kobieta.

Pewnie miała jakieś siedemdziesiąt pięć lat, ale nikt by jej tyle nie dał. A czego to ona nie widziała! Była oficjalną wojenną portrecistką na procesie norymberskim. To wtedy namalowała Ławę oskarżonych, Norymberga, jedno ze swych najsłynniejszych dzieł. Nie bywała w Staithes często, ale kiedy się tam spotykaliśmy, ją i Grace ciągnęło do siebie, godzinami plotkowały Bóg wie o czym. Nigdy nie widziałem Grace tak ożywionej, jak przy tych rzadkich okazjach.

- Znał pan jakieś inne jej przyjaciółki?

- Nie sądzę, żeby w ogóle jakieś miała. Znajomości, owszem, choćby z licznych towarzystw, w jakich się udzielała, oraz z działalności w innych klubach, ale bliskich przyjaciół raczej nie.

- A może pozostawała w kontakcie ze znajomymi z czasów wojny?

- Raz czy dwa wspomniała o jakiejś Dorothy. Mogły się nawet od czasu do czasu widywać. Ale poza tym... Nie, nie sądzę.

- Na jednym z obrazów rozpoznaję chyba w tle wschodnie wybrzeże.

- Bardzo pan spostrzegawczy, zważywszy na to, że pierwszy plan jest dosyć absorbujący.

- Więc trzymał je pan w waszym studiu?

- Jeden ze starszych malarzy, Len, pozwolił mi korzystać ze swojego magazynu.

Trzymałem w nim wszystkie akty Grace. Policja nie przeszukała studia Staithes, nawet jednak gdyby to zrobiła, nie znalazłaby ich. Nie mieli powodu, żeby zaglądać do Lena.

- Kiedy je pan namalował? - zapytałem, gdy Sam wyłączył światło i ruszyliśmy z powrotem do salonu.

- Latem i jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego, kiedy się poznaliśmy.

Jak pan widzi, większość to rzeczy dosyć wtórne, przynajmniej jeśli chodzi o pozy i style. Ale w urodzie Grace nie było nic wtórnego. Nie była doskonała. Perfekcja jest nudna. Pewnie zauważył pan skazy na jej skórze. Prawdopodobnie doznała kiedyś poważnego oparzenia słonecznego. Ale nie mogłem sobie nawet wyobrazić piękniejszej kobiety. Zasługiwała na o wiele więcej, niż mogłem jej kiedykolwiek dać. Już nigdy później... Nigdy. Nie potrafiłbym, nawet korzystając ze szkiców, zresztą nawet nie próbowałem. Przyglądam im się czasem, ale nie tak często jak kiedyś. Niekiedy zastanawiam się, co po mojej śmierci zrobią z nimi wykonawcy mojej woli.

- Dziękuję - powiedziałem - że mogłem je zobaczyć.

Sam odchrząknął, usiadł i wypił spory łyk armaniaku.

- Jest pan pierwszą osobą, której je pokazałem - rzekł. - Nawet nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

- Nie myślał pan o tym, żeby je gdzieś wystawić albo sprzedać?

- Nigdy.

Nagle wydał się zmęczony, blady i wyczerpany, tak jakby wszystkiego tego było dla niego zbyt wiele: cały ten dzień, ja, kolacja, nasza rozmowa, obrazy, jego wspomnienia.

Miałem już wstać i zacząć się zbierać do wyjścia, gdy nagle spojrzał na mnie z zasmuconym, niemal przerażonym wyrazem twarzy i powiedział drżącym głosem: - Boże, była tak piękna. Tak żywa. Tak żywa. Niech pan już idzie, Chris.

Przepraszam... Ja... - Machnął ręką. - To nie do zniesienia. Jestem zmęczony. Proszę już iść.

Wyszedłem.

[2] *William Shakespeare, Antoniusz i Kleopatra, przeł. Bohdan Drozdowski.*

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Policjanci prowadzący oficjalne śledztwo robili, co mogli, ale właściwie mogli niewiele, bo przecież od domniemanej zbrodni minął już ponad tydzień. Niestety, czas najczęściej w tego typu sytuacjach ma kluczowe znaczenie; materiał dowodowy rozkłada się albo zwyczajnie znika; ludzie zapominają; relacje się zmieniają. Jednakże nauka nie kłamie, a ponowna sekcja zwłok wykazała w ciele dr. Foxa wysoki poziom potasu oraz ślady wodzianu chloralu, silnego środka uspokajającego.

Od samego początku sprawy zaczęły przybierać bardzo zły obrót dla Grace Fox, częściowo zresztą w wyniku jej własnej niechęci do współpracy z policją. W trakcie przesłuchań była jakby nieobecna, odpowiadała na pytania wymijająco, najczęściej monosylabami. Jak argumentowało później oskarżenie, miała mnóstwo okazji, by w ciągu dni, które dzieliły śmierć jej męża od dotarcia na miejsce władz, posprzątać po sobie. Co też zdołała w tym czasie ukryć? Policji powiedziała jedynie, że nie pamięta dokładnie, co robiła, że działała machinalnie i pewnie zrobiła zwyczajnie porządek, wrzuciła do kominka kawałki papieru oraz wymyła i wysterylizowała strzykawkę, po czym włożyła je z powrotem do torby lekarskiej dr. Foxa, podobnie zresztą jak pozostałe tabletki nitrogliceryny i naparstnicy.

Twierdziła, że zawsze dbała o porządek, że tego właśnie nauczono ją na szkoleniach dla pielęgniarek.

Wymyła także szklanę, z której dr Fox wypił proszek na żołądek, rozpuszczony w niewielkiej ilości whisky i mleka. W normalnych warunkach zrobiłaby to samo, utrzymywała, a kto mógł dowieść, że mówi nieprawdę? W końcu, kontynuowała, nie spodziewała się takiego dokładnego śledztwa, a właściwie w ogóle żadnego, wszak ciągle była pogrążona w szoku i żałobie z powodu nagłej śmierci męża. Zapewniła, że

nic nie wie o wodzianie chloralu, ale że jej mąż od czasu do czasu zażywał środki nasenne.

Jak tylko rozeszły się wieści o policyjnym śledztwie, złe języki zaczęły robić swoje: Grace, szeptali ludzie, oprócz Samuela Portera miała wielu kochanków, a ostatnim z nich był przystojny młody żołnierz z tajemniczym znamieniem na czole, z którym widziano ją rozmawiającą zawzięcie na Castle Walk zaledwie kilka dni przed morderstwem jej męża.

Policja zajęła się jednak oddzieleniem prawdy od bezpodstawnych plotek i koniec końców żaden z tych tak zwanych dowodów rozwiążności Grace Fox nie został przedstawiony w sądzie.

Kiedy stało się jasne, że władze nabierają podejrzeń, iż przyczyną śmierci Ernesta mogło być coś innego niż zwykły atak serca, Felicity pierwsza zasugerowała, że Grace powinna wynająć adwokata, co zresztą natychmiast uczyniła. Odtąd policyjne przesłuchania odbywały się pod uważnym okiem mecenasa Rathbone'a, ale Grace najwyraźniej nie miała ochoty dodawać niczego do tego, co już opowiedziała w poprzednich zeznaniach, uparcie powtarzając, że wypełniła jedynie swój obowiązek i nie zrobiła nic złego.

Ostatecznie 20 stycznia 1953 roku zatrzymano Grace Fox i oskarżono oficjalnie o zamordowanie swojego męża, dr. Ernesta Foxa. Następnego dnia postawiono ją przed magistratem, a potem wysłano do aresztu.

Nawet na tak wczesnym etapie śledztwa dowody przeciw niej wydawały się mocno obciążające. Po pierwsze, miała jasny motyw. Nieuchronnie zbliżająca się przeprowadzka stanowiła zagrożenie dla jej romansu z Samuelem Porterem, oboje też pragnęli pozbyć się jej męża, nie tracąc jednakowoż dostępu do jego pieniędzy. Po drugie, zbrodnia pozostawała idealnie w zasięgu jej możliwości. Grace była świetnie wyszkoloną pielęgniarką, doskonale orientującą się w zawartości ambulatorium. Miała również dostęp do całego szeregu leków, przechowywanych w torbie lekarskiej dr. Foxa, których część w określonych okolicznościach mogła być śmiertelnymi truciznami, jak również do tych, które jej mąż przechowywał w gabinecie, gdzie także mogła bez problemu dostać się przed kolacją 1 stycznia. Po trzecie, Grace Fox miała znakomitą okazję do popełnienia zbrodni. To ona podała mężowi proszek na żołądek. Nikt nie widział, jak rzekomo ratuje męża przed

śmiercią; nikt też na własne oczy nie widział, jak podaje mu nitroglicerynę czy naparstnicę.

Obie strzykawki w torbie lekarskiej dr. Foxa były sterylne, co wprawdzie nie wykluczało możliwości, że jedna z nich została uprzednio użyta i odłożona tam z powrotem po wymyciu, jednakże z pewnością tego również nie dowodziło. W torbie faktycznie znaleziono naparstnicę oraz nitroglicerynę, ale - rzecz jasna - nikogo przecież nie mogło to dziwić. Doktor Nelson potwierdził, iż dr Fox zazwyczaj miał przy sobie dwie strzykawki oraz naparstnicę i nitroglicerynę, z których mógł korzystać w nagłych przypadkach. Czasem, utrzymywał dr Nelson, zwłaszcza gdzieś wysoko w kotlinie, lekarzowi zdarza się ratować ofiarę ataku serca, a wtedy zwykle te właśnie środki stanowią pierwszą linię obrony.

Oczywiście, dysponujemy tylko słowem Grace Fox, że zrobiła wszystko, co powinna, by ratować życie męża. Alice Lambert przyznała wprawdzie, że widziała papierek, w który był zawinięty proszek dr. Foxa i który mógł również zawierać śladowe ilości wodzianu chloralu, ale nie znaleziono go w trakcie żadnego z przeszukań Kilnsgate House.

To, czy Grace przyspieszyła zgon męża, wprowadzając do jego organizmu truciznę, w trakcie procesu miało stać się jedną z najważniejszych kwestii spornych. Choć lekarz sądowy, dr Masefield, w czasie ponownej sekcji zwłok faktycznie stwierdził w ciele dr. Foxa obecność wodzianu chloralu oraz naparstnicy, nie znalazł w nim jednak żadnych śmiertelnych substancji. Wykazał względnie wysoki poziom potasu, ale przyznał również, że jest to dosyć częste po śmierci, zwłaszcza u ofiar ataku serca, ponieważ komórki krwi oraz tkanka, pękając, wydzielają do organizmu pewne ilości tej właśnie substancji. Choć niska temperatura, w której przetrzymywano ciało dr. Foxa, spowolniła ten proces, nie powstrzymała go do końca.

Obrona podchwyciła ten argument, twierdząc, że Grace, gdyby chciała zatrzeć w organizmie męża ślady po truciznie, nie przechowywałaby jego zwłok w takich warunkach, ale ostatecznie uznano to za nieistotne. Przypuszczalnie była przecież przekonana, że popełniła zbrodnię doskonałą, i nie byłoby wszak żadnego śledztwa, gdyby podejrzenia właścicielki pensjonatu w Leyburn nie wzbudziły zainteresowania policji.

Sprawa, którą oskarżenie wniosło przeciwko Grace Elizabeth Fox, zawierała zatem wszystkie elementy gwarantujące skazanie podejrzanej. Sir

Archibald Yorke, główny adwokat strony, oparł się w swojej argumentacji na twierdzeniach, iż oskarżona chciała się pozbyć męża oraz miała łatwy dostęp do wodzianu chloralu, który dodała ofierze do proszku na żołądek, by go znieczulić i by nie poczuł ukłucia śmiertelnego zastrzyku z potasu (potas jest śmiertelną trucizną jedynie wtedy, jeśli podaje się go dożylnie). To, czy sama niestrawność również została wywołana jakimś medycznym środkiem, czy zwyczajnie sprytnym ułożeniem wieczornego obfitego menu, nigdy nie zostało rozstrzygnięte.

W ten sposób przygotowano pole do procesu, który miał się rozpocząć w sądzie Jej Wysokości w Leeds 16 marca 1953 roku.

Październik 2010

Wieczorem następnego dnia po kolacji z Samem Porterem wsiadłem na stacji ParyżMontparnasse do pociągu do Angouleme. Graham, mój brat, czekał na mnie na peronie.

Zaczęło kropić, gdy przeciskając się przez wąskie uliczki, mijaliśmy romańskie zabytki, czując za plecami ponury cień pięknej katedry Świętego Piotra górującej nad nami ze szczytu stożkowatego wzgórza. Graham mieszkał na obrzeżach wsi w dolinie Charente, jakieś pół godziny jazdy samochodem od miasteczka, nieopodal samej rzeki, a z jego domku rozciągał się widok na dalekie łąki i winnice. Był to iście wiejski, malowniczy krajobraz, choć zupełnie inny niż w kotlinie Yorkshire. Prawie cały dzień spędziłem, spacerując po Paryżu - odwiedziłem Cimitiere de Montparnasse, stragany z książkami nad rzeką, które tak kiedyś lubiła Laura, oraz Ogrody Luksemburskie, które sam uwielbiałem - a obiad zjadłem na Boulevard St Germain w kawiarni z oszklonym ogródkiem, z którego mogłem obserwować przechodniów.

Do domu dotarliśmy już po zmroku. Graham zaprowadził mnie do kuchni, gdzie Siobhan krzątała się już nad starym, stylowym piecem. Odłożyła rękawicę, podbiegła do mnie i z całej siły przytuliła.

- Świetnie wyglądasz, Chris! - zawołała, trącając mnie w brzuch. - Czyżbyś trochę schudł?

- Raczej wątpię. Ostatnio zaniedbałem ćwiczenia.

- Już ja się dzisiaj zatroszczę, żeby te kości obrosły trochę tłuszczkiem - powiedziała, odwracając się z powrotem do pieca.

Siobhan wspaniale gotowała i przy licznych okazjach, kiedy nas gościła, nigdy nie mogliśmy się z Laurą nachwalić jej kuchni. Na ten wieczór upichciła królika w potrawce z czerwonym winem, szalotkami, miejscowymi grzybami oraz specjalną mieszanką ziół z własnego ogródka. Pachniało wyśmienicie. Domyślałem się, że po głównym daniu poda również deskę serów, a na przystawkę zupę ze skorupiaków albo foie gras z chrupiącym chlebkiem.

- Kolacja zaraz będzie - rzekł Graham, prowadząc mnie do salonu. - Tymczasem zostawmy Siobhan w jej królestwie i napijmy się wina.

- Szczerze powiedziawszy, pijecie tu więcej niż w Anglii, a to już naprawdę osiągnięcie - skomentowałem.

- Nawet mi się nie waży wyskakiwać ze swoimi amerykańskimi new age'owskimi purytańskimi bzdurami. Raczej mi nimi nie zaimponujesz. Można by pomyśleć, że za długo mieszkałeś w Kalifornii.

Roześmiałem się, a Graham podał mi butelkę.

- Tam też robi się wino. Wiedziałeś czy jesteś zbyt wielkim snobem, żeby w ogóle odnotować ten fakt?

- Owszem, słyszałem o winach z Nowego Świata - przyznał Graham, litościwie nie dodając ani słowa więcej.

Butelka nie miała etykiety, ale wiedziałem, że wino będzie wyśmienite. Już pierwszy łyk potwierdził, że miałem rację. Graham sam nie robił wina - powtarzał, że wina domowe zawsze będą smakowały po prostu jak wina domowe - ale znał mnóstwo osób z branży, chociażby z czasów, kiedy pracował w Oksfordzie jako handlarz winem.

Zasiedliśmy w wytartych fotelach przy kominku. Jesienią w dolinie było dosyć chłodno, więc już wesoło w nim trzaskały rozpalone polana. Graham podobnie jak ja uwielbiał muzykę, zwłaszcza klasyczną - był też całkiem niezłym pianistą - i w tle rozpoznałem delikatne nuty sonaty skrzypcowej Edgara. Przyciemnione lampy zalewały pokój pomarańczowym światłem. Na stoliku obok fotela leżało przeczytane w jednej trzeciej wymięte wydanie Straconych złudzeń Balzaca w miękkiej oprawie. Od czasu do czasu z kominka rozlegało się syknięcie czy trzask drewna, czemu towarzyszyły przeważnie fontanny iskier wydobywające się z paleniska.

Sącząc wino i wolną ręką masując sobie szyję, czułem, jak z moich ramion opada ciężar miejskiego życia i zmęczenie podróży.

- Zabawne - powiedziałem - że dwóch takich mieszczuchów jak my wylądowało na wsi.

- Pewnie tak - przyznał Graham. - Nigdy właściwie nie miałem takiego zamiaru, ale...

To była okazja i nie mogłem jej przepuścić. Ale muszę przyznać, że w ogóle nie tęsknię za miastem.

- Ja również - stwierdziłem, myśląc przede wszystkim o Los Angeles i Santa Monica.

W końcu to tam mieszkałem ponad trzydzieści lat. Zresztą Santa Monica na swój sposób nawet lubiłem. Nieduże miasto, odpowiednio oddalone od Hollywood, mnóstwo wyśmienitych regionalnych restauracji i pubów, Pacyfik praktycznie u stóp, wreszcie klimat idealnie pasujący do mojej brytyjskiej natury, choć przecież zbyt chłodny dla wielu Angelinos. Ale faktycznie, w ogóle za nim nie tęskniłem, a nawet prawie wcale o nim nie myślałem, a jeżeli już, to zawsze w związku z Laurą. Jednak nawet wtedy moje wspomnienia dryfowały przeważnie w stronę Milwaukee, gdzie się spotkaliśmy, albo Nowej Anglii, gdzie mieszkała jej rodzina i gdzie spędzaliśmy wakacje, najczęściej w Bostonie, z jego śnieżnymi zimami i mroźnym wiatrem znad Atlantyku. Nie, nie tęskniłem za Ameryką, za to tęskniłem za żoną.

Salon mojego brata nie był jednak najlepszym miejscem na wspominki czy samooskarżenia. Wkrótce dopiłem pierwszy kieliszek wina i Graham nalał mi następny, nadal rozprawiając o wiejskim życiu. Wiele razy spacerowałem po jego wsi, położonej jakieś pół mili dalej przy drodze, i zawsze wydawała mi się wcieleniem stereotypu na temat francuskiej prowincji. Przywiedłe, rozdeptane trawniki ocienione gałęziami drzew, pod którymi staruszkowie w beretach grają w bule, kawiarenka z chybotliwymi stolikami na zewnątrz, przy których mieszkańcy wymieniają się najnowszymi plotkami, boulangerie, gdzie, rzecz jasna, wypieka się najlepsze bagietki w całej Francji, charcuterie, niewielka épicerie oferująca regionalne i nieliczne importowane sezonowe produkty, wreszcie nieco bardziej nowoczesny sklepik, w którym sprzedaje się wszystko, od spinaczy po wino. No i oczywiście stary jak świat église, kolejne miejsce, w którym skupia się życie towarzyskie francuskiej wsi. O ósmej na ulicach nie widać

już prawie nikogo, bo mieszkańcy oglądają w domach telewizję, z wyjątkiem paru ostatnich zgłodniałych klientów i amatorów wieczornej fajeczki w kawiarni, zwłaszcza jeśli jest akurat przyjemna pogoda, bez wątpienia spierających się o wyższość Prousta nad Flaubertem. Jeżeli człowiek ma ochotę spędzić wieczór w miasteczku, jedzie do Angouleme. Nawet do samego Cognac nie jest stamtąd zbyt daleko. A jeśli ktoś chce naprawdę zaszaleć, wyskakuje aż do Poitiers czy La Rochelle.

Ale w maleńkim domku Grahama nawet wieś wydawała się odległa i za oknami słyhać było tylko wiatr buszujący w gałęziach drzew oraz od czasu do czasu ćwierkanie nocnych ptaków.

Po wyśmienitej kolacji poplotkowaliśmy trochę o rodzinie - o matce, o moich i ich dzieciach. Sery, co było do przewidzenia, okazały się wspaniałe: rozpływający się w ustach Camembert, mocny Roquefort i smakowity Port Salut. Sprzątnęliśmy z Grahamem ze stołu i włożyliśmy naczynia do zmywarki, a Siobhan powiedziała, że na nią już czas i idzie do łóżka.

Graham spojrzał na mnie.

- Zmęczony, braciszku?

- Niespecjalnie - odparłem.

Wstał.

- Więc chodźmy - powiedział. - Zapraszam cię na porządnego wieczornego drinka i prawdziwe męskie pogaduchy.

Siobhan przewróciła oczami, pocałowała każdego z nas w policzek i się pożegnała.

Poszedłem za Grahamem do salonu.

Graham wyjął z doskonale zaopatrzonego barku butelkę koniaku oraz dwa kryształowe kieliszki, a potem dorzucił do kominka kilka polan i nastawił w odtwarzaczu CD płytę Cecیلی Bartoli. Mój brat wprawdzie uwielbiał muzykę, ale ciągle nie dał się przekonać do różnych wynalazków w rodzaju iPodów.

- No i jak tam? - zapytał, kiedy już nalał nam po obfitym drinku i usiedliśmy w fotelach. - Ciągle gonisz za swoimi duchami?

- Nigdy za nimi nie goniłem - odparłem. - Ale jeżeli pytasz o to, czy ciągle interesuję się sprawą Grace Fox, to odpowiedź brzmi: tak. Może

nawet bardziej niż wcześniej.

- Dlaczego?

Opowiedziałem mu o rozmowie z Samem Porterem i wnioskach, jakie z niej wyciągnąłem, wzmacniających moje przekonanie, że Grace była niewinna. Wspomniałem też o dziwnych odgłosach w Kilnsgate oraz o pianinie, które, jak mi się zdawało, słyszałem.

Graham być może uznał to za produkty mojej wybujałej wyobraźni, ale przynajmniej mnie nie wyśmiał.

- No cóż, nie wydaje ci się, że facet mógł być odrobinę stronniczy? - skomentował w końcu. - Poza tym pewnie ma teraz koło dziewięćdziesiątki i demencję.

- Bardzo śmieszne. Być może faktycznie jest stronniczy. Ale nie chodzi o to. Na jego miejscu każdy, niezależnie od okoliczności, broniłby kobiety, którą kocha. Rozumiem to w zupełności. Na pewno jednak jest zrównoważony psychicznie, a z tego, co mogłem zauważyć, z jego pamięcią wszystko w jak najlepszym porządku. I, gwoli ścisłości, ma siedemdziesiąt osiem lat.

Graham zagwizdał.

- No tak. Młodzieniaszek.

- Z pewnością był nim sześćdziesiąt lat temu. Ale wszystko jedno, bez względu na to, jak go nazwiesz, jego uczucie do Grace wydawało się autentyczne.

- Już tak go nie broń, braciszku. Nie twierdzę, że nie było. A więc ty też uważasz, że była niewinna?

- Pewien jestem jednego: im więcej o niej wiem, tym mniej wydaje mi się prawdopodobne, że zamordowała męża. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to trochę mgliście, ale... Tak właśnie jest. A Sam nie miał powodu, żeby kłamać. Zwłaszcza teraz, po tylu latach.

- A może chce tylko pielęgnować wspomnienie swojej dawnej miłości? Zresztą może być nawet przekonany, że mówi prawdę. Zadziwiające, co też człowiek zdoła sobie wmówić po latach, jeżeli powtarza to w myślach wystarczająco często. Na przykład, w czasie Woodstocku przebywałem w Nowym Jorku, ale po powrocie do Anglii bajerowałem często dziewczyny, że tam byłem. Imponowało im to tak, że bez problemu dawały się zaciągnąć do łóżka. Wymyśliłem to oczywiście, ale w końcu prawie sam w

to uwierzyłem. Wystarczyło, że zamknąłem oczy i natychmiast widziałem i słyszałem Hendrixa grającego Gwieździsty sztandar. Być może po latach Sam Porter przekonał sam siebie, że Grace Fox była czysta i niewinna jak pierwszy śnieg?

- Nie sądzę. Grace miała mnóstwo problemów. Ale z pewnością nie była zdrajcą. Ani morderczynią.

Graham zamilkł i napił się koniaku.

- Sęk w tym - odezwał się po chwili - że jeśli nie wierzysz w oficjalną wersję, to musisz sobie zadać jedno istotne pytanie.

- Chyba wiem, do czego zmierzasz.

- Jeżeli Grace tego nie zrobiła, to kto?

- A skąd przekonanie, że ktoś musiał to zrobić? Nie znam ciągle wszystkich szczegółów, ale nie widzę powodu, dla którego Fox nie mógł umrzeć z przyczyn naturalnych.

Próbowała go uratować, ale było za późno.

- Najwyraźniej policja i lekarz sądowy twierdzili co innego.

- Ponieważ szukali wyłącznie dowodów, których mogliby użyć przeciw Grace. A jeżeli byli w błędzie?

- A jeżeli ktoś go jednak zamordował? Kto mógłby to zrobić oprócz Grace?

- No cóż, tego wieczoru u Foxów było na kolacji kilkoro znajomych. Nie wiem ilu. W domu przebywała również gosposia.

- Twierdzisz więc, że są inni podejrzani?

- Twierdzą, że można by ich wskazać, i tyle. Jeżeli śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

- A czy którekolwiek z nich miało motyw?

- Nie mam pojęcia. Skąd mam wiedzieć?

- W takim razie z czym tak naprawdę, według ciebie, mamy tutaj do czynienia?

- Z pomyłką sądową. Moim zdaniem, kiedy właścicielka pensjonatu wysunęła swoje oskarżenia, policja zaczęła szukać dowodów, które poparłyby ich teorię. Tego rodzaju zaślepienie nie jest niczym niespotykanym. Pamiętaj, że podejrzania pojawiły się dopiero po tym,

kiedy zgłosiła się tamta kobieta. Przedtem nikt nie kwestionował wersji z atakiem serca.

- Ale zauważ, Chris, że w realnym świecie, jeżeli dochodzi do morderstwa, to w dziewięćdziesięciu pięciu przypadkach na sto dokonuje go osoba bliska ofierze. Mąż albo żona. Policja dobrze o tym wie. I pewnie w pięćdziesiątym trzecim też wiedziała. Proszę. - Graham wstał i przyniósł butelkę. - Jeszcze kropelka. - Uniosłem kieliszek, a on nalał mi znacznie więcej niż kropelkę, po czym sam się obsłużył i z powrotem usiadł. - Nie twierdzę, że się mylisz, Chris. Być może odgrywam tylko rolę adwokata diabła. Ale nie sądzisz, że powinienes być ostrożny? Możesz dostać obsesji.

- Sądzisz, że mam obsesję?

- Z całą pewnością puszczasz wodze fantazji, opierając się na bardzo nikłych, w gruncie rzeczy, dowodach, ale zawsze miałeś ku temu skłonność. Te nocne hałasy. Pianino.

Często odnosiłem wrażenie, że ociupinę łatwiej niż inni ulegasz pokusom strefy mroku. Po raz pierwszy zauważyłem to, kiedy byłeś małym chłopcem.

- Co masz na myśli?

- Nie pamiętasz, co się wydarzyło, gdy miałeś cztery latka?

- Najwyraźniej nie.

Wskazał na moją dłoń, na długą bliznę między kciukiem a palcem wskazującym.

- Nie pamiętasz, skąd ją masz?

Spojrzałem na krętą, białą linię. Wydawało mi się, że miałem ją od zawsze.

- Nie - przyznałem, czując nagle lekki niepokój połączony z podnieceniem, tak jakbym znalazł się w miejscu, z którego nie ma już odwrotu. - Przypuszczam, że ty pamiętasz.

Może mi o tym opowiesz?

W kominku przesunęło się polano. Graham dorzucił jeszcze jedno i ogień nagle zaczął trzaskać oraz dymić niemiłosiernie. Na ścianach tańczyły cienie płomieni. Przez rozsunięte zasłony widziałem gwiazdy na przejrzystym, nocnym niebie.

- Miałeś cztery latka - zaczął opowieść Graham - i byliśmy na wakacjach w Scarborough. Nocowaliśmy w dużym pensjonacie za bulwarem w North Beach.

- Zawsze jeździliśmy latem do North Beach - potwierdziłem. - Mama i tato uważali, że jest tam elegancko, pamiętasz? My wolelibyśmy nocować gdzieś bliżej rozrywek i sklepów, ale twierdzili, że South Beach jest zbyt pospolite.

- To było później, kiedy byłeś trochę starszy, ale owszem, zawsze jeździliśmy do North Beach. Bardzo lubiłeś basen pod chmurką i Peasholm Park.

- W ogóle tego nie pamiętam.

- Jak mówiłem, miałeś cztery latka.

- I co niby zrobiłem? Nalałem do wanny za dużo wody i się przelała?

Graham zachichotał. Wywoływane przeze mnie w dzieciństwie katastrofy były w naszej rodzinie jednym z ulubionych tematów rozmów, choć na szczęście kiedy dorosłem, pech przestał mnie przesładować. A w każdym razie trochę mi odpuścił.

- Coś w tym guście - powiedział. - Tak czy inaczej, jak mówiłem, nocowaliśmy w pensjonacie w Scarborough. Śniadania i kolacje, punktualnie o szóstej, a jak się spóźnisz, idziesz do łóżka głodny. Miałem jakieś jedenaście lat. Dzieliliśmy ze sobą pokój z dwoma osobnymi łóżkami, połączony z sypialnią mamy i taty. Zawsze na noc zostawiali uchylone drzwi, żeby do nas zaglądać. Zwalałeś się do wyrka jak kłoda, a ja siedziałem pod kołdrą z latarką i czytałem Sherlocka Holmesa. Nie było telewizji, ale w salonie dla gości stało radio i mama z tatą czasem wysyłali cię do łóżka, pozwalając mi zostać trochę dłużej i słuchać Spotkań ze strachem albo Jeźdźców z gór. W naszym pokoju była duża szafa. Dębowa albo coś w tym rodzaju. Bardzo ciężka i stara. Ponieważ podłogi były nierówne, kiedy przekręcało się klucz, jej drzwi otwierały się powoli, skrzypiąc niemiłosiernie. Mało wtedy nie sikałeś w portki ze strachu. Po wewnętrznej stronie drzwi było wielkie lustro. Nie lubiłeś tej szafy, nawet kiedy była szczelnie zamknięta. Coś ci zaczyna świtać?

- Nic a nic z tego nie pamiętam - powiedziałem. Grahamowi udało się mnie całkowicie zaskoczyć. Czy ten czterolatek bojący się szafy to naprawdę byłem ja? Powoli w mojej pamięci zaczynał się rysować niejasny

obraz, tak jakbym nie tylko wiedział, co za chwilę się wydarzy, ale również całkiem niedawno przeżył coś podobnego w sypialni dla gości w Kilnsgate. Nie było to do końca déja vu, ale coś w osobiwy sposób przypominające to uczucie. - Wiesz, jak to bywa z dziećmi - zacząłem się tłumaczyć. - Wyobrażają sobie potwory Bóg wie gdzie: pod łóżkiem, w kredensie albo pod ziemią w ogrodzie.

- Jasne. W każdym razie pewnego dnia... Pamiętam, że był upał i spędziliśmy całe popołudnie na plaży. Wyległy wtedy na nią prawdziwe tłumy. Bawiłeś się wiaderkiem i łopatką, budując zamki z piasku oraz nawiązując znajomości z innymi dzieciakami, a od czasu do czasu chodziłeś pobrodzić trochę w morzu, rzecz jasna pod czujnym okiem ojca.

Ja... Właściwie nie bardzo pamiętam, co robiłem. Pewnie czytałem jakiś western, marząc, że sam przeżywam z kolegami wspaniałe przygody. Najważniejsze, że kiedy wróciliśmy do pensjonatu, byłeś bardzo zmęczony. W czasie kolacji ledwo byłeś w stanie usiedzieć prosto.

Mama i tata wcześniej położyli cię do łóżka i resztę wieczoru spędziliśmy w salonie, gdzie słuchaliśmy radia, a tata czytał gazetę. W pensjonacie nie było zbyt wielu innych gości, a większość z nich poszła w dodatku do pubu, z wyjątkiem staruszki, która drzemała sobie w fotelu. W domu była też kobieta, która prowadziła pensjonat, pani Gooch, jeśli dobrze zapamiętałem jej nazwisko. W każdym razie sprzątała wtedy w kuchni. Było chyba tuż po ósmej - pamiętam, że właśnie zaczynało się jakieś słuchowisko w odcinkach, którego regularnie słuchałem - kiedy nagle usłyszeliśmy z góry potężny huk, a potem odgłos tłuczonego szkła i czyjś krzyk: twój krzyk. Pierwszy zerwał się na nogi chyba ojciec, zaraz potem ja. Rzuciliśmy się biegiem po schodach, pokonując naraz po dwa, trzy stopnie, przerażeni prawdopodobnie tą samą myślą: że stało się coś strasznego, że szafa musiała się otworzyć albo przewrócić i że zrobiła ci krzywdę. Wbiegliśmy z ojcem do pokoju i rzeczywiście, stałeś na środku z wystraszoną miną i krwawiącą dłonią. Zasłony były wprawdzie zaciągnięte, ale ponieważ uszyto je z dosyć cienkiego materiału i nie pochłaniały całkiem światła, pokój nie był pogrążony w całkowitych ciemnościach. Szafa była otwarta, a lustro leżało rozbite na kawałki na podłodze, tak jakby ktoś zbyt mocno trzasnął drzwiami.

- O Jezu! - zawołałem. - To byłem ja?

- Powiedziałeś, że zrobiłeś to niechcący. Doszliśmy do wniosku, że pewnie spałeś i usłyszałeś, że szafa się otwiera albo miałeś jakiś koszmar, wstałeś więc z łóżka, żeby ją zamknąć, ale zatrzasnąłeś drzwi zbyt gwałtownie i lustro się rozbiło.

- I co się potem stało?

- No cóż, nikt nie potrafił wymyślić lepszego wyjaśnienia, chociaż trzaśnięcie musiało być potężne, a przecież byłeś tylko małym chłopcem. Obandażowaliśmy ci rękę, a tato zabrał cię do szpitala, gdzie założyli ci szwy. Potem ojciec wrócił i uspokoił panią Gooch. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że będzie musiał zapłacić za lustro. Tej nocy spałeś chyba w ich pokoju. Przez następne kilka dni w czasie śniadań panowała lodowata atmosfera, ale w końcu wróciliśmy do domu.

- Nic a nic z tego nie pamiętam. I nie rozumiem...

Graham uniósł dłoń.

- Zaczekaj. Jeszcze nie skończyłem.

Poczułem dziwny ucisk w piersi. Nie miałem pojęcia, co za chwilę powie, ale wiedziałem, że to może wszystko zmienić, że dzięki temu zacznę widzieć samego siebie w zupełnie nowym świetle. Właściwie chciałem go powstrzymać, ale nie byłem w stanie.

Cecilia Bartoli śpiewała Panis Angelicus, wziąłem więc głęboki oddech i wsłuchałem się w muzykę, żeby choć trochę się uspokoić.

- W naszym domu w Armley również dzieliliśmy pokój, pamiętasz? - kontynuował Graham. - Zdaje się, że dopiero kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat, przeprowadziliśmy się i odtąd spaliśmy oddzielnie. Tak czy inaczej, pierwszej nocy po naszym powrocie z wakacji nie mogłeś spać. Rzucałeś się w łóżku, przez co mnie też nie dawałeś zasnąć. Zapytałem, co się dzieje. Wtedy właśnie opowiedziałeś mi, co się wydarzyło w Scarborough. Powiedziałeś, że wstałeś do toalety - pewnie po południu wypiliśmy za dużo napojów gazowanych - i zauważyłeś, że drzwi do szafy są otwarte. Chciałeś wyjść na klatkę schodową i kiedy przechodziłeś obok, nagle kątem oka zobaczyłeś odbicie w lustrze.

Powiedziałeś, że było w nim coś dziwnego, wróciłeś więc i stanąłeś przed szafą, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Okazało się, że to nie ty. Tak mi powiedziałeś. Nie zobaczyłeś własnego odbicia, ale jakąś młodą kobietę, która wydawała się unosić w powietrzu, wyciągać do ciebie rękę, wołać cię,

tak jakby chciała ci coś powiedzieć. Chciała cię wciągnąć do lustra. Wtedy właśnie z przerażenia trzasnęłaś drzwiami i lustro rozbiło się w drobny mak.

Wstrzymałem oddech. W kominku przesunęło się polano. Cecilia śpiewała dalej.

- Zbladłeś, braciszku. Jeszcze koniaku?

Skorzystałem z propozycji. Czułem, że jestem już trochę pijany.

- Nie chciałem cię nastraszyć - kontynuował Graham. - Próbowałem ci tylko wyjaśnić, że zawsze miałeś bujną wyobraźnię i byłeś nadwrażliwy. Jeśli chodzi o sprawę Grace Fox, wszystko wskazuje na to, że jest podobnie.

- O to, że widzę zmarłych? To masz na myśli?

Graham się roześmiał.

- Niezupełnie. Może potrafisz zobaczyć ślady, które pozostawiają? Nie wiem.

- To jakaś bzdura, braciszku - stwierdziłem z dużo większą dozą brawury w głosie niż w sercu. - Powiedziałem ci może, jak wyglądała ta kobieta?

- Nie. Tylko że była młoda i smutna. Wspomniałeś chyba, że miała na sobie koszulę nocną. Ale nie martw się, to nie był duch Grace Fox. Nie dlatego ci o tym mówię.

- W takim razie dlaczego? I co właściwie o tym wszystkim sądziłeś?

- No cóż, pomyślałem naturalnie, że przyśnił ci się koszmar, a w nim ta młoda, nieszczęśliwa kobieta, że wstałeś nie do końca rozbudzony, drzwi jakoś się otworzyły, zobaczyłeś w nich własne odbicie, pomyślałeś, że to potwór wychodzący z szafy i spanikowałeś.

- Wydaje się to logiczne - powiedziałem powoli, obracając w kieliszku resztkę koniaku.

- I pewnie tak właśnie było - kontynuował Graham. - Tyle że...

Poczułem przypływ paniki.

- Tyle że co?

- Nic, najprawdopodobniej wydarzyło się właśnie to.

- Przestań - zirytowałem się. - Skoro zacząłeś, musisz teraz skończyć.

- Chodzi o coś, co mówił później ojciec i co udało mi się podsłuchać. Nie sądzę, żeby to było przeznaczone dla moich uszu.

- Co?

- No cóż, cały incydent wywołał u pani Gooch ogromny szok. I nie chodziło tylko o pieniądze, choć mniej więcej tak tłumaczyła się przed ojcem następnego dnia. W każdym razie miała kiedyś córkę, która mieszkała właśnie w tamtym pokoju, zanim jej matka zamieniła dom w pensjonat.

- I co z tego? Nie widzę w tym nic dziwnego. Córka wyszła za mąż i wyjechała, a jej matka i ojciec woleli zamienić dom w pensjonat, niż decydować się na coś mniejszego. To całkiem rozsądne. Scarborough odwiedza mnóstwo turystów.

- Owszem. Tyle że sprawy miały się trochę inaczej.

- Czyżby?

- Właśnie. Córka nie była aniołkiem. Od dzieciństwa miała też problemy z opanowaniem stresu. Rzucił ją narzeczony, żołnierz, i wtedy... No cóż, powiesiła się w tym pokoju. Oczywiście pani Gooch nie opowiadała o tym gościom, ale jak już wspomniałem, incydent z lustrem do tego stopnia wytrącił ją z równowagi, że w końcu wygadała się przed ojcem. Drzwi do szafy były tamtego dnia otwarte, a ona najpierw zobaczyła odbicie ciała córki w lustrze, zanim jeszcze jej wzrok padł na wiszące zwłoki. To, co się wydarzyło, po prostu obudziło w niej te wspomnienia.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Nic nie przychodziło mi do głowy, przeszedł mnie za to lodowaty dreszcz.

- Uważasz więc, że wydarzenia pozostawiają po sobie ślady?

- Nic takiego nie powiedziałem. Przyznaję, że cały ten incydent wydawał mi się bardzo dziwny i że łatwo byłoby ulec pokusie wyjaśniania go w kategoriach zjawisk paranormalnych.

- Mogłem gdzieś usłyszeć o tamtych wydarzeniach? Wyobrazić je sobie?

- Możliwe, ale nie bardzo wiem jak. Miałeś dopiero cztery latka. Nawet ja nie do końca zrozumiałem, co takiego podsłuchałem, choć utkwiło mi to w pamięci. Kilka lat później, kiedy byłem w gimnazjum, znalazłem relację z tego wydarzenia w archiwum prasowym. Cała historia wydarzyła się w czterdziestym piątym roku. Wygląda na to, jak wyczytałem między

wierszami, że amerykański żołnierz zrobił dziewczynie dziecko, obiecał ją poślubić i zabrać do Kansas czy skąd tam pochodził, a potem ją po prostu zostawił. Nie mogła znieść wstydu, życia bez niego... Wszystko jedno. I po prostu się załamała.

- I to ją zobaczyłem wtedy w lustrze?

- Trudno powiedzieć - rzekł Graham. - Być może w ciemności po prostu to sobie wyobraziłeś. Być może było to tylko wspomnienie z koszmaru.

- Albo miejsca mają swoje wspomnienia, a ja potrafię je czytać?

- Teraz ty zaczynasz pleść bzdury. Po prostu nie chcę, żeby sprawa Grace Fox wytrąciła cię z równowagi, nic więcej. Przecież jeszcze nie doszedłeś do siebie po śmierci Laury.

Bernie Wilkins powiedział mi dokładnie to samo i nagle zaczęło mnie to złościć.

- Nie chodzi o hałasy albo cienie, które czasem zdarza mi się gdzieś widzieć - powiedziałem. - Albo o pianino, które słyszę. To wszystko jest dokładnie tym, co twierdzisz: fantomami nadmiernie obciążonej wyobraźni, bazującymi na zwyczajnych odgłosach i cieniach starego domu. Efekty specjalne. Po prostu okazało się, że ten dom ma swoją historię, która dzięki nim staje się nagle w moich oczach wyraźniejsza. A może odwrotnie? Tak czy inaczej, nie wytrącają mnie z równowagi. Czasami tylko mnie budzą. Nie śpiam ostatnio dobrze.

- Prawie wszystkie stare domy mają swoje historie.

- Kto wie? Może szukam czegoś, co mogłoby mnie oderwać od nieciekawej rzeczywistości, tajemnicy, w którą mógłbym się zagłębić. Może dostaję nawet lekkiej obsesji.

Kiedy próbuję się zatrzymać i spojrzeć na to uczucie, z dystansem, właściwie nawet nie wiem, jak to się stało, że dałem się w to tak wciągnąć, jakie są moje motywy albo jak głęboko już w tym tkwię. Nie mam pojęcia, do czego to wszystko zmierza, ale chcę wiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Po tym, co powiedzieli mi Wilf Pelham i Sam Porter, nie jestem przekonany, że Grace Fox rzeczywiście zamordowała swojego męża. A nawet jeśli to zrobiła, chcę dojść do tego sam. Czy to takie dziwne?

Graham usiadł prosto i odstawił pusty kieliszek na okrągły stolik obok fotela.

- Nie, dopóki faktycznie jest tak, jak mówisz. W końcu masz mnóstwo czasu. Życzę ci szczęścia, braciszku. Po prostu nie chcę, żeby to wszystko zaszło za daleko, nic więcej. Nie chciałbym, żebyś zwariował i zaczął się rzucać po Kilnsgate House. Albo tutaj. - Rozejrzał się po domku, który, wiedziałem o tym doskonale, oboje z Siobhan bardzo kochali. - Te ściany też mają swoją historię czy wspomnienia. Nie mówiąc już o dziwnych odgłosach.

Uśmiechnąłem się i wstałem.

- Postaram się nie zwariować - obiecałem. - Dobranoc, Graham. Dziękuję za koniak. I za opowieść.

Graham skinął głową.

- Do zobaczenia rano.

Gdy ruszyłem po nierównej kamiennej podłodze w stronę trzeszczących drewnianych schodów, byłem już mocno pijany. Graham miał rację; to był stary dom i bez wątpienia również miał kilka historii do opowiedzenia. Nie miałem jednak nastroju, żeby ich wysłuchiwać; chciałem tylko spać.

Ale, oczywiście, sen nie nadchodził. Spałem w tym samym pokoju, który zajmowałem w czasie naszych wizyt z Laurą. W tym samym łóżku. Poczuję się o wiele bardziej samotny niż w łóżku w Kilnsgate, którego nigdy jeszcze z nikim nie dzieliłem. Myśli krążyły w mojej głowie bez ładu i składu, jak to zwykle bywa, kiedy człowiek jest trochę pijany, dryfując jednak stopniowo w stronę rozmowy, którą właśnie odbyłem z Grahamem.

Zastanawiałem się, czy nie wyciągnąć iPod'a i nie puścić sobie jakiejś kojącej muzyki albo książki. Miałem audiobook z pełną wersją powieści Z dala od zgiełku, którą uwielbiałem. Wiedziałem jednak, że nie dam rady się skoncentrować. Ciągłe gnębiła mnie opowieść Grahama, choć brzmiała w moich uszach jak coś, co przydarzyło się komuś innemu. Ale to na mojej dłoni ciągle widniała blizna; czasem nawet swędziała.

Czy rzeczywiście zobaczyłem wtedy w lustrze postać młodej kobiety i rozbiłem je ze strachu? Czy faktycznie był to obraz kobiety, która kilka lat wcześniej powiesiła się w tamtym pokoju, czy też po prostu wyrwałem się z koszmarne go snu i wszystko to sobie wyobraziłem? Nie wiedziałem. Zresztą jak miałem się tego dowiedzieć? Podobnie było z postacią, którą kątem oka zobaczyłem w lustrze w szafie w Kilnsgate. Uznałem ją za grę księżycowego światła, ale może zrobiłem to pochopnie? Czy była to Grace?

Nie opowiedziałem o tym Grahamowi. Nikomu nie powiedziałem. Dlaczego? Ponieważ nie mogłem tego wyjaśnić racjonalnie? Ponieważ ktoś mógłby pomyśleć, że zaczynam wariować?

Ufałem Grahamowi. Nie miał powodu, żeby mnie okłamywać w tak istotnej kwestii, ale w rzeczywistości nikt poza mną nie mógł wiedzieć, co się wydarzyło w tamtym pokoju, a ja tego nie pamiętałem. Mój ojciec nie żył, więc nie mógł mi pomóc, pani Gooch z pewnością również zmarła dawno temu. Przypuszczałem, że mógłbym zapytać matkę albo poszperać w archiwach prasowych, tak jak kiedyś zrobił to Graham, ale jaki to miało sens, skoro mu wierzyłem? Mógłbym w ten sposób co najwyżej potwierdzić, że istotnie w tamtym pokoju popełniono samobójstwo, ale już nie to, że zobaczyłem w lustrze coś niezwykłego. Graham powiedział mi wszystko, co musiałem wiedzieć. Tylko w jeden sposób mogłem ustalić, co się wtedy wydarzyło: przypominając to sobie.

Próbowałem zasnąć, ale wszystkie te pytania krążyły w mojej głowie niczym drapieżne ptaki nad ofiarą. Zastanawiałem się, co to miało wspólnego z Grace Fox i Kilnsgate House. Byłem przekonany, że to jest mój wybór, że sam zainteresowałem się sprawą Grace, ale czy rzeczywiście tak było? Przypominałem sobie uczucie, jakie ogarnęło mnie, gdy po raz pierwszy zbliżałem się do Kilnsgate - że dom jakby na mnie czeka. Czyżby do wszczęcia śledztwa pchnęły mnie siły, których nie rozumiałem? Trudno mi było pogodzić się z faktem, że jakaś potęga niezależna od mojej woli może mną sterować jak lalką. Trochę za bardzo przypominało to Nie oglądaj się teraz. Donald Sutherland jest przekonany, że widzi swoją żonę na dziobie łodzi pogrzebowej w Wenecji, podczas gdy nie powinno jej być nawet w mieście, i ostatecznie okazuje się, że to jego własny pogrzeb. Jest medium, ale o tym nie wie.

Muzyka: Pino Donaggio.

Na korytarzu usłyszałem skrzypienie, ale szybko domyśliłem się, że to Graham idzie do toalety. Chwilę później dobiegł mnie szum spuszczonej wody oraz ponownie skrzypienie desek - najwyraźniej wracał. Jego opowieść sprawiła, że miałem nerwy w strzepakach i byle hałas sprawiał, że niemal podskakiwałem.

Wyobraziłem sobie znowu Grace, ale tym razem jej obraz podziałał na mnie kojąco.

Wyglądała jak na jednym z najlepszych portretów Sama: była zamyślona, nieobecna, ale mimo to zmysłowa i ponętna, koniuszki jej ust opadały leciutko po obu stronach, oczy przypominały jezioro o północy, w które człowiek chce wskoczyć, w którym pragnie zatonać, wokół owalu twarzy układały się pukle jej falujących włosów, a ramiona były blade i nagie.

Powoli zaczynałem zasypiać. Grace rozłożyła ręce, jakby wzywając mnie do siebie. Nagle jej obraz ustąpił przed widokiem Laury, na której policzkach topniały płatki śniegu i której złote włosy wysypywały się spod ściąganej właśnie futrzanej czapy, a potem i ją wyparł ktoś inny, ktoś, kogo nie rozpoznawałem. Być może dziewczyna z lustra. Poczulem zapach kakao i usłyszałem, jak na podwórku wiatr szura opadłymi liśćmi. Obraz w mojej głowie zaczął coś do mnie mówić, ale litościwie w końcu opadło na mnie zapomnienie.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Grace Fox zasiadła na ławie oskarżonych ubrana w prosty szary kardigan narzucony na zapinaną pod szyję perłową bluzkę. Była blada, nie miała makijażu, a włosy upięła z tyłu w ciasny kok. Prostota i surowość tego stroju oraz wyglądu pozostawały w ostrym kontraście z jej obrazem, jaki sir Archibald Yorke, oskarżyciel, miał zamiar odmalować przysięgłym.

Jak na kobietę, której grozi kara śmierci, Grace wydawała się też niezwykle opanowana czy zrezygnowana, a na jej twarzy, w wyniku pobytu w ciemnej, dusznej celi pozbawionej całkowicie kolorów czy choćby śladów radości, z rzadka jedynie można było dostrzec oznaki jakichś emocji.

Sir Archibald Yorke teatralnym gestem podciągnął togę, poprawił perukę i rozpoczął swój wywód, bez cienia wątpliwości w głosie opisując Grace Fox jako kłamliwą, rozwiązłą żonę starzejącego się, Bogu ducha winnego wiejskiego lekarza. Uznawszy, że potencjalna przeprowadzka stawia pod znakiem zapytania jej związek z biednym artystą, z racji wieku nadającym się raczej na jej syna, Grace podjęła dramatyczną decyzję odebrania mężowi co najmniej paru lat życia. Zrobiła to, jak argumentował sir Archibald, z niewyobrażalnym wyrachowaniem, podstępnie i z premedytacją. Zadbala nie tylko o to, by mieć pod ręką wszelkie konieczne środki, ale również, by dom był pełen mimowolnych świadków, którzy, jak miała nadzieję, chętnie wystąpią w jej obronie, w różnym stopniu wzięwszy udział w maskaradzie, jaką zaplanowała na zimowy wieczór 1 stycznia 1953 roku. Wedle słów oskarżyciela, Grace Fox była „niesłychanie sprytną, podstępną, zaradną i złą kobietą”.

Grace wiedziała doskonale, że jej mąż cierpi na dolegliwości żołądkowe oraz wykazuje skłonność do zgagi i niestrawności, zwłaszcza po tak

obfitym i sycącym posiłku, jak ten owego pamiętnego wieczoru. Wiedziała również, że nigdy nie hamowało to jego apetytu na jedło i napoje, których dostarczyła mu zatem w obfitości. Choć poszczególne dania przyrządziła Hetty Larkin, zrobiła to pod uważnym nadzorem i zgodnie z instrukcją pani Fox, która osobiście według własnych przepisów ułożyła menu. Pani Fox wiedziała, że będzie potrzebowała świadków, by odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, by wydawało się, że jej mąż zmarł z przyczyn naturalnych, ona zaś, jako zawodowa pielęgniarka, zrobiła wszystko, co w jej mocy, by go uratować.

Jednakże w rzeczywistości, jak twierdził sir Archibald, Grace zmieszała męzowski proszek na żołądek z wodzianem chlorału, by znieczulić małżonka, a następnie wróciła do salonu i dołączyła do wesołego towarzystwa niczego niepodejrzewających Lambertów.

Później, kiedy goście oraz gosposia udali się już do łóżek, Grace weszła do pokoju męża - jak podkreślił sir Archibald, od pewnego czasu oboje zajmowali osobne sypialnie - i wstrzyknęła dr. Ernestowi Foxowi wystarczającą dawkę chlorku potasu, by wywołać atak serca.

Kiedy jej mąż zaczął wykazywać pierwsze jego objawy, Grace Fox narobiła wrzawy, upewniając się, że nadwrażliwa Alice Lambert, zazwyczaj źle sypiająca, będzie świadkiem jej rozpaczliwej próby udzielenia pomocy umierającemu mężowi, temu samemu mężowi, którego chwilę wcześniej otruła. Ernest Fox zmarł jednakże jeszcze szybciej, niż spodziewała się Grace, i Alice Lambert przybyła na miejsce wydarzeń dopiero po tym, jak pani Fox nadaremnie zaaplikowała ostatnią dawkę naparstnicy. „Czyż można sobie wyobrazić, by zbrodniarz w bardziej ohydny sposób planował swe machinacje?” - zapytał w tym momencie sir Archibald przysięgłych.

Po wszystkim, kiedy na wiele godzin, na kilka dni śnieżyca odcięła całą czwórkę od świata, Grace Fox miała mnóstwo okazji, by pozbyć się dowodów. Papier, na którym znajdowały się resztki zanieczyszczonego proszku na żołądek, łatwo było spalić w kominku na dole, w którym zimą paliło się właściwie bez przerwy, a strzykawkę można było starannie wysterylizować i umieścić obok drugiej takiej samej w torbie lekarskiej dr. Foxa. Łatwo było także pozbyć się z domu śladów chlorku potasu czy wodzianu chlorału i nic dziwnego, że nie znaleziono tam pozostałości po tych substancjach.

Plan był przebiegły, choć prosty, podsumował sir Archibald. Po wszystkim Grace musiała tylko posprzątać, przycząć się, odgrywać rolę pograżonej w żalu wdowy i powstrzymać się na kilka miesięcy od potajemnych spotkań z kochankiem. W czasie swoich ohydnych schadzki pozostawali wszak ostrożni oraz dyskretni i nie spodziewali się, że zdradzi ich pierwszy świadek sir Archibalda, pani Patricia Compton z Leyburn.

Październik 2010

Ponieważ w Richmond i tak nie miałem nic pilnego do roboty, zostałem u Grahama i Siobhan jeszcze przez kilka dni. Być może chciałem też przekonać brata, że nie mam obsesji na punkcie Grace Fox i że potrafię się odprężyć oraz zachwycać okolicą. Był koniec października i choć dni na południu wydawały się dłuższe, wieczorami w powietrzu czuć już było jesienny chłód. Poranki zaczynały się od mgiełki, którą dopiero później rozganiało słońce, choć popołudnia były ciepłe, gdzieś tak około piętnastu stopni, czyli jak w Santa Monica w styczniu. W każdym razie nie marzłem.

Chodziliśmy we trójkę na długie spacery nad rzekę i do lasu, a jeden dzień spędziliśmy, zwiedzając zabytki w Angouleme, gdzie również zjedliśmy kolację w ulubionej restauracji Grahama. Na wsi zagraliśmy w bule, wzbudzając rozbawienie miejscowych staruszków. Ponieważ pierwszy wieczór był bardzo ciepły, posililiśmy się w kawiarni w ogródku, rozmawiając i popijając wino pod gwiazdami, aż stało się oczywiste, że właściciel chce już zasunąć rolety. Nie wspominaliśmy więcej ani o Grace Fox, ani o incydencie z lustrem w Scarborough, Graham nie opowiedział mi też historii swojego domu, choć wspomniał, że rodzina mieszkająca w nim w czasie wojny dawała schronienie Żydom, których Niemcy w końcu jednak znaleźli i rozstrzelali na wiejskim trawniku.

Rozmawialiśmy głównie o mojej pracy - Siobhan zawsze chętnie słuchała najnowszych plotek na temat gwiazd, a ja próbowałem jej nie rozczarować - oraz o kondycji Unii Europejskiej, która w miarę jak kolejne kraje zgłaszały potrzebę uzyskania pomocy finansowej, wydawała się coraz gorsza. Sypiałem dobrze. Nawet jeśli w domu rozbrzmiewały upiorne echa strzałów z pistoletu i pisków przerażonych żydowskich dzieci chroniących się na strychu, nie słyszałem ich.

Czwartego ranka stwierdziłem, że czas wracać do domu. Choć z całego serca kochałem Grahama i Siobhan, zdałem sobie sprawę, że tęsknię za

Kilnsgate House oraz za życiem, które zacząłem tam sobie układać. Brakowało mi też pracy nad sonatą i chciałem już posiedzieć nad jedną czy dwiema intrygującymi wariacjami, które chodziły mi po głowie.

Wprawdzie Graham któregoś wieczoru pozwolił mi skorzystać ze swojego pianina, ale to niezupełnie to samo.

Zaprosili mnie, żebym przyjechał do nich na święta, zwłaszcza że w tym roku swoją obecnością miała zamiar zaszczyścić ich matka. Zwykle wydawali w domu wielką kolację dla swoich dzieci i wnuków oraz kilkorga krewnych Siobhan z Irlandii. Powiedziałem, że nie jestem pewien; że chciałbym spędzić swoje pierwsze święta w Kilnsgate, i zapewniłem ich, że nic mi nie będzie. Obiecałem, że jeśli tylko poczuję się samotny, natychmiast złapię samolot do Francji. Siobhan wyściskała mnie serdecznie, a Graham zawiózł na stację.

Choć żaden z etapów podróży nie trwał dłużej niż dwie czy trzy godziny, po doliczeniu wszystkich opóźnień oraz czasu, który zmarnowałem, czekając na stacjach, powrót do domu zajął mi prawie cały dzień i było już ciemno, gdy moja taksówka zatrzymywała się przed Kilnsgate House, czekającym na mnie niczym porzucona kochanka - ni to smutna, ni obrażona. Bez wątplenia znowu ponosiła mnie wyobraźnia.

Być może zwidem była również drobna, zakapturzona postać, która, jak mi się zdawało, stała obok wapiennika, bo gdy wyskoczyłem z taksówki i podbiegłem do mostku, nikogo tam już nie było. Mimo to wystraszyłem się nie na żarty i pomyślałem nagle, że w Kilnsgate jestem właściwie bezbronny. A może to włamywacz oceniał swoje szanse? Może jakiś gang miał na oku mój dom? Przypomniałem sobie przerażającą scenę z Mechanicznej pomarańczy, w której Alex i jego kumple składają wizytę w domu na wsi i aż się wzdrygnąłem.

Ponieważ chcąc odstraszyć potencjalnych włamywaczy, przed wyjazdem nastawiłem włączniki czasowe w kilku lampach, kiedy wchodziłem do domu, nie było zupełnie ciemno.

Zamknąłem za sobą drzwi na klucz i ruszyłem w szybki obchód po pokojach, chcąc się upewnić, że wszystko jest w porządku. Nic nie wskazywało na to, żeby w czasie mojej nieobecności ktokolwiek coś ruszał.

Zostawiłem również włączone kaloryfery, choć nastawiłem je na dosyć niską temperaturę, co oznaczało, że mogłem szybko nagrzać w środku, zwłaszcza że chciałem rozpalić w kominku w salonie. Miałem nadzieję, że

dzięki temu w domu zrobi się znowu przytulnie, że szybko zniknie chłód i moje podenerwowanie. Po kontroli bezpieczeństwa pozbierałem pocztę i wszedłem do salonu, gdzie pstryknąłem światło i zacząłem rozpalać w kominku. Uporałem się z tym dosyć szybko - przy wydatnej pomocy podpałki - i wkrótce już polana trzaskała wesoło, dokładnie tak jak w domu Grahama setki mil dalej. W Yorkshire, oczywiście, było o wiele chłodniej, a za oknem po niebie ciągnęły znowu gęste chmurzyska.

Zadałem sobie pytanie podobne do tych, które zdobiły stare plakaty z czasów wojny: czy moja podróż była naprawdę konieczna? Trudno powiedzieć. Wprawdzie dowiedziałem się całkiem sporo od Sama Portera, ale kiedy się nad tym zastanawiałem, cała ta wiedza właściwie niewiele zmieniała.

Widziałem, rzecz jasna, rysunki i obrazy, na których była Grace, co samo w sobie sprawiało, że warto było się fatygować. Opowieść Sama o jego dawnej ukochanej była również bardzo osobista i wyłaniała się z niej pełniejsza postać niż z wszystkich innych razem wziętych, co było absolutnie bezcenne. Niemalże miałem ją teraz przed oczami, wyobrażałem sobie, jak idzie w Whitby nadmorską ścieżką z Samem za rękę, pokazuje fragmenty morskiego pejzażu, zatrzymuje się, by poczuć wiatr we włosach, jak rumieniec wykwita na jej policzkach. Wyobrażałem sobie, jak płacze, wpatrując się w obraz albo wsłuchując w symfonię. Stała się w moich oczach bardziej żywa, bardziej prawdziwa niż kiedykolwiek przedtem. Wprawdzie oglądałem wcześniej jej pismo czy też jej niezbyt udany portret namalowany przez Viviana Mountjoja, ale dopiero teraz miałem wrażenie, że potrafię sobie wyobrazić jej głos i dotyk jej skóry.

Sprawdziłem wiadomości w telefonie - nie było żadnej - a potem puściłem *Années de pelerinage*, nalałem sobie soku żurawinowego, żeby zrównoważyć chociaż trochę cały alkohol, który ostatnio wypilem, i usiadłem nad pocztą. Oprócz uprzejmych kartek z podziękowaniami od Heather i Dereka oraz od Charlotte nie znalazłem niczego interesującego, choć wreszcie przyszło kilka rachunków za media. Byłem teraz legalnym obywatelem. Mogłem udowodnić, że istnieję. Mogłem pójść do któregoś z banków na rynku i otworzyć konto, co znacznie ułatwi mi życie. Dostałem kilka zaproszeń na koncerty i premiery w Los Angeles, które wrzuciłem do ognia, podobnie jak propozycję przedłużenia gwarancji na telewizor.

Przez chwilę, siedząc we własnym domu przed rozpalonym kominkiem, słuchając muzyki Liszta i przeglądając ostatnie numery „Gramophone” oraz „Sight & Sound”, czułem, że nie trzeba mi niczego więcej.

Minąwszy mostek i wapiennik, wyszedłem na pola, które doprowadziły mnie aż do starego toru wyścigowego. Ranek był dosyć pogodny, rześki, ale nie za zimny, a ja z całą pewnością potrzebowałem ruchu. Obrosłem już w tłuszcz po tych wszystkich wyśmienitych daniach, które pochłonałem w Londynie i Francji, i jeżeli chciałem nadal tak dobrze jadać - nie przechodzić na zajęczą dietę i sok z marchwi - to musiałem spalić parę kalorii. Powoli dochodziło do mnie, że zdrowy tryb życia, który wydaje się czymś zupełnie zwyczajnym w Los Angeles, niekoniecznie równie łatwo jest utrzymać w Yorkshire. Chciałem też wysłać w mieście kilka listów.

Widok pejzaży Dale zawsze sprawia, że zaczynam myśleć o ojcu. Kiedy byłem dzieckiem, często tu przyjeżdżaliśmy, przeważnie latem, i spacerowaliśmy po wysoko położonych wrzosowiskach, obserwując kuliki oraz czajki - siewki, jak je nazywał - albo też chodziliśmy po łąkach porośniętych jaskrami i koniczyną, na których mogłem patrzeć na nurkujące i wzbijające się z powrotem w niebo jaskółki. Uwielbiałem obserwować jaskółki.

Mogłem tak stać godzinami, będąc jedynym nieruchomym elementem krajobrazu, czuć powietrze bijące od ich skrzydeł, jak krążyły mi nad głową, kreśląc coraz bardziej wymyślne, skomplikowane wzory i czasem tak bardzo obniżając loty, że kraksa z podłożem wydawała się nieunikniona. Tylko dlaczego w moich wspomnieniach te letnie dni zawsze są słoneczne, powietrze słodkie i nieruchome, wypełnione bzyczeniem owadów oraz zapachem ciętej trawy i dzikich kwiatów?

Pamiętam jednak również jedną z naszych jesiennych wypraw, w dzień bardzo podobny do dzisiejszego, kiedy biegłem wiejską dróżką, radośnie rozkopując sterty opadłych, wysuszonych liści, z rozkoszą wsłuchując się w ich szelest oraz obserwując wirujący wielobarwny kalejdoskop, który wzbijałem w powietrzu, podczas gdy ojciec szedł powoli za mną, wspomagając się laseczką, i z całą pewnością uśmiechał się jak zawsze, chłonąc cały ten wielobarwny świat. Był całą duszą człowiekiem wsi, zmuszonym tylko po wojnie, jak wielu innych, do przeprowadzki do miasta w poszukiwaniu pracy, i nigdy nie był tak szczęśliwy jak wtedy, gdy mógł spacerować polnymi dróżkami albo wylegiwać się na kamiennym murku i

podziwiać widoki. Potrafił wymienić nazwy wszystkich drzew, dzikich kwiatów i ptaków.

Sam nie bez satysfakcji myślę czasem, że też mam duszę wieśniaka, choć urodziłem się i wychowałem w mieście.

Odstawszy swoje w kolejce na poczcie - wydaje się, że niektórzy załatwiają przy okienku wszystkie sprawy z wyjątkiem kupowania znaczków i nadawania przesyłek - skręciłem na placu w lewo, zmierzając do Królewskiej Głowy na lunch, i mało nie wpadłem na idącą w przeciwnym kierunku Charlotte.

- Co za spotkanie! - zawołała. - Wiedziałam, że to ty.

- Cześć, Charlotte. Dzięki za kartkę.

- To był całkiem sympatyczny wieczór.

- Zapamiętałem go trochę inaczej, ale jakby co, to wszystkiego się wyprę.

- Posłuchaj - wyrzuciła nagle z siebie. - Chciałabym z tobą zamienić...
No wiesz...

Jeżeli masz chwilę.

Mówiąc, odgarniała co chwilę włosy z czoła - było dosyć wietrznie - i to nawet wtedy, kiedy nie było takiej potrzeby. Bardzo mi się to podobało; przypominała nieco dziewczynę z okładki starego wydania magazynu „Health and Efficiency”, tyle że ubraną. W każdym razie gestem tym podkreślała swoją szczupłą, wysportowaną sylwetkę.

Mogłem pewnie odmówić, stwierdzić, że jestem zajęty i muszę wracać do Kilnsgate House, ale nigdy nie potrafiłem kłamać jak z nut, chyba że chodziło o okłamywanie samego siebie. Przypuszczalnie w razie konieczności mógłbym sobie nawet wmówić, że czarne jest białe, ale nikt inny by mi nie uwierzył. Poza tym zaintrygowała mnie, a perspektywa lunchu z atrakcyjną kobietą nie jest w moim wieku czymś, co człowiek może nonszalancko odrzucić.

- Jasne - powiedziałem. - Właśnie miałem zjeść lunch. Dołączysz do mnie?

- Ekstra.

Kto, do jasnej, mówi w dzisiejszych czasach: „ekstra”? Najwyraźniej Charlotte. Typ wysportowany, z wycieniowanymi jasnymi włosami.

Brakowało jej tylko rakiety tenisowej albo kija golfowego w ręce, w której trzymała torebkę Stead and Simpsons.

- Myślałeś o czymś konkretnym?

- Słucham? No tak, lunch. Nie, właściwie nie. Pod Królewską Głową?

- Może lepiej Rustique? Ja stawiam.

Poszliśmy więc do Rustique, restauracji tuż za placikiem, przy Finkle Street.

Usiedliśmy na oszklonym dziedzińcu, na którego wystrój składały się głównie wyłożona płytkami podłoga, francuskie plakaty w ramkach oraz murale ścienne nagich tancerek fan dance. Miałem ochotę na wino do lunchu, ale ponieważ Charlotte odmówiła, postanowiłem również ograniczyć się do wody i kawy. Poprzedniego dnia byłem grzecznym chłopcem i nie wziąłem do ust niczego z domieszką alkoholu, więc i dziś mogłem jakoś się obejść.

- No i jak, co u ciebie? - zagaiła Charlotte.

Opowiedziałem jej o wizycie u Sama Portera w Paryżu, starając się trzymać wersji, że to raczej Graham, mój brat, a nie malarz był głównym powodem, dla którego przekroczyłem kanał. Podeszła kelnerka i złożyliśmy zamówienie. Natychmiast zapomniałem o swoim postanowieniu i poprosiłem o kieliszek costieres de nîmes. Charlotte ograniczyła się do dietetycznego toniku. Na tym właśnie polega mój problem. Nie lubię ani napojów gazowanych, ani dietetycznych, kawę piję rano, a woda nadaje się głównie dla koni, więc naprawdę nie zostaje mi nic oprócz wina lub piwa. W każdym razie tak to sobie tłumaczę.

Przez chwilę rozmawialiśmy o moich teoriach na temat Grace Fox. Kiedy wspomniałem, że właściwie nie miała motywu, Charlotte spojrzała na mnie.

- A nie przyszło ci do głowy, że to Sam Porter mógł być motywem? - zapytała.

- Nie. Przecież żyli w świecie fantazji.

- Ale czy ich świat fantazji nie mógł mieć też mroczniejszej strony?

- Przypuszczam, że to możliwe, ale odnoszę dziwne wrażenie, że jednak nie. Chociaż przyznaję, że na razie to tylko mój punkt widzenia, przekonanie co do tego, kim była Grace, jaką była kobietą.

- Jedno jest pewne: kiedy o niej mówisz, faktycznie wydaje się niesamowita. Jesteś pewien, że nie zakochałeś się w niej chociaż troszeczkę?

- To by było takie proste, co?

- To znaczy?

- Zakochać się w kimś, kogo już nie ma na tym świecie. Idealna ucieczka od rzeczywistości, od zaangażowania. Żadnej presji, żadnych trudnych decyzji do podjęcia, żadnych poświęceń. Jak dmuchana lalka. Żadnych wymagań. Zwłaszcza dla kogoś, kto jest w tak „delikatnym” stanie jak ja.

Charlotte spiekła raka.

- O jejku! - wykrztusiła. - Nie miałam tego na myśli. Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Tylko żartowałam.

Naprawdę mówiła: „O jejku!”, podobnie jak „ekstra”. Zastanawiałem się, czy zdarza jej się również rzucić: „bujasz” albo „cudaśnie”. Jak można się gniewać na kogoś, kto mówi: „O jejku” i „ekstra”? Uśmiechnąłem się i dotknąłem jej dłoni, żeby ją przekonać, że wszystko w porządku.

- Problem polega na tym - powiedziałem - że masz rację, tyle że w pewien abstrakcyjny, nieszkodliwy sposób. Popatrz na mnie: niby taki rozsądny, sensowny, rozchwytywany gość, a marnuję czas, żeby udowodnić niewinność kobiety, którą powieszono prawie sześćdziesiąt lat temu. Kretyńskie, co?

- O to ci właśnie chodzi? Próbujesz udowodnić, że była niewinna?

- Na początku w ogóle o tym nie myślałem, ale wszystko wskazuje na to, że tak właśnie było.

- A co zrobisz, kiedy już ci się uda?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Pewnie powiadomię władze. Oficjalne przeprosiny, rehabilitacja i tak dalej. Wiem, że już za późno, żeby komuś w ten sposób pomóc, ale tak to się właśnie załatwia, prawda?

- Pewnie tak. W takim razie mogę ci tylko życzyć powodzenia.

- Dzięki. Ale powiedziałaś, że chcesz ze mną zamienić słowo.

- No tak. - Charlotte szybko pokręciła głową. - To nic takiego, naprawdę... To znaczy, nie jakaś ważna sprawa czy coś w tym rodzaju, po prostu... Trochę delikatna...

W tym właśnie momencie kelnerka przyniosła jedzenie i przerwaliśmy rozmowę, czekając, aż postawi przed nami talerze i wypyta nas, czy życzymy sobie czegoś jeszcze.

- Zaintrygowałeś mnie - powiedziałem do Charlotte, gdy zostaliśmy sami. - Możemy kontynuować.

- No wiesz, chodzi o Heather. Znamy się od bardzo dawna. Chodziłyśmy razem do szkoły. Psiapsiółki i tak dalej. Przez te wszystkie lata zdarzały nam się lepsze i gorsze chwile, czasem nawet nie widywałyśmy się dość długo, ale ciągle uważam, że się przyjaźnimy.

- To miło - skomentowałem. - W czym mogę wam pomóc?

- Och, nie chodzi o to. Albo może... właśnie o to. - Zachichotała krótko. - Ale to głupie, nie? Siedzę tutaj i nie wiem, jak to powiedzieć.

- Po prostu powiedz.

- No dobra. - Odłożyła nóż i widelec. - Nie chcę, żebyś ją zranił. To tyle.

Choć już od dobrej chwili przypuszczałem, do czego zmierza, i doskonale pamiętałem napięcie, jakie wisiało w powietrzu w czasie przyjęcia, oraz naszą małą maskaradę w kuchni, nie miałem zamiaru ułatwiać jej sprawy.

- Co masz na myśli? - zapytałem. - Dlaczego miałbym ją zranić?

- Może tego po niej nie widać. Wiem, że pozuje na silną. Wydaje się taka wyszczekana. W sumie nic dziwnego, w jej zawodzie to musi przyjść z czasem. Ale jest naprawdę wrażliwa i wbrew temu, co stara się z całej siły udowodnić, zupełnie bezbronna w tych sprawach.

Przez jakąś minutę oboje skupialiśmy się na jedzeniu. Napiłem się wina. Chyba już się domyślałem, co dokładnie Charlotte właśnie próbowała mi powiedzieć na temat Heather.

Nachyliła się ku mnie i ściszyła głos.

- Pewnie nie powinnam ci o tym mówić, ale Heather i Derek przechodzą ostatnio w małżeństwie trudny okres. Dwa lata temu na krótko zdecydowali się na separację, potem do siebie wrócili, ale wygląda na to, że nadal im nie wychodzi. Wszystko to nie wygląda najlepiej, szczerze powiedziawszy. Tak czy inaczej, dla Heather to naprawdę trudny okres.

- Przykro mi to słyszeć. Jeżeli mogę cokolwiek...

- Możesz trzymać się od niej z daleka - powiedziała Charlotte.

- Ja?... Co? Co ona ci nagadała?

- Nic mi nie nagadała. I przepraszam, że to zabrzmiało tak obcesowo, ale po prostu nie jestem najlepsza w tego typu sprawach. Wtedy, w czasie kolacji, było dla mnie oczywiste, że nie interesujesz się mną, że oboje jesteście... Że coś iskrzy między wami.

- Nic nie iskrzy między nami - zapewniłem ją.

- Naprawdę? Na pewno?

- Heather była po prostu trochę pijana. Zaczęła flirtować.

- Ale wydawało mi się... No wiesz, myślałam, że macie romans.

- Romans? Mój Boże, nie! Od tamtego wieczoru prawie nie bywałem w mieście. No i nie jestem taki szybki.

- Ojej. Chyba nie jestem w tym najlepsza i nie zawsze widzę, co się święci. Ale wiem, że cię polubiła. Na pewno. Znamy się wystarczająco długo, żebym to po niej poznała.

Właściwie źle się wyraziłam. Chodzi mi raczej o to, że moim zdaniem Heather chciałaby mieć z tobą romans, a ja proszę cię, żebyś jej w coś takiego nie wciągał. To by się dla niej źle skończyło. Jest taka wrażliwa.

- A co ze mną? - zapytałem.

- Słucham? Co masz na myśli?

- A może ja też jestem wrażliwy? W końcu niedawno owdowiałem.

Charlotte położyła sobie dłoń na ustach.

- Ojej, nie chciałam cię... Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Znowu coś palnęłam.

Nie powinnam... No wiesz, bałam się tylko o Heather.

- Nie jestem jakimś pozbawionym skrupułów uwodzicielem.

- Ale różnie bywa.

- No cóż, właściwie masz rację. Jedno mogę ci obiecać: nie zrobię nic, żeby ją do czegokolwiek zachęcać. Czy to wystarczy?

Charlotte uśmiechnęła się.

- Jasne. I naprawdę przepraszam. No wiesz, pewnie poczułeś się wmanewrowany w tę całą randkę w ciemno, a przecież one zawsze kończą

się katastrofą. Widziałam, że mnie nie polubiłeś, w każdym razie nie w ten sposób.

- Bardzo cię polubiłem, Charlotte. Ale może zwyczajnie nie jestem jeszcze gotowy na kolejny związek?

- Pewnie nie.

Wyciągnąłem rękę.

- Więc jak, rozejm?

Skinęła głową.

- Rozejm.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Nagle pozałowałam, że nie wzięłam wina - powiedziała, klepiąc się po dekolcie.

- Ciągłe nie jest za późno. Czemu nie? Chętnie wypiję drugą lampkę.

- Nie powinnam.

- Nie bądź taka sztywna.

- Chyba jednak trochę jestem, prawda? Sztywna.

Właśnie obok przechodziła kelnerka, zamówiłem więc dwie lampki czerwonego.

- Teraz nie masz wyjścia: nie możesz dopuścić, żebym sam wypił obie.

Charlotte się roześmiała. Kiedy kelnerka przyniosła wino, stuknęliśmy się kieliszkami.

- Za Heather - powiedziałem.

- Za Heather. Może wpadłbyś do mnie w Święto Ognia? Będzie małe przyjęcie.

Drinki, parę przekąsek.

- Brzmi interesująco - odparłem. - Gdzie mieszkasz?

- W Maison Dieu. Adres znajdziesz na kartce, którą ci wysłałam. Tylko nie przyjeźdź za późno, bo ominą cię fajerwerki.

Potrzebowałem krótkiej chwili, żeby zrozumieć, że chodzi jej o dosłowne, a nie przenośne znaczenie tego słowa.

- Jasne, postaram się - obiecałem.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Pani Patricia Compton, właścicielka pensjonatu w Leyburn, bez cienia wątpliwości należała do klasy najczęściej opisywanej jako „sól tej ziemi”. Szeroka w talii, żarliwa w obronie zasad wiary Kościoła metodystów, przestrzegała co do joty rytuałów i ceremoniałów obowiązujących w sądzie Jej Królewskiej Mości, które jednak ani odrobinę jej nie onieśmiały.

Choć jej zachowanie od czasu do czasu wzbogacało cały proces krztyną niezamierzonego komizmu, dzięki jej zeznaniom udało się przede wszystkim ustalić to, co okazało się najistotniejsze: że Samuel Porter oraz Grace Fox faktycznie spędzili noc, „pławiąc się w ohydnej rozpuście”, w jej pensjonacie w Leyburn i że słyszała, jak w rozmowie planują zabić Ernesta Foxa. To ostatnie stwierdzenie zostało podważone przez obrońcę, mecenasa Montague Sewella, który wykazał, że nie podpierają go praktycznie żadne dowody, niemniej przysięgli zdążyli je usłyszeć i głęboko utkwilo w ich pamięci.

Kiedy poruszona została wstydliva kwestia szantażu, mimo podziwu godnych wysiłków, mecenasowi Sewellowi nie udało się dokonać wyłomu w imponującej zbroi moralności pani Compton. Wszak jest ona bogobojną kobietą, dowodził sir Archibald, podpora kościoła o nieskazitelnie czystym charakterze. Policja za to szybko podważyła wersję Samuela Portera; uznała ją jedynie za nieudolną próbę zmylenia tropów. Prawdą jednak było, jak w mowie końcowej przypomniał przysięgłym sędzia, że nawet jeśli pani Compton faktycznie próbowała szantażować chłopca, to choć takie zachowanie należy uznać za wysoce naganne, jej zeznania nadal obciążały Grace Fox.

Mecenasowi Sewellowi udało się za to odrobić punkt czy dwa w trakcie zawikłych zeznań specjalistów w dziedzinie kryminalistyki, którzy swoje

ustalenia - a raczej ich brak - prezentowali w sumienny, choć nader nieprzejrzysty sposób, używając suchych, akademickich terminów. Wiele wniosków wyciągano z braku papieru, w który opakowany był proszek na żołądek, ze śladowej obecności wodzianu chloralu, ze strzykawki oraz z chlorku potasu, ale za każdym razem mecenas Sewell umiał zasiać ziarno wątpliwości w sercach przysięgłych, podważyć zeznania ekspertów i wykazać, że ich ustalenia nie dowodzą żadnych zbrodniczych zamiarów czy w ogóle niestosowności czynów oskarżonej. To oczywiste, twierdził uparcie, że osoba taka jak Grace Fox, zawodowa pielęgniarka, posprzątała i wyczyściła przedmioty w rodzaju zużytej strzykawki czy skrawka papieru do zawijania lekarstw, trudno też wskazać jakikolwiek powód, dla którego dr Fox nie miałby sam zażyć dawki wodzianu chloralu, jak to czynił - co zostało dowiedzione - przy licznych wcześniejszych okazjach. Co więcej, dr Fox, jak zeznała Alice Lambert, przez ostatnich kilka miesięcy również w czasie innych wspólnych kolacji narzekał na niestrawność.

Nawet lekarz sądowy, dr Laurence Masefield, który utrzymywał, że zidentyfikował dwa nakłucia po igle, z czego wyciągał wniosek, iż Grace Fox najpierw wstrzyknęła mu potas, a dopiero później, próbując zatrzeć ślady zbrodni, w to samo miejsce naparstnicę, został ośmieszony przez mecenas Sewella i zmuszony był przyznać niechętnie, że wysoki poziom potasu często w sposób naturalny występuje u ofiar zawału mięśnia sercowego.

Mecenas Sewell zmusił również lekarza do przyznania, że serce Ernesta Foxa nie należało do najzdrowszych, jakie widział w życiu, i że nie można wykluczyć, iż przyczyną zgonu męża pani Fox był zawał.

Koniec końców, należałoby zatem stwierdzić, że dowody okazały się raczej poszlakowe, a może i w ogóle wątpliwe, a mecenas Sewell wykonał kawał dobrej roboty, podważając ustne zeznania oraz wzbudzając wątpliwości w umysłach przysięgłych. Jednakże cała sprawa bynajmniej nie opierała się na dowodach, co miało się okazać zupełnie oczywiste w momencie, gdy na świadka został wezwany Samuel Porter.

Aż do tego momentu Grace Fox udało się doskonale maskować emocje. Jednakże na widok swego młodego kochanka złapała się poręczy tak mocno, że zbieleły jej palce, oddech nagle przyspieszył i stał się urywany, a na jej twarzy wymalował się tak nieskończony smutek i poczucie straty, że widok ten powinien był stopić serca nawet najbardziej odpornych na

romantyczne odruchy obecnych. Tyle że tego dnia w sądzie serca wszystkich były całkowicie odporne na takowe odruchy. Pan Porter był o połowę młodszy od niej; zarabiał na życie, mając się przypadkowych zajęć i malując pejzaże; a dowody wydawały się wskazywać, że oskarżona zamordowała własnego męża, szanowanego, lubianego w hrabstwie lekarza, po to, by zacząć nowe życie z tym właśnie niebieskim ptakiem. Jego wygląd i zachowanie również nie pomogły pani Fox, a wręcz jej zaszkodziły. Kiedy pan Porter z dumą przyznał, bez choćby cienia wstydu czy zażenowania, że on i pani Fox czasami, w trakcie podróży służbowych pana Focha, konsumowali swój romans w sypialni Kilnsgate House, w sądzie rozległ się pełen grozy zbiorowy jęk. Przyprawiać rogi mężczyźnie w jego własnym domu?

Trudno sobie wyobrazić gorszą zniewagę.

Mecenas Sewell niewiele mógł w tym momencie zrobić, by naprawić szkody poczynione przez sir Archibalda Yorke'a. Dla przysięgłych liczyło się odtąd wyłącznie to, że Grace Fox, która stała przed nimi na ławie oskarżonych, oraz ten blady, niechlujny młody artysta pozostawali w plugawym związku, uprawiali stosunek płciowy w domu oskarżonej, cudzołożyli pod dachem, który zapewnił wyrodnej małżonce jej ciężko pracujący mąż. Kiedy w końcu zwolniono Samuela Portera, a ciemne oczy Grace ze smutkiem podążyły za jego zmierzającą w stronę drzwi sali sądowej sylwetką, przysięgli spojrzeli na oskarżoną z wyraźnym potępieniem i zaryzykowałbym twierdzenie, iż właśnie w tym momencie obrona nieodwołalnie przegrała sprawę.

Listopad 2010

Okazało się, że „parę przekąsek”, o których wspomniała Charlotte, to tak naprawdę długi stół uginający się pod ciężarem miejscowych serów, kiści owoców, chrupiących chlebków, krakersów, humusu, dipów z salsy, warzyw oraz różnych mięsnych drobiazgów i pasztecików. Bez wątplenia na deser chowała jeszcze w spiżarni całe mnóstwo ciast, ciastek i drożdżówek. Pogratulowałem sobie tego, że zrezygnowałem z obiadu. Z win Charlotte zaserwowała całkiem przyzwoitą rioję. Wypiłem łyczek i wyszedłem na zewnątrz.

Z domu roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na ruiny zamku oraz łąki nad rzeką. Kiedy stanąłem na wyłożonym kamieniami

patio i spojrzałem w dal niczym pan całych tych włości, zorientowałem się, że te właśnie domy obserwowałem z żabiej perspektywy wkrótce po przyjeździe do Richmond, w czasie spaceru nad rzeką. Leżały bardzo wysoko i pomyślałem wtedy, że ich mieszkańcy muszą mieć wspaniały widok. Nie myliłem się.

Był chłodny, suchy wieczór, idealny na pokaz sztucznych ogni, a w powietrzu czuć było kwaśnawy dym z opalanego drewnem kominka. Poniżej zobaczyłem wijącą się srebrzystą krzywizną rzeki Swale, pieniącą się od czasu do czasu w miejscach, gdy jej nurt tworzył niezbyt wysokie wodospady, i znikającą gdzieś hen, daleko w ciemnościach lasu na zachód od miasta.

Mury zamku, wzniesionego na urwisku nad rzeką, pięły się stromo w górę, wprost ku swym postrzępionym, pokruszonym krawędziom; z całego gmaszyska jedynie wyniosła wieża wydawała się nietknięta zębem czasu. Niebo powyżej rozświeślały gwiazdy i księżyc zbliżający się do pełni.

Wróciłem myślami do niewyraźnej postaci, którą wypatrzyłem obok wapiennika, i zacząłem się znowu zastanawiać, któż to mógł być. Odniosłem nieodparte wrażenie, że szpiegował Kilnsgate House, czekał na coś albo na kogoś, jakkolwiek nie miałem oczywiście pewności. Nie przypominał amatora pieszych wędrówek, choć przypuszczam, że ci bywają bardzo różni pod względem wzrostu, postury czy stroju. Mimo wszystko zakapturzona postać wydawała się jakoś nie na miejscu. Zresztą przypuszczalnie za bardzo się nią przejmowałem.

Może nawet ją sobie wymyśliłem; ostatnio zdecydowanie zbyt często myślę o przeszłości, o Grace Fox, morderstwie, jakichś nocnych hałasach; niewykluczone, że ogarnia mnie paranoja i wszędzie widzę szpiegujące mnie tajemnicze postaci.

Od czasu do czasu zza drzew w Hudswell albo ze wzgórza Holly nad rzeką wystrzeliwała pojedyncza raca. Ponieważ jednak oficjalnie fajerwerki miały się zacząć dopiero o siódmej, goście Charlotte, w liczbie około dwudziestu, krążyli jeszcze po domu, gawędzili, podchodzili do stołów z jedzeniem i drinkami, raczyli się przekąskami. Większość znała się chyba nawzajem, ale Charlotte była dobrą gospodynią i co chwila przedstawiała mi kogoś innego, rzadko więc zostawałem sam na tyle długo, by móc podziwiać widoki, i ciągle opowiadałem o swojej karierze albo wysłuchiwałem czyjejs listy ulubionych kompozytorów filmowych. Na

samym szczycie uplasowali się John Williams i Ennio Morricone - czy raczej „ten facet od spaghetti westernów” - co zresztą jakoś mnie nie dziwiło. Czasem pytano o moje typy, a wtedy odpowiadałem: Vertigo, słusznie nie spodziewając się, by ktokolwiek słyszał o tym filmie, nie wspominając już o tym, by zapamiętał jego muzykę.

Rozkoszowałem się właśnie jedną z nielicznych okazji, gdy mogłem postać sobie na brzegu patio, podziwiać widok i popijać wino, gdy nagle poczułem lekkie klepnięcie w ramię.

Odwróciłem się i stanąłem oko w oko z Heather. Długie rude włosy opadały jej na zielonosrebrny szal z frędzli, który owinęła sobie wokół ramion.

- Cześć, co słyhać w wielkim świecie? - zapytała.

- Cześć, nie wiedziałem, że jesteś.

- Widać patrzyłeś nie w tym kierunku.

Stała tak blisko mnie, że poczułem świeżość jej oddechu, a gdy zawiął wiatr, o bliźnę na mojej dłoni otarł się kosmyk jej włosów.

- No cóż - rzekłem - musisz przyznać, że to oszałamiający widok.

- Owszem. - Heather ciaśniej owinęła szal wokół ramion. - Tylko nie mów, że nie próbowałam cię wyswatać z Charlotte. Pomyśl, to wszystko mogło być twoje.

- Wystarczy mi Kilnsgate House.

- Z jego duchami?

- Ostatnio zobaczyłem jeszcze jednego - oznajmiłem i opowiedziałem jej o postaci, na którą się natknąłem.

- To pewnie tylko jakiś zbłąkany turysta przyglądał się tajemniczemu domowi - skwitowała Heather, gdy skończyłem. - Albo nudny historyk specjalizujący się w wapiennikach. To się czasem zdarza.

- Może - przyznałem. Przyjrzałem się grupce osób na patio. Nie znałem nikogo z nich.

- Sęk w tym, że było już ciemno. A skoro mowa o zagubionych, gdzie Derek?

- Nie lubi przyjąć. Przyszłam sama.

Jej szorstki ton nie pozostawiał wątpliwości, że temat jest zamknięty.

Myśl o tym, że jest tu sama, z jednej strony mnie podniecała, z drugiej przerażała.

- Pewnie dobrze znasz większość tych ludzi.

Oparła się biodrem o kamienny murek i poprawiła szal.

- Jasne - odparła teatralnie znudzonym tonem - znam ich wszystkich. Opowiedz mi o Paryżu.

Zauważyłem, że nie ma w dłoni kieliszka.

- Może najpierw się czegoś napijesz? - zaproponowałem.

- Myślałam już, że nie zapytasz. Białe, proszę.

Odwróciła się, położyła dłonie na szorstkim murku i wychyliwszy się, zaczęła błędzić wzrokiem po widocznych poniżej ławkach, a ja wróciłem do środka i podszedłem do stolika z drinkami. Charlotte grała rolę idealnej gospodyni. Zmarszczyła brwi, gdy zobaczyła, że oprócz czerwonego nalewam również kieliszek białego wina. Bez wątpienia zauważyła, że przysła Heather, i wiedziała dokładnie, komu chcę zanieść dodatkowego drinka, ale była zbyt zajęta rozmową ze starszym mężczyzną w tweedowej marynarce i okularach w srebrnych ramkach, wyglądającego na wykładowcę, żeby podejść i mnie ostrzec. Jej wtrącanie się i potępienie, wyraźnie widoczne we wściekłym i sfrustrowanym wzroku, jakim mnie obrzuciła, zaczynały mi działać na nerwy. W końcu oboje z Heather byliśmy dorośli, a Charlotte traktowała nas jak dwójkę rozwydrzonych dzieciaków. Czy Heather była jakimś wampem? A może to ja, tylko dlatego, że przyjechałem z Hollywood i pracuję w przemyśle filmowym, ciągnąłem za sobą jak ogon niezasłużoną reputację kobieciarza? W końcu żaden ze mnie Warren Beatty.

Zaniosłem kieliszki na patio, ciągle nieco podirytowany z powodu potępiającego spojrzenia Charlotte. A może była szaleńczo we mnie zakochana i zazdrosna o przyjaciółkę?

Raczej w to wątpiłem.

Heather ciągle stała tam, gdzie ją zostawiłem, ale rozmawiała z małżeństwem w średnim wieku, mającym, jak się okazało, coś wspólnego z jedną z galerii sztuki w centrum miasta. Dołączyłem do nich i pozwoliłem, by moje myśli dryfowały swobodnie, a oczy błędziły po krajobrazie, oczywiście przez cały czas przy tym kiwałem głową we właściwych miejscach i wydawałem z siebie wszystkie wymagane ochy i achy.

Wiedziałem, że Heather od czasu do czasu na mnie spogląda. W jej wzroku była intensywność, która domagała się odpowiedzi. Ja jednak nie reagowałem. Po dłuższej chwili małżonkowie w końcu sobie poszli.

- Zapomniałeś opowiedzieć mi o Paryżu - zagała Heather.

Opowiedziałem jej, prześlizgując się jednak tylko po wszystkim, co miało cokolwiek wspólnego z Samem Porterem oraz Grace Fox, a skupiając się za to na miejskich pejzażach i wspaniałym jedzeniu. Zaledwie wspomniałem o rysunkach i obrazach, które pokazał mi Sam.

- Szkoda, że mnie z tobą nie było - powiedziała. - Pomyśl tylko, jak mogliśmy spędzić ten czas. Tutaj było beznadziejnie.

- Przestań.

- Kiedy to prawda. Nawet nie masz pojęcia.

Kontynuowałem opowieść, przechodząc do wizyty w domku mojego brata w Angouleme oraz naszych wspólnych spacerów po lesie i nad rzeką, do miejscowych win, których próbowałem, oraz gry w bule we wsi. Nie wspomniałem tylko nic o postaci w lustrze, które rozbiłem w dzieciństwie, przez co do dzisiaj mam bliznę. Pewnie i tak uważała mnie już za wariata widzącego różne dziwne rzeczy.

- To niesamowite mieć brata, który mieszka w wiejskim domku we Francji - powiedziała. - Mój brat mieszka w szeregowcu w Scunthorpe.

Przerwałem na chwilę, nie do końca pewien, czy mówi poważnie, i nagle zobaczyłem, że mięśnie jej twarzy drgają lekko, a ona z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Podałem się. Wybuchłem śmiechem, a Heather dołączyła do mnie.

- Powinieneś był widzieć swoją minę - powiedziała. - Oczywiście, to nieprawda. Barry mieszka w bliźniaku w Dorchester, po prostu Scunthorpe brzmi tak... żałośnie. Pamiętasz ten stary dowcip o Scunthorpe?

- Który?

- Skoro Typhoo zawdzięczamy w Brytanii „T”, komu powinno podziękować Scunt...[3]

- Heather, kochana! - Charlotte najwyraźniej udało się wreszcie uciec od swojego profesora i przedarłszy się ku nam przez gości, wzięła przyjaciółkę w swe zaborcze, wybawicielskie ramiona. - Dawno się nie widziałyśmy. Mam nadzieję, że Chris nie zagarnął cię tylko dla siebie?

- W żadnym wypadku. Mówiłam mu właśnie, że gdyby w czasie naszej kolacji rozegrał właściwie karty, to wszystko wokół mogłoby być jego.

Charlotte spiekła raka.

- Heather!

- Już przestań - napomniła gospodynię przyjaciółka. - Nie ma co się dąsać. Przecież tylko żartowałam. Właściwie, to opowiadałam Christowi ten stary dowcip o Scunthorpe.

Skoro Typhoo...

Na niebie wybuchły pierwsze fajerwerki, rozświetlając je czerwienią, złotem i błękitem. Goście ruszyli tłumnie na patio, na którym wkrótce zrobiło się tłoczno. Heather i ja zostaliśmy zepchnięci niemal do samej ściany. Mieliśmy doskonały widok, ale nasze ciała nie mogły się nie dotknąć. Heather odwróciła się na wprost do mnie i poczułem na ręce jej twardą pierś. W ciasnocie ledwo byliśmy w stanie podnieść kieliszki do ust. Charlotte stała cokolwiek za nami w tłumie gości i gawędziła z nimi, choć bez wątplenia miała na nas oko, niezadowolona, że nie może zbliżyć się na tyle, by skutecznie interweniować.

Laura uwielbiała sztuczne ognie i kiedy oglądałem pokaz, po żyłach rozlało mi się niczym środek usypiający znajome melancholijne uczucie. Wyobraziłem sobie jej twarz, przypominającą dziecięcą buzię, oświetloną wprawdzie fajerwerkami, ale połyskującą też jakimś wewnętrznym światłem, którego źródło znajdowało się w niej samej. Tak właśnie wyglądała pod sam koniec, kiedy umierała, trzymając mnie za rękę, i zanim światło zgasło, zacytowała mi jeden ze swoich ulubionych wierszy. „Nie bądź smutny, najdroższy. Jestem już na pół kochanką kojącej śmierci”[4].

Czerwone i zielone ognie nadal wystrzeliwały wysoko w niebo zza murów zamku, a eksplodując, rysowały na nim wymyślne kształty przypominające ogony smoków lub gigantyczne globusy, po czym trzaskały lub wybuchały i wreszcie opadały, ciągnąc za sobą ku ziemi cieniutkie rozświetlone smugi. Spróbowałem przegonić melancholię, przypominając sobie, jak Święto Ognia wyglądało za moich chłopięcych czasów. Oczywiście, nie mogliśmy sobie pozwolić na takie ekstrawagancje jak tutaj. Wszystkie dzieciaki z dzielnicy przez całe miesiące oszczędzały, żeby kupić skromny zestaw wulkanów, rakiet, skaczących bomb i kół świętej Katarzyny oraz garść petard za trzy pensy, gromadząc jednocześnie zapas kijów, którymi zbroiliśmy się przeciw bandom z sąsiednich ulic. W sam

święteczny wieczór na środku brukowanej ulicy rozpalaliśmy ognisko - w naszej dzielnicy było wtedy niewiele samochodów - i wszyscy, starzy i młodzi, gromadzili się wokół niego, piekąc w folii aluminiowej pierniki, cukierki toffee oraz ziemniaki. Puszczaliśmy potem fajerwerki, strzelając raketami z butelek na mleko i nabijając koła świętej Katarzyny na sztachetki płotów.

Poczułem, że ktoś kładzie mi dłoń na palcach.

- O czym myślisz? - usłyszałem w uchu przyciszony głos.

Odwróciłem się, wyrwany z nostalgii, z melancholii. Twarz Heather była tuż przy mojej i mieniły się na niej miliony kolorów ogni rozświetlających niebo. Było to jak scena ze Złodzieja w hotelu. Cary Grant i Grace Kelly. Zapomniana muzyka Lyna Murraya. Mogłem tu i teraz pocałować Heather i pocałowałbym, gdybyśmy nie byli otoczeni przez ludzi, których znała i którzy bez wątpienia znali jej męża. Ona też to wiedziała. Uścisnąłem lekko jej dłoń. Zrobiła to samo, a potem mnie puściła.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś był setki mil stąd - powiedziała. - Myślałeś o żonie?

- Nie, wspominałem Święto Ognia z czasów mojego dzieciństwa - odparłem, pomijając myśli o Laurze. - Wtedy jeszcze obchody nie były tak zorganizowane.

- U mnie zawsze były - rzekła smutno Heather, spojrzawszy w niebo. - To znaczy, nie tak jak tutaj, po prostu zawsze były podobne. Sam wiesz, płacisz za wejście, czasem gra kapela, upijasz się, ktoś rzyga ci na buty, czasem rzniesz się z kimś w krzakach, potem rozróżba...

Zadrżała nagle i szczelniej otuliła ramiona szalem.

- Zimno ci? - zapytałem.

- Nie. Po prostu ciarki mi przeszły po plecach.

- Mogę cię prosić o przysługę? - zapytałem, gdy odwoziłem ją później do domu.

- To zależy.

- Mogłabyś sprawdzić, kto był ostatnim właścicielem Kilnsgate House?

- Nie jestem pewna. Właściciel lub właścicielka chcieli pozostać anonimowi.

- Ale muszą być jakieś dokumenty.
- Masz akta.
- Tam jest tylko nazwa Simak i Fletcher.
- To firma, którą reprezentowaliśmy.
- Może zaniosę im rachunek za media i grzecznie zapytam?

Heather się roześmiała.

- Obawiam się, że w tym wypadku rachunek za media nie wystarczy.
- A gdyby poprosić Charlotte? Może ona coś wskóra?

Pokręciła głową.

- Zajmuje się prawem rodzinnym. Nie ma pojęcia o przenoszeniu tytułów własności.

Ale właściwie po co ci to? Uważasz, że tajemniczy obcy, którego widziałeś, to dawny właściciel, który przyszedł na przeszpiegi do nowego?

- Nie wiem - przyznałem. - I właśnie dlatego chciałbym się dowiedzieć, kim jest i gdzie mieszka. To tylko kolejna tajemnica, którą mam nadzieję wyjaśnić do końca.

- Można by pomyśleć, że jesteś prywatnym detektywem, a nie kompozytorem. - Heather przez chwilę milczała. - Spróbuję - powiedziała w końcu. - Nic nie obiecuję, ale przypadkiem znam jednego ze współników, Michaela Simaka. - Spojrzała na mnie z ukosa. - Właściwie to gość na mnie leci. Kiedyś na przyjęciu bożonarodzeniowym próbował mnie obmacywać.

- Urocze. Nie proszę cię, żebyś się dla mnie prostytutowała.

- Mam nadzieję. Nie martw się, dam sobie z nim radę. Michael to gaduła. Wystarczy kilka drinków po pracy...

- Rachunek z baru wyślij do mnie.

- To tutaj - powiedziała, wskazując przed siebie.

Zatrzymaliśmy się w pół drogi na szczyt wzgórza, na ulicy zabudowanej starymi bliźniakami, mniej więcej pół mili od domu Charlotte. Jakoś trudno mi było uwierzyć, że Heather tam mieszka. Nie pasowała do osiedla identycznych kubików, obrzuconych chropowatym tynkiem. Chciała iść do domu pieszo, ale powiedziałem jej, że jest ciemno, wzgórze jest strome, a ja i tak mam po drodze. Poza tym zawsze uważałem się za mężczyznę rycerskiego. Przez cały wieczór wypilem tylko kilka kieliszków

wina, nie bałem się więc wsiadać do samochodu, zresztą nie miałem wyjścia, bo do Kilnsgate mogłem się dostać tylko na własnych czterech kółkach.

Zauważyłem, że gdy zbliżaliśmy się do domu, nagle zamilkła i przypomniałem sobie, co Charlotte mówiła o jej małżeńskich kłopotach. Czyżby mieli z mężem sprzeczkę przed wyjściem na przyjęcie? Może dlatego Derek nie przyszedł?

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

Heather westchnęła, po czym skinęła głową.

- Tak. Dziękuję. To był cudowny wieczór.

- Co się dzieje?

- Nic.

Nawet w przytłumionym świetle latarni widziałem jednak, że ma w oczach łzy.

- Heather?

- Wszystko w porządku.

Dotknąłem jej policzka. Był wilgotny. Nagle ująłem jej podbródek w dwa palce i odwróciłem w moją stronę. Heather odpięła pas i po chwili już się całowaliśmy. Pocałunek był czuły i delikatny, ale bez wątpienia była w nim obietnica, pragnienie. Położyła mi dłoń z tyłu szyi i przyciągnęła łagodnie do ust, a jej język wślizgnął się pod moją górną wargę.

Kiedy myślałem o tym pocałunku później, za skarby świata nie byłem w stanie sobie przypomnieć, kto go zainicjował.

Gdy oderwaliśmy się od siebie, Heather patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę ze łzami ciągle połyskującymi w oczach, po czym po prostu wysiadła z samochodu i pobiegła kilka jardów ulicą w stronę jednego z domów. Nie odwróciła się. Zaczekałem, aż frontowe drzwi otworzą się i zamkną, po czym wrzuciłem wsteczny, cofnąłem i po chwili ruszyłem przed siebie. Nie wiem, co to jest, pomyślałem, ale właśnie się zaczęło. Kogo jednak właściwie chciałem oszukać? To się zaczęło w momencie, gdy mój wzrok po raz pierwszy na niej spoczął.

Zaparkowałem w świetle księżycy naprzeciw ciemnego oka wapiennika, ale tym razem nikogo tam nie było. W domu też nie czekały na mnie żadne tajemnicze postaci, żadne ślady po włamaniu, a tylko zimne,

puste pokoje. Podkręciłem termostat i poszedłem do salonu, gdzie rozpałem w kominku. Ciągłe było dosyć wcześnie, dopiero około dziewiątej, i w ogóle nie byłem zmęczony. Usiadłem przy fortepianie i myślałem o dotyku Heather, o jej łzach i pocałunku, i przez chwilę żałowałem, że jej nie zaprosiłem, że nie jest ze mną teraz, że nie leży naga na chodniku z owczej skóry przed kominkiem, a jej rude włosy nie tworzą aureoli wokół jej głowy.

Ogarnęły mnie rozpaczliwa samotność i żądza, i nagle poczucie odseparowania od świata, którego tak przecież szukałem w Kilnsgarhdale i które tak polubiłem, wydało mi się przytłaczające i klaustrofobiczne. Zatęskniłem za Ameryką, za słońcem Kalifornii, za charakterystycznym dla niej światłem, za otwartymi przestrzeniami, zatęskniłem za Santa Monica, ulicami, oceanem, nabrzeżem z karuzelą, za moim mieszkaniem, moimi przyjaciółmi, nawet za podnieceniem, które ogarniało mnie zawsze, gdy przeglądaliśmy nagrany materiał filmowy i zaczynaliśmy montaż. I za Laurą, przede wszystkim za Laurą.

Kretyńskie myśli. Wyparłem je z głowy. Obiecałem zarówno Charlotte, jak i sobie, że nie dopuszczę do romansu między mną a Heather, i nagle już przy pierwszym fizycznym kontakcie zrywam z własnym postanowieniem. Problem polegał na tym, że było mi nieźle przy Heather. Nie potrafiłem tego lepiej określić. Niekoniecznie czułem się szczęśliwy, nie było mi cudownie - nie zajęła w moim sercu miejsca Laury - po prostu nieźle.

Pamiętam, jak Laura powtarzała mi raz za razem w czasie swej długiej i bolesnej podróży ku śmierci, że kiedy odejdzie, mam żyć dalej, mieć dziewczyny, bawić się, wszystko jedno - nawet ponownie się ożenić, jeżeli przyjdzie mi na to ochota. Ze łzami w oczach zapewniłem ją, że tak będzie, ale do tej pory nie poczułem właściwego impulsu. Jakieś pół roku po śmierci Laury zdarzyła mi się dosyć obrzydliwa pijana noc z gasnącą gwiazdką filmów klasy B, którą ledwo znałem, i na tym koniec. A teraz to. Szczerze powiedziawszy, czułem się bardziej winny z powodu Laury niż tego, że Heather jest mężatką. Jeśli wierzyć Charlotte, jej małżeństwo i tak się rozpadało. W Los Angeles widziałem wystarczająco dużo zachowujących się dokładnie tak samo par, by zdawać sobie sprawę, że znad niektórych krawędzi nie ma już odwrotu.

Lecz na razie to był tylko pocałunek, powtarzałem sobie, a pocałunek, jak mówią słowa piosenki, to nic więcej niż pocałunek. Najlepiej byłoby to

zatrzymać, zanim sprawy zabrną za daleko. Jak ostrzegła mnie Charlotte, Heather jest bardzo wrażliwa. Zresztą sam doszedłbym do tego wniosku; wystarczyło poobserwować przez jakiś czas grę, którą prowadziła, przywdziewając maskę nonszalancji oraz flirciary, za którą czaił się ból i poczucie niepewności. Jeśli ją odrzucić, pozostawało zwykłe cierpienie i żal z powodu nieudanego małżeństwa, znajdujące swe ujście we łzach, które zobaczyłem w jej oczach tego wieczoru. Zawsze byłem wierny Laurze i nawet jeśli związku Heather oraz Dereka nie dało się uratować, nie byłem typem lubiącym niszczyć cudze małżeństwa.

Chciałem popracować trochę nad sonatą, ale tego wieczoru jakoś nic z tego nie wychodziło. Byłem zbyt nerwowy, zbyt roztargniony. Puściłem więc Charliego Hadena i Pata Metheny'ego, nalałem sobie kieliszek wina i usiadłem w fotelu przy kominku, wpatrując się w płomienie i zanurzając na powrót we wspomnienia Świąta Ognia z dzieciennych lat oraz twarzy Laury rozświetlonej fajerwerkami puszczanymi z okazji czwartego lipca. Kiedy przemieniła się w twarz Grace Fox, wiedziałem już, że jestem zgubiony.

[3] Nieprzetłumaczalny dowcip, nawiązujący do reklamy telewizyjnej herbaty Typhoo i jej sloganu: „Putting T back into Britain”. Skoro Wielka Brytania zawdzięcza Typhoo literkę „T” (gra słów: tea=herbata), to komu powinni podziękować mieszkańcy Scunthorpe za słowo „cunt” (wulgarne określenie kobiecych genitaliów) w nazwie swojej miejscowości? - przyp. tłum.

[4] John Keats, Oda do słowika, przeł. Juliusz Żuławski.

Sir Charles Hamilton Morley:

„Słynne procesy. Grace Elizabeth Fox, kwiecień 1953”

Odmówienie przysięgłym i w ogóle światu możliwości wysłuchania Grace Fox, jej relacji z wydarzeń, które rozegrały się w Kilnsgate House wieczorem 1 stycznia 1953 roku, może się wydawać ogromnym niedopatrzaniem, musimy jednak pamiętać, iż żaden przepis prawny nie zobowiązuje oskarżonego do tego, by zajął miejsce dla świadka, i że to na stronie oskarżającej spoczywa ciężar dowiedzenia w klarowny sposób winy oskarżonemu.

To, czy należy wzywać oskarżonego na świadka, a zatem poddać pod dyskusję kwestię jego charakteru i pozwolić, by oskarżenie wzięło go w krzyżowy ogień pytań, w kręgach specjalistów od kodeksu karnego od zawsze było przedmiotem sporu, choć ogólnie rzecz biorąc, większość adwokatów skłania się ku pogładowi, że - jakkolwiek laikowi może się to wydawać cokolwiek dziwne - oskarżony zdecydowanie nie powinien zeznawać jako świadek własnego obrońcy.

Część z nich zgodziłaby się również ze stwierdzeniem, iż powoływanie oskarżonego to strategia, której o wiele częściej żałuje się, jeśli się jej nie przyjęło, niż gratuluje sobie po jej wprowadzeniu w życie. „Gdyby tylko przysięgli mieli możliwość przekonania się na własne oczy, jak uczciwym, wrażliwym i prawym człowiekiem w rzeczywistości jest mój klient” - często łajają sami siebie rozczarowani adwokaci po poniesieniu porażki. Nawet jednak najuczciwsi, najwrażliwsi i najbardziej prawi z nas mogliby zadrzeć, struchleć czy nawet załamać się pod naporem gradu bezlitosnych pytań, zadawanych przez zdeterminowanego oskarżyciela w rodzaju sir Archibalda Yorke’a, a mecenas Sewell byłby zupełnym amatorem, gdyby nie znał doskonale swego przeciwnika i jego reputacji. Ogólnie rzecz biorąc, mecenas Sewell niezwykle dzielnie sobie poczynał, broniąc Grace, i

z każdą minutą procesu odzyskiwał więcej gruntu, ale dysponował zbyt małą ilością amunicji i nie udało mu się przełożyć na konkretny wynik swojego prawdopodobnie największego sukcesu, jakim było rozbicie w pył dowodów przedstawionych przez lekarzy.

Gdy mało istotnym faktom przypisuje się pierwszorzędne znaczenie, gdy drobne kłamstwa i przemilczenia w cieniu szubienicy nagle wydają się prawdziwymi zbrodniami, gdy każde nasze słowo i uczynek stają się przedmiotem drobiazgowego, bezlitosnego śledztwa i interpretacji - któż z nas nie zadrżałby na samą myśl o takiej perspektywie?

Ogólna zasada głosi zatem, że wydawanie oskarżonego na pastwę oskarżyciela nie jest najlepszą strategią, jako że obnaża charakter tego pierwszego i uwypukla wszelkie jego skazy.

Dlaczego zatem, mógłby zapytać uważny czytelnik, adwokaci w ogóle decydują się wzywać swych klientów na świadków? Ponieważ czasami istnieje niewielka szansa, że zeznania oskarżonego poruszą jakąś strunę w sercach przysięgłych, niezauważalnie zakłócając delikatną równowagę sił i ostatecznie przeważając szalę na jego korzyść. Zeznania oskarżonego mogą wzbudzić współczucie u części przysięgłych, zasiać w ich sercach uzasadnione wątpliwości, które w rezultacie mogą doprowadzić do tego, iż w trakcie późniejszej debaty dwunastu członkom ławy nie uda się ustalić wymaganego przez prawo jednomyślnego werdyktu. Czy tak właśnie byłoby, gdyby Grace Fox wezwano na świadka?

Nigdy się tego nie dowiemy.

Mecenas Sewell najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie warto próbować. Jeśli Grace Fox w trakcie spotkań w cztery oczy z adwokatem wykazywała podobną rezerwę i brak zainteresowania sprawą, jak w czasie rozprawy, to można jedynie przyklasnąć jego decyzji.

Przysięgli są bowiem wprawdzie skłonni wybaczać skruszonym i kajającym się cudzołożnicom, ale na pewno nie aroganckim i obojętnym. Przysięgli pragną łez, zapewnień o własnej niewinności, płaczu i zgrzytania zębów, ale Grace Fox nie dawała im niczego takiego i nic nie wskazywało na to, że zeznając jako świadek, zachowałyby się inaczej. Do samego końca pozostała więc na swoim miejscu na ławie oskarżonych samotna i opuszczona.

Podsumowująca mowa sędziego Venable'a była tak uczciwa i obiektywna w odniesieniu do kwestii prawnych, jak oczekivalibyśmy od

wszystkich reprezentantów naszych władz sędowniczych. Oceniał w niej należycie wagę każdego, najdrobniejszego nawet dowodu przedstawionego sądowi, a jego wywód był prawdziwą lekcją zwięzłości i klarowności, z której wszyscy wiele moglibyśmy się nauczyć.

Z drugiej strony przyznać należy, że sędzia nie wykazał zbyt wiele współczucia dla Grace Fox i Samuela Portera. Jeśli Grace faktycznie, jak twierdzi policja i strona skarżąca, zaaplikowała mężowi sporą dawkę śmiertelnej trucizny w postaci chlorku potasu, znieczuliwszy go uprzednio wodzianem chloralu, to sam w sobie był to, dowodził sędzia Venable, iście diabelski spisek, którego urzeczywistnienie wymagało w dodatku szeroko zakrojonego, podstępного planu, jednoznacznie wskazującego na to, iż zabójca działał z determinacją, zimną krwią i wyrachowaniem.

Według strony skarżącej, podkreślał sędzia, Grace Fox zadbała również o to, by podejmując sprytnie zainscenizowaną, cynicznie obmyśloną próbę ratowania męża - choć w rzeczywistości pragnęła jedynie jego śmierci - mogła liczyć na wiarygodnych świadków.

Sędzia Venable nawiązał także do umiejętności Grace jako pielęgniarki, do wiedzy, jaką zdobyła, pracując przez jakiś czas w trakcie przyuczania do zawodu w ambulatorium. Miała dostęp do gabinetu lekarskiego męża i z pewnością знаła właściwości będących na jego wyposażeniu różnych trujących substancji.

Sędzia Venable szczegółowo opowiadał też o nocy, którą Grace i Samuel spędzili w pensjonacie pani Compton w Leyburn, o szalonej, rozpasanej orgii, do której najwyraźniej tam doszło, i pytał, czy nie należy rozsądnie założyć, iż kobieta pozostająca pod władzą takiej namiętności posunęłaby się do morderstwa, gdyby stanęła oko w oko z groźbą rychłego rozstania z obiektem swych żądz?

W mowie podsumowującej sędzia poruszył jeszcze jedną istotną kwestię prawną.

Niewezwanie oskarżonej na świadka powoduje pojawienie się kilku problemów, z których nie najmniej istotnym jest to, iż przysięgli mogą zakładać, że oskarżona, nie stając przed nimi z podniesionym czołem i nie przedstawiając im osobiście własnej wersji wydarzeń, może mieć coś do ukrycia, a zatem musi być winna. Sędzia wyraźnie ostrzegł przed takim rozumowaniem. Poruszając kwestię milczenia Grace Fox, przypomniał przysięgłym, że choć nie usłyszeli od oskarżonej ani słowa, nie mogą na

podstawie tego wnioskować o jej winie bądź niewinności. Kodeks karny dopuszcza taką możliwość, co więcej, podsądna ma całkowite prawo do zachowania milczenia. Sędzia ostrzegł też, że choć rozumie, iż przysięgli mogą mieć problem z odczuwaniem litości dla tak niemoralnej kobiety jak Grace Fox, niezależnie od tego, jak odrażające byłyby jej czyny i charakter, muszą odłożyć na bok uprzedzenia i ów poważny defekt osobowości oskarżonej nie powinien zwiększać ich gotowości do skazania jej jako zbrodniarki, i że muszą podjąć decyzję, opierając się wyłącznie na przedstawionych dowodach.

Na tym skończyła się mowa. Przysięgli opuścili salę na godzinę i siedemnaście minut, po czym wrócili, ogłaszając, że uznają oskarżoną za winną zarzucanej zbrodni. Sędzia Venable skrzywił się, poprosił o czarny czepek i ogłosił wyrok śmierci. Grace Fox złapała się barierki i z jej lewego oka spłynęła po policzku jedna jedyna łza. Następnie została odprowadzona przez strażników.

Listopad 2010

Przez następnych parę dni mieliśmy parszywą pogodę: wichura, ulewy, grad wielkości kurzych jaj. Prawie w ogóle nie wychodziłem z domu, zaliczyłem tylko szybki wypad do miasta po tym, jak zadzwonił do mnie właściciel Richmond Books i poinformował, że udało mu się sprowadzić egzemplarz Słynnych procesów, który u niego zamówiłem. Rozpoznał mnie natychmiast i wręczył mi sfatygowany tomik w miękkiej oprawie, za który policzył trzy funty pięćdziesiąt pensów, czyli moim zdaniem całkiem rozsądnie. Ponieważ kończył mi się zapas lektur, kupiłem również kilka innych książek: Z soboty na niedzielę Alana Sillitoe, której nie czytałem od czasów szkolnych, i Nokturny Kazuo Ishiguro, gdyż zawsze byłem łasy na książki z muzycznym kontekstem.

Wróciwszy do Kilnsgate, usiadłem przy kominku i przy akompaniamencie deszczu bębniącego o przeszklone drzwi przez całe popołudnie czytałem relację z procesu Grace Fox autorstwa sir Charlesa Hamiltona Morleya. Kiedy skończyłem, stwierdziłem, że wprawdzie nie dowiedziałem się zbyt wiele na temat tego, co mogło kierować Grace, ale z pewnością wzbogaciłem swoją wiedzę o szczegóły dotyczące zgromadzonych przeciw niej dowodów oraz samego procesu.

Prokurator przedstawił bardzo przekonującą wersję wydarzeń, choć oparł się w mniejszym stopniu na materiale dowodowym, jak się okazało, dosyć skromnym, niż na pikantnych szczegółach romansu Grace, za to obrona była, moim zdaniem, nijaka. Dowody przypominały raczej poszlaki, sprowadzały się do niewiadomych, a nie do faktów, ale oskarżyciel odwalił kawał dobrej roboty, przedstawiając je w niekorzystnym świetle, a obrońca niewiele zrobił, by zburzyć ten domek z kart, poza wykazaniem absurdalności kilku co bardziej bezczelnych teorii.

Odłożyłem książkę i poszedłem do dawnego pokoju do szycia, gdzie za pomocą laptopa wyszperałem w Internecie informacje na temat jej autora - sir Charlesa Hamiltona Morleya. Urodził się w 1891 roku w Edynburgu jako syn szkockiego bankiera i angielskiej arystokratki. Wykształcenie zdobył w Eton i w Oksfordzie, a w 1913 roku został powołany do palestry. Po zakończeniu I wojny światowej, w której wziął udział, dosłużywszy się Krzyża Wojskowego, rozpoczął karierę prawnika, najpierw otrzymując tytuł radcy prawnego, a potem, w 1936 roku, uzyskując nominację sędziowską. Odszedł na emeryturę z powodu słabego zdrowia w 1947 roku, w wieku zaledwie pięćdziesięciu sześciu lat, i przekwalifikował się na człowieka pióra, najpierw publikując kilka szmatławców w typie Johna Buchana, a potem trzynomową historię angielskiego systemu prawnego oraz kilka tomów z serii Słynne procesy. Choć zdrowie mu nie dopisywało, dożył sędziwego wieku osiemdziesięciu trzech lat i zmarł we śnie w swoim wiejskim domu w Buckinghamshire w 1964 roku. W oczy rzucił mi się tylko jeden zasługujący na uwagę szczegół: sir Charles w ostatnich latach życia był znany jako zdeklarowany przeciwnik kary śmierci.

Być może zaszufładkowałem Morleya, ale nietrudno było sobie wyobrazić, co człowiek pochodzący z tak uprzywilejowanej klasy i wychowany w tak rygorystycznej dyscyplinie myślał o kobiecie w rodzaju Grace Fox. Mimo to, upomniałem sam siebie, Morley w czasie jej procesu nie pełnił funkcji sędziego; to nie on skazał ją na śmierć; on tylko użył jej głosu, dzięki któremu losy Grace ożyły na nowo.

Przez najbliższych parę dni pracowałem nad sonatą i udało mi się nawet dokonać kilku drobniejszych harmonicznym przełomów, balansujących na krawędzi atonalności, choć nigdy nie przekraczających wyznaczającej ją cienkiej granicy. Spędziłem też trochę czasu w pokoju telewizyjnym, oglądając stare filmy: Sportowe życie, Poślaniec i Whistle Down the Wind,

którego niepokojący temat skomponował Malcolm Arnold. Oto przykład kompozytora filmowego, który napisał też mnóstwo muzyki słuchanej przez ludzi. Przypomniałem sobie opinię Bernarda Herrmanna, że nie ma czegoś takiego jak „kompozytor muzyki filmowej”, bo albo jest się kompozytorem, albo nie. Poczulem się dzięki temu trochę lepiej i z większą pewnością siebie zabrałem się do pisania sonaty. Przecież jestem kompozytorem.

Wieczorami rozpaląłem w salonie w kominku i czytałem opowiadania wchodzące w skład Nokturnów albo przeglądałem po raz kolejny fragmenty relacji Morleya. Im bardziej się w nią zagłębiałem, tym większego nabierałem przekonania, że Sam Porter miał rację; że władze z góry uznały Grace za winną, a proces miał to tylko udowodnić. Nie zadali sobie nawet wysiłku, by podążyć w śledztwie innymi tropami, rozważyć ewentualność, że zrobił to ktoś inny lub że Ernest Fox umarł z przyczyn naturalnych.

Przypomniała mi się rozmowa na jakimś przyjęciu ze znajomym - cenionym prawnikiem, specjalistą od spraw karnych, obrońcą wielu hollywoodzkich gwiazd - który wyjaśnił mi, jak ryzykowną taktyką jest dla obrony próba takiego prowadzenia sprawy, by wskazać w ramach procesu innego sprawcę niż pozwany. Raczej nie można liczyć na rozwiązania w stylu Perry Masona, kiedy na pozór niewinny świadek nie potrafi utrzymać na rozprawie języka za zębami i udaje się go skłonić do publicznej spowiedzi.

Główny problem, jak twierdził mój znajomy prawnik, polega na tym, że jeśli spróbujesz zasugerować, iż zrobił to ktoś inny i poniesiesz porażkę, to podejrzani przysięgłych natychmiast zwrócą się w kierunku jedynej postaci, jaka pozostaje na polu walki - oskarżonego. Praktycznie niemożliwe jest też, kontynuował znajomy, zastosowanie taktyki podejścia z dwóch stron - obrony klienta i próby zrzucenia winy na kogoś innego - bez dostępu do materiałów pozostających w dyspozycji prokuratora. Montague Sewell, obrońca Grace Fox, z pewnością nie mógł się do nich odwołać, próbował więc robić w takich okolicznościach, co się da. Z tego, co zdołałem się zorientować, nie był jednak najlepszym adwokatem, to zresztą przyznawał nawet Morley, który uważał go za dosyć miernego.

Dlaczego jednak Grace nic nie mówiła? To jedno intrygowało mnie we wszystkich relacjach, których wysłuchałem czy które przeczytałem - Wilfa Pelhama, Sama Portera, sir Charlesa Hamiltona Morleya. Milczenie Grace.

Dlaczego nie wystąpiła przed sądem, na policji, dlaczego nie wyszła na ulicę, na dachy domów i nie wykrzyczała ile sił w płucach: „Jestem niewinna! Nie zrobiłam tego! Nie zamordowałam męża!”.

Bez wątpienia miała swoje powody, ale mimo to jej milczenie, które łatwo można było wziąć za obojętność, ciągle nie dawało mi spokoju. Może Grace była przekonana, w każdym razie na początku procesu, że cały świat wkrótce przekona się o jej niewinności i zostanie zwolniona? Nie można wprawdzie powiedzieć, że wyparłszy się winy, czekała już tylko beczynnienie, aż ją powieszają, ale jej próby udowodnienia własnej niewinności były, w najlepszym razie, niemrawe. Rozumiałem argumenty Morleya, przemawiające przeciw powoływaniu oskarżonej na świadka i narażaniu jej na pytania ze strony prokuratora, które musiałyby zmierzać do obnażenia jej charakteru, ale zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno obecność Grace przed przysięgłymi, jej szczerść, bezpośredniość, uroda i delikatność nie poruszyłyby jednak jakichś strun w ich sercach, nie pomogłyby przekonać tych dwunastu ludzi, że nie jest morderczynią? Usłyszeliaby przynajmniej jej głos, jej wersję wydarzeń, nie byłiby pozostawieni jedynie z tak kłopotliwym milczeniem.

Z drugiej strony, jak sugerował Morley, jej pojawienie się na miejscu dla świadków mogłoby odnieść skutek odwrotny do zamierzonego, gdyby zaprezentowała się czy to jako osoba zimna i obojętna, jaką wydawała się przez cały czas w sądzie, czy też jako zatwardziała uwodzicielka, libertynka, czyhająca na dusze młodzieńców takich jak Samuel Porter. Jak się jednak okazało, w oczach przysięgłych objawiła się właśnie jako odrażająca uwodzicielka, cudzołożąca z mężczyzną o połowę od niej młodszym. Któż odgadnie meandry ludzkiej natury?

Jeszcze kilka innych drobiazgów nie dawało mi spać, na przykład wizyta mojego tajemniczego gościa oraz młody umundurowany mężczyzna, z którym Grace spacerowała i rozmawiała tuż przed śmiercią męża. Być może była to jednak tylko złośliwa plotka, podobna do wielu innych.

Doszedłem do wniosku, że teraz, kiedy dysponowałem już znacznie większą ilością informacji, warto by uciąć sobie ponownie pogawędkę z Wilfem Pelhamem. Postanowiłem zaczekać, aż chociaż trochę poprawi się pogoda, po czym pojechać do miasta - i tak musiałem zrobić zakupy - i skorumpować go jeszcze jedną czy dwiema pintami.

W trakcie mojego krótkiego, dobrowolnego wygnania myślałem też sporo o Heather, ale ani ja nie próbowałem się z nią skontaktować, ani ona ze mną. Zastanawiałem się, czy może podobnie jak ja nie uznała, że tamtego wieczoru, szukając pocieszenia, posunęła się za daleko i że należy się teraz wycofać, dopóki nie jest jeszcze za późno. Nie wiedziałem też, czy udało jej się zdobyć nazwisko sprzedawcy, ale właściwie nie miało to większego znaczenia. Uznałem, że to tylko niezdrowa ciekawość z mojej strony. I być może pretekst, żeby znowu się z nią spotkać. Jakie to miało znaczenie, czy to właśnie syn Grace sprzedał mi dom za pośrednictwem kancelarii prawniczej? Pewnie prawie nic nie wie o wypadkach w Kilnsgate House sprzed lat, kiedy był małym chłopcem, a nawet jeśli coś wie, to i tak prawdopodobnie nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Bo niby dlaczego miałby chcieć? Nie mogłem zmienić przeszłości.

Jakiś tydzień po Świącie Ognia obudziłem się około dziewiątej rano i ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie spałem tak dobrze od lat. Za oknem była szaruga; nieruchome gałęzie drzew ociekały wilgocią, a wapiennik czaił się gdzieś w dali niczym oko monstrualnego krakena. W powietrzu wisiała mgła i mżyło. Taką pogodę w Yorkshire, którego mieszkańcy chyba mają określenie na każdą odmianę wilgotnej i szarej pogody, nazywa się „siąpawicą”.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i zszedłem na dół, żeby zrobić sobie kawę. Kiedy kończyłem drugą filiżankę i dojadałem tost z marmoladą, mżawka zdążyła nieco zelżeć.

Usiadłem przy pianinie i przegrałem sobie cały skomponowany do tej pory materiał, robiąc od czasu do czasu notatki, aż w końcu utkwilem przy kilku irytująco koślawych przejściach i słabych pasażach.

Zdawałem sobie sprawę, że mam zwyczaj nadużywać Schubertowskich długich linii melodycznych i spróbowałem kilka z nich po prostu podzielić, wtrącić w nie więcej wariacji, zmian tempa, a nawet tonacji. Nie chciałem, by moja muzyka była rażąco współczesna, ale z drugiej strony wolałbym, żeby nie brzmiała jak kiepska imitacja Mistrza. Wyjąłem znowu nuty i spojrzałem na notatki Grace na impromptach Schuberta. Przypatrując się jej starannemu, drobnemu pismu, przypomniałem sobie obrazy i rysunki pokazane mi przez Sama Portera, a potem przed oczami pojawił mi się portret Grace odmalowany przez Morleya - jej szary strój, blada twarz, włosy upięte z tyłu w kok. Co też wtedy myślała? Czyżby o wiele

wcześniej, niż mi się wydawało, zorientowała się, że wszystko stracone? Czyżby już wtedy się poddała?

Laura to właśnie zrobiła. Poddała się. Dlatego wróciła ze szpitala do domu; chciała umrzeć tam, u siebie, ze mną przy boku, trzymającym ją za rękę. I dokładnie tak się stało.

Przynajmniej nie skończyła na szubienicy. Przeszedł mnie dreszcz.

Nosiło mnie; zorientowałem się, że co chwila machinalnie sprawdzam pogodę za oknem. Wczesnym popołudniem mgła zniknęła, rozgoniona przez wiatr. Wiatr poprzecinał też gęste, czarne chmury prześwitami, przez które przebijało się słońce. Doszedłem do wniosku, że nic nie wskóram, siedząc w domu i czekając na wybawienie, dlatego wsiadłem w samochód i pojechałem do Richmond.

Na placu targowym było mnóstwo wolnych miejsc parkingowych, a kiedy wysiadałem, wiatr niemal wyłamał drzwi samochodu. Pobiegnę szybko do Tawerny Zamkowej, gdzie zauważyłem ze zdziwieniem, że Wilf Pelham nie podpira baru. Barman natychmiast mnie rozpoznał.

- Szuka pan znowu Wilfa? - zapytał.

- Tak.

- Jest chory. Nie może jeść. Nie było go od paru dni.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Nie sądzę. Stary Wilf jest silny jak byk.

- Nie wie pan może, gdzie go znaleźć?

- Pewnie w mieszkaniu, w tym nowym domu opieki przy drodze.

Wiedziałem, co ma na myśli. Podał mi ulicę i numer.

- Nie chciałbym pojawiać się u niego z pustymi rękami. Ma pan jakiś pomysł?

- Najbardziej lubi bittera, ale jeśli chodzi o butelkowe, to proponowałbym zabrać guinnessa.

- Dzięki.

Kupiłem kilka butelek guinnessa, wskoczyłem z powrotem do wozu i pojechałem do Wilfa. Otworzył drzwi już po pierwszym dzwonku i wydawał się trochę zdziwiony na mój widok, ale przesunął się i gestem zaprosił mnie do środka.

- Czy to nie człowiek piszący muzykę, której nikt nie słucha? - zapytał.

- Właśnie pracuję nad tym, żeby to zmienić - odparłem i wręczyłem mu guinnessy.

- Miło słyszeć. Siadaj. I dziękuję. Chociaż na razie dam sobie na wstrzymanie. - Położył dłoń na brzuchu. - Mała niestrawność. Herbaty?

- Bardzo proszę.

Niewielki salon lśnił czystością, na półkach nie było ani śladu kurzu i tylko gdzieś leżały rozrzucone książki czy gazety, obok na wpół pustego kubka czy paru butelek po piwie. Widać było, że właściciel nie jest zbyt zamożny i że mieszka sam. Wilf zebrał większość książek i odłożył je na półkę, po czym poszedł zrobić herbatę. Kiedy go nie było, przyjrzałem się jego bibliotece. Od zawsze fascynowało mnie ocenianie ludzi na podstawie ich książek czy płyt. Wilf zdecydowanie preferował poważną literaturę, głównie klasykę: sporą część jego regałów okupowały dzieła Dickensa, George'a Eliota, Charlotte Brontë, Elizabeth Gaskell, Henry'ego Jamesa czy Thomasa Hardy'ego oraz angielskie przekłady Zoli, Balzaca, Flauberta, Dostojewskiego, Czechowa, Tołstoja i Prousta, urozmaicone paroma tomami Manna, Camusa i Sartre'a. Wszystkie wyglądały na przeczytane. Jedną półkę zajmowała encyklopedia muzyczna Grove, a pozostałe - biografie i książki historyczne. Wilf miał również kolekcję starych winyli, głównie klasyki, ale i nieco jazzu, która wzbudziłaby zazdrość u niejednego audiofila.

Wrócił z herbatą i talerzem czekoladowych biszkoptów na tacy, którą postawił na stole.

- Co u ciebie? - zapytałem. - Co ci dolega?

- Nie wiem - odparł, kładąc sobie dłoń poniżej klatki piersiowej. - Miałem ostrą zgagę, refluks kwasu żołądkowego, jak to określili lekarze. Pewnie rak. Niedługo, jak tylko załatwię miejsce w szpitalu, wetkną mi do gardła rurkę. Chociaż, znając naszą publiczną służbę zdrowia, kto wie, ile to potrwa. Dostałem jakieś tabletki. Trochę pomagają. Czasami. Ale raczej nie przyszedłeś tutaj słuchać o moich problemach zdrowotnych. Pewnie chcesz mi zadać jeszcze kilka pytań?

- Obawiam się, że tak.

- Żaden problem. Ostatnio nie narzekam na nadmiar towarzystwa. No i przyniosłeś prezencik.

Nalał herbaty i spojrzał na mnie wyczekująco.

Opowiedziałam mu szczegółowo, co porabiałem i czego się dowiedziałem, odkąd widzieliśmy się ostatnio, powstrzymując się jednak od wniosków, do których niedawno doszedłem.

- Trochę sobie popodróżowałeś, nie ma co. Byłem kilka razy w Paryżu. Piękne miasto.

Jeździliśmy tam z wycieczkami szkolnymi. Luwr, d'Orsay, grób Napoleona, Notre Dame.

Zabytki historii i kultury. Ale ty pojechałeś tam z innego powodu, co?

- Właśnie. Pojechałem odwiedzić brata w Cognac i po drodze zatrzymałem się w mieście, żeby porozmawiać z Samem Porterem.

- Z Samem? Więc go znalazłeś? Jak się trzyma?

- Znalazłem go. Nie było to trudne. Wszystko u niego dobrze. Z tego, co widziałem, świetnie sobie radzi. Przesyła pozdrowienia.

- Pewnie spiknął się z jakąś młodą modelką, co?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Chyba mieszka sam. Szczerze powiedziawszy, nie sądzę, by kiedykolwiek pogodził się z tym, że stracił Grace, i przez co przeszedł wiele lat temu. - Napilem się herbaty i mile się zdziwiłem. Wanilia z czarną porzeczką albo coś w tym rodzaju.

- Sam wspominał, że w czasie wojny bawiliście się razem. Pamiętasz to?

- Jasne, że pamiętam. Byliśmy dziećmi. Mieliśmy coś w rodzaju gangu. Wszystko to była dla nas jedna wielka zabawa. Co jednak nie znaczy, że działa się u nas jakieś wielkie rzeczy.

- A co z katastrofą messerschmitta?

Wilf uśmiechnął się na samo wspomnienie.

- No tak, to było niezłe. Szkoda, że nie widziałeś, jak chodziliśmy wokół niego na palcach, a potem nagle z kabiny wygramolił się pilot... Uciekaliśmy gdzie pieprz rośnie.

Sikaliśmy w portki ze strachu. Prawdziwy Niemiec!

- Nie zginął w katastrofie?

- Nie. Zabawne, ale zapamiętałem tylko, że przypominał mi z wyglądu mojego starszego brata.

- Co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia. Pobiegł do lasu. Pewnie był bardziej przerażony niż my. Myślę, że w końcu go złapali.

- Sam wspominał coś o obozie jenieckim.

- No tak, przy drodze do Reeth. Czasami jeździliśmy tam na rowerach i patrzyliśmy przez ogrodzenie na więźniów. Pamiętam jakieś afery między miejscowymi a wojskowymi, ale zgadnij, kto w takich razach bywa górą w czasie wojny.

- Jakie afery?

- Ludzie bali się zbiegów. - Roześmiał się. - Zupełnie niepotrzebnie. To byli głównie Włosi, którzy nie mieli najmniejszej ochoty wracać na front. Później dowiedzieli nam też paru Szkopów, ale i oni wydawali się zupełnie zadowoleni z tego, że trafili do nas. To nie był żaden Colditz czy Stalag 17. Myślę, że żyło im się zupełnie przyzwoicie. Większość więźniów pomagała przy żniwach. Niektórzy ożenili się z miejscowymi dziewczuchami. Do dzisiaj pod Marske mieszkają Bartolini, a w Grinton Schnellowie. Ale skąd to nagle zainteresowanie wojną?

- Właściwie znikąd. Po prostu próbuję się dowiedzieć jak najwięcej o tamtych czasach. Słyszałem, że Kilnsgate House na jakiś czas został zarekwirowany przez wojsko?

- Tak, na parę lat. Strasznie robili wokół tego tajemnicę, drut kolczasty, uzbrojeni strażnicy i tym podobne.

- Ale Ernest Fox ciągle mieszkał w domu?

- Chyba tak. Nie bardzo interesowały mnie wtedy losy naszego doktora. Ale pewnie czuł się z tym wszystkim wyśmienicie. Typowe dla niego. Uwielbiał chodzić po ulicach z tajemniczym uśmiechem na twarzy, tak jakby wiedział więcej od innych. Stary Foxy od pierwszej wojny był za pan brat z wojskowymi. Gaz musztardowy i tak dalej. Wszystko w służbie ojczyźnie.

- Skoro już o tym mowa, pamiętasz Nata Buntinga, tego, który zaginął? Sam wspominał o nim.

Wilf zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę, a potem nagle sobie przypomniał.

- Nat, jasne. Był trochę, jak się to mówi, opóźniony. Upośledzony, by wyrazić się bardziej elegancko. Mimo to fajny był z niego facet. Mieszkał gdzieś kątem pod Melsonby.

Zajmował się drobnymi naprawami. Chodził po okolicy z przewieszoną przez ramię torbą z narzędziami, jakby wyjęty z powieści Thomasa Hardy'ego, aż nagle, pewnego dnia, zniknął.

- Udało się kiedykolwiek ustalić, co się z nim stało?

- Z tego, co pamiętam, to nie. Szukano go, wysłano nawet jedną czy dwie ekipy ratownicze, ale w czasie wojny nie zadaje się zbyt wielu pytań. Ściany mają uszy. Poza tym były inne priorytety. Jednostka liczyła się mniej niż państwo, a państwo równało się wojsku.

Musieliśmy bronić kraju, wygrać wojnę.

- Sam mówił, że Nat chciał się zaciągnąć.

- No cóż, gadał o tym czasami, ale moim zdaniem nie przyjęliby go do wojska. Miał przetrąconą nogę. Nie wspominając już o... No wiesz. Nat Bunting. Od lat o nim nie myślałem. Ale, ale... Nie przyszedłeś chyba wyciągać ze mnie wspomnień z czasów wojny, co?

- W żadnym razie. Chociaż to, o czym mówisz, jest bardzo ciekawe, zwłaszcza dla kogoś, kto urodził się parę lat po wojnie. Ale rzeczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym zapytać cię o kilka rzeczy, wyjaśnić parę spraw.

Wilf założył nogę na nogę.

- Nie mam. Nie wiem, czy ci się na coś przydam, ale pytaj, o co chcesz.

- Czytałem relację z procesu i dowiedziałem się, że doktor Fox tuż przed śmiercią otrzymał propozycję pracy w szpitalu pod Salisbury.

Wilf podrapał się po nosie.

- Pamiętam, że coś o tym mówiono. I chyba musiało to być coś poważnego, bo inaczej nie sądzę, żeby plotkowano o tym przed... Sam wiesz. Ale dlaczego pytasz? Czy to miało jakieś znaczenie?

- Myślę, że tak. Oskarżenie uznało to za kolejny możliwy motyw morderstwa. Nowe stanowisko wymagało wyjazdu z Richmond, co zmusiłoby Grace do zerwania z Samem. Ale moim zdaniem dowodzi to również, że Sam nie mógł być zamieszany w morderstwo.

- Dlaczego?

- Nie wiedział o tej propozycji. Nie mógł, jeżeli przedstawiono ją doktorowi tak późno, jak się wydaje. Przebywał wtedy od pewnego czasu w Leeds, a potem przeniósł się do rodziców na wieś, gdzie spędził święta i Nowy Rok. Od połowy grudnia nie rozmawiał z Grace, nawet się z nią nie widział, nie mógł więc wiedzieć o jej ewentualnym wyjeździe.

Dowiedział się o wszystkim dopiero w sądzie.

- Racja - potwierdził Wilf. - Ale jakie to ma znaczenie? Przecież nie postawiono mu zarzutów. Oskarżono tylko Grace.

- Ale to oznacza, że jeśli Grace zabiła Ernesta, zrobiła to, że tak powiem, na własną rękę, nie wiedząc nawet do końca, czy Sam z nią wyjedzie. Przecież dowiedziawszy się o wszystkim, mógł z nią zerwać.

- Chyba że wcześniej razem uknuli cały spisek.

- Ale wtedy żadne z nich nie mogło jeszcze wiedzieć o propozycji pracy. Wydaje mi się to dosyć istotne, zwłaszcza że perspektywa objęcia nowego stanowiska przez doktora Foxa została przedstawiona jako jeden z głównych motywów, a Hetty Larkin podsłuchiwała Grace i Ernesta kłócących się kilka dni wcześniej z powodu listu. Według zeznań pani Compton, Sam i Grace rozmawiali o pozbyciu się Ernesta pod koniec listopada, na długo przedtem, zanim nadszedł list z propozycją pracy, której objęcie przez doktora Foxa mogłoby ich zmusić do zerwania. Nie uważasz, że to trochę dziwne?

- Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, to faktycznie, trochę tak - przyznał Wilf.

- I druga sprawa: w relacji z procesu pojawia się informacja, że Grace tuż przed śmiercią jej męża widziano spacerującą po Castle Walk z młodym umundurowanym mężczyzną. Ale to tyle, wątek się potem urywa.

- Nic o tym nie słyszałem - rzekł emerytowany nauczyciel - ale pamiętaj, że ludzie wygadywali wtedy niestworzone historie o Grace, rozsiewali plotki, oczerniali ją. Tego typu paplanina była pewnie częścią całej tej kampanii. Na szczęście żadnej z tych kalumnii nie powtórzono na sali sądowej.

- Ale musiało w nich tkwić ziarno prawdy, nie wydaje ci się? Niekoniecznie zgadzam się z tym, jak to interpretowano, ale samo wydarzenie pewnikiem zaszło. I mogło mieć związek ze sprawą. Nie wierzę, że młody człowiek, z którym rozmawiała, był jej kochankiem czy

coś w tym rodzaju, ale spotkanie z nim mogło wpłynąć na stan umysłu Grace, a nawet przyczynić się do tego, co później zrobiła. A już na pewno powinna się nim zainteresować policja. Kim był ten mężczyzna? O czym rozmawiali?

- Policja? - Wilf parsknął z pogardą. - Ówczesni gliniarze pewnie niewiele różnili się od dzisiejszych. Zdążyli już sobie wyrobić zdanie na ten temat. Doszli do wniosku, że Grace to zrobiła, i nic więcej ich nie obchodziło. Jeżeli jakiś dowód pasował do hipotezy, włączali go do akt, jeżeli nie pasował, ignorowali. A jak już piłka była w grze, nie było zbyt trudno podpuścić ludzi, żeby zaczęli gadać przeciw niej. To działa na zasadzie kuli śnieżnej.

- Co masz na myśli?

- Nienawidziłem całej tej podłości i małoduszności, jakie wywołała ta sprawa, bycia świętszym od papieża, hipokryzji, tego, co mówili ludzie, nawet ci, którzy uchodzili za jej przyjaciół. Nagle wyszło szydło z worka. A Alice Lambert nie była wcale lepsza od innych.

- Alice? A co mówiła?

- Oczywiście w sądzie niczego nie powtórzyła, trzymała się tylko faktów, z miną niewiniątka zeznawała na korzyść Grace, swojej przyjaciółki, ale wkrótce wszyscy już wiedzieli, że Foxowie mieli osobne sypialnie, a Grace była oziębła w stosunku do męża. Alice zawsze miała słabość do Ernesta Foxa. No wiesz, najpierw poznała jego, dopiero później Grace. Byli starymi przyjaciółmi. I nagle zaczęła wszystkim opowiadać, jak to od wieków uważała, że Grace zachowuje się zbyt swobodnie w obecności przedstawicieli płci przeciwnej, a już zwłaszcza młodych mężczyzn, tym podobne bzdury. Same obrzydliwe plotki, kolejne szczapy dorzucone do stosu, na którym miała spłonąć Grace.

- Więc Ernest Fox naprawdę nie był obojętny Alice Lambert?

- Że niby miała do niego słabość?

- Tak.

- Od razu było to widać, gdy tylko zobaczyło się ich razem. Tak jak kiedy się widzi ciebie i tę agentkę nieruchomości.

Prawie zakrztusiłem się herbatą.

- Że co? Heather? Skąd właściwie...? To znaczy...?

Wilf się roześmiał.

- Już się tak nie denerwuj. Wyglądasz jak uczeń przyłapany z ręką za ladą szkolnego sklepiku. Widziałem, jak gruchacie sobie na rynku, nic więcej. Język ciała. Mówiłem ci, jak to jest w małych miasteczkach. Na twoim miejscu byłbym ostrożny.

- Jesteśmy tylko znajomymi. Pomagała mi urządzić się w Kilnsgate.

W jego oczach pojawił się błysk.

- Skoro tak mówisz.

- Zmieńmy temat, Wilf. Czy między Alice Lambert i Ernestem Foxem mogło coś być?

- Niby co?

- Wiesz, do czego zmierzam. Czy mieli romans? Czy mąż Alice o nim wiedział?

- Nie myślisz chyba, że...? Alice Lambert?

- Myślałem raczej o Jeremym Lambercie.

- Jeremym Lambercie? Chyba żartujesz. Facet muchy by nie skrzywdził.

- Znałeś go?

- Oczywiście. Pracował jako inspektor szkolny, zresztą był nim nadal, kiedy zacząłem uczyć. Wtedy była to miła, spokojna praca. Dziś wygląda to pewnie inaczej, chociaż w sumie nawet nie wiem, czy mamy jeszcze inspektorów. Ale jeżeli tak, to przypuszczam, że ryzykują pchnięcie nożem albo kulkę. Ale Jeremy Lambert mordercą? - Pokręcił głową. - Zdecydowanie nie.

- A Alice?

- Zastanów się: wyklucza to nawet twój własny rok rozumowania. Nie miała motywu.

- Czasem trzeba się nieźle natrudzić, żeby dokopać się do motywu.

- Nawet jeśli...

- Wszyscy skupili się na Grace i jej romansie z Samem. Ale co z Ernestem Foxem?

Miał mnóstwo okazji do zdrady. Czy pojawiły się jakieś plotki na ten temat? Może sam sypiał z którąś z uroczych mieszkanek Swaledale?

- Niczego takiego sobie nie przypominam. Przynajmniej do mnie nigdy nie dotarły plotki o jego romansach. Ale faktycznie, mnóstwo podróżował. W czasie wyjazdów mógł coś przeszkrobać.

- Myślałem, że był miejscowym lekarzem rodzinnym.

- Był, ale konsultował wiele przypadków. I bardzo często wyjeżdżał. Szczerze powiedziawszy, w czasie wojny i później praktykę prowadził głównie doktor Nelson.

- Czy twoim zdaniem komuś mogło zależeć na śmierci Ernesta Foka?

- Wielu osobom. Ale żadna z nich nie przebywała w Kilnsgate House wtedy, kiedy zmarł.

- Jakim człowiekiem był doktor Nelson?

- Cliff Nelson? To był zrównoważony, godny zaufania, oddany pracy facet, trochę nudny, szczerze powiedziawszy. Ale był też dżentelmenem, i to na dodatek obdarzonym zdrowym rozsądkiem. Mieszkał tuż przy łąkach. Jak już mówiłem, w czasie wojny i później to praktycznie on prowadził praktykę. Za to jego żona, Mary, w ogóle nie rzucała się w oczy.

Pozostawała w cieniu, prowadziła rachunki, zajmowała się domem, wychowywała dzieci.

- Mieli dzieci?

- Trzech chłopców.

- Jakież plotki, pogłoski?

- O doktorze Foksie i Mary? Nie. Obawiam się, że szczekasz nie na to drzewo, co trzeba.

- Nie po raz pierwszy. A co z Grace i doktorem Nelsonem?

- A co niby miałyby być?

- W jakich pozostawali relacjach?

- Przyjacielskich, z tego, co wiem. Cliff grał trochę na pianinie, więc łączyły ich muzyczne zainteresowania. Lubili się. Ponoć była też przekonana, że jakby co, zawsze może z nim porozmawiać. Nelson i jej mąż nie we wszystkim się zgadzali.

- To znaczy?

- Pewnie chodziło o to, że doktor Fox za dużo zrzucał na Cliffa. I jeszcze coś. - Wilf zamilkł na chwilę. - Nie wiem, czy to ma jakieś

znaczenie, ale wkrótce po całej tej aferze doktor Nelson powiedział mi, że zaoferował się zeznawać w procesie Grace na jej korzyść i poręczyć za nią. Był przekonany, że jest niewinna.

- I co się stało?

- Poinformowano go, że obrona nie ma zamiaru powoływać na świadków żadnych mężczyzn. Że to by nie wyglądało dobrze.

- Można to zrozumieć. A czy Grace miała właściwie jakieś przyjaciółki?

- Jeśli dobrze pamiętam, to nie. Spotykała się z Alice, Mary i może jeszcze jedną czy dwiema damami z Towarzystwa Operowego. Zawsze wolała raczej męskie towarzystwo - ale mówię to bez żadnych podtekstów.

- Czy rzeczywiście była kobietą tak swobodnych obyczajów, jak o niej plotkowano?

- Swobodnych obyczajów? Zależy, co przez to rozumiesz. Grace nie zadzierała nosa jak niektóre damulki, a już na pewno nie tak, jak można by się spodziewać po żonie lekarza.

Jak ci już mówiłem, w trakcie prób przed koncertami zdarzało jej się nawet poświęcać czas takim pariasom jak ja, podczas gdy cała reszta towarzystwa ignorowała wszystkich poniżej własnego społecznego statusu. Nie twierdę, że snobizm był całkowicie obcy Grace - z pewnością ceniła pozycję, jaką zajmowała w miasteczku - ale u niej nie przekładało się to na traktowanie ludzi. Miała naprawdę wielkie serce. Pomagała wszystkim, z wszystkimi rozmawiała. Na tym polegała jej swoboda obyczajów.

- Sypiała z kim popadnie?

- Nie, to tylko złośliwe, wysrane z palca plotki! - zawołał z oburzeniem Wilf. - A raczej brednie. Grace Fox nie była dziwką. Można jej wiele zarzucić, z pewnością zdradę, może nawet morderstwo, ale na pewno nie była dziwką. Jasne, Grace i Sam mieli romans, ale to wcale nie świadczyło o jej charakterze. Nie był kolejną zdobyczą. Kochali się, na litość boską!

- A czy ty miałeś romans z Grace, Wilf?

- Ja? Nie bądź śmieszny.

- A czy byłeś w niej zakochany?

Wilf odwrócił się i zamilkł. Skrzywił się i położył sobie dłoń na brzuchu.

- Dzięki za piwo - powiedział - ale chyba już na ciebie pora. Nie czuję się najlepiej.

Świetna robota, Lowndes, pomyślałem, wychodząc. Udało ci się zrazić do siebie jednego z dwóch żyjących facetów, którzy osobiście znali Grace Fox.

13

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King),
lipiec-sierpień 1940 roku.

Liverpool, później gdzieś na morzu.

Poniedziałek, 29 lipca 1940 roku

W końcu więc jestem na morzu i płynę Bóg wie gdzie. Dwa dni temu obudzono nas w środku nocy, kazano natychmiast się spakować i wyruszyliśmy pod osłoną ciemności z ośrodka szkoleniowego przy szpitalu wojskowym w Netley. Późnym porankiem następnego dnia dotarliśmy do Liverpoolu. Zakwaterowano mnie w podejrzanym hoteliku w pobliżu doków, we wspólnym pokoju z Kathleen, którą poznałam w czasie szkolenia. Kathleen jest posągową blondynką, zjawiskowo piękną, choć cokolwiek nieprzystępną. Słyszałam nawet, że jeden z oficerów nazywa ją „lodowatą dziewicą”, co jednak moim zdaniem jest nie do końca sprawiedliwe. Kathleen ma ogromne poczucie humoru i zupełnie niesamowity śmiech, przypominający rżenie konia. Hotel był tak paskudny, że musiałyśmy co noc wsuwać krzesło pod klamkę drzwi, żeby do pokoju nie mogli się dostać marynarze, przekonani, że jesteśmy tam dla ich rozrywki. Nie zmrużyłyśmy oka, ale było przy tym mnóstwo śmiechu.

Dziś po południu zaokrętowałyśmy się na „Cesarzową Australii”, luksusowy liniowiec oceaniczny przerobiony na statek transportowy. Na szczęście dla nas nie ograbiono go z całego luksusu, zostawiając na przykład kryształ i porcelanę, które miały sobie spokojnie czekać na lepsze, powojenne czasy. Mam dzielić kabinę pierwszej klasy z Brendą, inną dziewczyną, którą poznałam na szkoleniu. Jest o wiele większą bałaganiarą niż ja, czeka mnie zatem trudne zadanie zmuszenia jej, by zbierała ubrania z podłogi i krzesel oraz nie rozstawiała po całej łazience swoich przyborów toaletowych.

Brenda, Kathleen oraz jeszcze jedna moja przyjaciółka, Doris, są pannami i wydawały się trochę zdziwione, kiedy usłyszały, że mam męża, ale porzuciłam go, by udać się na wojnę.

Wytłumaczyłam im, że skoro mężczyźni mogą zostawiać żony w domach, to i ja mogę rozstać się na jakiś czas z mężem. Jaki zresztą byłby ze mnie pożytek, gdybym tkwiła beczynnym na wsi w Yorkshire, podczas gdy nasi chłopcy giną i trzeba im ratować życie?

Poza tym jestem pewna, że Hetty zadba o Ernesta.

Na pokładzie płynie pięćdziesiąt pięć siostr oraz Bóg wie ilu oficerów i żołnierzy.

Większość moich towarzyszek jest niesamowicie podekscytowana na myśl o tym, że aż tylu przystojnych młodych mężczyzn będzie zwracało na nie uwagę. Bez wątpienia nieuniknione są tańce, wieczorne przyjęcia... i romanse. Matka przełożona zdążyła już mnie wyłowić z tłumy i przeprowadzić ze mną poważną rozmowę w cztery oczy. Mam być tą odpowiedzialną.

Dawać przykład. Mieć oko na bardziej trzpiotowate, krnąbrne dziewczęta i odwozić je od lekkomyślnych postępów i pokus, jakim mogłyby ulec w gorączce okrętowego romansu.

Szczęściara ze mnie! Co za nuda! Mówi się już o tym, by wyszukać utalentowane muzycznie osoby i za kilka dni zorganizować niewielki koncert. Doris wygadała się, że gram na pianinie i śpiewam, komitet organizacyjny już więc zwrócił się do mnie i musiałam ulec namowom.

Oficerowie grający na różnych instrumentach skrzykują się właśnie w orkiestrę, która miałaby zagrać w czasie tańców.

Żeglujemy w ciemnościach pod eskortą niszczycieli, które mają nas chronić przed ewentualnym atakiem UBootów. Zewsząd otaczają nas ciemne, nieskończone morskie głębiny, na których powierzchni połyskuje odbicie księżyca. Światła Anglii szybko znikają w tyle. Leżę teraz w miękkim łóżku i piszę te słowa, a kołysanie statku działa na mnie kojąco.

Nie mogę się doczekać jutrzejszego zwiedzania okrętu. Bóg tylko raczy widzieć, dokąd zmierzamy i co nas czeka u kresu podróży!

Piątek, 2 sierpnia 1940 roku

Zepsuła się pogoda - zrobiło się pochmurnie i chłodno, co nie jest typowe o tej porze roku - wzburzyło się morze i niektórzy z mniej odpornych pasażerów zapadli na chorobę morską. Na pokładzie ostatnio też było dosyć zimno, ale z każdym dniem się ocieplało i teraz ocean nie jest już szary, lecz raczej akwamarynowy i turkusowy oraz o wiele spokojniejszy.

Płyniemy już czwarty dzień, a ja ciągle nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Nie powiedziano nam, co to za kurs ani dokąd zmierzamy. Czasem pozostałe okręty konwoju są tak blisko, że żołnierze na ich pokładzie mogą nas chyba zobaczyć, machamy więc do nich energicznie; innym razem w ogóle ich nie widzimy i martwimy się, czy nasza eskorta nie została przypadkiem zaatakowana przez UBooty.

Wczoraj mineliśmy w oddali jakieś wyspy. Niektórzy twierdzili, że to Azory, ale wydaje mi się, że to raczej mało prawdopodobne. Czy to możliwe, żebyśmy dotarli do nich w tak krótkim czasie? Zdziwilibyście się, ile plotek pojawia się każdego dnia, jeśli stłoczyć ludzi w zamkniętej przestrzeni i nie powiedzieć im, dokąd zmierzają! Porównywałam mapy z kompasem i stwierdziłam, że ogólnie rzecz biorąc, płyniemy na południowy zachód, przypuszczam więc, że mineliśmy Wyspy Kanaryjskie albo archipelag Madera i pewnie celem naszej wyprawy jest Afryka. Wczoraj wieczorem widziałam na oceanie fosforescencję, zieloną zorzę połyskującą nad powierzchnią wody, tak jakby na moich oczach ożył wiersz Coleridge'a, a wszystko to pod baldachimem migoczących gwiazd i sierpem księżycy między nimi.

Dni mijają nam na słodkim lenistwie i rozrywkach. Musimy wprawdzie uczęszczać na wykłady oraz odsłużyć swoje w izbie chorych, ale nie ma tam żadnych poważnych przypadków i zostaje nam mnóstwo czasu dla siebie. Co rano na pokładzie gimnastykujemy się pod komendą sierżanta. To zdumiewające, ilu mężczyzn jest w stanie wstać tak wcześnie i pojawić się tam, udając, że przyglądają się morzu! Po śniadaniu i wykładach gram w tenisa, zazwyczaj z Brendą albo Kathleen, ale nie mogę się doczekać, aż wyćwiczę się na tyle, by pogonić kota któremuś z młodych, silnych oficerów. Doris również świetnie się bawi - codziennie pływa w naszym ogromnym basenie, czyta i pisze listy do swego ukochanego.

Twierdzi, że czuje się jak królowa.

Na statku mamy też niewielką bibliotekę. Początkowo byłam rozczarowana, bo poza paroma książkami Greene'a, Waugh'a czy Maughama, które już wcześniej czytałam, znalazłam tylko kryminały w rodzaju Agathy Christie, ale ostatecznie dałam się przekonać Doris do Trollope'a, którego zawsze unikałam, być może z powodu jego mało szczęśliwego nazwiska. Tak czy inaczej, zaczęłam Rodzinę Palliserów i jestem nią absolutnie zafascynowana. Stwierdziłam, że Trollope to doskonałe towarzystwo w długim morskim rejsie. Jest też tak bardzo angielski, że czasami prawie że czuję tęsknotę za domem.

Wiadomości z Anglii nie są zbyt pocieszające. Zdaje się, że zaczęły się intensywne bombardowania miast, ale jestem pewna, że Ernest może się czuć w Kilnsgate dosyć bezpiecznie.

Listopad 2010

Kilka dni po mojej rozmowie z Wilfem Pelhamem, o szóstej po południu zadzwoniła Heather.

- Co słyszać w wielkim świecie? - zapytała.
- Heather! Co u ciebie?
- W porządku. Dzięki.
- Udało ci się czegoś dowiedzieć o poprzednim właścicielu domu?
- Czy tylko to cię interesuje?
- Nie, oczywiście, że nie. Pomyślałem tylko...
- Już się nie tłumacz. Tak, chyba udało mi się czegoś dowiedzieć.
- To znaczy?
- Nie tak szybko. Ile płacisz?
- Heather, przestań się droczyć.
- Postawisz mi dzisiaj kolację i będziemy kwita.
- A co z Derekiem?

Heather milczała przez chwilę.

- Kolacja w klubie golfowym - wyjaśniła w końcu tonem zimnym jak lód.

- Nie jesteś zaproszona?
- Golf mnie nudzi.

- No dobra. Gdzie i o której?

- Tylko nie przesadz z entuzjazmem, jak usłyszysz. Właśnie skończyłam pokazywać dom w Garrison. Może spotkamy się za pół godziny na Stacji?

- Za pół godziny? Jasne. Już jadę.

Od spotkania z Wilfem nie wychodziłem z domu, zmieniałem co najwyżej pokoje, w których odhaczałem kolejne ambitne zadania - sonata, maile do znajomych w Stanach, telefon do matki, a potem do Grahama i Siobhan, czat z Dave'em Packerem, moim reżyserem i przyjacielem, na temat przyszłych wspólnych projektów i tak dalej. Zaprosiłem nawet Dave'a i jego żonę Melissę na święta, chociaż nie spodziewałem się, by mogli przyjechać. Nawet jeśli Dave miałyby czas, co już było dosyć mało prawdopodobne, to Melissa była wielką gwiazdą filmową i nie było nawet co liczyć, że uda jej się wyrwać, zresztą nie przypuszczałem, by miała ochotę tarabanić się przez pół świata do jakiejś zapadłej dziury z paskudnym klimatem takiej jak Yorkshire.

Poprzedniego wieczoru obejrzałem młodziutką Dianę Dors w U progu ciemności, w którym podobała mi się co najmniej tak bardzo jak w Stąpaj ostrożnie, nieznanomy. W Ameryce, miłującej się we wszystkim, co poetyckie, film ten puszczano zresztą pod tytułem Jasnowiąsa grzesznica, co i tak niewiele zmieniło, bo Diana Dors nie wzbudziła za oceanem sensacji; w latach 50. było tam zbyt wiele blond piękności, by znalazło się miejsce dla jeszcze jednej, w dodatku z importu. Zagrała jednak absolutnie bosko w tej opowieści o żądzy, zazdrości i mordzie, mimo że prawie nie wychodziła z celi śmierci, skąd, siłą rzeczy trochę wymięta, snuła refleksje na temat wypadków, które zgotowały jej ciężki los. Przypominało to trochę sprawę Ruth Ellis oraz stanowczo zbyt mocno historię Grace Fox. Nic dziwnego, że wytracony z równowagi spałem tej nocy nie najlepiej, dręczony przez sugestywne sny i jakieś upiorne odgłosy. Nie byłem nawet w stanie stwierdzić, czy te ostatnie mi się przyśniły, czy też wydawał je sam dom.

Gdy wychodziłem na spotkanie z Heather, było oczywiście ciemno jak w nocy i siąpił deszcz. Wsiadając do volvo, z przyzwyczajenia spojrzałem w stronę garbu, na którym stał wapiennik, ale nikogo nie zauważyłem. Od wizyty nieznanomego minęło już sporo czasu i dochodziłem powoli do wniosku, że Heather miała rację - pewnie był to zagubiony turysta albo archeolog.

Jeszcze w połowie lat 60. Stacja faktycznie była miejscową stacją, ale po cięciach dr.

Beechinga w 1969 roku zamknięto lokalną linię kolejową. Obecnie w niewielkim budynku z lat 50. XIX wieku mieściło się centrum kulturalne, na którego piętrze, w galerii nad restauracją, organizowano wystawy tutejszych malarzy lub targi starej książki. W budynku funkcjonowały też dwa niewielkie kina, w których wyświetlano względnie nowe filmy, a nawet piekarnia, roztaczająca wszędzie wokół iście urzekający zapach.

Trochę się namęczyłem, zanim znalazłem miejsce parkingowe, i dopiero po chwili wypatrzyłem coś niedaleko basenu oraz Centrum Aktywności Fizycznej, do którego ciągle nie wykupiłem karnetu. Ponieważ do spotkania zostało jeszcze całe pięć minut, z których szybki bieg przez deszcz z samochodu do wejścia uszczknął bardzo niewiele, zamówiłem w barze kieliszek wina i usiadłem przy stoliku w tylnej części restauracji.

Heather spóźniła się tylko dziesięć minut. Zobaczyłem, jak wchodzi do restauracji, zamyka parasol i rozgląda się za mną. W końcu udało jej się mnie wypatrzyć przed szparę w jednej z kotar, które niczym parawany dzieliły wnętrze na kilka części, pomachała do mnie i ruszyła przed siebie. Miała na sobie czarne spodnie oraz zwężający się w talii żakiet narzucony na białą bluzkę i wyglądała jak typowa bizneswoman. Włosy związała z tyłu w kucyk, odsłaniając piegi na nosie i odmładzając się o jakieś dziesięć lat, w rękę trzymała skórzaną aktówkę.

- Cześć! Co za dzień!

- Ciężki?

Heather usiadła naprzeciw mnie.

- Po prostu mnóstwo pracy. Głównie dzięki tobie, tak przy okazji. Mogłabym zabić za kieliszek chardonnay.

Zrozumiawszy aluzję, podszedłem do baru i zamówiłem jej dużą lampkę. W restauracji obowiązywał trochę dziwny system, bo trzeba było podejść do lady i zamówić przy niej zarówno posiłek, jak i wino. W końcu jednak spędziłem wiele lat w Ameryce, gdzie człowiek szybko przyzwyczaja się do tego, że drinki i jedzenie przynoszą kelnerzy, nawet w podrabianych angielskich pubach. Litościwie dania obiecano nam dostarczyć do stolika.

Przejrzeliśmy menu i Heather zamówiła łososia z sałatką z raków, a ja burgera z serem i bekonem. Gdy wróciłem do lady złożyć zamówienie, poprosiłem również o butelkę wina.

Chciałem oszczędzić sobie kolejnych wypraw. Piłem wprawdzie czerwone, ale wiedziałem, że Heather woli białe, zresztą chardonnay wydawało się dobrym wyborem.

- Więc jak, czego się właściwie dowiedziałaś? - zapytałem, gdy udało mi się wreszcie usiąść na dobre.

W zielonych oczach Heather pojawił się błysk.

- Nie tak szybko. Może najpierw zapytasz, co u mnie słychać?

Uśmiechnąłem się.

- W takim razie co u ciebie słychać, Heather?

- W porządku, miło, że pytasz.

Ściszyłem głos.

- A co do tamtego wieczoru...

Położyła sobie palec na ustach.

- Ćśśś! Nie mówmy o tym.

Nie wiedziałem, czy chodzi jej o lzy, czy o pocałunek. Chciałem porozmawiać i o tym, i o tym. Chyba zbyt dużo czasu spędziłem w Ameryce i zdążyłem nabrać tamtejszych zwyczajów, bo dopiero teraz przypomniałem sobie, że mieszkańcy Yorkshire nie mówią o tego typu sprawach. Mieszkanki - najwyraźniej - też nie.

- Skoro nie masz ochoty...

Przez chwilę popijaliśmy w milczeniu wino. Cisza nie była wprawdzie krępująca, ale zrećzna również nie. Nie było łatwo wrócić do wesołej konwersacji. Heather wskazała na kino za moimi plecami.

- Widziałeś, co grają?

Pokręciłem głową. Było ciemno i padał deszcz, więc nie chciało mi się nawet spojrzeć przez okno.

- Śmierć wie, jak się nazywam - wyjaśniła.

Schowałem głowę w dłoniach i jęknąłem.

- O mój Boże, tylko nie to.

Był to jeden z ostatnich filmów, jakie zrobiliśmy z Dave'em. Parę całkiem znanych nazwisk, w tym żona Dave'a, Melissa, kilku młodych, obiecujących aktorów i bardzo staroświecka muzyka, idealnie wpisująca się w równie staroświecką konwencję gatunkowego thrillera. Akcję znaczyły pościgi, sceny miłosne, strach, panika, momenty grozy, nagłe zwroty akcji, liczne punkty kulminacyjne, za którymi wiernie podążała muzyka. Nie można było mi wprawdzie zarzucić, że po prostu odwalilem robotę, ale z pewnością skomponowanie ścieżki dźwiękowej nie wymagało ode mnie zbyt dużej kreatywności czy wysiłku intelektualnego. Co zresztą w czasie pracy idealnie mi odpowiadało, ponieważ w trudnym okresie kilku miesięcy po śmierci Laury nie potrafiłbym się zdobyć ani na jedno, ani na drugie. Zdecydowanie film ten nie należał do moich ulubionych, ale - jak to bywa - okazał się wielkim hitem.

Amerykańskiej publiczności bardzo się spodobał i sprzedał się w śmienne. Niedawno odbyła się jego brytyjska premiera.

- Może zobaczymy go po kolacji? - zaproponowała Heather.

- Co?

- No wiesz. Pójdziemy do kina. Ty i ja. Siądziemy w ostatnim rzędzie i będziemy się całowali.

Musiałem spieć raka, bo nagle się roześmiała i dotknęła mojej ręki.

- Nie martw się. Tylko żartowałam. Nie mam zamiaru cię molestować. Pomyślałam tylko, że byłoby naprawdę fajnie oglądać film z gościem, który napisał do niego muzykę. To co, dasz się namówić? Tylko ten jeden raz.

- Już go widziałem.

- Chris, proszę...

Spojrzała na mnie tak błagalnie swymi zielonymi oczami, że nie miałem serca odmówić. Zdawałem sobie sprawę, że moja opinia na temat własnych dzieł nie zawsze idzie w parze ze zdaniem zwykłych widzów, krytyków czy moich przyjaciół, nawet więc nie próbowałem jej tłumaczyć, że nie jest to film, z którego jestem szczególnie dumny.

Pomyślałem, że jakoś przez to przebrnę.

- No dobrze - ustąpiłem i uśmiechnąłem się. Na stoliku wylądowały nasze dania. - Pod warunkiem, że będziesz naprawdę słuchała muzyki. Na koniec cię przepytam. A teraz powiedz mi, czego się dowiedziałaś.

- Zjadłam lunch z Michaeliem Simakiem - wyjaśniła, marszcząc nos. - Myślałam, że będzie łatwiej niż w czasie drinków po pracy... No wiesz... Czasem trzeba iść po nich na kolację... - Wzruszyła ramionami.

- A po kolacji trzeba pójść...

- Sam wiesz.

- Do kina?

Heather się roześmiała i wbiła widelec w sałatkę.

- Właśnie. Do kina. W każdym razie tego oczekuje druga strona. Tak czy inaczej, pewnie z zadowoleniem przyjmiesz zapewnienie, że moja cnota pozostała nietknięta.

Roześmiałem się. Nagle zdałem sobie sprawę, że poza wszystkim to najbardziej podoba mi się w Heather: potrafi mnie rozśmieszyć. Oprócz niej była w stanie to zrobić tylko jedna kobieta, którą znałem - Laura. Panuje przekonanie, że to kobiety lubią mężczyzn, którzy potrafią je rozśmieszyć, ale ręczę, że działa to też w drugą stronę.

- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem - zapewniłem. - Ale czy dowiedziałaś się czegoś użytecznego? Co uzyskałaś za... Za co właściwie?

- Za pintę stelli? Niezupełnie, ale to, co mi powiedział, wystarczyło, żeby jeszcze trochę tu i ówdzie popytać. Na tym właśnie spędziłam prawie całe popołudnie. Firma Michaela prowadzi sprawy rodziny Foxów od zawsze, a ja znam jednego czy dwóch jej emerytowanych wspólników i współpracowników. No wiesz, to małe miasteczko, a mieszkam w nim tak długo, że dobrze wiem, gdzie szukać informacji.

- Nie wątpię. I czego się właściwie dowiedziałaś?

- O, popatrz! Mój kieliszek jest pusty, a to taka długa historia...

Swój też zdążyłem osuszyć. Nalałem nam obojgu wina.

- Dowiedziałaś się, kto jest właścicielem Kilnsgate House? - zapytałem.

- Owszem, w dodatku jestem pewna, że bardzo cię to zaciekawia.

Odepchnąłem od siebie prawie pusty talerz.

- W takim razie zamieniam się w słuch.

Heather nachyliła się, wyraźnie podekscytowana historią, którą miała do opowiedzenia. Dziecięcy entuzjazm na jej twarzy, w jej gestach i oczach był niezwykle zaraźliwy. Nachyliłem się również i nagle jakby uformował się nad nami niewidzialny baldachim, na dobre odcinając nas od reszty

świata. Na szczęście byliśmy w Yorkshire i nie musieliśmy się przejmować kelnerkami, podchodzącymi co pięć minut, żeby zapytać, czy wszystko smakuje.

- No więc... Wiedziałeś, że syn Grace i Ernesta nazywał się Randolph? Randolph Fox.

Skinąłem głową.

- Kiedy zmarł jego ojciec, miał zaledwie siedem lat. Był wtedy w domu, ale z racji wieku nie musiał zeznawać w sądzie. Policjanci przesłuchali go, ale nic z niego nie wyciągnęli. Przespał całą tę noc.

- I kupiłaś aż pintę stelli, żeby się tego dowiedzieć?

- Nie, do tego dokopałam się później. Głupek. Próbuję przedstawić wszystko w porządku chronologicznym. Opowiadam historię. Chcesz ją usłyszeć czy nie?

- Jasne, że chcę. Przepraszam.

- W czasie procesu i w okresie przed egzekucją Grace Randolph został ze swoim wujostwem, Felicity i Alfredem Middletonami. Felicity była siostrą Grace, młodszą od niej o siedem lat. Nie mogli mieć własnych dzieci i zawsze lubili małego Randolpha, kiedy więc Grace została... No wiesz... Powieszona... Dokonano wszystkich niezbędnych formalności.

- Felicity i Alfred adoptowali Randolpha Foxa?

- Tak. Kochali go jak własne dziecko. Odtąd nazywał się Randolph Middleton.

Mieszkali w Canterbury. Alfred Middleton był architektem. Całkiem nieźle im się powodziło.

Felicity, jak to się wtedy mówiło, była gospodynią domową. Chłopiec miał wszystko, o czym tylko mógł zamarzyć.

- Na pewno niczego mu nie brakowało. I co się stało?

- Pojawiła się okazja. Firma, w której pracował Alfred, wysłała go z jakimś projektem do Melbourne. Zakochał się w tym mieście i w możliwościach, jakie wtedy dawało.

Zaproponowali mu pracę w tamtejszej filii. To było pod koniec lat pięćdziesiątych i Randolph miał trzynaście albo czternaście lat.

- Proszę, proszę - pochwaliłem ją. - Naprawdę kawał z ciebie detektywa.

- Dziękuję, Watsonie. - Heather napiła się wina. - W każdym razie dla chłopca musiała to być prawdziwa rewolucja. Kiedy miałam dwanaście lat, moi rodzice przenieśli się z Harrogate do Richmond i już to było dla mnie traumatyczne. Wyobraź sobie, że musisz w tym wieku zaczynać wszystko na nowo w nieznanym kraju, i w dodatku masz śmieszny akcent.

- Czepiali się go? Miał przechlapane?

- Najwyraźniej odpłacił im pięknym za nadobne i wkrótce się dopasował. W rodzinie nigdy nie rozmawiało się o Anglii, a zwłaszcza o Grace Fox. Był to temat tabu. Randolph skutecznie wyparł swoich prawdziwych rodziców z pamięci. Jego mamą i tatą byli po prostu Felicity i Alfred. I żyliby sobie długo i szczęśliwie, gdyby nie to, że w latach sześćdziesiątych, kiedy zabroniono u nas kary śmierci przez powieszenie, jakiś reporter dowiedział się, kim są, i zaczął ich dręczyć.

- Zaczekaj chwilę. Dowiedziałas się tego wszystkiego od Michaela Simaka?

Heather uniosła wysoko brwi.

- Nie mogę ujawniać swoich źródeł.

- Daj spokój, nikomu nie powiem.

- No dobrze. Jeden z emerytowanych współpracowników kancelarii odwiedził kilka razy Ralpa w Australii. Najpierw w sprawach służbowych, związanych z nieruchomością, a potem się zaprzyjaźnili i przyjeżdżał do niego z żoną na wakacje. Większość moich informacji pochodzi więc z pierwszej ręki. Reszty dowiedziałam się od wujka G.

- Wujka G?

- Google. Zdziwiłbyś się, ile można tam znaleźć, jeżeli się wie, gdzie szukać.

- No dobra, i co dalej? Co zrobili, kiedy ktoś się o nich dowiedział?

- Zmienił nazwisko i na jakiś czas przenieśli się do Perth. Firma Alfreda również tam miała oddział. Podeszli do wszystkiego ze zrozumieniem i dali mu pracę w mieście. - Napiła się znowu wina. - Odnoszę wrażenie, że w Australii mnóstwo osób ma coś do ukrycia, czy to jeśli chodzi o sprawy osobiste, czy jakieś wstydlive rodzinne historie. Tak czy inaczej, nikt się nie sprzeciwiał ani nie zadawał zbędnych pytań. Cała

rodzina zmieniała nazwisko na Webster, a Randolph nawet imię - na Ralph. Zresztą i tak nie lubił, jak mówi się do niego Randolph.

- Ralph Webster. Rozumiem. A co z Kilnsgate?

- Był to jego majątek powierniczy. Kiedy w sześćdziesiątym siódmym roku skończył dwadzieścia lat, stał się jego pełnoprawnym właścicielem. Nie interesował się Kilnsgate, ale w żadnym wypadku nie zgadzał się na sprzedaż. Mike powiedział, że nie miał pojęcia, dlaczego jest taki uparty, ale wszyscy w firmie o tym wiedzieli. Oczywiście, robili, co mogli, skorzystali z usług agencji wynajmującej domki letniskowe, ale, jak dobrze wiesz, Kilnsgate nie nadaje się na domek letniskowy. Jest o wiele za duży. Głównie stał więc niezamieszkały i popadał w ruinę. Na początku lat siedemdziesiątych na jakiś czas zajęli go nielegalnie hippisi i założyli w nim komunę, ale nie wytrzymali długo. Na szczęście należeli do tych łagodnych i nie narobili większych szkód. Od czasu do czasu ktoś przypominał sobie o domu i próbował coś w nim zdziałać, trochę go odmalować i odświeżyć, ale to również niewiele dawało. Ralph prawie nic z tego nie miał, co gorsza, pewnie musiał dorzucać co nieco na koszty utrzymania, ale wtedy już było go na to stać. Ale nie uprzedzajmy faktów. Kiedy miał osiemnaście lat, zanim jeszcze odziedziczył Kilnsgate, rodzina, spędziwszy kilka lat w Perth, przeprowadziła się z powrotem do Melbourne. Arthur i Felicity zadbali, by Ralph odebrał porządną edukację i po ukończeniu uniwersytetu został urzędnikiem w parlamencie stanu Victoria. Szybko zaczął się piąć po szczeblach kariery.

- Wrócił kiedykolwiek do Kilnsgate?

- Tylko raz - powiedziała Heather. - Ale to było później. Ten rozdział swojego życia uznawał za całkowicie zamknięty. Tyle że został mu Kilnsgate House. Z tego, co wiemy, nie utrzymywał kontaktów z nikim z Yorkshire poza prawnikami. W osiemdziesiątym roku ożenił się z niejaką Mette Koenigsfeldt, duńską imigrantką. Miał wtedy trzydzieści cztery lata, a ona trzydzieści. Kupili dom w Brighton, na przedmieściach Melbourne, nad morzem.

W osiemdziesiątym szóstym urodziła się im córka, Louise, ich jedyne dziecko. Rozstali się w dziewięćdziesiątym czwartym i Louise zamieszkała z matką w miasteczku nieopodal Brisbane. Nadążasz?

- Jako tako. - Rozlałem nam resztkę wina. W czasie krótkiej przerwy w opowieści Heather przypomniałem sobie, że jesteśmy w ruchliwej

restauracji. Wszędzie wokół nas rozmawiali ludzie, a w tle leciała jakaś muzyka. Kolejna porcja muzyki, której nikt nie słucha.

- Przez następne parę lat nic takiego się nie działo. Ralph poświęcił się całkowicie pracy w parlamencie. Nigdy ponownie się nie ożenił. Życie toczyło się dalej.

- A w miasteczku nieopodal Brisbane?

- Cóż... Tam było trochę ciekawiej. Mette wyszła za mężczyznę, który okazał się alkoholikiem, a kiedy wyszło na jaw, że przystawia się również do Louise, zostawiła go.

Kolejna smutna historia, jakich wiele, zwłaszcza na tak odludnych terenach. Nakazy sądowe, zakazy zbliżania się, wezwania do magistratu, aż w końcu facet pojawił się pewnego dnia u niej w domu, odstrzelił jej głowę z dubeltówki kalibru dwanaście, po czym sam się zastrzelił.

Poczułem ciarki.

- A Louise?

- Dzięki Bogu, była wtedy w szkole. Ale to ona ich znalazła.

- I co się stało?

- Zamieszkała z powrotem z ojcem w Brighton, choć wszystko wskazuje na to, że ma traumę na całe życie. Początkowo nie układało się między nimi najlepiej, ale w końcu znowu się pokochali. I to właściwie już koniec. Ralph Webster zmarł w zeszłym roku w Brighton, jako zaledwie sześćdziesięciopięciolatek. Rak płuc. Przez całe życie palił jak smok. Zostawił Kilnsgate House córce. Nie widziała powodu, żeby dłużej go utrzymywać. Nic dla niej nie znaczył, a pieniądze mogły jej się przydać. Wystawiła go na sprzedaż, a wtedy pojawiłeś się ty, pan Szczodroblivy, i zgodziłeś się na absurdalnie wygórowaną cenę.

- Zapewniałaś mnie, że to okazja!

- No cóż, wiemy, jak was kiwać, łatwowiernych Amerykanów. A podobno tacy jak wy wcale nie rodzą się na kamieniu.

Roześmiałem się.

- A co z Alfredem i Felicity?

- Alfred od dawna nie żyje. W połowie lat osiemdziesiątych zmarł na atak serca.

Felicity dogorywa w domu starców. Musi mieć jakieś dziewięćdziesiąt lat. Starowinka.

- Czy Louise zna historię Kilnsgate House i Grace?

- Ralph opowiedział jej o wszystkim dopiero na łożu śmierci. Biedna dziewczyna musiała to bardzo przeżyć. Zastanów się tylko. Najpierw znajduje własną matkę i ojczyzna w kałuży krwi, a kilka lat później dowiaduje się, że jej babka była trucicielką, która zabiła jej dziadka i została powieszona. Niezły przepis na przesrane życie.

- I co z nią? Ma przesrane życie?

- Gdzieś tak pod koniec szkoły poszła nagle w tango. A teraz? Nie wiem. - Heather zerknęła na zegarek. - Mój informator twierdzi, że jest aktywistką. Wiesz, wojna w Iraku i Afganistanie, nie zabijajcie kijami małych foczek, stop ociepleniu globalnemu i tak dalej.

Najwyraźniej czytuje „Guardiana”. Ale dosyć już tego, Chris, zapłać rachunek, bo nie zdążymy na Śmierć wie, jak się nazywam. Ja stawiam.

- No nie wiem. To nie jest dobry film.

- Daj spokój. - Wzięła mnie pod rękę. - Nie psuj wieczoru.

- Wiesz co? - odezwała się Heather, gdy razem z tłumem przeciskaliśmy się przez wyjście z ciasnego kina. - Nawet mi się podobało.

- Skoro tak twierdzisz.

- Malkontent. Co było nie tak z muzyką?

- Pewnie nic - odparłem. - Po prostu zdarzało mi się pisać lepsze. Ta była zbyt banalna, zbyt wtórna.

- Ale w tej scenie, kiedy całują się po raz pierwszy, muzyka była zupełnie zaskakująca. Owszem, szeroka i romantyczna, ale jednocześnie mroczna i znacząca. Te upiorne wiolonczele i klarnet.

- Fagot.

- Wszystko jedno. A potem się dowiadujemy, co się z nim stało, kim ona tak naprawdę jest. Często w ten sposób używasz muzyki?

- Niby w jaki?

- Żeby zapowiadać wydarzenia.

- Oczywiście. Przecież mniej więcej do tego sprowadza się funkcja dobrej muzyki filmowej. Jak wtedy, gdy słyszysz jakiś temat i kojarzysz go

z konkretną postacią albo czymś, co ma się za chwilę wydarzyć, a potem podajesz go w innym ujęciu, w jakiejś wariacji, stosując do innych nastrojów i zwrotów akcji.

- Jesteś cholernym geniuszem.

Roześmiałem się. Weszliśmy z powrotem na teren stacji.

- Kawa? - zaproponowałem.

- Nie powinnam, naprawdę. - Heather zamilkła na chwilę. - Ale co tam.

W jej głosie wyczułem zdenerwowanie.

- Coś nie tak?

Pokręciła głową.

- Nic, czym powinieneś się martwić. Chodźmy na kawę.

Popijaliśmy cappuccino i dyskutowaliśmy na temat filmu. Heather nie opuszczał autentyczny entuzjazm, a ja równie autentycznie zbywałem wszystko lekceważeniem, choć z jej powodu nieco je powściągnąłem. Nie wiedziała, że pisząc tę muzykę, odwaliłem tylko robotę po łebkach, prawie cały czas pozostając w objęciach alkoholu, tabletek i nienawiści do siebie po śmierci Laury. Zresztą nie musiała tego wiedzieć.

- Jeszcze raz dzięki za te wszystkie informacje - powiedziałem, gdy dopijaliśmy już kawę i zbieraliśmy się do wyjścia.

- Nie ma za co - odparła Heather. - To naprawdę ciekawa historia. Tragiczna, ale ciekawa. Niektórzy mają naprawdę ciężkie życie.

- Zdumiewa mnie tylko, jak dużo potrafią wytrzymać - stwierdziłem. - Co więcej, niektórzy z nich nawet nigdy nie narzekają. Znoszą to wszystko, przemoc, ból, biedę, upokorzenie, zdradę, choroby i zawsze jeszcze mają dla każdego miłe słowo oraz uśmiech.

- Wiem - rzekła. - Nie wydaje ci się to chore? Moja siostra jest właśnie taka. Nic tylko faceci z księżycą, mężowie jeszcze gorsi, niewdzięczne dzieci, ciągle brak pieniędzy, jedna praca do bani za drugą, a ostatnio z powodu cukrzycy amputowali jej stopę. I nigdy nie narzeka, nigdy nie przestaje się uśmiechać.

- Czy twój brat w Scunthorpe też jest taki?

- Dorchester. - Heather uśmiechnęła się. - Chyba żartujesz. Ale Kirsty naprawdę taka jest.

- A ty?

- Ja? - Skończyliśmy kawę i wychodziliśmy na deszcz. - Ja jestem stara zrzęda.

Roześmiałem się.

- Chciałem zapytać o jeszcze jedno. Wspominałaś, że Ralph wrócił kiedyś do Kilnsgate. Kiedy to było? I po co przyjechał?

- Przyjechał w osiemdziesiątym drugim - wyjaśniła Heather. - W Armley Gaol stawiali przybudówkę i musieli usunąć stare groby. Skazańców powieszonych i pochowanych na terenie więzienia.

- Przenieśli grób Grace Fox?

- Tak. Pochowali ją ponownie na wybrzeżu, niedaleko miejsca, w którym się wychowywała. Ralph był przy tym. Ale naprawdę muszę już lecieć.

- Zaczekaj. Podwieźć cię?

- Nie dzisiaj. Przyjechałam samochodem. Na razie! - zawołała i już jej nie było.

Rozłożywszy parasol, zniknęła w ciemnościach.

- Dobranoc - szepnąłem w kierunku oddalającego się cienia. - I jeszcze raz dziękuję.

W Kilnsgate brama do ogrodu była otwarta. Pamiętałem doskonale, że ją zamknąłem, jak zawsze zresztą, a zasuwka była na tyle mocna, że wiatr nie mógł jej naderwać. Co więc - lub kto - otworzyło bramę? Obejrzałem się za siebie, ale nikogo nie wypatrzyłem przy wapienniku.

Z zewnątrz wszystko wskazywało na to, że dom znajduje się dokładnie w takim samym stanie, w jakim go zostawiłem. Światła, które paliły się wcześniej, ciągle były widoczne, ale tylko one. Obszedłem szybko posesję i nigdzie nie zauważyłem rozbitych okien czy sforsowanych drzwi. W środku nie wyczułem ani niczyjej obecności, ani tego, że ktoś mógł tam zaglądać, kiedy mnie nie było.

Wzruszyłem ramionami, poszedłem na górę, zrzuciłem mokre ubrania i wytarłem się, po czym włożyłem szlafrok i zszedłem do salonu rozpalić w kominku. W osobliwy sposób byłem świadomy wszystkich tych pustych pokoiów na piętrze i wokół mnie. Rzeczywiście, Kilnsgate House był dla mnie o wiele za duży, ale poczucie przestrzeni różniło się w nim od tego w Kalifornii. Tam była jasna, otwarta i przewiewna. Tutaj - przyćmiona,

zagadkowa i klaustrofobiczna, pełna zjaw unoszących się w powietrzu gdzieś daleko poza moim zasięgiem. W każdym razie takie odnosiłem wrażenie. Czasem słyszałem je albo kątem oka dostrzegałem jakieś przebłyski nocą na półpiętrze, przeważnie jednak po prostu czułem ich obecność. Zacząłem sobie tłumaczyć, że to tylko kwestia izolacji, w jakiej przebywałem, albo głupiego filmu, który właśnie zobaczyłem, o seryjnym zabójcy grasującym gdzieś na odludziu w wiosce w północnej Kalifornii. Trochę jak Hitchcock, z moją muzyką bardzo w stylu Bernarda Herrmanna.

Musiałem przyznać, że w kinie z Heather świetnie się bawiłem. Ostatnio rzadko oglądałem w ten sposób filmy, co może się wydawać trochę dziwne u osoby pracującej w branży. W latach młodości uwielbiałem takie wyprawy - to zresztą dzięki nim robię dziś to, co robię - ale przez lata zdążyłem się odzwyczaić. W Los Angeles zawsze mogłem oglądać filmy w prywatnych salach, nigdy więc nie musiałem chodzić do publicznych kin.

Oczywiście niekiedy to robiłem - czasem po prostu musiałem znowu zobaczyć, jak to jest patrzeć na duży ekran i słuchać potężnych grzmotów mojej muzyki w obecności prawdziwej publiczności - ale domowe warunki zazwyczaj w zupełności mi wystarczały.

W latach młodości w Leeds na własne oczy obserwowałem, jak moje ulubione kina zamieniają się w hale do gry w bingo, sklepy z dywanami, świątynie sikhów albo meczety - Lyric, Lyceum, Clifton, Clock, Western, Crown i Palace, wszystkie po kolei. Wydawało się, że niemal co tydzień któreś z nich znika na dobre. Zaciemnione widownie, na których kradłem swoje pierwsze pocałunki, nieśmiało wsuwałem dłoń pod bluzki dziewczyn, gdzie dowodziłem kosmicznymi misjami i ramię w ramię z Flashem Gordonem walczyłem z potworami o owadzich oczach, w prażącym słońcu przemierzałem na koniu dalekie prerie z Hopalongiem Cassidym, walczyłem z Niemcami na ziemi, łądzie i morzu z Johnem Millsem lub Jackiem Hawkinsem albo z Japończykami z Johnem Waynem i Audiem Murphym, gdzie zapuszczałem się do posępnych zamczysk wznoszących się na szczytach wzgórz, omiatając ich ściany latarką, podczas gdy szalony Vincent Price walczył z własnymi upiorami albo Christopher Lee węszył za krwią kolejnej ofiary. Nadal byłem w stanie doświadczyć tej magii, choć docierała teraz do mnie innymi kanałami. Ale dziś wieczór bawiłem się wyśmienicie.

Gdy ogień trzaskał już wesoło, nalałem sobie małą whisky i puściłem What's Going On Marvina Gaye. Nie byłem w nastroju na muzykę klasyczną, za to Gaye pasował mi idealnie. Ustawiłem nawet głośniej. I tak nie mogli mnie usłyszeć żadni sąsiedzi. Zamiast pójść popracować na górę do gabinetu, który tego wieczoru bardziej niż kiedykolwiek wydawał się nawiedzany przez ducha Grace i naznaczony jej nieobecnością, zniosłem na dół macbooka i oparłszy stopy na taborecie, usiadłem przy kominku.

Heather miała rację. Wujek G., jeżeli tylko wiedzieć, gdzie szukać, może nam powiedzieć o wiele więcej, niż większość z nas mogłaby przypuszczać, i gdy wpisałem do wyszukiwarki parę fragmentów z notatek, które robiłem w czasie naszej rozmowy, natychmiast pojawiło się kilka odnośników, za którymi podążyłem, próbując zgromadzić jak najwięcej szczegółów na wiadomy temat. Nie miałem pojęcia, co to wszystko razem znaczyło, ale z pewnością po kilku godzinach, gdy Marvin Gaye dawno już zamilkł, a oczy same zaczęły mi się zamykać, wiedziałem o wiele więcej niż wcześniej. Tropo te prowadziły w pewnym kierunku, nie wiedziałem tylko w jakim. Nie wiedziałem nawet, czy chcę za nimi podążać.

W kącie mojego gabinetu stał niewielki fotel i mógłbym przysiąc, że gdy zaniósłem tam z powrotem macbooka, zobaczyłem na nim siedzącą kobietą postać. Ale kiedy spojrzałem tam znowu, nikogo nie było.

Miałem zamiar iść już do łóżka, ale wizja ta, czy cokolwiek to było, wstrząsnęła mną i wiedziałem, że sen nie przyjdzie szybko. Wróciłem więc do gasnącego kominka, dorzuciłem jeszcze polano i nalałem sobie whisky. Tym razem puściłem swoją playlistę z Ellą Fitzgerald.

Kiedy tak siedziałem, wpatrując się w płomienie, słuchając When Your Lover Has Gone i czując, jak szkocka pali mi usta i język, moja wyobraźnia zaczęła wypełniać zarys postaci, którą zobaczyłem na górze. Zamieniła się w obraz Grace w fotelu, ubranej na biało i z robótką w dłoniach. Igła powoli wbijała się w jedwab i wychodziła po drugiej stronie, a ona po prostu czekała. Ciemne falujące włosy otaczały jej bladą, owalną twarz i nagle spojrzała na mnie wyczekująco tymi swoimi czarnymi oczami, a potem jej wzrok wrócił znowu do robótki. Jej oczy, wyraz twarzy, zachowanie nie zdradzały niczego. Na tym polegał problem.

Nigdy niczego nie zdradzała. Czegokolwiek. Niczego. Boże, musiała ich wszystkich doprowadzać do białej gorączki, kiedy tak siedziała w czasie procesu dzień za dniem, zagadkowa niczym Sfinks, i wsłuchiwała się w te

wszystkie kłamstwa. Założę się, że jej adwokat, Montague Sewell, czasem miał ochotę po prostu nią potrząsnąć.

Zastanawiałem się, czy mój pościg za Grace Fox zaprowadzi mnie w końcu w ślepą uliczkę i co zrobię, jeśli tak się stanie. Czy zdam sobie sprawę, że w niej jestem? Poddam się czy raczej nadal będę walił głową w ceglany mur?

W każdym razie jeszcze nie skończyłem, pomyślałem, przegrzebując węgielki. Ciągle jeszcze miałem przed sobą jedną czy dwie nieznane ścieżki, którymi mogłem podążać, zanim w dali zamajaczy ów ceglany mur. Ralph Webster na łożu śmierci opowiedział swojej córce Louise o Grace. Pewnie niewiele zrozumiała z tego, co mówił, ale jeżeli uda mi się ją znaleźć, być może ja coś zrozumieję. Nie przerażała mnie nawet perspektywa wyjazdu do Australii.

Miałem pieniądze i miałem czas.

14

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), sierpień 1940 roku.

Morze.

Niedziela, 4 sierpnia 1940 roku

Dziś wieczór zagraliśmy nasz pierwszy koncert! Przedsięwzięcie było bardzo amatorskie, ale przynajmniej mieliśmy coś do roboty i sędzę, że wszyscy bawili się wyśmienicie. Trzech oficerów przebrało się za kobiety, wykonało zabawny taniec i zaśpiewało Trzy małe pokojówki z Mikado. O mało nie popłakałam się ze śmiechu. Kiedy nadeszła moja kolej, zaśpiewałam kilka prostych ludowych piosenek: Przy Ogrodach Sally, Parobka i Drzewa pną się wysoko w górę. Zakończyłam Lipami w lesie. Wszyscy dołączyli do śpiewu i na całej sali nie było chyba nikogo, kto nie uroniłby przynajmniej jednej łezki.

Wieczorami w kabinach jest teraz naprawdę gorąco, mimo włączonych elektrycznych wentylatorów, i wsuwam w łóżku pod kolana dodatkową poduszkę, żeby się choć trochę ochłodzić. Biedni żołnierze na dole pewnie umierają z duchoty. Śpią tam na pryczach albo hamakach w zatłoczonych i pozbawionych wentylacji kwaterach. Jedzą przy zwykłych drewnianych stołach, podczas gdy możemy się raczyć trzydaniowymi posiłkami w jadalni, z obrusami, sztućcami i zastawą. To niesprawiedliwe, ale właściwie wojsko i wojna to jedna wielka niesprawiedliwość. Matka przełożona zapewnia jednak, że docenimy dyscyplinę, jak tylko zobaczymy na własne oczy jakąś akcję.

Wtorek, 6 sierpnia 1940 roku

Począwszy od dzisiaj, możemy nosić tropikalne mundury. Upał stał się o wiele znośniejszy, odkąd przebrałam się w białą drelichową sukienkę ze

ślicznymi szkarłatnymi i białymi epoletami. Perłowe guziczki z przodu są jednak trochę niewygodne i trzeba się sporo natrudzić, żeby je pozapinać. Brenda stara się mi pomóc, ale ma dwie lewe ręce, a ja w tym upale szybko tracę cierpliwość. W ciągu dnia noszę głównie spodenki do gry w tenisa, teraz również dozwolone, ale mam już dosyć gwizdzących na mnie mężczyzn.

Dziś rano siedziałam przy pianinie w sali bankietowej, która na szczęście była pusta, i grałam nokturny Chopina. Kiedy skończyłam, stwierdziłam podirytowana, że ktoś klaszcze, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że o framugę drzwi opiera się porucznik Fawley. Znałam go, bo brał udział w koncercie, rozmawialiśmy też przy kilku okazjach. Podeszedł do mnie i zapytał, czy myli się, sądząc, że to utwór Chopina. Powiedziałam mu, że nie i że jestem zdumiona tym, iż go rozpoznał. Odparł, że niektóre z jego innych zalet zdziwiłyby mnie jeszcze bardziej. Poczułam się nieswojo, bo porucznik Fawley uważany jest przez wszystkich za bardzo przystojnego mężczyznę - ma silnie zarysowaną szczękę, prosty nos i przeszywające spojrzenie bohatera romantycznej powieści. Wiele sióstr, w tym Brenda, niejednokrotnie niemal mdlało na pokładzie na jego widok. Kiedy wstałam i podeszłam do drzwi, ruszył ze mną i zaczął mi opowiadać o koncertach fortepianowych Chopina. Wyjaśnił, że przed wojną był skrzypkiem w orkiestrze Hallé. Pomyślałam, że to ogromny zaszczyt i wspaniałe zajęcie, czego nie omieszkałam mu powiedzieć. Rozstaliśmy się na pokładzie, ale przedtem przedstawił mi się jako Stephen, a ja powiedziałam mu, że mam na imię Grace.

Tego samego dnia po kolacji zorganizowano dla nas wieczorek taneczny, na którym zagrała nam naprawdę dobra kapela. Oficerowie, z którymi tańczyłam, zachowywali się jak prawdziwi dżentelmeni, Stephen Fawley również. Rzecz jasna, wszystko odbywało się pod czujnym okiem matki przełożonej, a sądzę, że mężczyźni boją się jej jeszcze bardziej niż ja!

Zauważyłam, że Kathleen i Brenda tańczą z wieloma młodymi oficerami, ale Doris, pomimo licznych propozycji, została przy stole, radośnie wierna swemu młodemu pilotowi myśliwców.

Nigdy nawet nie myślałam, że morze potrafi mienić się tyloma kolorami i roztaczać wokół siebie tak różne rodzaje aury. Musimy być dosyć blisko lądu, ponieważ podążają za nami stada ptaków, skrzeczając i rzucając się na odpadki z kuchni. Jedzenie jest wyśmienite. Po okresie racjonowania

dobrze jest ubrać się w najlepszą cywilną sukienkę, usiąść przy wystawnej kolacji i rozkoszować się tak egzotycznymi daniami, jak filets de Pois son au beurre, cotelettes d'agneau reformé, pommes roties czy peches Melba. Na śniadanie podano nam prawdziwy bekon oraz jajka, grzyby i pomidory, a potem tosty z marmoladą. W każdej chwili możemy też sobie nalać kawy albo zrobić filiżankę herbaty. Czasem już nawet nie myślę o tym, dokąd płyniemy, i mam nadzieję, że nigdy tam nie dotrzemy. Życie na pokładzie opływa w takie luksusy, że mogłoby to trwać wiecznie. Oczywiście tęsknię za Ernestem, ale on bez wątpienia i tak jest pochłonięty swoimi przyjaciółmi oraz obowiązkami czasu wojny.

Czwartek, 8 sierpnia 1940 roku

Dziś rano po raz pierwszy zobaczyliśmy Czarny Kontynent, choć muszę przyznać, że nie wyglądał tak, jak się tego spodziewałam. Zamiast pustyni z wielbłędami i wydmami przywitał nas widok falujących zielonych wzgórz, na których gdzieniegdzie niczym diamenty w oślepiającym słońcu skrzyły się domy. Przybiliśmy do portu we Freetown, który jednak nie jest zbyt duży, i musieliśmy czekać na kotwicy z niszczycielami oraz łodziami rybackimi, a tankowanie i przeładunek odbywały się za pomocą barek. Niestety nie mogliśmy zejść na brzeg. A tak chętnie pospacerowałabym po tutejszych zatłoczonych ryneczkach i bazarach!

Nigdy jeszcze nie widziałam takich kolorów. Oczywiście to tylko zielenie, brązy, błękit nieba, biel domów, plamki czerwonych kwiatów i żółtego listowia, ale każdy z nich wydaje się jakoś żywszy niż te, które można podziwiać w Anglii. Wrażenie jest osobliwe, nieco oszałamiające, tak jakby oglądało się kolorowy film, a nie realny świat. Miasto ma też zupełnie wyjątkowy zapach, na który składa się głównie woń morza wymieszana z dymem z ognisk, ale wydaje się nad wyraz subtelny i czuć w nim składniki, których nie potrafię nazwać, być może egzotyczne przyprawy i kwiaty. Podpływają do nas mali chłopcy i młodzi mężczyźni w łodziach zrobionych z wydrążonych w środku kłód, po czym nurkują w przejrzystych zielonych wodach i pływają niczym delfiny. Rzucamy im drobniaki, a oni w odpowiedzi uśmiechają się do nas.

Poniedziałek, 12 sierpnia 1940 roku

Odkąd wypłynęliśmy z Freetown, zrobiło się niemiłosiernie gorąco i same próby ochłodzenia się są już wystarczająco wyczerpującym zajęciem. Ciągłe gimnastykujemy się rano, a basen to prawdziwy dar niebios, ale popołudniami nie gramy już w tenisa. Próbujemy tylko znaleźć sobie trochę miejsca w cieniu na leżaki i sączymy Toma Collinsa z lodem.

Ciągle nie znudził mi się Trollope, właśnie zaczęłam Fineasza Finna. Czasem niemal mogłabym przysiąc, że dzięki samej lekturze Trollope'a jest mi chłodniej! Nikt z nas nie sypia dobrze, a przez cały dzień jesteśmy apatyczni, niczym więdnące kwiaty. Stephen mówił, że im dalej zabrnjemy na południe, tym będzie chłodniej. Wyjaśnił mi, że dotarliśmy do południowej Afryki w środku tutejszej zimy, chociaż dodał, że nie będzie tak chłodno, jak u nas o tej porze roku. Mam nadzieję, że nie! Wieczorami włączamy na pełen regulator wentylatory i jemy kolację. Czasem nawet przygrywa nam zespół, choć niewielu z nas potrafi z siebie wykrzesać teraz tyle energii, by tańczyć. Większość spaceruje tylko po pokładzie, gdzie od czasu do czasu można zakosztować rozkosznej bryzy. Widziałam kilka skradzionych pocałunków.

Czwartek, 15 sierpnia 1940 roku

Wszyscy są niesamowicie podekscytowani - jutro dobijamy do Kapsztadu! Konwój musi się rozdzielić, gdyż port nie jest na tyle duży, żeby pomieścić nas wszystkich. Część naszej flotyli popłynie dalej do Durbanu i spotkamy się znowu dopiero za dwa dni nieopodal wybrzeża. Ponieważ obiecano nam, że w Kapsztadzie zejdziemy na ląd, wszystkie siostry ustawiły się w kolejce do pralni, żeby zdążyć na czas wyprać i wyprasować najlepsze stroje.

Listopad 2010

Późnym popołudniem pod koniec listopada było już ciemno. O tej porze roku ludzie zaczynają się zastanawiać, czy kiedykolwiek zobaczą jeszcze słońce, i rozważać, czy nie przenieść się gdzieś na południe w ślad za jaskółkami, które odleciały już dawno temu.

Zrobiłem sobie herbatę i poszedłem na górę do sypialni po sweter. Centralne ogrzewanie bywało kapryśne, sprawiało, że w niektórych miejscach robiło się gorąco, a w innych lodowato, a już z pewnością nie

mogło zapewnić tak dużemu, pełnemu przeciągów domowi stałej, komfortowej temperatury. Ponieważ nie mogłem też przez cały czas palić w kominku, zacząłem się ubierać na cebulkę. Szukając czegoś w szufladzie, zerknąłem przez frontowe okno i nagle wydało mi się, że po drugiej stronie doliny widzę przez mżawkę czającą się przy wapienniku postać. Nie byłem pewien, ale odniosłem wrażenie, że to ten sam zakapturzony obcy, którego już wcześniej przyłapałem na obserwowaniu domu.

Nie traciłem ani chwili. Raczej wściekły niż wystraszony rzuciłem się pędem po schodach. Tym razem mi nie ucieknie. Gwałtownie otworzyłem drzwi, zdeterminowany ruszyć w pościg i nie ustawać, dopóki go nie złapię, ale dobiegłszy do bramy do ogrodu, stanąłem nagle jak wryty. Obcy minął właśnie kamienny mostek nad Kilnsgarthdale Beck i szedł prosto w moją stronę.

- Czego chcesz? - zapytałem, gdy zbliżył się na tyle, żeby mnie usłyszeć. - Dlaczego obserwujesz dom?

- Przepraszam - powiedział obcy. - Trudno mi się było zdecydować.

A potem zsunął z głowy kaptur i zobaczywszy po raz pierwszy wyraźnie jego twarz i włosy, stwierdziłem ze zdumieniem, że to wcale nie obcy - ale obca.

- Kim jesteś? - zapytałem, chociaż powoli chyba zaczynałem się już domyślać.

- Jestem Louise - przedstawiła się. - Louise King. To ode mnie kupił pan ten dom.

Chciałam go tylko zobaczyć. Nigdy jeszcze nie byłam w Anglii.

Odsunąłem się i gestem wskazałem jej ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych.

- Może więc wejdiesz do środka?

Zawahała się na moment i przyjrzała mi się z poważną, powściągliwą miną, po czym ruszyła kamienną dróżką przed siebie.

Kiedy już rozpałem w kominku, zrobiłem dzbanek herbaty i siedzieliśmy wygodnie w salonie, wreszcie mogłem przyjrzeć się Louise King uważniej. Była drobnej postury i pewnie dlatego za pierwszym razem, kiedy chroniąc się przed deszczem, narzuciła na głowę kaptur kurтки, wziąłem ją za chłopca, ale teraz nie mogłem mieć żadnych wątpliwości - miałem przed sobą młodą kobietę, mniej więcej dwudziestopięcioletnią.

Ubrana była w dzinsy i jasnoniebieski sweter; wysokie nordyckie kości policzkowe, jak się domyślałem, odziedziczyła po matce Duncce, choć błyszczące, czarne włosy natychmiast przywodziły na myśl jej babkę. Odziedziczyła też po Grace oczy, ciemne i nieprzeniknione, niepokojące, zwłaszcza że kontrastowała z nimi bardzo jasna cera. Nie umalowała się i nawet nie próbowała zamaskować blizn i skaz po młodzieńczym trądziku czy ospie. Raczej nie można jej było nazwać pięknnością, ale z pewnością była atrakcyjna, a kolce i kółka, które miała w nosie, wargach, brwi i w uszach, sprawiały, że wydawała się też trochę groźna.

Louise trzymała kubek z herbatą - z mlekiem i trzema łyżeczkami cukru - w obu dłoniach blisko serca, tak jakby próbowała się nim rozgrzać. Jej palce były długie i cienkie, paznokcie mocno przycięte, a skóra wokół nich poobgryzana i zaczerwieniona. Nie nosiła pierścionków ani biżuterii z wyjątkiem tej, którą miała na twarzy. Złożyła pod sobą nogi w ten tajemniczy sposób, w który potrafią siedzieć chyba tylko kobiety, wydając się przy tym odprężone i zupełnie zadowolone z wygodnej pozycji. Puściłem jedno z moich ostatnich odkryć - trzeci zbiór utworów fortepianowych Schuberta w wykonaniu Imogen Cooper, drugą płytę, która dochodziła do takich poziomów wzniosłości, że - moim zdaniem - wyżej już się nie dało. Louise zdążyła mnie już zapytać o impromptu, które rozpoznała, zastrzegając, że wprawdzie podobają się jej, ale niewiele wie o muzyce klasycznej. Przyznała się jednak, że jako dziewczynka pobierała lekcje gry na pianinie i była lepsza, niż spodziewała się tego sama lub inni. Choć teraz wszystko już zapomniała. zaproponowałem do herbaty biszkopty, ale powiedziała, że nie jest głodna.

- Musiałś pokonać kawał drogi, żeby zobaczyć stary dom - powiedziałem.

- Niech mi pan nawet nie przypomina.

Miała dziwny zwyczaj patrzenia na mnie z ukosa, tak jakby za każdym razem zastanawiała się, czy to, co mówię, to sarkazm albo czy jakoś jej nie nabieram.

- Jestem Chris - powiedziałem. - Gdzie się zatrzymałaś?

- Wynajęłam mieszkanie w domku letniskowym w Staithes. O tej porze roku są bardzo tanie.

- Przypuszczam, że tak. Ale pewnie dosyć w nich rześko.

- Rzeczywiście, ale bardzo lubię, jak morze zaczyna szaleć i fale odbijają się o mury portu.

- Dlaczego Staithes?

Opuściła wzrok i wbiła go w herbatę.

- Przypadkiem. Wpadło mi w ręce jakieś ogłoszenie.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że kłamie. Nie dopytywałem jednak, bo właściwie nie miało to znaczenia. Wprawdzie Samuel Porter wiele lat temu dzielił w Staithes z innym artystami studio i trzymał tam obrazy oraz rysunki Grace, ale skąd Louise miałyby o tym wiedzieć? Całkiem możliwe, że Staithes z niczym jej się nie kojarzyło. Zresztą może wcale nie kłamała? Może to ja próbowałem szukać dziury w całym?

- Jak długo masz zamiar się tu zatrzymać?

- Niedługo. Wkrótce jadę do Cambridge.

- Tam teraz mieszkasz?

- Będę. Czemu pytasz? Byłeś tam kiedyś?

Uśmiechnąłem się.

- W Cambridge? Owszem. Studiowałem tam. I mieszkałem przez pięć lat - od sześćdziesiątego ósmego do siedemdziesiątego trzeciego. Mam świetne wspomnienia. To był wspaniały okres dla miasta.

- Dlaczego?

- Cambridge było wtedy niesamowite. Choćby pod względem muzyki. Klasyczna, jazz, rock, czego tylko człowiek zapragnął. Puby, życie towarzyskie, piękne dziewczęta, błyskotliwi profesorowie, pływanie łódką po Cam.

- Studiowałeś muzykę? Ktoś mi mówił, że jesteś kompozytorem. To prawda?

Wyjaśniłem jej, kim jestem i co komponuję. Naturalnie widziała kilka filmów, do których napisałem muzykę, ale nie potrafiła sobie przypomnieć żadnej melodii.

Powiedziałem, że to oznacza, iż dobrze wykonałem swoją robotę, ale filmy nawet w połowie nie oddziaływałyby tak na widza, gdyby nie muzyka.

- Ptaki oddziaływały - zauważyła. - To znaczy, bez muzyki.

Uniosłem brwi. Rzeczywiście, w Ptakach nie ma muzyki, ale większość osób nawet tego nie zauważa. Czasem używam tego pytania jako testu umożliwiającego oddzielenie tych, co blefują, od tych, którzy wiedzą, o czym rozmawiają.

- Owszem - zgodziłem się. - Ale w tym sęk, nieprawdaż? Brak muzyki w pewnym sensie jest muzyką. Albo raczej są nią same ptaki, dźwięki, które wydają.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Których kompozytorów filmowych lubisz najbardziej? - zapytała.

- Klasyków. Ericha Korngolda, Maxa Steinera, Bernarda Herrmanna, Franza Waxmana. Może jeszcze kilku bardziej awangardowych, którzy współpracowali z wielkimi zagranicznymi reżyserami. Toru Takemitsu. Nino Rota.

- La Dolce Vita - weszła mi w słowo Louise. - Uwielbiam ten film. Muzykę też.

Ponownie uniosłem brwi.

- Sporo wiesz na ten temat.

Odwróciła się, tak jakby nagle zawstydził ją własny entuzjazm, i spojrzała na mnie znowu z ukosa.

- Kiedyś prawie codziennie oglądałam filmy - wyznała. - Klasyki. Hollywoodzkie produkcje. Artystyczne. Zagraniczne. Mnóstwo. Niczego nie dyskryminowałam. Kiedyś były całym moim życiem.

- Ucieczką?

- Miałam od czego uciekać. Ale opowiedz mi więcej o sobie, o swojej pracy. Musi być fascynująca.

Kiedy tak sobie gawędziliśmy, zacząłem się powoli zastanawiać, czy Louise zdaje sobie sprawę, ile o niej wiem. Przypuszczałem, że może jeden z prawników, z którymi rozmawiała Heather, mógł jej o mnie wspomnieć.

Louise wskazała na fortepian.

- To przy nim pracujesz? - zapytała. Miała wprawdzie australijski akcent, ale nie tak silny, jak zdarzało mi się słyszeć u jej rodaków, a już z pewnością nie podłapała slangu znanego z tamtejszej telewizji. Louise wysławiała się całkiem przyzwoicie i zdradzała staranne wykształcenie, a w jej tonie dało się wyczuć angielską intonację. Jak przypuszczałem, nabyła

jej w latach dzieciństwa spędzonych z ojcem, kluczowych pod tym względem, a może również w szkole.

- Czasem - potwierdziłem. - Piszę sonatę fortepianową.

Nie wiem, dlaczego jej o tym powiedziałem.

- Taką jak ta?

Chodziło jej o sonatę Bdur Schuberta, która właśnie się zaczęła.

- Nawet nie pretenduję do takiego poziomu.

- Piękny fortepian.

- Należał do twojej babki - rzekłem, wstrzymując oddech. Nie miałem pojęcia, jak na to zareaguje, czy wybuchnie gniewem, czy może się zasmuci, nie wiedziałem nawet, ile wie i czy w ogóle ją to obchodzi. Przez chwilę milczała i w zamyśleniu popijała swoją przesłodzoną herbatę. Przemknęło mi przez myśl, że jest bardzo poważną młodą kobietą.

Zauważyłem bruzdy na jej czole - musiała je często marszczyć. Ani razu nie widziałem też, żeby się uśmiechała. - Nazywasz się Louise Webster, prawda?

Spojrzała na mnie wyzywająco.

- Nazywam się Louise King. Zmieniłam nazwisko. To legalne.

- To od nazwiska twojej matki, tak? W waszej rodzinie jakoś często je zmieniano.

- Rzeczywiście - przyznała. - Ktoś mi mówił, że dopytujesz wszędzie o moją babkę.

Dlaczego się nią interesujesz?

Przypuszczałem, że to ponownie sprawka prawników.

- Nie wiem. Może dlatego, że mieszkam w jej dawnym domu.

- Jest nawiedzony?

- Dlaczego wszyscy mnie o to pytają?

- Bo to oczywiste pytanie. Chociaż nie zabito jej tutaj, nie widzę więc powodu, dla którego jej duch miałby się pętać po domu, zgadza się?

- Pewnie tak - odparłem. - I nie sądzę, żeby tu był. Po prostu słyszę różne hałasy.

Odgłosy starego domu. Widzę różne cienie.

- A widziałeś ją?

Pomyślałem o postaci, którą, jak mi się wydawało, zobaczyłem w lustrze w szafie oraz w fotelu w pokoju do szycia tamtej nocy.

- Nie - odparłem. - Nie wierzę w duchy.

- Ja też nie. Poza tymi w mojej głowie.

- Nawiedzają cię?

Skinęła głową, tak jakby była to odpowiedź na najzwyczajniejsze pytanie na świecie.

- A co z moim dziadkiem? - zapytała. - W końcu to on tutaj umarł.

- Jego też nie widziałem. Dlaczego sprzedałaś ten dom?

- Potrzebowałam pieniędzy. Chociaż właściwie to nie do końca prawda. Tato zostawił mi mnóstwo pieniędzy. Ale nie chciałam mieć starego domu. Żeby mi zawadzał. Sprzedaż wydawała się najrozsądniejszym rozwiązaniem. Mam nadzieję, że jesteś tutaj szczęśliwy.

- Daję radę.

Odłożyła kubek na stolik obok.

- Jeszcze?

- Nie, dzięki. Pójdę już.

- Możesz zostać i zjeść ze mną kolację, jeżeli masz ochotę. Nic specjalnego. Miałem właśnie zrobić łososa.

- Sam go złapałeś?

- Nie, niezupełnie. Specjalna oferta w supermarkecie. Tu nie występują łososie.

- Nie za dużo wiem o naturze, poza tym, że powinniśmy ją bardziej szanować.

- Ja też nie. - Ale szybko się uczę, o mały włos nie dodałem. - Tak czy inaczej, co ty na to? Jeszcze herbaty?

- W porządku. Dzięki. To miło z twojej strony. Ale nie spiesz się. Nie padnę ci tutaj z głodu.

- Jak się tu dostałaś ze Staithes?

- Samochodem. Zaparkowałam na rynku w Richmond. I przyszłam pieszo.

- Kawał drogi. Może jak już skończysz herbatę, podrzucę cię?

- Super. Mogę skorzystać z toalety?

Pokazałem jej drogę do łazienki na górze. Gdy jej nie było, wyciągnąłem z lodówki łososa i zacząłem go szykować. Musiała usłyszeć, że krzątam się w kuchni, bo wróciwszy na dół, dołączyła do mnie i usiadła przy stole, spoglądając przez okno w stronę murku i lasu rosnącego za kotliną.

- Niezła łazienka - pochwaliła.

Łazienka była urządzona po staroświecku - wanna z łapami, połączana armatura, wysoki sufit oraz niebieskobiałe kafelki w stylu portugalskim.

- Faktycznie - potwierdziłem. - Przypuszczam, że nikt jej nie przebudowywał od lat, prawdopodobnie od czasu, kiedy mieszkała tu twoja babka.

- Odludzie tutaj - kontynuowała. - Jak sobie z tym radzisz? Mnie by chyba odbiło.

- Czasem mi odbija - przyznałem, owijając posmarowane musztardą płaty łososa w plasterki prosciutto. Spojrzałem na nią. - Być może dlatego tak się interesuję historią twojej babki. Dzięki temu radzę sobie z samotnością.

Kiedy to mówiłem, zdałem sobie sprawę, że w osobliwy sposób Grace była tutaj moją towarzyszką, ale nie powiedziałem tego na głos, bo wiedziałem, jak dziwnie by to zabrzmiało.

Louise patrzyła, jak pracuję, tak jakby zwykle czynności kuchenne naprawdę ją fascynowały. Zastanawiałem się, jakie prowadziła życie. Przypomniałem sobie, co opowiedziała mi o niej Heather, i nagle uświadomiłem sobie, że ta drobna, siedząca przede mną dziewczyna znalazła kiedyś we własnym domu ciała swojej matki i ojczyma, zmarłych od ran postrzałowych. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jaki uraz pozostawiło to w jej psychice. Poszła w tango, jak określiła to Heather, ale mogło to oznaczać cokolwiek - narkotyki, przestępstwa, alkohol, złe towarzystwo, może wszystko naraz.

Nałożyłem ryżu i zacząłem siekać warzywa. Louise ciągle mnie obserwowała, wyraźnie zafascynowana. Kiedy skończyłem, odkorkowałem butelkę czerwonego wina i zaproponowałem jej.

- Nie piję - powiedziała, zapadając się nagle w siebie, tak jakby każda komórka jej ciała chciała sięgnąć i przyjąć propozycję. Widziałem już nieraz objawy alkoholizmu, ale nigdy u kogoś w tak młodym wieku.

- Ja właściwie też nie mam ochoty - rzekłem, odstawiając butelkę tak, by Louise nie musiała na nią patrzeć.

- Nie przeszkadza mi - stwierdziła. - To znaczy, nie jestem jakaś anty albo coś w tym rodzaju.

- W porządku - powiedziałem. - Nie ma przymusu. Mnie też nie zaszkodzi, jeżeli dam sobie chwilowo spokój. W każdym razie przynajmniej zaczekam do kolacji. Mówiłaś, że przyjechałaś rzucić okiem na stary dom. Co powiesz na wycieczkę z przewodnikiem? Dopóki ryba się pichci, i tak nie mamy tu nic do roboty.

- Jasne - zgodziła się, wstając.

Louise zatrzymała się w przedsiionku i stanęła przed rodzinnym portretem, na który wcześniej tylko zerknęła przelotnie.

- To moja rodzina, tak? - zapytała.

- Owszem. Twoja babka i dziadek oraz twój ojciec.

Skinęła głową. Ruszyliśmy w obchód. Kuchnię, salon i jadalnię już widziała, oprócz spiżarki został nam więc już tylko pokój telewizyjny. Z uznaniem pochwaliła duży ekran.

- Puszczasz je sobie z powodu muzyki czy po prostu lubisz filmy? - zapytała, przejrzawszy kilka tytułów DVD.

- Zabawne pytanie - powiedziałem, choć po chwili zastanowienia musiałem przyznać, że właściwie było całkiem trafne. - Oglądam filmy jak wszyscy inni, tyle że jestem bardziej wyczulony na muzykę.

- Czy poszedłeś kiedyś zobaczyć film wyłącznie ze względu na muzykę?

- Gwiezdne wojny - odparłem. - Nie jestem właściwie fanem sciencefiction, ale wszyscy o nim mówili.

Nie miałem zamiaru pokazywać jej pustej piwniczki, poszliśmy więc na górę. Kiedy weszliśmy do gościnniej sypialni, tej po drugiej stronie galerii niż moja, stanęła i mruknęła właściwie do siebie samej:

- Więc to tu się stało.

Ponieważ nie wiedziałem, czy ma rację, czy nie, milczałem. Jeżeli jednak tak, oznaczało to, że nie tylko pracuję w pokoju do szycia Grace, ale i śpiam w jej dawnej sypialni, i że pokój, w którym wydawało mi się, iż w

lustrze widzę odbicie kobiecej postaci - Grace - był sypialnią Ernesta, tą samą, w której umarł.

Ruszyliśmy dalej. Louise najbardziej zdumiał pokój do szycia, w którym na chwilę usiadła w niewielkim fotelu. Potem podeszła do sekretarzyka. Wsunęła dłoń gdzieś poniżej i zaczęła obmacywać mebel. Po kilku sekundach u spodu z lewej strony wyskoczyła małeńka ukryta szuflada. Była pusta.

- Skąd wiedziałaś, że tam jest? - zapytałem. Przeszukiwałem sekretarzyka całą wieczność i nic nie znalazłem.

- Babcia Felicity powiedziała o niej tacie.

Wyjęła broszurowe wydanie poezji Shelleya i otworzyła je na pierwszej stronie, na której ktoś starannie wypisał nazwisko Grace: Grace Elizabeth Hartnell, 1928. Następnie przyjrzała się wapiennikowi na obrazie olejnym, temu samemu, obok którego stała, obserwując dom. Podpis „S. Porter” był ledwie widoczny i trzeba było wiedzieć, gdzie szukać, żeby go dojrzeć. Znalazła go, przesunęła po nim palcami, po czym cofnęła się o krok i wbiła zamyślony wzrok w obraz.

- Jej kochanek - szepnęła.

- Ciągłe żyje - powiedziałem. - Widziałem się z nim.

Uniosła brwi.

- Znam jego obrazy. Sama maluję. Nic szczególnego, po amatorsku.

- Lepiej chodźmy na dół i przypilnujmy jedzenia - rzekłem. - Tu na górze już nic nie ma, a strych jest pusty.

Louise ruszyła za mną, spojrzawszy jeszcze raz za siebie na obraz. Podeszliśmy korytarzem do schodów i zeszliśmy na dół.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy wróciliśmy do kuchni.

Po chwili kolacja była gotowa. Pomyślałem, że w kuchni poczuje się mniej oficjalnie niż w ogromnej jadalni, rozłożyłem więc na drewnianym stoliku talerze. Nastawiłem kawę, nałożyłem łososa i przyciemniłem światło.

- Jaką lubisz muzykę? - zapytałem.

- Nie wiem. Właściwie każdą. Nie słucham za dużo. Podobało mi się to, co puszczałeś wcześniej. Lubię też skrzypce. Wszystko, gdzie słychać skrzypce. I wiolonczele. Mają tak melancholijne brzmienie.

Nalałem sobie lampkę wina, podłączyłem iPoda do stacji dokującej w kuchni, puściłem koncert wiolonczelowy Elgara w wykonaniu Sol Gabetty - w całej historii muzyki nie ma nic bardziej melancholijnego - i zasiedliśmy do kolacji.

- Naprawdę pyszne - pochwaliła mnie Louise, odłożywszy widelec i nóż na pusty talerz.

- Dziękuję. Przykro mi, ale nie mam puddingu.

- Nie szkodzi. I tak się najadłam. Z zasady nie jem za dużo. Możemy znowu usiąść w tamtym pokoju z kominkiem?

- Oczywiście.

Włożyłem naczynia do zmywarki, nalałem nam po filiżance kawy i przeszliśmy do salonu. Na zewnątrz panowały iście egipskie ciemności. Zanim usiedliśmy, dorzuciłem do kominka kilka polan i zaciągnąłem zasłony.

Koncert Elgara się skończył, a ponieważ Louise sprawiała wrażenie, jakby było jej wszystko jedno, czy w tle będzie się sęczyła jakaś muzyka, czy nie, postanowiłem niczego nie puszczać. Usiadła na fotelu ze skrzyżowanymi nogami. Ciągle był wieczór i Kilnsgate House szczelnie spowiła wszechogarniająca, niemal przenikliwa cisza. Dzwoniła w uszach niczym tłumiące hałas słuchawki. Docierało do nas jedynie syczenie popiołu i trzaskających w kominku polan oraz szuranie opadłych liści o kamienne patio za domem. Po długiej chwili, w której Louise wpatrywała się w płomienie, odbijające się z kolei w jej ciemnych oczach, spojrzała na mnie i powiedziała:

- To dla mnie coś zupełnie nowego. Spotkanie się z innymi, kolacja, to wszystko, co robią normalni ludzie. I nie jest to łatwe.

- Przypuszczam, że nie - odparłem. - Nie miałaś łatwego życia.

Spojrzała na mnie, natychmiast przybierając obronną postawę.

- Ojciec był dla mnie dobry.

- Oczywiście.

- No wiesz, nigdy o tym nie rozmawiał, o swoim pochodzeniu, o matce, skąd przyjechał, o tutejszej rodzinie. Aż do samego końca.

- Słyszałem. Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie chciałam. Na początku. Ostrzegano mnie, że się interesujesz, dopytujesz.

Dlatego stałam tylko na zewnątrz i patrzyłam. Ale chciałam wejść, zobaczyć dom od środka, zobaczyć, gdzie mieszkała, gdzie to się stało. I teraz już chyba mogę ci o tym opowiedzieć, jeżeli wytrzymasz moje towarzystwo jeszcze przez chwilę i będziesz chciał słuchać.

- Chcę. Wiesz, że mnie to interesuje.

- Jeżeli chcesz, możesz sobie nalać jeszcze kieliszek wina. Nie przeszkadza mi to. - Uśmiechnęła się, po raz pierwszy od początku wizyty.
- Możesz go potrzebować.

Uniosłam w powietrze filiżankę kawy.

- Na razie to mi wystarczy.

Skinęła głową.

- Więc mogę zaczynać.

15

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), sierpień 1940 roku.

Kapsztad.

Piątek, 16 sierpnia 1940 roku

Jakie to ekscytujące, postawić wreszcie stopę na afrykańskiej ziemi! Pierwsze, co zobaczyliśmy na nabrzeżu, to rząd błyszczących, drogich samochodów przysłanych przez działające w południowej Afryce brytyjskie firmy. Powiedziano nam, że są do naszej dyspozycji.

Tutejsze kręgi biznesowe chcą zademonstrować prawdziwą południowoafrykańską gościnność walczącym żołnierzom oraz, oczywiście, również nam, siostrom!

Nasza grupka, chichocząc, wcisnęła się do dużego samochodu, jak się okazało, przestronnego i eleganckiego bentleya, który z pewnością spodobałby się Ernestowi. Julian, nasz kierowca, był przedstawicielem kopalni diamentów, choć niestety nie przyniósł nam prezentów w postaci cennych kamyczków. Kathleen i Doris jechały ze mną, razem ze Stephenem i dwoma innymi zaprzyjaźnionymi oficerami, ale gdzieś po drodze zgubiliśmy Brendę. Bez wątplenia była w innym samochodzie i o nią również ktoś się starannie zatroszczył.

Stephen zabrał swoją leicę i ciągle chciał, żebyśmy zatrzymywali się, by mógł zrobić zdjęcia. Julian postanowił nam pokazać najpierw Półwysep Przylądkowy, a potem obiecał nas zabrać tam, gdzie tylko sobie zażyczymy. Pojechaliliśmy łądem na wybrzeże, a później ruszyliśmy drogą przytuloną z jednej strony do wzgórz, a z drugiej wychodzącą na opadający poniżej skalisty i piaszczysty brzeg. Minęliśmy Simonstad i zobaczyliśmy stojące tam na kotwicy korwety i niszczyciele marynarki wojennej, a potem jechaliśmy przed siebie, aż wreszcie droga stała się zbyt wyboista i musieliśmy się zatrzymać.

Wyskoczyliśmy wszyscy z samochodu. Wiatr był tak mocny, że z trudem dało się oddychać. Stephen pobiegł kawałek dalej ze swoim aparatem i zrobił mi zdjęcie, jak stoję na skale i próbuję wyciągnąć z oka włos. Morze poniżej było cudownie błękitne, fale z hukiem waliły o skalisty brzeg, spryskując go iskrzącą się białą pianą. Za nimi niewielkie grzywacze pomykały po powierzchni wody.

Julian dał nam trochę czasu, żebyśmy mogli sami rozejrzeć się po okolicy, rozeszliśmy się więc w poszukiwaniu dobrych punktów obserwacyjnych. Znalazłam sobie niszę otoczoną przez skały i nagle byłam sama, opadły na mnie cisza i spokój. Zanim zdążyłam się zorientować, obok stanął Stephen. Delikatnie wziął mnie w ramiona i pocałował. A w każdym razie próbował. Odsunęłam się. Nie mogłam tego zrobić. Coś we mnie jednak bardzo tego pragnęło i ciągle, kiedy drżącą dłonią piszę te słowa, zastanawiam się, czy jestem przez to złą kobietą. Ernest nie musiałby nawet o tym wiedzieć, powtarzałam sobie, ale to nie byłoby dobre. Nie mogłam oddać się Stephenowi. Był rozczarowany, ale jako dżentelmen - zrozumiał.

Usłyszeliśmy jakiś hałas i zauważyliśmy na skałach ponad nami stadko pawianów.

Patrzyły na nas groźnie. Julian ostrzegał, że mogą być niebezpieczne, szybko więc wycofaliśmy się z naszej niszy. Wydawało się, że małp w ogóle to nie obeszło; odwróciły się do nas plecami i wykonały kilka obelżywych gestów. Pędząc do pozostałych, mało nie padliśmy ze Stephenem ze śmiechu, ale czuliśmy też wyraźną ulgę. Kathleen spojrzała na mnie pytająco, ale nawet nie podchwyciłam jej wzroku.

Przez resztę dnia nie mogłam myśleć o niczym innym jak o tym prawie pocałunku i o tym, jak młody, przystojny i czarujący jest Stephen. Wydawało mi się, że Ernest jest tak daleko, a w moich wspomnieniach był w dodatku tak bardzo posepny i pochłonięty innymi sprawami. Czasem zastanawiam się, czy mnie w ogóle kocha.

Wróciliśmy do Kapsztadu i odwiedziliśmy ruchliwy rynek, pełen egzotycznych bel materiałów w jaskrawych kolorach i wzorach oraz dziwnych suszonych korzeni, ziół i kopczyków olśniewających żółtych, czerwonych i złotych przypraw. Kupiłam ręcznie robione sandały oraz kilka jardów jedwabistej tkaniny w pomarańczowe, zielone i brązowe wzory na sukienkę. Skusiłam się też na kolorowy naszyjnik z koralików, którego

pewnie nigdy nie założę, ale który zawsze będzie mi przypominał o tym cudownym i niepokojącym dniu.

Następnie odwiedziliśmy kilka sklepów w zachodnim stylu, gdzie my, siostry, uzupełniłyśmy zapasy szminek, pudru i innych akcesoriów, zwłaszcza torebek. Wszyscy byli bardzo ciepli i życzliwi, ale gapili się głównie na Kathleen, na jej jasne włosy, długie nogi i posągową figurę.

Ma ponad sześć stóp wzrostu.

Po zakupach Julian zabrał wszystkich na wydaną specjalnie dla nas kolację do domu jednego z ważnych rządowych oficjeli. Najedliśmy się tak, że ledwo byliśmy w stanie tańczyć. Zaserwowano nam homary, langusty i mięsa zwierząt, o których po raz pierwszy słyszałam, jak szpringbok czy kudu. Wszystko było znakomite.

Po kolacji wysłuchaliśmy koncertu regionalnej muzyki - mężczyźni w barwnych lokalnych kostiumach walili w bębny i intonowali egzotyczne, uroczne pieśni, a kobiety pląsały rytmicznie. Następnie w sali balowej zagrała orkiestra i tańczyliśmy do późnej nocy.

Przez cały wieczór tańczyłam ze Stephenem, który przeprosił mnie za incydent na skałach.

Wybaczyłam mu. Mamy wojnę. Wszyscy jesteśmy trochę impulsywni. Zdałam sobie jednak sprawę, jak bardzo muszę być ostrożna i że nawet ja nie jestem do końca odporna na urok wojennego, morskiego romansu oraz przystojnego, młodego mężczyzny.

Kiedy teraz leżę i to piszę, a Brenda pochrapuje cichutko po drugiej stronie kabiny, przypominam sobie siłę i ciepło otaczających mnie ramion Stephena i zastanawiam się, czy będę o nim śniła. Kiedy wspominam tę ulotną chwilę, folguję sobie nieco i wierzę przez moment, że mogłabym się w nim zakochać, choć miłość ta nigdy nie mogłaby rozkwitnąć.

Zaczynam zachowywać się jak głupia uczennica, jakkolwiek ciągle powtarzam sobie, że nie zrobiłam nic złego.

Sobota, 24 sierpnia 1940 roku

Płyniemy teraz przez Ocean Indyjski, którego wody są czasem tak nieruchome i przejrzyste, że w jego głębiach widzimy kolorowe ryby. Naszym śladem ciągną morświny i delfiny, które zabawiają nas, wykonując

w powietrzu piruety, by po chwili bez najmniejszego nawet plusku zanurkować z powrotem pod powierzchnię.

Dni są gorące i wilgotne i wszyscy jakby pozostawali pod wpływem rzuconego przez jakiegoś ospałego maga zaklęcia. Brenda prawie nie rusza się z łóżka, chyba że ma akurat zmianę w izbie chorych. Leży po prostu zupełnie nieruchomo pod elektrycznym wentylatorem aż do wieczora, kiedy zachodzi słońce. Ale nawet wtedy nie jest o wiele chłodniej, choć dobrze jest znaleźć się wreszcie z dala od niemiłosiernie piekących promieni.

Wydaje się, że nie ma przed nimi uciezki. Ostatnio rzadko widuję Stephena, chociaż często o nim myślę, zwłaszcza kiedy spotykam pary zakochanych trzymających się za ręce i spacerujących w złotym świetle księżycy po pokładzie. Chyba wszyscy są nagle zakochani.

Może to kwestia magicznego wpływu Wschodu, oceanu, gwiazd, księżycy i parnych nocy? Ja też chciałabym się zakochać, może nawet w Stephenie, ale nie mogę sobie na to pozwolić.

Podróż wkrótce dobiegnie kresu i zasłona tajemnicy się uniesie. Odkryliśmy, dokąd zmierzamy. Pięć siostr, w tym Kathleen i Doris, ma zejść na ląd w Hongkongu, szczęściary, a reszta z nas, co, moim zdaniem, brzmi nie mniej obiecująco, płynie do Singapuru, gdzie mamy pomóc zakładać zupełnie nowy Szpital Królowej Aleksandry!

Listopad 2010

- Nie mam pojęcia, ile wujek Rolly powiedział twojej znajomej - zaczęła opowieść Louise - jeżeli więc będę mówić o czymś, o czym już wiesz, po prostu mi przerwij.

- Wujek Rolly?

- Nie znasz go? Roland Everett. Był prawnikiem ojca w Northallerton i się zaprzyjaźnili. Nazywałam go wujkiem Rollym, chociaż tak naprawdę nie jest moim wujem.

Ale znam go, odkąd byłam małą.

Domyśliłem się, że wujek Rolly był źródłem Heather - albo jednym ze źródeł.

Pogrzebałem w kominku i polana się rozpadły. Płomienie i dym buchnęły w komin.

- Mów dalej - powiedziałem. - Jakie miałaś dzieciństwo?

Wydawała się zaskoczona moim pytaniem, tak jakby dziwiła się, że kogoś to w ogóle interesuje.

- Bardzo szczęśliwe - odparła. - Przynajmniej przez pierwsze osiem czy dziewięć lat.

Mieliśmy ładny dom nad morzem, tato nieźle zarabiał, a mama prowadziła firmę cateringową.

A potem wszystko się zawaliło. Przypuszczam, że narastało to bardzo powoli, ale we mnie uderzyło jak pociąg ekspresowy. No wiesz, pamiętam późnowieczorne kłótnie, łzy, rozmowy szeptem, konsultacje z dziadkami - to znaczy Middletonami - ale przysięgam, że poczułam wiszące w powietrzu poważne kłopoty dopiero wtedy, gdy mama kazała mi pakować torbę i iść z nią.

- Dlaczego?

- Nie miałam pojęcia. Dopiero później zaczęłam to wszystko układać w całość.

Widzisz, ojciec cierpiał na depresję. Miał ataki, napady czy jak to się tam nazywa. Jakoś funkcjonował, chodził do pracy i tak dalej, lekarz przepisał mu tabletki, które chyba pomagały, ale mama była bardzo towarzyską osobą, uwielbiała brylować i to, że był przez cały czas chory, choć fizycznie nic mu nie dolegało, po prostu kompletnie ją dołowało.

Wiesz, jacy są czasem ludzie. Nie są w stanie wytrzymać przy kimś chorym, uważają, że powinien przestać symulować i po prostu żyć dalej. Mama była właśnie taka i nie mogła już dłużej wytrzymać. Nie zrozum mnie źle, miała dobre serce. Ale nie chciała być pielęgniarzką czy opiekunką. Chciała chodzić na tańce, imprezy, spotykać ludzi. Ciągłe się śmiała i uwielbiała ploteczki. Nie chciała na resztę życia utknąć przy inwalidzie, więc uciekła. A mnie zabrała ze sobą.

Louise zamilkła i wpatrzyła się znowu w ogień. Miała rację, powinienem był zadbać o kieliszek wina, ale się powstrzymałem.

- Jeżeli nie chcesz, nie musisz mi o tym opowiadać - powiedziałem. - To znaczy, ze szczegółami. Heather, znajoma Rolly'ego, już mi co nieco o tym wspominała. Wiem, co się stało.

- Skoro zabrnęłam już tak daleko... Tak czy inaczej, ni stąd, ni zowąd wylądowałam w Brisbane. A właściwie na jego przedmieściach.

- To musiało być dla ciebie bolesne.

- Brisbane jest w porządku. Masz co robić, niezła pogoda, wszędzie plaże, jeszcze lepiej niż w Brighton. To znaczy, jeśli chodzi o pogodę.

- Ale nie było tam ojca.

- Nie. To bolało. Bardzo za nim tęskniłam i martwiłam się o niego. Jasne, pisał, dzwonił, odwiedzałam go w wakacje i tak dalej. Ale to nie to samo.

- A twoja matka?

- Mama zaczęła się kumpłować z różnymi imprezowiczami, głównie po rozwodzie.

Trochę za dużo piła, trochę za głośno mówiła, nosiła krótkie spódniczki i raz czy dwa przed szkołą zrobiła mi wiochę. Była odrobinę wkurzająca, ale przecież była moją mamą. Nie mogłam jej nie kochać. Zresztą nikomu nie szkodziła, a nawet pomagała, komu się dało, tyle że nie lubiła chorych.

- Więc zostałeś z nią?

- Tak. A co miałam zrobić? Byłam już nastolatką, kiedy zaczęła się regularnie widywać z Grayem. Na początku wydawał się okej. No wiesz, żaden ideał, ale okej. Dopiero po ślubie pokazał, na co go tak naprawdę stać. Pamiętam pierwszy raz, tak jakby to było wczoraj. Siedziałam przy stole i odrabiałam lekcje. Mama przygotowywała kolację, a on wrócił do domu z popołudniowej nasiadówki z kumplami w pubie, wkurzony jak zawsze.

Mama nic nie powiedziała, rzuciła tylko jakąś kąśliwą uwagę, a on nagle ni stąd, ni zowąd po prostu rąbnął ją w twarz. Bez ostrzeżenia. Odwrócił się i ją walnął. Nie spoliczkował, to był normalny cios. Potężny. Mama zachwiała się i przez chwilę, przerażona, stała jak wryta. Z policzka płynęła jej krew, prosto na białą jedwabną bluzkę. I nagle przyłożyła ręce do twarzy, rozplakała się i pobiegła do łazienki. Poczułam ciarki na plecach, a serce podskoczyło mi do gardła. Myślałam, że będę następna.

- Ale tak się nie stało?

- Nie tym razem. Przytrzymał tylko mój podbródek w dłoniach tak mocno, że aż zabolęło, buchnął alkoholem w twarz i powiedział: „Potraktuj

to jako ostrzeżenie, młoda damo”. Potem roześmiał się i wrócił do pubu.

Zaczęła wykręcać sobie dłonie, a raz czy dwa sięgnęła palcem do ust, tak jakby nad czymś się zastanawiała.

- Wszystko w porządku? - zapytałem. - Widzę, że nic nie mówisz.

- Mogłabym zapalić?

W Kalifornii palenie jest praktycznie nielegalne, rzuciłem je wiele lat temu, ale skinąłem głową.

- Mów dalej.

- Dzięki. - Louise zapaliła marlboro light i westchnąwszy, wypuściła dym z płuc.

- Właściwie nie zostało zbyt dużo do opowiedzenia. Kilka dni później zaczęły się nocne wizyty w moim pokoju. Nie mogłam nic zrobić. Był o wiele za silny. Wierz mi, kilka razy sama zastanawiałam się, czy go zabić.

- Powiedziałaś matce?

- Nie. Nie było sensu. Nie uwierzyłyby mi, próbowałyby zaprzeczyć i tylko miałyby jeszcze więcej na głowie. On dalej ją bił i pod koniec była już w stanie co najwyżej zebrać resztki siły i godności, zostawić go i się przeprowadzić.

- Gdzie się przeniosłyście?

- Niedaleko. Na inne przedmieście, trochę dalej w głąb lądu, nad rzeką. Małutkie mieszkanie. Całe dla nas. To były jedne z najszcześniejszych dni w moim życiu od czasów dzieciństwa. Mama pomagała mi w odrabianiu lekcji - była bardzo inteligentna - i gotowała niesamowite rzeczy. Homary z zatoki Moreton. Wspaniałe. W weekendy udawałyśmy turystki i jeździłyśmy po Słonecznym albo Złotym Wybrzeżu. Pojechałyśmy nawet zobaczyć Wielki Ananas i australijskie zoo. - Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby zanurzyła się we wspomnieniach, przez jej twarz przemknął nawet cień uśmiechu. Po chwili jednak kontynuowała opowieść. - A potem pewnego dnia wróciłam ze szkoły. Miałam szesnaście lat.

Mama leżała na podłodze, a jej dobre serce walało się w strzępach po całym jej ulubionym dywanie Axminster. Gray siedział na sofie, ciągle ze strzelbą w rękach. Większa część jego głowy zniknęła. To było osiem lat temu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, przełknąłem więc ślinę i siedziałem cicho.

Louise spojrzała na mnie.

- Przepraszam - bąknęła. - Trochę to makabryczne, nie? Nie tak jak na filmach w kinie albo w telewizji.

Chciałem jej opowiedzieć o Laurze, o tym, jak siedziałem przy swojej najukochańszej osobie na świecie i trzymałem jej dłoń, gdy umierała, jak wziąłem ją w ramiona, gdy ostatnie tchnienie opuściło umęczone ciało, ale nie zrobiłem tego. Co by mi to dało? Miałbym próbować przebić jej opowieść, nawiązać z nią nić sympatii? Powoli pokręciłem głową.

- Potem wszystko trochę się pokomplikowało - skwapliwie podjęła wątek Louise. - Wróciłam do taty do Brighton. Ciągłe miewał te napady depresji, ale chodził do psychiatry i nauczył się jakoś sobie radzić. A ja nie miałam nic przeciwko temu, żeby opiekować się nim, jak był w dołku. Zdaje się, że akurat tego genu nie odziedziczyłam po mamie.

Wrzuciła niedopałek papierosa do kominka.

- Może masz go po babce? - zasugerowałem. - Była pielęgniarką.

- Wiem. Ale poza tym morderczynią, prawda?

- Nie jestem przekonany - odparłem. Zmrużyła oczy i spojrzała na mnie z ukosa.

- Wujek Rolly mówił, że prowadzisz kampanię oczyszczania jej nazwiska.

- Nie prowadzę żadnej kampanii, po prostu mam wątpliwości co do tego, co się wtedy wydarzyło, nic więcej. Czy to miałoby dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Gdyby moja babka nie była morderczynią? - Louise zastanawiała się przez chwilę. - Jasne. Pewnie tak.

- Kiedy dowiedziałas się o Grace?

- Jak ojciec zorientował się, że umiera. Próbował wytłumaczyć jakoś te swoje depresje i zapewnić mnie, że trochę wie, jak to jest, kiedy twoja matka ginie. Nie wiem, czy faktycznie to było przyczyną jego depresji, czy też nabawił się jej tak po prostu, ale wydawało się dla niego ważne, żeby o tym porozmawiać. Szczerze powiedziawszy, nie wiedział zbyt dużo. Po prostu podzielił się ze mną kilkoma wspomnieniami z czasów dzieciństwa.

Był za mały, żeby uczestniczyć w procesie, a potem wujostwo po prostu zabrali go do Australii. Żył jak gdyby nigdy nic i nie pytał o to, co było, podobnie jak większość osób, które tam wylądowały. Z Australii jest bardzo daleko do starego kraju i nam wszystkim właściwie to odpowiada.

- Co wtedy poczułaś?

- „Co wtedy poczułaś?” Mówisz jak psychiatra. - Spojrzała na mnie zawiedzionym wzrokiem, ale po chwili kontynuowała: - Jeśli dobrze pamiętam, na początku byłam wściekła na tatę za to, że nie powiedział mi o tym wcześniej, bo naprawdę nigdy o tym z nikim nie rozmawiał. Ale kiedy się nad tym głębiej zastanowiłam, doszłam do wniosku, że w sumie dobrze zrobił. Bo co niby miał powiedzieć? Było mi też trochę smutno, ale właściwie głównie z powodu straconych złudzeń. Zawsze uważałam Websterów za swoich dziadków. Babcia Felicity i dziadek Alf. Byliśmy sobie bardzo bliscy. I nagle okazało się, że nie są tymi, za których ich uważałam. To bolało. Oczywiście ciągle ich kochałam, a oni mnie, ale było jakoś inaczej.

- Co dokładnie powiedział ci ojciec?

- Niewiele. Po prostu, no wiesz, co zrobiła i co się z nią stało. Powiedział mi, że kiedy miał siedem lat, jego matka została powieszona w Anglii za zamordowanie jego ojca, no i o jej kochanku i tak dalej. O Samie Porterze. Powiedział, że niewiele z tego pamięta. Właściwie dlaczego miałoby być inaczej? W tym wieku? Ale zżera mnie to od środka jak rak. Nie mogę o tym zapomnieć.

- Nawet teraz?

Louise pokręciła głową.

- Nie myślę wprawdzie o tym przez cały czas ani nie mam koszmarów. Nic z tych rzeczy. Sypiam doskonale. Po prostu czuję się zepsuta, przygnieciona, przeklęta. Nie potrafię tego do końca wyjaśnić. Najpierw mama i Gray, a potem dowiaduję się o babci i dziadku.

Może faktycznie poczułabym się lepiej, gdyby się okazało, że babcia nie była morderczynią, chociaż nawet jej na oczy nie widziałam. Ale czuję się tak, jakbym ją trochę znała. Może przekazał mi jakieś jej geny? Muszę przyznać, że nie wydaje mi się typem morderczyni. Ale skąd niby mam to wiedzieć? Kiedy poznałam Graya, nie wyczułam, co to za facet. Osądziłam

go po pozorach, jak wszystkich innych. Nie potrafiłam nawet pomóc własnej matce.

- To nie była twoja wina.

Zgromiła mnie wzrokiem.

- Wszyscy tak mówią. Ale powinnam tam być, z nią. Rano bolał mnie wtedy brzuch i chciałam zrobić sobie wolne, ale zbliżały się egzaminy i kazała mi iść do szkoły, przekonana, że symuluję. Rzygałam jak kot. Mogłam zostać w domu. Uratować ją.

- Albo z nią zginąć - zauważyłem.

- Czasem myślę sobie, że tak byłoby lepiej.

- Jak ci się żyło, kiedy zamieszkałaś z powrotem z ojcem?

- Jak mi się żyło? Tato robił, co mógł. Miałam wszystko, co tylko można zdobyć za pieniądze. Był wtedy po pięćdziesiątce, u szczytu kariery, i zarabiał naprawdę niezłą kasę.

Ale spieprzyłam to.

- Jak?

- Bardzo prosto. Niesamowite, co robi z człowiekiem parę kresek koki i butelka wódki. Zdaje się, że było mi wtedy wszystko jedno, co stanie się ze mną i z moim życiem, popłynęłam więc, brałam każde tabletki albo prochy, jakie mi podsunęto, i w końcu wylądowałam z jakimiś łachmytami. Po pierwszym roku rzuciłam uniwersytet i przez jakiś czas mieszkałam w Sydney, w Kings Cross, z facetem dwa razy starszym ode mnie, dilerem.

Pojechałam stopem do Perth, po drodze parę razy zatrzymując się na dłużej. Zwykła historia.

Brałam herę, za dwadzieścia pięć dolców robiłam loda, żeby mieć na działkę. Piłam tak długo, aż nie czułam bólu, aż z mojej głowy zniknęły te cholerne obrazy. Budziłam się w łóżkach obcych facetów częściej, niż ty jadłeś ciepłe obiady. Parę miesięcy spędziłam w więzieniu. Historia, jakich wiele. Nic nadzwyczajnego. Żałosne.

- Dzieci kilku moich przyjaciół w podobny sposób zeszły na złą drogę - powiedziałem. - I nie zawsze miały ku temu tyle powodów co ty.

- Nigdy nie ma powodu - stwierdziła. - Są tylko wymówki.

- No nie wiem. Nie bądź dla siebie taka ostra. Chyba miałem sporo szczęścia, że moim dzieciom nic takiego się nie przydarzyło.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego.

Widziałem, że nie ma co spierać się o to z Louise. Sama doszła do takich wniosków, była o tym absolutnie przekonana, a w jej głosie zabrzmiała nagle pasja, niemal ewangeliczny ton. Wyraźnie obwiniała siebie za wszystko i zacząłem się zastanawiać, czy oprócz szpikowania się kolczykami nie ma przypadkiem również tendencji do samookaleczania. W Los Angeles znałem kilkoro dzieciaków, które tak właśnie robiły, cięły się nożami, przypalały papierosami. W każdym razie chciałem uspokoić Louise, a nie dolewać oliwy do ognia i podsycać jej nienawiść do samej siebie.

- Ale wyrwałaś się z tego - powiedziałem.

Skinęła głową.

- Kiedy tato zachorował na raka, jakieś trzy lata przed śmiercią, wróciłam do domu, żeby się nim opiekować. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat i byłam wrakiem człowieka.

Ale rzuciłam prochy i wódę, trzymałam się z dala od mężczyzn, zwróciłam się nawet o profesjonalną pomoc do jednego z kolegów psychiatry ojca.

- Czy to wtedy chodziłaś codziennie do kina?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Pamiętałeś. Tak. Tak jak mówiłeś, w ten sposób uciekałam. Babcia Felicity też bardzo mi pomogła, chociaż miała już wtedy osiemdziesiątkę na karku i pojawiły się u niej pierwsze objawy alzheimera. Jest teraz w domu. Czasem ją odwiedzam, ale mnie nie rozpoznaje. To smutne. W każdym razie zrobiłam kurs komputerowy i okazało się, że jestem w tym całkiem niezła. Nie mówię, że życie stało się łatwe, bywało nawet, że chciałam rzucić to wszystko, a nawet skończyć ze sobą, ale z jakiegoś powodu dałam radę. Myślę, że to choroba ojca dała mi powód do życia. Czy to nie dziwne? A potem, w styczniu, umarł.

- I teraz jesteś tutaj.

- Tak. Jak to często bywa, dzięki kontaktom, które nawiązałam w Melbourne, dostałam ofertę pracy tutaj. W Cambridge. Przy komputerach. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

- Gratuluję. A myślałem, że drenaż mózgow przebiega w przeciwnym kierunku.

- Znalazła mnie firma headhunterska.

- Rozumiem. Co jeszcze opowiedział ci ojciec o swoim życiu tutaj?

- Niewiele. - Louise rozejrzała się po pokoju. - Opowiedział mi o tym domu, o tym, jak tu dorastał, o matce, takiej, jaką ją zapamiętał - życzliwej, łagodnej, o jej uśmiechu, o jej słicznym głosie, o brzmieniu jej śmiechu, o tym, że go kochała. Wszystko to w tak okrutny sposób zostało mu odebrane. Wtedy jednak nie rozumiał, co się dzieje, procesu, egzekucji.

Miał tylko siedem lat, osiem, kiedy wyjechali, i jakoś utkwilo w nim tylko wrażenie, że musiała być zła.

- Mówił coś o Samie Porterze?

- Niewiele. Nie znał go. Nigdy się nie spotkali. W każdym razie niczego takiego nie pamiętał. Myślę, że moja babka musiała być bardzo dyskretna w tych sprawach.

- Sprawie - poprawiłem ją. - Z tego, co wiem, miała tylko jeden romans.

- Może.

- A jedna niedyskrecja w zupełności wystarczyła.

- Właśnie.

- Czytałaś relację z procesu?

- Nie wiedziałam, że ktoś ją spisał.

- Chcesz?

Zamilkła na chwilę.

- Tak.

- Pożyczę ci książkę. Co jeszcze ojciec opowiedział ci o Grace?

- Sęk w tym, że wrażenie zrobiło na mnie wcale nie to, co mi opowiedział - oznajmiła Louise. - Raczej rzeczy w pudełku, które mi dał.

Poczułem dreszczyk podniecenia.

- Co masz na myśli? - zapytałem. - Rzeczy?

- Jej rzeczy. To, co zostawiła. Pudełko z pamiątkami po niej, przywiezione z Anglii.

Babcia Felicity powiedziała tacie, że kiedy przyjechała do babci, żeby być przy niej, jak policja zaczęła zadawać pytania, Grace dała jej jakieś swoje drobiazgi i poprosiła o ich przechowanie na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Miała niedobre przeczucia, a nie chciała, żeby policja

grzebała w jej prywatnych rzeczach. Jak się to nazywa, intuicja? Tak czy inaczej, kiedy babcia Felicity zachorowała, przekazała pudełko ojcu. Chciała, żeby pamiątki pozostały w rodzinie. W środku nie znalazłam zbyt wiele. Ale w zupełności mi to wystarczyło. Babcia nagle ożyła w mojej wyobraźni.

Poczułem, że przyspiesza mi puls, ale nie chciałem pokazać po sobie podniecenia, żeby Louise nie pomyślała, że jestem stuknięty. W końcu to o jej babce rozmawialiśmy.

- Co tam było? - zapytałem. - Zdjęcia?

- Tak, trochę zdjęć, głównie z czasów wojny.

- Listy?

- Nie. Pewnie gdzieś zaginęły albo ktoś je zniszczył.

Próbowałem ukryć rozczarowanie.

- No i dziennik - powiedziała Louise.

- Dziennik?

- Tak, stary zeszyt oprawiony w skórę. Dziennik babci. Babcia Felicity powiedziała ojcu, że Grace trzymała go w szufladce ukrytej w sekretarzyku, a pewnego dnia wyjęła go i jej wręczyła. Stąd właśnie wiedziałam o szufladzie. Babcia Felicity powiedziała tacie, a on mnie.

- Wielkie nieba! Czy tam jest... To znaczy, czy napisała tam coś, co...?

- Dosłownie zwałił mnie z nóg. Może chcesz go przeczytać?

- Jasne, że chcę. Przywiozłaś go ze sobą z Australii?

- Jak już mówiłam, w pudełku było niewiele rzeczy. Poza tym chyba chciała, żeby ocalał. Może do tego sprowadza się jej dziedzictwo. A może po prostu nie życzyła sobie, żeby jego treść wyszła na jaw. Pewnie wiedziała, co się stanie, że ją aresztują i tak dalej. Ponieważ mam zamiar tu zostać, zabrałam ze sobą wszystkie swoje rzeczy, wszystko, co ma dla mnie znaczenie, a pamiątki po babci są najcenniejsze, naprawdę, poza paroma wspomnieniami mamy i taty. Jeżeli chcesz go zobaczyć, będziesz musiał przyjechać do Staithes, i to w najbliższym czasie, zanim wyjadę na południe.

- Dzień na wybrzeżu? O niczym innym nie marzę.

16

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King),
grudzień 1941 roku - styczeń 1942 roku.

Singapur.

Poniedziałek, 8 grudnia 1941 roku

Trudno uwierzyć, że nasz beztroski rok spędzony na grze w golfa i tenisa, herbatkach z potańcówkami, popołudniowych sjestach oraz sączeniu koktajli Singapore Slings w hotelu Raffles wkrótce może dobiec końca, ale dzisiaj wojna dotarła na naszą wysepkę.

Zbombardowali nas Japończycy. Bez ostrzeżenia. Ofiary przywożone są przez cały dzień.

Major Schofield w porze lunchu powiedział, że nie powinniśmy się martwić. Nasze działa wycelowane są na morze, a lądowa inwazja jest wykluczona. W najgorszym razie, stwierdził, grozi nam krótkie oblężenie, ale według niego nawet ono jest mało prawdopodobne. Na szczęście wieczorne tańce w Klubie Krykietowym nie zostały odwołane, a moja zmiana wkrótce się skończy!

Czwartek, 11 grudnia 1941 roku

U wybrzeży Malajów zostały zatopione okręty HMS „Repulse” i HMS „Prince of Wales”. Poinformowano nas, że w najbliższych godzinach możemy się spodziewać kolejnych ofiar, głównie oparzeń, które najtrudniej jest opatrywać i którymi zajmowanie się jest dla nas najbardziej bolesne. Obawiam się, że biedna Brenda, z jej doświadczeniem zdobytym w klinice oparzeń w Bangor, będzie padać z nóg, a przecież już teraz ledwo zipie z powodu upału i wilgotności, o komarach nawet nie wspominając!

Czwartek, 18 grudnia 1941 roku

Życie toczy się dalej normalnie, tyle że musimy się stosować do zaleceń obrony przeciwlotniczej. Nie dotarło do nas tylu rannych w wyniku działań na morzu, ilu się spodziewaliśmy, a jedna z tutejszych ochotniczek powiedziała mi, że podobno zginęło prawie tysiąc żołnierzy. Japończycy prą na południe i na zachód od strony Kota Bharu. Po drugiej stronie cieśniny Johor toczą się zażarte walki i wielu ludzi ucieka stamtąd na południe, szukając schronienia w Singapurze. Według jednego z rannych z Regimentu Suffolk uchodźcy blokują drogi swoimi samochodami, riksami oraz rowerami i posiłki nie mogą się przez nie przedostać. Oddziały bezustannie są ostrzeliwane i bombardowane przez japońskie samoloty. Powiedział mi też, że dżungla nie jest żadną przeszkodą dla Japończyków. Otaczają nas. Według niego, wbrew obiegowej opinii, mogą też natrzeć od przodu. Szpital Alor Star na północy został już ewakuowany. Załadowali swoich pacjentów do pociągu ratunkowego i pojechali na południe. Nie pozostało nam nic innego, jak zachowywać się jak gdyby nigdy nic. W końcu północ jest tak daleko, a mamy silną obronę.

Czwartek, 25 grudnia 1941 roku

Zupełnie przyzwoitą kolację wigilijną zjedliśmy w hotelu Raffles z cywilami i pracownikami służb medycznych. Przez jakiś czas panował trochę przygnębiający nastrój, bo ciągle docierają do nas wieści o postępach Japończyków, których, jak się zdaje, nasze siły nie są w stanie ani powstrzymać, ani spowolnić, ale ostatecznie stwierdziliśmy, że to święta, powinniśmy więc chociaż na chwilę zapomnieć o zmartwieniach i dobrze się bawić.

Naturalnie potem były tańce, ale praktycznie cały wieczór przesiedziałam. Gdy tylko widzę tańczące pary, zaraz zaczynam myśleć o Stephenie Fawleyu, który razem z resztą regimentu zszedł na ląd z „Cesarzowej Australii” w Hongkongu. Martwię się zasłyszonymi plotkami na temat tego, co tam wyprawiały japońskie oddziały. Trudno tutaj jednak uzyskać wiarygodne informacje. Nawet ci, którzy coś wiedzą, wolą trzymać to w tajemnicy, tak jakby informacje były rodzajem waluty. Jestem prawie pewna, że Hongkong poddał się Japończykom, ale nie mam pojęcia, jaki los spotkał tamtejsze siostry i żołnierzy. Nie mamy żadnych wieści o Kathleen, Doris, Stephenie i pozostałych. Na święta jak zawsze przezorna Brenda podarowała mi wodoodporny, impregnowany woreczek na mój dziennik.

Mogę go sobie powiesić na szyi pod ubraniem i schować do niego również ogryzki ołówków! Ode mnie dostała śliczny, ręcznie malowany chiński wachlarz, który wypatrzyłam na bazarku przy Sungei Road. Niech jej służy dla ochłody.

Środa, 31 grudnia 1941 roku

Dziś ewakuowaliśmy ponad setkę dochodzących do zdrowia australijskich pacjentów, żeby zwolnić trochę łóżek. Był to dla mnie bardzo smutny dzień, ponieważ przez ostatni rok zaprzyjaźniłam się z niektórymi z nich, podobnie jak z towarzyszącymi im siostrami.

Pożegnałam zatem Amelię, Gillian, Florence oraz Jimmy'ego, Micka i Kenny'ego. Mamy teraz tylko jeden szpitalny statek, rozpadającą się łódź rzeczną „Wu Sueh”, ale przygotowujemy się do tego, by wysłać nią na Sumatrę więcej pacjentów, gdy tylko ich stan się trochę polepszy. Walki na północy są coraz bardziej zacięte, a front się zbliża, codziennie więc dociera do nas nowy strumień rannych. Nadal jesteśmy atakowani z powietrza i pod naszą opieką ląduje coraz więcej cywilnych ofiar. Jesteśmy tak zabiegane, że ledwo udaje mi się przed pójściem do łóżka nagryzmolić tych parę słów. Zaciemnienie jest bardzo irytujące.

Wczoraj wieczorem, kiedy wracałam z nocnej zmiany, potknęłam się o korzeń i o mały włos nie zwichnęłam nogi w kostce.

Piątek, 2 stycznia 1942 roku

Nasz nowiutki szpital nie wygląda już tak, jak niegdyś. Niedawno było to bardzo przyjemne miejsce pracy. Teraz oddziały pełne są ofiar walk, a wszędzie rozstawiono stojaki z kroplówkami i zbiornikami tlenu. Mamy też parę przypadków nerwicy frontowej, z którą zetknęłam się po raz pierwszy w życiu. Cierpiący na nią pacjenci działają na mnie bardzo przygnębiająco. Przez cały czas nic nie robią, tylko leżą i śpią, ale jak zaczyna się bombardowanie albo ostrzał artyleryjski, wyskakują z łóżek i chowają się pod nimi albo zaczynają kopać dziury w ziemi czy przykrywają się prześcieradłami. To bardzo smutne, ponieważ niewiele możemy zrobić, co najwyżej próbować ich pocieszyć czy powiedzieć im parę słów. Ich strach jest przerażający. Wydaje się, że wszystko dzieje się naraz i ciągle jesteśmy zabiegane - wypełniamy formularze, robimy transfuzje, wysyłamy

pacjentów na sale operacyjne. Kiedy po długiej zmianie wracamy na kwatery, jesteśmy w stanie tylko zdjąć mundury, położyć się i zasnąć w rozkosznej chłodnej bryzie napływającej od elektrycznego wentylatora. Do tego właśnie sprowadza się teraz życie. Praca. Sen. Praca. Sen.

Poniedziałek, 12 stycznia 1942 roku

Słyszałam, że wczoraj padło Kuala Lumpur. Więc teraz to już kwestia czasu. Działa skierowane na morze nie zdadzą się na wiele, jeśli wróg dotrze od lądu, co, jak nas do niedawna zapewniano, miało być przecież niemożliwe. Możemy je, rzecz jasna, odwrócić, ale wszyscy twierdzą, że w tego rodzaju bitwie również nie będzie z nich pożytku. Skończyłoby się tylko na tym, że ostrzelivalibyśmy swoich. Europejki w hotelu Raffles i Klubie Krykietowym rozmawiają głównie o tym, czy zostać, czy wyjechać. Są przerażone i najchętniej opuściłyby Singapur, zanim wpadnie w ręce Japończyków, ale nie chcą zostawiać mężów ani uchodzić za dezertersów czy tchórzy. Z Hongkongu docierają bardzo niepokojące wieści. Słyszałyśmy, że pracownicy służb medycznych i pacjenci są torturowani i zabijani, a siostry spotyka haniebnny los. Wszystko wskazuje na to, że Japończycy nie mają względu na Czerwony Krzyż i z jednakowym okrucieństwem traktują sanitariuszki, rannych i kobiety.

Major Schofield powiedział mi, że ponieważ nie podpisali konwencji genewskiej, nie grają według naszych reguł. Ciągle martwię się tym, jaki los spotkał Stephena, Kathleen i Doris, i drzę na samą myśl, co się stanie z nami, kiedy dotrą tutaj Japończycy, bo co do tego, że dotrą, nie ma już żadnych wątpliwości.

Grudzień 2010

Dzień po wizycie Louise odebrałem dwa telefony, które rozradowały mi serce.

Pierwszy - z Baltimore, od mojej córki Jane. Dzwoniła zapytać, czy może przyjechać do mnie na święta i przywieźć ze sobą swojego narzeczonego Muhammada. Narzeczonego!

Interesujący sposób informowania mnie o nim. Oczywiście, zapewniłem, przyjeżdżajcie.

Chwilę później zadzwonił Dave Packer, mój reżyser i najlepszy przyjaciel, przypomnieć mi o propozycji, jaką złożyłem mu w czasie naszej ostatniej rozmowy, i zapytać, czy mogą skorzystać z niej z Melissą i odwiedzić mnie w święta. Planowali krótką wycieczkę po Europie i stwierdzili, że z przyjemnością zahaczą o Richmond. Melissa miała właśnie przerwę w zdjęciach, a Dave siedział nad kilkoma skryptami w ramach pracy nad swoim - naszym, jak miał nadzieję - następnym filmem. I tym razem z radością się zgodziłem. Dave był ojcem chrzestnym Jane, a byłem pewien, że Melissa wywoła w Richmond co najmniej poruszenie.

Czyli mimo wszystko będą święta! Choć dopiero co zrobił się grudzień, wiedziałem, że wkrótce będę bardzo zajęty. Musiałem zamówić indyka, skrzynkę dobrego szampana.

Świąteczne cukierki. Prezenty. Choinkę. Bombki. Światła. Ozdoby. Zacząłem robić listę i byłem już w połowie, gdy nagle znowu odezwał się telefon.

Dzwoniła Heather.

- Wiesz co? Ciągle siedzę w biurze. Mam za sobą naprawdę paskudny dzień i zanim wrócę domu, muszę wypić drinka. Może do mnie dołączysz?

Jej głos sprawił, że mój entuzjazm nieco ostygł. Był smutny, zmęczony. Zerknąłem na zegarek. Była siódma. Miałem Heather mnóstwo do opowiedzenia - i z pewnością byłem jej coś winien po tym, jak mi pomogła. Od tego, żeby z radością pomknąć na spotkanie, powstrzymywało mnie jedynie to, że ciągle mi się podobała, a coś takiego tylko jeszcze bardziej mnie na nią nakreśli. Mimo to zastanawiałem się jedynie przez parę sekund.

- Jasne - odparłem. - Czarny Lew, za pół godziny?

- Świetnie - ucieszyła się. - To na razie.

W Czarnym Lwie o tej porze, w zwykły, grudniowy dzień w środku tygodnia, było całkiem cicho. Żadnej muzyki na żywo, żadnych kwizów. Przy stolikach w sali restauracyjnej kilku spóźnionych turystów kończyło kolację. Nie jadłem jeszcze, pomyślałem więc, że zamówię rybę w cieście albo coś w tym rodzaju. Wybrałem ten pub, ponieważ za salą jadalną była mała loża, której na szczęście nikt akurat nie zajmował. Kupiłem przy barze drinka, usiadłem tam i czekałem. Po pięciu minutach Heather wetknęła głowę w drzwi.

- Wiedziałaś, że cię tu znajdę - powiedziała. - Bardzo przytulnie.

- Jeżeli uważasz, że siedząc tutaj ze mną, narazisz na szwank swoją reputację, możemy iść do baru.

- Co? I słuchać, jak stali goście gadają o piłce i wczorajskich serialach? Chyba żartujesz. Nie, dziękuję bardzo, wolę zaryzykować resztki reputacji.

Zażyczyła sobie wódkę z tonikiem. Poszedłem zamówić drinka, błędząc oczami po menu wypisanym kredą na tablicy.

- Jadłeś już? - zapytałem Heather, wróciwszy do stolika.

- Nie jestem głodna.

Poprosiłem przy barze o rybę w cieście i wróciłem do wykładanej boazerii łoży. Była tak ciasna, że gdyby ktoś zajrzał do środka i zobaczył, że siedzą w niej dwie osoby, raczej by się nie dosiadł. Słysząc w niej było głosy gości sali restauracyjnej i tych z części barowej, ale nie dało się zrozumieć, co mówią.

Heather wychyliła wódkę z tonikiem z prędkością kogoś, kto jest zdecydowany się upić. Była wyraźnie spięta i zmęczona, a pod oczami miała wory z niewyspania.

Zastanawiałem się, czy chodzi tylko o pracę, czy o coś więcej. Przyniosłem jej drugą wódkę z tonikiem, a sam zasiadłem z powrotem do mojej pierwszej pinty tetley's cask.

- Może cię to zainteresuje, że jesteśmy z Derekiem w separacji - oznajmiła, zanim zdążyłem zapytać, co jest nie tak.

Spojrzałem na nią oniemiały.

Z niezgłębionym wyrazem twarzy podchwyciła mój wzrok.

- Daj spokój, Chris - powiedziała. - Nie udawaj zdziwionego. Musiałeś widzieć, co się święci.

- Faktycznie, mogłem odnieść wrażenie, że nie jest między wami najlepiej - przyznałem. - Zwłaszcza wtedy, po Święcie Ognia. Ale... Co teraz zrobisz?

- Jedną z zalet pracy w branży nieruchomości jest to, że mogłam zaraz wynająć sobie mieszkanie na Osiedlu Klasztorzym przy Reeth Road. Dlatego zostałam tak długo. Szukałam okazji. Niezły numer, co? Ja w klasztorze.

Roześmiałem się.

- Rzeczywiście.

- Przypuszczam, że teraz przestaniesz się mną interesować - rzekła, uniósłszy brwi.

- O co ci chodzi?

- Nie bądź taki tępy. To nie dla ciebie. Poflirtować sobie albo mieć przelotny romans z mężatką to jedno. Ale samotna kobieta? Nie śmierdzi ci to za bardzo pułapką, zaangażowaniem?

- Taki cynizm w tak młodym wieku? - skomentowałem. - To nie przystoi.

- Nie jestem młoda. Mam czterdzieści pięć lat.

- Czyli całe piętnaście mniej niż ja.

- Pomyśl tylko. Kiedy ty jako trzydziestoletnie dziecko szczęścia podbijałeś Hollywood, ja byłam niezgrabną piętnastoletnią uczennicą, piegowatą, rudą i w okularach, zakochaną po uszy w Geoffie Johnsonie, który nawet mnie nie dostrzegał. Ty też raczej nie poleciałbyś wtedy na mnie.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Mam nadzieję. Ale patrz, co z ciebie wyrosło.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym przetarła wierzchem dłoni oczy, rozmazując sobie nieco tusz. Gdy podeszła do nas kelnerka z moją rybą w cieście, Heather wbiła wzrok w stół, a po chwili przeprosiła i poszła do toalety. Gdy jej nie było, zastanawiałem się nad konsekwencjami tego, co powiedziała. Myliła się, twierdząc, że jej separacja z mężem sprawi, iż przestanę się nią interesować. Właściwie było zupełnie odwrotnie. Opierałem się przed romanssem nie tyle z powodów moralnych, ile raczej z niechęci do takich historii, które, co wiedziałem z doświadczenia, zawsze okazują się kłopotliwe, rozczarowujące i ostatecznie bolesne dla którejś ze stron, jeżeli nie dla wszystkich. Chociaż nigdy nie zdradziłem Laury, to zanim jeszcze się poznaliśmy, miałem przelotny romans z mężatką, który skończył się bardzo źle i raczej mało elegancko. Skoro jednak Heather była wolna, sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Ale nie miałem zamiaru jej tego mówić. Wolałem, żeby najpierw ona wykonała ruch, w każdym razie nie miałem zamiaru zaproponować jej niczego poza pomocą w przeprowadzce - i nie chodziło przy tym o brak odwagi czy gotowości z mojej strony. Nie chciałem na nią w żaden sposób wpływać ani jej zachęcać. Wprawdzie do tej pory niczego takiego nie zrobiłem, ale ludzie nie zawsze postrzegają

rzeczy w tym samym świetle. Nauczyłem się tego, zanim spotkałem Heather czy Charlotte, zanim zacząłem się interesować sprawą Grace Fox.

Kiedy Heather wróciła z łazienki, była już pozbierana. Trzymała też w ręku kolejnego drinka.

- Mam nadzieję, że nie prowadzisz - skomentowałem.

- Idę pieszo.

- Na pewno nie chcesz nic zjeść?

Sięgnęła po mój widelec i dziabnęła kawałek ryby.

- Nie - powiedziała, przełknąwszy go. - To mi wystarczy. - Odepchnęła drinka. - Prawdę mówiąc, na to też nie mam ochoty. Przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby się upić, ale...

- Kiedy podjęliście z Derekiem decyzję?

- To narastało od dłuższego czasu. Nie wiem, czy słyszałeś, ale kiedyś już byliśmy w separacji. Tak czy inaczej, poszło znowu na noże tamtego wieczoru, kiedy byliśmy u ciebie na kolacji.

- Dlatego byliście tak...?

- Wkurzeni i skakaliśmy sobie do gardeł?

- No cóż, niezupełnie, ale owszem, wyczułem pewne napięcie.

- Bardzo jesteś uprzejmy, Chris, ale wiem, że byliśmy okropni.

- A potem?

- Kłótnie, wymówki, wykręty, wzajemne obwinianie. Wczoraj wieczorem w końcu wszystko mi powiedział. Ma inną babę i chce zacząć z nią nowe życie. Co dokładnie pokrywa się z tym, o co go podejrzewałam.

Mało nie zakrztusiłem się piwem.

- Derek?

- Dlaczego nie? Co się tak dziwisz? Cicha woda brzegi rwie. Poza tym na swój sposób jest atrakcyjnym mężczyzną. W każdym razie był, kiedy za niego wychodziłam. No i był wtedy o wiele zabawniejszy. - Westchnęła. - Z naszego związku wyparowała cała radość, Chris. I namiętność. Śmiech. Pracuje z nią. Ma trzydzieści dwa lata. Suka. - Heather ponownie wytarła oczy, po czym poklepała mnie po ręce. - Przepraszam, że zrzucam to wszystko na ciebie. Ale musiałam z kimś pogadać, a nikt inny nie przychodził mi do głowy.

- W porządku - powiedziałem. Zauważyłem, że nie cofnęła dłoni i położyła mi ją na rękę. - Kiedy się wprowadzasz?

- Kiedy zechcę. Mieszkanie jest puste, właściciel przebywa za granicą, klucze są w biurze. Może dziś wieczór albo jutro z samego rana. Uważam, że tego typu spraw nie należy odkładać. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym wytrzymała widok tego sukinsyna choćby przez chwilę. Boję się, że jak zostanę dłużej, to zabiję skurwiela.

- Przykro mi, Heather.

Cofnęła dłoń.

- Niesłusznie. Bo mnie nie jest. Czas zacząć wszystko od nowa. Nie mogę się doczekać. Pomożesz mi wybrać meble, kupić parę rzeczy w Ikei? Tylko żartowałam.

- Nie, ale mogę cię zaprosić do siebie na święta, jeśli masz ochotę. - Opowiedziałem jej o obu telefonach, a potem o wizycie Louise King. Sprawiała wrażenie, jakby ją to interesowało, ale nie potrafiła się skupić, za co zresztą nie mogłem mieć do niej pretensji, i kiedy skończyłem, powiedziała, że musi już iść. Nie chciała, żebym ją podwoził - oświadczyła, że trochę ruchu jej nie zaszkodzi - musnąłem ją więc ustami w policzek, przytuliłem na do widzenia i poszła. Siedziałem przez chwilę nad drugą połówką tetley's cask, po czym wróciłem do Kilnsgate House i puściłem sobie Rodzaj miłości.

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), styczeń-luty 1942 roku.

Singapur.

Niedziela, 1 lutego 1942 roku

Właśnie dotarły do nas wieści, że resztki naszych oddziałów, niedobitki pułku Górali Szkockich, wycofały się groblą przez Johor i wysadziły ją za sobą. Świadkowie twierdzą, że z ponad ośmiuset żołnierzy ocalało jedynie około dziewięćdziesięciu. Japończycy zamontowali ciężką artylerię dokładnie po drugiej stronie cieśniny. Chodzą plotki, że szpital cywilny Tan Tock był pierwszym celem ataku. Codziennie napływają coraz bardziej zatrważające opowieści o okrucieństwach, jakich Japończycy dopuścili się na siostrach i pracownikach korpusu medycznego w Hongkongu. Z tego, co zrozumiałyśmy, ci, którzy ocaleli, przebywają teraz w obozach jenieckich i mogę mieć tylko nadzieję, że wśród nich znajdują się Kathleen, Doris i Stephen. Wszyscy drżymy na samą myśl, że może nas spotkać ten sam los, ale dopóki są tutaj pacjenci, którymi trzeba się zająć, po prostu wykonujemy swoje obowiązki.

Środa, 4 lutego 1942 roku

Próbujemy podtrzymać się na duchu wizytami w kinie i chodząc na tańce do hotelu Raffles, ale nie jest to łatwe. Wszyscy ciągle zapewniamy, że przetrwamy oblężenie. Twierdzą, że Tobruk wytrzymał ponad siedem miesięcy bez żadnych zapasów, a my mamy dwa zbiorniki z wodą i mnóstwo jedzenia. Nie jestem pewna, czy wytrwam tak jeszcze kilka miesięcy. Rozpoczęliśmy kampanię pod hasłem: „Zasiej wiktorię!”, chociaż jakoś nie widzę nas hodujących w tym klimacie brukselki i ziemniaki!

Piątek, 6 lutego 1942 roku

Ciągle napływają kolejne ofiary, a obrażenia są coraz gorsze - głównie rany oparzeniowe i gangrena. Niektórych chłopców oślepił ogień, wielu straciło kończyny. Czasem możemy tylko ocierać im czoła zimną szmatką i szeptać czułe słówka, kiedy wzywają jękiem swoje matki i powoli umierają w męczarniach. Ledwo nadążamy z rannymi, a pracujemy tak długo, że przez cały czas słaniamy się ze zmęczenia. Japończycy bombardują nas teraz codziennie. Czasem musimy pracować przy świecach i lampach naftowych, bo wysiada elektryczność.

Poniedziałek, 9 lutego 1942 roku

Wczoraj udało nam się wyekspediować cztery kolejne okręty wylądowane kobietami i dziećmi. Wkrótce po tym, jak wypłynęły, rozpoczęło się bombardowanie, jakiego tu jeszcze nie mieliśmy. Ziemia trzęsła się tak, że mało nie rozpadła się na kawałki i byłam przekonana, że to już koniec świata. Wybuchy były tak głośnie i przerażające, że przykucnęłam w kącie, zacisnąwszy dłonie na uszach, i siedziałam tam tak długo, aż matka przełożona podeszła i kazała mi wziąć się w garść. Ma rację. Rozklejanie się nic nie da, zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy tak potrzebne. Ranni ciągle napływają, a ci, którzy są w stanie mówić, opowiadają, że Japończycy odbudowali groblę i przekroczyli cieśninę Johor. Wylądowali na północno-zachodnim wybrzeżu i są już w drodze do miasta. Może się to wydać zabawne, ale zapamiętałam cieśninę jako bardzo spokojne miejsce, tuż przy zbiorniku wodnym. Kiedy pogoda robiła się do wytrzymania, urządzaliśmy sobie tam pikniki i patrzyliśmy ponad morzem na Malaje. Było tak romantycznie, zwłaszcza o zmierzchu.

Wczoraj w nocy marynarka podpaliła i opuściła stocznię. Wbijałam wzrok w gęsty, czarny dym, unoszący się ze zbiorników ropy, i nie mogłam w to uwierzyć. Na wyspie zostały setki sióstr, a nie sądzę, żeby były tu jeszcze statki, które mogłyby nas zabrać. Generał Percival obiecuje wprawdzie, że nie pozwoli, by jakakolwiek pielęgniarka wpadła w ręce wroga, ale nie mam pojęcia, jak ma zamiar do tego nie dopuścić. Nie wiem, co się z nami stanie. Pracujemy tak długo, aż padamy. Tylko to możemy robić. Nie ma już wolnych miejsc.

W żadnym szpitalu. Spadają bomby, kule odbijają się rykoszetem, wybuchają pociski, a my zmieniamy opatrunki, robimy transfuzje,

asystujemy przy operacjach, a potem, kiedy już nie jesteśmy w stanie ustać na nogach, padamy jak martwe na parę godzin, jeżeli udaje nam się zasnąć przy tym huk. Następnie zaczynamy na nowo. Czasem w nocy, żeby było nam rażniej, pomimo upału przytulamy się do siebie z Brendą, leżąc na podłodze na naszych wojskowych materacach. Przynajmniej w Szpital Królowej Aleksandry nie trafiła jeszcze żadna bomba. Dziś został zbombardowany Szpital Generalny w Tyersall. Zginęło dwieście osób - pacjenci i personel.

Wtorek, 10 lutego 1942 roku

Słyszałam dzisiaj w oddali ogień karabinowy. Są już bardzo blisko. Nawet RAF nas opuścił. Ostatnia eskadra dziś rano odleciała na Sumatrę. Przystarzałe wildebeesty nie były żadnym przeciwnikiem dla nowoczesnych japońskich samolotów. Pracujemy dalej. Podłogi i klatki schodowe lepią się od krwi, ale nie mamy czasu, żeby je wyczyścić. Cały personel pomocniczy nas porzucił, oprócz naszych pielęgniarskich obowiązków musimy więc robić wszystko inne, gotować, prać pościel, szorować podłogi. „Wu Sueh” ewakuował na Jawę dwadzieścia cywilnych pielęgniarek, ochotniczek, i ponad trzystu rannych. Nawet nasza szpitalna łódeczka nas porzuciła.

Środa, 11 lutego 1942 roku

I znowu wymiana ognia, jeszcze bliżej. Poważnym problemem są teraz snajperzy - zabili już trzech naszych sanitariuszy. Musimy być bardzo ostrożne, kiedy wychodzimy na zewnątrz albo nawet stajemy przy oknie. Dziś rano matka przełożona wezwała nas wszystkie i zapytała, które z nas chcą na ochotnika wieczorem odpłynąć na „Cesarskiej Gwieździe”, ale żadna się nie zgłosiła. Nie chcemy opuszczać naszych pacjentów i wiemy, że jeśli odpłyniemy, możemy już nigdy nie zobaczyć naszych przyjaciółek.

Matka przełożona losowo wybrała nazwiska. Nie było wśród nich ani mojego, ani Brendy, ale połowa sióstr odpłynęła. Wczoraj w nocy siedziałam do późna z młodym szeregowcem z Regimentu Norfolk. Ledwo zdążył zejść z transportowca i już musiał walczyć w dżungli z Japończykami. Od początku nie było dla niego nadziei. Nic nie mogliśmy zrobić.

Stracił obie nogi, a gangrena była zbyt zaawansowana. Miał wysoką gorączkę i w halucynacjach uznał mnie za swoją matkę. Nie chciał puścić mojej dłoni. Mogłam tylko wilgotną ściereczką obcierać mu czoło, mówić, że go kocham i że wszystko będzie dobrze, chociaż dobrze wiedziałam, że to nieprawda. Zmarł w moich ramionach o piątej nad ranem.

Byłam bardzo zmęczona, ale płakałam tak, że nie mogłam zasnąć. Naprawdę czułam się tak, jakbym straciła syna.

Czwartek, 12 lutego 1942 roku

Władze zgromadziły w opuszczonej stoczni flotę złożoną z osiemdziesięciu okrętów.

Australijskie pielęgniarki odpłynęły dziś na statku „Vyner Brooke”. To było kolejne smutne pożegnanie. Japończycy są coraz bliżej. Przyszła kolej na nas.

Grudzień 2010

Wyprawa do Staithes następnego ranka okazała się dosyć przyjemna. W pewnym momencie zobaczyłem drogowskaz do Saltburn i miałem już skręcić, ale ostatecznie się rozmyśliłem - i tak niczego bym się tam nie dowiedział. W Saltburn wychowała się Grace Fox czy raczej Grace Hartnell, bo tak się wtedy nazywała, i pomyślałem początkowo, że może przydałoby się tam rozejrzeć. Ale Grace wyjechała z miasteczka jeszcze w latach 30. i było raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś tam jeszcze ją pamiętał, a nawet jeśli, to jeszcze musiałbym tego kogoś znaleźć. Połowę swojego krótkiego życia Grace spędziła w Kilnsgate.

Pojechałem więc dalej do Staithes, gdzie byłem umówiony z Louise King. Przez ostatnie dni moje podekscytowanie na myśl o tym, że przeczytam dziennik Grace, stale narastało i problemy Heather oraz świąteczne plany tylko w niewielkim stopniu były w stanie zająć mój umysł.

Choć krajobraz był przeważnie bury i przywiędły, jak na grudniowy dzień w Yorkshire było bardzo słonecznie i kiedy nieopodal Boulby, poniżej wysokiego urwiska po lewej stronie, zamigotało mi w oczach morze, prawie dałem się nabrać, że mamy lato. Lekko wzburzone wody były sinoszare i od czasu do czasu znaczyły je białe grzywacze oraz długie linie

załamujących się fal. Na horyzoncie przepłynęło kilka tankowców, a na niebie wiatr gonił sześć puszystych chmur, które ustawiły się w zwartą formację niczym gigantyczne białe rydwany.

Trzymając się wskazówek Louise, które dała mi, gdy tamtego wieczoru podwoziłem ją do samochodu zaparkowanego na rynku w Richmond, zostawiłem volvo na parkingu na szczycie wzgórza i zacząłem schodzić. Było bardzo stromo i choć roztaczał się przede mną wspaniały widok na zatokę, morze i urwisko, myślałem z dużą niechęcią o wspinaczce, jaka czeka mnie w drodze powrotnej. Słońce mogło człowieka zmylić, ale było naprawdę zimno, głównie z powodu silnego wiatru znad Morza Północnego, i cieszyłem się, że zabrałem ze sobą podszytą polarem zimową kurtkę, którą kupiłem w sklepie Yorkshire Trading.

Około wpół do dwunastej skręciłem w krótką, wąską dróżkę między jubilerem a piekarnią, za którą kazała mi się rozglądać Louise. Domek stał na samym jej końcu.

Musiałem się schylić, żeby nie uderzyć głową w belkę. Znalazłem się w niewielkim salonie, bardzo przytulnym, z niskim sufitem i oszklonymi drzwiami wychodzącymi na maleńkie patio. Na zewnątrz stały dwa krzesła i stół, ale raczej wątpiłem, by ktoś chciał z nich korzystać aż do wiosny. Roztaczał się stamtąd zapierający dech w piersiach widok na przystań, stację ratowniczą i morze. Ale nie przyjechałem po to, żeby go podziwiać.

Na niskim stoliku przed sofą rozrzucono kilka przedmiotów, które, jak się domyśliłem, były wszystkim, co zostało na tym świecie po Grace. Ledwo potrafiłem ukryć podniecenie, jakie mnie ogarnęło, i zrobiło mi się trochę wstyd, że Grace Fox do tego stopnia stała się moją obsesją. Wyglądałem tam jak żarłok przed ochłapem mięsa, alkoholik przed butelką, niemogący się doczekać pozwolenia, by rzucić się na nie.

Louise wyglądała o wiele zdrowiej i ładniej niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Jej włosy błyszczały od żelu, miała też delikatny makijaż. Ubrana w dżinsy i czerwony top z muszelkami, ciągle sprawiała wrażenie wychudzonej i udręczonej, a metalowe ozdoby na twarzy i jej niezdrowa powaga ostrzegały, że trudno byłoby ją poznać i pokochać, nawet jeśli ktoś zbliżyłby się do niej wystarczająco, żeby chociaż spróbować. Mogłaby też nabrać trochę ciała. Większość osób nawet nie byłaby sobie w stanie wyobrazić, przez co przeszła ta dziewczyna i jakiej siły, odwagi oraz wytrwałości wymagało od niej, by przeżyć to wszystko w jako takiej

kondycji psychicznej. Chwilowo wydawała się dosyć rozluźniona i przez chwilę rozmawiała nawet ze mną swobodnie na temat historii domku oraz tradycji rybackich Stai thes. Bez wątpienia zauważyła, że zerkam chciwie na stolik, praktycznie śliniąc się na myśl o tym, co mnie czeka, ale mówiła dalej.

- Nie krępuj się - powiedziała w końcu, wskazując na pamiątki po Grace. - Zrobię herbatę.

- Okej.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Ledwo zdążyła przy zlewie napełnić czajnik, a ja już trzymałem w rękach plik fotografii. Były czarno-białe i miały nieobcięte brzegi. Na niektórych zauważyłem wygięte rogi albo ślady kleju z tyłu, tak jakby ktoś je wyjął z albumu.

Na większości Grace i jej koleżanki pielęgniarki pozowały z rannymi żołnierzami, których wielu miało ręce na temblakach, obandażowane głowy albo amputowane nogi. Dziewczęta najczęściej były ubrane w tropikalne mundury, czyli twarzowe białe sukienki, czepki i buty, choć czasem miały na sobie tylko koszule i krótkie spodenki, a nawet kostiumy kąpielowe.

Bez trudu rozpoznałem wśród nich Grace, choć przecież do tej pory widziałem ją tylko na portrecie rodzinnym w Kilnsgate oraz na obrazach czy rysunkach Sama Portera.

Ciemne, faliste włosy opadały jej do ramion i przeważnie zagarniała je za uszy.

Jedno ze zdjęć przeszło mi serce. Ubrana w białą sukienkę i czepek, pochylała się w jakimś prowizorycznym medycznym namiocie nad wycieńczonym pacjentem, któremu podawała kubek herbaty, próbując ostrożnie umieścić go w jego wyciągniętych dłoniach. Jego twarz była całkowicie zabandażowana - w opatrunku zrobiono tylko dziury na usta oraz pod nozdrzami. Domyśliłem się, że musiał zostać bardzo poważnie poparzony, być może nawet stracił wzrok. Zdjęcie było tak realistyczne, że niemalże w i - działałem, jak trzęsą mu się dłonie. Na twarzy Grace malowało się skupienie zmieszane ze współczuciem. Miała zaciśnięte usta, czułość w oczach, a na jej czole pojawiła się niewielka bruzda. W tle, przed namiotem, stała wojskowa ciężarówka z wielkim krzyżem na burcie. Najwyraźniej Grace nie wiedziała, że jest fotografowana. Przypuszczałem, że zdjęcie zrobiła jakaś inna pielęgniarka i podarowała jej później.

Na kolejnej fotografii Grace była z grupką przyjaciółek. Wydawało się, że doskonale się bawią - miały na sobie kostiumy kąpielowe, śmiały się i dokazywały na plaży. Na następnej stała, przytrzymując z tyłu szarpane wiatrem włosy, na skalistym wzniesieniu na tle przewalających się fal. Mogło to być gdzieś w Kornwalii, ale miała na sobie białą sukienkę z epoletami oraz guziczkami z przodu. Na następnym pozowała w pełnym rynsztunku bojowym, siedząc okrakiem na ogromnym motocyklu, z zawadiacko przekrzywionym hełmem i karykaturalnym uśmiechem na twarzy.

Na dwóch zdjęciach Grace stała przed Kilnsgate House. Jej włosy były już dłuższe, a miała na sobie jasną sukienkę zwężającą się w talii i rozszerzającą poniżej, z guzikami z przodu jak w jej pielęgniarskim mundurze. Chroniła oczy przed słońcem i uśmiechała się do fotografa. Na kolejnym obejmowała w ogrodzie w Kilnsgate niedaleko bramy małego chłopca, wskazując palcem w stronę wapiennika. Mógł mieć tyle lat, ile Randolph, kiedy doszło do morderstwa, zastanawiałem się więc, czy zostało zrobione mniej więcej w tym czasie. Grace miała jednak na sobie letnią sukienkę, a chłopiec był w krótkich spodenkach i koszuli. Ponieważ stał profilem, nie widziałem jego twarzy. Zapytałem o to Louise, kiedy wróciła z tacą z filiżankami i czajniczkiem.

Pokręciła głową i powiedziała:

- Nie, to nie mój tato. Nie mam pojęcia, kto to.

Kolejna zagadka. Miałem pewien pomysł, kto to może być, ale musiałem najpierw sporo poszperać, nim przekonam się, czy mam rację. A nawet jeśli, ciągle było bardzo dziwne, że zdjęcie to zrobiono w Kilnsgate House.

Nie znalazłem żadnych ślubnych zdjęć, co więcej, żadnej fotografii Ernesta Foga i tylko kilka Randolpha - w wieku od dwóch-trzech do pięcioletnia lat. Na jednym Grace stała na rynku w Richmond z jakąś damą, a w tle widać było starą kamienicę przy kościele Świętej Trójcy i obelisk. Dziś z pewnością już ich tam nie było. Nie wiedziałem, co to za kobieta.

Czyżby Alice Lambert? Domyślałem się, że Grace miała w miasteczku również inne koleżanki, choćby te, które znała ze spotkań towarzyszeń operowego i dramatycznego albo z wieczornych koncertów, na które uczęszczała, ale nic o nich nie wiedziałem. Wszystko wskazywało na to, że

żadna z nich nie odegrała szczególnej roli w wypadkach ze stycznia 1953 roku, choć nie mogłem przestać się zastanawiać, czy nie miała przypadkiem jakiejś na tyle bliskiej przyjaciółki, by jej się zwierzać, opowiadać o wszystkich swoich problemach i grzeszkach. Doszedłem jednak do wniosku, że nawet gdyby, nic by mi to nie dało. Jeśli przyjaciółka Grace była w jej wieku, dobiłaby teraz setki lub najprawdopodobniej już nie żyła.

Myśl ta sprawiła, że wszystkie moje próby nagle wydały mi się z góry skazane na niepowodzenie. Poczułem zmęczenie i przygnębienie. Co chciałem udowodnić? Po co? Jakie to miało znaczenie? Spojrzałem na Louise i zacząłem się zastanawiać, jak wiele właściwie znaczyła dla niej prawda, zakładając, że ją odkryję i że będzie się różniła od oficjalnej wersji.

Czy sprawi, że dziewczyna będzie szczęśliwsza, czy raczej zniszczy delikatną równowagę, jaką z takim trudem udało jej się osiągnąć? Może Bernie miał rację, kiedy kilka tygodni temu mówił mi w Soho, że czasem lepiej zostawić przeszłość w spokoju. A może robiłem to wszystko dla siebie? Chodziło o Grace czy raczej o mnie samego? Czyżby tylko mnie zależało na znalezieniu wyjaśnienia, które różniłoby się od oficjalnego wyroku? Nie znałem odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Machnąłem ręką na melancholię, odłożyłem zdjęcia na stolik i podniosłem niewielki, oprawiony w skórę dziennik. Okładka była miękka i przetarta z wierzchu. Na niektórych stronach zobaczyłem plamy. Krew, herbata, woda, wino - nie miałem pojęcia. Na przedniej wklejce Grace napisała: „W razie znalezienia proszę zwrócić do: Grace Fox, Kilnsgate House, Kilnsgate Lane, Kilnsgarthdale, nr Richmond, Północny Okręg Yorkshire, Anglia”.

Kiedy otworzyłem książeczkę na pierwszym wpisie i zobaczyłem precyzyjne, drobne pismo Grace, zupełnie takie samo jak na moim Schubercie, poczułem na plecach ciarki.

Zdałem sobie też sprawę, że żadnym sposobem nie przeczytam całości przez te kilka chwil, które mam spędzić w Staithes, i nagle zaczęła we mnie narastać panika. Dziennik był pisany przeważnie ołówkiem, tylko niektórych wpisów dokonano piórem wiecznym. W tamtych czasach nie wynaleziono jeszcze długopisów, a jak się domyślałem, w warunkach, w jakich przebywała Grace, czasem trudno było używać pióra.

Lekkie rozczarowanie poczułem też, kiedy zorientowałem się, że dziennik obejmuje tylko lata 1940-1945 i że nie został doprowadzony do 1952 czy 1953 roku. Mimo to nie wątpiłem, że będzie to fascynująca lektura i że znajdę w niej wiele perełek oraz brakujących fragmentów układanki. Z tego, co mogłem się zorientować po pobieżnym przekartkowaniu, widać też było, że w pewnych okresach, czasem przez kilka miesięcy, Grace nie dokonywała żadnych wpisów. Większość notek była krótka, przeważnie były to zaledwie wzmianki, choć niektóre okazały się znacznie dłuższe, a na końcu zauważyłem trzy albo cztery puste strony.

Wyglądało więc, że w tym miejscu go skończyła. Niektóre strony były poplamione i nieczytelne.

Odłożyłem dziennik, napiłem się herbaty i przyjrzałem pozostałym przedmiotom. Był wśród nich egzemplarz Końca romansu Grahama Greene'a - prawdopodobnie ostatniej powieści, jaką przeczytała Grace - oraz trochę biżuterii, schowanej w czarnej aksamitnej sakiewce od richmondzkiego jubilera. Na pierwszy rzut oka wszystkie ozdoby były gustowne i dobrej jakości, choć nieszczęśliwie drogie: kolczyki, wisiorek w kształcie serca, w którym jednak nie było żadnych zdjęć czy kosmyków włosów, prosta bransoletka na rękę, kamienie półszlachetne, naszyjnik z gagatów. Żadnych obrączek czy pierścionków zaręczynowych. Był też medal - krzyż maltański ze złotym kołem w środku i czerwonymi ramionami, na których wypisano słowa: Wiara, Nadzieja, Miłosierdzie. U spodu zauważyłem datę: 1883.

Zawieszony był na ciemnoniebieskiej wstędze ze szkarłatnym obszyciem.

- To Królewski Czerwony Krzyż - wyjaśniła Louise. - Sprawdziłam. Nadawano go za szczególne zasługi w pielęgnowaniu chorych i rannych żołnierzy lub marynarzy. Pierwszą odznaczoną nim kobietą była Florence Nightingale. To najwyższe odznaczenie, jakie może otrzymać wojskowa pielęgniarka. Przez całą wojnę dostało go tylko dwieście szesnaście kobiet.

- Nikt mi o nim nie wspominał. Ani Wilf, ani Sam.

Louise wzruszyła ramionami.

- Może nikomu o nim nie powiedziała.

Wśród pamiątek został już tylko jeden przedmiot - srebrna papierośnica. Przyjrzawszy jej się bliżej, zobaczyłem wygrawerowaną scenę pastoralną,

przedstawiającą młodego mężczyznę grającego na piszczalkach i młodą kobietę opierającą się obok o drzewo. W dali widać było miasteczko lub wioskę przy krętej drodze. Trudno było dostrzec szczegóły, bo srebro było zmatowiałe i wytarte. Zauważyłem też inskrypcję, wyjąłem więc okulary do czytania, które nosiłem na takie okazje - przeglądanie okładek płyt CD albo rozwiązywanie krzyżówek - i przeczytałem: „Nie zwiędnie w swej krasie, jest bowiem piękna, a ty ją miłujesz!”[5]. Był to fragment Ody do urny greckiej Keatsa, wiersza, którego musiałem się uczyć na pamięć w szkole. Żadnych imion, żadnej dedykacji. Jedyne prezent dla Grace od Sama. Ten, który odważyła się zatrzymać. Przypomniałem sobie broszurowe wydania w pokoju do szycia. Shelley. Keats. Najwyraźniej Grace uwielbiała Keatsa, podobnie jak Laura, która cytowała go w swoich niemal ostatnich słowach. Otworzyłem papierośnicę. Była pusta, ale poczułem lekki zapach tytoniu. Na spodzie było napisane: „Piękno jest prawdą, prawda pięknem! Godna Wiedza, by w każdym pamiętać ją czasie”[6].

Louise przyglądała mi się z osobliwym półuśmiechem na twarzy.

- No co? - zapytałem, podchwytyjąc jej wzrok.

- Nic. Po prostu wyglądasz jak detektyw ślęczący nad dowodami.

- Ten dziennik. Mógłbym go...

- Nie - ucięła. - To moja własność i nikomu go nie dam. Nie chcę się z nim rozstawać nawet na chwilę. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Oczywiście. Myślałem tylko...

Louise uniosła dłoń i wstała.

- Zaczekaj chwilę - poprosiła i wyszła z pokoju. Słyszałem trzeszczenie drewnianych schodów, kiedy szła na górę. Kiedy wróciła, trzymała w ręku egzemplarz Słynnych procesów i płytę. - Już przeczytałam, dziękuję - powiedziała. - A to może cię zainteresować.

- Co to takiego?

- Kiedy to otrzymałam - wskazała na rzeczy na stoliku - zaraz się zorientowałam, jakie to delikatne i wyjątkowe przedmioty. Zwłaszcza dziennik i zdjęcia. Jak widzisz, niektóre z nich już są w złym stanie. Pomyślałam, że dobrze byłoby wszystko zeskanować i wrzucić do komputera. - Wręczyła mi płytę. - To DVD. Kopia. Wszystko na niej nagrałam. Fotografie, dziennik, cyfrowe zdjęcia pozostałych przedmiotów. Możesz je sobie wydrukować.

Przytrzymałem płytę w dłoni, nie wierząc we własne szczęście.

- Nie krępuj się - dodała Louise. - Weź ją. Jest twoja. Możesz zatrzymać.

- Dziękuję... dziękuję - wyjąkałem, wkładając płytę oraz książkę do podniszczonej skórzanej aktówki, którą zawsze ze sobą noszę, „saszetki”, jak nieco złośliwie nazywała ją Laura. - Posłuchaj, mogę ci postawić lunch?

- Myślałam, że już nie proponujesz. Umieram z głodu.

- Minąłem po drodze pub. Może być?

- Jasne. Zwłaszcza że nie mamy zbyt wielkiego wyboru, szczególnie o tej porze roku.

A potem może pokażę ci grób babci?

Louise powiesiła swoją podbijaną futrem kurtkę z kapturem na ławce obok, a ja kupiłem jej dietetyczny napój cytrynowy, przez chwilę zastanawiając się, czy nie zamówić tego samego, ale ostatecznie decydując się na pintę black sheep. Byłem tak podekscytowany pamiątkami po Grace, że zapomniałem o alkoholizmie dziewczyny, ale wszystko wskazywało na to, że przebywanie w towarzystwie pijących w ogóle jej nie przeszkadzało. Po drodze z baru zabrałem ze sobą menu lunchowe. Nie było świeżych owoców morza, ale Louise zapewniła mnie, że kielbaski Cumberland i tłuczone ziemniaki są całkiem niezłe, zdecydowałem się więc właśnie na ten zestaw. Z kolei ona zamówiła beefburgera i frytki.

W pubie chwilowo było pustawo, ale domyśliłem się, że w sezonie turystycznym panuje w nim spory ruch. Przy barze stało, gawędząc sobie, kilku miejscowych w swetrach rybackich, właściciel obok rzucał od czasu do czasu jakiś komentarz, a przy stołach siedziały nad lunchem dwa starsze małżeństwa, sądząc z wyglądu, emeryci. Na ścianach wisiały obramowane zdjęcia rybaków oraz sztormu, który kiedyś spustoszył Staithes. Ledwie umiałem sobie wyobrazić, jakie musiało się tutaj wtedy rozpętać piekło. Już dzisiejszy wiatr był, moim zdaniem, wystarczająco paskudny. Gdybym się znalazł na morzu, zwymiotowałbym za burtę.

Luty 1953, zobaczyłem podpis i zamarłem. Grace była wtedy pewnie w areszcie i czekała na proces. Musiały do niej dotrzeć wieści o sztormie. Bez wątpienia zaatakował również Saltburn, a może i całe wybrzeże, i pewnie martwiła się o mieszkającą tam rodzinę i przyjaciół. A co z Samem Porterem? Czy przebywał wtedy w Staithes ze swoimi znajomymi z kręgów

artystycznych, próbując jakoś pogodzić się ze straszliwą ceną, jaką zapłacił za romans z Grace?

Pokazałem zdjęcie Louise, a ona, jak się zdawało, natychmiast zrozumiała, o co mi chodzi.

- Co sądzisz o Słynnych procesach?

Parsknęła z pogardą.

- Typowi mężczyźni - powiedziała. - Naprawdę nie mam pojęcia, czy to zrobiła, czy nie, ale wszystko wskazuje na to, że największe halo zrobili wokół jej moralności czy też jej braku. Gdyby to cholerne babsko z Leyburn nie zaczęło rozpowiadać, że niby bzykali się w jej pensjonacie, załóżę się, że w ogóle nie doszłoby do procesu. Te wszystkie dowody to jedna wielka kpina. Z wyjątkiem wodzianu chloralu, który Ernest Fox równie dobrze mógł zażyć sam, nie przedstawili niczego, co pozwalałoby przypuszczać, że babcia zrobiła cokolwiek poza tym, że próbowała uratować mu życie.

Pokręciła głową.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - rzekłem. - Choć trzeba przyznać, że prokurator, jak na tak nikłe dowody, przedstawił swoje argumenty w bardzo przekonujący sposób. Za to obrona moim zdaniem była dosyć nijaka.

- Nijaka? Była kompletnie do kitu, przynajmniej ja tak uważam. To była dla nich jakaś cholerna gra. Przypuszczam, że wśród przysięgłych byli sami mężczyźni. Pewnie co wieczór walili konia, myśląc o niej, a potem nienawidzili się za to, dlatego postanowili ją powiesić.

Znając przeszłość Louise, nie powinienem był się dziwić, niemniej jej wybuch gniewu wprowadził mnie w osłupienie.

- To po prostu odbicie moralności tamtych czasów - zauważyłem.

- „Moralność tamtych czasów”. Bardzo ładny frazes, maskujący wszelkie zło. W takim razie Rzymianie ciskający chrześcijan lwom na pożarcie też byli odbiciem moralności tamtych czasów? A co z niewolnictwem i obozami koncentracyjnymi? Czy mamy się przestać nimi oburzać, bo odzwierciedlały moralność tamtych czasów? Hiroszima? Nagasaki? A co z więźniami wysyłanymi w łańcuchach do Australii w przerażających warunkach, na śmierdzących, siejących chorobą, przeładowanych statkach? Czy to też odbicie moralności tamtych czasów? Jeżeli tak, to wcale to nikogo nie tłumaczy, nie oznacza, że takie

postępowanie było dobre. A jeżeli uważasz, że „moralność tamtych czasów” należy dziś do przeszłości, to pomyśl tylko o Zimbabwe, Korei Północnej, Iranie, Afganistanie. Mam wymieniać dalej?

- Przecież wcale nie twierdzę, że postąpili dobrze - zaprotestowałem. Dlaczego nagle poczułem się jak obrońca moralności lat pięćdziesiątych? Zwłaszcza że ostatnie trzydzieści lat spędziłem w dosyć swobodnej i nieskrępowanej południowej Kalifornii. Wprawdzie trudno byłoby mnie nazwać rewolucjonistą, ale reakcjonistą też nie byłem. Uważałem siebie właściwie za liberała, liberalnego humanistę, w amerykańskich warunkach po prostu demokratę, a tutaj... Cóż, z pewnością nie należałem do zwolenników koalicji.

- Przepraszam - powiedziała Louise, dostrzegłszy moją frustrację. - Wiem, że to nie twoja wina. Po prostu wkurzam się na samą myśl o tym. Musiałam się wygadać.

Przyniesiono jedzenie i przez chwilę pałaszowaliśmy w milczeniu. Słyszałem fale rozbijające się o mur przystani oraz gwar rozmów wokół nas, od czasu do czasu przerywanych wybuchem śmiechu.

- Jedna z rzeczy, o których wspomniał Morley w swojej relacji, przyciągnęła moją uwagę - zagaiłem. - Ale nie chodzi o materiały dowodowe wykorzystane w sprawie. Pisał o tym wcześniej.

- Tak, zauważyłam, że podał sporo informacji na temat babci i dziadka. Właściwie to mnie najbardziej zaciekało. Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiedział.

Ciągle brzmiało to dla mnie dosyć dziwnie, gdy Louise mówiła tak o Grace. „Babcia i dziadek”. Ale tak właśnie było. W końcu była córką Randolpha Foxa, niezależnie od tego, ile razy rodzina zmieniała nazwisko i ile tragedii ją spotkało. Wnuczką Grace i Ernesta.

- Przypuszczam, że to policjanci dokładnie sprawdzili wszystkich, którzy mieli związek ze sprawą. Rozmawiali z rodzicami Grace, z ludźmi, którzy ją pamiętali jeszcze z Saltburn. A Morley pewnie przeprowadził również śledztwo na własną rękę. Tak czy inaczej, wspomniał o tym, że Grace w wieku osiemnastu lat zerwała zaręczyny z niejakim Edwardem Cunliffem.

- Pamiętam.

- Wszystko wskazuje na to, że Grace rzuciła go dla Thomasa Murraya, obiecującego poety. Zginął ostatecznie w czasie hiszpańskiej wojny domowej, ale to już prawdopodobnie nie ma większego znaczenia.

- A co ma znaczenie? - zapytała Louise.

- Według Morleya, Thomas Murray był łajdakiem, libertynem, złym chłopcem, bez wątplenia pełnym podziwu dla Byrona oraz romantyków, i wkrótce potem uciekł z inną kobietą, porzucając Grace i zostawiając ją z obrażonym narzeczonym i zszarganymi nerwami.

Była tak chora, że wysłano ją do ciotki Ethel w Torquay, żeby wydobrzała.

- No i?

- No cóż, to dosyć oczywiste, co miał na myśli, nie sądzisz? Często w taki właśnie sposób mówiło się o nieszczęsnych dziewczętach, które zaszły przypadkiem w ciążę i zniknęły na jakiś czas na wsi, żeby urodzić dziecko, a potem wrócić bez niego do domu. Tak właśnie ukrywano tego rodzaju występki, które mogły zniszczyć dziewczynie życie, zwłaszcza jeśli pochodziła z dobrego domu.

Louise zgromiła mnie wzrokiem.

- Uważasz, że moja babcia zaszła w ciążę z Thomasem Murrayem?

- Co więcej - potwierdziłem - jestem przekonany, że urodziła dziecko. Kilka dni przed śmiercią jej męża widziano Grace, jak rozmawiała na Castle Walk z młodym umundurowanym mężczyzną. Ci, którzy ich podpatrzyli, nie mieli pojęcia, kto to taki.

Informacja donikąd nie doprowadziła. Romansowała z Murrayem w trzydziestym roku, kiedy miała osiemnaście lat. Pod koniec pięćdziesiątego drugiego jej syn miałby lat dwadzieścia dwa. Wszystko się zgadza. Może więc to był faktycznie on? Syn Grace? Może jego pojawienie się miało coś wspólnego z późniejszymi wydarzeniami albo z jej niechęcią do obrony samej siebie?

Oboje już zjedliśmy i młody mężczyzna podszedł do nas, żeby zabrać naczynia.

Louise położyła podbródek na dłoniach, a łokcie oparła na stole.

- Jej syn?

- Musisz przyznać, że to całkiem możliwe.

- Ale nie jesteś pewien.

- Jasne, że nie. Tylko spekuluję.

Zmarszczyła brwi.

- No nie wiem. Trochę to zagmatwane. Nigdy dotąd nie bawiłam się w detektywa.

- W porządku. Może za bardzo z tym pędzę. Ale wiem, że cię to interesuje. Wiem, że zależy ci na pamięci po twojej babce.

- Oczywiście, że mi zależy. Jeżeli mogę pomóc... Ja tylko... Trochę za tobą nie nadążam. Za mało wiem.

- Zastanawiam się nad tą sprawą i analizuję ją dłużej niż ty. Nie dotyczy mnie osobiście, tak jak ciebie, ale jestem przekonany, że się nie mylę, sądząc, że twoja babka była niezwykłą kobietą i że bardzo ją skrzywdzono. Musisz mi zaufać.

Louise przyglądała mi się przez chwilę, zmrużywszy oczy.

- To nie takie proste.

- Być może, ale chociaż spróbuj. Co ci szkodzi? Przecież podobnie jak ty twierdzę tylko, że policja i sąd schrzaniły robotę. Być może jednak coś pominęli, jakieś istotne powiązania albo wydarzenia. Spójrzmy prawdzie w oczy: w końcu kierowali się wyłącznie w jedną stronę - w stronę Grace Fox. Ukrzyżowali ją. Nawet Sama Portera dosyć szybko wykluczyli jako potencjalnego podejrzanego.

- Więc twoim zdaniem nie był współwinny?

- Nie - potwierdziłem. - Rozmawiałem z nim. Jest teraz starym człowiekiem i jak wiesz, ciągle maluje. Żyje smutnymi wspomnieniami, ale ciągle ma bystry umysł. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to myślę, że naprawdę kochał twoją babkę i nigdy nie pogodził się z tym, co się stało, z jej utratą. Wszystko to jest dla niego równie zagadkowe, jak dla nas, ale on też jest przekonany, że tego nie zrobiła.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak, w Paryżu.

- Pojechałeś aż do Paryża, żeby porozmawiać z Samuelem Porterem?

- To nie tak daleko. W każdym razie stąd.

- Ale po co?

- Chciałem się z nim spotkać, dowiedzieć się, co tym sądzi, co pamięta.

- I jak, warto było?

Przypomniałem sobie obrazy i rysunki.

- O, tak.

Pewnego dnia jej o nich opowiem. Może nawet razem odwiedzimy Sama, jeżeli będzie chciał się znowu spotkać, i zobaczy je na własne oczy. Poznać wnuczkę Grace.

Samowi by się to spodobało. W dodatku dziewczyna też jest artystką. Ale nie teraz. Ciągle mi jeszcze nie ufała w pełni, za co jej zresztą nie winiłem. Też nie byłem do końca pewien, czy po tym, co przeszła, jest w stu procentach zrównoważona psychicznie. Nie wiedziałem, czy mogę jej zaufać. Ale to, że pokazała mi pamiątki po Grace i dała płytę DVD, dobrze rokowało na przyszłość. Miałem nadzieję, że pomożemy sobie nawzajem i wkrótce nabierzemy do siebie zaufania.

- Tak czy inaczej - kontynuowałem - co sądzisz o mojej teorii?

- Naprawdę nie wiem - odparła powoli. - To znaczy, słyszałam o przypadkach podobnych do tego, o którym mówiłeś. Ale czy to możliwe, że nikt się z niczym nie wygadał?

- Morley wyraźnie o tym mówił. Tyle, ile było trzeba. Wszyscy, którzy czytali relację, doskonale wiedzieli, do czego pije.

- A w sądzie?

- To nie miało związku ze sprawą. Wydarzyło się dwadzieścia lat wcześniej niż domniemana zbrodnia. Poza tym to była kwestia charakteru. Gdyby Grace zdecydowała się zeznawać, coś takiego mogłoby wyjść na jaw, ale przecież nie zeznawała. Adwokat jej nie pozwolił. Najwyraźniej miał resztki zdrowego rozsądku.

- Zastanawiałam się nad tym. Czy nie byłoby lepiej, gdyby wypowiedziała się we własnym imieniu, gdyby powiedziała im prawdę? Nie do końca rozumiem tę część argumentacji.

- Przeczytaj dokładnie - doradziłem. - Morley to szczegółowo tłumaczy.

Louise obgryzała przez chwilę palce, zastanawiając się nad czymś.

- No dobrze, założmy, że masz rację. Albo że możesz mieć rację. Co właściwie zrobimy?

Muszę przyznać, że tu mnie miała. Może i niebiosa obdarzyły mnie paroma talentami, ale umiejętność grzebania w zakurzonych archiwach, czy gdzie tam trzyma się stare dokumenty, z pewnością do nich nie należy. Nie miałem pojęcia, gdzie zacząć szukać, ani cierpliwości, gdybym już się dowiedział.

- Musi być jakiś sposób - powiedziałem.

Louise nachyliła się.

- Chyba mogę ci pomóc.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Sama nie bardzo się na tym znam, ale paru moich znajomych w Australii nakręciło się kiedyś na sporządzanie drzew genealogicznych. Są do tego programy, książki, podręczniki, co tylko wymyślisz. Informacje znajdują się tutaj, wokół nas. Wiem, gdzie ich szukać. Ćwiczyliśmy się nawet w tym trochę na kursie komputerowym.

- Wiesz, gdzie trzeba pójść i co robić z informacjami?

- Nie przesadzaj. Mam podstawy i kilka pomysłów. Ale niczego nie mogę obiecać.

Bawiliśmy się w to wprowadzie w Australii, ale niektórzy z moich kumpli mieli korzenie tutaj.

Wystarczy trochę pochodzić po urzędach, a potem pogrzebać w sieci. Nawet nie wiesz, ile można w ten sposób wydobyć.

- Zrobiłabyś to?

- W pracy mam się pojawić dopiero za kilka dni, chociaż pojutrze muszę jechać do Cambridge odebrać klucze do nowego mieszkania. Ale myślę, że w tym czasie mogę co nieco posprawdzać.

- Wspaniale! Oczywiście pokryję wszystkie wydatki.

Spojrzała na mnie surowym wzrokiem.

- Nie musisz. Mam pieniądze. W końcu sprzedałam ci dom. Poza tym, jeżeli już, to mogę pracować z tobą, a nie dla ciebie.

Uniosłem dłonie.

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

Spojrzała na mnie znowu i przez długą chwilę nie opuszczała oczu. W końcu skinęła głową.

- Przeprosiny przyjęte.

- Dlatego wybrałam Staithes - powiedziała Louise, gdy szliśmy przez niewielki cmentarz na szczycie klifu. - Chciałam zobaczyć, gdzie została pochowana babcia, a nigdzie bliżej nie mieli przyzwoitych domków na wynajem.

Znajdowaliśmy się gdzieś między Staithes a Redcar. Cmentarz był położony na końcu polnej ścieżki, kilka mil od normalnej drogi. Obok stał tylko kościółek, przy którym wytyczono też parking. Ruszyliśmy z Louise zarośniętą alejką, walcząc z wyjąłym nam w nieosłoniętych uszach wiatrem znad Morza Północnego. Okolica przypomniła mi cmentarz Najświętszej Maryi Panny w Whitby, na którym wylądował Drakula, tyle że ten był o wiele mniejszy i leżał bardziej na odludziu. I nie było na nim schodów o stu dziewięćdziesięciu dziewięciu stopniach, a kościół nie był otwarty dla zwiedzających. Jego drzwi chroniła przed wandalami kłódka.

Sporo nagrobków pochodziło z XVIII i XIX wieku, a z tych, które były odwrócone w stronę morza, przez te wszystkie lata słony wiatr zmył nazwiska. Zostały tylko czarne monolity, obrośnięte mchem i porostami. Z nowszych łatwiej było odczytać imiona właścicieli, choć też były zarośnięte. Prosty, kamienny nagrobek Grace był nieco pochylony, przekrzywił się w kierunku głębi łądu. Na płycie leżały tylko postrzępione przez wiatr kwiaty, które pewnie przyniosła wcześniej Louise. Inskrypcja była bardzo prosta: „Grace Elizabeth Fox, 15 listopada 1912 - 23 kwietnia 1953. RIP”. Poniżej wyryto słowa: „Lecz tamto ręki znikłej dotknięcie, / Głosu dźwięk zamilkłego”[7]. Tennyson. Poczujęm gulę w gardle, a wiatr wycisnął mi z oczu łzy.

- Kto wybrał ten akurat cmentarz? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia - odparła Louise. - W osiemdziesiątym drugim nie było mnie jeszcze na świecie. Myślę, że to ojciec trochę popytał, dowiedział się, skąd babcia pochodziła, i zaoferowano mu to miejsce. Może nie na każdy cmentarz zgadzano się przenieść zwłoki z więzienia?

- Pewnie tak - rzekłem. Spojrzałem na przysadzisty kamienny kościółek i zacząłem się zastanawiać, czy Grace była jakoś powiązana z tym miejscem. Nikt nigdy nie wspominał, żeby była szczególnie religijna, chociaż Sam Porter powiedział mi, że Foxowie chodzili do kościoła w Richmond, podobnie jak wszystkie tamtejsze liczące się rodziny. Grace

pewnie nie była na tyle buntowniczką, żeby opierać się temu zwyczajowi. Przypuszczam, że co najmniej biernie uczestniczyła w mszach.

Postawiłem wysoko kołnierz, próbując ochronić gardło. Wiatr był przenikliwy i jakby wdzierał się w szparę każdego szwu.

- Idziemy? - zapytała Louise.

Spojrzałem jeszcze raz na prosty grób, a potem na morze, na kłębiące się szare wody i ciemne sztormowe chmury zbierające się na horyzoncie, i skinąłem głową.

[5] John Keats, Oda do urny greckiej, przeł. Juliusz Żuławski.

[6] John Keats, Oda do urny greckiej, przeł. Juliusz Żuławski.

[7] Alfred Tennyson, Bij, bij, bij, o morze, przeł. Zygmunt Kubiak.

18

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), luty 1942 roku.

Singapur.

Piątek, 13 lutego 1942 roku

Dziś dotarł nakaz ewakuacji wszystkich siostr pozostałych w szpitalu. Nie mogę uwierzyć, że polecono nam opuścić pacjentów, choć wiem, że cywilne siostry i ochotniczki zajmą się nimi jak trzeba aż do przybycia Japończyków. A potem - kto wie? Być może wszyscy zostaną zabici. Próbowałam po raz ostatni zrobić obchód - zwilżałam czoła, głaskałam po rękach, aplikowałam morfinę - ale ostatecznie okazało się to dla mnie zbyt trudne i musiałam przerwać.

W południe zebrano nas, pozwalając wziąć ze sobą tylko po jednej walizce, i zgromadzono w Klubie Krykietowym. Zastaliśmy tam już większość wyższych rangom członkiń personelu medycznego, matki przełożone, starsze pielęgniarki korpusu. W sumie było nas około pięćdziesięciu, w tym kilka hinduskich pielęgniarek. O czwartej karetki zabrały nas do stoczni wojskowej. Wszędzie czuliśmy zapach nieodprowadzonych ścieków.

Nieopodal portu jakiś mężczyzna topił w morzu swojego hispanosuiza, żeby nie wpadł w ręce Japończyków. Sprawdziłam, czy mój dziennik jest bezpieczny i szczelnie zamknięty w wodoodpornym woreczku, który powiesiłam na szyi. Nie mogę go teraz stracić. Jest dla mnie jak przyjaciel.

Kiedy płynęliśmy motorówkami w kierunku okrętów, nastąpił atak z powietrza i ostrzelali nas Japończycy. Nie przerwali nawet wtedy, gdy już dotarliśmy na pokład - ciągle nacierały na nas kolejne fale samolotów. Kilka osób zginęło lub odniosło rany, a odłamki bomb zabiły dwie cywilne siostry i zniszczyły jedną z łodzi ratunkowych. Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś tak potwornego, tak przerażającego, ale nie było czasu,

żeby się nad tym zastanawiać. Miałyśmy pracę do wykonania. Zanim jeszcze opuściłyśmy port, byłyśmy po łokcie we krwi. Bandażowałyśmy rany przy akompaniamencie płaczu dzieci i jęków rannych, wdychałyśmy zabójczą mieszaną zapachów płonącej ropy naftowej, kordytu i ścieków.

Wreszcie, o siódmej, odbiliśmy z portu. Z pokładu naszego statku, SS „Kuala”, spojrzałam raz jeszcze za siebie na Singapur, a właściwie na jego ogarnięte płomieniami ruiny. Singapur, miasto, które jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się tak piękne przez ten niesłabnący w nim słoneczny blask, błękitne wody morza, palmy, tętniące życiem bazy, prześliczne parki i pola golfowe, cukierkową elegancję jego białych budowli. A teraz powietrze wypełniał paskudny czarny dym płonących zbiorników ropy naftowej, a wieczorne niebo rozświetlały błyski ognia artyleryjskiego. Na naszym niewielkim okręcie stłoczono nas całe setki, głównie kobiet i dzieci. Byliśmy brudni, przerażeni, przemoczeni i załamani, i nie mieliśmy pojęcia, co z nami będzie.

Sobota, 14 lutego 1942 roku

Dzień świętego Walentego. Trudno uwierzyć, że mógł być tak ponurym zwiastunem naszego nieuchronnego losu. Kiedy obudziliśmy się o świcie, staliśmy na kotwicy obok statku „Tien Kwang” nieopodal jakiejś wysepki. Płynęliśmy przez całą noc, żeby uniknąć namierzenia. Domyślałam się, że nie możemy być zbyt daleko od Singapuru, bo nasz stary okręt nie był w stanie rozwinąć zbyt dużej prędkości. Jeden z oficerów, którego opatrywałyśmy w Szpitalu Królowej Aleksandry, zaproponował Brendzie i mnie łóżko polowe na pokładzie dla dowództwa, spędziłyśmy więc noc względnie wygodnie, choć było potwornie gorąco i parno. Cały nasz majątek sprowadza się praktycznie do tego, co mamy na sobie, a i nasze ubrania są stale przesiąknięte potem. Świeża woda jest ściśle racjonowana.

Około ósmej rano pojawiły się japońskie samoloty. Nagle rozległa się potężna eksplozja i wszędzie wokół buchnęły płomienie, a powietrze wypełnił dym. Ludzie biegali po pokładzie, krzycząc wniebogłosy, matki próbowały w tym chaosie znaleźć dzieci, ranni wili się i krzyczeli z bólu, deski zrobiły się śliskie od krwi.

SS „Kuala” tonął szybko, przechyliwszy się na rufę. Usłyszałam gdzieś w dali przedzierający się przez harmider głos, nakazujący opuścić statek. Ponieważ w tłumie i oleistym dymie nie mogłam znaleźć Brendy,

postanowiłam skoczyć. Byliśmy niedaleko wyspy, ale prąd znosił nas w przeciwną stronę i widziałam ludzi zagarniętych na szerokie morze, bezsilnie machających rękami i wołających o pomoc, a potem znikających pod falami.

Nie mogłam dla nich nic zrobić. Wiedziałam, że Brenda jest doskonałą pływaczką i że jeśli tylko udało jej się uciec z pokładu, ma sporą szansę na ocalenie.

Załoga przerzuciła przez burtę kamizelki ratunkowe oraz wszystko, co tylko mogło unosić się na powierzchni wody, i ludzie czepiali się każdego skrawka, jaki tylko udało im się złapać. Szalupy były pełne. Płynęłam, ze wszystkich sił walcząc z prądem. Wszędzie wokół widziałam urwane ręce i nogi oraz martwe ryby, podskakujące w rytm unoszenia się i opadania fal. Czasem uderzały o mnie. W pewnej chwili dostrzegłam kobiecą głowę z wybałuszonymi oczami. Martwiłam się, że mogą mnie dopaść rekiny, ale zdałam sobie sprawę, że na jakiś czas pewnie odstraszyły je wybuchy bomb.

Japońskie samoloty znowu przypuściły atak i ostrzelały nas z karabinów maszynowych. Nie mogłam pojąć takiego okrucieństwa. Nigdy w życiu nie nienawidziłam nikogo tak jak ich w tym momencie. Nie wiedzieli, że jesteśmy tylko bezbronnymi kobietami i dziećmi, rannymi i chorymi? Walczyliśmy o życie z prądem, w rojących się od rekinów wodach, a oni jeszcze do nas strzelali!

Miałam szczęście. Podobnie jak Brenda jestem doskonałą pływaczką. Utrzymałam się na powierzchni i w końcu znalazło się dla mnie miejsce w szalupie. Wiosłowaliśmy z całych sił, by zwalczyć prąd i zbliżyć się do wybrzeża. Za plecami resztki SS „Kuala” znikwały pod falami. „Tien Kwang” zdążył już pogrążyć się w morzu. Ponieważ brzeg był tak stromy i kamienisty, że nie dało się na nim wylądować, płynęliśmy dalej wokół wyspy, aż wreszcie udało nam się trafić na plażę po drugiej stronie.

Kiedy dobiliśmy do lądu, wygramoliłam się z łodzi na piasek i upadłam wyczerpana.

Trzęsły mi się nogi, bolały mnie ramiona i kręciło mi się w głowie. Leżałam przez chwilę wpatrzona w rozpalone niebo, próbując złapać oddech. Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie, ale z drugiej strony wydawało się, że trwało całą wieczność.

Szybko zdałam sobie sprawę, że jestem półnaga. Kiedy płynęłam, zrzuciłam z siebie większość ubrań, żeby ich ciężar nie utrudniał mi walki z prądem, ale z ulgą stwierdziłam, że impregnowany woreczek nadal mam na szyi. Pozostali rozbitkowie z szalupy padali wokół mnie na piasek. Wielu z nich krwawiło z ran od kuli lub szrapneli. Na obu statkach zmieściło się, jak sądzę, około dziewięciuset osób i zastanawiałam się, ile się uratowało. Słyszałam, że samoloty nadal atakują rozbitków, ale znajdowaliśmy się po drugiej stronie wyspy i ich nie widzieliśmy.

Atak nie trwał długo. Była to bardzo mała wyspa i Japończycy postanowili zbombardować nas tylko jeszcze raz i odlecieć. Niektóre z bomb padły całkiem blisko i po wszystkim dzwoniło mi w uszach, zauważyłam też, że mam głębokie nacięcie na rękę, z którego obficie płynęła mi krew. Oderwałam pasek z resztek bielizny, jakie miałam na sobie, i zrobiłam z niego bandaż.

Gdy tylko złapałam oddech, zaczęłam nasłuchiwać, czy samoloty na pewno odleciały, a potem zabrałam się do pracy. Musiałam się zająć pozostałymi rozbitkami. Jednemu czy dwóm nie można już było pomóc, ale większość odniosła tylko powierzchowne rany czy urazy. Biedne dzieci ciągle płakały, a niektóre z nich chodziły po plaży, wołając matki.

Po dziesięciu czy piętnastu minutach prób zaprowadzenia jakiegoś porządku w tym chaosie znalazłam Brendę. Była w szoku i miała na czole paskudną ranę, która wymagała szycia, ale poza tym nic jej się nie stało. Przytuliłam ją i szybko doszła do siebie. Powiedziała mi, że uczepiła się materaca, a potem udało jej się dopłynąć do którejś z szalup i wspiąć się na pokład.

Tak właśnie znalazłyśmy się tutaj, na wyspie Pompong, jak wyjaśniła nam jedna z Malajek. Z pomocą Brendy znalazłam jeszcze kilka sióstr oraz dwóch lekarzy i razem w miarę możliwości opatrzyliśmy rannych i umierających. Brenda obliczyła, że jest nas tutaj około pięciuset, co oznacza, że w ataku zginęła prawie połowa pasażerów.

W tej chwili pragniemy tylko, żeby Japończycy dali nam spokój i pozwolili zasnąć, ale dopóki jest jeszcze dzień, ciągle mamy sporo do zrobienia. Jakaś grupka przeszukała już wyspę i okazało się, że nie ma na niej żywności. Znaleźli tylko niewielkie źródło wody pitnej. Udało nam się ocalić sporo rzeczy ze statków, w tym skrzynię z ubraniami roboczymi,

choć wręczony mi przez kogoś marynarski mundur nie pasuje na mnie - jest o wiele za duży.

Mimo to zakrywa to, co powinien, a lepsze to niż paradowanie w samym pumpach, bo jedynie one mi zostały!

Jeśli chodzi o żywność, to znaleźliśmy kilka konserw z wołowiną, które na niewiele się zdadzą, zważywszy że jest nas tutaj pięćset osób. Nie ma wśród nas cudotwórcy takiego jak Jezus, więc nie przetrwamy dłużej niż kilka dni. W dodatku Japończycy wiedzą, że tu jesteśmy. Co do lekarstw i sprzętu medycznego, to znaleźliśmy kilka apteczek, ale nic więcej.

Przynajmniej mogłam zaszyć Brendzie ranę. W dzieciństwie czytałam Robinsona Crusoe, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że sama znajdę się w takiej jak on sytuacji! Muszę już kończyć. Mam mnóstwo pracy.

Grudzień 2010

Na DVD, które podarowała mi Louise, znajdowały się dwa pliki muzyczne. Byłem ciekawy, co to takiego. Mając nadzieję, że oprogramowanie mojego starego macbooka wystarczy, żeby je odtworzyć, wybrałem pierwszy. Usłyszałem metaliczne, docierające jakby z oddali akordy pianina, które brzmiały jakoś mgliście znajomo, tak jakbym rozpoznawał melodię, ale nigdy nie słyszał jej wykonywanej na tym instrumencie. Choć nagranie przypuszczalnie zostało oczyszczone komputerowo, ciągle słychać w nim było trzaski i najwyraźniej zarejestrowano je z pewnej odległości od pianina.

Nagle, gdzieś znacznie bliżej, rozległ się zadziwiająco czysty głos. Natychmiast przypomniałem sobie melodię: *Vissi d'arte, vissi d'amore...* słynna aria z Toski Pucciniego.

Śpiewała ją Grace. Od razu się tego domyśliłem, choć nigdy wcześniej nie słyszałem jej głosu. Pewnie odwiedziła jeden z punktów, w których można było samemu się nagrać, taki jak ten, w którym Elvis Presley nagrał swojej matce na urodziny *My Happiness*. Musiała to być jeszcze płyta acetatowa albo płyta 78 obr./min. i Louise pewnie jakimś cudem udało się ją przerzucić do komputera, a potem nagrać na DVD.

Kiedy aria się skończyła, puściłem ją jeszcze raz i skupiłem się na głosie. Grace pod względem techniki nie była wielką śpiewaczką. Dobrą - owszem, ale na pewno nie wielką.

Miała wprawdzie silny głos o ciekawej barwie i brzmieniu, ale Vissi d'arte zawiera kilka trudnych, dramatycznych momentów, potężnych wysokich nut, które trzeba umieć wyśpiewać i utrzymać. Ale choć Grace nie zawsze podchodziła do nich od góry - była mezzosopranem, a nie sopranem, na który napisano tę partię - i choć czasem drżał jej głos i miała problemy z utrzymaniem frazy, w zasadzie, dzięki nadzwyczajnej wrażliwości oraz niezłej wprawie, poradziła sobie z tą dramatyczną pieśnią. Jej siłą była interpretacja oraz emocje. „Nigdy nikogo nie skrzywdziłam. *Ma dłoń sekretnie* Niosła ulgę w nieszczęściu wszystkim, którym mogła”.

Druga pieśń była łatwiejsza i o wiele prostsza, ale złapała mnie za serce. Był to Lament Dydony z Dydony i Eneasza Purcella, aria, którą królowa Dydona śpiewa, gdy opuszcza ją Eneas, której żarliwe wezwanie: „Remember me, remember me” unosi się w powietrzu jeszcze długo po umilknięciu muzyki. Przypomniałem sobie opowieść Wilfa o szkolnym przedstawieniu, o tym, jak słyszał Grace śpiewającą tę pieśń przy akompaniamencie fortepianu. Kiedy aria dobiegła końca, poczułem gęsią skórkę, a w oczach wezbrały mi łzy. Nie chciałem puszczać jej po raz drugi. Nie tego wieczoru. Nadszedł czas na film, coś oddalonego o lata świetlne od tragicznej historii Grace, na przykład Spacer wśród krzewów morwowych. A potem do łóżka.

Minął już ponad tydzień, odkąd Heather uraczyła mnie swoją bombą i od tego czasu nie dawała znaku życia. Kilka razy próbowałem do niej dzwonić do pracy i na komórkę, zostawiając nawet wiadomości, ale ani nie odbierała, ani nie oddzwaniała. Zastanawiałem się, czy na przykład nie wyjechała na krótko albo czy może unika mnie celowo, próbując się wyplątać z małżeństwa z Derekiem. A może po prostu była zajęta? Z przeprowadzką zawsze jest mnóstwo roboty, nawet jeżeli nie jest się tak emocjonalnie obciążonym, jak w tej chwili Heather. A może chciała przez chwilę pobyć sama. Współczułem jej, ale nie mogłem nic dla niej zrobić. Miałem nadzieję, że dołączy do nas na święta - swoje zaproszenie potraktowałem całkiem poważnie, choć obawiałem się, że jeśli nic się nie zmieni, mogę nie mieć okazji ponowić go już z zachowaniem wszelkich formalności.

Dwa dni po mojej wizycie w Staithes i na grobie Grace, późnym popołudniem, gdy nad Kilnsgate zapadały ciemności, a ja siedziałem w salonie i czytałem sprezentowany mi wydruk wojennego dziennika,

zadzwoił telefon. Pomyślałem, że to Louise ma jakieś wieści na temat nieślubnego dziecka Grace i natychmiast odebrałem, nawet nie patrząc na identyfikator rozmówcy, ale ku mojemu zdziwieniu okazało się, że to Heather.

- Cześć, Chris - przywitała się. - Co słychać?

Miała zmęczony, nieco ochryply głos.

- W porządku. To raczej o ciebie się martwię. Właśnie o tobie myślałem.

- Milusio. Wszystko załatwione.

- Co?

- Skończone. Przeprowadzka. Cały mój dobytek. W starym domu nie zostało już nic, za czym bym tęskniła.

- A tak naprawdę jak się czujesz?

- Tak naprawdę? Mam o tym mówić przez telefon?

- Właściwie mam czas.

- Ja też. Wzięłam tydzień wolnego.

- Więc może przyjedziesz do mnie? Mam wino w lodówce.

Milczała przez chwilę.

- Dobra - powiedziała w końcu. - Chyba tego właśnie potrzebuję. To do zobaczenia.

Sprzątając naprędce salon, upewniając się, czy w lodówce faktycznie chłodzi się porządne chablis i otwierając dla siebie aussie shiraz, zastanawiałem się, czy nie popełniłem błędu, zapraszając ją do domu. Oczywiście, jak to w grudniu, kiedy w porze herbaty usłyszałem jej zatrzymujący się samochód, było już ciemno. Zdążyłem napalić w kominku w salonie, odwiesiwszy więc zimowy płaszcz i długi szal Heather, zaprowadziłem ją tam i przyniosłem wino. Wyglądała jak wyżęta, choć zauważyłem, że zadała sobie trud, by odrobiną makijażu zamaskować nieco brak snu i mękę, przez którą przeszła. Nie miałem pojęcia, jak bardzo zabolęła ją to, że mąż rzucił ją dla młodszej kobiety, ale nie zamierzałem okazywać jej nadmiernej troskliwości ani uzalać się nad nią. Byliśmy oboje dorośli. Takie rzeczy się zdarzają. Mnie też się zdarzały, zanim poznałem Laurę. Jakoś przez nie przechodzimy, a potem żyjemy dalej. Było raczej mało prawdopodobne, że Heather przyjechała tutaj, bo potrzebowała

herbaty i współczucia albo kogoś, z kim mogłaby usiąść i porozmawiać o nieudanym małżeństwie. A jeżeli chciała rozpamiętywać je w samotności, mogła przecież równie dobrze zostać w swoim mieszkaniu w klasztorze. Przez ostatni tydzień z pewnością nie brakowało jej ku temu okazji.

Natychmiast poczuła się jak u siebie w domu - odkopnęła buty i wyciągnęła się na sofie, sącząc wino. Puściłem pieśni świąteczne w wykonaniu Tony'ego Bennetta, które doskonale harmonizowały z ogniem w kominku i zimnym wiatrem za oknem. Brakowało tylko śniegu.

- Jak się żyje w klasztorze? - zapytałem.

Zmarszczyła nos.

- Dyscyplina. Mamy godzinę policyjną.

- No nie, poważnie pytam.

- Całkiem nieźle. Mieszkanie jest bardzo przyjemne, przestronne. Musisz wpaść i zobaczyć. Charlotte gdać wokół mnie jak kwoka. Któregoś wieczoru przyjechała do mnie z zapiekanką. Doprowadza mnie do szaleństwa. A co u ciebie?

Opowiedziałem jej co nieco o Louise, dzienniku i pudełku z pamiątkami po Grace.

- Powinnam być zazdrosna? - zapytała. - To znaczy o Louise King, a nie o ducha.

- Nie ma o kogo.

Heather na wpół leżała, podpierając się pod dosyć ryzykownym kątem i kiedy zmieniała pozycję, wylała na sukienkę odrobinę wina. Na szczęście piła białe. Przyniosłem serwetkę, którą wzięła i przytknęła do poplamionego miejsca. Kiedy mi ją oddawała, przytrzymałem jej dłoń, a gdy poczułem łagodne pociągnięcie, pochyliłem się i ją pocałowałem. Początkowo byłem bardzo delikatny, jak wtedy, gdy całowaliśmy się w samochodzie po przyjęciu u Charlotte z okazji Święta Ognia, ale po chwili pocałunek stał się bardziej namiętny i głęboki. Wygnieciona serwetka upadła na podłogę, a ja wyjąłem jej z dłoni kieliszek i odstawiłem na stół obok sofy. Potem ukląknęliśmy i całowaliśmy się dalej.

Dotknąłem jej policzka, włosów, przebiegłem dłonią po piersiach i brzuchu; podążyła za moim dotykiem, objęła mi dłoń i przyciągnęła mocno do siebie.

Nie wiem, jak to się właściwie stało; obraz nieco zamazał mi się w pamięci. Daliśmy sobie spokój z myśleniem, flirtowaniem, ogarnięci falą pożądania rozrzuciliśmy ubrania na korytarzu i schodach, aż wreszcie wylądowaliśmy w moim łóżku i dopiero po jakimś czasie, kiedy leżeliśmy spoceni, dyszący, splątani, oboje na chwilę zaspokojeni, wróciło myślenie.

Heather odezwała się pierwsza.

- Coś mi się zdaje, że to doskonały przepis na katastrofę - powiedziała.

- Przestań, nie było aż tak źle.

Trąciła mnie w żebra.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem - potwierdziłem. - I co teraz zrobimy?

- Nie musimy nic robić. Możemy po prostu leżeć.

- A potem?

- Potem to powtórzymy. Nigdy nie byłam jedną z tych kobiet, które drżą w obliczu katastrofy.

Przesunąłem dłonią po jej gołej ręce i ramieniu, tak gładkim i ciepłym. Na nim też miała piegi.

- No wiesz - rzekłem - może to zabrzmie dziwnie, ale cieszę się, że nie mamy romansu.

To znaczy, oficjalnie.

- Ja też - odparła, odwracając się, żeby podeprzeć się na łokciu i spojrzeć na mnie. - Romanse są przereklamowane. Tylko z nimi kłopoty. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Chris, nie jestem idiotką. Wiem, że nie chcesz się angażować. Ja zresztą też. Nie możemy po prostu tak tego zostawić?

Pogłaskałem ją po głowie.

- Oczywiście. Cokolwiek to jest. Niczego od ciebie nie wymagam. Ale nie mam też zamiaru uciekać.

Było to bardzo głupie gadanie, bzdury, które człowiek mówi, żeby usprawiedliwić to, co przed chwilą zrobił, gdy nagle zorientował się, że spadł w przepaść i może tylko bezsensownie machać w powietrzu nogami i rękami. Nazwijcie mnie fatalistą, ale na to, co się stało przed chwilą, mieliśmy mniej więcej taki sam wpływ jak wtedy, gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy. Mimo to jakoś człowiekowi pomaga mówienie rzeczy w rodzaju: „Przekonajmy się, dokąd nas to doprowadzi” albo: „Nie walczmy z

tym”. Oszukujemy się w ten sposób, że kontrolujemy rzeczywistość lub chociaż ją rozumiemy. A przecież wybór był prosty - mogliśmy albo przestać się widywać, a najwyraźniej na to nie mieliśmy ochoty, albo zagłębiać się coraz bardziej w plątaninę naszych wzajemnych potrzeb i pragnień, aż któreś z nas będzie miało dosyć. Zakochać się. Jasne, mogliśmy rozegrać to nowocześnie, widywać się tylko w środy, spotykać z innymi, uciekać się do tych wszystkich wymówek, ale jeśli chodzi o mnie, sprowadzało się to tak naprawdę do prostego wyboru. Miłość lub ucieczka.

Heather przewróciła się na plecy i podłożyła sobie dłonie pod głowę.

- Ostatnie kilka dni były bardzo dziwne. Po raz pierwszy od lat głównie byłam sama. I podobało mi się to. Nie musiałam robić obiadu. Przejmować się obowiązkami domowymi.

Obawiam się, że w moim klasztorным mieszkanku zrobił się niewielki chlew. Machnęłam ręką na wszystko. Nie odkurzam, nie zmywam, nie piorę. Zużyłam właśnie ostatnią parę majtek, a teraz nawet nie wiem, gdzie są.

Roześmiałam się.

- Myślę, że masz do tego prawo. Przynajmniej przez chwilę. Dopóki się nie okaże, że przez sterty starych gazet nie możesz się przebić do wyjścia.

Dała mi klapsa w pierś.

- Nie jest tak źle. Nie mogłabym żyć w ten sposób. Zresztą nie czytam w domu gazet.

I zawsze mogę wyprać jakieś majtki. Ale wiesz, o co mi chodzi. Naprawdę. Zapomniałam już, jak to jest oglądać w telewizji to, na co mam ochotę albo siedzieć z podkulonymi nogami, czytać i nie martwić się, że ktoś mi przeszkodzi. Przeczytałam pierwszą od lat całą książkę, Christiny Jones. To naprawdę grzeszna przyjemność. Któregoś wieczoru zamówiłam nawet pizzę z dostawą do domu. I zjadłam prawie całą.

- Ach, te rozkosze wiejskiego życia. Czy to już oficjalne?

- Tak, przynajmniej z tego, co wiem. Charlotte zajęła się kwestiami prawnymi. Ale nie powiedziałam jeszcze wszystkim, jeżeli o to pytasz. Właściwie nic nie mówiłam nawet najbliższym znajomym. Jakoś człowiek nie ma ochoty wykupować ogłoszeń w gazecie, żeby pochwalić się czymś takim. Tak czy inaczej, wkrótce się dowiedzą i zaczną się pełne współczucia telefony, chociaż właściwie nie życzę sobie niczyjogo

współczucia. Nasz związek rozpadł się dawno temu, zanim cię poznałam, nawet więc nie próbuj myśleć sobie z dumą, że to twoja wina. Okazało się, że miał romans przez kilka lat, naprawdę zrobił ze mnie idiotkę, o czym wkrótce dowie się całe miasto. Przez ten tydzień zrobiłam sobie miśnięć miodowy i coś mi się zdaje, że nie będzie mi ze sobą najgorzej. Przepraszam, że nie oddzwaniałam. Chciałam. Dużo o tobie myślałam. Ale coś mi mówiło, że to się skończy właśnie w ten sposób. Kogo niby mieliśmy oszukać? Nie chodzi o to, że tego nie chciałam, ale wydawało mi się, że to tak szybko i... Poza tym tyle z tym zawsze zamieszania, tyle do załatwienia. Trochę to głupie, co?

- Dlaczego? Po prostu cieszę się, że jesteś teraz tutaj.

Uśmiechnęła się.

- W przeciwieństwie do ciebie ja wymagam jednej rzeczy. - Jej dłoń zaczęła wędrować pod prześcieradło. - Wiem, że staruszek już z ciebie i w ogóle, ale może dasz radę zmobilizować się jeszcze raz, a potem zejdziemy na dół, zrobisz mi kolację, nalejesz jeszcze jeden wielki kieliszek wina i opowiesz wszystko o Louise King oraz pudełku z pamiątkami po Grace Fox?

- Zrobię, co w mojej mocy, pomimo podeszłego wieku - powiedziałem i nachyliłem się ku niej.

- Powiedzmy to sobie wprost - rzekła wiele minut później Heather, niemalże całkowicie schowana pod moim szlafrokiem, kiedy już siedziała ze mną z powrotem przy ogniu z podkulonymi nogami i kieliszkiem wina w ręku. - Wysłałeś wnuczkę Grace Fox w teren, żeby próbowała się dowiedzieć, kim było nieślubne dziecko jej babki, czyli jej... Kto właściwie?

- Wujek.

- Trochę to upiorne.

- Trochę.

- A wszystko to dlatego, że...?

- Być może ma to coś wspólnego z morderstwem. Jeśli to był chłopak. Jeśli to on był umundurowanym mężczyzną, z którym rozmawiała tydzień przed katastrofą.

- Trochę dużo tych „jeśli”. Dlaczego miałyby to być on i co to ma wspólnego z morderstwem?

- Nie wiem. Nie wszystko naraz.

- Boże. Niezły z ciebie detektyw. Nie mam pojęcia, jak ci się to udało. I co, dowiedziałeś się już czegoś od niej?

- Nie. To wymaga czasu. Poza tym musi przede wszystkim myśleć o swojej nowej pracy.

Nalałem sobie jeszcze trochę shirazu. W kuchni na wolnym ogniu gotował się sos, postawiłem też już penne. Oboje umieraliśmy z głosu. W tle David Fray grał Schuberta.

- Ty naprawdę nie wierzysz, że Grace to zrobiła, co? - zapytała Heather.
Pokręciłem głową.

- A co, jeżeli się mylisz?

- Wtedy mam nadzieję, że pogodzę się z faktami, skoro będę musiał. Ale na razie jestem cholernie pewien, że fakty wyglądają właśnie tak. Nie wierzę w to.

Heather spojrzała na mnie jak na upartego dzieciaka.

- Chodź tutaj - powiedziała w końcu, uśmiechnąwszy się i wyciągnąwszy rękę.

Podszedłem. Kiedy jednak nachylałem się, żeby ją pocałować, uchyliła się i szepnęła mi do ucha:

- Czy ten cholerny makaron, który mi obiecałeś, nie jest już przypadkiem gotowy?

Zjadłabym konia z kopytami.

- Zrozumiałem aluzję - odparłem i poszedłem do kuchni.

Heather nie została na noc. Sądzę, że ciągle cieszył ją nowy dom i to, że mogła być sama, co kto jak kto, ale ja rozumiałem doskonale. Dajmy sobie trochę czasu, pomyślałem i zaraz się skrzywiłem, bo nawet dla mnie zabrzmiało to jak potworny banał. Bardzo lubiłem Heather, dobrze czułem się w jej towarzystwie i okazało się też, że jest niesamowita w łóżku, ale żadne z nas nie chciało w tej chwili rezygnować ze świeżo uzyskanej wolności i samotności. Oboje też, niezależnie od tego, jak usilnie staraliśmy się to zamaskować, musieliśmy sobie poradzić z własnym bólem.

Dopiero zaczynałem dochodzić do siebie po stracie Laury. Przez pierwsze kilka miesięcy byłem za bardzo pogrążony w żalu i wyrzutach sumienia, by myśleć o sobie jako o „singlu” albo cieszyć się swoją

„wolnością”, ale tutaj, w Kilnsgate, powoli docierało do mnie, co tak naprawdę oznaczają te słowa, że jest jakaś przyszłość bez Laury. Nie oznaczało to, że jej wspomnienie stało się dla mnie choć odrobinę mniej cenne ani że nie tęskniłem za nią tak jak kiedyś, ale przecież to ona sama powiedziała mi, że mam żyć dalej, że moje życie potoczy się dalej. I rzeczywiście tak się stało. Laura miała rację, zresztą jak zwykle.

Sprzątnąłem naczynia, włożyłem je do zmywarki, nalałem sobie kolejny kieliszek shirazu i przy akompaniamencie trzaskającego kominka, szyb dzwoniących w ramach przy każdym podmuchu wiatru oraz drapania bezlistnych gałęzi o okna na piętrze zagłębiłem się z powrotem w dzienniku Grace. Włączyłem stojącą lampę i włożyłem okulary do czytania.

Pismo Grace, choć drobne, było bardzo staranne i czytelne, choć nad kilkoma nazwami własnymi musiałem zatrzymać się dłużej. Trzeba przyznać, że odwiedziła niesamowite miejsca.

Z samych szczegółów jej relacji niewiele można było wywnioskować na temat tego, przez co przeszła. Tak to już bywa z koszmarami. Swoje przeżycia, naprawdę przecież potworne, opisała prostym i bezpretensjonalnym stylem, okazując po sobie mniej więcej tyle emocji, co później w trakcie procesu, zwyczajnie streszczając przebieg zdarzeń, wszystko to, co robiła i co widziała - choć było jasne, że ich makabryczność napawała ją przerażeniem.

Przyznam bez wstydu, że kilka razy musiałem przerwać lekturę i obetrzeć łzy, które opowieść wycisnęła mi z oczu chyba właśnie dlatego, że była spisana tak powściągliwym, pozbawionym obrazowych szczegółów stylem. Ktoś obdarzony - lub pokarany - taką wyobraźnią jak moja bez trudu mógł wypełnić treścią luki między wersami. Mój wyhodowany na filmowej karmie mózg mimowolnie obudowywał nią szkielet związłych, ulotnych obrazów, bezustannie szukał struktury, narracji, a nawet ścieżki dźwiękowej.

Powiedzieć, że opowieść Grace o jej wojennych doświadczeniach zdumiała mnie czy zszokowała, to o wiele za mało. Jak większość z nas wiedziałem wprawdzie, że w czasie wojny żołnierzom towarzyszyły pielęgniarki, ale tak naprawdę nigdy nie zastanawiałem się nad potwornościami związanymi z ich pracą, z tym, co przeżyły. Właściwie w ogóle o tym nie myślałem. Dzięki dziennikowi Grace zrozumiałem nagle, do jakiego stopnia po prostu umykają nam odwaga i cierpienia kobiet w

czasie wojny. Są oczywiście wyjątki, celebrowane bohaterki w rodzaju Florence Nightingale, Gladys Aylward czy Edith Cavell, ale ogólnie rzecz biorąc, stojąca za nimi armia kobiet jest dla nas zupełnie anonimowa. A przecież przeżyły ten sam koszmar co ich towarzysze, tak samo jak oni drżały ze strachu przed rozerwaniem na strzępy przez zabłąkany odłamek czy bombę albo przed kulami snajperów, tak samo bały się, że zostaną schwytane i wylądują w obozach jenieckich, że spotka je zwykły żołnierski los. W dodatku wiele kobiet musiało sobie też radzić z głęboko zakorzenionym strachem przed tym, co zwykle spotyka je z rąk męskich zdobywców. Grace widziała to wszystko, potworności, których nie potrafię sobie wyobrazić, i w dodatku udało jej się do końca zachować ludzkie odruchy.

Nic dziwnego, że z nikim o tym nie rozmawiała. Że ukryła Królewski Czerwony Krzyż. Nic dziwnego, że często sprawiała wrażenie nieobecnej czy przygnębionej. Że uwielbiała pędzić na złamanie karku motocyklem przez wiejskie dróżki i kochać się na łąkach z młodym artystą bez grosza przy duszy.

Ale gdzie w tym wszystkim mieścił się Ernest Fox? Czy w ogóle cokolwiek wiedział?

Czy Grace kiedykolwiek mu o tym opowiedziała albo czy pokazała mu dziennik? A jeżeli tak, to co zrobił, jakimi zareagował słowami? Był zazdrosny o pocałunek Stephena? Gdybym miał zgadywać, zaryzykowałbym twierdzenie, że nie opowiedziała mu ze szczegółami o swoich przeżyciach, ponieważ po prostu nie mogła, i że nie czytał jej dziennika, że nie czytał go nikt z wyjątkiem samej Grace, jej siostry, Louise i mnie. Grace schowała go w tajnej szufladce w sekretarzyku i wyciągnęła dopiero w dniu, w którym przekazała go Felicity.

Przypomniało mi to o tym, że kiedy Wilf i Sam opowiadali o Erneście Foksie, za każdym razem odnosiłem silne wrażenie, że był człowiekiem co najmniej nieczułym i że Grace nie miała co szukać w jego ramionach pocieszenia czy współczucia. Jego chłód, jego pochłonięcie obowiązkami zawodowymi oraz troska o własną pozycję w oczach mieszkańców tak samo pchnęły Grace w objęcia Sama Portera, jak wszystko inne.

Domyślałem się, że Ernest nie potrzebował kobiety, na której dłoniach czuć było zapach pola bitwy. Wystarczała mu w zupełności uwieszona u jego ramienia piękna, elegancka towarzyszka w modnym kapeluszu, którą

mógłby się chwalić na balach oraz przyjęciach i której by na nich prawiono komplementy, lecz której by nie słuchano. W żadnym wypadku.

Grace próbowała być taką żoną, ale nie dała rady. Natura zwyciężyła.

Ślecząłem nad dziennikiem prawie całą noc. Czytałem kolejne stronicie po kilka razy, przerywając od czasu do czasu lekturę, by posłuchać swoich ulubionych kompozytorów - Schuberta, Elgara, Szostakowicza, Czajkowskiego, Brahmsa. Zdaje się, że w pewnym momencie wstałem i otworzyłem drugą butelkę shirazu, z którą postąpiłem mniej więcej tak samo jak z pierwszą, i powoli moje oczy zmęczyły się od czytania w nieodpowiednich okularach i płaczu. W opowieści Grace nie znalazłem odpowiedzi na żadne z gnębiących mnie pytań - nie trafiłem w niej na żadne albo prawie żadne osobiste zwierzenia - lecz tylko dowód jej wielkiej odwagi i relację z cierpieniem, jakie stały się jej udziałem, opowiedzianą z niesamowitą dozą powściągliwości i opanowania. Wiedziałem dobrze, że nie zniósłbym nawet ułamka tego, co przeżyła, nie byłbym w stanie na to patrzeć, dotykać tego, leczyć całe to zło, i nagle pomyślałem o tym, jak łatwe było moje życie, oczywiście jeśli nie liczyć śmierci Laury. Nie znalazłem jednak żadnych odpowiedzi na dręczące mnie pytania. A jeśli nawet, to nie potrafiłem ich zinterpretować.

Dopiłem wino, zdjąłem okulary i rozłożyłem się wygodnie w fotelu, niemal słysząc w wyobraźni śmiech Grace, kiedy w jeden z nielicznych beztroskich dni pluskała się z przyjaciółkami w Morzu Południowochińskim, nie zważając na otaczający ją zewsząd chaos.

Potarłem nos. FischerDieskau śpiewał właśnie Irrlicht z Winterreise Schuberta. Gdyby było lato, różanopalca jutrzeńka rozpościerałaby właśnie swą wielobarwną szatę po porannym nieboskłonie, kiedy wreszcie poczułem senność, ale mieliśmy ponurą zimę i gdy ostatnie zwęglone polano wyżarzyło się do końca w kominku i zgasło, za oknami zalegała ciągle czarna jak smoła noc, znaczone tylko zimnym blaskiem gwiazd.

19

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), luty 1942 roku.

Wyspa Pompong

Niedziela, 15 lutego 1942 roku

Robinson Crusoe przeżył wiele, ale na swojej wyspie nie musiał się martwić obecnością kilkuset innych głodujących i spragnionych rozbitków. Wybuchło już parę nieprzyjemnych utarczek i choć udało się zaprowadzić jaki taki porządek, obawiam się, że indywidualne potrzeby wkrótce znowu wezmą górę nad dobrem grupy. Wprawdzie funkcjonariusze malajskiej policji, którzy przeżyli katastrofę, robią co w ich mocy, żeby nie doszło do wybuchu, a jeden z nich ma nawet rewolwer, z którego musiał już raz wystrzelić w powietrze, jednak długo tak nie wytrzymamy. Czy ktoś zorientuje się, że tu jesteśmy, zanim Japończycy wrócą w większej sile i wszystkich nas zabiją?

Poniedziałek, 16 lutego 1942 roku

Przynajmniej ktoś już wie, że tu jesteśmy! Dziś rano z sąsiedniej wyspy przyплыnęła do nas niewielka łódź z zapasem owoców i wody. Obowiązuje też teraz nieco większa dyscyplina. Ocalało całkiem sporo sióstr i z pomocą kilku mężczyzn udało nam się poskładać trochę prowizorycznych łóżek i zbudować niewielki szpital, dla osłony przed słońcem zadaszony liśćmi palmowymi. Opracowaliśmy też harmonogram dyżurów. Mówi się ciągle o ucieczce na Sumatrę, gdzie być może udałoby się nam znaleźć brytyjski statek, który zabrałby nas do domu, ale to dosyć odległa perspektywa. Przede wszystkim, ktoś musiałby powiadomić holenderskie władze, że tu jesteśmy i że ciągle żyjemy, a przecież Japończycy pewnie znacznie przybliżyli się do osiągnięcia swojego celu, jakim jest opanowanie całego Morza Południowochińskiego. Gorąc i duchota działają na nas

wyniszczająco, w ciągu dnia staramy się więc jak najwięcej czasu spędzać w cieniu. Teraz słońce właśnie zachodzi za ocean, czemu towarzyszy wspaniały widok - na niebie stapiają się ze sobą pasma cynobru, purpury, złota i spalonego oranżu. Pamiętam, jak w Singapurze uwielbiałam przeciągające się wieczory, balsamiczny dotyk powietrza tuż przed zapadnięciem zmroku. To była moja ulubiona pora dnia i kiedy tylko mogłam, siadałam na werandzie ze szklaneczką Singapore Sling, wsłuchując się w cykady i patrząc, jak łuna światła powoli ustępuje ciemności, a na niebie zaczynają migotać gwiazdy. W innych okolicznościach moglibyśmy stwierdzić, że znaleźliśmy się na rajskiej wyspie.

Wtorek, 17 lutego 1942 roku

Jesteśmy uratowani! Wczoraj w nocy przyplłynął po nas pod osłoną ciemności niewielki transportowiec „Tanjong Pinang”. Na jego pokładzie byli już rozbitkowie zabrani z innej wyspy, ale kapitan powiedział, że zabiorą wszystkich rannych, którzy potrafią chodzić, oraz tyle kobiet, dzieci i sióstr, ile tylko uda im się zmieścić. Szczęście uśmiechnęło się do tych sióstr, które akurat nie pełniły dyżuru, bo pozostałe miały zostać z poważnie rannymi i czekać na następne okręty. Brenda i ja nie byliśmy na służbie i choć ze smutkiem zostawialiśmy na wyspie pacjentów oraz nasze przyjaciółki, wiedziałyśmy, że nic im nie będzie, a jest to najbardziej sprawiedliwe rozwiązanie. W całkowitych ciemnościach niełatwo było przetransportować pacjentów na pokład „Tanjong Pinang”. Mogliśmy co najwyżej liczyć na światło księżycy. W końcu jednak przed świtem udało nam się za pomocą pontonów, łódek oraz krążków linowych umieścić wszystkich na statku i odpłynęliśmy, ciągle pod osłoną nocy. Sądzę, że jest nas tutaj około dwóch setek. Brenda i ja machałyśmy wyspie Pompong na pożegnanie, szczęśliwe, że ruszamy w kierunku Jawy i wolności!

Grudzień 2010

Zorientowałem się nagle, że święta tuż tuż i wkrótce przyjadą moi goście! Musiałem kupić prezenty. Resztę już załatwiłem - drzewko, światełka, bombki, ozdoby, indyk, na dniach spodziewałem się też dostawy szampana i zestawu porządnych win. Zostało tylko najgorsze: to, co miałem położyć pod choinką. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin

zapowiadano potężną śnieżycę, postanowiłem więc wykorzystać pierwszy słoneczny dzień od mojej wizyty u Louise w Staithes, pojechać do Yorku i mieć to wszystko z głowy.

Najwyraźniej nie tylko ja wpadłem na ten pomysł, bo drogi były zatłoczone i gdy tylko dotarłem do obwodnicy Yorku, stanąłem w korku. Kiedy tak brnąłem przed siebie z mozołem, przypomniało mi się nagle, że ciągle nie mam wieści od Louise, i zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle znalazła czas oraz chęć, żeby wywiązać się z obietnicy i trochę poszperać w przeszłości. Zdawałem sobie jednak sprawę, że przeprowadza się do Cambridge, gdzie zaczyna nową pracę, i nie jest jej łatwo. Nie było sensu na nią naciskać. Poza tym raczej nie pojedę do Cambridge, żeby jej szukać. Może jednak powinienem wysłać jej mail, jeżeli nie odezwie się przed przyjazdem moich gości. Byłem ciekaw, czy trafiłem, podejrzewając, że Grace miała nieślubne dziecko, a wiedziałem, że w czasie świąt będę zbyt zajęty, żeby myśleć o tego typu sprawach. W końcu dotarłem do parkingu przesiadkowego i w ostatniej chwili złapałem przegubowy autobus.

Jeżeli mi się wydawało, że drogi dojazdowe są zatłoczone, to dobrze, że nie wiedziałem wtedy, jak wyglądają ulice Yorku. Był dopiero wtorek, ale świąteczni klienci już przypuścili zaciekły atak na sklepy. Całe centrum miasta było obwieszane światełkami i pławiło się w świątecznej atmosferze. Tu i ówdzie orkiestry Armii Zbawienia zbierały datki, Święty Mikołaj dzwonił dzwoneczkiem i pokrzykiwał: „Ho, ho, hooooo!”, a chórzyci przebrani w wiktoriańskie stroje kwestowali na różne charytatywne cele. Po chwili zdałem sobie sprawę, że w całym śródmieściu nie znajdę ani jednego miejsca, do którego nie dociera bożonarodzeniowa muzyka.

Za każdym razem, gdy jestem w Yorku, staram się odwiedzić Minster, choć nie dlatego, że jestem religijny - to po prostu przepiękna budowla. Zaliczyłem kiedyś po niej wycieczkę z przewodnikiem, ale do jej wnętrza przyciąga mnie nie tyle krypta, zakrystia, rozeta czy rzeźby królów Anglii, choć wszystkie są, rzecz jasna, przepiękne, ile pewna drobnostka, której prawie nikt nie zauważa.

Trudno jest je wypatrzeć, ale jeśli przyjrzeć się uważnie sufitowi ponad nawą, można na nim dostrzec ślady dwóch stóp. Chodzi, oczywiście, o to, że tak właśnie wyglądałoby Wniebowstąpienie, gdyby ktoś obserwował je z dołu, i tak właśnie uchwycił je artysta - jako ślady stóp Chrystusa znikające

w niebie. Zawsze mnie to bawiło, przy każdej okazji zachodziłem więc do kościoła, żeby je zobaczyć.

Szczerliwym trafem chór miał akurat próbę przed świątecznym koncertem, zostałem więc i przez chwilę słuchałem kolęd - W królewskim mieście Dawidowym i Ach, maleńkie Betlejem. Harmonia tej ogromnej, kamiennej, gotyckiej przestrzeni, z jej tajemniczymi cieniami, wydawała się zupełnie wyjątkowa. Goethe nazywał architekturę „zamarłą muzyką” i chyba wiem, co miał na myśli. Jeszcze bardziej podniosło mnie na duchu to, że zapaliłem Laurze świeczkę, bez żadnych przesądów, tylko dlatego, że byłem tam i o niej myślałem, i w tym stanie ducha wyszedłem z katedry stawić czoło tłumowi.

Pomimo tłoku udało mi się zrobić zakupy jeszcze przed porą lunchu - moim gościom kupiłem parę drobiazgów w Molton Brown, HMV, Lakeland, u Waterstone'a oraz w antykwariacie z książkami przy Fossgate. Ponieważ zrobiłem się głodny, znalazłem stolik w Plunkets na High Petergate, między Minster a rzymskim murem, i zamówiłem burgera z leśnymi grzybami i brie oraz kieliszek czerwonego wina. Z głośników sączyły się kolędy, w kominku trzaskał ogień. W Yorku, na jego wąskich uliczkach, w pobliżu rzymskich murów obronnych i starych kamiennych budowli, łatwo można się poczuć jak w czasach wiktoriańskich albo nawet dawniejszych - w średniowieczu. Wyjrząwszy przez okno przyozdobione po bokach sztucznym śniegiem, prawie spodziewałem się dostrzec Małego Tima kuśtykającego o kulach ulicą.

Kiedy tak siedziałem, popijając wino, ciągle w podniosłym nastroju po wizycie w Minster i zadowolony ze świątecznych zakupów, zdałem sobie sprawę, że to dziwne uczucie, które na mnie opadło - to radość. Zwykła radość z tego, że żyję. Uświadomiłem sobie, że nie odczuwałem jej od dłuższego czasu, a już na pewno od śmierci Laury, w dodatku ogarnęła mnie bez specjalnego powodu, bo przecież nie chodziło o dumę z czegoś, co udałoby mi się osiągnąć. W końcu ani nie skończyłem sonaty fortepianowej, ani nie dowiedziałem się prawdy o Grace Fox, ani nie napisałem najlepszej ścieżki dźwiękowej w życiu, nie zdobyłem też drugiego Oscara i nie wygłosiłem z tej okazji błyskotliwej mowy. Nic. Po prostu pochodziłem sobie po zabytkowym mieście, postąpiłem przez chwilę, słuchając chóru w Minster, i wypilem parę łyków wina, a mimo to czułem

się jak Ebenezer Scrooge w świąteczny poranek, kiedy zorientował się, że żyje - rzecz jasna, w wersji Alastaira Sima.

Udało mi się powstrzymać przed puszczeniem się w tan, ale tak właśnie się czułem.

Po krótkim spacerze po rzymskim murze wróciłem na przystanek. Czekałem w długiej kolejce na autobus, który miał mnie z powrotem zabrać na parking przesiadkowy, sprawdziłem w iPhone emaila. Okazało się, że przyszła wiadomość od Louise. Otworzyłem ją, walcząc z narastającym podekscytowaniem. Poczuję się zawiedziony, kiedy zobaczyłem, że napisała tylko: „Zadzwoń do mnie” i podała swój numer w Cambridge. Ponieważ przyjechał autobus, postanowiłem zatelefonować do niej, gdy tylko dotrę do domu.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie było żadnego dziecka i że ten tajemniczy młody żołnierz jest tak samo tajemniczy jak przedtem?

- Wszystko wskazuje na to, że tak - potwierdziła Louise. - Przykro mi.

Wykręty, „choroba nerwowa”, wizyta u dalekiej ciotki - byłem tego całkowicie pewien! To przecież zupełnie typowe dla tamtych czasów. Grace najwyraźniej była romantyczną i upartą dziewczyną, popełniła nierozsądny czyn i jej rodzice wydali ją za Ernesta, starego przyjaciela rodziny, w nadziei, że ją w ten sposób utemperują.

- Więc Grace naprawdę przeszła załamanie nerwowe?

- Na pewno coś w tym stylu. Oczywiście wtedy w ten sposób określano wiele chorób.

Nie znam szczegółów. To i tak cud, że udało mi się tego dowiedzieć, ale...

- Tak, mówiłaś. Syn sąsiadki jej ciotki ciągle mieszka w domu obok. Powiedział ci coś jeszcze?

- Był wtedy dzieckiem. Pamiętał tylko, że kazano mu bawić się cicho, bo obok mieszka panienska, która nie czuje się dobrze.

- Ale w tym wieku nie mógł się właściwie zorientować, czy była w ciąży, czy nie?

- Nie była. Szukałam w archiwum i nigdzie nie ma informacji o tym, żeby wtedy jakaś kobieta urodziła dziecko w tym domu. Sprawdziłam też

adres domowy babci w Saltburn oraz na wszelki wypadek Thomasa Murraya. I nic.

- Może wysłali ją gdzieś indziej, żeby urodziła dziecko. Może nie zarejestrowała go pod własnym nazwiskiem, może...

- Chris - przerwała mi Louise z anielską cierpliwością w głosie. - Dlaczego po prostu się z tym nie pogodzisz? Grace Fox nie miała dziecka z Thomasem Murrayem. Musiałby zostać po nim jakiś ślad, a wierz mi, spędziłam mnóstwo czasu, przeczesując archiwa. Czasu, który powinnam spędzić, przygotowując się do nowej pracy, tak przy okazji.

- Przepraszam, Louise. Naprawdę. Jestem ci bardzo wdzięczny. Dziękuję. To tylko takie... frustrujące. Znowu wracam do punktu wyjścia.

Nie potrafiłem ukryć rozczarowania. Moje spekulacje prowadziły donikąd, mój domek z kart rozsypał się, zanim go jeszcze postawiłem. Czysta radość, którą odczuwałem zaledwie kilka godzin wcześniej, szybko stawała się odległym wspomnieniem.

- Niezupełnie - zauważyła Louise. - Wiesz teraz, że to nie był jej syn. Kto nam zostaje?

- Właściwie może to być ktokolwiek. Jakiś obcy.

- Nie. Musiała go znać. Był znajomym, być może kimś, z kim się od dłuższego czasu nie widziała. Wiele można zarzucić babci, ale wbrew temu, co insynuowano jej potem w plotkach, z pewnością była dyskretna. Nie pokazałaby się publicznie w centrum miasteczka z młodym mężczyzną, gdyby go nie znała, a już z pewnością nie zrobiłaby tego, gdyby chodziło o coś więcej niż niewinną znajomość. Zastanów się nad tym, Chris. Pozwalasz, by rozczarowanie wypaczyło ci trzeźwy osąd.

Oczywiście, miała rację. I to nie pierwszy raz.

- Wiem - powiedziałem. - Przepraszam. Dzięki za wszystko.

- Nie ma za co. Zależy mi na dotarciu do prawdy tak samo jak tobie. Jeszcze z tym nie skończyłam. Była moją babką. Pamiętaj, ja też czytałam jej dziennik i nie wierzę, że kobieta taka jak ona mogłaby popełnić taką zbrodnię. Do widzenia, Chris. Muszę lecieć. Będziemy w kontakcie.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na choinkę przy oknie. Kiedy zadzwoniłem po raz pierwszy, nie zastałem Louise, zamiast więc chodzić tam i z powrotem po domu, niszcząc dywan, zająłem się dekorowaniem drzewka. Lampki migotały, a z łańcucha, kołyszącego się od podmuchów

przedzierających się przez ramę, sypały się iskierki światła. Nie miałem zbyt wielu ozdób i postanowiłem sprowadzić za rok stare z magazynu w Los Angeles, jeżeli tylko dojdę do wniosku, że wytrzymam znowu ich widok. Kupowaliśmy je z Laurą przez całe lata w czasie naszych podróży i z każdą z nich wiązały się inne wspomnienia.

Zobaczywszy, że za oknem pada śnieg, spojrzałem na zegarek. Za pół godziny przyjedzie Heather, a ja jeszcze nawet nie zacząłem robić kolacji. W sumie jednak przyrządzenie czegoś na szybko nie zajmie mi zbyt wiele czasu. Gdy soliłem wodę i zapalałem gaz, zastanawiałem się, dlaczego nie zaczekałem z przyozdabianiem choinki.

Przecież mogliśmy to zrobić z Heather razem. Szybko zdałem sobie sprawę, że to dla mnie o wiele za wcześnie, żeby robić z kimś coś tak intymnego, coś, co każdego roku robiliśmy z Laurą. Zawsze narzekałem, że choinka nie mieści się w stojaku - jakoś nigdy nie dało jej się do niego wcisnąć bez problemu - a Laura ostrożnie odpakowywała każdą ozdobę, każde wspomnienie. Co ze mnie za facet? Potrafię zaciągnąć kobietę do łóżka, ale nie jestem w stanie ubrać z nią choinki. Niech to szlag, pomyślałem, czując szczypanie w oczach. Kiedy ten cholerny ból ustąpi?! Kroilem wprawdzie cebulę, ale tylko częściowo mogłem zwalić na nią winę za ciekące mi po policzku łzy.

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), luty 1942 roku.

Na morzu

Środa, 18 lutego 1942 roku

Jestem teraz tak zrozpaczona, że ledwo mogę zmusić się do pisania. I tak wątpię, czy ktokolwiek będzie kiedyś czytał ten dziennik, bo wszystko wskazuje na to, że wkrótce znajdzie się na dnie morza razem ze swoją autorką.

Wydawało mi się niedawno, że gorzej już być nie może, ale się myliłam. Przez cały wczorajszy dzień płynęliśmy w stronę Jawy, jak zwykle pielęgnując rannych, zmieniając opatrunki, wydzielając racje, próbując ukoić ból resztkami morfiny, jakie nam jeszcze zostały.

To były męczące godziny i o zachodzie słońca marzyliśmy jedynie o tym, żeby wreszcie się położyć. Ponieważ „Tanjong Pinang” to niewielki statek, wszyscy pasażerowie musieli zejść do ładowni, ale w nagrodę za nasz wysiłek kapitan pozwolił siostrze spać na pokładzie, gdzie było chłodniej i mniej tłoczno.

Gdy tylko poszliśmy spać, około wpół do dziesiątej oślepiło nas nagle światło reflektorów, a następnie rozległy się dwie potężne eksplozje. A potem wybuchł chaos.

Stwierdziłam, że nic mi nie jest, ale wokół siebie widziałam tylko martwych i umierających.

Brenda mogła chodzić, ale miała potworną, poszarpaną ranę w prawym boku i traciła mnóstwo krwi. Opatrzyłam ją paskami oddartymi z ubrania.

Dym sprawiał, że trudno było oddychać, a widoczność ograniczyła się do kilku cali.

Wszędzie, gdzie się tylko obróciłyśmy, potykałyśmy się o ciała. Ruszyłam do ładowni, żeby sprawdzić, czy da się coś zrobić dla zamkniętych tam kobiet i dzieci, ale podeszła do mnie pielęgniarka z korpusu ochotniczego, cała we krwi, i powiedziała, że to nie ma sensu, bo wszyscy na dole zginęli. Pocisk trafił bezpośrednio w nas. Nikt nie wiedział, czy zaatakował nas okręt podwodny, czy kanonierka, ale nie miało to żadnego znaczenia. Było już po nas.

Statek przechylał się i tonął tak szybko, że jedynym rozsądnym wyjściem był skok do wody. Wzięłam Brendę za rękę i razem wspiełyśmy się na burtę. Wszędzie wokół w ciemnościach rozlegały się potworne krzyki i byłam pewna, że albo tonący statek pociągnie nas za sobą na dno, albo utoniemy, zanim znajdziemy cokolwiek, czego można by się uczepić.

Nie spuszczałam oka z Brendy. Nawet w tym stanie świetnie radziła sobie z pływaniem i w końcu oddaliśmy się na tyle, że idący na dno statek nie wessał nas w głąb oceanu.

Załoga wyrzuciła za burtę mnóstwo tratw ratunkowych. Udało nam się z Brendą złapać dwie z nich i związać ze sobą. Krążyłyśmy potem przez chwilę w poszukiwaniu rozbitków i wkrótce zapełniłyśmy nimi naszą prowizoryczną szalupę. Kiedy nie było już dla nikogo miejsca, ludzie czepiali się jej burt. Płynęłyśmy przed siebie w mrok.

Nie wiem, co się stało z resztą pasażerów. Mogę tylko przypuszczać, że większość zginęła. Teraz jest ranek następnego dnia i wszystko wskazuje na to, że będzie bardzo gorąco.

Nie mamy niczego, co chroniłoby nas przed słońcem. W nocy straciliśmy dwoje ludzi - spośród tych, którzy uczepili się burt naszej tratwy. Rano po prostu ich nie było. Dzieci są głodne i płaczą, a ich biedne matki na próżno próbują je pocieszyć. Nie mamy żywności ani wody. Brenda gorączkuje, a rana w jej boku wygląda potwornie. Trzeba ją jak najszybciej zszyć, a moja przyjaciółka potrzebuje antybiotyków, w przeciwnym razie wda się infekcja.

Kiedy się rozglądam, widzę tylko ocean, który, dzięki Bogu, jest dzisiaj spokojny, i kilka małych wysepek. Możemy tylko próbować płynąć dalej w kierunku Sumatry i mieć nadzieję, że jakiś statek nas uratuje, zanim pojawią się Japończycy.

Czwartek, 19 lutego 1942 roku

Dziś wszystkie dzieci ogarnęło szaleństwo.

Piątek, 20 lutego 1942 roku

Nie mogliśmy w żaden sposób pomóc dzieciom. Udary ciepłe, jęczące się rany, głód i odwodnienie zabiły je. Straciliśmy wszystkie - brzdące, niemowlęta, wszystkie - i razem z Brendą ze łzami w oczach powierzyliśmy ich maleńkie ciała morzu. Jedna z matek nie chciała wypuścić z rąk synka i w żaden sposób nie mogliśmy jej do tego zmusić. Później, gdy nikt nie patrzył, nagle ześlizgnęła się z nim za burzę i oboje poszli na dno. Pod koniec dnia straciliśmy trzech kolejnych cywilów, którzy czepiali się burty. Nie wiem, czy umarli z wyczerpania, czy byli tak osłabieni, że poddali się i puścili tratwę, ale nikt z nas nie miał siły ich szukać.

Słońce jest bezlitosne. Próbujemy jakoś chronić się przed nim resztkami ubrań, które nam zostały, ale nic to nie daje. Nie da się uciec przed gorącem. Prawie cały czas boli mnie głowa i jest mi niedobrze. Moja skóra jest gorąca i sucha. Tak bardzo chce mi się pić, że poważnie zastanawiam się nad tym, czy nie zaczerpnąć garści wody morskiej. Mały łyiczek chyba mi nie zaszkodzi? Za dnia mogą nas też wypatrzeć japońskie okręty lub samoloty, mamy więc wiele powodów, żeby z utęsknieniem czekać na zapadnięcie zmroku, choć w ciemnościach ogarnia mnie jeszcze większy strach. Do tej pory nie widzieliśmy rekinów, ale z pewnością krążą gdzieś w pobliżu. Nie darowałyby sobie takiej uczy. Nie widziałam żadnych innych tratw ani łodzi. Jesteśmy sami, malowany okręt na morzu malowanym[8].

Sobota, 21 lutego 1942 roku

Brenda odeszła zeszłej nocy. Spała obok mnie, a rano jej miejsce było puste. W nocy ześlizgnęła się w fale, a ja nawet się nie obudziłam. Może odwróciłam się na bok i ją zepchnęłam? Czuję się z tego powodu winna, odpowiedzialna za to. Powinnam lepiej o nią zadbać. Powinnam ją trzymać. Dlaczego Brenda? Dlaczego Brenda, a nie ja?

Zostało nas przy życiu już tylko pięcioro, a jedno nie ma szans dożyć do wieczora.

Zresztą pozostali również nie wytrzymają o wiele dłużej. Zastanawiam się, po co to właściwie piszę, ale zawsze czuję ulgę, kiedy dotykam woreczka zawieszzonego na mojej szyi.

Jestem już zbyt osłabiona, żeby myśleć trzeźwo. Naprawdę nie mam już nic do powiedzenia. Umieramy. To tylko kwestia czasu. Może lepiej pójść za Brendą. To byłoby tak łatwe. Czasem pragnę, żeby przyleciał japoński samolot i nas zbombardował. Jedna szybka bomba załatwiłaby wszystko. Kiedy zamykam oczy, jestem z powrotem w Kilnsgate, a wszędzie wokół widzę śnieg. Lepiej bałwana z Billym, ale nagle zaczyna się ruszać i topnieć, wychodzi z niego Japończyk, warczy i celuje we mnie bagnetem. Czasem nie wiem już, co gorsze, halucynacje czy rzeczywistość. Niekiedy nie mogę ich od siebie odróżnić.

Grudzień 2010

Tuż przed świętami angielska zima pokazała, na co ją stać. Zostały zamknięte szkoły, drogi i lotniska, w tym Heathrow, a w całym kraju stanęły pociągi. W Kilnsgate zostałem na kilka dni odcięty od świata, choć na szczęście ciągle działały telefon i Internet. Kiedy przestał padać śnieg, udało mi się przekonać miejscowego rolnika, żeby przyjechał ze swoim pługiem i mnie odkopał, co kosztowało małą fortunę. Zamartwiałem się, czy moim gościom uda się wylądować, bo najwyraźniej obsługa Heathrow nie radziła sobie z taką ilością śniegu.

Volvo sprawdziło się wyśmienicie. Prowadziłem wiele razy w podobnych warunkach w Nowej Anglii, na Środkowym Zachodzie albo nieopodal Mammoth Lakes w Kalifornii, gdzie mieliśmy chatkę narciarską, ale tam zakładałem opony zimowe i jazda była łatwiejsza.

Gratulowałem sobie, że świąteczne zakupy zrobiłem wcześniej i właściwie niczego już nie potrzebuję. Martwiłem się trochę o dostawę wina, ale kiedy zadzwoniłem, żeby o nią zapytać, zapewniono mnie, że przesyłka dotrze w ciągu dnia albo dwóch i rzeczywiście tak się stało.

Heather jednak nie spędziła ze mną świąt. Tamtego wieczoru przed śnieżycą, kiedy przyjechała do mnie na kolację, powiedziała, że jej zdaniem to nie jest najlepszy pomysł i że odwiedzi w tym roku rodziców. Przypuszczałem przez chwilę, że jej decyzja może mieć coś wspólnego z tym, że sam ubrałem choinkę i mogła się poczuć urażona, ale szybko doszedłem do wniosku, że to tylko moje własne bajanie. Widać było, że

głęboko to sobie przemyślała i podjęła decyzję, zanim przyjechała i zobaczyła choinkę, którą zresztą pochwaliła.

Spędziliśmy bardzo miły wieczór: zjedliśmy kolację, pośmialiśmy się, zwierzyliśmy sobie ze świątecznych wspomnień, a potem się kochaliśmy. Zapewniłem ją, że rozumiem jej decyzję, by spędzić Wigilię z rodziną, i że ma rację. Byliśmy ze sobą zbyt krótko, a od jej separacji minęło za mało czasu, żeby miała już poznawać moją rodzinę i przyjaciół. Żałowała tylko jednego, o czym powiedziała mi z typową dla siebie szczerością, a mianowicie, że ominie ją spotkanie ze słynną Melissą Wilde. Odparłem, że może uda nam się coś zaaranżować po świętach, w zależności od planów moich przyjaciół, i na tym stanęło. Nie została na noc, tłumacząc, że chce jechać, zanim zasypie nas śnieg.

Na szczęście Jane i Muhammadowi oraz Dave'owi i Melissie udało się przedrzeć, chociaż lot z Los Angeles był opóźniony prawie o dziesięć godzin. Postanowili przyjechać kilka dni przed świętami, żeby się zrelaksować i zaaklimatyzować, ale nic z tego nie wyszło, bo za oknem było coraz zimniej i lód, który topił się w ciągu dnia, przez noc na nowo zamarzał. Nie pomagały nawet butelki z gorącą wodą. Moi amerykańscy goście bez przerwy narzekali. Z wyjątkiem Muhammada. W młodości mieszkał przez jakiś czas w Londynie i przyzwyczyił się do chłodu. Powiedziałem „w młodości”, choć obecnie miał tylko dwadzieścia pięć lat. Był stażystą u Johnsa Hopkinsa z „niesamowitymi”, jak zapewniała mnie Jane, perspektywami.

Muszę przyznać, że kiedy usłyszałem o Muhammadzie oraz o tym, że jest lekarzem, spodziewałem się poważnego abstynenta o krytycznym spojrzeniu, ale okazało się, że jest fanem Goonsów obdarzonym absurdalnym poczuciem humoru i że od czasu do czasu nie ma nic przeciwko kieliszkowi wina oraz obchodzeniu świąt z niewiernymi, skoro już o tym mowa. Był jednakże z zawodu medykiem, a zawsze czuję się trochę winny, kiedy w obecności lekarzy wypiję kilka drinków. Wyobrażam sobie, że gdy na mnie patrzą, to w myślach przy każdym łyku odliczają mi kolejny rok życia. Ale Muhammad tak jak wszyscy włożył czerwoną czapkę i radośnie odpakowywał świąteczne cukierki. Pałaszował też wszystko, co mu zaserwowałem, i nie protestował, gdy po posiłku stawiałem przed nim szklaneczkę whisky. Jane pomogła mi szykować kolację, a ja cieszyłem się zarówno z tego, że nie musiałem robić

wszystkiego sam, jak i z jej towarzystwa w kuchni. Zorientowałem się, jak bardzo za nią tęskniłem. I za Laurą. Bez cienia wątpliwości, jeśli chodzi o urodę, wdała się w matkę. Jane i Muhammad spali w dużej sypialni gościnniej, ale żadne z nich nie narzekało na dziwne odbicia w lustrze.

W pierwsze święto zadzwoniła od Grahama matka. Powiedziała, że ma za sobą koszmarną podróż, ale teraz już wszystko w porządku, z wyjątkiem tego, że wokół jest za dużo rozwrzeszczanych bachorów. Przypomniałem jej, że niektóre z nich to jej rodzone praprawnuczęta, ale narzekała dalej, tym razem na to, że nie rozumie programów w telewizji, bo mówi się w nich wyłącznie po francusku. Zrezygnowałem z prób prowadzenia konwersacji i po prostu słuchałem. Później, z domu teściów w San Francisco, zadzwonił mój syn, życząc nam wszystkim wesołych świąt. Poza tym telefon milczał.

Nie siedzieliśmy przez cały czas w domu. Ponieważ moi goście, nie zważając na paskudną pogodę, koniecznie chcieli zobaczyć Yorkshire, zabrałem ich do Hawes, Reeth, na zamek Bolton i do Yorku. Chciałem im też pokazać słynną drogę Buttertubs Pass między Wensleydale a Swaledale i zawieźć na lunch do pubu Tan Hill, ale okazało się to niemożliwe.

Przy tak oblodzonych drogach nie było co zapuszczać się na nieogrodzony szlak, po którym wałęsały się owce i po którego obu stronach od czasu do czasu ciągnęły się strome rozpadliny. Z racji pogody musieliśmy też zrezygnować z wyprawy na wybrzeże, ale i tak wszyscy chyba dobrze się bawili.

Gdziekolwiek wychodziliśmy, na przykład do Baraniego Łba, znowu zaczynałem czuć się obco wśród mieszkańców Yorkshire. Z wyjątkiem mnie wszyscy mówili z amerykańskim akcentem, nawet Muhammad, nagle zauważyłem też, choć kiedy mieszkałem w Stanach, w życiu nie przyszłoby mi to do głowy, że Amerykanie w miejscach publicznych zachowują się trochę za głośno. Wiem, że cały temat cudzoziemców za granicą jest dosyć śliski, a z moich doświadczeń wynika, że nie ma gorszego przekleństwa niż Anglik z Yorkshire wychylający nos za swoje opłotki, gdzie nigdzie nic nie jest tak dobre, jak „w domciu”, może z wyjątkiem pogody. Mimo to wszyscy ciągle się na nas gapili, a kiedy na przykład Dave pytał, jak to jest, że Brytole nie radzą sobie nawet ze zwykłą śnieżycą, trudno było ignorować pełne dezaprobaty miny miejscowych, którzy na takie enuncjacje reagowali jak na rasistowski dowcip lub puszczonego zbyt

głośno bąka. Uzmyslowiłem sobie, że mnie również zaliczają do grupy obrazoburców. Nawet Wellandowie, moi starzy znajomi, uśmiechali się raczej słabo i trzymali dystans.

Zupełnie innego rodzaju sensację wzbudzała za to Melissa. Dave, kiedy się z nią żenił, stał się obiektem wielu złośliwych docinków - oboje mieli za sobą kilka rozwodów, a trzydziestopięcioletnia Melissa była od niego sporo młodsza - ale akurat ja wiem doskonale, że to była prawdziwa miłość. Prywatnie Melissa Packer była inteligentną, twardo stąpającą po ziemi, zabawną, nieco nietaktowną, rozsądną kobietą, ale większość osób znała ją jako Melissę Wilde, aktorkę filmów akcji, albo z ról ociekających seksem wampów, w jakich specjalizowała się na dużym ekranie. Była rzeczywiście olśniewająca, w dodatku wszystko w niej było naturalne, od perłowobiałych zębów po jędrny biust, połyskujące, zaczesane do tyłu włosy, krągłości we właściwych miejscach, mięsiste wargi i długie nogi. Oczywiście codziennie ćwiczyła, ale urody nie zawdzięczała chirurgom plastycznym. Nie korzystała też z usług kaskaderów i miała czarny pas w karate. Naturalnie w miejscach publicznych mnóstwo osób ją rozpoznawało - niektórzy widzieli ją przecież niedawno na Stacji w hicie Śmierć wie, jak się nazywam, w którym zagrała femme fatale - i natychmiast opadały im szczęki. Kilkoro fanów podeszło po autograf, a Melissa uprzejmie spełniła ich prośbę.

Najciekawszym jednak wieczorem, w czasie którego w dodatku w moim śledztwie w sprawie Grace Fox nastąpił zwrot w zupełnie nieoczekiwanym kierunku, był ten, który spędziliśmy, włączając się od pubu do pubu w Richmond.

- Ta kobieta, na której punkcie masz obsesję... - powiedział cicho Dave, gdy upchano nas w rogu ciasnej łoży w Czarnym Lwie, w której oprócz nas siedziała chyba cała drużyna rugbistów. W sali restauracyjnej grał folkowy zespół akustyczny, którego muzykom udało się namówić Melissę, żeby zaśpiewała z nimi numer. Zanim przeszła do branży filmowej, nagrała kilka albumów w stylu altcountry i ciągle nie straciła muzycznego drygu. Publiczność była zachwycona. Love Is Teasing nigdy jeszcze nie brzmiało tak dobrze. Nawet rugbiści słuchali.

Jane i Muhammad ostatnio nie mieli zbyt wiele czasu dla siebie i niespecjalnie przepadali za pubami, postanowili więc spędzić wieczór we dwoje w domu.

Wypiłem porządny łyk black sheep.

- Grace Fox - sprecyzowałem. - I nie mam na jej punkcie obsesji. Po prostu się nią interesuję.

- Nieważne. Myślisz, że to dobra historia?

- Czy ja myślę, że to dobra historia? Rewelacyjna, Dave! Bez dwóch zdań.

Niesamowita. Tyle że nie wiem jeszcze, jak się kończy.

- Wiesz, o co mi chodzi. Czy to materiał na film?

Wiedziałem doskonale, co ma na myśli. Odkąd przeczytałem dziennik Grace i zobaczyłem jej zdjęcia, ciągle słyszałem fragmenty muzyki, które zaczynały układać się w mojej głowie w pewną całość - choć ciągle jeszcze ich nie zapisałem - i które nazywałem „tematem Grace”. Po prostu myślałem filmowo, choć wiedziałem też doskonale nawet bez przegrania tego motywu, że to właśnie on jest brakującą częścią mojej sonaty fortepianowej, tą, która nada jej spójności, wielowymiarowości, znaczenia. Skoro więc Grace zmusiła mnie do myślenia o sobie w kategoriach filmowych, co było przecież zupełnie kretyńskie, bo zwykle ostatni włączam się w proces produkcji, to powinienem był się domyślić, że również Dave, ze swoim instynktem narracyjnym rasowego filmowca, szybko złapie bakcyła.

Byliśmy już w Torfie, Runie oraz w Jednorożcu i powoli zbliżaliśmy się do rynku.

Chociaż od świąt minęło dopiero kilka dni, był czwartkowy wieczór i miasto już szalało, całkowicie opanowane świąteczną gorączką. Wyszliśmy z Czarnego Lwa, ku ogromnemu rozczarowaniu członków kapeli, i ruszyliśmy w stronę Tawerny Zamkowej.

- O Jezu! - jęknęła Melissa, gdy weszliśmy na brukowany rynek, ciągle obwieszony świątecznymi lampkami. - Taki ziąb, a te dziewczyny chodzą prawie gołe. Patrzcie na ich obcasy! - Spojrzała na mnie. - To dziwki, Chris? Nie mówiłeś mi, że w Richmond roi się od dziwek.

- Ćśś! - uciszyłem ją, kładąc palec na ustach. Dziewczyny może i były ciut skąpo ubrane i w swoich wysokich obcasach mało nie wywracały się na oblodzonych kocich łbach, ale wśród ich chłopaków pewnie było co najmniej kilku barczystych szeregowych z garnizonu w Catterick. Z drugiej strony, gdybym miał obstawiać szanse tych ostatnich w starciu z Melissą, nie wahałbym się nawet przez chwilę. Przyzwyczaiałem się już do widoku

grupek dziewcząt, które przez całą zimę paradują w krótkich spódniczkach, kusych topach i na wysokich obcasach, ale doskonale rozumiałem, że mogły wprowadzić obcych w zdumienie. - To stara angielska tradycja - wyjaśniłem. W ten sposób dało się wytłumaczyć wszelkie ekstrawagancje.

Melisse przeszedł dreszcz.

- Bardzo niezdrowa, jak na mój gust. Daleko jeszcze? Zaraz sama się poślizgnę i złamię kark.

- Jesteśmy na miejscu.

Po miasteczku musiały już krążyć plotki o grupce walniętych Amerykanów, bo jak tylko weszliśmy do pubu, rozmowy ucichły i wszyscy klienci spojrzeli w naszą stronę.

Towarzystwo było mieszane, trochę dzieciaków, ale i sporo emerytów oraz par w średnim wieku. Po drugiej stronie sali zobaczyłem Wilfa Pelhama w otoczeniu paru kumpli, który pomachał do mnie. A zatem zostało mi wybaczone. Również do niego pomachałem. I tak chciałem z nim zamienić słowo. Nie grał na żywo żaden zespół, a muzyka sącząca się z głośników nie była na tyle głośna, by zagłuszyć gwar rozmów, który wkrótce zaczął z powrotem wokół nas narastać.

- Pójdę po napitki - powiedziała Melissa, spoglądając z szelmowskim uśmiechem w stronę zatłoczonego baru. - Tak właśnie mówią Brytole?

Była w Anglii dopiero od kilku dni, ale dzięki swoim zdolnościom aktorskim już podłapała kilka brytyjskich określeń, a nawet udało jej się do złudzenia naśladować północny akcent. Chociaż geordie, który od czasu do czasu było słychać w okolicy Richmond, trochę ją jednak przerastał.

- No co ty! - zaprotestowałem. - Ja pójdę.

- Dlaczego? Z tego, co widzę, szykuje się niezła zabawa. - Położyła mi dłoń na ramieniu i dodała kpiącym tonem: - Czyżby to było niegodne dam?

Zrzuciła płaszcz, wręczyła go Dave'owi i dała nura prosto w tłum. Dave zaśmiał się, a potem ruszył za mną. Udało nam się upchać na ławie i zwinąć nawet sąsiadom krzesło dla Melissy. Pytanie tylko, czy go potrzebowała. Zdaje się, że miała raczej ochotę rozkręcić trochę towarzystwo, bo natychmiast zaczęła rozmawiać z ludźmi tłoczącymi się obok niej przy barze. Zrobili jej miejsce, pozwalając, by obsłużono ją pierwszą, niczym królową. Cóż, magia hollywoodzkiej gwiazdy. Albo wdzięk samej Melissy. Zaraz pewnie będzie z nimi grać w rzutki. I ogra ich wszystkich.

Po chwili wróciła z piwami - nie wiem, jakie przyniosła, ale były w pintowych szklankach i smakowały w porządku - i postawiła je na stole. Heather obiecała, że postara się wieczorem wpaść, podałem jej więc zarys planu naszej trasy. Kątem oka zerkąłem co chwilę na drzwi, mając nadzieję, że dotrze. Wiedziałem, że chce poznać Melissę, a sam nie mogłem się doczekać, aż ją znowu zobaczę.

Nie zawiodłem się; dotarła do Zamkowej wkrótce po nas, jak to ona, ubrana seksownie, choć nie wyzywająco, i wypatrzywszy mnie natychmiast, uśmiechnęła się szeroko. Najwyraźniej w pubie było mnóstwo jej znajomych, bo zanim precyzyjnie się do nas, zatrzymywała się co chwilę, żeby się przywitać albo życzyć komuś szczęśliwego nowego roku. Zresztą w jej zawodzie pewnie zna się wszystkich.

Ponieważ przy stoliku nie było zbyt wiele miejsca, wstałem szybko, pocałowałem ją na powitanie i ustąpiłem jej krzesło. Przedstawiłem ją Melissie i Dave'owi, po czym powiedziałem, że wracam za minutę i poszedłem zamienić słowo z Wilfem. Kiedy Heather zobaczyła, dokąd zmierzam, przewróciła oczami, ale był to raczej wyrozumiały gest. Potem nachyliła się z powrotem, zaczęła z ożywieniem rozprawiać o czymś z Melissą i już o mnie zapomniała. Zanim zdążyłem dotrzeć do stolika Wilfa, obie wstały i Heather zaprowadziła Melissę do grupki osób tłoczących się przy drugim końcu baru. Po kilku sekundach rozmawiali już jak starzy dobrzy znajomi. Wkrótce Melissa będzie najlepszą przyjaciółką wszystkich w barze. Była w tym dobra. Dave, pozostawiony samemu sobie, rozmawiał z jakąś parą w średnim wieku, siedzącą obok niego.

- Cześć, chłopie! - przywitał się Wilf. - Siadaj.

Usiadłem i postawiłem na stole pintę.

- Jak zdrowie, Wilf?

- Jako tako. W moim wieku, jak tylko zaczyna cię coś boleć, od razu myślisz, że pora żegnać się ze światem.

- Więc nie masz raka?

- Wygląda na to, że nie. To tylko, jak powiedział mój lekarz, refluks kwasu żołądkowego. Wsadzili mi rurkę do gardła, popatrzyli trochę, a potem dali receptę. Dostałem nowe tabletki, które na razie działają.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

- Czy ta obok twojej przyjaciółki to nie przypadkiem Melissa Wilde?

- Rozpoznałeś ją? Jestem pod wrażeniem.

- Staram się być na bieżąco. - Spojrzał na mnie szelmowskim wzrokiem. - Parę dni temu poszedłem do Stacji zobaczyć Śmierć wie, jak się nazywam.

Jęknąłem i schowałem głowę w dłoniach.

- No nie, chłopie, nie było tak źle. Ale Bernard Herrmann to to nie był. - Przyjrzał się Melissie, która z ożywieniem rozmawiała z ludźmi przedstawionymi jej przez Heather. - Boże złoty, gdybym był dwadzieścia lat młodszy...

Roześmiałem się.

- Chyba pięćdziesiąt, Wilf.

- Ej! Tylko bez takich! Mógłbym ci opowiedzieć parę historyjek, po których spłoniłbyś się niczym panienka.

- Nie wątpię. A tak przy okazji... - Wskazałem na Dave'a. - Tam siedzi jej mąż.

- Ten pokurcz? Niech lepiej ma na nią oko. Niektórym z tych chłoptasiów po kilku głębszych zaczyna się przewracać w łepetynach, jeżeli wiesz, o co mi chodzi.

- Nie martwiłbym się tym. Dave potrafi o siebie zadbać.

Melissa też, mogłem dodać, skoro już o tym mowa.

- To twoi znajomi z branży filmowej?

- Tak.

Opowiedziałem Wilfowi o tym, jak w czasie pracy nad pewnym projektem poznałem Dave'a i Melissę, potem przez chwilę gawędziliśmy o świętach. Wilf spędził je z córką i zięciem w Blackpool, ale w końcu ich ciągle kłótnie wygoniły go do domu.

- Nie jechałbym tam w ogóle, gdyby nie szczeniaki - wyjaśnił. - Ale nie można ignorować własnych wnuków, nie?

- W żadnym razie - zgodziłem się, natychmiast czując wyrzuty sumienia, bo przecież nie zobaczyłem się z własnymi w te święta.

Ktoś przyniósł Wilfowi kolejne piwo i nauczyciel wypił potężny łyk, obcierając następnie usta wierzchem sękatą dłoń.

- A jak tam twoje śledztwo?

- To właściwie żadne śledztwo - zastrzegłem, czując się trochę głupio. - Zresztą wszystko jedno, bo i tak utkwiło w martwym punkcie.

- A czego się do tej pory dowiedziałeś? - zapytał Wilf.

Pokręciłem głową.

- Przeczytałem jej dziennik.

- Dziennik?

- Tak. - Opowiedziałem mu o Louise i skromnych pamiątkach, jakie pozostały po Grace. - To, co widziała i co robiła, jest naprawdę zdumiewające. Dotarła na koniec świata.

- Taa... - rzekł Wilf. - Często zapominamy, co robią kobiety, gdy mężczyźni są zajęci wyrzynaniem i okaleczaniem się nawzajem.

- Tak czy inaczej, gdyby mnie ktoś pytał o zdanie, to prawdopodobieństwo, że mogłaby kogoś zabić, zmalało jeszcze bardziej.

- No to może zrobił to niezadowolony pacjent? - zasugerował Wilf. - Mówiłem ci, że stary Foxy był sadystycznym sukinsynem.

- No dobra, brakowało mu współczucia dla pacjentów. Gdyby coś takiego wystarczało za motyw morderstwa, mielibyśmy na świecie o połowę mniej lekarzy.

- Zależy, co zrobił i komu.

- Wezmę to pod uwagę. - Napilem się piwa. - Ciągle zastanawia mnie ten chłopak w mundurze, z którym Grace zjadła w Richmond lunch tuż przed całą tą katastrofą.

Opowiedziałem Wilfowi o mojej teorii, którą jednak podważyły odkrycia Louise Webster.

Nauczyciel podrapał się po zarośniętym podbródku.

- Przez to całe grzebanie w przeszłości dopada mnie nostalgia za tamtymi czasami.

Mówiłeś, że według ciebie był to jakiś jej stary znajomy i że w dniu wybuchu wojny musiał być małym chłopcem, tak?

- Tak. Gdyby urodziła dziecko, powiedzmy, w trzydziestym pierwszym, miałby wtedy osiem lat, a w pięćdziesiątym drugim dwadzieścia jeden.

- Ale nie urodziła.

- Nie. Myliłem się.

- W tamtych czasach kręciło się tu mnóstwo umundurowanych młodych mężczyzn.

Pamiętaj o Służbie Cywilnej albo o pobliskim garnizonie.

- Może był to ktoś, kogo poznała przed laty? Może w czasie wojny? Świadek, który ich widział, wspomniał, że ten nieznajomy miał na czole jakieś znamię.

Wilf spojrział nagle na mnie.

- Jesteś pewien? Nie wspominałeś o tym wcześniej.

- A czy to ważne?

Nauczyciel skinął głową w stronę Heather i Melissy.

- Na twoim miejscu miałbym na nie oko. Ten gówniarz Frankie Marshall nie wylewał za kołnierz i jak na mój gust trochę bezczelnie przystawia się do pani Wilde.

- Poradzą sobie. Dlaczego zapytałeś, czy jestem pewien?

- Billy - odparł krótko Wilf.

- Uchodźca?

- Właśnie. Zabrali go zaraz po wybuchu wojny. Rząd zaczął ich wszystkich wywozić z Tyneside już we wrześniu. Miał wtedy siedem albo osiem lat. Został u Foxów jakoś do świąt, a potem rodzice zabrali go z powrotem do siebie.

- Dlaczego?

- Bez powodu. To była „nudna wojna”. Niewiele się działo. Mnóstwo rodziców sprowadziło dzieci z powrotem. Potem, oczywiście, po kwietniu czterdziestego, kiedy Niemcy ruszyli na Norwegię i Danię, no wiesz... Zrobiło się znowu gorąco. A później była Dunkierka. Tak czy inaczej, pamiętam Billy’ego, bo przez jakiś czas chodził do nas do szkoły i czasem razem się bawiliśmy. Fajny chłopak, ale jak ryba wyrzucona na brzeg. Miastowy.

Jakoś nie mógł załapać życia na wsi. Jego ojciec prowadził chyba sklep obuwniczy w Newcastle przy High Street. Pamiętam, że mówił w geordie i większość z nas nie mogła go w ogóle zrozumieć. Niektóre dzieciaki trochę mu przez to dokuczały, ale w ogóle się tym nie przejmował. Był dosyć silny i gdyby chciał, spuściłby im niezły łomot, ale właściwie nie miał powodu, bo nie terroryzowali go ani nie gnębili jakoś specjalnie. Był bardzo

spokojny, z tego co pamiętam, może nawet za spokojny. No i ładny jak ta lala. Nieźle ubrany. Czysty. Ale przy tym wszystkim musiał być bardzo nieszczęśliwy.

- Dlaczego?

- Dokuczano mu, był obcy, daleko od domu, a w każdym razie tak to musiał odczuwać. I tęsknił za rodzicami. Nie twierdzę, że to po sobie pokazywał. Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby komuś sprawiało przyjemność przebywanie w Kilnsgate pod jednym dachem z takim starym smutasem jak Fox, prawda?

- Ale przecież była tam też Grace. No i Hetty.

- Pewnie tak. Przynajmniej czasami. Mimo to...

- Co się działo w Kilnsgate w czasie wojny? Udało mi się zebrać jakieś strzępy informacji, ale ciągle się zastanawiam, czy nie miało to czegoś wspólnego z tym, co wydarzyło się później.

- Co masz na myśli?

- Wszystko wydaje się ze sobą powiązane. Grace spotyka Billy'ego tuż przed śmiercią męża. Przecież prawdopodobnie nie widziała się z nim od trzydziestego dziewiątego, kiedy miał tylko siedem lat. Grace przez długi czas była poza krajem. Mówiłeś, że dom został zarekwirowany przez wojskowych, i to w ramach jakiejś tajnej operacji.

- No tak. Dostęp surowo wzbroniony. Nie można było nawet przejść od jednego końca Kilnsgarthdale do drugiego. Ci goście, którzy zajęli dom, to byli jacyś twardziele, prawdziwe sukinsyny.

- Skąd wiesz?

Wilf wyszczerzył zęby.

- Chyba nie sądzisz, że nie próbowaliśmy, co? Jeżeli wokół jakichś obiektów kręciły się dzieciaki, żołnierze przeważnie uznawali to za nieszkodliwe podchody. No wiesz, większość z nich nie była o wiele starsza od nas. Nie tak dawno sami lubili łobuzować.

Zwykle odganiaли nas paroma grubszymi słowami, ale z uśmiechem na ustach. Ale ci nie. Byli starsi. I poważniejsi. Kiedyś znaleźliśmy dziurę w drucie kolczastym i jak strażnik nas złapał, to odprowadził nas, trzymając przez całą drogę na muszce karabinu. Nie sądzę, żeby miał zamiar nas zastrzelić, ale i tak sikaliśmy po nogach ze strachu.

- Domyślasz się, kim mogli być?

- Nie. Wiele jednostek było ściśle tajnych. Przychodzili, a potem odchodzili i nikt nie znał nawet ich nazwisk czy pseudonimów, jeżeli się jakimiś posługiwali. Z tego, co wiem, żaden z nich nie przychodził do miasteczka posiedzieć z miejscowymi, jak to mieli w zwyczaju zakwaterowani tutaj normalni żołnierze.

- Ale mieszkańcy musieli coś podejrzewać.

- Jasne, że tak. Domyślaliśmy się, że to Kierownictwo Operacji Specjalnych. Coś w stylu Jamesa Bonda. Myślę nawet, że Ian Flemming musiał mieć z nimi coś wspólnego.

Przypomniałem sobie, że to samo powiedział mi Ted Welland.

- Ale nikt na sto procent nie był pewien ani nie mówił, że to oni?

- Nie.

- A co oni tam robili?

Wilf wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Szkolili się. Planowali. Jak wspomniałem, nie można się było dostać nawet w pobliże domu.

- Czy Billy mógł coś o tym wiedzieć?

- Nie bardzo. Wtedy już go tutaj nie było. Ale coś ci powiem: pogadaj ze starym Bertem Brothertonem. Albo nie, przepraszam, on ci już nie pomoże, bo od dawna nie żyje, podobnie jak jego syn Fred. Czasem mi się zapomina. Pogadaj z jego wnukiem. Może coś wiedzieć.

- O kim ty mówisz, Wilf?

- O twoich sąsiadach, z gospodarstwa przy drodze za wzgórzem. O ile się orientuję, pozostało w rodzinie.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, bo zdałem sobie nagle sprawę, że ciągle nie odwiedziłem sąsiadów ani im się nie przedstawiłem. Z drugiej strony oni również do mnie nie zajrzeli.

- Co mogą wiedzieć?

- Nie mam pojęcia, ale to w ich gospodarstwie w czterdziestym drugim wybuchła epidemia pryszczycy i Bert zawsze obwinał o to gości z Kilnsgate. Trzeba jednak przyznać, że stary dureń był znanym pieniaczem. Zawsze na nich najeżdżał. Zdaje się, że winił ich też za zniknięcie Nata Buntinga. Ale Bert taki już był.

Przypomniałem sobie, że Nat Bunting był upośledzonym umysłowo mężczyzną, który mieszkał w czasie wojny w okolicy i zniknął. Ale co on, u diaska, mógł mieć z tym wszystkim wspólnego?

- Mówił jak albo kiedy?

- Nie. Ale stary Bert Brotherton zawsze plótł trzy po trzy.

- Pamiętasz może, jak Billy miał na nazwisko?

- Niestety, nie. Mówiliśmy do niego po prostu Billy. Ale pamiętam znamię.

Przeważnie chował je pod grzywką, żeby nikt nie mógł go zobaczyć, ale pierwszego tygodnia szkoły mieliśmy epidemię wszy - być może przywlekli je jacyś bardziej niechlujni uchodźcy z zagrożonych terenów, i wszystkim nam, nawet takim czyścioszkom jak on, ogolono łby, a szkolna pielęgniarzka natarła je letanem, żeby się pozbyć pasożytów. Śmierdzieliśmy naprawdę paskudnie. Tak czy inaczej, kiedy mu ścięli włosy, nie miał jak ukryć znamienia, pewnie zresztą podobnie jak kilka lat później, gdy w wojsku ogolono go na zero i ktoś go potem widział z Grace. Ale Billy zawsze się go wstydził i prawie cały czas nosił czapkę, aż wreszcie wszy udało się wybić i odrosły mu włosy. W każdym razie założę się, że to był Billy.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni po iPhone'a, do którego załadowałem wcześniej zdjęcia oraz teksty otrzymane Louise, i pokazałem teraz Wilfowi zdjęcie Grace z małym chłopcem, stojących w ogrodzie w Kilnsgate.

- Czy to Billy?

Spojrzał z podziwem na iPhone'a.

- Sprytny gadżecik - skomentował. - Tak, zgadza się, to Billy. Sądząc po pogodzie, zdjęcie zrobiono wkrótce po jego przyjeździe, zanim jeszcze zaczęła się szkoła. Wrzesień trzydziestego dziewiątego. To było długie lato. Tak, to Billy. A to Grace. Ale ją pewnie sam rozpoznałeś.

- Czego po tych wszystkich latach Billy mógł chcieć od Grace?

- Nie mam pojęcia. Może po prostu był w okolicy i wpadł się przywitać i życzyć szczęśliwego nowego roku? Mówiłeś, że był w mundurze, niewykлучzone więc, że kwaterował w Catterick, odbębniał Służbę Cywilną. A może wysyłano go na wojnę i przyjechał się pożegnać?

- Jaką wojnę?

- Zawsze jest jakaś wojna. W Korei. W Kenii. Ja byłem na Cyprze.

- Zostały po tym jakieś dokumenty? No wiesz, gdzieś w archiwach.

- Pewnie tak. Ewakuacja była dużą operacją, chociaż trochę chaotyczną. Ponieważ trzeba ją było jakoś zorganizować, powstały lokalne „centra relokacji”, w których próbowano trzymać razem przyjaciół, braci i siostry oraz kolegów ze szkoły, ale nie zawsze się to udawało. - Wilf napił się piwa. - Ktoś kiedyś powiedział, że wszystko to w niektórych miejscach przypominało rzymski targ niewolników. Sam rozumiesz, przyjeżdżali rolnicy i wybierali sobie silnych, rosnących chłopców, którzy mogliby pracować na roli, a miejskie rodziny szukały dziewcząt, które pomagałyby im w prowadzeniu domu. Miejskowe grube ryby dobierały sobie oczywiście czyste, porządnie ubrane egzemplarze. Dokumenty? No nie wiem. Mieliśmy, na przykład, urzędnika odpowiedzialnego za kwaterunek. Ale wygrzebanie czegokolwiek po tylu latach może wymagać sporej harówki.

- Znam kogoś, kto mi pomoże - powiedziałem prawie że do siebie. Zauważyłem, że Heather spogląda na mnie i marszczy brwi. Irytowało ją, że tak długo rozmawiam z Wilfem, czy może robiło się tam trochę gorąco? Uśmiechnąłem się do niej. Zrobiła minę i wróciła do rozmowy z Melissą oraz otaczającym ich towarzystwem.

- Mógłbyś też spróbować pogrzebać w tutejszej prasie - zasugerował Wilf.

- To znaczy?

- Widzisz, Billy był pierwszym uchodźcą w naszej okolicy. Nie znaczy to, że przyjechał sam, bo dotarł ich tutaj cały pociąg, ale oficjalnie tak to właśnie przedstawiono i w dodatku zrobiono wokół tego wielkie halo. Doktor Fox i jego żona mieli dać przykład i pierwsi w mieście przyjąć uchodźcę. Moim zdaniem stary Foxy chciał tylko dowieść swojej pozycji w miasteczku albo coś w tym rodzaju, a urzędnik odpowiedzialny za kwaterunek był oczywiście jego pacjentem. Gdyby nie załatwił sprawy po myśli pana doktora, pewnie mogłoby się okazać, że jego dolegliwości wymagają serii bolesnych zastrzyków. Nie muszę dodawać, że w tym ich, czy raczej teraz twoim, wielkim domu zmieściłoby się dwadzieścioro takich dzieciaków albo i więcej, ale dobry pan doktor chciał tylko jednego. I, rzecz jasna, milutkiego. I pierwszego. Dostał Billy’ego. Tak czy inaczej, nie byli

do siebie tak potwornie niedopasowani, jak zdarzało się innym. Gdyby stary Foxy nie był taki wpływowy, Billy mógłby wylądować z półtuzinem dzieciaków ze slumsów i kto wie, co by się z nim stało. W każdym razie w którejś z lokalnych gazet powinien być jakiś artykuł na jego temat. Zdjęcie i tak dalej. Może czegoś się z niego dowiesz.

- W jakiej gazecie?

- Trudno powiedzieć, ale najpewniej w „Northern Despatch” albo w „Northern Echo”.

Takie tytuły wtedy tutaj czytaliśmy.

- A data?

- Skąd niby mam wiedzieć? Na litość boską, to było siedemdziesiąt lat temu!

Pamiętam tyle, że działo się to chyba we wrześniu, tuż po wybuchu wojny. Spokojnie dasz radę to ogarnąć.

Nagle od strony baru dobiegł głośny jęk oraz brzdęk rozbijanego szkła.

- Mówiłem, że będą kłopoty - skwitował Wilf.

Kiedy się odwróciłem, Melissa akurat wykręcała Frankiemu Marshallowi wytatuowaną rękę za plecami, a twarz przyciskała mu do mokrego barowego ręcznika.

Przewróciła się szklanka i spadła na podłogę. Zdezorientowany młody barman nie wiedział, czy ma coś zrobić, czy trzymać się z dala od awantury. Melissa nachyliła się i szepnęła coś Frankiemu do ucha. Skinął głową na tyle, na ile umożliwiała mu to pozycja, w jakiej się znajdował, i puściła go. Otrzeptał się, obrzucił wściekłym wzrokiem salę, podniósł kurtkę i uciekł z pubu. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, dało się słyszeć pojedyncze śmiechy. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Dave przecisnął się do baru i postawił wszystkim kolejkę.

Wywołało to wiwaty i wkrótce zapomniano o całym incydencie, szkło zostało zamiecione i wszyscy wrócili do rozmów. Nikt już nie niepokoił Melissy czy Heather, a niektórzy z młodych klientów zaczęli nawet spoglądać w stronę zwyciężczyni bitwy z pewnym podziwem. Tego wieczoru złamała kilka serc, a Dave stał się w miasteczku obiektem powszechnej zazdrości. Pamiętam, jak nie tak dawno temu zapytał mnie: „Na Boga, co ona widzi w takim małym, grubym, łysym Żydzie jak ja?”.

Nie odpowiedziałem mu wtedy, a teraz też bym nie potrafił. Zrzućmy to na karb niezgłębianych meandrów, jakimi zwykła podążać czasami miłość.

Nie zostaliśmy już długo. Incydent trochę nam zepsuł nastrój, poza tym każde z nas i tak wypilo już o wiele za dużo. Jak to bywa w takich sytuacjach, wycieczka po pubach nagle straciła cały swój urok. Podziękowałem Wilfowi za rozmowę, życzyłem mu szczęśliwego nowego roku i wyszedłem z Dave'em, Heather oraz Melissą w stronę Muzeum 19. Pułku Piechoty szukać taksówki.

- O co poszło? - zapytałem Melissę, kiedy szliśmy ostrożnie po wybrukowanym rynku, rozglądając się uważnie, na wypadek gdyby Frankie Marshall postanowił sprowadzić posiłki.

- Złapał mnie za cycki - wyjaśniła. - Chciał sprawdzić, czy są prawdziwe.

- Nie on pierwszy - przygadał jej Dave.

Melissa popchnęła go żartobliwie.

- Tak, ale nie poprosił ładnie o zgodę.

Kiedy wsiedliśmy do taksówki, złapały się z Heather pod rękę i zaczęły śpiewać: Love Is Teasin. Próbowaliśmy je z Dave'em uciszyć, chociaż taksówkarz należał raczej do tych, co to nie takie rzeczy widzieli. Dopóki nikt mu nie wymiotował na tapicerkę, co, jak wyraźnie ostrzegwał napis, kosztowałoby delikwenta pięćdziesiąt funtów kary, było mu wszystko jedno, co robimy czy mówimy.

- Większość twoich znajomych to prawdziwi dżentelmeni - powiedziała Melissa do Heather. - Świetnie się bawiłam.

- Cieszę się - odparła Heather, wyraźnie zadowolona z komplementu. Usłyszawszy jednak, że w Kilnsgate są Jane i Muhammad, nie chciała jechać z nami. Rozumiałem to.

Umówiliśmy się na następne spotkanie za kilka dni i podrzuciliśmy ją na Osiedle Klasztorne.

Gdy jechaliśmy w stronę domu, Melissa drzemała oparta o ramię Dave'a, a ja myślałem o tym, co mi opowiedział Wilf Pelham. Że to był uchodźca. Billy. Nie wiedziałem jeszcze dlaczego, ale coś mi mówiło, że to on był brakującym fragmentem układanki. Modliłem się, by jeszcze żył i mógł mi powiedzieć, po co spotkał się z Grace tuż przed śmiercią jej męża.

[8] Samuel Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, przeł. Zygmunt Kubiak.

21

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), lutymarzec 1942 roku.

Wyspa Sinkep, Sumatra

Sobota, 28 lutego 1942

Powiedziano mi później, że znalazła nas łódź rybacka. Zostały nas tylko trzy. Rybacy myśleli, że nie żyjemy, ale i tak zabrali nas na pokład. To, co wydarzyło się później, pamiętam jak przez mgłę, ale wiem już, że jesteśmy w holenderskim szpitalu w miasteczku Daboh na wyspie Sinkep, nieopodal wschodniego wybrzeża Sumatry.

Wczoraj rano odwiedził mnie jak zwykle lekarz i powiedział, że w najbliższym czasie będą tu Japończycy, jeżeli więc chcę przeżyć, muszę wyruszyć do Padang na zachodnim wybrzeżu Sumatry, gdzie być może uda mi się znaleźć jakiś brytyjski okręt. Zapewnił mnie też, że mój stan pozwala na podróżowanie, bo wprawdzie dostałam udaru słonecznego, ale jest on dosyć łagodny, jednak moje towarzyszkę z tratwy, dwie kobiety, których mężowie zostali w Singapurze, nie mogą do mnie dołączyć. Przykazał mi, żebym chroniła się przed słońcem i przez cały czas była czymś przykryta, ponieważ mam potworne oparzenia słoneczne i ciągle schodzi mi skóra.

Choć wzdragałam się na samą myśl o porzuceniu towarzyszek, doktor nalegał, twierdząc, że zwłoka byłaby tylko dowodem głupoty, czując się więc jak dezerters, wyruszyłam z kilkoma holenderskimi i australijskimi pielęgniarkami, gdyż one również chciały jak najszybciej uciec przed bestialstwami Japończyków, o których tyle się nasłuchałyśmy w Singapurze.

To była długa podróż, ponad trzysta mil, które pokonaliśmy, korzystając głównie z dróg i statków rzecznych. Przez ostatni łańcuch górski przerzucili nas członkowie holenderskiej Gwardii Obywatelskiej, którzy dzielnie wyprawili się zmierzyć z atakującymi ich wyspę japońskimi oddziałami.

Gdy wreszcie dotarliśmy do Padang, na przystani tłoczyło się tylu żołnierzy oraz cywilów i panował taki chaos, że zamarło mi serce. Nigdzie nie było widać żadnych okrętów.

Przespaliśmy się na nabrzeżu i miałam okropne koszmary, w których staczałam się do wody.

Niedziela, 1 marca 1942

Dziś rano, kiedy uszy puchły już od plotek, że Japończycy wylądowali na Jawie, a nawet na wschodnim wybrzeżu Sumatry, zobaczyłam płynące ku nam trzy okręty, co natychmiast skojarzyło mi się ze słowami kolędy, której nie mogłam się pozbyć z głowy, mimo że do świąt daleko i że nie jestem już chrześcijanką[9]. Niektórzy mogli uznać ich przybycie za cud, ale według mnie to tylko niesamowity łut szczęścia albo dobre zestrojenie się w czasie. Tak czy inaczej, zmieścili się na nich wszyscy uchodźcy. Poszczęściło mi się i znalazłam się w niewielkiej grupce kobiet, które dostały się na pokład jednego z okrętów marynarki wojennej, gdy ten po wielkiej bitwie na Morzu Jawajskim przyplłynął tutaj, by zatankować paliwo oraz uzupełnić zapasy żywności i wody. Tuż po zmroku odbiliśmy od brzegu. Zmierzamy do Bombaju, gdzie mogę zgłosić się do jakiegoś szpitala polowego i poprosić, by odesłano mnie do domu.

Wtorek, 3 marca 1942 roku

Choć woda ciągle jest racjonowana, to przynajmniej mamy co pić, a jemy bardzo dobrze. Kiedy powiedziałam kapitanowi, że należę do korpusu Królowej Aleksandry, natychmiast skierował mnie do pracy w izbie chorych. Po ostatniej bitwie morskiej leży tam mnóstwo rannych żołnierzy, którym trzeba zmieniać opatrunki i uzupełniać kroplówki, oraz jeden czy dwóch z poważnymi infekcjami. Mamy też na pokładzie sporo cywilów cierpiących na odwodnienie, udar słoneczny lub ogólne wycieńczenie. Cieszę się, że mogę znowu pracować, choć szybko się męczę i sama często nie za dobrze się czuję.

Australijskie pielęgniarki, z którymi pracuję, to wspaniałe dziewczęta. Wszystkie wycierpiały co najmniej tyle co ja, ich okręty również zatapiano i też omal nie dostały się w ręce wroga, ale udaje im się zachować niefrasobliwość i do tragedii podchodzą z podniesionymi czołami.

Chciałabym być taka jak one. Niektóre z nich służyły w Hongkongu tuż przed jego upadkiem i opowiadały straszne rzeczy o bestialstwach Japończyków. Jeszcze bardziej niepokoję się o Kathleen oraz Doris i obawiam się, że Japończycy mogli zamordować Stephena podobnie jak innych.

Z radością przywitałam się też z kilkoma towarzyszkami z nieszczęsnego „Kuala”, z którymi siedzimy teraz całe wieczory na pokładzie i opowiadamy nawzajem swoje historie.

Najbardziej jednak lubię opierać się sama o barierkę i wpatrywać w odbicie księżyca w oceanie. Zatracam się w tym pięknie, w każdym razie na kilka minut, i myślę o biednej Brendzie, Kathleen, Doris i Stephenie, o tym, jaki spotkał lub mógł spotkać ich los, i pozwalam, by mój umysł bujał się w powietrzu niczym lilijka na rozświetlonej księżycem powierzchni wody.

Styczeń 2011

W styczniu, po krótkiej odwilży, wróciła paskudna pogoda, ale już w grudniu zorientowałam się, że jeśli chodzi o opady śniegu, niewiele się zmieniło w Kilnsgarthdale od czasów Grace Fox. Znowu zamykano szkoły i porzucano samochody, a miejscowe władze poddały się już po pierwszym dniu. Pociągi i autobusy przestały kursować. Moja droga dojazdowa po raz drugi została zablokowana i przez trzy dni nie wychodziłem z domu. Nie udało mi się nawet skontaktować z moim serdecznym przyjacielem rolnikiem, który wyjechał na święta i Nowy Rok na Malediwy, w każdym razie tak mnie poinformowano, kiedy do niego zadzwoniłem. Na szczęście zostało mi mnóstwo zapasów, nie głodowałem więc ani nie umierałem z pragnienia, a właściwie i tak nigdzie się nie wybierałem. Moi goście wyjechali przed Nowym Rokiem, który uczciłem skromnym wieczorkiem w domu z Heather. Melissa powiedziała mi, że ją polubiła, co miło było słyszeć, a Jane, że cieszy się, widząc mnie o wiele szczęśliwszego i bardziej zrelaksowanego niż kiedykolwiek ostatnio.

Cudownie było gościć Dave’a, Melisę, Jane i Muhammada, ale kiedy wyjechali, cieszyłem się, że mam znowu dom dla siebie - cisza, późnowieczorne maratony filmowe, brak konieczności golenia się co rano, paradowanie w szlafroku i kapciach, Heather zostająca na noc. Nie sądzę, żeby Jane się oburzała, gdybyśmy spali razem, choć tego typu rzeczy

czasem trudno przewidzieć, ale Heather powiedziała, że czułaby się skrępowana i nie mogłem jej za to winić. W każdym razie w sylwestra mieliśmy co nadrabiać.

Drugiego dnia mojej zsyłki stanąłem przy przeszklonych drzwiach w tylnej części domu i wyjrzałem na zewnątrz. Gałęzie drzew uginały się pod ciężarem śniegu, a las na horyzoncie zmienił się w czarno-białą plamę. Gdy zapadał zmrok i zaczęły się wydłużać cienie, moje myśli popłynęły ku tamtemu wieczorowi sprzed pięćdziesięciu ośmiu lat, kiedy Grace, Ernest, Alice i Jeremy, siedząc przy stole, zorientowali się, że nie ma co nawet próbować przedzierać się dokądkolwiek z Kilnsgate. Myślałem też o tych kilku dniach po tragicznym wydarzeniu, kiedy czwórka z nich utknęła w domu, w tym domu, z trupem na górze.

Dni mijały jeden za drugim, śnieg walił w przeszklone drzwi, a ja straciłem poczucie czasu: kładłem się spać, kiedy czułem zmęczenie, jadłem, robiąc się głodny. Prawie nie wygaszałem ognia w kominku i moje zapasy drewna niebezpiecznie się skurczyły. Głównie jednak pracowałem nad sonatą. „Temat Grace”, tak jak przewidywałem, stał się jej emocjonalnym i melodycznym rdzeniem, głównym motywem i podstawą wariacji we wszystkich czterech częściach. Musiałem jeszcze sporo nad nią popracować, zwłaszcza nad czwartą częścią, allegro, w którym nie mogłem sobie poradzić z tempem. Ale ogólnie rzecz biorąc, byłem zadowolony z tego, co napisałem do tej pory.

Poza tym zaszywałem się na moim legowisku i oglądałem stare filmy: Bulwar Zachodzącego Słońca, Most na rzece Kwai, Podglądacz, Stracone złudzenia. Tak jak poprzednio, telefon i Internet ciągle działały, nie byłem więc całkowicie odcięty od świata jak kiedyś Grace i pozostali. Rozmawiałem z Heather i Louise oraz z Jane i Dave’em, którzy wrócili już bezpiecznie do domów, odpowiednio w Baltimore i LA. Kiedy przekazałem Louise, czego się dowiedziałem ostatnio, powiedziała, że pomoże mi znaleźć Billy’ego.

Próbowałem sam poszperać w Internecie, ale chociaż znalazłem sporo informacji na temat uchodźców w ogóle, w tym dwie opowieści, które potwierdziły, że nowe pomysły rysujące mi się mgliście w głowie nie są takie głupie, nie trafiłem na nic przydatnego. Dowiedziałem się jednak, że w bibliotece w Darlington znajduje się doskonale zaopatrzone archiwum prasowe, którego zbiory obejmują między innymi stare wydania „Northern

Despatch”, „Northern Echo” oraz „Darlington and Stockton Times”. Musiałem tylko, rzecz jasna, zaczekać na poprawę pogody, ale postanowiłem pojechać do Darlington jak najszybciej.

Mimo usilnych prób nie udało mi się dowiedzieć niczego na temat losów Kilnsgate House w czasie wojny, Kierownictwa Operacji Specjalnych czy innych grup, które mogły objąć w posiadanie całą posesję. Nigdzie też nie znalazłem informacji o epidemii pryszczycy i o Nacie Buntingu. Trafiłem za to na książkę poświęconą SOE, zatytułowaną Zapomniane głosy tajnej wojny, którą zamówiłem w księgarni Castle Hill. Nie sądziłem jednak, żeby zawierała jakieś rewelacje. Wojna to idealny czas dla wszelkiego rodzaju podejrzanych tajnych operacji, a najgorsze jest w nich to, że nie pozostaje po nich ślad w żadnych papierowych dokumentach. Można mieć tylko nadzieję, że trafi się gdzieś na wiarygodną opowieść naocznych świadków. Upomniałem jednak sam siebie, że to tylko dygresja, poboczny wątek, pasjonujący, ale niemający zbyt wiele wspólnego z ogólną teorią na temat spotkania Grace i Billy’ego, jaka zaczynała mi się rysować w głowie.

W końcu śnieg przestał padać i zza chmur wyszło słońce. Kiedy wyjrzałem na kotlinę z okna mojej sypialni, musiałem aż zmrużyć oczy. Kamienny mostek i wapiennik były całkowicie zasypane i znaczyły je tylko wyraźniejsze nieco garby w falujących pagórkach śniegu. Jak okiem sięgnąć, w obie strony ciągnęła się oślepiająca biel.

Dopiero jednak dzień później usłyszałem terkot pługa śnieżnego, brnącego przez zasy na Kilnsgarthdale Lane. Oczywiście to był dopiero początek, bo musiałem jeszcze wykopać ścieżkę do mojego samochodu, co zajęło mi prawie całe popołudnie, po którym byłem tak wykończony, że nie chciało mi się już nigdzie jechać. Zadzwoiłem do Heather i namówiłem ją, żeby do mnie przyjechała. Przywiozła mi obiad - jedzenie hinduskie na wynos, na które miałem ogromną ochotę - oraz bezcenny dar w postaci weekendowych gazet.

Powiedziała, że drogi do miasta i wokół niego ciągle są ledwo przejezdne, a samochody ślizgają się na jezdniach. Policja miała roboty po łokcie i nie nadążała z wyjazdami do wypadków, z których największy - potężny karambol - zdarzył się na autostradzie A1 w pobliżu Scotch Corner. Trasa A66, główna biegnąca ze wschodu na zachód arteria w tej części świata, oczywiście była zamknięta.

Przez najbliższych kilka dni temperatura oscylowała wokół zera, co tylko pogorszyło warunki, podobnie jak kilka dni wcześniej w czasie świąt. W ciągu dnia śnieg topił się i zamieniał w paskudną breję, która następnie zamarzała w nocy, formując miniaturowe lodowe łańcuchy górskie. Przechodnie ślizgali się na nieodsnieżonych chodnikach, łamiąc ręce i nogi.

Większość mieszkańców, jeżeli tylko mogła, siedziała w domu. Wiele instytucji, w tym biblioteki, nadal było nieczynnych.

Dwa dni po wizycie Heather podjąłem odważną decyzję i zachowując maksymalną ostrożność, wyruszyłem do Richmond. Zaczynałem już świrować i doszedłem do wniosku, że warto zaryzykować taką karkołomną ekspedycję dla porządnej pinty i godzinki w gwarnym pubie. Nie wspominając już o wspólnym lunchu z Heather.

Kupiłem gazety i czekając na Heather, usiadłem z pintą black sheep przy stoliku w sali restauracyjnej Czarnego Lwa, ogrzewanej wesoło trzaskającym ogniem w kominku. Było ciszej, niż się spodziewałem. Żadnych turystów, żadnych wędrowców. Większość newsów nadal koncentrowała się wokół pogody, która, jak zaczynałem sobie zdawać sprawę, była prawdziwą obsesją Anglików, a reszta wokół gospodarki - słabe wyniki przedświątecznych wyprzedaży, za które winiono, rzecz jasna, pogodę - czy nielicznych utarczek albo masakr na odległych kontynentach. Wszystko wskazywało na to, że nic ważnego nie wydarzyło się w Stanach, z wyjątkiem potężnej śnieżycy na wybrzeżu wschodnim, niebędącej zresztą żadną nowością dla bostończyków lub nowojorczyków.

Heather przyszła cała zziębnięta i natychmiast, nie zrzucając nawet długiego zimowego płaszcza, stanęła przy kominku, żeby się rozgrzać. Miała zdrowy rumieniec na policzkach, choć wiedziałem, że nie spotkałbym się z wdzięcznością, gdybym ją za to pochwalił. Była bardzo drażliwa na punkcie swojej cery. Nie lubiła nawet, kiedy podziwiałem jej piegi. Nie powiedziałem więc nic. Podszedłem do baru i kupiłem wódkę z tonikiem, a ona przyglądała się menu wypisanemu kredą na tablicy nad paleniskiem. Ostatecznie zamówiła kielbaski z sarniny, a ja zdecydowałem się na kotleciki jagnięce.

- Jak się czujesz jako świeżo odzyskany członek rasy ludzkiej? - zapytała.

- Naprawdę myślałem, że dostanę tam szau.

- Człowiek wraca do swoich prymitywnych korzeni. O tak. Faktycznie, przerażające.

Ale teraz już w porządku?

- W miarę, reszty powinna dopełnić przyzwoita pinta.

- Znalazłeś już swojego uchodźcę?

- Billy'ego? Nie. Biblioteka ciągle jest zamknięta. Cholerna pogoda.

- Nadal nie rozumiem, czego się właściwie po nim spodziewasz.

- Pracuję nad pewną teorią.

- Jeszcze jedną?

- Powiedzmy, że Grace to zrobiła. Że zabiła męża.

- W takim razie nie widzę sensu, żeby w to brnąć dalej. Myślałam, że chcesz dowieść niewinności twojej ukochanej Grace. I że jesteś pewien, że tego nie zrobiła.

- Owszem, chciałem. Chcę. Ale właściwie jeszcze bardziej zależy mi na tym, żeby dotrzeć do prawdy.

- Uważasz, że w trakcie procesu nie wyszła na jaw?

- Oczywiście, że nie. Moim zdaniem Louise najtrafniej wyraziła to, kiedy powiedziała, że przysięgli fantazjowali na temat Grace, a potem nienawidzili się za to, uznali ją więc za winną. Ale tego nie potrafię udowodnić. Nie potrafię też udowodnić, że Ernest Fox zmarł z przyczyn naturalnych.

- W takim razie co teraz? Że niby jak? Zrobiła to ze szlachetnych pobudek?

- W pewnym sensie. - Ściszyłem głos. Właściwie nie potrzebowałem, bo w sali nikogo nie było, a nad barem hałasował telewizor, ale tego rodzaju przypuszczeń nie wypowiada się na głos. Zamilkłem na chwilę, próbując odpowiednio wyważyć słowa, zanim je wyartykułuję.

- A może Ernest Fox molestował uchodźcę? Może był pedofilem?

Heather spojrzała na mnie w osłupieniu.

- Co?!

- To wcale nie takie głupie, jak mogłoby się wydawać. Ten uchodźca, Billy. Mógł sobie po latach o wszystkim przypomnieć. Ludzie czasem ukrywają głęboko takie wspomnienia, nawet przed sobą. I nagle trafił na

szkolenie do Catterick, na tyle blisko, że poczuł potrzebę opowiedzenia o wszystkim Grace.

- A ona mu uwierzyła? Tak po prostu?

- Też się nad tym zastanawiałem. Jeżeli Grace mu uwierzyła, to pewnie dlatego, że już wcześniej coś podejrzewała, ale nie chciała przyznać nawet przed samą sobą, że przez te wszystkie lata żyła ze zbrojcem. No i mieli syna. Siedmioletniego...

- Twierdzisz, że Ernest Fox molestował też własnego syna?

- Twierdzą tylko, że to możliwe. A może Grace zauważyła, że zaczyna traktować chłopca albo spoglądać na niego w szczególny sposób, i to ją zaniepokoiło.

Heather pokręciła głową.

- No nie wiem, Chris - rzekła z powątpiewaniem. - Obawiam się, że tym razem mnie nie przekonałeś. Chwytasz się brzytwy. To czyste spekulacje. Nie masz żadnych dowodów.

- A skąd miałbym je mieć? Ale musisz przyznać, że przynajmniej teoretycznie jest to możliwe.

Na stole wylądowały nasze dania i zabraliśmy się do nich. Heather odgarnęła włosy.

- Wszystko jest możliwe - powiedziała. - Ale to wcale nie znaczy, że tak właśnie było.

No wiesz, jeżeli chcesz szukać sensacyjnych wyjaśnień, to nie musisz wcale posuwać się aż tak daleko.

- To znaczy?

- Może zabiła go, bo molestował ją? O tym nie pomyślałeś? A może popełnił samobójstwo?

- Ale w tamtych czasach w małych miasteczkach często tuszowano takie sprawy jak pedofilia. No i nikt nie podejrzewałby lekarza. Ernest Fox był filarem całej tutejszej społeczności. A po przyjeździe na świat Randolpha mieli oddzielne sypialnie.

- Załóżmy, że masz rację. Dlaczego Grace nie poszła z tym na policję?

- Choćby dlatego, że nikt by jej nie uwierzył, bo przecież nie mogła niczego udowodnić, a nawet gdyby jej się udało, to sprowadziłaby na siebie i swojego syna hańbę, która byłaby dla nich nie do wytrzymania.

- Bardziej niż ta, która spadła na niego, kiedy zamordowano mu ojca i powieszono za to jego matkę? Przykro mi, Chris, ale na mojej osobistej liście rzeczy, których człowiek może się wstydzić, to drugie plasuje się o wiele wyżej.

- Wątpię, że działała całkowicie racjonalnie. Poza tym, myślała, że jej nie złapią!

- Albo zachowywała się irracjonalnie, albo była wyrachowana. Musisz wybrać.

- Dlaczego? Niektórzy ludzie są całkowicie racjonalni w swoich działaniach, kiedy wpadną w gniew albo przeżyją wstrząs.

- Nawet jeśli, to wydaje mi się, że skoro zaczynasz się skłaniać ku przekonaniu, że Grace Fox to zrobiła, to chyba powinieneś zaakceptować to, że przysięgli mieli rację i dać sobie spokój z tą całą sprawą. Naprawdę dostałeś obsesji, tracisz kontrolę nad własnym życiem.

- Nie do końca. Chcę tylko wiedzieć. Mogę jeszcze zrobić tylko jedną albo dwie rzeczy, zanim wyczerpię wszystkie możliwości, i mam zamiar je zrobić, począwszy od znalezienia Billy'ego.

Heather spojrzała na mnie w sposób, który bez wątpienia miała zarezerwowany dla beznadziejnych przypadków, po czym się uśmiechnęła.

- No cóż, w każdym razie nie można ci odmówić wytrwałości. Jeszcze po drinku?

Kiedy dwa dni później jechałem do Darlington, jezdnia autostrady A1 była już czarna, ale poruszanie się po niektórych wiejskich i lokalnych drogach nadal utrudniała gruba warstwa lodu i śniegu. Dzień był szary, blade, niemrawe promienie bezskutecznie próbowały przebić się od południa przez chmury. Gdy dotarłem do miasta, na ulicach było pustawo, a chodniki ciągle pokrywała śniegowa breja i gdzieś lód. Ponieważ rzadko bywałem w Darlington i tamtejszy system parkingowy był dla mnie czarną magią, skierowałem się w stronę dużego otwartego parkingu w centrum. Nawet jednak tam nie uwinięto się jeszcze z odśnieżaniem i z trudem udało mi się zmieścić tyłem na miejscu parkingowym, nie wpadając w poślizg.

Biblioteka znajdowała się w starym budynku z czerwonej cegły, przywodzącym na myśl prowincjonalne wiktoriańskie szkoły,

dobudowanym na tyłach centrum handlowego Cornmill. Zadzwoiłem tam dzień wcześniej i zarezerwowałem czytnik mikrofilmów.

Usłyszałem, że zazwyczaj musiałbym czekać dłużej, ale przy tej pogodzie ruch jest znikomy.

Ucieszyłem się, że przynajmniej za jedno mogę być wdzięczny naturze.

Dziś biblioteki wyglądają zupełnie inaczej niż w czasach mojego dzieciństwa. Wtedy chodziłem prawie codziennie do dziecięcej biblioteki w Armley, gdzie się wychowałem, głównie dlatego, że byłem zakochany w Yvonne, bibliotekarce z wysoko upiętymi włosami.

Przybytek ten wypełniał szczególny zapach: wymieszane ze sobą wonie papieru, kleju, pasty do podłóg, atramentu i Yvonne, której wprost nie mogłem się oprzeć. Wbijiała pieczątki do książek w wyjątkowy, łagodny sposób. Dziś tamtejszą bibliotekę zastąpił Punkt Obsługi Mieszkańców, do którego przychodzi się głównie po radę w sprawach związanych z mieszkalnictwem lub świadczeniami socjalnymi, opłacić lokalny podatek albo pograć w internetowe gry, a nie po to, żeby pożyczać książki. W Darlington nie było jednak aż tak źle.

Ściany czytelnicy były wyłożone staroświecką boazerią, w powietrzu unosił się przyjemny, osobliwy zapach, a Jean, jedna z bibliotekarek, okazała się bardzo pomocna, choć nie miała upiętych wysoko włosów. Pokazała mi jeden z czytników i zamontowała w nim mikrofilmowe kopie „Northern Despatch” i „Northern Echo”.

Na szczęście wiedziałem, że Billy przybył do Richmond we wrześniu 1939 roku i już po dziesięciu minutach znalazłem w „Northern Despatch” krótki artykuł na ten temat, wciśnięty między materiał poświęcony najnowszemu pomysłowi poczty, której zwierzchnictwo nakazało malować od góry skrzynki na listy żółtą farbą wykrywającą gaz, a ostrzeżeniem o ostrych karach za naruszenie przepisów o zaciemnieniu. Co więcej, była tam fotografia, wprawdzie złej jakości i czarno-biała, ale rozpoznałem na niej tego samego chłopca, z którym Grace zrobiła sobie zdjęcie w ogrodzie Kilnsgate, z tą samą wychudzoną, nieufną twarzą i jasną grzywką.

W Kilnsgate House nieopodal Richmond, w domu dr. Ernesta Foga, pojawił się nowy gość. Mowa o siedmioletnim Williamie „Billym” Strangu, oficjalnie pierwszym uchodźcy zakwaterowanym w naszym uroczym miasteczku w Yorkshire. W Kilnsgate Billy zamieszka z dr. Fogiem oraz jego małżonką i będzie mógł liczyć na troskliwą opiekę, nie wspominając o

słynnych pasztecikach i ciastach gosposi oraz kucharki doktorostwa, Hetty Larkin z pobliskiego Ravensworth.

- Biedna kruszynka tęskni już strasznie za mamą i tatą, ale dr i pani Fox zadbają, żeby poczuł się jak w domu. Wszyscy o to zadbamy.

- Wypełniamy tylko swój obowiązek - z typową dla siebie skromnością powiedział naszej redakcji dr Fox. - Nie ma co robić wokół tego zamieszania. Jeżeli tylko możemy ocalić te biedne dzieci przed bombardowaniami, które z pewnością zagrożą Tyneside oraz innym brytyjskim ośrodkom przemysłowym i stoczniowym, to trudno, żebyśmy się przed tym uchylali.

- Z radością przywitaliśmy chłopca - dodała małżonka doktora, pani Grace Fox. - Jest naprawdę uroczy. Grzeczny, dobrze wychowany, w ogóle nie jest dla nas ciężarem.

A co sam mały Billy ma o tym wszystkim do powiedzenia? Zapytany przez naszego reportera zapewnił, że nasze wiejskie krajobrazy bardzo go zainteresowały, że zobaczył tu mnóstwo kwiatów i zwierząt, których nigdy wcześniej nie widział, i że jeśli przebywając przez krótki czas poza domem, może pomóc naszym żołnierzom walczyć z tym potworem Hitlerem, to z radością wypełni swój obowiązek. Zuch chłopak, ten nasz Billy!

I tyle. Muszę przyznać, że byłem mocno rozczarowany. Oprócz tego, że chłopak miał na nazwisko Strang i że przyjechał z Newcastle, z artykułu nie dowiedziałem się niczego, czego bym już wcześniej nie wiedział. Właściwie był to typowy materiał propagandowy. Z drugiej strony, jeśli dodać to do informacji, które przekazał mi Wilf - o tym, że ojciec chłopca prowadził sklep obuwniczy przy High Street w Newcastle - mógł to być jakiś trop. Nazwisko Strang wydawało się dosyć rzadkie.

Przejrzałem jeszcze kilka artykułów, ale nie znalazłem nic, co wiązałoby się z Billem.

Pomyślałem, że „Echo” albo „Despatch” mogły zamieścić jakiś materiał, kiedy chłopak wyjechał, i przekartkowałem wydania z okresu od świąt do początku stycznia 1940 roku, ale nic nie znalazłem. Wyglądało na to, że tylko przybycie do miasta pierwszego uchodźcy było dobrym tematem na news. Miałem cichą nadzieję, że wystarczy to Louise, by uruchomiła swoje magiczne zdolności.

Skoro już tam byłem, postanowiłem przejrzeć również mikrofilmy z roku 1941 i 1942 i poszukać w gazetach informacji na temat epidemii pryszczycy albo zaginięcia Nata Buntinga. Być może nie przyłożyłem się odpowiednio i coś pominąłem, ale wydawało się, że wieści o tym nie przebiły się nawet do lokalnej prasy. Zastanawiałem się przez chwilę, czy przeczytać w gazetach relacje z procesu Grace, które pewnie mogłem znaleźć w księgozbiornym podręcznym w Leeds, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że raport Morleya w zupełności mi wystarczy. Poza tym nie interesował mnie już przecież proces, ale raczej sama Grace.

Wracając z Darlington, postanowiłem złożyć wizytę swoim sąsiadom, Brothertonom.

Wilf powiedział, że mogą coś wiedzieć o Kilnsgate z czasów wojny, a właściwie nie musiałem specjalnie nadrabiać drogi, żeby do nich zajrzeć. Zatrzymałem się na końcu krótkiego podjazdu i ruszyłem podwórzem przez zamrożone błoto w stronę domu.

Obszczeakały mnie, zawzięcie machając ogonami, dwa owczarki szkockie. Gospodarstwo nie było duże, choć składało się na nie kilka budynków - stodoły, obory i tym podobne oraz kurnik. Słyszałem muczenie krów, czułem intensywny zapach wsi.

Ledwie zdążyłem zapukać, gdy otworzył mi mężczyzna około czterdziestki. Widać usłyszał zapowiadające wizytę obcego szczekanie psów. Miał na sobie gruby, wycięty pod szyję sweter i dżinsy, głowę porastała mu gęsta czupryna kręconych ciemnych włosów, a jego czarne brwi spotykały się na wysokości środka czoła. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, czekając, aż się przedstawię. Gdy to zrobiłem, uśmiechnął się i zaprosił mnie do środka.

Jak tylko wszedłem, ruszył na mnie kolejny pies i zaczął warczeć. Wyglądał na kundla. Poglaskałem go i pozwoliłem, żeby polizał moją dłoń, aż wreszcie się uspokoił. Po domu przechadzało się też kilka kotów, a z podłogi, po której walały się klocki i różne inne zabawki, spojrzało na mnie dwoje małych dzieci. Jedno z nich wyglądało na jakieś dwa latka, drugie - na cztery. Zaraz też podeszła do mnie kobieta, wycierając po drodze ręce w ręcznik.

- Przepraszam za bałagan - powiedziała. - Nie spodziewaliśmy się gości.

Uśmiechnąłem się.

- To ja przepraszam, że się nie zapowiedziałem, ale przejeżdżałem obok i zdecydowałem się w ostatniej chwili. Już od jakiegoś czasu chciałem się przywitać. Pani Brotherton, jak przypuszczam?

- Proszę do mnie mówić Jill. A to mój mąż, Tony. Zapraszam do salonu. Może filiżankę herbaty?

- Z przyjemnością - odparłem. - Z mlekiem i bez cukru, jeżeli można.

Wszedłem za nią do schludnego salonu, na którego umeblowanie składał się trzyczęściowy komplet wypoczynkowy, telewizor w rogu i niski szklany stolik do kawy. Pies powłókł się za mną, po czym położył na dywanie i zaczął sobie lizać łapę. Tony Brotherton usiadł, a Jill poszła zrobić herbatę.

- Przepraszam, że przychodzę dopiero teraz - zagaiłem. - Ciągłe nie przywykłem do tego, że człowiek czuje się tu jak na końcu świata. Z mojego domu nawet nie widać waszego.

Tony Brotherton się roześmiał.

- Przyzwyczaisz się. My też przepraszamy. Chodzą plotki, że trzeba tutaj przezimować dziesięć lat, żeby doczekać się wizyty sąsiadów, ale to nieprawda. Byliśmy zajęci, święta i tak dalej. Poza tym pogoda.

- No tak, pogoda.

Rozmawialiśmy przez chwilę, aż Jill wróciła z kubkami herbaty na tacy oraz biszkoptami. Wyglądała na silną kobietę - miała krótkie, kasztanowe włosy i ogorzałą cerę, ubrana była również w dżinsy i sweter, a wzrostem niemal dorównywała mężowi. Z pewnością mogła podołać wszelkim nie najłżejszym przecież obowiązkom w gospodarstwie.

Chciałem przejść do sedna i wrócić do Kilnsgate, żeby zatelefonować do Louise i nakierować ją na trop Billy'ego Stranga, ale wiedziałem, że powinienem przez chwilę prowadzić uprzejmą konwersację, odpowiadając na pytania Jill i Tony'ego na temat mojej pracy i w ogóle. Nie przychodziło mi do głowy, jak mógłbym w naturalny sposób skierować rozmowę na czasy wojny, zacząłem więc pytać o historię gospodarstwa - o to, do kogo należało przez ostatnie lata.

- Zdaje się, że od zawsze pozostaje w naszej rodzinie - wyjaśnił Tony. - Wiem, że dziś to trochę staroświeckie, ale uważam, że należy zachować tę tradycję. Kiedyś miałem ochotę sprzedać to wszystko i przenieść się do

miasta, ale moja Jilly wybiła mi to z głowy. - Spojrzał na dzieci bawiące się w pokoju obok. - A pewnego dnia gospodarstwo przejmie mały Gary.

- A co z jego bratem?

- Dziedziczy zawsze starszy syn - rzekł Tony.

Miałem ochotę nadmienić, że to trochę niesprawiedliwe, zwłaszcza jeżeli starszy nie będzie chciał zostać rolnikiem, a młodszy owszem, ale jakoś wyczułem, że nie zdobyłbym sobie tym sympatii moich sąsiadów.

Jill wręczyła nam po kubku herbaty i usiadła w fotelu obok Tony'ego. Ujęła jego dłoń i uśmiechnęła się do niego.

- Musiało wam tu czasem być ciężko - powiedziałem.

- Jeszcze jak. Niełatwo jest wyżyć z roli. Najgorzej chyba było jakieś dziesięć lat temu, kiedy umarł dziadek i ledwo dawaliśmy ze wszystkim radę. Pewnie pamiętasz epidemię pryszczycy w dwa tysiące pierwszym? Cały kraj stanął w miejscu. Straciliśmy prawie wszystko, zaczynaliśmy właściwie od zera. Wyrżnięto nam co do sztuki wszystkie krowy i owce. To były ciężkie czasy.

Spojrzał na Jill, która skinęła głową i ucisnęła mu dłoń.

- W czasie wojny też musiało tu być niełatwo - zauważyłem. - Kontyngenty, racjonowanie i tak dalej. Chociaż, oczywiście, nie możecie tego pamiętać.

Tony roześmiał się.

- Wierz mi, sporo o tym słyszałem. To był konik dziadka, prawda, kochanie?

Jill uśmiechnęła się.

- Według niego wszyscy mamy teraz łatwo. Jak nie przeżyłeś wojny, to nic nie przeżyłeś. Trzeba by się chyba cofnąć jakimś cudem w czasie i dostać porządnie w kość, żeby doszłusować do jego standardów.

Tym razem to ja się roześmiałem.

- Rozumiem. Czytałem trochę o historii Kilnsgate. W czasie wojny mieszkali tam niejacy Foxowie, zgadza się?

- Ta kobieta, którą powiesili? - zapytała Jill, instynktownie łapiąc się za szyję.

- Właśnie.

- Gdzieś mi się obilo o uszy - powiedział Tony, mrużąc oczy - że interesujesz się tą całą Grace Fox, wszędzie o nią pytasz.

- Mea culpa - przyznałem. - To tylko tak, z nudów.

- Jak ci się nudzi, zawsze możesz przyjść do nas i pomóc przy robocie - stwierdziła Jilly, uśmiechając się, by choć trochę złagodzić krytyczny ton. Pogadaj przez chwilę z rolnikami, a zaraz dojdą do wniosku, że tylko oni harują jak woły, a cała reszta to banda mięczaków i obiboków. Z drugiej strony faktycznie palnąłem głupotę, czego zresztą natychmiast pożałowałem. Tak czy inaczej, nie miałem wyboru i po prostu się uśmiechnąłem.

- Kto też mi o tym mówił? - zastanawiał się na głos Tony.

- Może Wilf Pelham?

- Pewnie tak. Był przyjacielem dziadka. Wpadliśmy na siebie parę razy w mieście.

- Czy twój dziadek znał Foxów?

- Raczej na pewno - potwierdził Tony - ale właściwie niewiele o nich mówił. Nie byli rolnikami.

- A o procesie?

- Nigdy się nim nie interesował. Był zbyt zajęty gospodarką, żeby zwracać uwagę na takie bzdury. A mnie wtedy jeszcze nie było na świecie.

- No jasne - odparłem. - Wilf mówił, że twój dziadek obwinił o wszystko wojskowych z Kilnsgate, nawet o epidemię pryszczycy.

Tony się roześmiał.

- Tak, lepiej go było o to nawet nie pytać. Wściekał się na nich jeszcze wiele lat później, pewnie dlatego, że odgradzili kotlinę drutem kolczastym i postawili wartowników, przez co nie miał jak co rano wychodzić na spacer i paść tam bydła. Jak już dziadzio wszedł na temat wojny, nie dało rady go uciszyć. No tak, nie przepadał za tamtymi z Kilnsgate. Winił ich nawet o zaginięcie jakiegoś tutejszego upośledzonego chłopaka.

- Nata Buntinga?

Tony otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Faktycznie trochę popytałeś.

- Trafiłem kilka razy na to nazwisko. Co mówił twój dziadek?

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Powiedział, że widział tego całego Buntinga na terenie Kilnsgate, za drutem kolczastym. Jak wspominałem, dziadzio pisał się przede wszystkim dlatego, że wcześniej miał wstęp na ten teren. Jak zobaczył tam kogoś obcego... No cóż, każdy by się zezłościł.

- I co zrobił?

- Co zrobił? Nic. A co miał niby zrobić? Była wojna. Wojskowi mogli robić, co im się żywnie podobało, a jak ktoś wszedł im w drogę, mógł dostać kulkę w łeb. Nie, biadolił tylko, aż w końcu ludziom znudziło się go słuchać.

- A co właściwie mógł tam robić Nat Bunting? Sam rozumiesz, z tego, co słyszałem, teren był strzeżony, a chłopak raczej nie należał do piątej kolumny.

- Nie mam pojęcia. Nic o tym nie słyszałem.

- A pamiętasz może, kiedy to się wydarzyło, według twojego dziadka?

- Obawiam się, że nie. Nie przypominam sobie nawet, żeby w ogóle o tym wspominał.

No wiesz, jak zaczynał wygłaszać te swoje tyrady, to raczej nie dbał o daty.

- Oczywiście. Ale może mówił, kiedy wybuchła epidemia?

- Rzeczywiście, mówił. W kwietniu czterdziestego drugiego. Takie rzeczy wypalają się we wspomnieniach rodzinnych na zawsze. Dziadzio stracił całe stado. Nie wiem nawet, czy dostał odszkodowanie. I za to też, oczywiście, winił wojskowych. - Tony zmarszczył brwi. - Ale z tego, co zrozumiałem, powinien był właściwie im dziękować. To oni uratowali nam skórę. - Roześmiał się. - Albo raczej mięso.

- To znaczy?

- Musiał wyrznąć cały inwentarz, jasne, ale na tym koniec. Wojskowi zareagowali szybko i zdławili epidemię, zanim zdążyła się rozprzestrzenić po hrabstwie czy kraju - a sam wiesz, jak to szybko idzie. Gdyby tego nie zrobili, o wiele więcej osób straciłoby środki do życia i nikt nie zdołałby pomóc dziadziowi znowu stanąć na nogi. A tak się udało. Jak już wojskowi wzięli się do roboty, działali szybko i zdecydowanie, i mieliśmy szczęście, że tu byli. Nie zawsze tak bywa.

- Rozumiem. Czy ktoś przeprowadził wtedy jakieś badania weterynaryjne?

Ministerstwo Rolnictwa? Miejscowy weterynarz?

- Z tego, co zrozumiałem z tyrad dziadunia, natychmiast objęto nas kwarantanną, a tamci z Kilnsgate wszystkim się zajęli. Zarzynaniem, padliną i tak dalej.

- Jak pozbyli się zabitych zwierząt? Spalili je?

- Zdaje się, że wrzucili je do rowów i zasypali wapnem. Nie musieli się wtedy martwić tymi wszystkimi przepisami i regulacjami Unii Europejskiej. Był problem, to go rozwiązywali.

- A teraz, kochanie... - weszła mu w słowo Jill, poklepując go żartobliwie po ramieniu.

- Tylko, proszę cię, nie wchodź na swojego konika. Obawiam się, że pana Lowndesa nie interesuje twoja opinia na temat Unii Europejskiej.

Uśmiechnąłem się.

- Właściwie dlaczego nie - rzekłem, ale natychmiast zerknąłem na zegarek. - Tylko że zrobiło się trochę późno i muszę już lecieć.

Wstaliśmy, a Jill powiedziała, że musimy się znowu spotkać, umówić na dłuższą i bardziej swobodną pogawędkę, najlepiej przy obiedzie. Odparłem, że to wspomniały pomysł, a potem, pożegnawszy się z nimi obojgiem, z psem i dziećmi, minąłem szczekające owczarki, wróciłem do samochodu, jakimś cudem nie łamiąc sobie przy tym karku, i ruszyłem do Kilnsgate.

[9] Nawiązanie do angielskiej kolędy I saw three ships - przyp. tłum.

22

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King),
czerwiec 1944 roku.

Normandia

Piątek, 30 czerwca 1944 roku

Dziś wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Porucznik Maddox, jeden z chirurgów, wybrał Dorothy i mnie, żebyśmy towarzyszyły mu w misji specjalnej. Dowodził mężczyzna, którego przedstawiono nam jedynie jako Meersa, a poza nim oddział składał się tylko z kilku potężnych, milczących kaprali, których nie mogę opisać inaczej niż jako zbirów. Meers mi się nie spodobał. Nie rozpoznałam nawet jego munduru. Był oschły, a sposób, w jaki wykrzywił usta, świadczył o wrodzonym okrucieństwie. Z tego, jak zachowywał się w stosunku do Dorothy i do mnie, wywnioskowałam też, że nie lubi kobiet i że gdyby to od niego zależało, w ogóle by nas ze sobą nie zabierał. Prawie się nie odzywał, a jeżeli już, to wyłącznie do porucznika Maddoxa. Nawet nie spojrzał na mnie ani na Dorothy. Pilnowałam, żeby nie zauważył mojego dziennika. Taki typ jak on bez wątpienia z przyjemnością skonfiskowałby go i zniszczył.

Oglądaliśmy z jeepa zniszczenia w przepięknym francuskim krajobrazie.

Gospodarstwa bez dachów, pola pełne kraterów po bombach i pociskach, wszędzie martwe zwierzęta. Jak ci biedni Francuzi muszą nas nienawidzić, zarówno aliantów, jak i Niemców!

Nawet wyzwalając ich, niszczymy ich domy i dobytek. Z drugiej strony to wszystko da się jakoś odbudować, podczas gdy o przyszłości pod rządami nazistów nie można nawet myśleć spokojnie.

Dotarliśmy do wielkiego, otoczonego wysokim murem zamku, którego brama z kutego żelaza, łukowato sklepione wejście i przestronny ogród

przypominały mi nasze angielskie pałace. Gdzieś tam widziałam martwe krowy, ktoś wykopał też rów, w którym płonęły zwłoki zwierząt. Smród roznosił się potworny. Jedno ze skrzydeł było uszkodzone jakby po uderzeniu bomby, a jego ruiny ciągle jeszcze dymiły. Meers powiedział coś do oficera przy bramie, który przyjrzał się dokładnie naszym przepustkom i dopiero potem nas wpuścił. Poczuliśmy z Dot ucisk w żołądkach.

Przed zamkiem zobaczyłam mnóstwo pojazdów wojskowych, wokół których stali w grupkach żołnierze, paląc papierosy, tak jakby kazano im po prostu mieć na wszystko oko.

Jak tylko się zatrzymaliśmy, Meers bez słowa zeskoczył z jeepa. Porucznik Maddox wzruszył ramionami i ruszyliśmy wszyscy za dowódcą oraz kapralami do środka. Gdy weszliśmy, wręczono nam maseczki i rękawiczki chirurgiczne. Rezydencja była olśniewająca - przestronne, rozbrzmiewające echem korytarze, boazerie, płatki złota, bogato zdobione gzymsy i żyrandole, szerokie, wygięte klatki schodowe, wyłożone grubymi, wzorzystymi dywanami. Zdziwiło mnie, że na ścianach nie ma obrazów. Musiały tam kiedyś wisieć, na co wyraźnie wskazywały odbarwienia w niektórych miejscach, być może więc właściciele ukryli je w piwnicy, chcąc uchronić przed uszkodzeniem.

W wielu pokojach i korytarzach stały rzędy prowizorycznych pustych łóżek polowych, co oznaczało, że zamek przerobiono na szpital. Meers poprowadził nas przez labirynt imponujących korytarzy, a potem w dół po kamiennych schodach i wkrótce stanęliśmy przed wzmocnionymi drzwiami ozdobionymi czarną czaszką i puszczelami, jak na pirackiej banderze, oraz napisem: EINGANG VERBOTEN. Nawet ja znałam na tyle niemiecki, by zrozumieć, co to znaczy: WSTĘP WZBRONIONY.

Gdy Meers zaczął otwierać drzwi, odwrócił się do porucznika Maddoxa i powiedział mu, że w środku są jacyś ludzie i że jeśli cokolwiek można dla nich zrobić, zwłaszcza coś, dzięki czemu będą mogli mówić, nie mamy się wahać ani chwili. Po to właśnie nas tutaj sprowadzono. Porucznik Maddox spojrzał na nas i skinął głową. W końcu na tym polega nasza praca, niezależnie od tego, kim są nasi pacjenci.

Wkrótce jednakże stało się oczywiste, że żadnej ze znajdujących się tam osób nie możemy już pomóc. Pomieszczenie było duże, a w jego wilgotnych kamiennych murach panował chłód; służyło pewnie kiedyś za piwniczkę na wino albo spiżarnię, ale zamieniono ją w prowizoryczny

oddział szpitalny i zastawiono rzędami łóżek, na których leżeli teraz martwi pacjenci, w sumie ponad trzydziestu, sami mężczyźni, wszyscy wycieńczeni. Niektórzy mieścili się jakoś na pryczach, inni spadli na ziemię. Przebadaliśmy ich, ale żaden nie wykazywał znaków życia.

Nie było jasne, co ich zabiło. Nie zauważyliśmy ani śladów po kulach, ani zwyczajnych obrażeń bitewnych. Wielu miało na skórze potworną wysypkę i jakieś dziwne ślady po oparzeniach ogniem albo prądem, inny różne rany i krosty, ale nie wydawały się na tyle poważne, by spowodować zgon. Z drugiej strony nie mogliśmy przeprowadzić autopsji; sprowadzono nas tylko po to, żebyśmy stwierdzili, co można jeszcze zrobić, a najwyraźniej nie można było zrobić nic.

Kiedy badaliśmy tych mężczyzn, pojawili się kaprale z ręcznym wózkiem, do którego Meers wrzucił zawartość stojących w pomieszczeniu szaf na dokumenty. Część akt leżało rozrzuconych na podłodze, a niektóre z nich były częściowo spalone, tak jakby Niemcy próbowali je zniszczyć, po czym doszli do wniosku, że szybka ucieczka jest jednak rozsądniejszym wyborem. Meers włamał się również do szaf z lekarstwami, których zawartość także przełożył do wózka. Zauważyłam butelkę z napisem: SARIN i inną z nazwą: TABUN. Nigdy nie słyszałam o tych lekach, ale z drugiej strony nie mówię dobrze po niemiecku. Meers obchodził się z nimi bardzo ostrożnie i znalazł nawet drewniane pudło z szufladami, z rodzaju tych, którymi transportuje się wino, i każdą butelkę schował do osobnej szufladki.

Po krótkiej konsultacji z porucznikiem Maddoxem na temat beznadziejnego stanu pacjentów Maddox kazał jednemu z kaprali zabrać nas z powrotem do szpitala. I na tym koniec. Zostaliśmy odprawieni.

Porucznik Maddox powiedział coś o konieczności określenia przyczyny śmierci, ale Meers uciszył go, mówiąc, że to nie jego problem. Skoro nie da się ich uratować, nie mamy tu nic do roboty i mamy się wynosić. Porucznik Maddox nalegał, by przynajmniej spróbować zidentyfikować tych ludzi, żeby móc poinformować o ich śmierci najbliższych krewnych.

Meers odparł, że to nieważne, że prawdopodobnie to i tak Żydzi albo polscy robotnicy przymusowi. Porucznik upierał się, że należałoby przeprowadzić bardziej szczegółowe badania, żeby upewnić się, że nie padli ofiarą jakichś chorób zakaźnych, ale Meers nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że ciała zostaną spalone i skinął nieznacznie jednemu z kaprali

głową. Wyglądało na to, że jeśli nie zrobimy, co nam każe, i natychmiast nie odejdziemy, kapral wyciągnie broń. Sytuacja zrobiła się bardzo napięta. Więc wyszliśmy. Kiedy wróciliśmy do szpitala, właśnie go zwijano przed wyruszeniem w dalszą drogę, daliśmy się więc wciągnąć w wir obowiązków i na jakiś czas zapomnieliśmy o całym tym incydencie.

Styczeń 2011

Wydawało mi się, że opanowałem do perfekcji sztukę zasypiania w samolotach, ale tej nocy, kiedy sunęliśmy gdzieś nad Saharą, po prostu nie byłem w stanie usnąć, mimo przyciemnionych świateł i wygodnego miejsca w klasie biznes. Zdrzemnąłem się tylko na chwilę, w sam raz po to, żeby przegapić końcówkę filmu, który oglądałem, i żeby stewardesa zdążyła mi ukradkiem sprzątnąć z tacy opróżniony dopiero do połowy kieliszek wina. Teraz znowu nie spałem. Sięgnąłem do ekranu dotykowego, desperacko szukając czegoś do oglądania, ale nie znalazłem nic, co by mnie interesowało, a już na pewno nie miałem ochoty włączać megahitu Śmierć wie, jak się nazywam. W dodatku, choć moje powieki nie były na tyle ciężkie, żebym zasnął, oczy miałem zbyt zmęczone, żeby czytać. Podłączyłem więc słuchawki do iPhone'a i wróciłem do kwartetów Beethovena, których słuchałem wcześniej.

Nie mogłem jednak skupić się na muzyce, bo myśli ciągle wybiegały mi naprzód w stronę spotkania, które, jak miałem nadzieję, mnie czekało. Louise odwaliała kawał dobrej roboty, choć zajęło jej to parę tygodni i mieliśmy już koniec stycznia. Wyśledziła Billy'ego Stranga przez ojca, kierownika sklepu obuwniczego. Znalazła jego adres oraz datę i miejsce urodzin. Następnie uruchomiła swe magiczne zdolności i po krótkim okresie rozpaczy, kiedy wydawało się, że ślad zwyczajnie ginie, odkryła, że Billy służbę cywilną odbył w latach 1952-1954, potem, w 1956 roku, wyemigrował do Rodezji i wreszcie, w roku 1980, przeniósł się RPA. Mieszkał obecnie nieopodal Kapsztadu. Był to tylko zarys jego biografii i choć jej szczegóły mogłem dosyć łatwo uzupełnić, interpretując ustalone przez Louise daty, doszedłem do wniosku, że byłoby interesujące spotkać się z Billym osobiście i od niego usłyszeć historię jego życia.

Po rozmowie z Louise natychmiast zarezerwowałem lot, ale celowo nie próbowałem skontaktować się z Billym - z tego samego powodu, z jakiego nie zadzwoniłem do Sama Portera przed wyjazdem do Paryża. O wiele

łatwiej odmówić komuś, z kim człowiek rozmawia przez telefon i od kogo dzieli go kilka tysięcy mil, niż nieznanemu stojącemu przed drzwiami. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że wiąże się to z pewnym ryzykiem.

Mogło go nie być w mieście, mógł nawet nie żyć - choć Louise zapewniała, że według oficjalnych danych ma się dobrze i płaci podatki - ale ponieważ mimo wszystko wizja, że go wystraszę i że odmówi mi rozmowy, była o wiele groźniejsza, postanowiłem improwizować.

Szanse powodzenia miałem zresztą całkiem spore. Obliczyłem, że Billy zbliża się do osiemdziesiątki, czyli jest mniej więcej w tym samym wieku co Wilf i Sam, nie powinno mu już więc aż tak bardzo zależeć. I jakoś nie przychodził mi do głowy powód, dla którego miałby nie chcieć opowiedzieć mi swojej historii. A nawet jeśli z mojej wyprawy nic nie wyniknie, to przynajmniej spędzę kilkudniowe wakacje w Kapsztadzie. W dodatku było tam lato, co zresztą stanowiło kolejny argument za tym, że zastanę Billy'ego w domu.

Ponieważ wykupiłem nocny lot, trwający jakieś dwanaście godzin, a różnica czasu wynosiła zaledwie dwie godziny, miałem nadzieję, że dotrę na miejsce wypoczęty i gotowy do działania, która jednak okazała się złudna. Po śniadaniu zaczęliśmy się zniżać i wylądowaliśmy bez zakłóceń. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem słońce oblewające swoim blaskiem bujnie porośnięte zielenią wzgórze, a jego światło miało w sobie to trudne do określenia coś, co widywałem tylko w niektórych regionach Afryki.

Jak tylko otworzyły się drzwi, poczułem falę gorąca i wszedłem do rękawa. Lotnisko w Kapsztadzie jest bardzo ruchliwe, ale formalności nie trwały długo i wkrótce siedziałem już w biurze Hertza i ryzykując dorobek życia, podpisywałem cyrograf na tanie japońskie auto oraz pytałem o wskazówki dojazdu z lotniska.

Okazało się, że dotarcie do N2 nie było specjalnym problemem, ruszyłem więc na północny wschód w stronę centrum i nabrzeża, gdzie miałem się zatrzymać. Trafiłem na poranny szczyt i w obie strony przewalało się mnóstwo samochodów. Wkrótce znalazłem się na odcinku autostrady, po którego obu stronach nieprzerwanie ciągną się rzędy krytych płaskim dachem bud z zardzewiałej blachy i kartonu, dla Amerykanów i mieszkańców północnej Europy zwykła dzielnica slumsów. Czegoś takiego spodziewaliby się raczej na zubożałych połaciach Caracas, Rio albo Buenos Aires. Ale ci, którzy znają się na rzeczy, zapewniali mnie, że dzielnice te są

nie najgorzej zorganizowane, że funkcjonują tam szkoły i przychodnie, a rząd buduje ciągle porządne ceglane domy, do których stara się przeprowadzać mieszkańców.

Wkrótce zobaczyłem przed sobą Górę Stołową i zbliżając się do miasta, skupiłem się na drodze. Większość trasy, jak zapewniała urzędniczka w Hertz, mogłem pokonać autostradą, ale pod koniec musiałem skręcić w kilka uliczek. Okazało się jednak, że trafiłem bez problemu. Na szczęście w RPA jeździ się po lewej stronie, bo zdażyłem się już do tego przyzwyczać po przeprowadzce do Yorkshire. Wkrótce tłumaczyłem strażnikowi przy bramie, że jestem gościem hotelu. Przepuścił mnie bez problemu. Zaparkowałem przy nabrzeżu, zabrałem z tylnego siedzenia torby - niewielką podróżną oraz drugą z laptopem - i wszedłem się zameldować.

Zarezerwowałem dwie noce w Cape Grace, po pierwsze dlatego, że nazwa wydała mi się właściwa, a po drugie, gdyż był to podobno jeden z najlepszych hoteli w mieście.

Potwierdziło się to już na samym wstępie, kiedy poproszono mnie, żebym usiadł i uraczył się filiżanką herbaty, a obsługa zajmie się meldunkiem. Wkrótce byłem już w swoim pokoju na ostatnim piętrze, którego przeszklone drzwi wychodziły na balkon i Górę Stołową po lewej oraz Signal Hill na wprost, wznoszącego się naprzeciw przystani i centrum miasta. Choć reszta nieba była błękitna, nad Górą Stołową, która faktycznie przypominała długi, płaski stół lub kowadło, zbierały się chmury i mgła.

Oparłem się o poręcz, wciągnąłem w płuca ciepłe powietrze i westchnąłem. Pod koniec lat 90., wkrótce po obaleniu apartheidu, spędziliśmy tutaj z Laurą nasz „drugi” miesiąc miodowy. Zapamiętałem RPA jako kraj piękny, ale zniszczony; udęczonej, ale pełen nadziei - słowem: ekscytujący. Fascynowało nas w nim wszystko - od napięć wyczuwalnych w Johannesburgu po malownicze Cape Winelands, o trzydniowym safari w prywatnym rezerwacie dla dzikich zwierząt nie wspominając. Miałem stąd mnóstwo wspomnień, choć minęło ponad dwadzieścia lat i kraj od tamtej pory bardzo się zmienił.

Laura uwielbiała bazy, stragany rzemieślników i sklepiki z ubraniami, ich niezwykle wzory i jaskrawe kolory, kolory wydające się występować tylko tam, zielenie i brązy, które jakimś cudem wyglądają zupełnie inaczej niż w innych regionach świata. Pamiętałem też duży sklep muzyczny, w

którym kupiłem mnóstwo płyt CD z południowoafrykańskim jazzem. Zastanawiałem się, czy sklep ciągle tam jest.

Nie przybyłem tu jednak po to, by rozczulać się nad sobą, upomniałem sam siebie.

Mam znaleźć Billy'ego Stranga; wziąłem więc prysznic, zjadłem na nabrzeżu wczesny lunch i pochyliwszy się nad mapą drogową, którą dała mi urzędniczka w Hertz, zacząłem planować trasę do Simonstadu, gdzie mieszkał.

Kierowałem się zasadniczo na południe. Wiele lat temu dotarłem z Laurą aż do Cape Point, ale niewiele już pamiętałem z tej wyprawy, z wyjątkiem przewalających się fal, pingwinów i pawianów. Do Simonstadu z Kapsztadu nie było daleko, choć wystarczająco, by miasteczko mogło uchodzić za przyjemne miejsce na spędzenie emerytury.

Dom, którego szukałem, wznosił się wysoko nad centrum, a jego okna wychodziły na port i purpurowobłękitne, zielonkawe wody Oceanu Indyjskiego poniżej. Choć słońce świeciło jasno, a niebo było idealnie błękitne, zerwał się silny wiatr i przez chwilę walczyłem z drzwiami, zanim udało mi się wysiąść z samochodu. W dole zobaczyłem tysiące spienionych mniejszych i większych fal, rozbijających się o plażę i ogromne skały, które wystawały z wód zatoki.

Odwróciłem się i spojrzałem na dom. Był kanciasty, bardzo nowoczesny, otynkowany na biało, miał duże panoramiczne okna i werandy w stylu hacjendy. Składały się na niego dwa piętra, przy czym każde z nich było innych rozmiarów sześcianiem, asymetrycznie osadzonym na poprzednim. Bez problemu mogłem sobie wyobrazić podobny w południowej Kalifornii. Powiedzmy, w Laguna Niguel albo w Huntington Beach. Czymkolwiek zajmował się Billy Strang po wyjeździe z Anglii, musiał sobie całkiem nieźle radzić.

Wypatrzyłem frontowe drzwi - a przynajmniej te, które najbardziej je przypominały - i zadzwoniłem. Nikt nie odpowiedział. Zapukałem, a potem zadzwoniłem ponownie. I ciągle nic. Nie było go, a ja nie miałem pojęcia, dokąd pojechał i na jak długo. Założyłem sobie, że osiemdziesięcioletni staruszek jest pewnie domatorem i teraz tylko siebie mogłem winić za ten strzał w ciemno. Może właśnie gdzieś surfował, a może miał randkę z dwudziestoletnią kochanką. Pozostawało tylko próbować dalej.

Pojechałem na Boulders Beach, zaparkowałem i poszedłem popatrzeć na pingwiny.

Wiatr ciągle zacinał, wzbijając tumany piasku i wyciskając mi z oczu łzy. Nawet pingwinom ledwo udawało się stać prosto. Słyszałem huk fal i czułem w powietrzu zapach soli, która osadzała mi się we włosach oraz na nieosłoniętych fragmentach skóry. Pobiegłem z powrotem do samochodu i ruszyłem dalej wzdłuż wybrzeża, docierając ostatecznie aż do Castle Rock.

Tam wiatr trochę zelżał, wysiadłem więc podziwiać widoki i zrobić kilka zdjęć dla Heather.

Chciała jechać ze mną, ale ostatecznie doszła do wniosku, że na trzy dni jej się nie opłaca.

Obiecałem zabrać ją gdzieś na porządne wakacje, kiedy skończy się całe to wariactwo. Przed wyjazdem dałem jej kopię dziennika Grace do poczytania, a kiedy tak stałem w tym odludnym miejscu nieopodal Castle Rock, przypomniał mi się pewien jego fragment. Nie mogłem przestać myśleć o Grace, która stała gdzieś tutaj w 1940 roku, w trakcie przerwy w podróży do Singapuru, i o pocałunku, który ukradł jej Stephen Fawley. Miejsce, gdzie się znajdowałem, bardzo przypominało to, w którym zrobiono jedną z fotografii Grace, tę, na której próbuje przytrzymać sobie włosy, bynajmniej nie w Kornwalii.

Na skałach po mojej prawej stronie pojawiło się kilka pawianów. Wiedziałem, że trzeba na nie uważać, ruszyłem więc powoli w stronę samochodu. Obserwowały mnie przez chwilę, a potem odwróciły się i wypięły na mnie gołe tyłki. Pewnie tak samo potraktowały wtedy Grace i Stephena, choć Grace była zbyt dobrze wychowana, żeby opisać to tymi słowami w dzienniku. Wróciłem do Simonstadu i spróbowałem jeszcze raz zadzwonić do domu Billy'ego. Ciągle nic.

Postanowiłem, że spróbuję jeszcze raz tego dnia, a potem wrócę następnego. W takim wypadku zostałyby mi jeszcze jeden, ponieważ lot powrotny miałem dopiero pojutrze wieczorem. Tym razem znalazłem osłoniętą kawiarnię przy porcie i usiadłem przy oknie, sącząc espresso, czytając „Saturday Night and Sunday Morning” oraz obserwując, jak woda rozpryskuje się na szybie. Pomyślałem, że wiąże z tą wizytą spore nadzieje, nie wspominając już o wydanych pieniądzach. Ale one nie stanowiły problemu, podobnie jak czas, przynajmniej na razie. Nie chciałbym tylko

wracać z pustymi rękami. Przejechałem pół świata i musiałem poznać prawdę.

Po półgodzinie i dwóch mocnych kawach wspiąłem się znowu na wzgórze i podjechałem do białego, sześciennego domu. Stwierdziłem z radością, że na podjeździe stoi srebrne bmw. Frontowe drzwi były nieco uchylone, a z wnętrza słyszałem odgłos włączonego radia. Zadzwoiłem, otworzyły się drzwi i stanąłem oko w oko z facetem o łysej, brązowej niczym gałka na poręczy schodów oraz pomarszczonej jak skorupka orzecha czaszce, na której w miejscu, gdzie niegdyś pewnie zaczynały się włosy, połyskiwało niczym łezka charakterystyczne znamię, i siwej, szcecinowatej koziej bródce.

- William? - zapytałem. - William Strang?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- A kto pyta?

- Nazywam się Chris Lowndes - przedstawiłem się. - Nie zna mnie pan, ale mieszkam w Kilnsgate House.

- W takim razie masz za sobą kawał drogi - stwierdził, z łagodniejszym nieco wyrazem twarzy. - Wchodź. Niech nikt nie mówi, że Billy Strang nie potrafi ugościć przybysza z ojczyzny. A tak przy okazji, mów mi Billy. Tak mam na imię, zawsze miałem i zawsze będę miał.

W jego głosie pozostało bardzo niewiele z akcentu geordie, pojawiła się w nim za to południowoafrykańska kadencja. Nie za mocna, ale w rezultacie dawało to bardzo ciekawą mieszankę. Nawet Henry Higgins miałby zagwozdkę, gdyby musiał zgadywać, skąd pochodzi Billy Strang. Był kilka cali niższy ode mnie i wydawało się, że jest w doskonałej kondycji - chudy niczym chart, żyłasty i oszczędny w ruchach, tak jakby zużywał tylko tyle energii, ile trzeba, resztę odkładając na czarną godzinę.

Ruszyłem za nim wyłożonym parkietem korytarzem z wysokim sufitem.

- Dzwoniłem wcześniej, ale cię nie było - zagailem.

- Klub tenisowy.

- Grasz w tenisa?

- Oczywiście. Dlaczego cię to dziwi?

- Bez powodu.

- To, że stuknęła mi osiemdziesiątka, nie znaczy jeszcze, że nie mogę pogonić kota tym chłystkom siedemdziesięciolatkom. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Poza tym we wtorki przychodzi tam zawsze wdowa Cholmondeley, a ja smalę do niej cholewki. Ma niezły tyłek. Wchodź. Siadaj. - Wskazał mi ogromną sofę obitą skórą zebry oraz fotele do kompletu.

Pomyślałem, że są nie tylko mało gustowne, ale i nielegalne, mogłem mieć tylko nadzieję, że to podróbka. Na parkiecie, przed wielkim kominkiem, leżała skóra tygrysa. Nie palił się ogień, słyszałem za to szum klimatyzatora i czułem powiew sztucznego chłodu. Pod sufitem wirował wentylator, rozprowadzając zimne powietrze. - Napijesz się czegoś? - zaproponował.

- Ja już nie mogę sobie za bardzo dogadzać, ale barek mam niezłe wyposażony.

- Lepiej nie - podziękowałem. - Muszę jeszcze dzisiaj wrócić samochodem do Kapsztadu.

- Często się. - Podszedł do barku i nalał sobie szklaneczkę wody gazowanej. - Pewnie chcesz mi powiedzieć, po co tu przyjechałeś. Ale najpierw mi powiedz, co słychać w Kilnsgate. Minęło cholernie dużo czasu.

Kiedy mu opowiadałem, przez jego pomarszczoną, opaloną twarz przemknął cień melancholii, a oczy utkwił gdzieś w punkcie za moimi plecami.

- Od lat nie myślałem o tamtych dniach - powiedział.

- Dlaczego wyjechałeś?

- Z Anglii? Bo tam było przesrane. Wysłali mnie na dwa lata do Kenii zabijać Mau Mau i kiedy wróciłem, nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym robić w ojczyźnie.

Dosłownie nic. W Kenii zasmakowałem przygód, Afryki. Przed niezależnymi wojskowymi otwierały się tam wtedy prawie nieograniczone możliwości, jeśli tylko człowiek nie przejmował się za bardzo, dla kogo pracuje. Robiłem parę rzeczy, z których nie jestem szczególnie dumny, a potem spotkałem faceta z Southampton, który prowadził farmę tytoniu w Rodezji, jak ją wtedy nazywano. Ciężka praca, ale co za życie! Wszystko, na co tylko człowiek miał ochotę. Oczywiście do momentu, kiedy zaczęły się kłopoty. Powiedział, że mogę przyjechać do pracy w każdej chwili, więc

przyjechałem. Z dwudziestoma funtami w kieszeni. Wkrótce miałem parę akrów własnej ziemi i dobrze wychowaną angielską damę za żonę. Byłem uparty jak osioł i wytrzymałem do roku osiemdziesiątego, ale już na długo przedtem stało się jasne, że nie jest dobrze, i gdybym jednak nie zdecydował się wyjechać, upór kosztowałby mnie życie. Paru sąsiadów zarżnięto na moich oczach. W okolicy zrobiło się naprawdę paskudnie. I niebezpiecznie. Na szczęście byłem na tyle sprytny, żeby większość forsy ulokować na kontach w Johannesburgu i w Londynie. Nietrudno było zaaranżować szybki przerzut przez granicę, zanim miejscowi przyszedli posiekać mnie na kawałki, tak jak to zrobili z moimi przyjaciółmi i sąsiadami. Moja dobrze wychowana angielska żona zdążyła mnie już wtedy rzucić i wrócić do swojej rodziny w ojczyźnie. Nie wytrzymała. Tutaj przerzuciłem się na branżę winiarską. Szło mi całkiem nieźle. Dziesięć lat temu przeszedłem na emeryturę. To właściwie tyle. Krótka biografia. A teraz ty jesteś tutaj.

Ale coś mi się zdaje, że nie przyjechałeś słuchać o mnie.

- W każdym razie nie tylko. To bardzo interesująca historia. Ja wyjechałem do Ameryki. Do Los Angeles. Tam trochę bezpieczniej.

Roześmiał się.

- Można by dyskutować. W każdym razie... obaj przeżyliśmy i możemy sobie teraz gawędzić.

- Właśnie. Ale przejdę do rzeczy. Jeśli się nie mylę, kiedy miałeś siedem lat, zostałeś ewakuowany do Richmond i spędziłeś jakiś czas w Kilnsgate House, tak?

- Zgadza się. W sumie gdzieś tak cztery miesiące. To były chyba najszcześniejsze chwile mojego dzieciństwa. Ciekawe czasy. Tak jakby ziemia przestała się kręcić. Ludzie każdego dnia czekali na bombardowanie i atak gazami bojowymi, ale nic się nie stało.

Kiedy w końcu zbliżałem się do właściwego celu mojej wizyty, poczułem nagle lęk przed poruszeniem wstydlwego tematu. W końcu, w wieku osiemdziesięciu lat, po życiu pełnym sukcesów, człowiek może nie mieć ochoty rozmawiać o tym, że jako siedmiolatek był molestowany, może nawet tego nie pamiętać, skoro twierdzi, że te kilka miesięcy było najszcześniejszym okresem jego dzieciństwa. Wstępowałem na grząski grunt i musiałem być bardzo ostrożny.

- Jak to możliwe, że miło wspominasz ten okres? Zmiana musiała być dla ciebie bardzo gwałtowna.

- O, tak. Byłem w każdym calu chłopakiem z miasta. Wprawdzie nie jakimś małym gangsterem, mój tata miał przyzwoitą pracę w sklepie obuwniczym, a potem w domu handlowym, ale rozkosze wiejskiego życia były mi całkowicie obce, a wiedziałem o nich tylko tyle, ile wyczytałem w książkach. Choć z drugiej strony nie byłem takim durniem jak niektóre dzieciaki, którym się wydaje, że jabłka rosną w skrzynkach, a krowy nie są większe od psów.

- Jak ci się żyło w Kilnsgate?

Billy zastanawiał się przez chwilę.

- Wspaniale, jak już mówiłem, właściwie naprawdę cudownie. W pierwszym miesiącu pogoda była fantastyczna, a z powodu wojny szkoła do końca września była zamknięta, mogłem więc włóczyć się po okolicy. To było jak przedłużone wakacje. Ciągłe są tam wapienniki?

- Ma się rozumieć.

- Chowałem się w nich, kiedy chciałem na chwilę zniknąć.

- Dlaczego chciałeś zniknąć?

- Byłem dzieckiem. Bawiłem się. Może czułem się trochę samotny i żyłem we własnym świecie? Może opracowywałem własny plan, jak pokonać Hitlera? A może uciekałem przed gestapo.

- A co ze szkołą?

- Było w porządku. Trochę mi dokuczano z powodu akcentu. Ale były tam też przyzwoite dzieciaki. Z pewnością nie było mi gorzej niż w szkole w Newcastle.

- A Foxowie? - zaryzykowałem.

- Miałem szczęście - odparł. - Pragnęli dać wszystkim przykład, ale chcieli też dostać kogoś, kto potrafi korzystać z toalety i myje uszy. Pasowałem im. Chociaż obowiązywało racjonowanie żywności, mieliśmy zawsze mnóstwo jedzenia - Hetty Larkin robiła pyszne ciasta i paszteciki - a pani Fox wieczorami grała mi na fortepianie i śpiewała. Miała anielski głos. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałem. Zdarzało jej się zresztą od czasu do czasu zaśpiewać jakąś popularną piosenkę. Wyprawialiśmy też

przyjęcia. Zwykle kiedy odwiedzały ją przyjaciółki, a stary smutas gdzieś wyjeżdżał.

Przypomniałem sobie wyjątkowy, choć nieszkolony głos Grace, którego mogłem wysłuchać dzięki nagraniom przekazanym mi przez Louise.

- Smutas? - zapytałem.

Billy zmarszczył nos.

- Tak go nazywałem. Doktor Fox. Może jestem niewdzięczny, ale facet bywał dokuczliwy. Na szczęście, jak mówiłem, często go nie było. Jakieś ważne sprawy związane z wojną czy coś w tym rodzaju. W każdym razie coś takiego sugerował. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że pewnie mówił prawdę. Ale od samego początku go nie lubiłem.

- Dlaczego?

- Właściwie trudno powiedzieć. Po prostu czułem, że... Był jakiś zimny, może nawet trochę okrutny. Przerazał mnie. Pamiętam, jak zrobił mi się kiedyś paskudny czyrak na karku i mi go wyciął. Bolało jak jasna cholera. Nie trudził się, żeby to zrobić delikatnie albo jakoś złagodzić ból. Tak jakby sprawiało mu to przyjemność.

- Zadawanie bólu?

- Tak. Ale to tylko takie domysły, w dodatku snute teraz, z perspektywy czasu. Wtedy jeszcze o niczym nie wiedziałem.

- O czym nie wiedziałeś?

- Nigdy mnie nie uderzył ani nie skrzywdził, jeśli o to pytasz.

- A lubiłeś Grace?

- Uwielbiałem. - Zamilkł na chwilę, tak jakby coś sobie przypominał, po czym zmarszczył brwi. - Często zastanawiam się, co się z nią stało. Słyszałeś coś może?

Spojrzałem na niego w osłupieniu, z rozdziawionymi ze zdumienia ustami.

- Chcesz powiedzieć, że nie...? Że nigdy...?

- Co? Nie. Nigdy. Straciłem z nią zupełnie kontakt po... To było jakoś tak w okolicy gwiazdki pięćdziesiątego drugiego, zanim wysłano mnie do Kenii. Nigdy nie wróciłem.

Nigdy już o niej nie słyszałem. Tak to już tutaj bywa: człowiek traci kontakt z resztą świata.

Przez okno panoramiczne widziałem w dole fale rozbijające się o skały oraz pofałdowane wzgórza ciągnące się wzdłuż zatoki. Jak miałem to rozegrać? Żadnym sposobem nie mogłem uniknąć wywołania u Billy'ego potwornego szoku. Przyjrzałem mu się uważnie i doszedłem do wniosku, że należy do ludzi, którzy stawiają czoło wyzwaniom, biorą życie takie, jakie jest. Mimo to po prostu nie mogłem tego z siebie wydusić.

- Może jednak się napiję, jeżeli nie masz nic przeciwko?

Uśmiechnął się do mnie znacząco.

- Jasne. Na co masz ochotę?

- Czerwone wino, jeśli można.

Podszedł do barku i nalał mi z karafki kieliszek. Wino było jedwabście gładkie i poczułem w nim aromat czarnej porzeczki z domieszką tytoniu.

- Widzę, że chcesz mi powiedzieć coś przykrego - rzekł, przekrzywiwszy głowę niczym ptak. - Inaczej byś tego nie odwlekał.

- Aż tak to po mnie widać?

- Mam lata praktyki.

- Grace Fox zmarła w kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego - powiedziałem.

- Tak szybko - szepnął. - Tak młodo. I wkrótce po naszym spotkaniu. Nie zauważyłem, żeby źle się czuła. Co się stało? Wypadek?

Najgorsze jeszcze przede mną, pomyślałem. Napiłem się wina. A kiedy już się upewniłem, że zrobiło swoje, wyrzuciłem z siebie jednym tchem: - Została powieszona za to, że otruła swojego męża.

Billy otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Nie. Nie mogła...

Nachyliłem się.

- Też mi się tak wydawało - dodałem skwapliwie. - Że tego nie zrobiła. Nie mogła tego zrobić. Ale teraz nie jestem już pewien. Mógł umrzeć z przyczyn naturalnych, ale właściwie nigdy się tego nie dowiemy. Myślę, że nawet jeśli to zrobiła, to nie z tego powodu, który wszyscy uznali za pewnik i za który ją skazali; że gdyby poznali prawdę, to wyrok byłby znacznie

łagodniejszy. Tak naprawdę przyjechałem właśnie po to. Wydaje mi się, że możesz rzucić na to trochę światła.

- Nie mogę uwierzyć... - Billy kręcił tylko głową. - Przecież nie mogła.

- Odwiedziłeś ją w Richmond pod koniec pięćdziesiątego drugiego, między świętami a Nowym Rokiem, tak?

- Tak. Właśnie kończyłem szkolenie w Catterick. Znalazłem jej numer telefonu, a ona zgodziła się spotkać. Poszliśmy na spacer wokół zamku. Pamiętam, że był cudowny dzień, zwłaszcza jak na tę porę roku.

- Widziało was kilka osób. Wyszło to na jaw w czasie policyjnego śledztwa, choć w sądzie nie poruszano tego tematu.

Billy zmarszczył brwi.

- A dlaczego miano by go poruszać? Nie rozumiem.

- Byłby to dowód jej niemoralności, rozwiązłości. Oskarżenie próbowało tego ze wszystkich sił dowieść. Miała kochanka, młodego artystę. Twierdzili, że właśnie dlatego zaplanowała zabójstwo męża.

- Raczej trudno w to uwierzyć - rzekł Billy. - Ale jeśli nie to... Chyba nie chodziło o mnie?

- Moim zdaniem to całkiem możliwe - powiedziałem. Nadszedł czas, by pójść na całość. - Wiem, że może być ci trudno o tym mówić, ale przypuszczam, że umówiłeś się tego dnia z Grace, żeby powiedzieć jej, że kiedy przebywałaś w Kilnsgate House jako uchodźca, Ernest Fox cię molestował. Być może właśnie sobie o tym przypomniałaś, a może gnębiło cię to od dłuższego czasu i nagle nadarzyła się okazja, żeby zrzucić ten ciężar z serca, zanim wyruszysz na wojnę. Czasem umysł płata człowiekowi nieprzyjemne figle. Myślę jednak, że ci uwierzyła. Pewnie sama zdążyła już wtedy nabrać podejrzeń, zauważyć różne drobiazgi i jestem przekonany, że zrobiła to również po to, żeby chronić swojego syna. Miał wtedy siedem lat, czyli dokładnie tyle, ile ty w trzydziestym dziewiątym. W tamtych czasach nie rozmawiało się na takie tematy. I tak nikt by jej nie uwierzył. Nie mogła z tym żyć, z nim, wiedząc, co zrobił i co musiał zrobić ponownie, więc go otrują.

Billy siedział z rozdziawionymi ustami i patrzył na mnie. Jak przypuszczałem, był zdumiony, że ktoś poskładał to wszystko w całość po tylu latach. Dopilem wino, a on sięgnął po wodę. Ręka drżała mu nieznacznie. Na chwilę zaległa nieprzyjemna cisza, aż wreszcie powiedział:

- To bardzo interesująca teoria, panie Lowndes, naprawdę interesująca, ale obawiam się, że nadaje się wyłącznie na śmietnik. Szczerze mówiąc, kiepski z pana detektyw. Nie mógł się pan bardziej pomylić. W życiu nie słyszałem większej bzdury.

23

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), lipiec 1944 roku.

Normandia

Czwartek, 4 lipca 1944 roku

Przenieśliśmy się do sadu jabłoniowego między Caen a Bayeux, który z powodu nagromadzenia szpitali i członków korpusu medycznego nazywamy tutaj Harley Street[10].

Warunki mieszkaniowe niewiele zmieniły się jednak na lepsze i ciągle mamy do dyspozycji jedynie namioty. W całym tym zamieszaniu związanym z przeprowadzką przez dwa dni po incydencie w zamku nie widziałam porucznika Maddoxa, choć nie mogę przestać się zastanawiać, co też tam się wydarzyło. Rozmawialiśmy o tym z Dorothy i doszliśmy do wniosku, że tych biednych mężczyzn potraktowano jakąś trucizną - prawdopodobnie tym całym „sarinem”. Krąży wiele plotek na temat broni biologicznej i zawsze mamy przy sobie maski, choć na szczęście nie było dotąd konieczności ich zakładania. Tak czy inaczej, muszę się dopytać, co wie porucznik Maddox. Jest dobrym lekarzem i typem intelektualisty, zawsze z nosem w książce, jeżeli tylko nie naprawia jakiemuś biedakowi śledziony albo nie zszywa czyjejś klatki piersiowej.

Znalazłam go opierającego się przy swoim namiocie o drzewo i palącego fajkę. Kiedy mnie zobaczył, zeszywniał i zapytał, czego chcę. Powiedziałam, że chciałabym z nim porozmawiać i zapytać go, co myśli o tamtym dniu. Początkowo odmówił, ale w końcu przyznał, że dużo rozmyślał o tym incydencie, podobnie jak Dorothy i ja. Wziął mnie pod rękę i odciągnął od namiotu w stronę drzew. Zazwyczaj takie zachowanie wzbudziłoby we mnie niepokój, ale wiedziałam, że po prostu nie chce, żeby ktoś nas podsłuchał.

Powiedział, że nie wie, kim jest Meers, ale przypuszcza, że jest związany z Porton Down. Kiedy zapytałam, co to takiego, wyjaśnił, że chodzi o ściśle tajną placówkę wojskową w Wiltshire, gdzie prowadzi się eksperymenty z bronią biologiczną i chemiczną.

Przynajmniej częściowo miałyśmy więc z Dorothy rację.

Porucznik Maddox powiedział mi, że zamku używano najwyraźniej do podobnych celów. Sarin i tabun, według niego, to środki paralitycznodrgawkowe, wynalezione przez Niemców, ale jak dotąd przez nich nie użyte. Najwyraźniej Meers szukał informacji na temat dalszych eksperymentów i innowacji albo ulepszeń, które udało im się ostatnio opracować.

Kiedy zapytałam, czy chodziło mu o to, by powstrzymać te badania albo znaleźć antidotum, porucznik Maddox spojrział tylko na mnie, a potem roześmiał się nieprzyjemnie. Powiedział, że to raczej mało prawdopodobne. Według niego już prędzej Meers pragnął zgromadzić jak najwięcej informacji, by powtórzyć te eksperymenty w Porton Down, by uzyskać równie potężną broń, której można by użyć przeciw Niemcom. Chcemy mieć to samo co oni. A potem powiedział mi, że najlepiej będzie, jeśli z nikim więcej nie będę o tym rozmawiała, i poszedł sobie, zostawiając w powietrzu ulotny zapach słodkiego dymu tytoniu fajkowego.

Niedziela, 23 lipca 1944 roku

Kiedy dwa tygodnie temu padło Caen, zaczęło do nas docierać mnóstwo niemieckich rannych. Większość zwykłych żołnierzy jest zadowolona, że wojna zbliża się ku końcowi i że przeżyli jako jeńcy wojenni. Mimo to, jakbyśmy nie mieli wystarczająco dużo problemów, musieliśmy zwiększyć liczbę uzbrojonych strażników i wartowników pilnujących szpitala.

Zwłaszcza oficerowie SS bywają trudni. Nadal są oddani Hitlerowi i nie mogą się pogodzić z tym, że Niemcy poniosą klęskę. Mamy też rannych z Hitlerjugend. Major Tanner wyjaśnił mi, że ponieważ armii niemieckiej coraz bardziej brakuje silnych żołnierzy, rekrutuje mnóstwo starców i chłopców, żeby uzupełnić straty. Starsuszkowie zazwyczaj są bierni i zadowoleni z opieki medycznej, ale chłopcy bywają uciążliwi. Próbujemy leczyć ich jak wszystkich innych i zazwyczaj robimy to skutecznie, ale czasem nasza cierpliwość bywa wystawiona na ciężką próbę.

Dwa dni temu trafił do nas chłopiec, Dieter. Został poważnie ranny w udo, stracił mnóstwo krwi w wyniku uszkodzenia tętnicy udowej, wdała się też infekcja. Miał co najwyżej szesnaście lat. Od początku nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do tego, że będą z nim problemy.

Kiedy był przytomny, miał zwyczaj oddawać mocz i kał na podłogę obok łóżka, wykopywać mi z ręki nerkę, kiedy podchodziłam z nią do niego, wyrywać kaniule, z satysfakcją opowiadał mi też, co zwycięzcy niemieccy żołnierze zrobią z takimi angielskimi sukami jak ja, kiedy już wygrają wojnę.

Zaczęłam nienawidzić Dietera i wzdragać się na myśl o choćby podejściu do niego, ale leżał na moim oddziale i nie mogłam się od tego wykręcić. Dorothy próbowała mi w miarę możliwości pomagać, ale ją denerwował jeszcze bardziej niż mnie. Do tego stopnia wyprowadzał ją z równowagi, że nie była w stanie zrobić mu zastrzyku.

Wczoraj wieczorem miałam dyżur i nagle usłyszałam, że Dieter krzyczy. Podeszłam do niego sprawdzić, co się stało. Był rozpalony, a przy każdym oddechu charczało mu złowieszczo w gardle. Wiedzieliśmy, że ma infekcję, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że aż tak poważną, bo nie mieliśmy pojęcia, jak długo leżał na polu bitwy, zanim zabrali go sanitariusze i zanieśli do punktu opatrunkowego.

Miał gorące i suche czoło oraz zamglone oczy. Chciałam odejść i przynieść wilgotną szmatkę, ale złapał mnie za nadgarstek z zadziwiającą siłą, błagając, żebym go nie zostawiała.

Całkiem niezłe mówił po angielsku. Gdy wyjaśniłam, dlaczego muszę się oddalić, poluzował uścisk, ale nadal błagał, żebym wróciła.

Przyniosłam szmatkę i usiadłam obok niego na płóciennym krześle. Było ciemno, jedynym źródłem światła były lampy szturmowe porozwieszane w różnych miejscach wojskowego namiotu. Wiatr targał płótnami, które niczym w teatrze kukielkowym rzucały wszędzie cienie. Dieter, zdaje się, majaczył, gdy wycierałam mu rozpalone czoło i szeptałam słowa pocieszenia, pogrążył się całkowicie w świecie wspomnień albo wyobraźni. Kilka razy usłyszałam słowo mutter i domyśliłam się, że woła swoją matkę. Tak wielu z nich robi w godzinie śmierci. Przez cały czas ścisnął mnie kurczowo za nadgarstek, niczym tonący czepiający się tratwy. Od czasu do czasu dostawał spazmów i krzyczał głośno, budząc innych

pacjentów, którzy w odpowiedzi jęczeli również i powtarzali, żeby był cicho.

Wydawało się, że trwa to całe godziny. Dorothy przejęła ode mnie resztę obowiązków, a ja zostałam przy Dieterze, wycierałam mu czoło, zapewniałam, że jutro rano wszystko będzie dobrze i że wkrótce wróci do matki. Przez płótno namiotu zaczęło się przebijać światło brzasku, a powietrze z czarnego zrobiło się szare. Dieter nie puszczał mnie.

Pod względem medycznym nie mogłam dla niego zrobić nic więcej, choć może gdyby dostał na samym początku penicylinę, a nie sulfonamidy, którymi leczymy Niemców, miałby jakieś szanse. Problem polega na tym, że penicylina jest droga i mamy jej tak niewiele, iż musimy ją oszczędzać dla naszych rannych. W każdym razie taka zasada obowiązuje w tym szpitalu.

Wyczułam pod palcem, że Dieterowi gwałtownie przyspiesza puls, a potem zwalnia i staje się tak słaby, że niemal zanikł. Dostał jeszcze jednego spazmu, a następnie usłyszałam w jego piersi śmiertelne charczenie, odgłos nie do pomylenia z czymkolwiek innym, i odszedł.

Udało mi się wyswobodzić nadgarstek z jego palców i łagodnie zamknęłam mu oczy.

A potem rozplakałam się i przeklinałam wojnę w tym na wpół pogrążonym w mroku namiocie, nad martwym niemieckim chłopcem, zacisnęłam dłonie w pięści i waliłam nimi bezsilnie w materac. Nienawidziłam Dietera, a nawet bałam się go, ale jeszcze bardziej nienawidziłam i bałam się tego, co go zabiło.

Siedzę teraz wyczerpana przed moim namiotem, piję gorącą kawę i w ponurym świetle poranka palę papierosa. Wokół wszyscy zaczynają się budzić i krzątać. Słyszę gdzieś w dali gwizd pierwszego pociągu z Caen do Bayeux. Jeżeli zaraz się nie położę, to w ogóle nie będę tego dnia spała. Ale jak mam po tym wszystkim zasnąć?

Styczeń 2011

Tym razem to mnie zatkało. Było tak, jakbym stracił grunt pod nogami i zaczął spadać w głęboką przepaść. Myliłem się. Kiedy to sobie uświadomiłem, zakręciło mi się w głowie i poczułem się całkowicie pusty w środku, szukałem oparcia w przestrzeni, machając bezładnie w powietrzu

rękami jak pływak usiłujący utrzymać się na powierzchni wody. Przez wiele tygodni wierzyłem, że Grace Fox nie mogła zamordować męża, a potem niechętnie pogodziłem się z myślą, że być może to zrobiła, ale miała ku temu jakiś powód; powód, który, w każdym razie w moich oczach, częściowo ją usprawiedliwiał. I nagle teraz wszystko zostało zmiecione kilkoma zdaniem Billy'ego Stranga. A przecież byłem tego taki pewien.

Widziałem, że Billy porusza ustami, ale nie dotarło do mnie ani jedno jego słowo. Tak jakbym patrzył na fale, ale ich nie słyszał. Miałem wrażenie, że coś mi zatkało uszy, jak w czasie startu lub lądowania samolotu. W końcu usłyszałem jednak jego głos, choć wydawało mi się, że dobiega z bardzo daleka.

- Wszystko w porządku? Zbladłeś. Może masz ochotę na kropelkę brandy albo coś w tym rodzaju?

Pokręciłem głową. Ciągle mgliście pamiętałem, że muszę wrócić do domu, a ostatnie, czego potrzebowałem, to zgubić się w Khayelitsha albo narazić na starcie z południowoafrykańską policją za jazdę pod wpływem.

- Nie - wykrztusiłem. - Nic mi nie jest. Zmęczenie po podróży. Ale może mógłbym prosić o filiżankę herbaty?

- Wieki temu dałem sobie z nią spokój, ale mogę ci zrobić kawę.

- Dziękuję. Czarna. Bez cukru.

Kiedy wyszedł do kuchni, stanąłem przy oknie i wpatrzyłem się w milczące fale, skały, plażę oraz samochody pędzące drogą wzdłuż wybrzeża. Nagle wszystko to wydało mi się obce i poczułem w sercu tak przeszywający ból z powodu tęsknoty za Laurą, że mało nie upadłem. W to właśnie zamieniło się moje życie? W pogoń za iluzją? Duchami, szeptami i cieniami? Byłem bliski omdlenia, jak jeszcze nigdy w życiu. Myliłem się. Myliłem się co do Grace. Myliłem się co do wszystkiego. Co miałem teraz powiedzieć Louise? Albo Heather?

Wilfowi? Samowi? Nagle poczułem się tak, jakby to sama Grace mnie zawiodła, nabrała mnie, zwiodła swoim bohaterstwem, tajemniczym pięknem i milczeniem.

Wrócił Billy z kawą.

- Widzę, że przeżyłeś szok - powiedział. - Może jednak usiądziesz? Chcesz poznać prawdziwą historię? Zapewniam, że jest jeszcze ciekawsza niż twoja wersja.

Szczerze w to wątpiłem, ale wziąłem od niego kawę i usiadłem.

- Tak - odparłem. - Przepraszam. Zwykle się tak nie zachowuję. Pewnie pomyślałeś, że zwariowałem.

- W żadnym razie. Nie wiem, czy to ci pomoże, ale pozwól, że opowiem ci, jak było naprawdę. Opowiem, o czym tak naprawdę tamtego dnia rozmawiałem z Grace Fox.

- Słyszałeś o takim miejscu jak Porton Down?

Oczywiście, że słyszałem, wiele razy, a ostatnio trafiłem na wzmiankę o nim nie gdzie indziej, jak w dzienniku wojennym Grace.

- Tak - potwierdziłem, marszcząc brwi.

- Cóż - rzekł Billy - w takim razie orientujesz się, że nie chodzi raczej o Wodnikowe Wzgórze. Jest to kompleks dosyć brzydkich budynków pod Salisbury, należących do wojska, a konkretnie do Ministerstwa Obrony. Ośrodek założono w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, prawdopodobnie w odpowiedzi na użycie przez Niemców w czasie pierwszej wojny światowej broni chemicznej, gazu musztardowego i tak dalej. Ścisłe tajne centrum badań naukowych. Dotrzymywało kroku epoce. Niby wszyscy o nim wiedzieli, ale tak naprawdę nikt z zewnątrz nie miał pojęcia, co tam się dzieje, nawet członkowie ekipy rządowej, jeżeli wierzyć temu, co mówią. Było to też miejsce, o którym w tamtych czasach ciągle się słyszało i większość ludzi zdawała sobie sprawę, że prowadzi się tam jakieś lewe badania związane z bronią chemiczną, gazami bojowymi, węglikiem i tym podobnymi, i że są to tajemnice, które lepiej byłoby zamieść pod dywan. Takie badania, jeśli robi się je w obcych krajach, wywołują nasze moralne oburzenie.

- Słyszałem o nim - powiedziałem. - Grace wspominała też coś o ośrodku w swoim dzienniku.

Billy wbił we mnie wzrok.

- Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiła.

Opowiedziałem mu o jej wizycie w tajemniczym zamku z Meersem, Maddoxem, Dorothy oraz kapralami.

- Nic dziwnego, że ci o tym nie wspomniała - dodałem. - Zdaje się, że o swoich wojennych przeżyciach nie rozmawiała z nikim. Jeżeli przeczytasz jej dziennik, zrozumiesz dlaczego.

- Mój Boże - rzekł Billy. - Nie miałem pojęcia. Biedna Grace. - Spojrzał na mnie dziwnym, jakby przerażonym wzrokiem. - Więc kiedy wspomniałem jej o tym...

- Z pewnością zabrzmiało to dla niej znajomo. I to bardzo. Jeśli wierzyć dziennikowi, cały incydent mocno nią wstrząsnął. Ale ciągle nie rozumiem.

Billy wstał, podszedł do okna i przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w ocean, a następnie wrócił. Miał ponury wyraz twarzy.

- Nie wiedziałem, naprawdę nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, co robiła w czasie wojny, przez co przeszła.

- Jak już mówiłem, nigdy o tym nie rozmawiała. Była pielęgniarką w Korpusie Królowej Aleksandry. Służyła w Singapurze, kiedy padł, a potem w Europie aż do samego końca.

- To musiało być dla niej straszne. Kiedy ją poznałem, była tak miłą osobą. Muszę przyznać, że później wydała mi się smutniejsza, jakby trochę nieobecna, ale złożyłem to na karb czasu, wieku oraz lat spędzonych z tym jej żalonym małżonkiem.

- Zaczęłeś mi o czymś opowiadać. Porton Down.

- Rzeczywiście, przepraszam. Byłem... Właściwie byłem tam kilka tygodni wcześniej, pod koniec listopada pięćdziesiątego drugiego. Po obozie rozeszła się wieść, że wszyscy, którzy zgłoszą się na ochotnika do takiej specjalnej placówki - poinformowano nas, że to ośrodek badań nad przeziębieniami, że szukają tam lekarstwa na katar - dostaną po dwa szylingi za dzień i trzydniową przepustkę. Wiedziałem już, że wkrótce wyślą mnie do Afryki, więc się zgłosiłem.

- I co się stało?

- Miałem szczęście. W tym czasie, jak się później dowiedziałem, eksperymentowali przede wszystkim ze środkami paralitycznodrgawkowymi w rodzaju VX, bronią biologiczną, węglikiem i tak dalej, oraz ze środkami kontroli zamieszek, takimi jak gaz CS. Głównie leżałem po prostu w łóżku i robiono mi różne testy, nakłuli mnie naprawdę jak jeża, ale pewnego dnia zabrali mnie do jakiegoś baraku, na który składało się mnóstwo niewielkich pomieszczeń, coś jak pryszniców. Ale nie leciała z nich woda, tylko strumień gazu. Pewnie zemdlałem, bo obudziłem się z powrotem w łóżku, a kiedy spróbowałem oddychać, odniosłem wrażenie, że w moich płucach pali się żywy ogień. Gardło miałem tak

obolałe, jakby ktoś przeciągnął przez nie drut kolczasty, a twarz paliła, jakby mnie wychłostano pokrzywą.

- I to ma być szczęście?

- Jeszcze jakie. Bo faktycznie dostałem moje dwa szylingi za dzień i trzydniową przepustkę. Nie miałem wtedy pojęcia, czym mnie potraktowano, ale teraz myślę, że był to jakiś rodzaj gazu CS, podobny do tego, którego Francuzi użyli w sześćdziesiątym ósmym przeciw studentom. Skutki uboczne po pewnym czasie ustąpiły, a mój układ oddechowy nie został trwale uszkodzony. Niektórzy z moich kolegów nie mieli tyle szczęścia. Części z nich podawano LSD, przez co wydawało im się, że ich ciała oblażyły pająki, i lądowali w izolatkach z miękkimi ścianami, a innym wszczepiano dżumę dymieniczą, wąglika, ospę i tym podobne. Mnóstwo osób, które tak jak ja zgłosiły się na ochotnika, wylądowało ostatecznie z chronicznym bronchitem, rakiem, paraliżem, chorobami nerwowymi, guzami mózgu - można by długo wymieniać. Później dowiedziałem się, że niedługo po moim pobycie w ośrodku zaczęły krążyć plotki o jakimś Ronaldzie Maddisonie, na którym w pięćdziesiątym trzecim eksperymentowano z sarinem i który następnie zmarł. Oczywiście zatuszowali całą sprawę i dopiero w dwa tysiące czwartym roku jego krewni i znajomi doprowadzili do śledztwa, które wykazało, że poniósł śmierć w wyniku przestępstwa. Sarin uzyskaliśmy od Niemców pod koniec wojny. Eksperymentowali z nim i z innymi środkami, wykorzystując więźniów w swoich klinikach oraz obozach koncentracyjnych i jenieckich.

Nasi naukowcy nie mieli wtedy nawet pojęcia o istnieniu tego rodzaju związków chemicznych. To pewnie ich szukał ten facet, o którym Grace wspomniała w swoim dzienniku.

- Meers. Pewnie tak. Grace pisała o sarinie i tabunie. Sporo o tym wiesz.

- Miałem dosyć istotne powody, żeby samemu przeprowadzić małe śledztwo.

- A Grace? Co ona ma wspólnego z tym wszystkim?

Billy westchnął i się odwrócił. Podniósł szklanekę i zauważywszy, że jest pusta, dolał sobie wody. Ja poczęstowałem się kolejnym kieliszkiem wina. Całe to popołudnie okazało się o wiele bardziej traumatyczne, niż się spodziewałem. W razie czego mogłem zostawić samochód pod domem Billy'ego i przenocować w Simonstadzie w hotelu.

- Opowiedziałem jej o tym wszystkim. Bo widzisz, spotkałem tam jego. Jej męża.

Doktora Foxa. Oczywiście nie poznał mnie. Nie poznałby nawet, gdyby mnie zobaczył, choć i tego udało mi się uniknąć. Wyglądałem zupełnie inaczej, niż kiedy miałem siedem lat. Za to on niewiele się zmienił. Widziałem, jak krąży po ośrodku z jednym z jego szefów, gadem o nazwisku Smeaton, i wszystko wskazywało na to, że czuje się jak u siebie. Dosłownie jak w domu. Nie był chyba członkiem personelu - nie nosił, na przykład, białego fartucha - ale doskonale się orientował w Porton Down, tak jakby nieraz tam bywał. Usłyszałem tylko strzęp zdania, ale jestem pewien, że Smeaton powiedział do Foxa: „Oczywiście, kiedy będziesz już tutaj pracował...”.

Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Nowa posada. Szpital pod Salisbury. Długie okresy nieobecności w czasie wojny, tajemnica, jaką było spowite Kilnsgate na początku lat czterdziestych, drut kolczasty i wartownicy, specjalizacja Foxa w neurologii i mikrobiologii, jego późniejsze zaniedbywanie praktyki. Wszystkie fragmenty układanki, które same w sobie nic nie znaczyły, nagle, jak opiłki żelaza pod wpływem umieszczonego pod nimi magnezu, ułożyły się w jedną całość. Ernest Fox siedział po uszy w badaniach, jakie prowadzono w Porton Down, i to prawdopodobnie jeszcze od czasów pierwszej wojny światowej, kiedy miał styczność z gazem musztardowym, a już na pewno od wybuchu drugiej. W Kilnsgate nie stacjonowało Kierownictwo Operacji Specjalnych, a nawet jeśli, to współpracowało ściśle z naukowcami z Porton Down. Ernest Fox konsultował projekty specjalne, pracował nad nimi, oczywiście w tajemnicy, i w końcu zaproponowano mu stałą, pełnoetatową posadę. W ramach nagrody? A może potrzebowali jego wiedzy i doświadczenia? Był początek zimnej wojny i badania nad bronią chemiczną nagle stały się jednym z priorytetów, a samo Porton Down ważnym ośrodkiem.

- Więc umówiłeś się na rozmowę z Grace? - zapytałem.

- Tak. Pomyślałem, że powinna wiedzieć, więc się z nią skontaktowałem. Nie miałem pojęcia o jej kochanku ani o wojennych przeżyciach. Stacjonowałem wtedy niedaleko, w garnizonie w Catterick. Muszę przyznać, że zdziwiło mnie, jak głęboko wstrząsnęło nią to, co jej powiedziałem, o wiele mocniej, niż się spodziewałem. Wprawdzie nie straciła nad sobą panowania, nic z tych rzeczy, ale kiedy się zegnaliśmy,

miała w oczach łzy. Dwa dni później zadzwoniła do mnie do koszar i poprosiła o spotkanie.

- Spotkaliście się jeszcze raz?

- Tak. W Darlington. Dzień przed sylwestrem. Umówiliśmy się w kawiarni na herbatę i pokazała mi list. Myślę, że chodziło jej częściowo o to, żebym zweryfikował, czy ma coś wspólnego z tym, o czym jej wcześniej powiedziałem, a częściowo o to, żeby pokazać mi, że miałem rację.

- Co było w liście?

- Nadano go z Ministerstwa Obrony. Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale był chyba bardzo oficjalny. Dziękowano w nim Ernestowi za jego pracę przy projektach specjalnych, za wieloletnie badania oraz oddanie i cenne doświadczenie, którym dzielił się z rządem. Wspomniano też coś o Kilnsgate House w czterdziestym pierwszym, a potem zaproszono go, by został członkiem stałego zespołu w Porton Down. Nadawca napomknął o tym, że Fox podpisał już zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej, i przypominał, że wszystko, co dzieje się w ośrodku, jest ściśle tajne i że nie może z nikim rozmawiać ani o tym, ani o przedstawionej mu ofercie pracy.

- Szpital pod Salisbury - powiedziałem.

- Słucham?

- Przepraszam. Powiedział wszystkim, że tam właśnie wyjeżdża. Policjanci uznali to za główny motyw Grace, że otruła go, ponieważ dostał pracę w szpitalu pod Salisbury, co oznaczałoby, że musi opuścić swojego kochanka.

- Wielkie nieba! - zawołał Billy.

- Po co w ogóle jej o tym mówiłeś? Przecież prawie jej nie znałeś. Spędziłeś w Kilnsgate tylko cztery miesiące, i to czternaście lat wcześniej.

Billy milczał przez chwilę.

- Byłem młody i głupi - powiedział po chwili - a po tym, co odkryłem, pewnie też trochę zaślepiła mnie wściekłość. Poprzytyłem tu i ówdzie, wysłuchiwałem paru plotek na temat ośrodka i tego, co tam się dzieje. Pani Fox zawsze mnie dobrze traktowała. To był trudny okres w moim życiu, przecież pierwszy raz znalazłem się z dala od domu, i zapamiętałem jej życzliwość. Jak mówiłem, w Kilnsgate byłem naprawdę szczęśliwy.

Codziennie świeciło słońce. Nie chciałem, żeby miała cokolwiek wspólnego z tym, co dzieje się w Porton Down.

Pewnie uważasz, że byłem nadopiekuńczy. Ale miałem też nadzieję, że przekona męża, żeby nie przyjmował tej posady. Przez myśl mi nie przeszło, że wszystko to może mieć tak tragiczne konsekwencje.

- Skąd mogłeś wiedzieć? A co powiedziała Grace?

- Przez chwilę milczała, pogrążona w myślach, a potem starannie poskładała list, schowała go i podziękowała mi. Dała mi prezent pożegnalny. Pewnie kupiła go w Darlington tuż przed naszym spotkaniem.

- Co to było?

Uniósł palec wskazujący, po czym zniknął w którymś z pokoiów i wrócił po chwili ze srebrnym kieszonkowym zegarkiem na łańcuszku. Podał mi go. Z tyłu znajdowała się inskrypcja: „Bezpieczny bądź, gdziekolwiek będziesz” oraz imię Grace. Z boku, na krawędzi, zauważyłem wygięcie.

- Co to jest? - zapytałem.

Billy się uśmiechnął.

- Miałem go ze sobą w Kenii. W górnej kieszeni. Odbił kulę jednego z Mau Mau.

Lekarz powiedział mi, że gdyby nie zegarek, trafiłaby prosto w serce, i że miałem niesamowite szczęście. Muszę przyznać, że wtedy wcale o tym nie myślałem w ten sposób.

Leżałem przez miesiąc wycieńczony, z infekcją, prawie że straciłem rękę, ale mimo to...

- Niesamowita historia - przyznałem. - Czy Grace powiedziała coś jeszcze?

- Tak. Zanim się pożegnaliśmy, dotknęła mojej ręki i zapewniła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby odwieść Ernesta od wyjazdu do Porton Down. Przypuszczałem, że po prostu się na nim uwiesi. Sam rozumiesz, wiem z doświadczenia, że niektóre kobiety, jak się naprawdę uprą, potrafią dopiąć swego i pomyślałem, że Grace jest pewnie jedną z nich.

Widać i tym razem się myliłem.

- Pokłócili się o to - powiedziałem, przypominając sobie zeznania Hetty Larkin. - Ale nie sądzę, żeby w ogóle miał zamiar jej słuchać. A już z

pewnością nie udało jej się go przekonać.

List, o którym mówiła Hetty, był pewnie tym samym, o którym przed chwilą wspomniał Billy. Kiedy Grace rozmawiała z nim i pokazywała mu go w Darlington, Ernest odkrył pewnie, że gdzieś zniknął, i kiedy wróciła, zrobił jej awanturę. Powiedziała mu, co sądzi o jego planach, że nigdzie się nie wybiera, dodając pewnie, że jeśli ma w sobie chociaż resztki sumienia i człowieczeństwa, też nie powinien jechać, ale bez wątpienia roześmiał jej się w twarz i machnął ręką na ten sprzeciw.

- Więc to, co jej powiedziałem, zniszczyło ją - stwierdził Billy.

- Skądże - zapewniłem go. - Zniszczyło ją to, kim był jej mąż. Znosiła go przez wiele lat, tłumaczyła, pewnie nawet udawała, że nie widzi wielu spraw. Ale kiedy w końcu musiała się zmierzyć z prawdą, doszła do wniosku, że nie przeniesie się do Salisbury i nie będzie dłużej żyć z człowiekiem, który pracuje w takim miejscu jak Porton Down. Coś takiego nie mieściło się Grace w głowie. Sprzeciwiało się całemu jej humanizmowi. Widziała, co robili tacy ludzie. Meers. Niemcy. To nie był świat, w którym mogła żyć, nie takiego życia pragnęła.

- Ale ostatecznie to ja ją do tego pchnąłem.

- Pchnął ją do tego Ernest tym wszystkim, co robił przez wiele lat. Bez wątpienia to on zaprosił ich, żeby przejęli na jakiś czas Kilnsgate House, a Grace mogła się o tym dowiedzieć.

A może to się zaczęło jeszcze wcześniej. W czasie pierwszej wojny leczył ofiary ataku gazem musztardowym. Kto wie? Tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Byłeś tylko katalizatorem. Przypuszczam, że Grace musiała już powziąć podejrzenia, że coś jest nie w porządku. Nie była głupia. A gdyby przenieśli się do Salisbury, z pewnością wkrótce i tak wszystko wyszłoby na jaw.

Jak się okazało, nie musiałem zostawiać samochodu i nocować w Simonstademie. Po kilku dalszych godzinach konwersacji oraz filiżance czy dwóch mocnej kawy Billy'ego poczułem się na siłach, żeby prowadzić. Chciałem uciec, wrócić jak najszybciej do anonimowego luksusu Cape Grace i zatopić się w rozmyślaniach.

Byłem głodny, ale najpierw poszedłem do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Pomimo klimatyzacji upał dał mi się we znaki na tyle, że byłem cały spocony, a po przechadzce po plaży czułem, że mam

piasek we włosach. Na sekretarce nie było żadnych wiadomości, do nikogo też nie miałem ochoty dzwonić. Dostałem tylko maila od Heather, która pisała, że za mną tęskni. Wysłałem jej krótką odpowiedź, że wszystko u mnie w porządku, że znalazłem Billy'ego i że po powrocie opowiem jej, czego się dowiedziałem.

Wytarłszy się, włożyłem szlafrok i stałem przez chwilę na balkonie, grzejąc się w ciepłym wieczornym powietrzu i spoglądając na port, światła centrum miasta, odbicia marszczące się na powierzchni wody oraz na masywne kształty Signal Hill i Góry Stołowej, rysujące się na tle ciemniejącego, pobruźdzonego purpurowymi pasami nieba. Luksusowe jachty na przystani, trzeszcząc, unosiły się i opadały, a ich liny skrzypiały i dzwoniły.

Wrzeszczały mewy szukające ławic ryb. Wróciłem do środka, włożyłem czyste ubranie i zjechałem windą do restauracji hotelowej.

Po rozmowie z Billym ciągle kręciło mi się w głowie i byłem trochę podenerwowany, zamówiłem więc na początek martini bee feater oraz butelkę czerwonego wina z Glen Carlou do kolacji. W razie gdybym jej nie dokończył, mogłem ją zabrać na górę do pokoju i upić się po cichutku na balkonie. Tego wieczoru nigdzie się nie wybierałem. Zamówiłem świeże ostrygi na przystawkę oraz polędwicę ze szpringboka jako główne danie.

W restauracji było dosyć cicho i ciemno. Z mojego stolika nie miałem widoku na zewnątrz, mogłem tylko patrzeć na innych gości oraz mural Signal Hill na ścianie, ale całkowicie mi to odpowiadało. Miałem nastrój do myślenia, kontemplacji, a nie podziwiania krajobrazu. Po pierwszym szoku, jaki wywołała we mnie opowieść Billy'ego Stranga, musiałem stworzyć z fragmentów rozbitej układanki jakąś nową całość. Wprawdzie pomyliłem się co do niewinności Grace, ale ciągle byłem przekonany, że sąd był w błędzie, jeśli chodzi o motywy jej zbrodni. Co zresztą dla sędziów nie miało większego znaczenia.

Równie dobrze mogli wziąć stronę państwa w sporze z Grace i potraktować ją jako obcego agitatora, nie uznając szlachetnych pobudek, którymi tak naprawdę się kierowała. Przyszło mi jednak do głowy, że gdyby poznali prawdziwe powody, dowiedzieli się, ile wycierpiała w czasie wojny, to przynajmniej sędzia mógłby okazać jej trochę łaski.

Spróbowałem sobie wyobrazić ostatnią kłótnię, wszystko to, co zostało wtedy powiedziane. Kilnsgate w zimowy dzień, wiatr wyje w kominku,

iskry tryskają z ognia, płatki śniegu topią się na szybach i spływają po nich. Dostałem propozycję pracy w szpitalu pod Salisbury, mówi Ernest. Postanowiłem ją przyjąć - i tyle. Po rozmowie z Billym Grace pewnie powiedziała Ernestowi, że dowiedziała się, na czym tak naprawdę polega ta praca, i że nigdzie nie jadą. Ernest pewnie kazał jej pilnować swojego nosa i nie wtrącać się w jego sprawy. Być może wiedział o Samie i dokuczał jej, mówiąc, że będzie musiała porzucić swojego kochanka, czy jej się to podoba, czy nie. Może jej groził albo nawet ją uderzył. Ale to nie było motywem. Ernest, celowo lub nie, wciągał ją w świat zaludniony przez potwory, na mroczną stronę.

Oczywiście Grace nie musiałyby robić tego co on, ale jak mogłaby stać u jego boku, być lojalną żoną, mając świadomość, czym się zajmuje? I kim byliby ich przyjaciele? Bez wątpienia spotykaliby się z jego znajomymi z pracy, urządzali miłe wieczorki i udawali, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, podczas gdy zarówno on, jak i oni wstrzykiwaliby ludziom węglika, spryskiwali ich paralitycznodrgawkowym VX oraz próbowali opracować jeszcze potworniejsze metody unieszkodliwiania i obezwładniania bliźnich. Nigdy nie przyznaliby, co tak naprawdę robią, że obmyślają techniki masowych mordów. Życie w kłamstwie, pełne przemilczeń. Jak mogłaby pozwolić mu to robić po tym, przez co przeszła w Azji PołudniowoWschodniej, co widziała na zamku w Normandii, po tym, o czym opowiedział jej Billy? Być może i tak uważała już męża za potwora z powodu jego oziębłości, ciągłej nieobecności, jego badań, pracy nad tajnymi projektami w czasie wojny?

Być może wyczuwała już, że chodzi o jakąś paskudną sprawę. Zapewne ktoś jej nawet powiedział, co się działo w Kilnsgate w czasie wojny, kiedy ona była w Singapurze.

Wiedziałem tylko, że to, co wydawało mi się interesującą boczną uliczką prowadzącą od głównej trasy - wojenne koleje Kilnsgate, epidemia pryszczycy, zniknięcie Nata Buntinga - okazało się właśnie tą ostatnią. Przechwycenie listu i rozmowa z Billym były momentem przełomowym. Nie mogła dłużej tak tego zostawić, niezależnie od tego, czy żywiła wcześniej jakieś podejrzenia, czy nie. Bo teraz wiedziała. Dotarła do ściany. Musiała coś zrobić.

Ernest by jej nie posłuchał. Zlekceważyłby ją jako głupią romantyczkę, zarzuciłby jej, że nie rozumie, do czego zmusza nas wszystkich

współczesny świat, powiedziała, że czasem trzeba robić nieprzyjemne rzeczy. Dla ojczyzny. Żeby bronić modelu życia, w który wierzymy. Powiedziała, że jest idealistką, marzycielką. No cóż, może i jest, odpowiedziała pewnie, ale to lepsze niż być potworem. Ernest zbeształ ją za to, że zabrała list. Grace zdała sobie sprawę, że jej protesty to jak rzucanie grochem o ścianę, a tymczasem Billy wyjechał walczyć z Mau Mau nieświadomy, jaką burzę rozpętał w Kilnsgate.

Główne danie wylądowało na stole wkrótce po tym, jak pochłonąłem pół tuzina znakomitych namibijskich ostryg. Szpringbok był idealnie różowy i miękki. Nalałem sobie kieliszek czerwonego wina i zacząłem jeść, rozglądając się dokoła. Na lewo ode mnie siedziała młoda para - sądząc po zachowaniu, w podróży poślubnej. Naprzeciw starszy mężczyzna w typie kolonisty, opalony na ceglano, z siwym, długim wąsem, mówił coś do swojej korpulentnej małżonki, prawdopodobnie psiocząc na tubylców. Na przeciwległym końcu sali dosyć hałaśliwa grupka świętowała urodziny albo jakąś rocznicę, a poza tym widziałem już tylko jednego samotnego jak ja klienta, czytającego książkę na iPadzie.

Być może Grace faktycznie otruła męża. Musiałem pogodzić się z tym, że mogłem się pomylić pod tym względem. Z całą pewnością spudłowałem na całej długości, wymyślając teorię z pedofilią. Najwyraźniej wszystko, czego doświadczyła i o czym kazano jej zapomnieć po rozmowie z Billym i odkryciu listu z ofertą pracy w Porton Down, nagle stanęło jej znowu przed oczami. Nie mogła w tym uczestniczyć. Była pielęgniarzką, a Ernest lekarzem; ich misją było ratowanie życia ludzkiego, a nie jego odbieranie. W dodatku przypominała sobie pewnie złowrogą postać Meersa oraz jego kompanów, kapralizbirów; trudno powiedzieć, czy słusznie, ale skojarzyła ich z Porton Down.

W pewnym sensie, jeżeli Grace była odpowiedzialna za śmierć męża, czyniło to nas podobnymi do siebie. Być może chciałem udowodnić, że jest niewinna, ponieważ w osobliwy, pokrętny sposób pragnąłem, by jej niewinność udzieliła się mnie? Wszystko jednak poszło nie tak. Mój plan obrócił się przeciwko mnie.

O tak, bez wątplenia było między nami wiele różnic. Ernest prawdopodobnie miał jeszcze przed sobą wiele lat życia, mimo że nawalało mu serce, podczas gdy Laura po prostu nie umierała wystarczająco szybko, a jej udręka zwiększała się z każdą chwilą. Grace wyświadczyła przysługę

ludzkości; ja - tylko Laurze. Błagała mnie, błagała bezustannie, a za każdym razem, gdy jej odmawiałem, pękało mi serce. Pod koniec nie byłem w stanie wytrzymać ani jej bólu, ani swojego. Nietrudno było w domu zwiększyć jej nieco dawkę morfiny i nawet jeśli nasz lekarz coś podejrzewał - a chyba podejrzewał - z pewnością podobnie jak ja uznał, że był to akt miłosierdzia. Trzymałem ją za rękę i patrzyłem, jak umiera, patrzyłem jej w oczy i widziałem, jak wycieka z nich życie, wziąłem ją w ramiona i czułem, jak uchodzi z niej duch, unosząc się gdzieś daleko i zostawiając po sobie ciszę, niczym końcowe akordy jakiejś cudownej symfonii. Różnica polegała na tym, że muzykę można zagrać wielokrotnie; życie odgrywamy tylko raz.

Powtarzałem sobie, że wyświadczyłem Laurze przysługę i w głębi duszy wiem, że tak było, ale nie zmienia to faktu, że ją zabiłem. Czy jestem mordercą? Potworem? Czy jestem Grace? Nie wiem. Czasem myślę, że tak. Czasem dopadają mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiłem, czasem moja nikczemna, bolesna tajemnica oddziela mnie od reszty ludzkości, od innych ludzi, spożywających tego wieczoru kolację w restauracji hotelowej.

Być może właśnie dlatego szukałem w Kilnsgate samotności. Ale to tam poznałem Grace Fox i jeżeli kiedykolwiek zastanawiałem się, co, na Boga, mnie opętało, że dostałem na jej punkcie obsesji, a przecież myślałem o tym często, to teraz już wiedziałem.

Rozejrzawszy się raz jeszcze po sali, opróżniłem kieliszek i zabrałem butelkę do pokoju, gdzie usiadłem na balkonie i piłem w tę ciepłą afrykańską noc, wsłuchując się w pomruki lin na jachtach unoszących się na morzu oraz w bryzę, szeleszczącą liśćmi palm poniżej, aż wreszcie ptaki zaczęły śpiewać, a słońce wschodzić i jego nieśmiałe promienie wydobyły z ciemności sylwetki Signall Hill oraz Góry Stołowej.

[10] Harley Street w Londynie znana jest z dużej liczby gabinetów lekarskich - przyp. tłum.

24

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), październik 1945 roku.

Ocean Indyjski

Środa, 10 października 1945 roku

Delfiny bawią się teraz obok nas prawie codziennie. Znaleźliśmy się znowu w tym nieruchomym, gorącym, dusznym świecie, gdzie ocean jest przejrzyste błękitny i wszystko wydaje się poruszać powoli, jak przez zgęstniałe powietrze. Wracam do domu.

Ciągle sama nie do końca rozumiem, dlaczego zgłosiłam się na ochotnika na powtórny wyjazd do Singapuru, chyba tylko po to, by poczuć, że zatoczyłam pełen krąg, i pogodzić się sama ze sobą. Przez te wszystkie lata, cokolwiek by się działo, nie potrafiłam pozbyć się uczucia, że to ja powinnam była umrzeć tam na tratwie, nie Brenda. Poczucie winy, że ocalałam, ścigało mnie przez Francję i Belgię oraz przez pokonane Niemcy, pośród masowych grobów, nieznośnego smrodu baraków i żywych trupów z Belsen, zniszczonego Berlina pełnego radzieckich wyzwolicieli. Piekło na ziemi. Ciągle czuję się winna i wciąż nie odnalazłam spokoju.

Siedzę teraz po północy na pokładzie, palę, a kosmyki włosów kleją mi się do spoconego czoła, policzków i szyi. Czy popełniłam błąd, zgłaszając się na szpitalny statek, kiedy wygraliśmy już wojnę w Europie? Nie sądzę. W głębi duszy wiem doskonale, że to w Singapurze wydoroślałam, że to tam straciłam swoją niewinność. Nie tę zabieraną przez mężczyzn. Chodzi mi o inny rodzaj niewinności. Pomimo pocałunku Stephena zadziwiająco łatwo przyszło mi pozostać wierną, uczciwą mężatką, choć wszyscy wokół mnie tracili głowy na noc czy na tydzień. Skłamałabym wprawdzie, gdybym nie przyznała, że czasem miałam ochotę pozbyć się uprzedzeń oraz wszystkiego innego i dołączyć do nich, a tamtego dnia ze Stephenem naprawdę niewiele brakowało. Ale nie mówię o takiej niewinności.

Wszyscy pacjenci na tym szpitalnym statku pochodzą z „wyzwolonych” japońskich obozów jenieckich na Sumatrze albo w Changi, Singapurze, Stanley lub Hongkongu.

Niektórzy byli w grupie uchodźców, która dotarła do Padang po nas, kiedy już odpłynęły statki. Pozostało im tylko czekać, aż pojawią się Japończycy i wezmą ich do niewoli. Innych znaleziono, jak wałęsali się po dżungli, po zbombardowaniu Hiroszimy i Nagasaki oraz kapitulacji Japończyków, opuszczeni przez swoich strażników. Nikt nie wiedział, z jakich byli obozów. W miejscowych szpitalach zostali przebadani oraz nakarmieni, a teraz wracają do domu. Nie byli ranni w bitwach, nie brakuje im kończyn, ale wielu cierpi na infekcje. Na szczęście mamy penicylinę. Wśród nich są głównie mężczyźni, ale również wiele cywilnych kobiet i dzieci oraz sióstr.

Większość wieczorów spędzam z Kathleen. Nigdy się teraz nie uśmiecha i nie mówi - jak przypuszczam, częściowo dlatego, że po stracie zębów sepleni i po prostu się wstydzi.

Obawiam się jednak, że jej wspaniały śmiech zamilkł na zawsze. Nasza dawna posągowa piękność jest teraz chuda jak szczapa - waży zaledwie osiemdziesiąt pięć funtów - i ma nogi jak zapałki, z kolanami niczym piłki do gry w krykieta. Jej piękne jasne włosy są całe w strąkach i matowe, a w niektórych miejscach wyłaniają się spomiędzy nich całe płyty łysej czaszki.

Początkowo ani ja jej nie rozpoznałam, ani ona mnie. Dopiero inne siostry, które pamiętały z naszej pierwszej podróży, jak byłyśmy nierozłączne, przedstawiły nas sobie raz jeszcze po latach. Nie było łatwo. Kathleen niewiele pamięta. Nie chce jej się żyć. Nocą dręczą ją koszmary - jak ich wszystkich - i głośno krzyczy. W ciągu dnia jest bierna i apatyczna. Nic jej nie interesuje. Próbuję z nią rozmawiać o codziennych sprawach, o obowiązkach, o tym, kto sprawia problemy, gdzie jesteśmy, o delfinach, ale nic to dla niej nie znaczy. Kathleen jest załamana. Nuci tylko pod nosem różne melodie.

Dowiedziałam się od innej siostry, Mary, że Doris zmarła w obozie w Stanley na dyzenterię. Przeżyłaby, ale Japończycy zarekwirowali wszystkie lekarstwa wysłane przez Czerwony Krzyż i nie było czym jej leczyć. Kathleen opiekowała się nią aż do samego końca.

Mary opowiedziała mi również, co się stało ze szpitalem w Hongkongu w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1941 roku. Słyszeliśmy

wcześniej plotki, jeszcze w Singapurze, ale w rzeczywistości było tam jeszcze gorzej, siostry zostały w najbardziej poniżający sposób upokorzone, a potem zabite, a mężczyzn, zarówno lekarzy, jak i pacjentów, zadźgano bagnietami.

Krążyły również makabryczne opowieści o masakrze na wyspie Banka. Australijskie pielęgniarki, których część znałam i które żegnałam, gdy tuż przed nami wypływały z portu na statku „Vyner Brooke”, zostały podobnie jak my zbombardowane, ale udało im się dotrzeć do brzegu wspomnianej wyspy, gdzie próbowały poddać się Japończykom.

Kiedy na plażę dotarł patrol wojskowy, żołnierze najpierw zgromadzili wszystkich mężczyzn, którzy dobili do przylądka, i zastrzelili ich, a potem zmusili kobiety do wejścia do morza i otworzyli do nich ogień z karabinów. Jedna australijska pielęgniarka ocalała - kula przeszła jej udo, nie czyniąc poważniejszych szkód. Udawała przez pewien czas martwą, aż w końcu dotarła do obozu jenieckiego i opowiedziała całą historię.

Pytałam wielu oficerów o Stephena Fawleya, ale nikt nic nie wiedział. Jeden z nich twierdził, że prawdopodobnie zginął w walkach. W każdym razie słuch o nim zaginął, nie znalazł się też w żadnym z obozów.

Z wyjątkiem kilku pacjentów, którzy chcą mówić, większość jest jak Kathleen.

Stracili wolę życia. Boją się własnego cienia, drżą na myśl o tym, co będzie; żyją w ciągłym strachu. Choć byli na wpół zagłodzeni, nie mogą właściwie jeść, bo ich układy trawienne są osłabione. Ucierpieli mocno z powodu głodu oraz z rąk nieprzyjaciela. Staramy się ich karmić, ale z koszmarami nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Nawet kiedy siedzę teraz tutaj, chłonąc parne piękno tropikalnej nocy, czując łagodne kołysanie statku i delikatne uderzenia fal o burty, nie mogę nie słyszeć odgłosów dobiegających z okrętowych izb szpitalnych. Jest to jedyny w swoim rodzaju dźwięk, wydawany przez tysiące śniących koszmary umierających chłopców wołających swoje matki, wymieszany z nieprzerwanym zawodzeniem tych, którzy zupełnie oszaleli, a nad nimi przerażające milczenie tych, którzy stracili wszystko - nawet głos, nawet samych siebie.

Luty 2011

Kiedy wysiadłem z taksówki, którą wziąłem na dworcu kolejowym w Darlington, Kilnsgate House czekał na mnie niczym stary przyjaciel. W środku na podłodze pod skrzynką na listy rozrzucona była poczta. Zdaje się, że głównie rachunki i ulotki. Nikt już dzisiaj, w epoce emaili i SMSów, nie pisze listów. Zastanawiałem się, czy zbiór emaili Johna Keatsa byłby choć w połowie tak interesujący jak jego listy. Wątpiłem. Sposób przekazu ma znaczenie.

Postawiłem torbę w korytarzu, włączyłem centralne ogrzewanie i poszedłem do kuchni zrobić sobie filiżankę herbaty. Było późne popołudnie, a przez całą noc, spędzoną w samolocie z Kapsztadu, nie zmrużyłem oka, natomiast resztę dnia zajęło mi dotarcie do domu z Heathrow i naprawdę zaczynałem już tracić cierpliwość do pociągów. Nie było żadnego wytłumaczenia. Nawet nie padał śnieg!

W ostatni dzień w Kapsztadzie chodziłem głównie po kawiarniach i sklepach.

Kupiłem na bazarku dla Heather owijaną letnią sukienkę z prześlicznego wzorzystego materiału. Nie wiedziałem, czy chodzi w czymś takim, ale w najgorszym razie może doceni wzór oraz afrykańskie kolory i będzie jej używała jako makatki. W każdym razie moim zdaniem wyglądałaby w niej cudownie. Kupiłem też sobie kilka CD miejscowych muzyków - Judith Sephummy, Abdullaha Ibrahima, Wandy Baloyi, Popsa Mohameda - stwierdziwszy z radością, że sklep z płytami, który odkryłem w czasie poprzedniej podróży, ma się wyśmienicie.

Kiedy herbata była gotowa, zaniósłem filiżankę do sypialniojadalni i usiadłem przy kominku. Pewnie później w nim rozpalę. Był początek lutego i śnieg już się stopił, ale w powietrzu czuć było przejmujący chłód typowy dla Yorkshire, przez co wydawało się zimniej niż w rzeczywistości, zwłaszcza po powrocie z RPA. Temperatura na zewnątrz wynosiła sześć stopni Celsjusza, a niebo było szare i zapowiadało deszcz. Las za moim ogrodem z tyłu domu wydawał się ponury i odstręczający. Wrzuciłem płytę z wariacjami jazzowymi na fortepian Abdullaha Ibrahima, po czym rozsiadłem się w wygodnym fotelu i przejrzałem pocztę. Tak jak przypuszczałem, były to głównie rachunki i reklamy. Jedynym ciekawym listem okazało się zaproszenie z wykładem na festiwal filmowy w London's South Bank Centre w maju. Zdecydowałem, że chyba pojedę. Powinno być fajnie.

Następnie odsłuchałem wiadomości w telefonie - dwie oferty handlowe, z British Telecom i propozycja montażu podwójnych szyb, oraz pozdrowienia od Heather. Prosiła, żebym oddzwonił. Zerknąłem na zegarek. Była za dziesięć czwarta i już robiło się ciemno.

Czułem się zbyt zmęczony, żeby spędzić wieczór w towarzystwie, właściwie zbyt zmęczony na wszystko z wyjątkiem ostatniej sesji szperania w Internecie, która mnie jeszcze czekała.

Odsłuchałem też wiadomość od matki, która w charakterystyczny dla siebie sposób pytała mnie, czy jeszcze żyję. Natychmiast poczułem wyrzuty sumienia. W całym tym podnieceniu, jakie wywołało we mnie spotkanie z Louise, a potem z Billym Strangiem, zupełnie zapomniałem o matce. Oddzwoniłem i przez piętnaście minut wysłuchiwałem jej narzekań na pogodę, po czym obiecałem przyjechać, gdy tylko będę mógł, i się rozłączyłem.

Następnie zadzwoniłem do Heather i umówiliśmy się na spotkanie za kilka dni, kiedy już się wyśpię. Potem zostało mi już tylko kilka ważnych telefonów. Od tamtego popołudnia spędzonego z Billym Strangiem miałem mnóstwo czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć, i byłem przekonany, że choć wcześniej długo błądziłem w ciemności, wiedziałem już teraz, co tak naprawdę zdarzyło się pierwszego dnia stycznia 1953 roku w Kilnsgate. A ponieważ Louise King oraz Samuel Porter - w pierwszej kolejności - również zasługiwali na to, żeby wiedzieć, podniosłem znowu słuchawkę telefonu.

Następnego ranka, ciągle wlokąc się jeszcze noga za nogą, wspiałem się ze szpadlem na wzgórze, podszedłem do wapiennika i przyjrzałem się splątanym chwastom w środku.

Spróbowałem kilka razy wbić łopatę w ziemię, ale szybko doszedłem do wniosku, że to bez sensu; sam sobie nie poradzę. Na tym etapie nie miałem aż takiej pewności, żeby dzwonić na policję, ale był tylko jeden sposób, żeby przekonać się, czy mam rację - właśnie kopać.

Wróciłem do domu i zadzwoniłem do Tony'ego Brothertona. Kiedy przedstawiłem mu swoją teorię, najwyraźniej doszedł do wniosku, że mi odbiło, ale przypomniałem mu o zmartwieniach jego dziadka i niecałe pół godziny później pojawił się na miejscu z Jill oraz dwoma krzepkimi robotnikami rolnymi.

Stałem obok, opierając się o drzewo oraz obserwując, jak pracują, i czułem się cokolwiek bezużyteczny. Choć był chłodny lutowy poranek, wkrótce byli już złani potem, a obok wapiennika urosła kupka ziemi i darni. Nie miałem pojęcia, jak głęboko muszą kopać, i minęła już prawie godzina, kiedy wreszcie Jill nachyliła się i powiedziała: - Wielkie nieba, Chris! Chodź tu lepiej i rzuć okiem.

Podszedłem i podążyłem wzrokiem za jej palcem wskazującym. Na posłaniu z ziemi leżało coś, co wyglądało na ludzką dłoń. Oczywiście nie znałem się na anatomii i muszę przyznać, że mógłbym ją pomylić z krowim albo owczym kopytem, ale Jill ostrożnie odgarnęła resztkę kleistej gleby i kości zaczęły nabierać kształtu, a kiedy skończyła, nikt z nas, stojących tam nad dołem, nie miał najmniejszych wątpliwości, że spogląda na szkielet człowieka.

Dwa dni później właśnie włożyłem lazanie do piekarnika, kiedy Heather przyjechała na kolację. Wapiennik widoczny z Kilns gate nadal był tajemniczo ogrodzony płótnem, choć akurat nikogo tam nie było. Gdy dokonaliśmy naszego makabrycznego odkrycia, zadzwoniłem na policję, która usunęła szczątki i wysłała je do laboratorium kryminalistycznego. Wstępne ustalenia, przekazane mi jeszcze tego samego popołudnia przez detektywa prowadzącego sprawę, potwierdziły moje przypuszczenia, choć nie udało się stwierdzić przyczyny śmierci. Być może było jeszcze za wcześnie, żeby o nią pytać.

Zaplanowałem proste danie, w stu procentach przyrządzone na miejscu, do którego dołożyłem sałatkę Cezar - ale prawdziwą, a nie taką z ogórkiem i pomidorami, jaką podają w lokalnej włoskiej restauracji - oraz talerz owoców i deskę lokalnych serów z Ken Warne.

Heather, jak zwykle, wyglądała prześlicznie. Miała na sobie tylko czarne rajstopy oraz rdzawą sukienkę z golfem, sięgającą kolan, a włosy upięła z tyłu zieloną wstążką.

- Mój Boże - powiedziała, gdy prowadziłem ją do salonu. - Tylko trzy dni, a jesteś strzaskany na mahoń.

- Szybko łapię słońce - wyjaśniłem. W LA nikt tego nawet nie dostrzegał. Natomiast odkąd przenieśliśmy się do Yorkshire, udało mi się wyhodować typową tutejszą bladość, przypuszczałem więc, że opalenizna nie utrzyma się zbyt długo. Wręczyłem Heather sukienkę, którą jej kupiłem, a ona, krzyknawszy z zachwytem, zaczęła zachwalać kolory i wzorek,

owijając ją wokół siebie i przymierzając. - Może wypróbujemy później kilka wariacji? - zasugerowałem.

Przy kominku, w którym wcześniej rozpałem, nalałem nam po kieliszku wina i usiedliśmy.

- Z tego, co mówiłeś przez telefon, masz tu teraz niezłe zamieszanie - powiedziała Heather.

- Nawet mi nie mów.

- Wszystko to brzmi dosyć makabrycznie. Ciało w wapienniku.

- Jedno ciało - poprawiłem ją. - Poza tym to już tylko szkielet.

- Nawet jeśli... - Heather przeszedł dreszcz. - I pomyśleć, że leżał tu przez cały czas.

- Ściśle rzecz biorąc, od czterdziestego pierwszego albo drugiego - sprecyzowałem. - Nat Bunting.

- Skąd wiesz?

- Miał zniekształconą stopę. Podobnie jak szkielet.

- A co mu się właściwie stało?

- Tego nie wiemy.

- A jak sądzisz?

- Mam mnóstwo teorii na ten temat, ale żadnej pewności. Najpierw myślałem, że może coś zobaczył, że wiedział za dużo. W czasie wojny dziadek Tony'ego Brothertona widział Nata na terenie ogrodzonego drutem kolczastym kompleksu w Kilnsgate.

- Ale zmieniłeś zdanie?

- Nat był... upośledzony - wyjaśniłem. - Niczego by się nie domyślił, nawet gdyby zobaczył coś nieprzeznaczonego dla jego oczu.

- Mogli o tym nie wiedzieć.

- Ernest Fox wiedział.

- W takim razie co?

- Wiem, że wygląda to na trochę naciąganą teorię, ale sądzę, że mógł umrzeć w wyniku eksperymentów, które przeprowadzano w Kilnsgate, najprawdopodobniej zaraziwszy się przypadkowo. Poszperałem trochę w Internecie i choć niewiele informacji na ten temat jest powszechnie dostępnych, wiemy na pewno, że w czasie drugiej wojny światowej ludzie z

Porton Down prowadzili badania nad bronią biologiczną. Nie tak dawno temu część akt Ministerstwa Wojny przekazano do Archiwum Narodowego i okazuje się, że interesowały ich w szczególności choroby bakteryjne takie jak dur brzuszny, dyzenteria i cholera u ludzi oraz wąglik, pomór świń oraz pryszczycza u zwierząt.

- U zwierząt?

- Tak. Produkowali ciasteczka dla krów nafaszerowane wąglikiem. Mieli zamiar rozrzucić je na terenie Niemiec, żeby zatruć żywność.

- Oni, to znaczy kto?

- Właściwie my.

- Wielkie nieba! To wariactwo! Straszne!

- Ponieważ jednak okazało się, że bydlę podejrzliwie podchodzi do nowych rodzajów karmy i niechętnie daje się nabrać, zrezygnowaliśmy z tego planu. Tak czy inaczej, w gospodarstwie Brothertona wystąpiła pryszczycza. Wojskowi szybko ją stłumili i wyciszyli całą sprawę. Epidemia nie rozprzestrzeniła się poza to jedno gospodarstwo, co jest prawie niemożliwe przy tej chorobie.

- Jak udało im się to załatwić tak szybko?

- Nie udałoby się, gdyby nie wiedzieli, co się dzieje.

- Sądziś więc, że to oni ją wywołali?

- Wydaje się to dosyć logiczne. Ale nie jestem nawet pewien, czy faktycznie chodziło o pryszczycę. Mógł to być wąglik. W każdym razie przypuszczalnie ta właśnie choroba zabiła Nata Buntinga. Choć z mojej strony to tylko spekulacja.

- A co innego mogło mu się przydarzyć?

Wzruszyłem ramionami.

- Kto wie? Może rzeczywiście wstrzyknęli mu wąglik albo dyzenterię i umarł, jak Ronald Maddison w pięćdziesiątym trzecim w wyniku eksperymentów z sarinem?

Niewykluczone nawet, że próbowali wynaleźć antidotum albo szczepionkę na choroby, które ich zdaniem Niemcy chcieli u nas wywołać. A może, jak już mówiłem, wszedł z czymś w kontakt zupełnie przypadkowo, podszedł zbyt blisko, a oni zakopali jego ciało pod wapiennikiem.

- I przysypali je wapnem?

- To byłoby bez sensu. Większość ludzi mylnie sądzi, że wapna gaszonego używa się po to, by pozbyć się ciała. Tymczasem, wprawdzie faktycznie, jeśli dodać wody, spala ono skórę, kiedy wejdzie z nią w kontakt, ale potem zasusza tkankę i powoduje mumifikację.

Raczej trudno pozbyć się w ten sposób dowodów! Tak czy inaczej, użyli go, zakopując krowy Brothertona, głównie dlatego, że wapno zabija zarodniki węglika albo pryszczycy, ale jeśli chodzi o Nata, to przypuszczam, że wapiennik po prostu świetnie nadawał się, żeby ukryć w nim ciało. Przypuszczam, że nigdy się nie dowiemy, co Nat tam robił, co tak naprawdę mu się przydarzyło. Wiem, że Nat miał obsesję na punkcie tego, żeby się zaciągnąć, ale nikt go nie chciał z powodu jego fizycznego oraz umysłowego kalectwa. Być może zobaczył oddziały w Kilnsgate i podszedł zapytać, czy może do nich dołączyć. Czy może znajdzie się tam dla niego miejsce. Nie sądzę raczej, żeby łapali ludzi po łąkach i wstrzykiwali im czerwonkę albo dur, choć jeżeli się mylę, to Nat Bunting byłby dla nich idealnym kandydatem na królika doświadczalnego. Nikt nie robiłby awantury z powodu jego zniknięcia. Kiedy zaginął, informacja o tym nie przebiła się nawet do prasy.

- Ale to straszne!

- W czasie wojny zawsze dzieją się straszne rzeczy. Przypomnij sobie, co Grace widziała na własne oczy w zamku w Normandii, a później w obozach. Albo opowieści o japońskich i niemieckich eksperymentach medycznych w obozach jenieckich i na więźniach obozów koncentracyjnych. Sądzisz, że byliśmy o wiele lepsi?

- Zawsze starałam się trzymać tej wersji. Tak. Szczerze mówiąc, to chore, że my też daliśmy się sprowadzić do tego poziomu. To znaczy, zarażanie krów węglikiem albo pryszczycą to jedno, ale...

- Nie twierdzę, że na pewno tak było. To po prostu możliwe. Jestem natomiast przekonany, że to oni wywołali epidemię pryszczycy czy co to tam było w gospodarstwie Brothertonów - nie da się jej inaczej wyjaśnić - a niezależnie od tego, co zabiło Nata Buntinga, przecież nie pochował się sam. Chociaż właściwie możliwe nawet, że zachorował, doczołgał się tam, zmarł, a jego ciało zostało z czasem przykryte ziemią w wyniku działania żywiołów.

- Pewnie nie on jeden był ofiarą tych eksperymentów.

- Najprawdopodobniej. Ochotnicy albo więźniowie z pobliskiego obozu jenieckiego też mogli brać w nich udział. Ale to Nat umarł, a niezależnie od powodów, nikt inny się nie ujawnił.

- A nie mógł go zabić po prostu jakiś szaleniec?

- Ilu ich tutaj mamy? Tak z ręką na sercu? Poza tym, kiedy to się stało, Kilnsgate, łącznie z wapiennikiem, było odgródzone drutem kolczastym i pilnowane przez wartowników. Wilf mówił, że dzieciaki znalazły jakąś dziurę, więc być może to przez nią Nat dostał się do środka, ale żeby szaleniec włąził tam za nim?

Heather przesunęła palcem po krawędzi kieliszka.

- Ale czy to może mieć coś wspólnego z tym, co stało się później? Z Grace Fox i jej mężem?

- Sądzę, że tak - powiedziałem.

- Zamieniam się w słuch.

- Poczekaj do kolacji. - Wstałem, żeby zerknąć na lazanie. Była gotowa i należało tylko odczekać dziesięć minut, żeby trochę przestygła. W tym czasie chciałem zrobić sałatkę.

- Łajdak! - zgromiła mnie Heather, idąc za mną do kuchni. - Żebym musiała tak przez niego czekać.

Oparła się o lodówkę, a ja otworzyłem drzwi, żeby wyjąć sałatę. Gdy podszedłem, nie poruszyła się, lecz tylko przekrzywiła głowę na bok i zrobiła kwaśną minę. Przypomniał mi się tamten wieczór, kiedy była tu na kolacji z Derekiem i Charlotte, kiedy się upiła i dokładnie w tym samym miejscu niemal zaczęła się do mnie przystawiać. Tym razem nachyliłem się i pocałowałem ją, a ona przyciągnęła mnie do siebie. Wiele się zmieniło.

Delikatnie przesunąłem ją i otworzyłem lodówkę.

- Nie zawracaj mi gitary, kochanie, robię kolację - powiedziałem. - Nie mogłabyś wrócić sobie do salonu, usiąść przy kominku, napić się wina, posłuchać muzyki i zastanowić się nad życiem?

- No cóż, właśnie widzę, jak bardzo ci mnie brakowało - odparła, ponownie żartobliwie zrobiwszy skwaszoną minę, i wyszła z kuchni.

Szybko uwinąłem się z sałatką, a w tym czasie lazania nieco przestygła i można ją było pokroić i podawać. Zniosłem talerze na stół do jadalni, gdzie dołączyła do mnie Heather. Wino i czyste kieliszki już tam stały.

Nalałem nam po kolejnej lampce. W tle Susan Graham śpiewała Les Nuits d'Été. Zapanowała bardzo zmysłowa atmosfera.

- A teraz możesz mi już opowiedzieć, czego się dowiedziałeś? - upomniała się Heather. - Obiecuję, że będę jadła i nawet do głowy mi nie przyjdzie, żeby ci przerywać.

Słowo harcerki.

Odcięła kawałek lazanii i włożyła go do ust.

- Billy'ego Stranga znalazłem właściwie bez problemu - zacząłem opowieść. - Wydaje się zdrow jak ryba. Co więcej, właśnie wrócił z tenisa. Najwyraźniej do klubu uczęszcza młoda wdówka, którą podrywa.

- Stary zbereźnik, co?

- Nie bardziej niż ja. Tyle że jestem o wiele młodszy.

Heather się roześmiała.

- I jak, było warto? Zostawiać mnie tutaj w lodowatym Yorkshire, żeby pohulać sobie w egzotycznej krainie? I ciepłej.

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym skinąłem głową.

- Na początku nie byłem pewien, bo facet obalił wszystkie moje teorie, ale ostatecznie uważam, że owszem, zdecydowanie tak.

Opowiedziałem jej o Porton Down, o tym, że Billy widział tam Ernesta Focha, o liście, ofercie pracy i tak dalej.

Kiedy dotarłem do końca tej części opowieści, Heather przerwała mi.

- Teraz rozumiem - powiedziała - co miałeś na myśli, mówiąc, że wszystko to jest w pewien sposób powiązane z wojennymi dziejami Kilnsgate, ale właściwie bezpośredniego związku tu nie widzę, mam rację?

- Miałabyś, gdyby nie współpraca Ernesta z ośrodkiem - wyjaśniłem. - Przypuszczam, że do Grace docierały plotki, że coś podejrzewała. W kwestii zbrodni wojennych miała bardzo zdecydowane poglądy. Pamiętam, jak Sam Porter opowiadał mi o jej rozmowie z Laurą Knight, że dogadały się jak stare przyjaciółki. To ta malarka, która namalowała serię obrazów poświęconych procesom norymberskim. Tak czy inaczej, Grace pewnie słyszała o Nacie Buntingu i pryszczycy, najprawdopodobniej od Hetty, choć pewnie początkowo nie potrafiła tego powiązać, co jej się udało dopiero po rozmowie z Billym.

- Czyli nie tylko musiała zostawić kochanka, ale w dodatku jej mąż miał pracować nad trującymi gazami i wstrzykiwać ludziom węglika. Dlatego to zrobiła?

- Tak właśnie pomyślałem, kiedy usłyszałem opowieść Billy'ego. Wychodziło na to, że wszystkie wcześniejsze przypuszczenia były całkowicie mylne.

- Tak, pamiętam twoją szaloną teorię, że Ernest Fox był pedofilem.

Przypomniałem sobie, jak się poczułem, kiedy nakreśliłem swoją hipotezę Billy'emu Strangowi, a on obalił ją na całej długości. Poczulem wtedy, że tracę grunt pod nogami.

- Nawet jeśli się myliłem, moja teoria nie była bardziej szalona niż wersja prawdziwa, jego wyjazdy do Porton Down w celu eksperymentowania z bronią chemiczną - powiedziałem. - A już na pewno trzeba było rozważyć taką możliwość. Czułem, że coś jest nie tak. Szukałem po prostu jakiejś bomby na temat Ernesta Foxa, czegoś, co nakłoniłoby Grace do jego zabicia, a co nie sprawiłoby, że całkowicie stracimy do niej sympatię. Musisz przyznać, że gdyby moja teoria z pedofilią okazała się prawdziwa, wszystko by się zgadzało. I być może wszystko się zgadza, kiedy wiemy już, że jej mąż był handlarzem śmiercią. Billy wraca zobaczyć się z Grace i mówi jej coś tak porażającego... To całkiem wiarygodne wyjaśnienie.

- Ale czy wystarcza?

- Do czego?

- Jako motyw.

- Czytałaś dziennik?

Heather powoli pokręciła głową.

- To... nie do wiary... niesamowite. Że ktoś mógł przez to wszystko przejść.

- No cóż, zważywszy na to, co Grace widziała na zamku, jej reakcję, kiedy dowiedziała się, co jej mąż tak naprawdę będzie robił w „szpitalu pod Salisbury”, oraz że przez to będzie musiała zostawić Sama i spędzać odtąd poranki, racząc się kawą z kobietami, których mężowie robią to samo co jej, owszem, rzekłbym, że tak.

- Uważasz więc, że dlatego to zrobiła? Praca, Sam i tak dalej?

Skończyliśmy właśnie główne danie, zabrałem więc talerze i napełniłem nam kieliszki. Sery od dobrej chwili leżały już na stole i osiągnęły temperaturę pokojową.

Ponieważ jednak żadne z nas nie było w tej chwili szczególnie głodne, zrobiliśmy sobie przerwę i pozostaliśmy przy samym winie. Płyta Susan Graham dobiegła końca i w tle rozbrzmiewały teraz sonaty fortepianowe Beethovena w wykonaniu Annie Fischer.

- Pamiętasz - zapytałem - jak na samym początku, kiedy dopiero zacząłem się interesować całą tą historią i dowiedziałem się co nieco o Grace, nabrałem przekonania, że nie mogła tego zrobić?

- Tak. A potem zmieniłeś zdanie. A następnie zmieniłeś je ponownie. Toczysz się w tę i we w tę jak jojo. Ostatecznie powiedziałeś, że prawdopodobnie zrobiła to, ale ze szlachetniejszych pobudek niż pragnienie posiadania młodego kochanka i pieniędzy. No cóż, czy to, o czym mi teraz powiedziałeś, nie jest jeszcze bardziej szlachetne? Grace najwyraźniej nie potrafiła odwieść męża od przyjęcia posady związanej z bronią chemiczną, a przecież nie mogła z tym iść na policję. Bo co niby miała powiedzieć? Być może niektórzy podobnie jak Grace sprzeciwiają się takim praktykom, ale z drugiej strony w oczach przeważającej większości Ernest Fox pracował nad ściśle tajnym projektem rządowym i im mniej o tym wiedzieli, tym lepiej. Wszyscy byliby przekonani, że nic w tym złego.

- Chyba że, tak jak Grace, trafiliby do piwnicy pełnej martwych ofiar nazistowskich eksperymentów z gazami bojowymi. Ale masz rację. Wypełniał tylko patriotyczny obowiązek. Tyle że o tego rodzaju obowiązkach rządu przeważnie milczą, a kiedy ktoś zaczyna robić wokół nich aferę, twierdzą, że się bronią. A Ernest Fox był tylko jednym człowiekiem. I Grace nie mogła mieć nawet nadziei, że powstrzymując go, cokolwiek osiągnie. Pewnie zdawała sobie z tego sprawę. Nie była nawet działaczką polityczną czy ekologiczną. Przypuszczam, że głosowała na konserwatystów. Właściwie rozsądniejsze wydawałoby się nawet, gdyby faktycznie był pedofilem, a ona tylko zadbałaby, by już nigdy nie położył brudnych łapsk na jakimś dziecku. W Porton Down stanowiłby tylko część zespołu, który mógł się bez niego obejść. Nie był niezastąpiony. Gdy w grę wchodzi pedofilia, jest inaczej: zabijając jednego zbrojnika, zapewniasz bezpieczeństwo wielu dzieciom.

- Uważasz, że Grace rzeczywiście myślała w ten sposób?

- Niedokładnie w ten sposób, ale założę się, że przemknęło jej to przez myśl. Nie mogła zamknąć Porton Down, ale wszystko to nagle stało się dla niej sprawą osobistą. Nie chodziło tylko o krzywdzenie innych, ale również zmianę jej życia na gorsze.

- I mogła sprawić, by świat stał się chociaż odrobinę lepszy?

- Coś w tym rodzaju.

Nie powiedziałem Heather o odbiciu w lustrze szafy. Nie powtórzyłem jej też opowieści Grahama o podobnym wydarzeniu w domku w Scarborough. Nie chciałem, żeby mnie wzięła za wariata. Wystarczyło już, że jej zdaniem dostałem obsesji na punkcie Grace Fox, zakochałem się w duchu, jak to określiła. Być może pewnego dnia opowiem jej wszystko oraz przyznam się, co zrobiłem Laurze, ale w tej chwili było jeszcze na to za wcześnie. Jeszcze nie dotarliśmy do tego etapu. Musiałem jednak znaleźć sposób, żeby powiedzieć Heather, że wiem dokładnie, jak potoczyły się wypadki w noc śmierci Ernesta Foxa, nie mówiąc jej jednocześnie, jak i dlaczego nabrałem takiego przekonania.

- A teraz? Ciągłe uważasz, że tego nie zrobiła?

- Tak i nie.

- To żadna odpowiedź.

- Zaczekaj. Kiedy usłyszałem opowieść Billy'ego, doszedłem do wniosku, że to zrobiła. Billy, gdy mu powiedziałem, co się stało z Grace, też tak myślał. Winił za wszystko siebie. Uważałem, że zrobiła to z dokładnie tych pobudek, o których przed chwilą rozmawialiśmy: żeby powstrzymać Ernesta od przyjęcia posady w Porton Down. Ale w czasie lotu do domu nagle doznałem olśnienia i odtąd nie przestaję o tym myśleć. W samolocie nie mogłem zasnąć, zapomnieć o całej sprawie. Krążyłem wokół niej myślami, krążyłem i krążyłem, aż nagle wszystko ułożyło się w całość, we wzór, którego szukałem.

- Tak po prostu?

- Kiedy pracujesz nad czymś przez parę miesięcy, nic nie pojawia się tak po prostu.

Żadna kompozycja muzyczna czy teoria na temat zbrodni sprzed lat. Czasem tylko można odnieść takie wrażenie. To właśnie nazywamy inspiracją, rezultaty tygodni lub miesięcy błądzenia, ciężkiej harówki. Ale to jedyne logiczne wyjaśnienie, które tłumaczy wszystko.

Heather zmarszczyła brwi i zaczęła obracać winem w kieliszku.

- Zamieniam się w słuch.

- Przede wszystkim musisz pamiętać, że Ernest Fox był chory. Miał słabe serce.

Ustalił to lekarz sądowy, a Alice Lambert wspomniała, że już kilkakrotnie miewał tego rodzaju problemy.

- Z niestrawnością.

- Ale objawy niestrawności bardzo przypominają te, które występują przy ataku serca.

Każdy lekarz ci to powie.

- A potas?

- Doktor Masefield, lekarz sądowy, również przyznał, że w ciele człowieka, który umiera na atak serca, odkłada się sporo potasu, w dodatku nie potrafił podać przekonujących dowodów, że Grace wstrzyknęła Ernestowi chlorek potasu. Nie znaleziono go też w domu.

Doktor Fox nie miał go w swojej torbie.

- Owszem, ale mogła go gdzieś zdobyć, a potem zniszczyć resztki.

- Nie było dowodów. Wszystko zależało od tego, czy przysięgli uwierzą w to, co mówi lekarz sądowy. Nie znaleziono żadnych śladów potasu. Wykazano jedynie jego obecność w ciele Ernesta Foxa, a to bez problemu da się wyjaśnić atakiem serca. Dostał się tam w naturalny sposób. Przysięgli uwierzyli jednak doktorowi Masefieldowi. Tylko po co szukać bardziej skomplikowanego wyjaśnienia, skoro to o wiele prostsze jest nawet bardziej prawdopodobne?

- Z powodu Sama i Grace.

- Właśnie. Grace Fox została oskarżona wyłącznie z powodu swojego romansu z Samuelem Porterem. To jedyne pewnik, jedyne, w co wierzyłem od samego początku.

Wszystko pozostałe, każdy z dowodów przeciw Grace, ma swój początek w romansie, w tym, że ujawniono szczegóły tamtej nocy w Leyburn. Wykreśl z równania młodego kochanka, a natychmiast stanie się jasne, że Grace Fox najzwyczajniej w świecie została zabita przez moralność lat pięćdziesiątych. Adwokat miał rację co do wielu spraw; po prostu był za mało agresywny i ogólnie niezbyt kompetentny. I nie sądzę,

że wezwanie Grace na świadka cokolwiek by zmieniło. Tego rodzaju osoba nie przemówiłaby do przysięgłych, wśród których znajdowali się wyłącznie zadufani w sobie mężczyźni o małomiasteczkowej, typowej dla klasy średniej moralności. Z relacji Morleya można wyczytać, jak wiele szkód narobiło samo wezwanie na świadka Sama Portera. Boże, jeszcze dziesięć lat później w procesie o Lady Chatterley sędzia pytał przysięgłych, czy chcieliby, żeby tego rodzaju książkę czytały ich żony albo służące. Mówimy o klasie, która pod względem moralności niewiele się zmieniła od czasów wiktoriańskich. Sędzia Venable, dziecięciniały starzec, należący do uprzywilejowanej warstwy miłośnik polowań na lisy, strażnik tradycji i moralności. Dla sędziego i przysięgłych Grace Fox była rozwiązłą kobietą, dziwką, zdziwą, ladacznicą. Sto lat wcześniej napiętnowano by ją na czole szkarłatną literą „A”, a kolejne stulecie wstecz spalono by na stosie jako czarownicę.

- Okej - powiedziała Heather, unosząc dłoń. - Rozumiem twoje oburzenie i gniew reprezentanta klasy robotniczej. Ale co się wtedy właściwie stało? Co z wodzianem chloralu?

Przecież znaleźli go w jego organizmie, a ta akurat substancja nie mogła się tam dostać w sposób naturalny.

- Sam go zażył. Dlaczego nie? Robił to już wcześniej, kiedy miał problemy z zaśnięciem. Jeżeli męczyła go zgaga, mógł dojść do wniosku, że spróbuje ją po prostu przespać.

- Ale nie znaleziono w domu resztek tej substancji.

- I co z tego? To jeszcze nie dowodzi, że Grace się ich pozbyła. Być może zażył ostatnią dawkę. A może lekarstwo było w papierku, a ten wylądował w kominku razem z tym, w którym Fox trzymał proszek na żołądek? Albo było w tabletkach? Miał je w kieszeni?

Najważniejsze jest jednak to, że i tym razem nie ma żadnego dowodu, by Grace zaaplikowała mężowi wodzian chloralu. Co najwyżej poszlaki.

- W takim razie co właściwie zrobiła?

Milczałem przez chwilę.

- Sądzę, że chodzi raczej o to, czego nie zrobiła.

- Nie rozumiem. Mówisz bardzo zagadkowo.

- Wręcz przeciwnie. Grace była świetnie wyszkoloną pielęgniarką. Nie zapominaj o tym. Co więcej, była członkinią Korpusu Królowej

Aleksandry, należała więc do elity swojego zawodu. Czytałem trochę o nich. Doprowadzały pewnie niektórych lekarzy do szału swoim przywiązaniem do twardych procedur, ale były cholernie dobre. W obliczu sytuacji awaryjnej, każdej sytuacji awaryjnej, w Grace natychmiast musiała się odzywać pielęgniarka.

Całe to gadanie o tym, że z racji zawodu wiedziała dużo o truciznach, było zwyczajną bzdurą.

Tak naprawdę znaczenie miało tylko to, o czym wszyscy zapomnieli albo co zignorowali, a mianowicie, że pielęgniarki są uczone pomagać chorym. Nieść ulgę. Czytałaś jej dziennik. Na litość boską, siedziała przez całą noc, pocieszając umierającego niemieckiego chłopca, którego nienawidziła! Ale to przecież była jej praca; to była ona! Tego właśnie wcześniej nie dostrzegałem. Samej Grace. Tego, kim była, mniejsza o kochanków, mniejsza o trucizny.

- Ale przecież niejedną pielęgniarkę skazano za morderstwo.

- Nie twierdę, że pielęgniarki nigdy nie zabijają. Oczywiście, że to robią. Wydaje mi się jednak, że jeśli przyrzeć się konkretnym przypadkom, okazuje się, że zwykle popełniają zbrodnię w stanie mentalnego rozchwiania albo w wyniku urojeń. Nie ma żadnych dowodów, że Grace była w stanie zaburzonej równowagi albo nie w pełni władz umysłowych. Wręcz przeciwnie. Nawet jeśli zrobiła to, o co oskarżył ją prokurator, jej czyn sędzia przedstawił jako zimny i wyrachowany, jako rezultat inteligentnego i drobiazgowo opracowanego planu.

To niepodobne do Grace. Nie miała zimnego, wyrachowanego umysłu. Mogła czasem wpaść w gniew albo się niepokoić, ale na pewno nie była umysłowo chora.

- Ciągle nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Nalałem nam resztę wina.

- Okej. Uważam, że Ernest Fox tamtego wieczoru rzeczywiście miał atak serca.

Poważny. Ból obudził go, mimo zażytych środków nasennych, i doktor zawołał o pomoc. - Wskazałem na korytarz. - Grace minęła półpiętro, o, w tamtym miejscu, i weszła do jego pokoju. I ten moment jest dla mnie mocno niejasny. Nie przeczę, że relacje między Grace i Ernestem musiały być złe. Być może go nienawidziła. Przez całe lata zaniedbywał ją i

traktował oziębłe czy nawet okrutnie. Od narodzin Randolpha nie dzielili sypialni ani łóżka.

Pokłócili się o posadę w Porton Down. No i był jeszcze Sam.

- Więc co zrobiła w tym pokoju?

- Myślę, że po prostu się zawahała. Nic więcej. Kiedy stała w drzwiach, wszystko to przemknęło jej jednocześnie przez głowę, wszystkie powody, dla których mogłaby pragnąć śmierci Ernesta, i idę o zakład, że nawet się zastanawiała, choć tylko przez chwilę, jak łatwo byłoby stać tam zwyczajnie, nie robić nic i pozwolić mu umrzeć. Stanowiłoby to idealne rozwiązanie wszystkich jej problemów. Przez jakiś czas byłem nawet przekonany, że rzeczywiście tak to się odbyło, potem jednak zdałem sobie sprawę, że nie wziąłem pod uwagę jednego, jedyne go czynnika - samej Grace, jej charakteru.

- Co masz na myśli?

- Kiedy czytam jej dziennik, zaczynam to chyba rozumieć. Kobieta taka jak ona nie mogła po prostu spokojnie patrzeć, jak Ernest umiera. Choćby nie wiem jak tego pragnęła, stało to w rażącej sprzeczności z każdym jej impulsem, z każdym aspektem tego, kim była.

Stała więc przez kilka sekund i patrzyła na niego, być może faktycznie mając zamiar pozwolić mu umrzeć. Ale nie mogła. Zreflektowała się i zadziałała machinalnie, dając się prowadzić instynktowi. Chodziło przy tym nie tyle o to, że była pielęgniarką, ile o to, dlaczego nią była. Puściła się biegiem na dół i przyniosła jego torbę lekarską. W tamtych czasach metody walki z atakiem serca były dosyć ograniczone. Nie znano resuscytacji krążeniowo-oddechowej, defibrylatorów i tak dalej. Zostawała właściwie nitrogliceryna, którą podała mu najpierw, albo naparstnica, którą zaaplikowała mu później, kiedy pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem. Tym razem też się nie udało i biedak umarł. Nigdy nie zdołam tego udowodnić, ale jestem całkowicie pewien, że Ernest Fox zmarł z przyczyn naturalnych.

- A co by było, gdyby zareagowała wcześniej?

- Może coś by to dało. Sekundy okazały się krytyczne. Przypuszczalnie więc zabiło go jej wahanie i, jak mówiłem, rzeczywiście życzyła mu śmierci. Ale nie zabiła go. Nie mogła.

Jestem o tym przekonany.

- Nie wierzysz więc, że w odpowiednich okolicznościach każdy z nas jest zdolny do morderstwa?

Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Zabiłem Laurę. Nie wiem, czy formalnie rzecz biorąc, czyniło to ze mnie mordercę, ale to nieistotne. Zabiłem. Problem polegał tylko na tym, co zrobiłem i jak to zrobiłem oraz jak mam z tym żyć. Na tym etapie byłem już pewien, że znam Grace. Nazwijcie to fantasmagorią, dziwactwem, przywidzeniem, wszystko jedno, najważniejsze, że odezwała się do mnie, jak tylko zawitałem w progu Kilnsgate House, wciągnęła mnie do środka, wybrała, kazała mi opowiedzieć swoją historię, dotrzeć do prawdy. Ni to we śnie, ni na jawie słyszałem, jak gra na pianinie. Widziałem w lustrze, jak się waha, po czym powoli odchodzi, żeby zrobić to, co należy, podobnie jak w lustrze w Scarborough widziałem kobietę, która się powiesiła. Nawet jeśli wszystko to było tylko wytworem mojej wyobraźni, to przecież i tak tego doświadczyłem.

W lustrze zobaczyłem to, co według mnie wydarzyło się w Kilnsgate tamtej nocy 1953 roku, obraz tamtej chwili, kiedy Ernest dostał ataku serca. Ktoś jednak mógłby powiedzieć, że zwariowałem. Graham prawdopodobnie by zrozumiał, ale nie byłem pewien, czy powinienem mówić o tym Heather. Grace opiekowała się umierającymi Niemcami, opatrywała ropiejące rany, siedziała przez całą noc, schładzając czoła tym samym mężczyznom, którzy robili straszne rzeczy siostronom takim jak ona oraz oficerom, z którymi śmiała się i tańczyła. Heather też o tym czytała. Kobieta, która robiła to wszystko, nie zaplanowałaby z zimną krwią morderstwa własnego męża, jak utrzymywał prokurator i w co uwierzyli sędzia oraz przysięgli. Chyba faktycznie, jak zdałem sobie sprawę w Kapsztadzie, chciałem oczyścić Grace, by móc poniekąd uczestniczyć w jej niewinności. Ale nie wierzyłem, by mogła stać i patrzeć na umierającego Ernesta, podobnie jak ja nie mogłem stać i patrzeć, jak Laura żyje i cierpi coraz bardziej. Ale tego też nie mogłem powiedzieć Heather.

Wypiła ostatni łyk wina.

- Pewnie masz rację - rzekła. - I co teraz?

- Nic - odparłem. - Sprawa jest zamknięta.

- Naprawdę?

- A co mam jeszcze zrobić? Niczego więcej nie da się już ustalić. Przyczyny śmierci Nata Buntinga. Co Grace robiła tamtego wieczoru. Poza

tym wszystko to wydarzyło się prawie sześćdziesiąt lat temu. Na prawdzie, oprócz mnie i ciebie, zależy już tylko Louise, Samowi i Wilfowi, a z nimi już rozmawiałem.

- I jak zareagowali?

- Myślę, że wydało im się to logiczne. Louise uważa teraz swoją babkę za bohaterkę, męczennicę, a nie za morderczynię i dziwkę. Po tym, co przeszła, na pewno dobrze jej to zrobi. Wilf niewiele powiedział. Sądzę, że i tak miał już na ten temat swoje zdanie. A Sam...

Cóż, tkwi ciągle w poczuciu, że oszustwem pozbawiono go miłości jego życia, i któż mógłby go za to winić? Wyidealizował wspomnienie o Grace i do pewnego stopnia nie ma dla niego większego znaczenia, czy to zrobiła. Wiele lat temu uznał, że nie, tak więc przypuszczalnie co najwyżej czuje satysfakcję, że ktoś pogrzebał trochę głębiej i doszedł do tego samego wniosku. Co do mnie, jestem przekonany. Nie muszę szukać dalej. - Przerwałem. - Pić mi się przez to wszystko zachciało. Może otworzę drugą butelkę?

Heather zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że zabierzemy ją na górę i damy ci szansę ocenić, jak wyglądam w nowej sukience.

Roześmiałem się.

- Umowa stoi.

Kiedy otwierałem butelkę, uderzyło mnie, że po całej tej rozmowie myślę chyba więcej o własnym nieszczęściu niż o niedoli Grace Fox. A może nie tyle o nieszczęściu, ile o jakimś pokrętnym, na wpół uświadomionym poczuciu winy, które dopadło mnie po spotkaniu z Billym. Myślałem o tym jeszcze długo tamtej nocy, pijąc wino na balkonie, i ostatecznie pogodziłem się z tym, co zrobiłem; uczyniłem pierwszy, ostrożny krok w kierunku tego, żeby samemu sobie wybaczyć. W osobliwy sposób pomogła mi w tym znajomość z Grace.

I podczas gdy z radością oddałbym księżyc, planety i gwiazdy, żeby tylko móc cofnąć czas i nie być zmuszonym zabijać Laury, wiedziałem, że zrobiłem to, co należało. Nie można pozwolić ukochanej osobie cierpieć z każdym dniem coraz bardziej bez choćby cienia nadziei na to, że ból zelżeje albo się skończy, a tylko ze świadomością perspektywy ciągle odwlekanej i jeszcze bardziej bolesnej śmierci.

Czy powiem kiedyś Heather, co zrobiłem? Nie wiem. Pytania te wolałem odłożyć na później. Na razie niech będzie tak jak jest - wesoło i przyjemnie. Dokończę sonatę fortepianową, która może nawet odnieść sukces. Przynajmniej tej muzyki ludzie będą słuchali. Gdzieś w jej tytule znajdzie się imię Grace; tyle wiedziałem. Przyjdzie wiosna, przebiśniegi, krokusy, żonkile. Potem w lesie pojawią się dzwoneczki; ptaki wrócą z ciepłych krajów i będą ćwierkały; przylecą jaskółki. W końcu, rzecz jasna, dobrniemy z Heather do momentu przełomowego - zawsze tak się dzieje - i trzeba będzie podjąć decyzję. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz.

25

Wyjątki z dziennika Grace Elizabeth Fox (oprac. Louise King), listopad 1945 roku.

Netley, Hampshire

Sobota, 2 listopada 1945 roku

Dziś rano, tuż po tym, jak zostałyśmy zdemobilizowane, matka przełożona wezwała nas wszystkie do jednej z wielkich, zimnych sal wykładowych. Słyszałam, jak obok deszcz bębni o ogromne przesuwne okna, przy gwałtowniejszych podmuchach powodując głośne dzwonienie szyb.

Matka przełożona oświadczyła najpierw, że ma mnóstwo do powiedzenia tym z nas, które zwalniamy się ze służby, by wrócić do cywilnego życia. Przede wszystkim podziękowała nam za to, co robiłyśmy, a następnie długo wychwalała zawód wojskowej pielęgniarki oraz Korpus Królowej Aleksandry w ogóle.

Potem powiedziała, że dopiero teraz czeka nas jedno z największych i najtrudniejszych wyzwań w życiu. Muszę przyznać, że po tym, czego byłyśmy świadkami, czego dokonałyśmy i co wycierpiałyśmy, słuchałam tych słów z pewną dozą podejrzliwości.

Ale matka przełożona jest mądrą kobietą. Słuchałyśmy.

Powiedziała, że powrót z wojny do cywilnego życia zawsze jest trudny, ale dla nas będzie taki w dwójnasób, jako że jesteśmy kobietami. W dodatku służyłyśmy tuż obok bitewnych pól, obok samych walczących mężczyzn, a nie w szpitalach oddalonych o wiele mil, gdzie nawet nie słyszeć ognia karabinowego.

Słyszałyśmy karabiny. Niektóre z nas poczuły nawet smak kul.

Bombardowano nas, strzelano do nas, obrzucano pociskami, zatapiano, a bywało i gorzej. Wiele z nas fizycznie i psychicznie nacierpiało się

również w obozach jenieckich lub w dziczy, gdzie groziła nam ciągle śmierć. Aby przetrwać, mówiła dalej matka przełożona, musiałyśmy zachowywać się, działać nie zawsze jak kobiety, a niektóre z nas zostały naznaczone na całe życie.

Następnie matka przełożona poprosiła nas, żebyśmy pomyślały o naszych rodzinach, obecnych i przyszłych. Ich świat nie jest naszym światem, powiedziała, ale to świat, o który walczyłyśmy; nie ma żadnego punktu styczności między tymi w domu a tymi, które robiły to, co my, ale musiałyśmy to robić dla nich. Nigdy nie zrozumieją, przez co przeszłyśmy i jak nas to naznaczyło. Pomyślałam, że jeśli chce nas odwiedzić od opowiadania o naszych przeżyciach, to trudzi się nadaremnie. Myślę, że większość z nas i tak nie chciała o tym mówić. Ale chodziło o coś więcej.

Niezależnie od wojennych doświadczeń, podsumowała matka przełożona, naszym obowiązkiem, nałożonym przez Boga, jest teraz stać się na nowo młodymi damami, żonami, ukochanymi i matkami, nie być już anonimowymi kształtami krzątającymi się w błocie i krwi po polowych punktach opatrunkowych albo leżących w brudzie i poniżeniu na klepiskach japońskich obozów jenieckich. Ci, których kochamy, nie chcą o tym wszystkim słyszeć, nie chcą tego wiedzieć. Gdyby usłyszeli, już nigdy nie spojrzeliby na nas w ten sam sposób; stałybyśmy się pariaskami.

Mamy w społeczeństwie rolę do odegrania, obowiązek do wypełnienia i aby się z niego wywiązać, musimy zostawić za sobą te pięć lat i dopasować się znowu do trywialnych ram kobiecości - żony, matki. Tego chce od nas teraz świat, taka jest nasza rola. Mężczyźni zagarną dla siebie całą chwałę, jak zwykle, powiedziała matka przełożona, wywołując znaczące uśmiechy wszystkich wokół, i tym razem pozwolimy im na to. Spojrzałam na Dorothy, a ona przewróciła oczami. Uśmiechnęłam się.

Matka przełożona chyba rzeczywiście trochę przesadziła, ale koniec końców miała rację.

Później, po wszystkich pożegnaniach i obietnicach, że będziemy pisać, z niewielką walizką w jednej i przepustką w drugiej dłoni, ruszyłam w deszczu przez park w stronę stacji kolejowej. Z gołych gałęzi ściekały zimne krople. Iście angielski listopad, pomyślałam, i nagle poczułam przypływ miłości do mojego kraju, do przyszłości, jaka mnie czekała. Być może matka przełożona miała rację. Musimy zagrzebać głęboko wspomnienia i żyć dalej.

Musimy budować, patrzeć do przodu, a nie wstecz.

Przy peronie stał pociąg, buchając parą w gęstą mżawkę. Zająłem miejsce przy oknie, skąd mogłem obserwować przemykający krajobraz, i otworzyłem swój dziennik. Za kilka godzin dotrę do Darlington. Na stacji będzie na mnie czekał Ernest. Wsiądziemy do samochodu i wrócimy do Kilnsgate, do domu. Tam czeka mnie nowe życie.

Podziękowania

Spośród licznych książek, które przeczytałem, przygotowując się do napisania tej powieści, chciałbym przede wszystkim wyróżnić pozycję Nicoli Tyrer *Sisters in Arms: British Army Nurses Tell Their Story*. To od niej zacząłem i to ona naprowadziła mnie na kolejne: *Quiet Heroines* i *A Nurse's War* Brendy McBryde, *The Maturing Sun: An Army Nurse in India 1942-45* oraz *Grey and Scarlet: Letters from the War Areas by Army Sisters on Active Service* pod redakcją Ady Harrison. Z tych właśnie książek zaczerpnąłem wiedzę na temat życia sióstr Korpusu Królowej Aleksandry w czasie drugiej wojny światowej, a pewne doświadczenia ich bohaterek wykorzystałem w dzienniku *Grace*. Korzystałem również z książek: *White Coolies* Betty Jeffrey, *All this Hell: U.S. Nurses Imprisoned by the Japanese* Evelyn M. Monahan i *Rosemary Nei delGreenlee* oraz *Singapore Burning* Colina Smitha.

Jeśli chodzi o historię regionu, wiele zawdzięczam pozycjom: *The History of Richmond, in the County of York; Including a Description of Other Remains of Antiquity in the Neighbourhood* Christophera Clarksona, *A New and Complete History of the County of York* Thomasa Allena, *Robinson's Guide to Richmond* W.R. Robinsona, *Richmond at the Start of the 21st Century: An Architectural History* Marka Whymana, *Richmond North Yorkshire From Low Up in the Air* Audrey Carr oraz *The History of Richmond, North Yorkshire: From Earliest Times to the Year 2000* Jane Hatcher.

Chciałbym podziękować Sheili Halladay za to, że przeczytała tak szybko rękopis i przekazała mi tyle użytecznych komentarzy i sugestii. Ogromne dzięki Carolyn Mays, Francesce Best, Kerry Hood, Jaime Frost, Lucy Hale, Auriol Bishop oraz Jamie HodderWilliams z wydawnictwa Hodder & Stroughton; Carolyn Marinie, Wendy Lee, Michaelowi Macmillanowi i Sharyn Rosenblum z wydawnictwa William Morrow; oraz Dinah Forbes, Dougowi Pepperowi, Ellen Seligman i Ashleyowi Dunnowi z wydawnictwa McClelland and Stewart. Chciałbym również podziękować

za nieustające wsparcie moim agentom Dominice Abel i Davidowi Grossmanowi.

Dziękuję również Carltonowi Boyce'owi za umożliwienie mi rozmowy z więźniami oraz za oprowadzenie mnie po HMP Leeds. Wielkie dzięki Chrisowi Wade'owi za wypożyczenie mi chatki w Staithes. Serdeczne podziękowania kieruję również do Aniki Ibrahim oraz Jonathana Balla za ich niezwykłą gościnność w RPA, Anne Michel i ekipie Albina Michela z Paryża oraz paniom z Dymocks w Melbourne za to, że zechciały odpowiedzieć na moje pytania.